



FELIKS W. KRES

TARCZA SZERNI



Feliks W. Kres

Tarcza Szerni

Tarcza Szerni

Copyright © by Feliks W. Kres

Skład i korekta: Paweł Dembowski i Katarzyna Derda

Projekt graficzny okładki: Nina Makabresku

Ilustracje map: Maria Łepkowska

Wszelkie prawa zastrzeżone

All rights reserved

ISBN 978-83-64416-74-3

Wydawca: Code Red Tomasz Stachewicz

ul. Sosnkowskiego 17 m. 39

02-495 Warszawa

<http://www.bookrage.org>

Mapy

Szerer

SZERER



Dartan



Grombelard



Tom I

Prolog

Mroczne zaułki dzielnicy portowej, zapchane brudnym śniegiem, były miejscem nieprzyjaznym i groźnym. W Dranie, jednym z najstarszych miast Garry, ofiarą złoczyńców mógł paść każdy, kto zapuścił się nocą w okolice portu. Wojsko dawno już przestało kontrolować najbardziej podejrzane zakamarki, bo była to robota głupiego: żołnierze łapali rzezimieszków, urzędnicy zaś wypuszczali za łapówki. Dartańczycy, rozmiłowani w szumnych nazwach, zamorską prowincję Wiecznego Cesarstwa od pewnego czasu nazywali Yoesene Ane — Krainą Bezprawia — inni zaś, bardziej dosadni w słowach, powiadali zwyczajnie: burdel. Rozsypała się tam imperialna władza, a na jej miejsce nie przyszła żadna inna. Rządził każdy, za kim stały pieniądze albo miecze.

A jednak, blisko portowych nabrzeży, w jednej z najciemniejszych uliczek, przy której tkwiły opuszczone, na pół zrujnowane domy, przycisnął się oddziałek imperialnych legionistów. Spod szarych wojskowych płaszczy wyzierały jasne tuniki noszone na kolczugach; raz i drugi załśnił, w odbitym od śniegu świetle księżyca, niedokładnie okryty kapturem hełm. Wojacy musieli sterczeć w zaułku dosyć długo, bo wyraźnie marzli, choć miało się na odwilż i ziąb niezbyt doskwierał. Chuchali w ręce i rozcierali je, kręcili się niecierpliwie i przytupywali, starając się jednak nie czynić hałasu. Pytanie, czy ktoś by usłyszał?... Opodal rozbrzmiewał gwar: tubalne ryki i pijacki rechot przeplatały się z żeglarską pieśnią, której to pieśni nijak nie chciała poprowadzić muzyka dobywana z kiepskiej fujarki. Zresztą cała portowa dzielnica, jedna paskudna lumpiarnia, rozbrzmiewała zwykłymi nocnymi głosami: ujadaniem i wyciem jakichś psów, odległymi wrzaskami, pijackimi śpiewami, śmiechami.

Śnieg padał i padał coraz gęstszy. Topniał i mieszał się z błotem.

Sto pięćdziesiąt albo dwieście kroków dalej, obok wielkiej piramidy skrzyń złożonych na nabrzeżu, raczyli się gorzałką i hałasowali obwiesie — dwunastu, może czternastu. Za nimi niewyraźnie majaczyła ciemna bryła przycumowanego żaglowca. Płonęła smoła w trzech wielkich

maźnicach, dając więcej dymu niż światła i ciepła, lecz nikomu to nie przeszkadzało, nawet pijanej dziewczynie z gołym tyłkiem, tańczącej w kręgu klaszczących i ryczących kamratów. Pannica — całkiem zgrabna, lecz o gębie rozchlastanej kiedyś nożem — miała na głowie wełnianą czapkę, częściowo zezartą przez mole, na grzbiecie zaś koszulę i kosmaty serdak, ale niżej już tylko obszyte futrem trzewiki, chyba żeby do odzienia zaliczyć to, co z woli natury okrywało jej przyrodzenie. Rozradowane draby, mniej lub bardziej schlane, kołysały się albo zataczały w żeglarskim płasie, co tworzyło należytą oprawę dla podrygów biednej dziewoi; tańczyć to ona, niestety, zupełnie nie potrafiła. Może miała inne zalety.

Śnieg sypał na potęgę; jego lepkie płaty, pchnięte mocniejszym porywem wiatru, skłębiły się w świetle smolnych ogni. Głośno zatrzeszczały kadłuby i zaskrzypiał osprzęt cumujących w porcie żaglowców.

Dwoje ludzi, zbliżających się niepewnie do rozwrzeszczanej zgrai, w ogóle nie chciało pasować do portowej dzielnicy. Pytanie, czy pasowali chociaż do tego miasta?... Mężczyzna był bardzo dostatnio odziany, bogaty aż ostentacyjnie, kobieta zaś młoda i milutka: spod lekko zsuniętego kaptura wychylały się piękne kędzierzawe włosy, okalające trochę pucołowatą, ale jednak apetyczną buzię. Było zupełnie jasne, że los tych dwojga zostanie przypieczętowany, gdy tylko rozpląsane łapserdaki dostrzegą ich obecność w swym królestwie.

Jakoż i wkrótce dostrzegły. Prawdę mówiąc, nawet ślepy by dostrzegł, bo przybysze parli z niepojętym uporem ku kopącym maźnicom, niczym ćmy zwabione do światła. Głośniejsz rozbrzmiały wrzaski i dwaj pijacy z szeroko rozpostartymi ramionami, ku uciesze kompanów, ruszyli ku nadchodzącym. Uradowani, bez wątpienia pragnęli objąć nowo przybyłych, a może i zaprosić do tańca. Ci jednak nie czekali. W cudowny sposób odzyskawszy wzrok, a ze wzrokiem rozum, rzucili się do ucieczki. Kobieta krzyknęła przenikliwie, mężczyzna zawtórował jej basem.

— Na pomoc! Ratunku, mordują!

Banda z nabrzeża pognała śladem uciekinierów.

Pucołowata kobietka miała zdrowe nogi, towarzyszący jej bogacz jeszcze zdrowsze: bez żenady wysforował się naprzód, zostawiając

towarzyszkę w ariergardzie. Odciągnąwszy bandę od nabrzeża, a tym samym od stojących w porcie żaglowców, po kolei skręcili w mroczny zaułek — ten sam, w którym czekali żołnierze. Rozpędzone zbiry wpakowały się prosto na gotowy do walki oddział. Legioniści osadzili zgraję w miejscu; kilku łapserdaków oberwało po zębach rękojeściami mieczów. Zdezorientowanych otoczono w mgnieniu oka, bardziej krewkich przewracano w stratowany śnieg. Ponad wrzaski wzniósł się mocny głos człowieka przywykłego do rozkazywania:

— Stać, w imieniu prawa! Milczeć! Wszyscy broń pod nogi, natychmiast!

Niektóre draby miały noże, przy mieczu był tylko jeden.

Zaległa krótka cisza. Żołnierze, z groźnie nastawionymi ostrzami, szachowali zwabionych w pułapkę żeglarzy. Klnąc i brocząc krwią z rozbitego łba, zbierał się z ziemi przewrócony pijak.

— Napadnięto nas, panie komendancie! — dobiegł głos spoza pleców żołnierzy.

— Czy tak było?

— Tak, panie — potwierdziła kobieta.

— Co jest?! — wrzasnął jeden z osaczonych. — Ścierwojady... guza szukacie?! A wynocha do swoich baraków, ogony pod siebie i jazda!

Draby odzyskały wigor i animusz. Od wielu miesięcy wojsko w Dranie odwracało się plecami do wszelkich awantur i znikało bez śladu, wystarczyło tupnąć. Ochłonąwszy z zaskoczenia, a nawet cokolwiek wytrzeźwiawszy, draby jęły groźnie napierać na legionistów, niewiele sobie robiąc z ich mieczy.

— No?! No rusz mnie który, a żywa noga stąd nie ujdzie! — wrzasnął potężny dryblas z nożem w garści i nie namyślając się wiele, otwartą dłońią pchnął najbliższego legionistę w pierś.

— Podsetniku... to oni! — zawołał któryś z żołnierzy.

— Jacy „oni”?

— Ci co wczoraj wyrznęli naszych! Poznają tego... i tego! I tamtego też!

Do zwabionych w pułapkę obwiesiów zaczęło wreszcie docierać, że nie natknęli się na jakiś przypadkowy patrol.

— Oni, mówisz? Jesteś pewien, synu? Popatrz dobrze!

Żołnierz mógł patrzeć do woli — księżyc świecił jasno, a śnieg,

choć brudny i zmieszany z błotem, potęgował jego blask, niemniej był środkiem nocy, do tego zadymka — i nawet sobie oczy miałyby kłopot z rozpoznaniem rysów czyjejś twarzy.

— Tak, panie! — powiedział legionista. — Jestem pewien, to te same gęby! Nie zapomnę do końca życia, tylko ja wyniosłem z tego głowę! Wszystkich naszych wytłukli jak psy!

Otoczona banda przycichła po raz drugi.

— Tylko ruszcie nas, sukinsyny! — powtórzył po chwili drab z nożem. — A żywa noga nie ujdzie!

— Rzekłeś, chłopcze — spokojnie skwitował oficer. — Rzuciliście się na wojsko imperialne. Wczoraj... a teraz znowu. Brać ich!

Żołnierze chyba opacznie zrozumieli rozkaz, bo zaułek w jednej chwili wypełnił się skowytami mordowanych drabów. Od miesiąca przepędzani z kąta w kąt, wzdarczeni zarówno przez złoczyńców, jak i spokojnych mieszkańców miasta legioniści brali słodki odwet za wyrzniętych minionej nocy towarzyszy: czterech chłopaków z patrolu, osaczonych w samym środku miasta, o których nikt nie zamierzał się upomnieć. Ani przekupieni urzędnicy Trybunału Imperialnego, powołani do tropienia i sądzenia zbrodni, ani zobojętniali przełożeni, ani wreszcie zastraszone miejskie władze — nikt.

Port był za daleko, by na pokładach okrętów dosłyszano wrzeszczących o pomoc żeglarzy. Na pirackich łajbach, zupełnie jawnie cumujących u nabrzeży jednego z największych miast Garry, było pewnie parę setek zbirów, choć co najmniej połowa bawiła się w knajpach na lądzie. Żołnierze nie mogli wygrać żadnej potyczki w porcie — jednak co innego dwieście kroków dalej. Kompani zarzynanych słyszeli najwyżej niewyraźne wrzaski, dobiegające z mrocznych ulic — nie pierwsze tej nocy i nie ostatnie...

Nie upilnowano tylko tancerki z blizną od noża na twarzy. Rozchichotana pannica pociągnęła śladem kamratów i była wystarczająco blisko, by poznać, że dzieje się coś paskudnego. Zawróciła biegiem i zaczęła wrzeszczeć wniebogłosy, gdy tylko wpadła między kotły z palącą się smołą. Światło oślepiało; gdyby nie to, bez trudu dałoby się dostrzec nie tylko zarys kadłuba żaglowca, ale i szczegóły na pokładzie: pośród zwojów lin, skrzynek, różnych szmat i śmieci przysypanych świeżym śniegiem (nie był to czysty okręt...) drzemali tak

samo ośnieżeni członkowie załogi, którym podstępna gorzałka nie pozwoliła dotrzeć do przytulnych barłogów w dziobówce. Otworzyły się jakieś drzwi i spod kasztelu rufowego trysnęła na pokład smuga światła.

— Czego wrzeszczysz, dziwko, no czego?!

— Bo... naszych tłuką! Naszych! Tam, w zaułkach!

— Co ty gadasz?...

— Tłuką naaszyyych! — histerycznie rozdarła się wywłoka, skacząc po dudniącym i trzeszczącym trapie, jakby straciła rozum. — Łaaa! Tam tłuką, ja nie wiem... nie wiem ktoo!... No... łaaaaa!!!

Pobudzeni marynarze wyłazili z zakamarków okrętu.

— Zatłuką ich! Łaaa! — raz jeszcze wrzasnęła dziewczyna i niemal kopiąc się piętami w przyszczaty zadek, pognąła z powrotem w głąb ulicy, jakby sama jedna chciała przyjść z odsieczą mordowanym.

Okręt ożył. Ci ludzie nie raz i nie dwa zrywali się w środku nocy, by chwycić za broń. Ktoś kopnął przyprószonego śniegiem pijaka, inny, klnąc, skoczył pod pokład. Zadudniły ciężkie kroki na trapie, gdy dwaj pierwsi żeglarze z toporami w dłoniach zbiegli na nabrzeże. Lecz ta noc była pełna niespodzianek.

— A dokąd to? — zapytał niemłody już, lecz prosto trzymający się mężczyzna, który otoczony smolnym dymem zjawił się w kręgu światła, jakby wyłoniony z kłębow śniegu. — Ten okręt to „Zgniły Trup”?

Była to nazwa legendarnego już żaglowca, cieszącego się najgorszą sławą. Pływające na nim kanale, bydłeta nawet między innymi bydłętami, wyrzutki spośród wyrzutek, rzuciły kiedyś wyzwanie samemu morzom, nazywając swój okręt tak, że żaden prawdziwy marynarz, choćby pirat, nie chciał postawić stopy na jego pokładzie. Dowodziła nim przeklętnica, będąca, jak powiadano, córką największego pirata w dziejach, powieszona przez żołnierzy cesarskich, a potem przywrócona do życia za sprawą niezbadanych mocy Szerni.

Pędzący drab zamierzył się toporem i wyrznął nim pytającego, który chyba odruchowo zasłonił głowę ramieniem.

Topór pękł, jakby trafił w litą skałę.

Przybysz, szczupły wysoki człowiek w ciemnym płaszczu, ruszył ku drugiemu piratowi, zdzielił go pięścią w szczękę — i zabił. Kolejnym uderzeniem zdruzgotał łeb temu, który w osłupieniu patrzył na trzymany w ręku ułomek styliska topora. Rozprawiwszy się z dwoma

przeciwnikami, wbiegł na trap i szeroko rozkrzyżował ręce, zagradzając drogę na nabrzeże. Rzuciło się nań kilku majtków z mieczami i toporami, lecz niesamowity wojownik naprawdę miał ciało z kamienia... Zachwiał się pod ciosami i odstąpił dwa kroki w tył — ale nie zrobiono mu żadnej krzywdy.

— Czy ten okręt to „Zgniły Trup”? — ponownie zapytał nieproszony gość, chwytając za gardło najzuchwalszego z napastników i zgniatając mu krtań na miazgę.

Kopnął następnego, łamiąc mu nogę; trzeciemu zgruchotał czaszkę, jakby była glinianą miską. Z hałasem pędzili następni, gotowi zmieść wroga impetem, co mogłoby się udać — lecz w zamieszaniu, gdy wyłażący spod pokładu majtkowie chcieli biec na brzeg, a inni z zabobonnym lękiem cofali się od trapu, nie było mowy o zaprowadzeniu jakiegokolwiek ładunku; w mroku słabo rozjaśnianym przez księżyc, nieliczne okrętowe latarnie i płonąca na brzegu smoła mało kto wiedział, co się właściwie dzieje. Kamienny człowiek na trapie wygrał bój na pięści z piratem, który przedarł się do niego przez tłumek odstępujących do tyłu towarzyszy. Po raz trzeci zadał swoje pytanie, ale utonęło we wrzaskach. Wówczas rozgniewał się wreszcie, stracił cierpliwość i ruszył naprzód, tłukąc i masakrując każdego, kto znalazł się w zasięgu jego ramion.

— Gdzie jest wasza królowa?! — zaryczał. — Szukam Ślepej Ridi!

— Jakby tu była, sukinsynu, tobyś już dawno miał urwane jaja! — zawył jakiś pirat z nienawiścią. — I dławilibyś się nimi, sukin...

— Nie ma jej? To przyjdę później — rzekł mężczyzna, chociaż prawie nikt go nie słyszał. — Droga wolna, do zobaczenia. Powiedźcie swojej królowie... albo lepiej nic jej nie mówcie.

Odwrócił się, zbiegł na nabrzeże i zniknął tak samo, jak się zjawił: nie wiadomo gdzie ani kiedy.

Dziewczę z gołym zadkiem rzeczywiście samo nadciągnęło kompanom z odsieczą. Tak czy owak, w zaułku zostały już tylko trupy.

*

Tej samej nocy i w tym samym mieście, lecz w zupełnie innej dzielnicy, dwaj ludzie wyglądali przez okno zamożnego domu, patrząc na padający śnieg. Niewiele dawnych zwyczajów przetrwało w Dranie, lecz Stara Dzielnica, prawdziwe miasto w mieście, wciąż była nieźle

strzeżona. Pamiętająca czasy niepodległego Królestwa Garry, opasana osobnym murem, nieistniejącym już tu i ówdzie, stanowiła miejsce szczególne. Mieściły się w jej obrębie siedziby władz miasta, gmachy Trybunału Imperialnego, małe koszary będące domem nie dla zwykłych żołnierzy, lecz wiarusów Gwardii Garyjskiej, a ponadto najbogatsze kamienice, najlepsze kantory i składy kupieckie — słowem: wszystko co stanowi o znaczeniu miasta. Oprócz portu.

Jeden z patrzących przez okno mężczyzn, łysiejący, krótko ostrzyżony, nosił szpakowate wąsy i brodę, bardzo starannie przycięte; zarost skrywał niewielkie kalectwo, mianowicie skrzywienie ust, które unosiły się nieco z jednej strony w czymś, co przywodziło na myśl kpiarski uśmiech. Średniego wzrostu i tuszy, raczej żylasty i krzepki, człowiek ten wyglądał na pięćdziesiąt lat, choć w rzeczywistości miał blisko osiemdziesiąt. Nie czuł swego wieku; istoty przyjęte przez rządzącą światem potęgę bardzo szybko traciły młodość — lecz w zamian niezwykle wolno się starzały, przez długie dziesięciolecia korzystając z uroków tego, co zwykło się nazywać wiekiem średnim. Mężczyzna nosił imię Gotah, a ze względu na skrzywienie ust zwano go czasem Głupim albo Szalonym. Uznawany był powszechnie za najznamienitszego z żyjących historyków-filozofów Szerni.

Towarzyszył mu starzec. Przygarbiony, drobniutki, siwiuteńki, wyglądał na dobrego dziadka z kołysanki dla dzieci. Przez otwarte okno wiało chłodem, staruszek poprawiał więc okrągłą czapeczkę, jaką mógłby nosić drobny kupiec, rozcierał co chwila dłonie, to znów unosił je do ust i grzał oddechem, znacząco spoglądając na towarzysza, który jednak nie dostrzegał owych niemych próśb. Okno pozostało otwarte.

W drobnej, siwej głowie poczciwego dziadka działał wciąż całkowicie sprawny, przenikliwy umysł jednego z największych uczonych świata. Sędziwy Yolmen był matematykiem Szerni — nie tak docenionym i błyskotliwym, lecz sto razy bardziej pracowitym od pyszałkowatego, leniwego, zadufanego w sobie Moldorna, marnującego najwspanialszy talent w dziejach.

Mędrców Szerni uważano za istoty niezwykle, a w niektórych krainach Szereru — zgoła legendarne. Do tych krain należała Garra, wielka wyspa na Bezmiarach, oddalona o setki mil od Grombelardu, ojczyzny i pracowni Przyjętych. To tam zgłębiali prawa rządzące

sprawczą potęgą ponad światem; poza Romogo-Koor — Nienazwanym Obszarem — widywano ich bardzo rzadko. W Morskiej Prowincji niemal nigdy. Powiadano, że było ich pięćdziesięciu.

Nieprawda. Tylko jedenastu. Dawno minął złoty wiek mędrców-Przyjętych, gdy na badaczy Szerni czekały niezliczone fascynujące odkrycia. Wiszącą nad światem siłę zbadano, policzono wartości Pasm... Studia nad sprawczą potęgą były teraz zmudną, monotonną dłubaniną, dokładaniem kolejnych kamyczków wiedzy do wzniesionej już piramidy; niewielu miało ochotę poświęcić życie tak nudnej i niewdzięcznej pracy. Legendarna akademia mędrców Szerni istniała przed wiekami naprawdę, lecz została zamknięta z braku chętnych.

— Moldorn wróci przed świtem — rzekł staruszek głosem pasującym do postaci: słabym, nieco schrypniętym, lecz zarazem łagodnym. — To bufon, ale jednak matematyk... — Zaśmiał się cicho. — Jak coś powie, to powie. Nie rzuca słów na wiatr.

— Nie o Moldorna się martwię — odrzekł Gotah. — To znaczy, owszem, martwię się, ale nie o jego skórę tylko o to, co zrobi. Gotów stanąć na pokładzie tego statku i rąbnąć: „Gdzie wasza komendantka? Szuka jej Moldorn-Przyjęty!” — zakpił z przenikliwością, która już wkrótce miała zadziwić jego samego. — Mówisz: bufon? Pół biedy. Ja mówię: to pomylenie.

— Niestety. — Yolmenowi wyrwało się westchnienie. — Ale to nie ja go sprowadziłem.

Gotah energicznie zamknął okno uzbrojone w kosztowne dartańskie szyby, niemal doskonale przezroczyste i prawie nie zniekształcające widoku. Odwrócił się i rozejrzał po schludnej, dostatnio urządzonej, bardzo dobrze oświetlonej izbie, jakby widział ją po raz pierwszy. Za psi pieniądz wynajęli całe piętro w okazałej kamienicy; z Dranu uciekał kto tylko mógł, wiele domów straszło pustką i nietrudno było o kwaterę.

— Bardzo mądrze, młody człowieku — orzekł Yolmen. — Wyłysiejesz, jeśli będziesz wystawiał gołą głowę na mróz. Zobacz, co się dzieje z twoją głową. Ja zawsze noszę czapkę, i proszę, to moje włosy.

Rzeczywiście, choć zupełnie siwe, były wcale gęste. Łysawy „młody człowiek” trochę mocniej skrzywił swój kaleki uśmiech.

— Przyjmuję nauczkę. Ale tę o łysieniu, nie o Moldornie. Kogo miałem sprowadzić? No, słucham, Yolmenie: kogo? Kreeb nie przyjął do

wiadomości, że toczy się wojna Szerni z Alerem, i został odrzucony przez Pasma. Oszalał i uważa, że nadal jest Przyjętym. Ale nie, już nie jest. Aisen i Merone podobnie, żaden z nich wprawdzie nie oszalał, ale pierwszy pogodził się z rzeczywistością, rzucił wszystko i chyba ma narzeczoną, drugi przeciwnie, uznał, że wyliczy, iż dwa razy dwa to jest siedem, siedzi w swoich rachunkach i nie wylezie z nich nigdy, bo próbuje udowodnić fałszywe twierdzenie. Pozostali? Na tle pozostałych, „młody człowieku” — odwzajemnił się z lekkim przekąsem — wyglądasz bardzo rześko, a nawet atletycznie. Ramez? Nie wiadomo, czy Pasma w ogóle go Przyjęły; nic już nie wiadomo, odkąd w Szerni nic nie działa tak jak kiedyś. Zresztą, Ramez najwięcej dobrego może zrobić właśnie tam gdzie jest, w Kirlanie. Ma tam środki, ma wciąż jeszcze niemałe znaczenie, a na koniec była żoną, która jest dzisiaj najpotężniejszym człowiekiem na świecie. Jeśli do niej przemówi, jeśli trafi do jej serca albo rozumu... A księżna Werena... tfu! — Machnął ręką. — Zawsze już będę o niej myślał „księżna”. Najgodniejsza Cesarzowa Werena ma rozum; co do serca, nie jestem pewien.

— Mówiliśmy już o tym.

— Więc nie wypominaj mi znowu, że zabrałem Moldorna. Wziąłem wszystkich, których mogłem wziąć. I o jedną osobę za dużo... ale nie jest nią Moldorn.

— Ani ja, wiem. Nie miałem na myśli nic złego, Gotahu. Powiedziałeś „pomylenie”, ja coś odpowiedziałem... — sumitował się staruszek. — Przecież jestem tu z tobą, co chyba oznacza, że akceptuję podjęte przez ciebie decyzje, jak i twoje przywództwo.

Gotah wyciągnął ręce, ujął towarzysza za łokcie i uściśnął lekko, po czym usiadł przy stole.

— Tak... Nie gniewaj się, Yolmenie. Jestem zdenerwowany.

— Niepotrzebnie.

— Być może. Zmieńmy temat. Jeśli Moldornowi się uda...

— W co nie wierzysz.

— I ty też nie wierzysz. Co niby miałoby się udać? Miałem go dosyć i tylko dlatego powiedziałem: idź! Sprawdzi, że na okręcie nie ma komendantki, raczej nie dowie się, gdzie jest... i wróci. Wprawdzie nasz przyjaciel wyobraża sobie raczej coś takiego: oto zakrada się na okręt, a tam śpi sobie smacznie nasza piękność. Trach! Po cichutku wielki

Moldorn-Przyjęty urywa dziewczynie głowę, po czym przepada za sprawą jednej ze swych sztuczek, które tak mu się podobają, odkąd wreszcie może je stosować. Przychodzi, kładzie tutaj głowę naszego Rubinu, a więc właściwie sam Rubin...

— To makabryczne. — Matematyk wzdrygnął się.

Gotah popatrzył przeciągle.

— No ale... przecież właśnie to chcemy osiągnąć. Moldornowi na pewno nie uda się tej nocy, jednak prędzej czy później...

— Makabryczne — powtórzył starzec.

— Lepiej pojednaj się z tą myślą, Yolmenie. Musimy zniszczyć tę kobietę, bo słowo „zabić” jest chyba nieodpowiednie.

— Wiem — głos starca zabrzmiał niespodziewanie ostro. — Ale czy musimy o tym mówić? Planujemy zbrodnię, i to zbrodnię ohydną, niewyobrażalną dla zdrowego umysłu...

— Ta dziewczyna jest rzeczą. To Geerkoto, Porzucony Przedmiot.

— Wiesz dobrze, że nie tylko. Jest także człowiekiem, tak samo jak ty i ja.

— Raczej zwierzęciem, a gdybym po dartańsku lubował się w szumnych określeniach, powiedziałbym: potworem, krwiożerczą bestią. Bajki o piratach to właśnie bajki w zestawieniu z tym wszystkim, o czym mogłaby opowiedzieć jej załoga.

— Przesadzasz.

— Nawet jeśli tak, to niewiele.

— Nic mnie to nie obchodzi, nie jestem sędzią... a zgodziłem się zostać katem. I umrę, jeśli to zrobię. — Wyznanie zabrzmiało bezradnie i naiwnie, trochę jak dziecięca buntownicza obietnica, a trochę jak smutne przeczucie.

— Mistrzu Yolmenie — powiedział Gotah z szacunkiem, który miał złagodzić wymówkę — to nie ja pokazałem ci matematyczne modele, z których wynika katastrofa. Ja jestem tylko badaczem zatęchłych kronik, gadułą i „gdybaczem”, jak mówicie wy matematycy. Powiedziałem ci, co wiem, ale matematyczna interpretacja wyszła od ciebie. Historyk niczego nie dowiedzie, może tylko budować chybotliwe konstrukcje oparte na źródłach, z którymi różnie, bardzo różnie bywa.

— I co jeszcze mi powiesz, mędrco-Przyjęty? Wiem, czego dowiodłem, i dlatego stale sobie powtarzam, że trzeba ją powstrzymać.

Ale zabić...

— Zniszczyć, nie zabić. Ona nie żyje.

— Żyje! Nie opowiadaj mi głupstw! — zawołał starzec tak głośno jak potrafił i rozkaszał się. Wycelował palec w Gotaha. — Nie oswajaj rzeczywistości słowami, filozofie... Albo oswajaj, jeśli musisz, ale na swój własny użytek. Ja jestem matematykiem i nie umiem patrzeć przez kolorowe szkiełka, dobierane w zależności od potrzeb, widzę tylko albo prawdę, albo fałsz. Może inni, nawet matematycy, mogą inaczej patrzeć na świat wzorów i liczb, a inaczej na ten, w którym żyją. Ale ja nie potrafię. Przez całe życie nawet psa nie kopnąłem, a ty chcesz, bym bez żadnych rozterek zamordował człowieka, powiadając sobie „to zły człowiek”, albo jeszcze lepiej „to właściwie wcale nie człowiek”. W imię czegoś niezmiernie doniosłego, bo ocalenie Szereru mam za rzecz doniosłą, zgodziłem się popełnić wstrętą zbrodnię, która, choć konieczna, pozostanie zbrodnią; żyję z tą myślą i z tą myślą umrę. Zechciej zostawić mi prawo do szczerości względem samego siebie.

Gotah milczał.

— Potrafisz ładnie przemawiać... jak na matematyka.

— Trafne spostrzeżenie. Jak na filozofa.

Gotah uśmiechnął się, czyniąc swą krzywą gębę jeszcze bardziej kpiarską.

— Wisielczy ten wiatr — rzekł na koniec. — Obaj niepotrzebnie jesteśmy rozdrażnieni.

Yolmen odetchnął głęboko i przetarł załzawione oczy.

— Tak, to prawda. Przebacz.

— I ty mi przebacz, Yolmenie. Razem niesiemy ciężar i powinniśmy stale sobie pomagać, a tymczasem kłócimy się.

— Twoje sumienie...

— Zamilcz już, bo jesteś rozgoryczony i powiesz coś niemądrego. Moje rozterki są może pośledniejsze od twoich, ale to nie znaczy, że ich nie mam. Wolałbym teraz robić coś innego. Prawdę mówiąc... cokolwiek innego.

Zamilkli obaj i pogrążyli się w myślach.

Starogrombelardzkie słowo lah'agar, w odniesieniu do mędrców Szerni wykładane zwykle jako „przyjęty”, znaczyło dosłownie: część odnaleziona. Wśród milionów istot rozumnych, albo raczej: wśród

milionów ludzi, bo koty w ogóle Szerni nie pojmowały, trafiali się tacy, którzy mocniej od innych czuli obecność Pasm. Świadomość istnienia Szerni miał każdy, tak jak świadomość własnego istnienia, lecz niektórzy ponadto pojmowali jej naturę, rozumieli i czuli, na czym Szerń polega. Pasma przyjmowały takich ludzi, uznając ich — symbolicznie — za swą część. Bezsilni mocarze mogli sprawić to wszystko, co sprawiały Pasma, a nawet więcej, bo Szerń była potęgą martwą i bezrozumną, Przyjęci zaś działali świadomie. Lecz już sam zamiar użycia sił Szerni powodował odtrącenie przez Pasma; paradoks wszechmocy Przyjętych polegał na tym, że byli wszechmocni tak długo, jak długo nic nie robili... Szerń nadała kształt swemu światu, spięła się z nim kłamrą Praw Całości i nie wpływała na nic, co się działo pod jej Pasmami. Przyjęty — odnaleziona część Szerni — musiał być taki jak ona.

Lecz Szerń właśnie się rozsypała, albo może raczej: przedzierzgnęła w coś, czym nie była od tysiącleci. Dogładająca tylko świata, niczym ogrodnik kwiatów, przemieniła się w wojownika, bo właśnie toczyła wojnę z podobną do niej lecz wrogą potęgą. Niektóre Prawa Całości uległy zawieszeniu; Przyjęci mogli, a nawet musieli działać.

Pytanie tylko, czy potrafili?...

*

Armektański pokój, narzucony wszystkim ludom w granicach Wiecznego Cesarstwa, miał bardzo różne oblicza. Wypieszczony Dartan, skarbiec imperium, cieszył się niemal pełną niezależnością — i odpłacił łagodnym zdobywcom krwawą wojną, zakończoną przed trzema laty upokarzającym dla Armektu traktatem pokojowym. Formalnie zwasalizowane, a faktycznie całkowicie niepodległe dartańskie królestwo, skłaniało się już ku nowej wojnie, tym razem o hegemonię na kontynencie.

W tym czasie Morska Prowincja Wiecznego Cesarstwa — niekochana, zawsze pogardzana, trzymana przez armektańskich władców twardą ręką — korzystała z osłabienia, a właściwie już rozpadu imperium. Wiecznie tutaj wybuchały powstania i lada chwila miało rozgorzeć kolejne.

W Doronie, starej stolicy Garry, na każdym kroku widoczne były pamiątki po poprzednim, stłumionym zrywie. Doronę splądrowano i częściowo zburzono, od tego czasu minęło ładne parę lat, a wciąż jeszcze

tu i ówdzie straszyły trupy kamienic, których nie warto było odbudować, a nikomu nie chciało się — nie opłacało?... — do reszty wyburzyć. Armektańskie władze najpierw miały ważniejsze sprawy niż sprzątanie resztek prywatnych domów; potem, gdy tymczasowość rządów stała się dla wszystkich widoczna, armektański książę utracił wszelkie znaczenie. Otoczony przez przyboczną gwardię, już tylko rezydował, bo nie rządził. Władać prowincją chciał, ale nie mógł.

Przed obskurnym gmachem, nazywanym szumnie „pałacem” (prawdziwy pałac spalono podczas minionego powstania) zatrzymało się pięciu jeźdźców, za którymi szło czterech pieszych — ci ostatni nieśli jakieś pakunki. Właściwie jeźdźców było nie pięciu, a pięcioro, bo na czele oddziałku znajdowała się kobieta, dosiadająca konia w sposób właściwy dla swej płci. Towarzyszący jej pachołkowie-żołnierze, odziani i uzbrojeni tak świetnie, że cesarscy legioniści mogliby na ich widok poumierać z zazdrości, zeskoczyli z siodła; jeden zaraz wyciągnął ręce, pomagając kobiecie zsunąć się z końskiego grzbietu na ziemię. Olbrzymie futro z granatowych lisów było dziełem prawdziwego artysty; gdziekolwiek ów kuśnierz mieszkał, na pewno ubierał najświetniej urodzone kobiety cesarstwa, a może i samą cesarzową. Futro, mimo swoich rozmiarów i wagi dopasowane do sylwetki, podkreślające talię, mogło samym widokiem doprowadzić do płaczu niemal każdą kobietę — bo prawie żadna nie mogła mieć takiego. Kosztowało tyle, co dom. Granatowy lis był najrzadszym zwierzęciem Szereru; miesiąc, gdy jakiegoś złowiono, jawił się miesiącem wyjątkowym.

Poprzedzana przez dwóch prywatnych żołnierzy, wielka pani w granatowych lisach postąpiła ku wejściu do pałacu, którego to wejścia strzegły jakieś biedne wymoczki, trzęsące się z zimna w swych wojskowych płaszczach. Zsunąwszy z głowy kaptur, idąca odsłoniła jasne włosy okalające twarz o rysach iście królewskich; była kobietą trzydziestokilkuletnią, wysoką, szczupłą, wyjątkowo piękną, ale chyba nikt nigdy jej tego nie powiedział.. Niepodobna opisać, jak bardzo onieśmiało spojrzenie tych zielononiebieskich oczu, ocienionych łukami ciemnych brwi. Minąwszy wartowników, tak jakby ich nie było, wyniosła blondynka weszła do budynku, przez ramię podając swojemu żołnierzowi mufkę z lisów — pospolitych srebrnych, wstyd powiedzieć — z której wyzwoliła dłonie. Mogła podróżować, grzejąc ręce w mufce;

przecież z powodu zimna nie kierowała koniem, wodze trzymał jeden z przybocznych.

Ktoś spiesznie kroczył w dół po zaniedbanych, niewypolerowanych, odartych z kobierca schodach — nie był to dwór książęcy, lecz dziadowski. Od dwóch lat Księciem Przedstawicielem Cesarzowej w Doronie był najstarszy z trzech synów starego imperatora — abdykując na rzecz córki, zmęczony czterdziestoletnim panowaniem władca musiał coś dać także jej braciom, choć wcześniej trzymał ich z dala od państwowych urzędów. Ku zaskoczeniu wszystkich, książę Askar, uważany za lekkoducha, bardzo poważnie potraktował nominację i niemal stawał na głowie, próbując zebrać sprawy prowincji do kupy. Problem w tym, że choć szczerze się starał, to niewiele potrafił, a gdy nawet wpadł na jakiś dobry pomysł, to prawie nic nie mógł zrobić, pozbawiony wojska, floty, pieniędzy, poparcia miejscowych elit, zostawiony sam sobie w zrujnowanym obcym i wrogim kraju, który mocno na wyrost wciąż zwano prowincją cesarstwa... Niemniej, te zaniedbane schody i dziadowski pałac-nie-pałac wystawiały wicekrólowi prowincji bardzo dobre świadectwo. Był bogaty, ale się zrujnował; każdą sztukę srebra przeznaczył na Legię Garyjską, Trybunał Imperialny, przytułki, urzędy, darmowy chleb dla biedaków, słowem sprawy publiczne; dotował je z własnej szkatuły i dla siebie nie miał już nic. Nawet kobierca na schodach.

W zamian zyskał świadomość daremności wszelkich poczynań. Oderwanie Garry i Wysp od imperium było kwestią miesięcy — i nic tego nie mogło zmienić.

Świetna dama w futrze wartym bez mała tyle, co pałac namiestnika cesarzowej, szła na spotkanie z niestarym, ale już zgorzkniałym urzędnikiem, a w ogóle — dezertorem bądź trupem... Było jasne, że powstanie wybuchnie późnym latem, tuż przed jesiennymi sztormami, które od stuleci zawsze tak samo na kilka miesięcy odcinały Garrę i Wyspy od kontynentu. Książę Askar mógł uciec wcześniej — albo nie uciekać i dać głowę pod miecz.

Idący po schodach człowiek był jednym z doradców księcia. Zatrzymał się i powitał przybyłą; bez wątplenia oczekiwano jej tutaj. Odpowiedziała na powitanie, po czym zapytała:

— Czy każdy może tak wejść do tego domu?

Świetny garyjski, którym się posłużyła, skażony był jednak prawie nieuchwytnym, chyba dartańskim, akcentem.

— Wasza godność... Księżę czeka. Nakazano wartom, by wpuściły waszą godność natychmiast.

— Nawet się nie przedstawiłam.

— To... chyba nie było potrzebne.

Zjawił się dziesiątnik Gwardii Garyjskiej, biorąc pod opiekę prywatnych żołnierzy gościa. Na każdym kroku okazywano jej wyjątkowe względy.

— Przed domem zostawiłam konie i czterech ludzi z upominkami dla Księcia Przedstawiciela i członków Rady Wicekrólewskiej.

— Zaraz wydam rozkazy.

Niedługo potem, zapowiedziana księciu, została doń wprowadzona i znalazła się przed obliczem trochę starszego od niej, bardzo przystojnego lecz znużonego człowieka (to nieskrywane znużenie mocno go postarzało i ujmowało urody), który niemal zerwał się z krzesła i ruszył na spotkanie. Armektański obyczaj nakazywał czekać na słowa gospodarza; ten z kolei winien krótką chwilę milczeć, by gość zdążył pokazać, że nieobce są mu dobre maniery. Księżę Przedstawiciel odebrał wychowanie w pierwszym domu Szereru; milczał nie dłużej i nie krócej niż trzeba.

— Witaj, pani. Rad jestem.

— O, tego jeszcze nie wiemy... — odparła zagadkowo, uśmiechając się lekko i kłaniając z taką swobodą, jakby miała na sobie nie ciężkie futro, a suknię. — Wasza królewska wysokość.

Nikt nie odebrał jej okrycia, bo w pałacu było zimno jak w stajni. Księżę nie miał nawet na opał. Ta przerażająca, wyzierająca z każdego kąta nędza była aż... humorystyczna. Czy Przedstawiciel aby jadał codziennie?..

— A jednak jestem rad — powtórzył, dając znak swemu doradcy, który zniknął na chwilę i zaraz wrócił, niosąc wino, pucharki i lekki poczęstunek; wyglądało na to, że służby też nie ma. — Bardzo rad, a ponadto zaskoczony, zdziwiony, przestraszony.

Poprowadziwszy przybyłą do krzesła, Przedstawiciel usiadł na drugim. Prosty i surowy wystrój komnaty był akurat czymś dosyć zwyczajnym — Armektańczycy ostentacyjnie unikali przepychu,

podkreślając w zamian na każdym kroku wojenne tradycje swego kraju. Także i tutaj, oczywiście, przybrano ściany orężem.

Przejawem armektańskiego pojmowania świata było zresztą samo imię Księcia Przedstawiciela. Najpospolitsze armektańskie imię, które koniecznie winien nosić pierworodny panującego. Księżniczka Werena miała szczęście, że na świat przyszła po księciu Askarze, który zadośćuczynił wymogom tradycji, w przeciwnym wypadku musiałaby się nazywać Ajana. W każdym mieście Armektu mieszkał legion Ajan.

— Zaskoczony, zdziwiony... rozumiem. Ale, wasza wysokość: przestraszony?...

Uderzała swoboda, z jaką ta kobieta rozmawiała z jedną z pierwszych osób Szereru. Ktoś taki jak księżę Askar znał wszystkich armektańskich nosicieli wielkich nazwisk, bywał na dworach dartańskich, nieobce mu były elity garyjskie. I nie wiedział, ani nawet nie potrafił zgadnąć, kim jest siedząca przed nim... monarchini. Przed imieniem, którym podpisała list do niego, nie znalazł ani garyjskiego nazwiska, ani używanych na kontynencie monogramów imion rodowych.

— Twój list, pani, niczego nie wyjaśnia, a obiecuje tak wiele, że... gdyby nie jego forma...

— Przecież jako oszustwo nie ma żadnego sensu. Oszust, który niczego nie chce, nic nie proponuje?

— Nie myślałem o oszustwie.

— Ach, rozumiem. Myślałeś, wasza wysokość, że list napisała wariatka.

— Tak — powiedział.

Ujął ją swą otwartością.

— I już zmieniłeś zdanie? — zapytała z właściwym sobie zagadkowym uśmiechem, unosząc królewskie brwi.

— Mam oczy, wasza godność, i umiem z nich korzystać.

Najdelikatniej dał do zrozumienia: „Nie jesteś obłąkana, bo widzę, co masz na sobie, i trudno wątpić, że złotymi monetami możesz wybrukować ulice — tak jak mi napisałaś”.

— Nawet mnie nie znasz, księżę — powiedziała już bez uśmiechu.

— Znam imię. Chyba prawdziwe?

— Owszem, ale niecałe. List właściwie powinnam podpisać: „Kesa-lah'egri, Przyjęta przez Pasma”.

Przez krótką chwilę panowała cisza.

— Co próbujesz mi, pani, powiedzieć? — zapytał z nowym powątpiewaniem; było widać aż nazbyt wyraźnie, że podejrzenie o rozchwianie umysłu rozmówczyni znów go zaczyna nurtować.

— To, że od czasu półlegendarnej Slavy nie było w Szererze Przyjętej. A od dwóch lat jest i właśnie siedzi przed tobą. Wysłuchaj mnie, księżę — powiedziała szybko, widząc, że mężczyzna otwiera usta. — Musiałam powiedzieć kim jestem, bo inaczej byś nie zrozumiał, co mną powoduje. Wkrótce będzie dla ciebie oczywiste, że jestem tą, za którą się podaję, ale na razie wygodniej, byś uznał, że rozmawiasz z wariatką... Czy tak, Wasza królewska wysokość? Przyszła do ciebie obłąkana kobieta, która jednak nie kłamie, gdy mówi, że może mieć tyle pieniędzy, ile zechce. Czy wolno być niespełna rozumu, a zarazem swoim majątkiem służyć Wiecznemu Cesarstwu?

Uniósł brwi i uśmiechnął się, choć uczynił to z niejakim przymusem.

— Chyba wolno.

— W takim razie opowiem ci, księżę, zajmującą historię. Jest bardzo długa, więc pomnę wątki nie mające dla nas znaczenia. Otóż, wasza wysokość, rządząc tą wyspą, na pewno już zauważyłeś, że po otaczających ją morzach pływają nie tylko statki kupieckie, nie tylko żaglowce straży morskiej, ale i okręty pirackie.

— O... — powiedział, jakby nagle zrozumiał wszystko. — Chyba...

— Nie, wasza wysokość. O żenujących i godnych pożałowania pertraktacjach prowadzonych przez garyjskiego wicekróla z morskimi zbójami powiem później — rzekła cierpko. — Teraz opowiadam o czymś innym.

Poróżowiał lekko na policzkach, ale nic nie odrzekł. Było jasne, że ta kobieta wie co mówi.

— Piraci byli na tych morzach zawsze, choć nigdy nie mieli własnego księstwa, a od paru lat je mają, dwie wyspy daleko na Bezmiarach. Jakiś czas temu był między piratami jeden wyjątkowy, tak sławny i groźny, że wszyscy inni uznawali go za swego wodza, a szacunek dla jego żeglarskich i wojennych umiejętności żywili nawet wrogowie. Człowiek ten miał córkę, której nie znał, wychowaną w świetnym garyjskim domu, a po śmierci matki wypędzoną przez rodzinę na ulicę, bo była przecież armektańskim pomiotem z nieprawego łoża;

postąpiono więc z nią bardzo po garyjsku, czy nie tak, wasza wysokość? Kapitan Rapis parał się nielegalnym handlem niewolnikami, a los sprawił, że chwytając ich w jakiejś wiosce, pochwycił także pewną bezdomną dziewczynę... Zbyt późno dowiedział się kim jest jego branka, zmarł na pokładzie swego okrętu, zostawiając córkę pod opieką kogoś, komu ufał, ale to już inna historia. Dla nas znaczenie ma pewien Przedmiot, którego nazwę pisze się wielką literą; Porzucony Przedmiot zdobyty przez kapitana Rapisę podczas jednej z łupieskich wypraw. Rubin Córki Błyskawic, nazwany tak przez Dartańczyków na pamiątkę najmłodszej z legendarnych Cór Szerni, to klejnot zupełnie wyjątkowy, jest bowiem symbolem odrzuconych przez Szerń Ciemnych Pasm... ale o tym za chwilę. Wywiera duży wpływ na osobę, która jest jego właścicielem, a kapitan Rapis długo miał swój Rubin, tak długo, że, przesiąknięty jego mocą, został... chociaż nic o tym nie wiedział... kimś w rodzaju Przyjętego, bo dwa Ciemne Pasma uznały go za swoją część. Nie umarł do końca; po śmierci emanacja jego woli i sił życiowych pozostała na morzach Szereru, wywierając na świat wpływ bardzo niewielki, ale za to ogromny na losy jednej osoby. Niedługo po śmierci kapitana piracki okręt zdobyli cesarscy żołnierze i zabili wszystkich rozbójników, a w ich gronie młodą dziewczynę — choć nie była piratką, to mieli prawo sądzić, że nią jest. Jej ojciec wyszarpnął wówczas z Ciemnych Pasm, które niejako uosabiał, połączone okruchy ich treści — czyli Rubin Córki Błyskawic. Klejnot przekazał swoją moc ciału martwej dziewczyny, zastępując w ten sposób jej utracone życie. Pertraktujesz z tą dziewczyną, wasza wysokość, a właściwie już kobietą, bo chociaż wciąż wygląda na dwadzieścia lat, to ma przynajmniej trzydzieści. Ale za to, niestety, rozum piętnastolatki... Mówimy oczywiście o księżniczce Riolacie Ridarecie, następczyni tronu pirackiego księstwa na Agarach. Otóż, wasza wysokość, Przyjęci nie dadzą ci złota, bo go nie posiadają; dadzą ci w zamian worki, beczki i skrzynie tych Porzuconych Przedmiotów, których właściwości są najbardziej pożądane przez żyjących w Szererze ludzi. Wskutek pewnego... zdarzenia bardzo wiele Przedmiotów postradało swe właściwości, ale niektóre pozostały takie, jakimi były zawsze. Każdy wart jest setki, a nawet tysiące sztuk złota i stale jest na nie ogromny popyt, bo wyniesienie choćby kilku poza granice Romogo-Koor, gdzie mieszkamy i pracujemy, to wydarzenie

wyjątkowo rzadkie. Trudno wyobrazić sobie coś, co łatwiej sprzedać. Kup flotę, księżę, wystaw i uzbrój armię, opłać szpiegów, uczynź zresztą co ci się podoba. I nadal prowadź te wstrętne pertraktacje z agarskimi piratami. To jedyny warunek obłąkanej kobiety, która przemawia w imieniu mądrych, a nawet uczonych ludzi.

Przyjęta zamilkła.

Księżę Przedstawiciel milczał także, bardzo dobrze panując nad twarzą; nie wiadomo było, co myślał. Wreszcie odchrząknął i rzekł:

— Proszę mówić dalej, wasza godność.

— Wasza wysokość, chciałabym z twojego ramienia pertraktować z księżniczką Ridaretą. Moi towarzysze życzą sobie jej śmierci, bo uważają, że nie można się z nią porozumieć w... pewnej sprawie, a jeżeli nawet można, to takie porozumienie niczego nie gwarantuje. Ja mam inne zdanie.

— Nic z tego nie rozumiem.

— Zaraz wszystko wyjaśnię, ale proszę o jakąś deklarację, choćby wstępną. Wasza wysokość, musimy zabić tę dziewczynę, bądź unieszkodliwić ją w jakiś inny sposób. Ale jesteśmy tylko garstką desperatów: kobieta i kilku mężczyzn, a żadne z nas nie jest wojownikiem ani zabójcą. Nie tacy jak my próbowali dobrać się księżniczce do skóry. Może więc prędzej ja dopnę swego, negocjując z nią, niż moi towarzysze, próbując ją zgładzić. Nikt nie będzie mnie łączył z Przyjętymi, przecież żadna kobieta nie została przyjęta przez Szerń... nieprawdaż, wasza wysokość? Postanowiliśmy spróbować wszystkiego, co daje szansę... choćby nawet niewielką... rozwiązania problemu.

— A więc na czym polega ten problem?

— Wasza królewska wysokość — napomniała chłodno, choć niezwykle grzecznie.

— Do niczego się nie zobowiązę. Jeśli nawet założymy, że naprawdę chcę pertraktować z piratami, to te pertraktacje nie mogą być tylko przykrywką dla jakichś... machinacji. Negocjując z kimkolwiek, nawet z piratami, Przedstawiciel Cesarzowej ma tylko jedno słowo.

— Rozumiem.

— Postaram się pomóc, wasza godność — rzekł po chwili namysłu.
— Jeśli nawet nie zgodzę się, pani, na przedstawiony przez ciebie warunek, to postaram się pomóc w inny sposób. A jeżeli takiego sposobu

nie znajdziemy, zapomnę o wszystkim, co mi dzisiaj powiesz.

— O nie, nie zapomnisz, książę... Ale wierzę, że będziesz milczał. No dobrze, wasza wysokość.

Część pierwsza. Księstwo na Bezmiarach

1.

W Aheli, największym porcie i stolicy Agarów, władcy archipelagu mieli aż trzy pałace. W najstarszym z nich jeszcze przed niewielu laty urzędowali sędziowie Trybunału Imperialnego; potem dodano drugi pałac, w portowej twierdzy — stanowił jej część. Trzeci był prywatnym domem, do którego prawie nikt nie miał wstępu; nie załatwiano tam żadnych spraw urzędowych. Tak więc, szumnie zwane pałacami budynki właściwie nimi nie były, niemniej każdą z tych rezydencji urządzono tak świetnie, że nawet rozpieszczona przepychem królowa „Złotego” Dartanu dobrze by się czuła w owych wnętrzach. Agarskie księstwo było bajecznie bogate; jego władcy nie nosili pustych sakiewek.

Bo też bardzo mylił się każdy, kto uważał, że dwie wyspy to wszystko, czym władają agarscy piraci... Agary ciągnęły życiodajne soki z kontynentu. Rozbójnicze okręty wracały ze swych łowów, przywożąc zdobycz, którą następnie sortowano, dzielono, ładowano na pływające pod dartańską, garyjską lub armektańską banderą statki, by wreszcie przemienić w brzęczące złoto za pośrednictwem któregoś z prężnie działających na kontynencie legalnych kupieckich przedsiębiorstw. Ponadto archipelag miał własne bogactwa: w sercu Wielkiej Agary pracowały, zbudowane jeszcze przez Cesarstwo, kopalnie miedzi, u południowych zaś brzegów wyspy znajdowały się najobfitsze łowiska wielorybów, dostarczające tyle tranu i fiszbinu, co wszystkie inne łowiska Szereru razem wzięte. Rybołówstwo także miało się niezgorzej: śledzia i dorsza odławiano więcej niż trzeba, a powiązane z pirackim księstwem przedsiębiorstwo (zakrawało to niemal na kpinę...) dostarczało soloną i wędzoną rybę na okręty Straży Morskiej Garry i Wysp. Agary w ciągu zaledwie kilku lat wyrosły na potęgę handlową — choć z przeznaczonych na sprzedaż towarów tylko część została wytworzona rękami zacnych mieszkańców... Ostatnimi czasy państwo dorobiło się nawet wojennej floty z prawdziwego zdarzenia. Oczywiście, w razie potrzeby załogi kilkudziesięciu okrętów gotowe były bronić

swych wysp, ale te okręty nie mogły zjawić się na zawołanie, w porcie wojennym stanęła więc, obok kilku wysłużonych holców, eskadra trzech nowiutkich karak, którym towarzyszyło kilka mniejszych żaglowców strażniczych, rozpoznawczych i pościgowych. Okręty te nie brały udziału w pirackich rejsach; stale cumowały w Aheli. Także pierwszego dnia wiosny wojenna eskadra Agarów tkwiła w porcie i nagie maszty okrętów były dobrze widoczne z pałacu. Zresztą widać było niemal cały port, a także nabrzeża, składy i wielkie targowisko, na nim zaś ruchliwy, gwarny tłum. Zwykły widok w pogodny dzień.

A jednak tego pięknego wiosennego dnia prawie nic nie było takie jak zwykle.

Patrzący przez pałacowe okno niewysoki mężczyzna wyglądał na lat czterdzieści, choć ocenić to mógł tylko wnikliwy obserwator. Na pierwszy rzut oka bowiem twarz mężczyzny wydawała się stara — była poszarzała z niewyspania, posepna. W głębi komnatki, na przepysznym brązowym kobiercu, dwie młode kobiety o urodzie hodowlanych niewolnic próbowały się bawić z dziećmi, chłopcem i dziewczynką — maluchy mogły mieć siedem i pięć lat. Przypominały mężczyznę przy oknie, a podobieństwo rysów wydawało się tym większe, że zabawa miała z zabawą niewiele wspólnego — spojrzenia dziecięcych oczu były przygaszone, a buzie po prostu smutne.

Przed kilkoma dniami dzieci straciły matkę, mężczyzna zaś żonę. Minionego ranka odbył się pogrzeb. Prosty morski pochówek — bo o taki prosiła w pożegnalnym liście Jej Wysokość Księżna Alida Pani na Agarach. Zawsze bała się morza i żeglugi, źle znosiła pobyt na pokładzie statku, lecz słońną wodę kochał jej mąż i księżna chciała być już zawsze blisko niego.

Była dobrą żoną. Wspaniałą. Księżę Raladan, wieczny obieżyświat, pirat, awanturnik, miał bardzo małe serce; tak małe, że znalazło się w nim miejsce tylko dla dwóch osób: przybranej córki — dziewczyny powierzonej jego opiece przed laty — i ładnej niewysokiej kobietki, którą poznał kiedyś w niezwykłych okolicznościach, a która później wytrwale nań czekała. A potem znowu czekała i czekała; zawsze już czekała na powroty z kolejnych rejsów; potrafiła czekać. Żona marynarza. Dawała... odpoczynek. Była portem, miejscem, do którego się wraca.

W ciasnym sercu wiecznego pirata nie zmieściły się już nawet własne dzieci. Lubił je, przywiązał się do nich i dbał o nie, umiał nawet okazać odrobinę czułości i ciepła — ale na pewno nie kochał.

Otworzyły się drzwi i do komnatki weszła jeszcze jedna urodziwa dziewczyna w kusej białej szatce niewolnicy domu.

— Wasza wysokość, księżniczka właśnie wróciła.

Mężczyzna odwrócił się od okna i skrzywił twarz w gorzko-kpiącym grymasie.

— Dość już mam „jego wysokości”. Samozwańcza księżna, moja żona, miała jakieś polityczne plany i potrzebne jej były tytuły. Ale ja nigdy nie mogłem się przyzwyczaić do tej pompy, słuchałem tych głupstw tylko dla niej. Jednak księżna Alida nie żyje, więc nie ma już „jego wysokości”, dosyć tego.

Siedząca na podłodze dziewczynka rozplakała się i jedna z niewolnic przytuliła ją.

Młoda kobieta przy drzwiach — jak każda dobra służka, spostrzegawcza i wyczulona na wszystko, co podoba się albo nie podoba jej panu — nie wyglądała na zaskoczoną; przeciwnie, już bardzo dawno zauważyła, że małżonek księżnej krzywi się, ilekroć usłyszy „wasza wysokość”.

— Ale w takim razie, jak powinniśmy się zwracać do waszej... — Urwała, lekko przygryzając dolną wargę.

— Wszystko jedno, wymyślcie coś, co będzie odpowiednie dla wodza pirackiej floty. Nie jestem i nigdy nie byłem żadnym księciem, a agarskiego księstwa nie będzie już za parę miesięcy... Gdzie jest księżniczka?

Jakaś bardzo pokrętna logika kazała władcy wyspy negować własny tytuł, a zarazem bez wysiłku nazywać przybraną córkę „księżniczką”. Tyle że do niej tytuł pasował — przynajmniej wtedy, gdy była w Aheli, bo na pokładzie żaglowca nie za bardzo... Urodzona i wychowana w świetnym, obrosłym starymi tradycjami domu, wysławiała się z akcentem i dykcją Garyjki wysokiego rodu, co bywało aż śmieszne w zestawieniu z parszywym językiem żeglarzy.

— Poszła do swoich pokoi.

Raladan wyszedł.

Ridareta — jeśli w ogóle przebywała w twierdzy, co zdarzało się

rzadko — miała do dyspozycji dwie komnatki na samej górze. Raladan wspiał się po stromych, wąskich schodach (bo „pałac” był jednak częścią budowli obronnej, która w każdej chwili mogła zostać powołana do pełnienia takiej właśnie funkcji) i bez żadnej zapowiedzi otworzył małe, okute posrebrzonym żelazem drzwi. Księżniczka jak zwykle siedziała przed zwierciadłem, a raczej aż trzema zwierciadłami, z których dwa boczne były do środkowego mocowane na zawiasach. Podziwianie własnej urody stanowiło jej ulubione zajęcie; nigdy się tym nie nudziła. Jednooka piękność o rysach i kształtach aż... nienaturalnych. Bo rzeczywiście, jej uroda tylko w znikomym stopniu była dziełem natury oraz spadkiem po rodzicach. Agarski książę pamiętał dzień, w którym zobaczył Ridaretę po raz pierwszy: ładną i zgrabną dziewczynę o bujnych włosach i raczej średnich niż obfitych piersiach... Kobieta, którą właśnie oglądał, miała z tamtą niewiele wspólnego. Nie dlatego, że minęło kilkanaście lat...

— O, Raladan — powiedziała do odbicia w lustrze. — Właśnie chciałam do ciebie iść.

— Kazałem się uprzedzić o twoim powrocie.

Podniosła się i, gdy podszedł, objęła go mocno za szyję.

— Brak mi jej — powiedziała, wtulając nos w ramię opiekuna. — Nie mogę się pozbierać od pogrzebu. Myślałam, że jej nie lubię, a tymczasem... była mi potrzebna.

— Otóż to. Była potrzebna wszystkim, każdemu na tych dwóch wyspach. I wszyscy przekonają się wkrótce, jak bardzo.

Czuł się mocno przybity i nie ukrywał tego. Ale płakać chyba po prostu nie potrafił.

Lekko dotknął jej skroni i bezceremonialnie usiadł na rozgrzebanym łóżku. Księżniczka jeszcze nigdy niczego nie sprzątnęła, a nawet nie kazała sprzątnąć służbie, która pod jej nieobecność oczywiście robiła co trzeba — jednak wystarczyło kilka chwil, by Piękna Ridi z powrotem przemieniła swoją sypialnię w śmietnik. Jej zagłowce wyglądały tak samo i Raladan nie mógł tego znieść. Na okrętach dowodzonych przez córkę najzwyczajniej w świecie nie bywał; tylko raz postawił nogę na pokładzie „Zgniłego Trupa”, bo w żaden inny sposób nie mógł wrócić do domu. Wolałby wracać wpław, lecz było za daleko.

— No to, Rido, zostałam księżną.

— Nie ma mowy — odparła bez zastanowienia, jakby spodziewała się podobnych słów. — Po pierwsze, sukcesja przypada Nevinowi.

— Ma sześć lat.

— Siedem.

— No właśnie, ma siedem lat. Jeśliby nawet było tak, jak mówisz... A nie jest, bo od zawsze wiadomo, kto obejmie...

— Tralala. Wiadomo, nie wiadomo.

— Sama chętnie się nazywałaś następczynią tronu.

— Bo to ładnie brzmi — powiedziała. — Jesteś księciem tych wysp, a po tobie twój syn. Potem córka. Ja jestem nieśmiertelna i zdążę.

— Ja też jestem długowieczny, Rido. W każdym razie... nie starzeję się — przypomniał.

— Zabiją cię w jakiejś awanturze. Ja poczekam.

— Świetnie wiesz, że nie będę tutaj siedział i panował.

— To oddaj regencję Bohedowi albo innemu oficerowi z „Delary” — poradziła, na powrót zajmując miejsce przed lustrem, biorąc grzebień i czesząc rozpuszczone włosy. — Albo kucharzowi z pałacu. I tak nie potrafi gotować. Masz tu syna i córkę, a potrzebują cię teraz bardziej niż kiedykolwiek dotąd. Te dzieciaki niczemu nie są winne. Lubię je.

— Niczemu nie są winne i dlatego nie zasługują na stałe przebywanie z ojcem, który ma do nich cierpliwość pod warunkiem, że ogląda je raz na trzy miesiące albo jeszcze rzadziej.

— Trzeba było nie sypiać z Alidą. To nie bocian przynosi dzieci, tyle to nawet ja wiem.

— Zaraz cię uderzę, Rido.

— No to uderz — mruknęła obojętnie, pochylając się ku tafli lustra tak, że niemal dotknęła jej czołem; oglądała z uwagą czubek nosa. — Pierwszy raz? Nie. Ostatni także nie. Lej mnie, gdy zasługuję, a jak nie, to też. Kocham cię, ojczy — oznajmiła, odwracając się i opierając przedramię na oparciu krzesła, podbródek zaś na przedramieniu.

Prawie nigdy tak się do niego nie zwracała. Może trzy razy w życiu.

Znowu obróciła się do lustra.

— Ładna jestem?

— Wiesz, że tak.

— Ale bardzo ładna? Może gdybym miała jasne włosy... Chyba mogę mieć — uznała, dotykając nosa i bardzo leciutko zadzierając go do góry.

Kiwał głową, zapatrzony na ścianę.

— Nikomu nie powiedziała — rzekł po chwili. — Nikomu nie mówiła, że jest chora. Zbudowała tutaj prawdziwe państwo, zbudowała z niczego i trzymała mocno, wszystkiego pilnowała... Nikt tutaj nic bez niej nie potrafi zrobić. Coś chciała osiągnąć, do czegoś zmierzała, ale do czego?...

— Wiesz do czego.

— Raczej tylko wyobrażam sobie. Mgliście.

— Mówiła ci o wszystkich swoich planach.

— Tak, ale ja nigdy nie słuchałem. Chyba że mówiła „zrób to albo tamto”. Teraz zostaliśmy sami i nie wiemy nawet... Nie wiemy nawet, kto ma zająć się dziećmi. Nieudany ojciec czy przybrana siostra? Żadne z nich? A może oboje?

— Ojciec — powiedziała. — Wiesz, że tak będzie, chcesz tylko trochę powierzać. To powierzaj. Ale ja wkrótce wypływam w rejs.

*

Śliczne niewolnice pochowały się gdzieś po kątach. Były upominkiem od wielkiego wojownika, a zarazem dartańskiego bogacza, który nie mógł trzymać ich dłużej, więc odesłał na dalekie Agary, do przyjaciół, którzy kiedyś udzielili mu gościny. W hodowlach takie dziewczyny nazywano niewolnicami pierwszego sortu, potocznie zaś „perełkami” — były to nieoszlifowane lub źle oszlifowane diamenty, nie mogące się równać z najdroższymi hodowlanymi klejnotami. Ale choć nie miały ich blasku, to nie miały też wyraźnych skaz i kosztowały bardzo, bardzo słono. Dość słono, by zjawiać się na każde skinienie, a nawet zmruczenie oczu tego, kto był ich właścicielem.

Jej wysokość Riolata Ridareta nie mogła odnaleźć ani jednej, choć łąziło ich po domu aż siedem.

Obecność księżniczki w pałacu była niczym morowe powietrze — ciężka zaraza, którą trzeba jakoś przeczekać. Niewolnice jej nienawidziły, zaś wolnej służby w pałacach w ogóle by nie było, gdyby Ridi mieszkała w nich stale — nie istniały takie pieniądze, które przyciągnęłyby ludzi do pracy w miejscu powszechnej kaźni. Dla nikogo nie miała nawet cienia dobrego słowa, kochała tylko Raladana, tolerowała dzieci i znosiła — bo musiała — księżnę Alidę. Ponadto — ale to już nie dotyczyło pałaców — bratała się z załogami swych okrętów. Była jędzą, jakiej świat nie widział

wcześniej ani później; na dodatek jędzą pomyloną. Mogła nasmarkać na ścianę i stłuc za to służbę do krwi, a co gorsza — potrafiła dojrzeć zasmarkaną ścianę tam, gdzie wcale ściany nie było, i ukarać kogoś, kto w ogóle z pałacem nie miał nic wspólnego... Raz na jakiś czas — na szczęście dosyć rzadko — mieszały jej się światy, różne zdarzenia, osoby, dni tygodnia. Dwa razy zapomniała kim jest.

Załogi zawijających do Aheli pirackich okrętów miały ją za przeklętnicę, ale niechęć do księżniczki była podszyta podziwem i trwożliwym szacunkiem, bo wyprawiała na wodzie i lądzie rzeczy, które już zdążyły obrosnąć legendą — rozbójnikom-żeglarzom łatwo było zaimponować opowieściami o bitwach, rabunkach i rzeziach. Lecz niebędący piratami najemnicy z holków i karak ahelskich eskadr wojennych Ślepej Ridi po prostu nie znosili i bali się jak potwora z morskich głębin; gdy dla dokonania przeglądu wchodziła na pokłady ich okrętów, nie wiedzieli jak zdjąć klątwę i przebłagać los. Uwielbiała ją tylko jedna załoga, jej własna: dwustu drabów gotowych rozerwać na strzepy każdego, kto by krzywo spojrział na ich „kapitanę”.

Pasowali do niej tak jak ona do nich. Wszyscy razem zaś do okrętu, pływającej trumny, która jakimś cudem trzymała się na wodzie. Był to dobry żaglowiec, prawie nowy, lecz tak zaniedbany i porozbijany, że uchodził za istne dziwo. Było jasne, że poprzecierane sztagi, sflaczałe wanty i paduny prędeż albo później nie sprostają zadaniu, a wówczas maszty pod ciężarem wiatru w żaglach trzasną wszystkie naraz, zwałą się na burtę i wywrócą łajbę stępką do góry.

Bez większej przesady można powiedzieć, że cały świat żeglarski — bo „Zgniły Trup” znany był wszędzie — wyglądał tej chwili nieomal z zapartym tchem.

Wrzaski rozgniewanej księżniczki przywabiły wreszcie do największej z dziennych komnat jedną z dziewczyn, Lasenę, która rządziła pozostałymi — z ważnym tym stanowiskiem łączyły się jednak nie tylko przywileje, lecz jeszcze obowiązki... Z uśmiechem, który nie chciał pasować do oczu zaszczutej lisicy, Lasena stawiała się przed Ślepą Foką Ridi, bo takie było pełne brzmienie wojennego przydomku piratki. Nigdy zresztą go nie używano, w każdym razie nie w jej obecności, albowiem słowo „foka” na Wyspach miało wydźwięk cokolwiek obraźliwy, mniej więcej taki, jak w innych stronach „krowa”. Nie

wiadomo, skąd się wzięło to przezwisko; zresztą Ridi miała kilka jeszcze gorszych, a tylko jedno lepsze, mianowicie: Piękna. Lasena z miejsca dostała po twarzy, po czym niemal zgięła się pod ciężarem worka, który rozgniewana pani wepchnęła jej w ręce. W podobnych workach żeglarze trzymali swoje rzeczy.

— Rozwiąż to! Gdzie są wszystkie pozostałe lenie?

— Jeśli trzeba to... zaraz je znajdę...

— Właściwie nie trzeba. Mam dobrą wiadomość: nie zostaną tutaj, więc kto inny będzie wami rządził.

Wiadomość była naprawdę dobra i niewolnica o mały włos zdradziłaby się z radością.

— Wiem, że Alida była dla was bardzo wyrozumiałą i łagodną panią — ciągnęła księżniczka, siadając w wielkim fotelu i splatając ręce na karku. — Pewnie jej załujecie. No... ja trochę też.

Z rozwiązanego worka, nad którym kucą niewolnica, wyłoniły się suknie — pogniecione, lecz świetne, haftowane złotymi i srebrnymi nićmi, naszywane cekinami i perłami. Zaskoczona dziewczyna spojrzała pytająco.

— Zabierz to i rozdziel między wszystkie. Do jutra spisz, co chcecie mieć. Mogą być błyskotki, stroje... wszystko jedno. Co tylko wam przyjdzie do głowy, a jest do kupienia na tej wyspie. Zamówisz to, a ja zapłacę. To... — Urwała, a po chwili nieoczekiwanie zaczęła się tłumaczyć: — To od waszej pani, od jej wysokości Alidy, a raczej w jej imieniu. Wiem, że ona by chciała podziękować wam za... nie wiem, chyba za wszystko. Była z was zadowolona. Opiekujcie się jej dziećmi; ich ojciec... książę... to tylko mężczyzna. Idź już, Laseno. Już nigdy żadnej z was nie uderzę, bo nie ma nikogo, kto by wam to potem wynagrodził.

Dziewczyna pozbierała suknie i wyszła, z trudem panując nad wzruszeniem. Księżna Alida była dla służby najwspanialszą panią na świecie i nikt jej nie opłakiwał bardziej szczerze.

Komnatę wypełniła szarówka; za oknami zapadał zmierzch. Ridareta posiedziała jeszcze trochę, potem wstała, opierając się ręką o stół... i omal nie upadła, gdy dłoń trafiła w próżnię. No cóż... zdążyła się przyzwyczaić. Tyle lat!... Miała świetny wzrok i jednym okiem widziała równie ostro, jak niegdyś dwójgłosem oczu. Jednak do oceny odległości jedno oko nie wystarczało. Musiała nauczyć się sztuki, która należała do

najprostszyc ludzkich umiejętności — i nauczyła się. Ale czasem jeszcze, zwłaszcza przy zwoicznym świetle zmierzchu albo świtu, potykała się o coś bądź chwytala ręką powietrze.

Potrząsnąwszy sięgającymi poślaków włosami, piękność w aksamitnej zielonej sukni powędrowała do swych komnat, po drodze przywołując skinieniem jedną z domowych niewolnic, która nie zdążyła ukryć się dość szybko.

— Rozsznuruj mnie — poleciała, gdy dotarły na miejsce.

Dziewczyna sięgnęła do wiązań sukni.

— Dziękuję — rzekła po chwili księżniczka. — Suknię możesz zatrzymać. I tak już jest na mnie za ciasna.

Niewolnica, przerażona uprzejmością i łaskawością Foki, uciekła tak prędko jak mogła.

Było już niemal całkiem ciemno. Ślepa Ridi grzebała w kufrze pod ścianą, prawie po omacku odnajdując potrzebne sztuki odzienia. Zagrzechotały błyskotki w dużej drewnianej szkatułce niedbale rzuconej na rozbebeszone łóżko. Odpięła delikatny naszyjnik, w zamian wygrzebując ze szkatułki proste w wykonaniu, ale za to znacznie cięższe precjoza. Gdy jakiś czas potem wychodziła z pałacu, w ogóle już nie przypominała wystrojonej kapryśnicy snującej się po komnatach. Miała na sobie żeglarskie portki, ciemną koszulę i skórzane buty z wysokimi cholewami. Na włosach zawiązała fular, migoczący kosztownymi nićmi. Kręcąc zadkiem, nad którym kołysał się koniec wypływającego spod fulara, grubego jak ramię warkocza, odprowadzana łakomymi spojrzeniami sterczących przed bramą wartowników — bo też miała tyłek, na który można było się gapić bez końca — pomaszerowała prosto ulicą wiodącą do serca miasta. Była umówiona ze swoimi żeglarzami w jednej z knajp.

Pomimo dość późnej pory, na nieźle oświetlonych ulicach Aheli wciąż panował wcale duży ruch. Księżniczka, poznawana przez wszystkich, odprowadzana była zaciekawionymi, ale i niepewnymi spojrzeniami. Mogła zatrzymać się i sypnąć komuś srebrem, zapytać o zdrowie, pomóc w kłopotach — równie dobrze jak przyłożyć w gębę, albo wezwać straż miejską i oskarżyć widzianego pierwszy raz na oczy nieszczęśnika o kradzież albo zamach na życie.

Zaczepiała napotkanych mężczyzn.

— Księżna spoczęła dziś w morzu, idę pić — mówiła. — Chodź się upić ze mną. Nie chcesz? No to nie.

Lecz niektórzy mężczyźni, odważniejsi od innych, głupszy, bądź po prostu żądni wrażeń, lubiący ryzyko (a w stolicy pirackiego księstwa nietrudno było o takich) szli za nią, co sprawiło, że na miejsce dotarł całkiem spory oddział. Wszystkie okoliczne domy, zaślepione okiennicami, wydawały się wymarłe, za to przez szeroko otwarte drzwi i okna tawerny buchał zmieszany z hałasem dym, choć w środku siedziała najwyżej połowa gości. Wystawiono na zewnątrz liczne stoły; możliwe nawet, że na okoliczność niebywałej libacji gospodarz pożyczył sprzęty od innych, przyjaźnie doń nastawionych oberżystów. Teraz podawał jadło, trunki, krzyczał na pomocników, cieszył się i bał. Mógł rankiem świętować najbardziej urodzajną noc w roku, okrzyknięty Czcigodnym Osobistym Oberżystą Jej Książęcej Wysokości Ridarety, albo siedzieć w zdemolowanej ruderze, pobity, objedzony do szczętu i obrabowany. Lecz uważał się za szczęściarza, jako że już wczesnym popołudniem posłyszał od majtka ze „Zgniłego Trupa”, kogo będzie gościł wieczorem, miał więc czas, by poczynić odpowiednie przygotowania. Żonę, córkę i młodszego z synów z miejsca wysłał precz za miasto, a pieniądze — wszystkie jakie miał — bez procentu pożyczył znajomym; dzięki temu nawet z nożem na gardle nie mógł wyznać, gdzie ukrył oszczędności. Uprzedził o wszystkim mieszkańców okolicznych domów, bo dbał o dobre stosunki z sąsiadami. Powiadomił mieszkającego najbliżej medyka i szepnął słówko dowódcy patrolu straży miejskiej, który wprawdzie, słysząc o kogo chodzi, mógł tylko rozłożyć ręce, lecz obiecał zameldować o sprawie swojemu komendantowi.

Krótko mówiąc: do całonocnej zabawy z udziałem załogi „Zgniłego Trupa” miasto było przygotowane bardzo dobrze. Oczywiście majtkowie z tego żaglowca, samotnie albo w grupkach, stale łazili po Aheli, ale wielka biesiada z udziałem samej kapitanicy i całej starszyny okrętu — o, to było zupełnie co innego.

Ślepa Foka Ridi przyjechała wierzchem, dosiadając „na barana” najroślejszego z napotkanych drabów (niewielu wśród nich było ojców rodzin, rzemieślników albo kupców...). Na widok komendantki przy stołach wszczął się ruch, rozbrzmiały ryki, widać jednak było, że ta banda zna mores, wie co to dyscyplina i współdziałanie — zaraz ktoś

zaprowadził porządek, rozbito o ścianę ryj pijakowi, który nie chciał się uspokoić, i wszyscy pospołu jęli rytmicznie grzmocić kubkami w blaty, a kto nie miał kubka, grzmocił trzonkiem noża, miską, pięścią... jeden nawet głową. Postawiona na stole księżniczka z miejsca opróżniła wetknięty w rękę kubek gorzałki, uniosła ramiona i w rytm dudnień zakręciła się w kółko kilka razy, po czym, roześmiana, podskoczyła i z nonszalancką łatwością wywinęła w powietrzu kozła w tył, opadając na równe nogi, tak że omal nie urwały się jej cycki. Wrzaski i owacje rozbrzmiały z nową siłą; dwóch dryblasów niosło długą ławę, na której już siedział piszczący na fujarce muzykant. Przyskoczyło jeszcze trzech innych, zaturkotał bębenek, rozbrzmiał flet, zawtórowała im okaryna i gruchnęła żeglarska pieśń:

Wyłynął okręt w daleki rejs,
Pijmy za... pijmy na... pijmy do dna!
Ale... ale gdzie kapitan jest?
>Poszedł sukinsyn na kurwy.
Zostawił swoich chłopców i już,
Pijmy za... pijmy na... pijmy do dna!
>Rzucił na pastwę wichrów i burz,
Wolał iść dziwkarz na kurwy.
Same sieroty na morzu są,
Pijmy za... pijmy na... pijmy do dna!
A przecież tego co „stary” chcą,
Kto by nie poszedł na kurwy?
Aż nagle na pokładzie ruch,
Pijmy za... pijmy na... pijmy do dna!
I nawet bosman sapnął „uch!”,
Bo co to, do starej kurwy?
Przybiegli wszyscy i gapią się,
Pijmy za... pijmy na... pijmy do dna!
Nie wiedzą, dobrze to czy źle,
Że na okręcie są kurwy?
Bo przecież było chłopców ze stu,
Pijmy za... pijmy na... pijmy do dna!
A ona jedna bidula, uu!...
Oj, marny los takiej kurwy.
Wtem ona kieckę zadarła, eh!
Pijmy za... pijmy na... pijmy do dna!
Chłopcy do tyłu, a ona w śmiech:
„Nie widzieliście kurwy?”.
„Każdemu z was po kolei dam,
Łapcie za... bierzcie na... i aż do dna!
Z żeglarzem zawsze ochotę mam,
Bo ja jestem kurwa nad kurwy!”.

Do portu okręt nie wrócił już, na zawsze przepadł
w Bezmiarze.
Pływa gdzieś w kółko, bo na okrągło rzną
swoją kurwę żeglarze.

Rozradowani biesiadnicy zakończyli piosenkę tubalnym rykiem, gwizdami i ponownym łomotem kubków o stoły. Wspaniała pieśń warta była powtórzenia, więc natychmiast zaintonowano ją raz jeszcze. Na najdłuższym stole dziewczuchy z załogi stworzyły z kompanami przeplatany szereg żeglarz-baba-żeglarz... — połączony ramionami, szereg ten przemieszczał się boczkim od jednego krańca stołu do drugiego, łomocząc brudnymi piętami w rytm, strącając na ziemię naczynia, aż zachwycone dziewczyny z całej siły, przy zgodnym milczeniu męskich gardeł wyśpiewały to, co rzekła swym chłopcom bohaterka piosenki, i nagrodzone zostały nową huczną owacją. Było widać, że w tawernie bawi się świetnie zgrana grupa, nie po raz pierwszy rycząca wspólną pieśń. Ci ludzie wychlali razem kilkaset beczek gorzały, byli więc prawdziwymi braćmi. I siostrami, o ile rzecz jasna jest w zwyczaju posuwać siostry.

Kapitana, tańcząca z chłopcami na drugim stole, wyłamała się z szyku, zeskoczyła na ławę i trafiła w ramiona ryżego brodacza, który natychmiast dał jej wypełniony gorzałką kubek. Wypiła, wrzasnęła ryżemu coś do ucha, pokazała kierunek i została zaniesiona do drzwi tawerny. O ich framugę opierał się trzydziestoparoletni zamyślony mężczyzna, na pozór niebiorący udziału w zabawie — „na pozór” dlatego, że mężczyzną tym był Mevev Cichy, pierwszy oficer „Trupa”, a na jego twarzy zaduma była tym, czym wielka radość na innej. Niewysoki, ale krzepki rudy brodacz uniósł kapitanę wyżej i posadził sobie na ramieniu. Po omacku, ale z wprawą wpinając w przegrodę nosową olbrzymi złoty kolczyk, patrzyła na płasy na stołach. Pochyliła się ku swemu zastępcy.

— Zapłaciłeś?! — wrzasnęła, przekrzykując kubrykową piosnkę o kucharzu, który wpadł do kotła i się ugotował. — No, gospodarzowi?!

Mevev skinął głową.

— Nie narzekał?! Że mało?!

Mevev uniósł otwartą dłoń i pokręcił nią na boki: „tyle o ile”.

— No i dobrze! Płacę z góry, to niech się cieszy! Dzisiaj wszystko ma

być porządnie!

Oficer przytaknął.

— Gdzie jest wino?!

Dla marynarzy było piwo i gorzałka, ale Foka Ridi nie piła byle czego. Chyba żeby czasem.

Mevev pokazał kciukiem za siebie. W głębi gospody, na małym stole w kącie, stały trzy okazałe dzbany; siedząca na ramieniu brodacza komendantka dostrzegła je bez trudu, choć w izbie było pełno ludzi. Przy dzbanach wartowali dwaj majtkowie, rozzaleni na los, przestępujący z nogi na nogę, głodnymi spojrzeniami ogarniający jadło i trunki na stołach, rozpląsanych towarzyszy i rozchełstane dziewczuchy.

Foka uporata się z kolczykiem i rozłożyła ręce, wdzięcząc się do Meveva: „Podziwiał!”. Wielkie kółko dotykało górnej wargi — brakowało tylko łańcucha i kołka w białego w ziemię. Mevev pokiwał głową.

— Nikt się nie dobierał?! No, do wina?!

Mevev wzruszył ramionami.

— Do twojego wina? Głupia jesteś? — zapytał.

— To chodź pić!

Ryczano właśnie refren i zaproszenie utonęło w hałasie, ale Mevev zrozumiał, bo kiwnął głową i powędrował ku dzbanom. Jadąca na brodaczu kapitana wyrznęła czołem w górną część framugi, ale nie spadła, bo wierzchowiec trzymał ją za nogi trochę poniżej kolan, odchyliła się tylko do tyłu, po czym znów wyprostowała i ryknęła na swoich zgromadzonych w izbie chłopców, którzy dopiero teraz dostrzegli przybycie komendantki. Dziki wrzask obwieścił światu, jak bardzo ją kochają. Zerwawszy się z miejsc, żeglarze niemal jednocześnie przechylili kubki, trąbiąc zdrowie dowódczyni. Lecz niespodzianka była dopiero przed nią: znalazłszy się na środku izby, Ślepa Ridi w jednej chwili przemokła na wylot, oblana najlepszym winem z przechylonej nad jej głową beczki. W niskich izbach tawerny zawieszona pod powałą beczka musiałaby zostać zauważona, żart więc udał się tylko dlatego, że nie szcędzący wysiłku marynarze wyrąbali w suficie wielką dziurę i beczkę ustawiono piętro wyżej. Zaskoczona Foka przez chwilę nie mogła złapać tchu, po czym zaczęła drzeć się wniebogłosy, obiecując załodze chleb i wodę, karcer, przeciągnięcie pod kilem, reje przybrane wisielcami i co tylko. Mokry jak i ona rudzielec posadził ją na najbliższym stole,

plaszcząc stopami w płytkim morzu rozlanego wina. Do tawerny cisnęli się biesiadnicy z zewnątrz, zwabieni wybuchem wesołości, przy którym pełnoburtowe salwy „Trupa” brzmiały całkiem niewinnie. Nieskłonny zwykle do chichotów Mevev, który o przygotowanej niespodziance wiedział, podśmiewał się pod nosem, słuchając wyzwisk kapitanu; był spokojny o swoją skórę, bo Ridi znała się na żartach. Potrafiła się gniewać na załogę i naprawdę każdy winowajca wolał z miejsca wyskoczyć za burtę niż poczekać na karę, którą kapitana mu wyznaczy. Ale za żaden dowcip nikogo nie ukarała. Jak to zwykle bywa, jakiś uzdolniony majtek, słuchający obietnic dowódczyni, w mgnieniu oka połączył je ze sobą i już z kąta wypłynęła ponad śmiechy pierwsza zwrotka piosenki, zaczynająca się od słów:

Ja wam wszystkim tak wpierdole, że popamiętacie;

Ja wam zrobię taki dowcip, że nasracie w gacie.

Obdarzony mocnym głosem śpiewak ostentacyjnie i udatnie, a przez to niesłychanie śmiesznie, zaznaczył akcenty, naśladując sposób mówienia „jej wysokości kapitanu”. Słyszając to, wyzymająca warkocz Foka już nie umiała się gniewać. Na głowie rósł jej guz, nabity o framugę, i ktoś troskliwie przyłożył doń zimne żelazo. Parsknęła śmiechem. Wspaniali chłopcy mieli głowy nie od parady; żart żartem, ale byli dobrze przygotowani i zaraz przynieśli suche rzeczy — zresztą jej własne, wykradzione z kufra na okręcie. „Ja wam wszystkim...!” ryczała nowy kuplet uszczęśliwiona załoga. Zapłakana ze śmiechu Ridi zwlokła z siebie przesiąknięty winem przyodziewek, po czym stłukła najbliższych majtków mokrą szmatą po łbach i ramionach, wyzwalając kolejny wybuch entuzjazmu i wywołując wokół siebie niemożliwy ścisk: przecież każdy chciał trochę oberwać! Jej skórzane buty, pociemniałe od wilgoci, posłużyły za wyborne naczynia do picia piwa — wyrywano je sobie z rąk. Nowych nie dostała, ale boso było znacznie wygodniej; w obszernej białej koszuli, wrzeszcząc i piszcząc, Foka Ridi z mokrymi szmatami w rękach skakała ze stołu na stół niczym koza, lejąc swoich piratów. Dwa kubki wypitej gorzałki już zdążyły uderzyć jej do głowy, więc z niemałym trudem próbowała wciągnąć suche portki, skacząc na jednej nodze, chwiejąc się i przewracając na stole ku nieustannemu rozbawieniu załogi — hałas w izbie był nie do wytrzymania. „Ja wam wszystkim...!” wyło pięćdziesiąt gardeł. Lecz oto triumfalnie niesiono oberżystę, czerwonego

na twarzy i przestraszonego. Nieoczekiwanie trafił na kolana pięknej Ridi, która, siedząc na blacie, bez namysłu przygarnęła go mocno, pocałowała w czoło, a następnie tkliwie uraczyła wydobytą spod koszuli piersią. Podtatusiały osesek, ogłupiały, z postawionymi w słup oczami, dał sobie wetknąć do ust wielki sutek i dopiero po chwili zaczął wierzgać, wśród pokładających się i mdlejących ze śmiechu, nieustannie ryczących żeglarzy, z których wielu było tak pijanych, że już nie wiedzieli, co ryczą. Zniecierpliwiona karmicielka dała bobasowi klapsa w tyłek, pogroziła palcem, a następnie zepchnęła z kolan na zalaną winem podłogę, wrzeszcząc: „Idź sobie, mamusia już cię nie kocha!”. Niekochanego niemal stratowano; z najwyższym trudem odpełził pod ścianę. W zamian, z kąta izby, przekazywany z rąk do rąk, właśnie pędził ku mamusi pełen dzban. Następne dwa trafiły w dłonie Meveva i drugiego oficera, wątego lecz bardzo uczonego Dartańczyka o imieniu Sayl (umiał pisać i znał aż trzy języki). Ślepa Ridi zawołała coś i zapiszczała, umiała zaś piszczeć tak przenikliwie, że bolały uszy, a okrętowe działa (jak przysięgali majtkowie ze „Zgniłego Trupa”) mogły same od tego odpalić. Chwiejnie stanęła na stole, uniosła naczynie do ust i zaczęła pić — a pić potrafiła jak nikt, bo umiała dowolnie długo wstrzymać oddech. Śmiechy milkły, robiło się coraz ciszej, ktoś powiedział „gul.. gul..” i w następnej chwili wszyscy równo, dobitnie, w skupieniu powtarzali przy każdym łyku: „gul.. gul.. gul..”.

Wytrąbiła cały dzban do sucha. Ostatni wielki łyk zatrzymała w ustach, powiodła spojrzeniem po zastygłych w podziwie twarzach — i opluła marynarzy winem. To dopiero był pyszny żart!

Rechocząc, rycząc i tratując się nawzajem, wszyscy jęli napełniać kubki i opluwać się piwem bądź gorzałką. Używane w ten sposób trunki skończyły się błyskawicznie; popędzono na zaplecze i do piwnic po następne beczki. Wyleciały z zawiasów drzwi i urwała się kłapa w podłodze; wyleciały też okiennice, bo wypchnięty przez okno pirat kurczowo trzymał się ich skrzydeł, aż oderwał. Runęła piramida beczułek, część roztrzaskała się na podłodze. Ktoś kłął i biadał nad marnotrawstwem, ale inny, przygnieciony do ściany tak, że zaczęły mu trzeszczeć żebra, wściekł się i przeraził nie na żarty, ostatkiem sił wydobył więc nóż i zaczął sobie robić w ścisku miejsce. Chwilę później w piwnicy i wszystkich izbach gospody trwał bój na pięści, noże, klepki z

roztrzaskanych beczek; gryziono się, duszono, obalano i tratowano. Przez okno ktoś rzygał — dostał pięścią w żołądek albo wypił troszeczkę za dużo; wszystko jedno, bo popchnięty, zaraz wypadł na zewnątrz. Poprzewracano stoły, podeptano żarcie przemieszane z napitkami, a wkrótce i krwią pryskającą z rozkwaszonych nosów, rozchlastanych policzków, rozbitych głów i pokłutych brzuchów. Nie wszyscy brali udział w bijatyce, tu i ówdzie jakieś drągale, na ogół potężniejsze od kamratów, zaczęły ryczeć: „Garda! Garda!”. Zwoływała się przyboczna gwardia kapitana, właśnie Garda, sroga straż okrętowa. Ci rzeźnicy mieli największy udział w łupach, największe przywileje — ale za to nie pili nigdy, gdy piła reszta załogi i zawsze przynajmniej połowa z nich musiała mieć oko na wszystko. Kto tam nie pasował — wylatywał. Lecz nie z Gardy, a zwyczajnie za burtę. Otoczona wianuszkami osiłek, rozbawiona Foka została wyprowadzona przed gospodę; nie obyło się przy tym bez puknięcia pałkami kilku łbów, bo ci z zewnątrz parli do środka, chcąc koniecznie oberwać — a i dać — po mordzie.

— Zostaw — powiedziała do dowódcy gwardzistów, widząc, że chłopisko pokazuje swoim, by wracali. — Przyszli się zabawić, tak czy nie? Nikt nie złamał żadnego rozkazu, niech się trochę wyszumią. Lepiej tutaj niż na okręcie.

— A powiesz, kapitana, kiedy wejść?

— Nie wiem. Kiedy zobaczysz, że są trupy. Tylko nie wpuszczaj ich tam więcej, bo nie będę sama tutaj sterczeć! Siku mi się chce.

Garda zagroziła dostęp do drzwi — właściwie niepotrzebnie, bo pragnący włączyć się do bójki żeglarze od razu zawrócili, widząc kapitanę zmierzającą do jednego z wystawionych stołów. Każdy wiedział, że u jej boku będzie lepsza zabawa niż z ponurakami, którzy rozwalali od środka tawernę.

Ktoś sprytny i nie w ciemną bitwę uznał tam właśnie, że przechyli szalę bitwy na swą korzyść, podpalając dach. Płomień wystrzelił od razu jasno i wysoko, widać zbierał siły w ukryciu, przytłumiony, i nagle znalazł dość żeru.

— O, a to co? Chyba przesadzili — powiedziała rozzłoszczona Ridi do Meveva i znów popatrzyła na ogień. — O zesz... Garda!

Nagle pojawiła się straż miejska — i nie tylko straż, bo za zbrojnymi pacholkami zamajaczyły w głębi ulicy granatowe tuniki regularnych

żołnierzy. Prawo do użycia tych oddziałów miało kilka osób na wyspie. Kiedyś cztery osoby, teraz tylko trzy: naczelny dowódca wojsk regularnych Heren Ahagaden — który jednak z wydanych rozkazów musiał się wytłumaczyć — ponadto księżniczka Ridareta i Raladan.

— Wasza wysokość — powiedział zdumionej księżniczce miejski strażnik w pełnym rynsztunku, a był to we własnej osobie komendant Straży Ahelskiej — mam rozkaz natychmiast to przerwać... tę biesiadę. Tu jest pismo.

Płomień na dachu skoczył wyżej i miejski wojak wcisnął w dłoń księżniczki zgnieciony dokument, po czym skoczył ku swoim, wyrzaskując jakieś rozkazy dotyczące tłumienia pożaru. Za plecami miejskich pachółków i wokół wojskowego oddziału pełno już było lamentujących gapiów. Zbiegowisko rośnie.

Oniemiała Ridi rozwinęła pogniezione pismo. Wymieszane z gorzałą wino próbowało czytać razem z nią, więc kręciła głową, usiłując uspokoić roztańczone litery. Bardzo zwięzłe, marynarskim językiem, napisano co następuje:

Odeślij swoich na okręt i w tej chwili wracaj do pałacu, bo ci urwę ten pusty łeb. Raladan

Imię naskrobano ledwie czytelnie i z wyraźnym mozołem; poprzedzające je polecenie napisała jakaś inna ręka. Książę Raladan od biedy umiał czytać, lecz bardzo kiepsko radził sobie z pisanem.

— Ale... o co ten hałas?... — wymamrotała z osłupieniem, wodząc spojrzeniem po twarzach swoich nic nie rozumiejących oficerów. — O jedną głupią ruderę? A skąd on w ogóle wiedział?...

Jej zdumienie było zasadne o tyle, że Raladan przymykał oko na daleko huczniejsze zabawy. Nigdy nie widział niczego, co robiła jego córeczka. Taki list mogła... kiedyś, jeszcze niedawno... przysłać Alida. Ale on?

*

Już nie pamiętała, kiedy ostatnio widziała Raladana tak rozgniewanego, i czy w ogóle widziała. Ze strachu wytrzeźwiała — niestety, tylko na chwilę. Na jej widok pokazał niewolnicy, z którą właśnie rozmawiał, że ma wyjść, po czym ruszył ku chwiejącej się na nogach księżniczce, jakby chciał ją wypchnąć z komnaty.

— Ktoś doniósł strażnikom miejskim, strażnicy swojemu dowódcy,

a on miał tyle rozumu, że przybiegł prosto do mnie — powiedział, zanim się odezwała. — I tylko spróbuj się na nim zemścić... Odesłałaś tę bandę na okręt?

— Tych co mogłam, ale... Pozostałych pozwoliłam usko... uspokoić i odprowadzić, ajla... ale ja nie wiem, czy poszli... Co się stało? Mmm... niedobrze mi.

Na odlew wyrznął ją w pijany głupi łeb.

— Pochowałem dzisiaj żonę — powiedział równie niewyraźnie jak ona, chociaż niczego nie pił. — Całe miasto... obie wyspy, całe Agary słyszysz? Mamy tutaj coś... mamy coś w rodzaju żałoby. Nikomu tego nie narzuciłem. Tępi rybacy i marne mieszcuchy, wszyscy pomyśleli, żeby jakoś ją uczcić. Księżnę, panią, która dobrze rządziła tymi wyspami. Nikt się nie bawi, nikt nie śpiewa... Tylko mądra księżniczka Ridi i jej zbiry. — Pchnął ją tak, że ledwie ustała na nogach; pomogła w tym ściana za plecami. — Nie mogłem uwierzyć, kiedy usłyszałem. Nigdy nie miałaś dość rozumu i zostanie tak po wiek wieków... Wynoś się do swojej nory i siedź w swoim barłogu tak długo, aż wytrzeźwiejesz; wtedy przyjdę z tobą pomówić. Dzisiaj wszystko już powiedziałem, a teraz jazda mi stąd.

Tu nie było mowy o jakimkolwiek „ale”.

Odkleiła się od ściany, pociągnęła nosem, zagryzła wargi i wyszła, z trudem trafiając w drzwi. Odepchnęła niewolnicę, która chciała ją poprowadzić.

Udało jej się zwymiotować dopiero we własnym łóżku. Zadowolona, że wszystko doniosła, zepchnęła na podłogę śmierdzącą poduszkę i zasnęła.

2.

W nocy doszło do niebłahych zamieszek. Ślepa Foka Ridi odesłała na okręt tę część załogi, która bawiła się przed tawerną; majtków ze środka wyprowadzić mieli jej przyboczni siepacze. Nie wyprowadzili. Czas naglił, straż miejska rzuciła się do gaszenia, bo ogień w każdej chwili mógł przeskoczyć na sąsiednie domy. Tłukącym się między sobą zbirom tego właśnie było trzeba: prawdziwego wroga! Zgraja wyległa na zewnątrz i rzuciła się na pachotków, którym z miejsca przyszli w sukurs żołnierze. Świetnie uzbrojona i wyszkolona piechota w mgnieniu oka

poradziła sobie z zaskoczoną bandą pijanych nożowników — tyle tylko, że wojsko wiedziało, z kim ma do czynienia... Majtków z jakiegoś pirackiego okrętu trochę by pobito, najwyżej poraniono i obezwładniono; lecz szubieniczników z „Trupa” na wyścigi pomordowano i trudno uwierzyć, że komendant Ahagaden, mający z Ridaretą swoje porachunki, nie dał na to cichego przyzwolenia. W każdym razie, dowodzący żołnierzami oficer nie został wydalony ze służby ani ukarany w żaden inny sposób. Ridi pod tawerną straciła tej nocy jedenastu ludzi, a cztery razy tyle jęczało w dziobówce, liżąc rany, jakich na pewno by nie było po bójce na pięści i noże.

Miasto zaś straciło kilka portowych zabudowań. Oficerowie i gwardziści Gardy zostali przy płonącej tawernie; niedowodzeni, wysłani na okręt pijacy dowiedzieli się tylko: tłuką naszych! Biegając z odsieczą, spotkali uciekinierów i usłyszeli od nich: „Już po wszystkim!”.

No to, zrywając cumy, rozwalili z dział „Trupa” kapitanat portu, jakieś przedstawicielstwo handlowe i dwa składy.

„Zgniłego Trupa” rozwalili żołnierze z karak eskadry agarskiej. Rano wrak ze strzaskanymi masztami, podruzgotanymi kasztelami i wyszczerbionym nadburciem na nowo cumował u nabrzeża, będąc pływającym lazaretem. Zostali na nim, pod silną wojskową strażą, tylko ciężko ranni. Ci, co mogli biegać, uciekli. Szukano ich po całej wyspie.

Meveva Cichego, kilku siepaczy z Gardy i kilkudziesięciu innych majtków zawleczono spod tawerny prosto do twierdzy więziennej, gdzie siedzieli w dybach i łańcuchach. Już pytał o nich kat.

Wszystko to pijana księżniczka przespała.

Było piękne, wiosenne przedpołudnie. Jej wysokość obudziła się z suchym, boleśnie przygryzionym, wytkniętym z ust językiem i warkoczem posklejanym zakrzepłą rzygowiną. Miała zapchany nos, ale nie mogła w nim podłubać, bo przeszkadzało wielkie krowie kółko. O wypięciu go na razie nie było mowy.

Spoglądając przez okno w jasnoblękitne niebo, Ridi przypomniała sobie nieudaną wieczorną zabawę i reprimendę Raladana. Myślała, myślała i myślała — a nie była to zajęcie, do którego przywykła.

— Nabroiłam — powiedziała wreszcie z chrypką. — Chyba zasłużyłam.

Pękała jej głowa. W ustach miała kwaśno, gorzko, ohydnie.

Gdy przyszedł Raladan, wyglądała już jako tako i czuła się znośnie. W każdym razie nie umierała. Siedząc w łóżku, popatrzyła nań wzrokiem zbitego psa. Usiadł naprzeciwko, na kufrze, w którym trzymała żeglarskie szmaty. Oparł głowę o ścianę i nie odzywał się.

— No... wiem — powiedziała. — Nie musisz...

— Zamknij się, Rido. Myślę.

Zamilkła.

— W nocy była wojna. Nieduża, ale jak na wojnę jednodniową, to dość krwawa. Na lądzie i na morzu. Potem ci wszystko opowiem. Ridareto, dlaczego Przyjęci chcą cię zabić? Wiesz?

Nie zrozumiała.

— Dlaczego... że co?...

— Pogadałem sobie z twoją załogą, połowa siedzi w dybach. Od słowa do słowa, dowiedziałem się, że nie mają ostatnio szczęścia. Teraz wtłukli im żołnierze Ahagadena, wcześniej ktoś inny... Ktoś cię szukał zimą, zdaje się? W Dranie, tak?

— A, tak... — przypomniała sobie. — Jakiś pomyleniec.

— Pomyleniec, którego nie ima się żelazo?

— Pewnie miał jakiś Przedmiot. Można teraz kupić tego ile chceć. Nie wiem, skąd nawieźli tych świństw.

— Skąd nawieźli, to akurat wiadomo... Ciekawe raczej: kto. Jaki Przedmiot, Rido? Jakież to Przedmiot sprawia, że człowiek zmienia się w ruchomy kamienny posąg?

— Pewnie jakiś jest.

Raladan, w odróżnieniu od córki, potrafił używać rozumu. W każdym razie nie napawało go to wstrętem.

— Nie ma. Całymi latami mieszkał tu z nami Przyjęty, w trzy i pół roku zbudował nam twierdzę i o niczym innym nie gadał, tylko o Szerni, Pasmach, Porzuconych Przedmiotach... Wymienił chyba wszystkie jakie są. Zapomniał tylko o takim, który czyni odpornym na rany?

— Raladan, o czym ty mówisz? Ja chcę najpierw wiedzieć, jaka wojna była tej nocy. Dlaczego moi są w dybach?

Przypatrywał się jej w milczeniu.

— Jak się czujesz?

— Źle. A jak mam się czuć? Raladan, o co ci chodzi? Ja... słuchaj, przecież wiesz, że nie zjadłam wszystkich rozumów... — powiedziała

rozbrajająco. — Powiedz mi po prostu o co chodzi, bo sama nie zgadnę.

— Przecież mówię tak prosto, jak potrafię. To ty próbujesz zgadywać, ja chcę tylko zwyczajnych odpowiedzi. Jak się czujesz, Rido? Boli cię głowa i wiadomo od czego; dobrze. A poza tym? Wszedłem tutaj i poczułaś się gorzej?

Patrzyła nań pytającym wzrokiem.

— Chyba tak — powiedziała. — Ale to...

— Ze strachu?

— Mhm — przyznała. — Ja chyba się ciebie trochę...

— Nie wygaduj głupstw. Pomyśl. Krzyczę na ciebie od jakichś siedemnastu lat, a leję od dziesięciu... Boisz się mnie, no dobrze, ale tak jak dziś?

— Nie — przyznała. — Ja... chcę uciekać. Albo... albo rzucić się na ciebie, ale wiesz jak. Tak... ze strachu, uprzedzić. Żebyś nic mi nie zrobił, żadnej krzywdy.

— Coś ci pokażę — powiedział. — Ale nie wiem, co się wydarzy. To COŚ co siedzi w tobie... czy w razie czego możesz to złapać za łeb?

— Rubin? Jakbym nie mogła, to paliłoby się wszystko dookoła, a nikt w zasięgu mojego wzroku nie chodziłby żywy — powiedziała z przesadą, ale nie taką znów wielką. — Co mi chcesz pokazać?

— Właściwie nie tobie, tylko jej.

— Jej?... To znaczy Rubinowi, Riolacie?

— Tak, Rido. Uważaj.

Sięgnąwszy w zanadrze, mężczyzna wy dobył opalizujący kulisty przedmiot wielkości pięści dziecka i pokazał na otwartej dłoni.

Jedyna źrenica siedzącej na łóżku dziewczyny zabłysła jaskrawą czerwienią... i przygasła.

— Wyjdź z tym, Raladan — powoli i wyraźnie rzekła Ridareta, siedząc zupełnie nieruchomo, niczym w obliczu zmii, którą do ataku sprowokować może nawet drgnięcie powieki. — Rozwalę ten pokój albo siebie... Zatrzymałam... ale tylko na chwilę. Stało się.

Raladan bez namysłu skoczył do drzwi.

Komnata za jego plecami wybuchła. Riolata, królowa Rubinów, nieomal dotknęła Kuli Ferenu: zwiniętej Jasnej Smugi. Z takich Smug wykuta była tarcza, która od tysiącleci wytrzymywała ciosy dwóch odrzuconych Pasm Szerni.

Osmalone i dymiące kawałki sprzętów walały się po całym pokoju. Tliła się pościel na zarwanym łożku. Poparzona Ridareta z upalonym warkoczem siedziała z głową opartą o ścianę. Raladan umościł tyłek na podłodze w miejscu, gdzie przed chwilą stała wielka skrzynia, i patrzył, jak ustępuje rumień z twarzy siedzącej przed nim kobiety. Najgorsze, śmiertelne dla każdego rany goiły się na niej bez śladu w dwa dni. Lekkie oparzenia znikwały po prostu w oczach. Włosy w ciągu tygodnia potrafiły jej urosnąć długie na łokieć lub półtora.

— Cała jesteś?

— Tak... Ale mów głośno, bo słabo słyszę. Zaraz przejdzie.

— Przysłano ci to — powiedział.

— Przysłano?...

— Przyszedł jakiś człowiek. Z wyglądu pomocnik kupca... pacholek, albo ktoś taki. Prosił, by przekazać jej wysokości zamówioną zabawkę z masy perłowej. Niewolnica nie wiedziała co to jest, ale była pewna, że nie masa perłowa. Przyszła do mnie zapytać, czy może ci to zanieść. Tamenath sto razy opowiadał mi o Kuli Ferenu, a ja pytałem go o wszystko wciąż od nowa. Dlatego wiedziałem, że mogę ci to pokazać, ale nie możesz dotknąć.

— Mogę.

— I dotknęłabyś. Włożono tę „zabawkę” do bursztynowej skrzyneczki, zawinięto w aksamitną szmatkę... Ktoś bardzo się starał, żeby wpadła ci prosto w ręce.

— No tak, a wtedy ona albo ja. Właściwie ona albo Riolata... ale to na jedno wychodzi... — dodała z wysiłkiem.

W milczeniu pokiwał głową.

— Opowiedz mi o wszystkim — zażądał. — Może już czas na to? Błądzą po omacku, a powinienem o tobie wiedzieć tyle co ty. Szerń, Pasma, Smugi... Wszyscy coś o tym słyszeli i nic nie rozumieją. Nikt nie wie, czym właściwie są Rubiny, Kule Ferenu... Wiesz, kto wie? Tylko Przyjęci. Bo nas dwojga nie liczę; my to co innego. Teraz myśl. W Dranie szuka cię na twoim własnym okręcie ktoś niesamowity. W Aheli dostajesz kosztujący masę złota podarek, który wyleci w powietrze jak prochownia, jeśli tylko go weźmiesz do ręki... W całym wielkim Szererze, ilu ludzi wie, że tak się stanie? Myślisz, Rido?

— Nie myślę — powiedziała, ale nie dosłyszał.

— No to powiedz: kto za tym stoi? — pytał dalej. — Bo ja chyba wiem. Tylko nie znajduję powodu. Co takiego zrobiłaś Przyjętym?

Uniósł wzrok. Kaszlnęła krwią i powoli osunęła się wzdłuż ściany, spoczawszy na boku. Wstał z podłogi.

A jednak nie wszystko było z nią w porządku.

— Powiedziałaś, że nic ci nie jest.

— Nic nie czułam, więc tak myślałam... Ale mam popękane flaki, wciąż nie słyszę na jedno ucho... i teraz boli mnie wszystko, nawet kiedy patrzę — powiedziała. — Leci mi krew... no, tam niżej. Zostaw mnie do wieczora, a potem porozmawiamy. — Kaszlnęła znowu, razem z krwią wykrztuszając na brodę jakiś strzępek materii.

Skinął głową. Powinien był już przywyknąć... ale nie. Nie przywykł.

Umiał jednak zachować spokój.

— Przysłać ci coś? Albo kogoś?

— Tak, dużo wody... Ciepłej.

Tamenath kłamał albo o czymś nie wiedział — bo nie mówił, że wydarzy się coś podobnego. Raladan wyszedł z poczuciem, że pokazując Kulę Rubinowi, zachował się jak skończony głupiec.

*

Jacyś ludzie prosili o posłuchanie i książę udzielił pierwszej w życiu oficjalnej audiencji. Wprowadzono kilku mieszczan. Była to delegacja mieszkańców Aheli, poszkodowanych w trakcie nocnych zamieszek, a na jej czele posiniaczony, szczerze zrozpaczony oberżysta. Wysłuchawszy skarg, Raladan powściągnął westchnienie i odesłał nieszczęśników do ratusza.

— Wyznaczą tam urzędnika, który pójdzie z wami i oszacuje straty, wtedy z powrotem przyjdziecie tutaj po odszkodowanie. Pięć sztuk złota wypłacić natychmiast z mojej kasy — polecił przybocznemu pisarzowi, wskazując oberżystę, który ucierpiał najbardziej. — To oprócz odszkodowania. Za sińce, które zebrałeś.

Mieszczanie wyszli, dziękując z widoczną ulgą i radością. Po śmierci księżnej wcale nie było oczywiste, jaki obrót przybiorą sprawy. Jednak wszystko zostało po staremu.

Alida nie pozwalała, by jakiegokolwiek słuszne roszczenia pozostały niezaspokojone. Było jasne, że ucisk i niesprawiedliwość doprowadzą w krótkim czasie do upadku księstwa. Bez oparcia w rzemiośle,

rybołówstwie, handlu, bez rąk do pracy w porcie i kopalniach, Agary nie mogły utrzymać niezależności; gdyby zaczęli stąd uciekać mieszkańcy, to port na bezludnej wyspie do niczego by się nie przydał. Na szczęście, dzięki porządkom księżnej Alidy, Agarczycy wiedzieli, że nawet księżniczka Ridareta nie na wszystko może sobie pozwolić — a jeśli już sobie pozwoli, to wolno domagać się sprawiedliwości. Raladan postąpił tak, jak postąpiłaby jego zmarła żona, bo zawsze ufał jej rozumowi. Był rad, że tym razem obyło się bez przypadkowych trupów; takie krzywdy najtrudniej było wynagrodzić. Na jednej z karak zginęli trzej żołnierze, ale żołnierze... to co innego. Płacono im za wojaczkę i związane z wojaczką ryzyko.

Załatwiwszy sprawy urzędowe, władca wyspy poszedł do portu, bo chciał obejrzeć skutki nocnej kanonady. Doniesiono mu, jak mają się sprawy, ale ufał tylko własnym oczom.

Księżna Alida była widywana przez pospólstwo rzadko i z daleka — najlepiej znały ją żony żeglarzy, wychodzące czasem na wysoki klif, gdy u progu jesieni oczekiwano rychłego powrotu okrętów. Księżna też była żoną żeglarza... Księżniczkę Ridaretę, odwrotnie, znali wszyscy, Raladana zaś — wielu. Lubił czasem zajrzeć do tawerny, pogadać ze skutnikami, dopilnować tego czy tamtego. Spokojny, rozsądny, ważący słowa mężczyzna, nie wyglądał na najlepszego pilota-szypra Szereru, znającego wszystkie cieśniny, mielizny i skały podwodne — a już wcale nie wyglądał na pirata. Pozdrawiany przez przechodniów na ulicach, Raladan dotarł do portu, przebił się przez targowisko, mimo protestów otrzymując po drodze bułkę od handlarza bułkami i smażoną rybę od handlarza rybami — obaj kupcy ani słyszeć chcieli o zapłacie. Jedząc rybę i zagryzając bułką, potrącany przez przechodniów Raladan pogapił się na składzik z zarwanym dachem, potem na rozwaloną ścianę kapitanatu portu, pokiwał głową i powędrował dalej. Wieści były, jak zwykle, trochę przesadzone; książę-żeglarz spodziewał się tego, bo znał zarówno liczbę dział „Zgniłego Trupa”, jak i ich możliwości. Trzeba było sporo się nastrzelać, albo mieć dużo szczęścia, by całkowicie rozwalić budynek.

Lecz żaglowiec jego córeczki wyglądał naprawdę źle.

Nowe karaki eskadry agarskiej zostały zbudowane z myślą o znacznie większym ciężarze salwy burtowej, niż to zwykle bywało. Działa prochowe, stawiane najpierw na kasztelach okrętów nie

projektowanych z myślą o czymś takim, były niezbyt liczne. Lecz trzy pływające baterie Raladana miały na kasztelach i w furtach burtowych najsilniejsze i najcięższe uzbrojenie ze wszystkiego, co kiedykolwiek widziano na morzach Szereru. Trzy pełnoburtowe salwy — bo Raladan wątpił, by ładowano działa i strzelano więcej niż raz — nie naruszyły kadłuba, lecz poza tym kompletnie zdemolowały „Trupa” — z rufowego kasztelu pozostało bardzo niewiele, zwalone były wszystkie trzy maszty, ponadto przetrącony został ster — wisiał na jednym zawiasie. Wielka gromada ludzi szarpała się właśnie z siecią pozrywanych i splątanych lin, rąbała maszty i reje, próbując oczyścić dostęp do nabrzeża, bo cały ten śmietnik pływał po powierzchni wody bądź wystawał z niej, uczepiony pokaleczonego kadłuba. Za pomocą prowizorycznego żurawia wyciągano na nabrzeże część kolumny masztu. Rozległy się krzyki: to odkryto, oplątane linami, ciało jakiegoś marynarza, który wpadł do wody i utonął, szamocząc się rozpaczliwie w szczątkach zniszczonego takielunku.

Raladan miał tego dosyć. Pozwalał na wiele, ale wszystkie pirackie hordy razem wzięte, wszyscy pijacy i awanturnicy do kupy, wszystkie rzezimieszki z Aheli nie przysparzały Agarom takich szkód, jak banda jego córeczki. Przed dekadą spokojni mieszkańcy Agarów pogodzili się z ustanowieniem na ich wyspach pirackiego księstwa, bo nie mieli innego wyjścia. Sprawy jakoś się ułożyły: pirackie załogi miały port, wokół którego wyrosły liczne nowe tawerny i burdele, w mieście majtkowie przepuszczali srebro, czasem trochę pohłasowali, ale w gruncie rzeczy uznali ahelczyków za „swoich” i do burd dochodziło nie częściej niż w każdym innym portowym mieście. Lecz załoga „Zgniłego Trupa” traktowała stolicę Agarów jak zdobytą po ciężkim oblężeniu twierdzę, a wszystko w tej twierdzy uważała za należny łup. To nie po raz pierwszy wsparta przez wojsko straż miejska przybywała Aheli z odsieczą. Ratowano już gwałcone we własnych domach kobiety, wyrywano z łap pijanych drabów katowanych dla zabawy mężczyzn, odbierano złupione mienie. Teraz podpalili tawernę — a nie był to pierwszy pożar wzniecony przez chłopców ślicznej Ridi — i strzelali z dział do zabudowań. Co dalej? Nałapią na ulicach niewolników, upchną w ładowni i popłyną sprzedać? Zaopatrzą się w nową broń, mordując śpiących w koszarach żołnierzy? A może zdobędą stojący w porcie statek i utworzą eskadrę, bo na „Trupie” już ledwie się mieścili? Co i rusz

przygarniali jakiegoś odciętego od stryczka szubrawca i mnożyli się na potęgę. Piraci? Piraci nie brali się znikąd; piratami stawali się zwykli żeglarze, podle traktowani na pokładach kupieckich statków, karmieni zepsutym mięsem i sypiający pod dziurawymi, zbutwiałymi pledami, zbierający kije za byle przewinienie. Czasem uciekali, kiedy indziej buntowała się cała załoga. Przystawali do morskich zbójów, bo wszystko, co potrafili, to było pływanie na żaglowcach — gdy nie mogli tego robić zgodnie z prawem, robili prawo wbrew. Ale na „Zgniłym Trupie” nie było bodaj jednego takiego „pirata z przypadku”. Sami popaprańcy, mordercy, podpalacze... I dziwki, z którymi strach było pójść, bo ciągnęła się za nimi mroczna sława złodziejek i skrytobójczyń. Poderżnięte gardło to było trochę drogo za jedną nockę z wywłoką. Już pał sześć ukradzioną sakiewkę.

W Raladanie na nowo wezbrał gniew. Wezwał dziesiątnika, dowodzącego strażą na żaglowcu (pod pokładem, pamiętał, pełno było rannych).

— Pióro, inkaust... no, przybory do pisania — powiedział. — I kogoś, kto umie pisać.

— Tak, panie! — służbiście odrzekł dziesiątnik świetnie znający Raladana, bo żołnierze to nie byli przechodnie z ulic Aheli i wszyscy z bliska oglądali księcia, choćby podczas pełnienia służby w twierdzy.

Raladan z trudem przedostał się do luku i zlazł pod pokład. W dziobówce śmierdziało jak w jatce — zwykły zapach lazaretu po bitwie. Tu i ówdzie zawieszono kilka latarni. Widok był taki jak zapach, a od jęków i stękań mogły rozboleć uszy. Stary pirat miał twarde serce, lecz potrafił współczuć nieszczęsnej żeglarskiej doli. Jednak nie tym razem.

— Pałac zawsze płacił za wasze zabawy, wynagradzał wyrządzone krzywdy i mogliście robić co wam się podobało — powiedział. — Oprócz jednej jedynej rzeczy: strzelania z dział do swoich. To było wasze miasto, wasz port i wasze schronienie. Były nimi, bo już nie są i nie będą. Ustanowiono tutaj pewne prawa i dotyczą każdego. Wieczorem zostaniecie powieszani.

Jęki przybrały na sile, rozległy się wycia i błagania. Półprzytomni z bólu i upływu krwi majtkowie potrafili jednak poznać swego wodza — i ogłoszony przezeń wyrok wywołał powszechne przerażenie. Raladan w ogóle nie umiał żartować i nigdy nie rzucał słów na wiatr. Gdyby

przyszedł ktokolwiek inny i jął straszyć ich szubienicą, usłyszałby przekleństwa, szyderstwa i pogróżki.

Mając za plecami wzbierającą falę skowytów i próśb o litość, Raladan wrócił na pokład i odnalazł dziesiętnika, któremu towarzyszył jakiś przywleczony z komendantury portu urzędnik.

— Pisz — polecił. — „Wszyscy członkowie załogi „Zgniłego Trupa” mają być bezzwłocznie straceni na głównym rynku miasta”. Daj, podpiszę. A ty poślij to komendantowi Ahagadenowi. I każ powiedzieć ode mnie, że do wieczora chcę widzieć przed ratuszem sto szubienic. Należyście obciążonych, ma się rozumieć.

Szamoczący się z resztkami takielunku ludzie przerwali pracę, bo wydawać się mogło, że sam kadłub zniszczonego okrętu wyje i żebrze o litość.

Głuchy i nieczuły Raladan wrócił do pałacu. Miarka się przebrała; nie obchodziło go nawet, jak przyjmie jego decyzję Ridareta.

Ridareta tymczasem już trochę doszła do siebie. Po pokoju krzątała się wystraszona niewolnica, która najpierw pomagała księżniczce umyć się i doprowadzić do porządku, a teraz próbowała zaprowadzić jako taki ład. Dzwoniły odłamki potłuczonych luster, wrzucane do drewnianego kubełka.

Ridi, przerażająca i odstręczająca bez opaski na wybitym oku, leżała w łóżku, okryta resztkami popalonej pościeli i dygotała z zimna tak, że było słyhać, jak szcękają jej zęby. Wszystkie te dokonywane przez nią „cuda”, wprawiające widzów w podziw lub przerażenie, słono kosztowały. Płaciła dziurami w pamięci, atakami zimna, czasem długotrwałym odrętwieniem, a najczęściej niewyobrażalnym bólem. Tkwiąca w niej tajemnicza RZECZ, chociaż życiodajna, miała swoje kaprysy; bywało, że domagała się właśnie bólu, stanowiącego chyba coś w rodzaju pożywienia. Walka z tym nie miała sensu. Po wielu latach obcowania z Rubinem Ridareta wiedziała już, jakiej bitwy na pewno nie wygra, a kiedy może liczyć na sukces. Posłusznie więc dręczyła własne ciało na najwymyślniejsze sposoby, odnajdując w pożądanym przez Riolatę bólu zarówno mękę, jak i rozkosz. Ale teraz to był zwykły ból — Rubin nie żywił się nim i nie dawał niczego w nagrodę. Przemiął, ustępując miejsca znużeniu i uczuciu zimna. Mogło to trwać do północy, albo i do rana.

Wyglądało jednak na to, że nie. Powoli wracało czucie w lodowato zimnych dłoniach i stopach, wkrótce mogła już nie dzwonić zębami. Dreszcze, coraz rzadsze i słabsze, z wolna ustępowały.

— Moja suknia... ta zielona, haftowana w róże... — powiedziała.

— Wasza wysokość dała mi ją wczoraj — odpowiedziała niewolnica.

— Tak? No to dzisiaj zabieram. Chcę ją mieć z powrotem, przynieś mi.

Niewolnica wyszła bez słowa i wróciła po pewnym czasie.

— Co to jest? — zapytała księżniczka.

Już jej nie było zimno.

— Ja... chciałam jak najszybciej ją włożyć. Przerobiłam już trochę, skróciłam... Jestem niższa od waszej wysokości.

Ridareta zaniemówiła.

— Na podłogę — powiedziała po chwili. — Na kolana. Ręce na ścianę.

Niewolnica rozpłakała się. Księżniczka wylazła z łóżka, wyszukała wśród różnych szczątków poręcz rozwalonego krzesła, zważyła ją w dłoni i zaczęła tłuc kłęczącą dziewczynę gdzie popadło, a była silna prawie jak mężczyzna. Płacz i zwierzęce skowyty umilkły dopiero wtedy, gdy zadane z boku uderzenie złamało kość policzkową. Ridi wyrzuciła okrwawioną poręcz i kopnęła leżącą dziewczynę w pęknięte zebra. Pod rozbitą głową rosła czerwona kałuża. Księżniczka wysapała się, wydyszała, splunęła na niewolnicę i wróciła na łóżko. Usiadła z plecami opartymi o ścianę, przyciągnęła do piersi kolana i objęła je ramionami. Fuknięciem odrzuciła pukiel włosów, który spadł jej na widzące oko; jakimś cudem włosy po bokach i z przodu prawie nie ucierpiały, najbardziej spalił się warkocz. Po rozpleceniu niewolnica przystrzygła i wyrównała włosy — sięgały teraz niewiele za ramiona. Było wygodniej, ale Ridi nie lubiła krótkich włosów. Znowu zlazła z łóżka, wyszukała w kubelku duży odłamek lustra i wróciła na poprzednie miejsce.

Ktoś zapukał do drzwi.

— Tak?

— Wasza wysokość... to ja, Lasena. Czy coś się stało? Usłyszałam...

— Tak, wejdz i posprzątaj. I przynieś mi jakieś lustro.

Odrzucony ze złością odłamek do reszty rozbił się o ścianę.

Przełożona niewolnic weszła i krzyknęła, zakrywając z przerażenia

usta. Upuściła na podłogę jakieś trzymane w ręku pismo i przyklęła przy półprzytomnej dziewczynie, charkotliwie oddychającej przez zalane krwią gardło. Zaszlochała, zerwała się i wybiegła, wykrzykując po kolei kilka imion. Ridareta przechyliła się na łóżku, podniosła upuszczony rulonik, przeczytała co tam było napisane i kiwnęła głową. Niedługo potem w komnatce pojawiły się wezwane przez Lasenę niewolnice. Jak najostrożniej dźwignęły z ziemi towarzyszkę i poniosły ku drzwiom.

— Rozsądnie — powiedziała Ridareta, znacząco unosząc zgubione przez Lasenę pismo. — Każ to wszystko zamówić jeszcze dziś.

Pierwsza niewolnica domu wzięła rulon i przedarła jednym krótkim ruchem.

— Dziękuję, pani, ale żadna z nas niczego od waszej wysokości nie przyjmie — powiedziała zdławionym głosem i wyszła, nie prosząc o pozwolenie.

— Lustro! — wrzasnęła rozgniewana Ridareta. — Gdzie jest moje lustro?! Kazałam przynieść, tak?! Czy nie?!

Wkrótce miała w komnacie nowe lustro, takie samo jak to rozbite. Przyniesiono także krzesło, mogła więc przed nim siedzieć. Rozburzyła włosy, z każdej strony głowy ujęła w palce dużą kiść i popatrzyła badawczo. Związała wysoko dwie kitki, pokręciła głową. Zakołysały się. Figlarnie. Ładnie, dziewczęco. Znalazła swoją opaskę i przewięzała wybite oko. Przeszła do drugiego pokoju. Drzwi, wgniecione w futrynę, trzeba było szarpnąć, żeby się otworzyły. W niezliczonych kufrach i szafach krył się istny ocean sukni, spódnic, koszul, kaftaników, obuwia i wszystkiego, czego kobieta może chcieć. Właśnie ocean — bo kolejno wyrzucane na podłogę utworzyły pomarszczoną na podobieństwo fal stubarwną powierzchnię; księżniczka brodziła w szatach, biorąc je do ręki, oglądając, odkładając przymierzając... Trwało to aż do wieczora.

Ktoś mógłby parsknąć śmiechem, widząc ją wychodzącą z powrotem do zdemolowanej komnatki — jak na takie wielkie przymierzanie, nic nadzwyczajnego nie wymyśliła. Wyglądała tak jak dnia poprzedniego, tylko zamiast żeglarskich hajdawerów miała ciemną spódnicę o mieszczańskim kroju — bo krótką, do połowy łydki — a na palcach bosych stóp niezliczone pierścionki, ocienione brzękiem pozapinanych na kostkach łańcuszków i bransolet. Przystanęła i krzyknęła cicho, zaskoczona widokiem wysokiego, przystojnego

mężczyzny w kolczudze i granatowej wojskowej narzucie, który nie roześmiał się na widok jej stroju — zamiast tego przyłożył palec do ust.

— Ahagaden? — zapytała, nie kryjąc niechęci i zdumienia. — Co chcesz? Znowu w pysk? Co w ogóle tutaj...

— Zamilknij, wasza wysokość — powiedział takim tonem, jakim czasem zwracał się do niej Raladan. — Nic nie chcę, nie ma mnie tutaj. Idź na rynek.

— Co mam?...

— Idź na rynek — powtórzył z naciskiem. — Już. Nim będzie za późno.

*

Gorliwy i uradowany dziesiętnik z portu, sycąc duszę dziejącą się sprawiedliwością, ani chwili nie zwlekał z posłaniem doniosłego w treści pisma swojemu komendantowi, ten zaś spieszył się jeszcze bardziej. Raladan ledwie wrócił z miasta, a już miał gościa: zdziwił się, ujrawszy w drzwiach komnaty czterdziestoparoletniego, ogorzałego mężczyznę, który najwyraźniej jeszcze przed chwilą biegł, bo był spocony i zdyszany. Niewolnica nie zdążyła go zapowiedzieć ani wprowadzić; zostawił ją za plecami — teraz bezradnie i przepraszająco rozkładała ręce. Raladan odprawił ją machnięciem dłoni. Z komendantem znali się od lat; Heren Ahagaden dowodził najemnikami podczas minionego powstania. Z Garry zabrała go Alida, uciekająca przed zemstą zdradzonych rebeliantów. Znakomity żołnierz i świetny dowódca. Najemnik z krwi i kości, a zresztą z dziada pradziada.

— Co tu robisz? Aż tak ci spieszo posłać ich na stryczek?

Ahagaden stale miał na pieńku z Ridaretą. Z wielu różnych powodów, ale najbardziej chyba dlatego, że nigdy nie dał się uwieść. Znienawidziła go za to i gdyby z jakiegoś powodu został zwolniony ze służby, następnego dnia już by nie żył.

— Spieszno mi, ale nie do tego... Co mi przysłałeś?

— Uwolnienie od kłopotów. Twój żołnierz już nie będą musieli uganiać się za...

— Płacą im za to, żeby się uganiał — przerwał Ahagaden. — Więc to rzeczywiście jest twój podpis?

Raladan zdziwił się.

— Nie podoba ci się ten rozkaz?

Ahagaden wyciągał rękę z pogniecionym dokumentem.

— Czy nie podoba mi się rozkaz stracenia stu pięćdziesięciu ludzi?

— Aż tylu zostało?

— Co najmniej. Na wraku, w lochach i nie wiadomo gdzie jeszcze, moi ciągle ich wyłapują.

— To postawisz więcej szubienic.

— Nie postawię ani jednej szubienicy — twardo rzekł Ahagaden. — Zresztą... jedną mogę postawić. Dla przykładu. Ale nie sto pięćdziesiąt.

— Gdyby nie twoje karaki i twoi żołnierze, spałbyś dzisiaj na pogorzeliisku. Puściliby z dymem całe miasto. Znam tych... no, przecież nie powiem „żeglarzy”. Ty ich nie znasz?

— I co z tego?

Raladan rozsiadł się na krześle.

— To z tego — powiedział — że na tej wyspie wzniesiono twierdzę, wystawiono armię i flotę, a wszystko po to, by nikt nie spalił Aheli. Nie spalą jej także ci, którzy powinni bronić. Doegrali się. Nie umiem rządzić, robię tylko to, co zrobiłaby na moim miejscu Alida.

— Mylisz się.

— Zawsze chciała posłać ich na dno razem z tą przekłętą łajbą.

— Na dno to co innego. Jeśli znajdziesz lont dosyć długi, żeby tlił się przez cały dzień, zanim dojdzie do beczek w ich prochowni, to sam go podpalę, nim wypłyną w kolejny rejs. Oczywiście pod komendą swojej „kapitany”.

— Nie znam się na takich żartach, więc uważaj — powiedział Raladan.

— Uważam. Jej wysokość Alida puknęłaby cię w głowę, gdybyś przy niej wydał taki rozkaz. — Ahagaden jeszcze raz uniósł trzymane w ręku pismo. — Ja cię puknąć nie mogę, chociaż ręka mnie świerzbi, więc tylko ostrzegam jak przyjaciel: nie wiesz co robisz, Raladanie. Poczekaj, daj mi skończyć... Mieszczuchy muszą czuć, że ktoś się za nimi ujmie, wynagrodzi krzywdę i obroni w potrzebie. Ale ci, co tu przyplływają, to ludzie, których powinienes trochę znać. To pirackie księstwo — Ahagaden dziobnął palcem blat stołu — i bez piratów nie ma niczego: ani floty, ani zysków... Niczego. Jeśli się okaże, że za głupi pijacki wybryk, niechby nawet krwawy, nowy władca Agarów wieszca całą załogę żaglowca, to nie porządzisz długo. Stracisz Agary... albo raczej Agary

stracą złego władcę, Raladan.

— Gdyby twoi żołnierze zrobili coś takiego jak tamci...

— To powiesiłbym dwóch albo trzech, ale nie cały garnizon! — zawołał Ahagaden, ze złością rzucając pismo na stół. — Skąd wziąłbym nowych żołnierzy po czymś takim?! Kto by do mnie przyszedł służyć w wojsku?!

— Mam tylko jedno słowo i raz podejmuję decyzję — oświadczył Raladan. — Powiedziałem tej zgrai: będziecie wisieć. I będą. Masz rację, znam takich ludzi. Gdy zmienia się dowódca okrętu, zaraz dochodzi do jakiegoś wybryku, bo wszyscy chcą wiedzieć, na co teraz można sobie pozwolić i czy nowy kapitan jest silny. Taki, który puści to płazem, już nigdy nie da sobie rady. Zaprowadzę porządek po swojemu i taka noc jak miniona nie powtórzy się. Zapamiętaj co powiedziałem.

— Chcesz tu mieć, na łądzie, taką dyscyplinę, jak na pokładzie żaglowca?

— Chcę i będę ją miał.

— I wszyscy mają wisieć?

— Łącznie z oficerami.

— Ale bez dowodzącej okrętem?

— Ty też się zaraz doigrasz, Ahagaden... Nie znam się na żartach, już ci powiedziałem. Ridareta była tutaj, kiedy tłukli z dział.

— A gdzie była, kiedy zaczął się pożar?

— Wystarczy tego dobrego — rzekł Raladan, wstając. — Tu leży rozkaz na piśmie, upuściłeś go, zdaje się... No to podnieś i wykonaj, albo znajdę komendanta, który go wykona.

Ahagaden pokiwał głową.

— Może chociaż poczekaj z tym do jutra. Przemyśl.

— Podnosisz czy nie podnosisz?

— Podnoszę, wasza wysokość — rzekł komendant.

Zabrał dokument ze stołu, obrócił się na pięcie i wyszedł.

Zarządził co trzeba i przez resztę dnia czekał na posłańca z rozkazem odwołującym egzekucję. Nie doczekał się i pod wieczór raz jeszcze pobiegł do warowni. Zakradł się tam niczym złodziej.

Mieszczanin zawsze wie wszystko. Ludzie wyciągający z wody resztki takielunku „Trupa” mieli uszy. Niosący pismo Raladana dziesiętnik oprócz uszu miał jeszcze oczy, podobnie jak urzędnik, który pisał rozkaz. Wszyscy ci ludzie mieli rodziny, przyjaciół i znajomych... Do wieczora całe miasto wiedziało, co wydarzy się na głównym placu; jedyną osobą w Aheli, która nic na ten temat nie słyszała, była księżniczka Riola Ridareta.

Riola — bo przeklętego (a w istocie mającego moc Formuły) imienia Riolata prawie nikt nie mógł bezkarnie wymawiać, zostało więc bezpiecznie skrócone. Dość powszechnie znano jego pełne brzmienie, ale wśród przesądnych ludów wyspiarskich rzadko trafiał się taki bohater, który gotów był na własnej skórze sprawdzić prawdziwość ponurej legendy. Wszystkie zresztą podjęte próby nieodmiennie kończyły się atakiem duszności, a bywało, że ciężkim omdleniem; człowiek o słabym sercu gotów był skonać od tego. Bezpiecznie powiedzieć „Riolata” mógł tymczasem każdy, kto wiedział, że jest to imię Królowej Rubinów — wiedza o tym negowała moc Formuły. Tyle tylko, że prawdę o Przedmiocie, którego moc nosiła w sobie piękna Ridi, znało kilka, a może kilkanaście osób w całym Szererze...

Lecz biegnąca w stronę rynku, potem zaś desperacko przeciskająca się przez tłumy Ridareta zapomniała tego wieczoru, że jest na poły człowiekiem, a na poły Porzuconym Przedmiotem. Była tylko przerażoną dziewczyną, ze wszystkich sił próbującą zapobiec nieuniknionemu.

Panowała już młoda noc; płonęły niezliczone pochodnie. Nikt nie mógł w ciągu jednego dnia ustawić na placu stu szubienic. Dzień, tydzień czy miesiąc... Nie pomieściłyby się. Za zwartym kordonem żołnierzy — a była tam niemal połowa regularnego wojska Agarów, pół tysiąca żołnierzy w pełnym rynsztunku wojennym — wyrastał las słupów, a właściwie belek, do których przywiązano marynarzy: miano ich podusić na modłę garyjską, skręcanymi od tyłu sznurami, opasującymi razem pal i szyję. Kilkunastu ciężko rannych skazańców było nieprzytomnych; bezwładnie zwisali przy swych belkach. Wszystkich obnażono od pasa w górę, widać więc było rany na niejednej piersi bądź boku, odniesione minionej nocy. Ta krew jednak nie wzbudzała litości; przeciwnie — przypominała pospółstwu, w jakiej bitwie została przelana. Tych ludzi poranili żołnierze w granatowych tunikach z czerwonym kręgiem na

piersi, żołnierze broniący ludności przed napadem rozszalałej, żądnej mordy tłuszczy. Powiadano, że kule z dział ognistych „Zgniłego Trupa” obróciły w perzynę cały port; ci, co w porcie byli i widzieli, przysięgali, że taka jest prawda. W samym mieście zginęło ponoć pięćdziesięciu mieszczan, w tym kobiety i dzieci — te ostatnie piraci rozdierali, chwytając za ręce albo nogi. Spłonęło wiele domów w południowej, północnej, wschodniej lub zachodniej ćwiartce miasta — zależało to od tego, w którym miejscu dzielono się nowiną (zgliszcza zawsze były gdzie indziej...) — przecież wszyscy w nocy widzieli łunę. Wychwalano sprawiedliwość i surowość księcia, który postanowił nie cackać się z obwiesiami.

Prawda była taka, że ziemia odetchnęłaby z ulgą, nie nosząc na sobie tych ludzi; chłopcy Ślepej Ridi po stokroć zasłużyli na stryczek. Ale — trzeba trafu — nie akurat za to, co zrobili minionej nocy. Może kilku, lecz nie wszyscy.

Dla oficerów i paru innych znamienitych członków załogi — trafił się wśród nich bosman, ale także, z jakichś powodów, drugi pomocnik cieśli — wzniesiono prawdziwe szubienice, z podwyższeniem, dzięki któremu było ich dobrze widać. Wyróżniał się tam Mevev Cichy, którego zakazana gęba prosiła się o wyrok bez sądu — tak też się i stało, bo sądy nie sądziły nikogo złapanego na gorącym uczynku, to już była tylko sprawa kata, odczytującego z listy przestępstw i zbrodni właściwą dla danego czynu karę. Wymierzano ją. Zdyszana, chrypiąca z wysiłku Ridareta precyzyjnie się do kordonu żołnierzy, gdy miejski herold ogłaszał właśnie karę odpowiednią do popełnionej zbrodni. Potężny głos obwoływacza uspokoił tłum, lecz w zamian dało się słyszeć stękania rannych złoczyńców, z których wielu wprost nie mogło się doczekać miażdżącego krtań sznura; połamane w nocy nogi i ręce, a czasem tylko ich omotane szmatami kikuty — bo żołnierze mieli bardzo dobre ostrza... — przywiązane do belek, przysparzały cierpień na miarę izby tortur. Ten i ów, ze zwieszoną głową i cieknącą z ust śliną spozierał na własne bebechy, wyłażące spod brudnego, przesiąkniętego krwią, już niepotrzebnego opatrunku.

Oszołomiona widokiem tej nędzy, ogłuszona potężnym głosem herolda Ridareta oburącz trzymała się za głowę, wydając jakieś nieartykułowane dźwięki: ni to głuche wycie stłumione w zarodku, ni to

stękanie albo płacz... Wszystko, co umiała, wszystko, co mogła zrobić, sprawić... zarządzić albo wyblagać... było tutaj na nic wobec braku czasu; wobec nieprzebranych tłumów mieszczan; wobec karnego wojska stojącego z włóczniami i tarczami; wobec kata i kilku katowskich pomocników, którzy właśnie zmierzali ku słupom. Obwoływacz huknął w tarczę gongu, którego głos oznajmiał zwykle, że odczytywane będą wieści. Ale teraz zapowiadał rozpoczęcie kaźni. Mocne ręce katów ujęły drewniane kołki i jeły je obracać, skręcając grube liny. Pośród wrzawy tłumy, przywiązani do belek mężczyźni zaczęli rzucać się w więzach i wyginać ciała tak jak tylko było to możliwe, z wywalonymi na brody językami i oczami wychodzącymi z orbit. Lecz, jak zwykle, największą ciekawość wzbudzała duszona kobieta, jedna z okrętowych wszetecznic, ohydna nawet w chwili zgonu, bo smrodliwie robiła pod siebie, gdy jej towarzysze tylko krztusili się i charczeli. Zwiśła bezwładnie jako pierwsza; zaraz po niej ducha wyzionęło dwóch majtków, potem jeszcze jeden... i ostatni. Kat i pomocnicy postąpili dalej, zagrzewani rykiem ahelskiego tłumy.

Coś w rodzaju ognistego bicza chlasnęło ciemne niebo, na którym blask pochodni przyćmił gwiazdy. Postrzępiona czerwona nić, trzeszcząc, paliła się nad rynkiem; zgasła po długiej chwili. Ahelczycy do znudzenia napatrzyli się na różne cuda; przecież warownię wokół portu zbudował im Przyjęty i niemal w każdej rodzinie był ktoś, kto biegał po placu budowy z kielnią w jednej, a Porzuconym Przedmiotem w drugiej garści. Ale to było dawno. Zdumiewające zjawisko na niebie uciszyło tłum. Jakaś krztusząca się płaczem kobieta zaczęła wołać:

— Wygnanie!... Łaska wygnania!...

Po czym powtórzyła jeszcze kilkakrotnie:

— Łaski!... Wyspiarze, łaski...

W tłumie, w kordonie żołnierzy, a nawet na podwyższeniu, gdzie stał herold i ojcowie miasta, wszczęło się poruszenie. Narastało. Rozglądano się, szukając tej, która odwołała się do starego, bardzo starego prawa, rzadko stosowanego, bardziej będącego zresztą obyczajem, tradycją niżli prawem.

— Kto prosi?! — zawołano.

Księżniczka Riola Ridereta nosiła bujne włosy do bioder, czasem warkocz — nie od razu więc poznano, kim jest piersiasta dziewczyna z

niedługimi włosami zebranymi w dwa śmieszne „kucyki”. Dojrzano opaskę na oku. Dzwoniąc srebrem na kostkach bosych stóp, wspięła się na podwyższenie i zgodnie z wymogiem tradycji uklękała... a raczej tylko usiadła na podwiniętych nogach. Oddychając z wysiłkiem, półprzytomnym spojrzeniem ogarniała tłum, żołnierzy, czcigodnych starców z Rady Miasta i nieszczęśników przy palach.

— Łaski dla nich — wykrztusiła przez ściśnięte gardło.

Obyczaj różnił się trochę w szczegółach, w zależności od archipelagu, lecz na ogół wyglądało to tak, że nie będący skazańcem ani krewnym skazańca członek społeczności miał prawo wstawić się za nim, prosząc o zamianę kary śmierci na dożywotnie wygnanie. Prośbę swą jednak popierał zgodą na dzielenie losu z wygnańcem, zaręczając w ten sposób, że powstrzyma ułaskawionego przed powrotem. Odtąd ani skazany, ani jego wybawca nie mieli wstępu na rodzinną wyspę, każdy zaś człowiek, który ich zobaczył na zakazanej ziemi, miał prawo zatłuc jak parszywe psy. Stary obyczaj — lecz było zupełnie jasne, że nie da się go rozciągnąć na półtorej setki morderców. Można by w ten sposób uwalniać całe armie, w trakcie działań wojennych wzięte do niewoli! Surowi ojcowie miasta poznali już, kto prosi o łaskę, lecz kłopot był przez to tym większy... Gdyby jakaś kobieta z tłumy wybrała jednego z obwiesiów... zakochana w nim, zadurzona... Ale następczyni książęcego tronu (wszystko jedno, jak jej nie znoszono...) nie mogła zabrać z Agarów półtorej setki ludzi i zniknąć sobie z nimi raz na zawsze. Wyspami władał — krótko, ale twardo, jak widać — przybrany ojciec tej panny, gotów uprzejmie zapytać ojców miasta, co skłoniło ich do wypędzenia jego córki, która miała przecież prawo do krótkiej chwili słabości.

— Niemożliwe — rzekł najdostojniejszy ze starców i odkaszlnął. — Wasza wysokość prosi o rzecz niemożliwą. To... ta prośba jest niezgodna z obyczajem.

Tłum czekał w ciszy. Nawet skazańcy tłumili jęki — oprócz kilku półprzytomnych, którzy nie wiedzieli gdzie są ani co się z nimi dzieje.

— Nie, wasza wysokość — powiedziano raz jeszcze. — To obyczaj dotyczący jednego skazańca, taki człowiek może zostać stracony albo skazany na banicję. Ale nikt i nic nie powstrzyma tych ludzi... tylu ludzi, przed powrotem na Agary, jeśli zechcą tu wrócić. I to wrócić zbrojno. Nie, pani. Wyrok musi zostać wykonany.

Ridareta uniosła głowę i zawołała co sił w płucach:

— Raladan! RA-LA-DAAN!

— Jestem, nie krzycz — powiedział.

Zsunąwszy z głowy kaptur płaszcz, wyszedł z tłumu i wspiął się na podwyższenie. W dzień, gdy przemierzał ulice, pozdrawiano go jak szacownego mieszkańca miasta, częstowano rybą na targu... Ale teraz odbywało się coś niezwykłego, niezmiernie doniosłego. I wszyscy — tłum, miejscy urzędnicy, nawet kaci — skłonili się przed władcą księstwa — szafarzem życia tylu ludzi. Żołnierze uderzyli włóczniami w tarcze, salutując.

Raladan pochylił się tak, że niemal dotknął czołem uniesionego czoła dziewczyny.

— Co wyprawiasz? — zapytał cicho.

Wolno kręcąc głową, odpowiedziała jeszcze ciszej, z bezbrzeżną goryczą i niedowierzaniem:

— Ja?...

Po policzku spłynęła ciężka kropla.

Raladan wyprostował się, popatrzył na tłumy, na skazańców przy słupach i silny, nieruchomy szyk żołnierzy. Patrzył i patrzył.

Mocny i zdecydowany głos, po którym wielu łatwo poznało komendanta Ahagadena, rozbrzmiał gdzieś ze środka szpaleru:

— Dowódca dzieli los podkomendnych!

W tłumie zrodził się szmer.

— Wasza wysokość! — zawołał Ahagaden, po czym dodał jeszcze, żeby nikt nie miał wątpliwości, do kogo się zwraca: — Księżniczko!

Wysunął się przed szereg, zabrał żołnierzowi włócznię i tarczę, by następnie głośno zderzyć jedno z drugim. Powtórzył salut i po krótkiej chwili pięciuset uzbrojonych po zęby piechurów z hukiem oddawało honory dowódczyni, która chciała być ze swoimi żołnierzami. Wojsko, nienawidzące zgrai ze „Zgniłego Trupa” bardziej niż ktokolwiek inny w tym mieście, popierało prośbę Ślepej Foki Ridi. Najpierw niepewnie, potem coraz silniej wsparli ich mieszczanie, zgodnie z rytmem salutu klaszcząc w dłonie. Na pstrym koniu jeździła łaska tłumu...

W gruncie rzeczy ci przy palach nikogo nie zabili...

Jakieś działo pewnie wystrzeliło samo...

Zaproszono ogień w knajpie; to się zdarza...

Trzeba uratować tych żeglarzy.

Tłum huczał. Prosił, nalegał.

Raladan odwrócił się ku starcom z Rady Miasta. Zebrani do kupy, mogli mieć tysiąc lat. Pokręcił głową i milczał jeszcze przez chwilę.

— Ułaskawić — powiedział wbrew gestowi. — Wygnanie zamiast śmierci.

Odwrócił się, zszedł z podwyższenia w rozstępujący się tłum i podążył prosto do pałacu, nie spojrzawszy na Ridarecę.

*

Ułaskawionych odprowadzono bądź odniesiono na „Zgniłego Trupa”; mieli tam siedzieć w więzach i pod strażą tak długo, aż zostanie postanowione, w jaki sposób będą wydalenii z wyspy. Oficerom i wszystkim kobietom z załogi pozostawiono ograniczoną swobodę: nie wiązano ich, by umożliwić opiekę nad rannymi. Rannych także nie skrupowano — nie było takiej potrzeby.

W dziobówce zakwaterowali się żołnierze. Załogę umieszczono w okrętowej ładowni.

Ridi była ze swoimi chłopcami.

Na pokładzie Mevev Cichy polazł między szczątki rufowego kasztelu, gdzie mieściła się kiedyś komórka szumnie zwaną kajutą kapitańską. Podejrzliwie obserwowany przez wartowników Ahagadena, grzebał wśród szczątków i hałasował, wreszcie wrócił do ładowni, niosąc jakieś szmaty, które w świetle nielicznych latarń pozawieszanych w ładowni okazały się żeglarskimi hajdawerami i płócienną koszulą. Były to rzeczy dowódczyni.

Szukała samotności. Siedziała osobno, w najciemniejszym kącie, przytulona do wręgi.

— Zdejmij to z siebie, kapitana — rzekł, wskazując spódnicę i koszulę, które miała na sobie.

Popatrzyła zdziwiona.

— Zdejmij.

— Oszalałeś? Po co?

— Zdejmij.

Wzruszyła ramionami i westchnęła.

— Chcesz mnie teraz posunąć?... Bo już nie wiem.

— Potrzebne mi twoje rzeczy.

— A to co przyniosłeś nie wystarczy?

Oficer zadumał się. Problem musiał być naprawdę niebłahy.

— Właściwie... no, może i tak. Co za różnica. Podrę to.

— A drzyj — pozwoliła z całkowitą obojętnością.

Mevev, pomagając sobie zębami, oddarł od rękawa przyniesionej koszuli wąski pasek płótna i starannie zawiązał na nadgarstku.

— Nie odwiążę tego, aż zdechnę — rzekł głośno, a przy tym tak uroczyście, jak chyba nigdy w życiu, po czym rzucił koszulę drugiemu oficerowi. — Możesz, kapitana, zapomnieć gęby swoich marynarzy, ale człowiek z taką szmatą na ręce odkroi sobie nożem mięso z własnej nogi, upiecze i nakarmi cię, kiedy będziesz głodna. Żebym tak... żebym zdechł, jeśli tego nie dotrzymam.

Możliwe, że Cichy przez całe życie nie wygłosił podobnego przemówienia.

Okrętowe dziewczuchy zostawiły rannych, pochwyciły koszulę i portki kapitany, po czym jęły drzeć je na pasy, zawiązując szmatki na włosach albo nadgarstkach. Pośród narastającego pod pokładem gwaru zostały zmuszone do przybrania w podobny sposób wszystkich skrępowanych i rannych towarzyszy; nikt nie chciał czekać, każdy musiał mieć swój strzęp natychmiast. Nawet oficerowie pochylali się nad majtkami, szukając miejsc, gdzie można by zawiązać to, co później zwano Kokardami Ridi — przeszkadzały rany i więzy. Wzruszona kapitana gotowa była się rozpłakać, co jej łatwo przychodziło tego dnia, lecz w zamian parsknęła śmiechem, gdy doszło do bójki o najpiękniejszy strzęp. Pod pokład zeszło kilku żołnierzy, zaalarmowanych gwarem; zaraz poszli, ujrzawszy w kącie niemożliwie zatłoczonej ładowni krztuszącą się ze śmiechu księżniczkę, a u jej stóp dwie rozczochrane, najwyraźniej pomyłone baby z porozbijanymi nosami, wrywające sobie z rąk jakiś skrawek materiału.

Przed północą ładownia ucichła; jeńcy spali, tu i ówdzie tylko rozbrzmiewało stękanie rannego. Niedługo po północy dwaj żołnierze z latarniami zeszli po stromych schodach.

— Wasza wysokość — rzekł jeden.

— Słucham.

— Księżę przysłał po waszą wysokość. Czeka w pałacu.

— Zaraz pójde.

— Kazano nam...

— Żadnej eskorty ani straży. Powiedziałam: pójdę. Teraz precz.

Spokojny głos garyjskiej magnatki, następczyni agarskiego tronu. Czasem potrafiła być kimś takim.

Żołnierze opuścili ładownię.

Wkrótce opuściła ją także księżniczka. Przez nikogo nie zatrzymywana, zeszła na nabrzeże, przemierzyła pusty rynek portowy i zagłębiła się w ciemne uliczki. Do bramy twierdzy było niedaleko.

Raladan czekał w komnacie, która kiedyś należała do Alidy. Był to pokój nadający się po trosze do wszystkiego: wygodny fotel zapewniał odpoczynek, liczne krzesła wokół długiego stołu mogły posłużyć większemu gronu, wezwanemu na jakąś naradę. Można było tutaj sądzić, rządzić bądź ucztować.

Niewysoki mężczyzna siedzący przy stole, głęboko zamyślony, wydawał się mniejszy niż zwykle. Księżniczka wybrała sobie jedno z krzesel.

— Nie dokończyliśmy rozmowy — powiedział. — Czy pomyślałaś już, czego mogą chcieć od ciebie Przyjęci?

Przyglądała mu się w milczeniu.

— To jest teraz... to w ogóle jest ważne?

— A nie jest, Rido? Jutro zostawisz Agary i nie wrócisz nigdy, a w każdym razie nieprędko. Będiesz zupełnie sama przeciw całemu światu. Naprawdę przeciw całemu światu. Komendantka pirackiego żaglowca, wyjęta spod prawa rozbójniczka dowodząca zwierzętami. Wszyscy szybko się dowiedzą, że ta kobieta to już nie jest ktoś, z kim można prowadzić pertraktacje w jakiegokolwiek sprawie. Pływałaś na Garrę i robiłaś tam co chciałaś, bo każdy na tej wyspie, kto ma cokolwiek do gadania, bał się naszej floty i chciał ją przeciagnąć na swoją stronę. Przedstawiciel, buntownicy... Wszyscy. Teraz już tak nie będzie. A na dodatek poluje na ciebie jakiś Przyjęty, któremu założyłaś za skórę. Nie wiem jak cię ochraniać.

— Ochraniać? — zapytała. — W jeden dzień zniszczyłaś wszystko, zupełnie wszystko, co było między nami. Chcesz mnie ochraniać? Kochałam cię jak... jak głupia. Jak dziecko. Znalazłam ojca i trzymałam z całej siły, bo to było najlepsze, co w ogóle spotkało mnie w życiu. Co mi zrobiłeś? Za co mi to zrobiłeś, sukinsynu? Za głupotę? Tak, ja...

rzeczywiście jestem głupia, wiem.

— Co ty wygadujesz, Rido? — zapytał bez odrobiny gniewu. — Myślisz, że ja tutaj sobie siedzę i jestem zadowolony? Wczoraj prosiłem: zostań na Agarach, rządz. Łatwo było pośmiać się z tego... ale mnie nie było łatwo rządzić przez ten jeden krótki dzień. Nie potrafię, mówiłem ci. Narobiłem głupstw i już to wiem. A ty? Też coś wiesz? Dowiedziałaś się dzisiaj czegoś? Zresztą nie mów, bo już zgadłem: nie. Niczego dzisiaj się nie dowiedziałaś.

Nieoczekiwanie wstał od stołu.

— Ale ty przez całe życie niczego nie zdołałaś się dowiedzieć. Rób co chcesz — powiedział. — Nie odpłyniesz dziś ani jutro, więc zdążymy jeszcze porozmawiać. Wszystko wyszło na opak i głupi ten, kto będzie się temu dziwił. Chciałem teraz pogadać... Ale jak nie, to nie.

— O czym miałabym z tobą gadać?

— O niczym. Wracaj na swój śmierdzący wrak, do swoich chłopców. Rzeczywiście jesteś głupia. Pewnego dnia — powiedział, zatykając dłonie za pas i swoim zwyczajem kołysząc się na obcasach — twoi synkowie znajdą dla ciebie sto łokci żelaznego łańcucha, owiną cię nim i puszczą na dno razem z tą twoją całą nieśmiertelnością. Trochę potrwa, zanim łańcuch na wylot przerdzewieje. Sto lat, trzysta, osiemset... Coś cię żywcem zeżre przez ten czas. Idź już, zostaw tu podłego Raladana i wracaj do swej wiernej załogi, kapitano. I śpij dobrze.

Wyszedł, a wtedy się rozplakała.

Raladan zamknął się w sypialni Alidy, która była też jego sypialnią — w tych rzadkich i zbyt rzadkich chwilach, gdy morskie wiatry zagnały go do domu. Dom... Nigdy wcześniej nie miał czegoś takiego.

A jednak porozmawiał tej nocy. Wczesnym rankiem przyszła doń Alida. Nawet się nie rozgniewał... Przez całe życie prowadziła zawile gry, zrozumiałe tylko dla niej. Wymyśliła więc jeszcze jedną — by zobaczyć, jak małżonek i przybrana córka poradzą sobie zdani na własne siły.

„Zadowolona jesteś?” — zapytał.

Miała na sobie lekką, błękitną suknię — był to kolor, który lubiła najbardziej. Przerzucony na pierś warkocz mienił się szczerym złotem.

„Bardzo” — powiedziała z uśmiechem, przysiadając na brzegu posłania. „Poważanie, respekt i miłość poddanych, wszystko w jeden dzień... Trzeba całych miesięcy, a nierzadko lat, by zdobyć tyle, ile dzisiaj

wyrwał się dla siebie”.

Miała w dłoni trochę rodzynek; wsypała kilka do ust i rozgryzła. Uwielbiała słodkie.

„Co ty opowiadasz?”.

„Opowiadam, że o twojej głupocie, luby, wie jeden jedyny Ahagaden. Agarom pokazałeś srogiego, ale sprawiedliwego władcę, zdolnego jednak do litości. Nie roztrwoń tego. A Ahagaden jest rozsądny i służy nam wiernie od lat. Poślij mu jutro baryłkę dobrego wina i... posłuchaj czasem, co mówi. W żadnym mieście na świecie nie będziesz miał takich porządków, jak na pokładzie żaglowca”.

Zaczęło doń docierać, że złotowłosa sekutnica tam razem wcale z niego nie kpi.

„Mówisz mi więc...”.

„Że zdobyłeś sobie uznanie jako nowy władca”.

„Jeśli nawet, to za jaką cenę?”.

„Darmo!” — rzekła, wruszając ramionami. „Twoja kochana Ridi i tak nigdy nie umiała wysiedzieć na Agarach. Chcesz ją widywać i zaopatrywać we wszystko, czego potrzebuje? Nic prostszego: daj wygnańcom prawo zawijania do przystani na Małej Agarze. To oczywiście naciąganie prawa, ale niezbyt rażące, w końcu wyspy są dwie, a wypędzono ich z Wielkiej Agary, nie z Małej. Pokazałeś już, że jesteś sprawiedliwy nawet wobec księżniczki, nie zrobiłeś dla niej wyjątku; skoro wstawiła się za skazanymi, to zgodnie z obyczajem ma zostać wygnana tak jak wszyscy. Teraz nie zaszkodzi, jeśli mieszkańcy wysp zobaczą w tobie ojca, który jednak kocha swoją córkę. Każdy zrozumie, dlaczego księżę Raladan pozwala załodze „Trupa” przybijać do brzegów Małej, i na pewno nikt cię za to nie potępi, bo na twoim miejscu zrobiłby tak samo. To... ludzkie. A że twoja córcia nie będzie pomieszkiwać w pałacu? Bardzo dobrze, bo nikt jej tutaj nie kocha”.

Pokiwał głową.

„Powinienem cię stłuc, Alido”.

„Hmm... Od czasu do czasu to wcale nie było takie złe...” — rzekła z właściwym sobie ciepło-kpiącym uśmiechem.

Ujął złoty warkocz i długo, długo jeszcze czuł w dłoni jego aksamitny ciężar.

4.

Łańcuch Wysp Barrierowych, zamykający od wschodu Morze Zwarte, od niepamiętnych czasów miał duże znaczenie wojskowe. Niewielkie przestrzenie między wyspami łatwo było patrolować i zamknąć w razie potrzeby. Położony w środku archipelagu Hogoth nie był największą z Wysp Barrierowych, ale właśnie dogodne położenie sprawiło, że mieściła się na nim Talanta, najsilniejszy w tych stronach port wojenny. Kiedyś stało tu kilka ciężkich eskadr Floty Głównej Garry i Wysp, teraz tylko jedna, wsparta przez skleconą z rozmaitych żaglowców eskadrę Floty Rezerwowej. Na zaniedbanych okrętach siedziały niekompletne załogi: mocno brakowało żołnierzy; porzucali też służbę majtkowie, opłacani i żywieni tak podle, jak chyba nigdy dotąd. Ostatnio zmieniło się to trochę, bo z Garry zaczęły napływać pieniądze. Niewystarczające, ale już przynajmniej nie śmieszne. Wcześniej brakowało nawet na zebracze pobory marynarzy i pokojowy — a więc niemal symboliczny — żołd piechurów morskich. A przecież służba strażników morza nie była służbą garnizonową, ci żołnierze, stale użerający się z piratami, powinni otrzymywać żołd wojenny.

Stara Talanta różniła się od Dranu jedynie wielkością — Wyspy Barrierowe były kiedyś częścią Królestwa Garry, w ich stolicy rozpanoszyła się więc garyjska architektura, a i mowa mieszkańców bardziej przypominała czysty język garyjski niżli którąś z wyspiarskich gwar. Jeśli dodać do tego, że porządki w Talancie były takie mniej więcej, jak w Dranie albo Doronie, wyłaniał się obraz miasta podobnego do tamtych dwóch, ogarniętego bezprawiem, gdzie każdy — poza żołnierzami i władzami, rzecz jasna — robił co tylko chciał. Wszyscy czekali na wojnę, a raczej kilka wojen. Najpierw powstanie przeciw Cesarstwu; potem wojnę dartańsko-armektańską, która przesądzić miała o hegemonii jednego lub drugiego narodu; potem na trzecią wojnę, bo było przecież jasne, że wyzwolonemu garyjskiemu królestwu kontynentalne mocarstwa dadzą spokój tylko do chwili, aż rozstrzygną waśń między sobą. W obliczu tak rysującej się przyszłości — a i, co tu gadać, niemiłej terażniejszości, wypełnionej chaosem i bezprawiem — każdy człowiek, marzący o bezpiecznym i spokojnym życiu, związał manatki i zeglował na kontynent. Jakieś zapomniane przez świat armektańskie lub dartańskie miasteczko pożoga mogła ominąć;

największego portu wojennego na Wyspach — w żaden sposób. Zostawali tylko ci, którzy chcieli wziąć udział w nadchodzących awanturach, albo byli zbyt biedni, by opłacić podróż dokądkolwiek. Oraz niezdecydowani, wierzący, że „jakoś to będzie” — ludzie-wióry, których wszędzie pełno.

Wynajęty za bezcen dom w Dranie i tak kosztował fortunę w porównaniu z sumą, jakiej zażądał zdziwiony i niemal wystraszony przybyciem gości kamienicznik w Talancie. Ów zrujnowany człowiek od paru lat przyglądał się bezsilnie, jak kolejni najemcy dziękują mu za mieszkania, obojętni nawet na obniżki czynszów, a nowych najemców nie widać. Świetna nieruchomość, której zbycie było teraz marzeniem ściętej głowy, popadała z wolna w ruinę — już mocno przeciekał dach, którego nie było za co naprawić. Patrzący na te porządki Gotah, całkiem nieźle znający Szerer, rozkładał tylko ręce i z niedowierzaniem kręcił głową, przyglądając się wcale zamożnej przecież i nie dzikiej krainie, gdzie kwatery dawano półdarmo, a ktoś z solidnie wypchaną kieszką mógł sobie od ręki kupować całe ulice. Piętrowy dom kosztował tyle, co niewolnica. Ale wyższość niewolnicy polegała na tym, że można ją było zabrać z przeklętej ziemi i wywieźć...

Mędrzec Szerni siedział w wielkiej izbie i rozmawiał z gospodarzem, którego zdążył polubić, był to bowiem człowiek uczciwy, na dodatek niegłupi i rozmowny. Znał wieści i niezliczone plotki, a przeszłość miał dosyć bujną, na poły żeglarską, na poły zaś kupiecką — jego ojciec handlował kiedyś z kontynentem i uczynił syna dowódcą własnego statku handlowego. Na handlu właśnie zacny kamienicznik dorobił się domu w Talancie, potem dokupił drugi, zarzucił ryzykowne zamorskie interesy i wiódł spokojne życie, aż wielka polityka przewróciła je do góry nogami.

— Dlaczego tak jest, wasza godność, że uczciwie pracujący człowiek, który nie ma wielkich wymagań i nie szuka guza, musi siedzieć i patrzeć, jak inni rujnują cały jego dorobek? Znasz, panie, to powiedzenie, że każdy jest kowalem swego losu? No to powiedz, jaki ze mnie kowal? Co ja sobie, niby, mogę wykuć? Wykułem ten domek — Wyspiarz rozłożył ręce, pokazując ściany, pod którymi niewiele już było sprzętów, bo wyposażenie kolejnych izb właściciel od dawna sprzedawał, a pieniądze przejadał — i chciałem tylko mieć spokój. Byłem wcale bogaty, wasza

godność. Córkę ładnie wywianowałem handlową karawelką, bo zięć zmysłny i dobry chłopak, miał kupiecką smykałkę. Synom chciałem zostawić po ślicznej kamieniczce i dorzucić trochę oszczędności. I co? Wiano córki poszło pod wodę, bo tak dzisiaj można prowadzić zamorskie interesy, a ja nawet nie mam jak pomóc. Oszczędności rozplynęły się dawno. Żeby dzisiaj handlować, wasza godność, trzeba mieć wojenną eskadrę do wożenia zboża. Kogo stać, to ma. A ja synom zostawię... no, wiesz pewnie, wasza godność, co; lepiej nie będę już mówił. Wojna za wojną, wszyscy uciekają, chociaż jeszcze żadnej wojny nie ma... Ale będzie na pewno, prawda, wasza godność?

— Będzie.

— Czym ja sobie na to wszystko zasłużyłem, co zrobiłem źle? Jeśli kupuje się dom, to jak można zgadnąć, że za piętnaście lat przyjdzie wojna i okaże się, że ten dom trzeba było kupić gdzie indziej? Co zrobiłem źle, wasza godność?

Filozof Szerni uśmiechnął się, czyniąc swą twarz bardziej kpiarską niż zwykle. Znał sto odpowiedzi i mógłby ciągnąć niezliczone wywody — a wszystkie nic niewarte. Od jakiegoś czasu żywił przekonanie, że o ile stawianie podobnych pytań ma sens — to nie ma go udzielanie odpowiedzi. Rozterki podobne do tych, jakie miał kamienicznik, były stare jak świat, pytanie zawsze brzmiało tak samo... ale odpowiedzi były różne, bo wciąż od nowa losowane przez rządzące światem siły polityczne, nadnaturalne, moce żywiołów albo jeszcze inne... Wszystkie pospołu.

— Nie wiem, panie — powiedział. — Ale też ci przypomnę pewne powiedzonko: jak byś się nie odwrócił, tak zadek zawsze z tyłu. I wszystko zależy od tego, czy ktoś cię w ten zadek kopnie. Czasem tak, czasami nie.

— Myślisz, panie, że od nas nic nie zależy? Że to wszystko tylko... los? Szczęście?

— Nie, nie wszystko. Zadek warto jednak kierować w stronę, z której nikt nie nadbiega. Ale w końcowym rachunku, ten los, o którym mówisz, i tak może spłatać figla.

— Jednak, wasza godność, nad niebem znajduje się Szerń, która stworzyła cały nasz świat, a my tutaj jesteśmy trochę jakby jej częścią. Przecież ona rządzi tym wszystkim?

Kamienicznik nie wiedział, kim jest jego gość, ten zaś tylko pokiwał głową.

— No proszę, wiesz coś, panie, o Szerni — powiedział bez cienia kpiny. — Ale Szerń jest martwa i głupia. Nie, nie głupia, źle powiedziałem. — Uniósł palec na wysokość ucha i lekko zmarszczył brwi. — Ani mądra, ani głupia. Nieświadoma i bezrozumna. Wielka machineria, taki... wiatrak albo młyn. Wiadomo jednak, do czego służy wiatrak, a do czego Szerń? Nie wiadomo. Najpewniej do niczego. Jej rządzenie światem polegało na ustaleniu pewnych reguł i właściwie na niczym więcej. Jeszcze gorzej: te reguły same się ustaliły, wynikają z Szerni, ale ona przecież ich nie wymyśliła, bo niczego takiego nie potrafi.

— Ale Szerń ma chyba władzę nad losem?

— A skąd. Jest akurat odwrotnie. Czy słyszałeś, panie, legendę o Zapomnianym? — Gotah nie chciał się wdawać w zawiłe rozważania, bo dość już się w życiu narozwazał i wynikło z tego tylko tyle, że... zadek zawsze z tyłu. Więc ostatnio miłsze od rozważań były mu żeglarskie historie o potworach z głębin. — Szerń wyłoniła życie i rozum w Szererze, na straży zaś wspólnych praw, rządzących jej Pasmami i tym wszystkim, co jest pod nimi, postawiła Strażnika Praw Całości. Nieśmiertelną istotę mającą dar rozumienia wszystkiego, lecz poza tym zupełnie bezsilną. To ktoś taki, jak Przyjęci ze Złego Kraju — dorzucił wyjaśniająco. — Ta istota ma postać człowieka, starego i garbatego, noszącego dziwny instrument, który zawsze, wbrew staraniom grajka, wyda z siebie jakiś fałszywy dźwięk. W tej postaci Szerń zakłęta, oczywiście tylko symbolicznie, przyczyny... a właściwie Praprzyczynę wszystkiego. Jeśli pytasz: po co to wszystko? dokąd zmierza? do czego służy Szerń, a do czego rozum? po co stworzono wszelkie życie? — odpowiedzi masz w tej postaci. Otóż przyczyna tego wszystkiego jest, panie, garbata, czyli ułomna, wieczna, groteskowa i fałszywie rzepoląca... Dziwaczna, niezrozumiała i nie mająca sensu. Zresztą pewnie za każdym razem inna.

— Ty sam mówisz, panie, jak jakiś Przyjęty — orzekł z namysłem gospodarz.

— A gdzie tam. Przyjęci, panie, o ile mi wiadomo, szukali w tym wszystkim sensu, nie bezsensu.

— Szukali i szukali — rzekł od drzwi krzepki czarnobrody

mężczyzna, zdejmując z ramion przesiąknięty deszczem płaszcz. — Znaleźli, a potem z dnia na dzień się okazało, że wszystko jest odwrotnie, a nawet nie odwrotnie, tylko nie wiadomo jak. Bez sensu, otóż to. Jesteśmy uczonymi, panie — wytłumaczył, zacierając ręce i rozglądając się, jakby czegoś szukał. — Ja i moi towarzysze. Podróżujemy, szukając tego, co później, sumiennie opisane, trafi do ksiąg, których nikomu nie będzie się chciało czytać. Powinniśmy byli ci to powiedzieć, zanim weźmiesz nas za niebezpiecznych dziwaków.

— A! — niezbyt mądrze, a jednak ze zrozumieniem rzekł gospodarz. — Uczeni. Właściwie... coś takiego chodziło mi po głowie.

— Szukam... kiełbasy — oznajmił Moldorn, znowu rozglądając się po izbie, chodząc tam i nazad, i powtórnie zacierając ręce. — Nie do wiary, jaki jestem głodny.

— Kiełbasa? Zjadłem — przyznał się Gotah.

— O, ja nieszczęśliwy!

— Poślę do gospody — rzekł gospodarz, wstając. — Zagoniłbym żonę do kuchni, ale... trochę już późno. Zasiedziałem się — przyznał, strapiiony.

— Każ nam przysłać, panie, chleba, piwa, wina, kiełbas... i kaszanke! — zawołał Moldorn, unosząc ramiona, jakby tknięty nagłym objawieniem. — Olbrzymią kaszanke, największą jaką mają!

— I gorącą zupę w jakimś małym garnku — dorzucił Gotah, pamiętając o upodobaniach nieobecnego w izbie, sędziwego towarzysza, którego słabe (no i niezbyt już liczne...) zęby najlepiej radziły sobie z kaszą i różnymi polewkami. — A tak przy okazji, zacny gospodarzu...

Sięgnął do bezwstydnie pękatej sakiewki.

— To na poczet wszelkich wydatków i za następny tydzień z góry. Pomieszkamy jeszcze trochę; tak, Moldornie?

— Zgadłeś. Ale nie wiem, czy chodzi o tydzień, bo wygląda na to, że raczej miesiąc... Rok!

Znowu wznosił ramiona, ale tym razem z wyraźnym zniecierpliwieniem. Uradowany kamienicznik nie zauważył tego.

— Choćby i dziesięć lat, wasza godność — powiedział z tak głęboką szczerością, że krajało się serce. — I niech mnie przeciągną pod kilem, jeśli wspomnę kiedykolwiek o podwyżce czynszu!

Wyszedł spieszenie, by zamówić posiłek. Choć powiedział „poślę do

gospody”, było jasne, że podrepce sam... Ani Gotah, ani Moldorn nie dostrzegli w domu pachółka.

— „Niech go przeciągną pod kilem”... — rzekł Moldorn, siadając przy stole. — W naszym gospodarzu odezwał się stary żeglarz. I w ogóle zuch. Może trzeba z naszą sprawą iść do niego?

Był to żart; niemniej w głosie Moldorna pobrzmiwała prawdziwa desperacja.

— Niczego nie wskórałeś?

— Nie. Ale wszyscy już się ze mnie śmieją i wytykają palcami. Jestem sławny.

Moldorn od tygodnia przyoblekał się w postać jakiegoś żeglarza-nie-żeglarza, zawadiaki i awanturnika, by szukać najemników gotowych zapolować na morzach Szereru. Wymieniał wysokość zadatku — i cisnął się doń kto żyw. Mówił o jaki okręt chodzi — tłum zaczynał pokładać się ze śmiechu, niedoszli najemnicy rysowali kółka na czole, ktoś spluwał, kto inny kłął. W Talancie, leżącej na przecięciu najważniejszych morskich dróg Szereru, obok portu wojennego był jeszcze ogromny port przeładunkowy. Codziennie zawijał jakiś statek, zwykle kilka, a zdarzało się, że i kilkanaście — były to żaglowce nie tylko handlowe. Szukali tu szczęścia i okazji różni najemnicy, zrujnowani kupcy, właściciele uzbrojonych łajb będących bardziej już okrętami niż statkami — chętni do służby kaperskiej wszelkiego rodzaju, gotowi przyjąć zlecenie eskortowania załadowanego ciężko statku, konwoju, a zresztą jakiegokolwiek. Zdarzało się czasem, że bogaty armator posyłał na morza najemników mających odnaleźć konkretnego pirata, który zdobył i ukradł mu okręt. Jeśli strata była udokumentowana, a przedsiębiorstwo legalne i niezalegające z podatkami, wojskowy komendant Talanty mógł wystawić imperialny list kaperski, i wówczas najemnicy zgodnie z prawem zarabiali swoje złoto, odbierali przychwyconym morskim zbójom łup, odbity żaglowiec zaś odstawiali zleceniodawcy. Często się przy tym mylili... łatwo przecież dużą kogę pomylić z jakąś inną dużą kogą... Ale kogo to obchodziło? Od armatora poczynając, na komendancie floty kończąc, wszyscy byli radzi, że piraci z listami kaperskimi wyrzynają innych piratów, takich bez listów kaperskich. Grunt, że starannie oznakowane legalne statki handlowe zacni kaprzy omijali z daleka. Omijali zaś we własnym interesie.

— Gdzie jest Yolmen?

— Liczy — odparł Gotah, skinąwszy głową w stronę drzwi wiodących do następnej izby.

— Mógłby już przestać — skwitował skrzywiony Moldorn. — Nawet ja przestałem... a on liczy? Co jeszcze może wyliczyć?

— Nie wiem. Chyba sprawdza dowody Tamenatha, tak mi mówił, a zresztą sam go zapytaj. Ja się na tym nie znam.

— Tutaj nie ma co sprawdzać, bo ten stary łysol miał rację. Szkoda tylko, że niewiele z tego wynika.

— Wartości dwóch Pasm to niewiele?

— Jeśli nie można wyprowadzić analogii dla pozostałych Pasm, to mniej niż „niewiele”. To nic. Najwyżej ciekawostka.

— No tak, ale to są „nasze” Pasma — przypomniał Gotah.

— Zawieszony w próżni układ bez punktu odniesienia, o potencjale niemożliwym do zweryfikowania.

— Jakoś tam przewidywalny.

— Błądzimy po omacku.

— Nie, bo wiemy, że jest wielki skład prochu i że wybuchnie, jeśli nie zgasimy ognia, który się przy nim tli.

— Nie wiemy, jak wielki skład prochu ani gdzie umieszczony. Sto beczulek prochu w środku miasta czy dziesięć tysięcy na pustyni? A przede wszystkim — ze złością rzekł Moldorn — nikt nie chce gasić tego twojego ognia i wszyscy się ze mnie śmieją, gdy w ogóle wspominam o gaszeniu!

— Może źle się do tego zabraliśmy?

— A jak powinniśmy się zabrać? W jaki sposób szuka się czegoś, co może być, choć nie musi, na pokładzie jakiegoś okrętu na jakimś morzu Szereru, ale może też być na jakimś łądzie Szereru, pod warunkiem, że siedzi tam spokojnie, bo może być dziś tu, jutro tam, siedzieć, chodzić, pływać... no, na szczęście nie latać. — Moldorn bardzo łatwo popadał w rozdrażnienie. — Kiedy wreszcie znajdę to COŚ, to każę mu zdychać tak długo, jak długo trwały poszukiwania. I przysięgam, że ani dnia krócej.

Gotah wzdrygnął się mimowolnie, choć w ponurej przysiędze Moldorna była głównie fanfaronada, obficie podlana bezradnością i gniewem.

— Kesa ją znajdzie. Agary chcą pobawić się w wielką politykę i te

pertraktacje są ich władcom na rękę. Nie będą uciekać przed...

— Twoja Kesa znajdzie świństwo, którego szukamy, i pokocha jak rodzoną córkę. Prędzej zdradzi jej wszystko, pogłuszcze po główce i odejdzie, niż pozwoli, byśmy zrobili to, co jest oczywiste dla każdego, tylko nie dla niej. Niczego się od niej nie dowiemy, zapamiętaj sobie moje słowa.

Gotah nie odpowiedział, bo Moldorn mógł mieć rację. Kesa, bez wątpienia najtęższa głowa z ich czworga, była jednak kobietą. Potrafiła dyskutować, spierać się, rozważać argumenty... a kiedy indziej powiedzieć: „Nie, bo nie! I już”. Po kobiecemu też umiała przechodzić do porządku nad oczywistymi sprzecznościami; coś mogło być dla niej zarazem białe i czarne, czemu nie? I, o ile filozof mógł jeszcze podejmować z tym dyskusję, to dwaj matematycy dostawali dreszczy, łapali się za głowy i gotowi byli uczynić go wdowcem.

— Jutro ja spróbuję — powiedział. — Położę trochę po porcie...

— Nie umiesz łązić po porcie i nie wiesz gdzie trzeba łązić — przerwał Moldorn. — Zdaje się, że nie lubisz „jarmarcznych sztuczek”? Będziesz się przemieniał w młodzieńca obieżyświata?

— Korci mnie raczej...

Chciał dokończyć: „by przemienić się w jakąś dziewczynę obieżyświatkę...”, ale Moldorn nie pozwolił mu dokończyć żartu.

— Nie! Podjąłem się i sam zrobię to, co powiedziałem! Nie potrzebuję żadnego wyręczyciela.

Gotah zamilkł.

Moldorn nie zniósłby, gdyby jego towarzyszom udało się to, z czym on sam borykał się bezskutecznie. Historyk Szerni raz jeszcze pożałował, że nie mógł staranniej dobrać pomocników. Nie panował nad nimi. Nie panował nad żoną, która wbrew opinii ich trzech przeprowadzała własny plan. Nie panował nawet nad Yolmenem, który jutro mógł stawić się przed nim i oświadczyć: „To jednak ponad moje siły, Gotahu. Rezygnuję; odchodzę. Przebacz mi”. Przede wszystkim nie panował nad chorobliwie ambitnym, porywczym i zarozumiałym Moldornem, który dostał do ręki zakazane dotąd zabawki i bawił się nimi jak dziecko — głupio, bo choć wreszcie dozwolone, nadal mogły być w niewprawnych rękach niebezpieczne. O większości tych zabawek Moldorn nie wiedział w ogóle nic — to tylko, że je ma. I do furii doprowadzała go bezużyteczna

potęgą, którą w sobie nosił. Nagle dano mu tak wiele — lecz odmówiono wszechwiedzy. Zrażony kolejnymi niepowodzeniami, potężny a zarazem bezsilny, gotów był zesłać ogniową burzę na Agary i wypalić je do czarnej skały — lecz, niestety, nie wiedział jak zabrać się do tego, a choćby nawet wiedział, to nie było pewności, czy zniszczy w ten sposób Rubin; nie wiadomo było nawet, czy Rubin w ogóle tam jest. Palenie zaś kolejnych mórz i lądów, gdyby nawet było możliwe... Podobnym kataklizmom próbowali właśnie zapobiec. Zatopienie okrętu w celu ugaszenia tłącego się w prochowni ognia nie miało przecież najmniejszego sensu. I rozumiał to nawet Moldorn. Pytanie: jak długo gotów był o tym pamiętać?..

— Nie wiadomo, co robi Kesa, tu masz rację — pojednawczo rzekł Gotah. — Ale z nas wszystkich ona jedna próbuje używać rozumu. Ma jakiś plan i go przeprowadza. A my tylko miotamy się, robiąc rzeczy, o których nie mamy żadnego pojęcia. Ile razy w życiu brałeś najemników? Znasz się na takich ludziach?

— A na kim miałbym się znać? Zamień z nimi trzy słowa. Więcej i tak nie da rady, bo tylko przywódcy znają aż trzy słowa, cała reszta ma ubogie słownictwo. Chyba że „ladacznicą” — rozgadał się poirytowany Moldorn. — O, na określenie tej profesji mają przynajmniej sto słów i bez przerwy ich używają. We wszystkich tawernach śpiewa się teraz Kurwę, to chyba pieśń roku. Czy znam się na takich ludziach? Nie gorzej niż na psach, i wystarczy.

— Nie udawaj przede mną głupiego, Moldornie — napomniał Gotah. — Mówię, że nie ma niczego dziwnego w naszych niepowodzeniach. Bo też i nie tyle działamy, co zabijamy czas, więc nie przejmuj się tak bardzo swoją „misją”. Wciąż czekamy na wieści z Kirlanu. W każdej chwili możemy dostać broń do ręki, to zależy tylko od Rameza.

— Nie od Rameza, tylko jego kobiety.

Gotah chciał poprawić: „wyjątkowej kobiety”, ale zmilczał, bo wiedział, co usłyszy. Moldorn kobiet po prostu nienawidził, a była to nienawiść pogardliwa i tak szczera, że aż uwłaczająca każdemu, kto w ogóle z kobietami rozmawiał. Kesa postawiła na swoim także i dlatego, że gorąco poparł ją Moldorn. Przedsięwzięcie uważał za głupie, ale zgodziłby się na sto razy głupsze, byle piękna pani Gotaha co rychlej ruszyła na kraj świata. Nie powiedział tego, lecz na pewno żywił

nadzieję, że w podróży trafi ją szlag.

*

Lecz Przyjęta miała się dobrze.

Za wyspą wschodziło słońce. Spowite poranną mgłą brzegi Wielkiej Agary wyglądały sennie, spokojnie... Na pewno nie złowieszczo. Nawet krępe budowle twierdzy portowej, za którymi wyłaniało się miasto, nie straszyły. Uwijały się nad nimi mewy. Przyjęta z ciekawością przyglądała się manewrom zwinnego okręciku, który płynął w stronę jej stojącego na kotwicy statku; już w nocy dostrzegli kilka takich małych żaglowców, bez przerwy patrolujących okoliczne wody. Nikt tutaj nie mógł przypłynąć ot, tak sobie. Żaden statek nie zawiął do Aheli, nie opowiedziawszy się wcześniej surowym wartownikom.

Płynący półwiatrem okręcik, nie refując żagli, mocno pochylony, mijał ich w niewielkiej odległości. Obdarzony mocnym głosem osobnik jął wypytywać przybyszów, kim są i co ich sprowadza do Aheli. Kapitan odpowiedział, bo oznaczenia na żaglach niewiele gospodarzom mówiły. Powielane w niezliczonych egzemplarzach ogromne pękate rejestry, opisujące statki różnych armatorów, stale uzupełniano, ale i tak nikt nie miał rejestru kompletnego. Zresztą, czasem znaki na żaglach fałszowano; wprawdzie nader nieczęsto. Było to dosyć trudne, bo marynarskie oczy bez trudu wychwytywały różnice w budowie kadłuba, szczegółach konstrukcyjnych i zaraz wychodziło na jaw, że trzy białe gwiazdy na niebieskich płótnach jak najbardziej powinna nosić karawela — ale na pewno nie ta... Fałszerstwo udawało się rzadko, żaglowce musiały być naprawdę bardzo podobne. Zazwyczaj więc na pirackich okrętach po staremu stawiano czarne żagle, bo choć niczego nie udawały, to przynajmniej były słabo widoczne.

Wyjaśnienia przybysza wypadły widać zadowolająco — z pokładu okrętu strażniczego padł rozkaz: „Płyńcie za mną!”. Kesa z przyjemnością patrzyła na krzątanie majtków stawiających żagle. Dzwonił w kluzie łańcuch kotwiczny. Było coś bardzo pięknego w tym chaosie kryjącym przemyślane działania: zgodna współpraca wielu ludzi, potrafiących tchnąć życie w zbudowaną z desek, lin i płótna konstrukcję. Pełnomorski żaglowiec był bez wątpienia najbardziej skomplikowanym urządzeniem Szereru, a przy tym najbardziej niezawodnym, o ile obsługiwały go wprawne ręce, posłuszne mądrym rozkazom. Kesa nie zakochała się w

morzu — „kochać” to by było za dużo powiedziane — lecz polubiła je. Łatwo wierzyła, że są ludzie, którzy z pływaniem po oceanach związali całe życie, chociaż nic ich do tego nie zmuszało.

— Nic nie powiedziałem o waszej wysokości — niepewnie rzekł kapitan, podchodząc. — Ale...

— Bardzo dobrze; słyszałam, co mówiłeś, wasza godność. W porcie pošlę na ląd swoich ludzi z pytaniem, czy zostanie przyjęta przez księżną. A ty, panie, przecież naprawdę masz tu sprawy handlowe.

— Tak, wasza wysokość.

Prostemu kapitanowi kupieckiego statku ani razu nie przeszedł przez gardło pospolity tytuł „jej godności”. Przyjęta najpierw zaprotestowała, ale okazało się, że kapitan prędzej umrze, niżli zatytułuje obecną na pokładzie monarchinię inaczej niż „wysokością”.

Strażniczy okręcił się w pobliżu, czekając, aż garyjska karawela nabierze wiatru w żagle, po czym poszedł ostro w stronę portu. Przeszedłszy na dziób, delikatnie spryskiwana drobinkami wody, rozbitej w mokrą mgiełkę, Kesa z przyjemnością patrzyła, jak radzi sobie „jej” żaglowiec — smukły, piękny, szybki. Bez trudu dotrzymał kroku gospodarzowi. W łuskach fal migotało słońce, rażąc oczy. Jakies półćwierci mili przed potężnym łańcuchem zamykającym wejście do portu, na maszt okręciku poszedł bardzo długi, mieniący się bielą i srebrem proporzec. Wartownik odpadł od wiatru, żeglując ku niskiej, ale za to niezwykle szerokiej baszcie, w ścianie której zniknął wąż masywnych ogni. Sygnał dostrzeżono, bo z dzwonieniem i zgrzytem ruszyły ukryte za kamiennymi ścianami bębny; łańcuch drgnął i osunął się w fale. Jak potężne musiały być kołowroty, jak wielkie i ciężkie ogniwa, skoro tak dobrze było słycać ich pracę!

Na „Śmieszce” — bo taką nazwę nosiła garyjska karawela — refowano żagle; chociaż przystań w Aheli powszechnie uznawano za wygodną, to ostrogi podwójnego falochronu, będącego zarazem budowlą obronną, zmuszały do lawirowania i nawet tak zwrotny statek, na jakim płynęła Przyjęta, nie bardzo mógł o własnych siłach wejść do portu — było to celowe utrudnienie. Ale zza falochronu już wypływała łódka furkocząca proporczykami pilota portowego, a za nią dwie wielowiosłowe łodzie holownicze. Mała karawela z mieszanym ożaglowaniem, bardzo zwrotna, łatwo podała hol, zachowując na

bezanmaszcie tylko mały skrawek płótna potrzebny do wspomżenia sterowności.

Przepływali nad łańcuchem; Przyjęta uległa złudzeniu, że głęboko pod powierzchnią przejrzystej szafirowej wody widzi ogniwa pospinane z grubych jak udo, owalnie wygiętych sztab — prawdziwy potwór, wąż morski, który, nagle wynurzając się z otchłani, roztrzaskałby dziobnicę statku i w mgnieniu oka posłał go na dno.

Mijali niezwykle baszty, z których jedna stanowiła zakończenie iglicy falochronu; drugą, obszerniejszą, posadowiono na lądzie. W granicach Wiecznego Cesarstwa, gdzie od tyłu stuleci panował pokój, niewiele zachowało się budowli obronnych z prawdziwego zdarzenia, ale te, co zostały, bardzo słabo przywodziły na myśl nadbrzeżne umocnienia Aheli. Kesa z ciekawością oglądała mijane fragmenty fortecy.

— Basteje, wasza wysokość! — zawołał kapitan, który miał przy sterze na tyle pewnych ludzi, że znalazł chwilkę, by stanąć obok dostojnej pasażerki.

Potrząsnęła głową na znak, że nie zrozumiała; wiatr świstał w uszach, syczała zgniatana dziobem woda, za plecami krzyczeli marynarze. Wrzeszczały krążące nad pokładem mewy.

— Basteje! — powtórzył, pokazując palcem. — Takich baszt nie ma nigdzie na świecie! Miejscowi nazwali je bastejami! Stoją na nich działa prochowe, ale jakie! Takich nie ma na żadnym okręcie!

Pobiegł gdzieś. Wrócił nieprędko, bo dopiero wtedy, gdy karawela powolutku, majestatycznie podchodziła do jednego z nabrzeży. Luzowano liny holownicze.

— Agary są małe, ale bardzo bogate... wiadomo. — Spojrzał porozumiewawczo, robiąc dłonią taki ruch, jakby podrzynał gardło. — Nie mogą mieć dużej armii, ale w zamian mają wszystko co najlepsze. Chociaż nie wiadomo, czy najlepsze... Na pewno najdroższe, ale nowe i niesprawdzone. Tylko że, jeśli się sprawdzi... Przed rokiem widziałem tutaj ich wojenne karaki. Dwie, a podobno budowali trzecią. Średnio duże, ale mają tyle dział, wasza wysokość, że jeśli tylko nie rozleci się toto od pierwszej pełnej salwy, to znaczy, wasza wysokość, że po morzach Szereru nie pływa nic, co by wytrzymało ogień tych okrętów. A jeśli tak się okaże, to abordaż, wasza wysokość, przejdzie do historii.

Znów ruszył gdzieś spieszenie, wykrzykując rozkazy.

Po pomoście, dotrzymując kroku karaweli, szli już krzepcy chłopcy portowi, czekający na cumy rzucane przez majtków z pokładu. Załomotał o deski zwój ciężkiej liny, zaraz drugi i trzeci. Pochwycono je, okręcono wokół pachołków, wybrano. Zatrzeszczały listwy odbojowe statku i pomostu, skrzywienie przeniknęło cały kadłub. Dwa wstrząsy, silniejszy i słabszy. Garyjska karawela z ładunkiem dartańskich win cumowała w agarskiej Aheli.

*

Małe miasto — było jednak na tej wyspie miastem jedynym i w oczach mieszkańców, z których większość nigdy w życiu nie widziała nawet brzegów drugiej wyspy księstwa, a co dopiero mówić o jakimś innym mieście — uchodziło za wielkie. Każdy tutaj obraziłby się śmiertelnie, gdyby nazwać Ahelę „dziurą”. Dziurą mogła być Arba (także zwana miastem przez miejscowych), położona w sercu wyspy przy kopalniach osada wolnych górników; były tam dwie ulice na krzyż — w najdosłowniejszym sensie — a przy nich kilkanaście domów. Ponadto małe koszary wojska, liczne składy i coś w rodzaju szop, gdzie mieszkali zsyłani do kopalń więźniowie. Rzeczywiście dziura.

Lecz z Aheli Agarczycy byli dumni.

Idąca ulicami miasta Kesa łatwo odgadła te uczucia. Poprzedzana przez miejscowych żołnierzy, za plecami zaś mając własnych, z dwoma pachołkami i uzbrojoną niewolnicą u boku, postępowała w środku wcale licznego orszaku. To zwracało uwagę. Zdziwieni mieszczanie przystawali, oglądali się, czasem kłaniali ni w pięć, ni w dziewięć, przekonani widocznie, że znakomita pani jest kimś bardzo ważnym. W stolicy nieuznawanego przez żaden kraj księstwa do znudzenia oglądano świetnie ubranych, nierzadko dobrze urodzonych przybyszów ze wszystkich stron Szereru, którzy po powrocie do domów skłonni byli z oburzeniem machać ręką na samo słowo „Agary”, ale bez skrpułów z tymi Agarami handlowali... Takich kobiet nie widywano jednak nigdy. Długa i ryzykowna morska podróż w interesach to nie było przedsięwzięcie, którym mogłaby kierować Garyjka albo Dartanka, o Armektance nawet nie wspominając. Nie dlatego, by w Armekcie kobiety znaczyły niewiele, bo było akurat odwrotnie; powierzano im nie tylko komendę nad statkami, ale i wysokie funkcje w wojsku. Jednak Agary stanowiły kiedyś część Wiecznego Cesarstwa. Garyjczycy, choć nie znosili

Wyspiarzy, zacierali po cichu ręce, że ktoś wyrwał znenawidzonemu imperium taki ładny kąsek: dwie wcale bogate wyspy. Podobnie rozumowali Dartańczycy, cieszący się świeżo odzyskaną niepodległością. W Armekcie widziano rzecz inaczej. Jeśli nawet jacyś synowie Kraju Równin handlowali z Agarami (a na pewno byli i tacy), to skrywali ten proceder bardziej niż ktokolwiek inny w Szererze. Armektanka Czystej Krwi na Agarach zbytnio zwracałaby uwagę.

Kesa uważała się za Dartankę, chociaż z urodzenia właściwie nią nie była. Z urodzenia była... nikim. Przez trzydzieści cztery lata życia miała status przedmiotu; dopiero od kilku lat mogła uważać się za kogoś, nie coś.

Miasto, choć niewielkie, było jednak zadbane i zamożne. Brukowane ulice w takiej Aheli... no, no. Utwardzano właśnie kolejną; brudni i spoceni mężczyźni — bo upał zaczynał już doskwierać — pracownicy układali okrągłaki w bocznej uliczce, nie mającej żadnego znaczenia dla miasta. Agary były więc wystarczająco bogate, by brukować zaułki swej stolicy. Nigdzie tutaj nie łuszczyły się tynki, nie skrzypiały ponadrywane okiennice. Nigdzie nie wylegiwali się żebracy, wieczorami zaś — Kesa była najzupełniej pewna — prostytutki karnie warowały przy gospodach albo siedziały w domach uciech, bo na pewno nie włóczyły się po mieście, nachalnie zaczepiając przechodniów.

Idąc do dawnego gmachu Trybunału Imperialnego — bo do pałacu w twierdzy obcych nie wpuszczano — Przyjęta poczyniła wiele ważnych spostrzeżeń. Z nikim nie rozmawiając, dowiedziała się tego i tamtego o mieszkańcach; nie spacerując po rynkach i zaułkach, zyskała sporą wiedzę o mieście. Port widziała już wcześniej.

Była na ziemiach dobrze rządzonego i zagospodarowanego, spokojnego księstwa, które na siedzibę piratów wyglądało nie bardziej niż Armekt. Taki Dran na tle „pirackiej” Aheli był istną sadybą zbójców. Czy tego oczekiwała?

Nie, nie tego. Zasięgnęła wieści o Agarach i nie dawała wiary mitom, ale jednak ponura sława zawłaszczonych przez zbójów wysp działała na wyobraźnię. Handel — no, może i tak. Lecz poza tym jakieś tabuny pijanych majtków, hałasujących w porcie i na ulicach; jakieś bójki, dzikie śpiewy, wrzaski... Cuchnące zaułki, niezamieszkane domy. Pirackie miasto, no tak?

Zamiast tego były bawiące się przed domami dzieci, liczne patrole straży miejskiej albo karni, świetnie prezentujący się żołnierze... W porcie uprzejmi urzędnicy i obyty, grzeczny oficer (żaden tam niedźwiedź z głową wypchaną tylko regulaminami), gotów rozmówić się z przybyłą po dartańsku albo w Kinenie, jeśli sprawia jej kłopot ten nieznośny garyjski... Nie sprawia? „O, jak dobrze, wasza godność, ciężar spadł mi z serca... Łaski dla biednego żołnierza! Bałem się, że ośmieszę mundurową tunikę nieporadnym akcentem”. Skąd tu brali takich oficerów? Z „szarej gwardii” Najgodniejszej Cesarzowej?

Jaka była władczyni tego miasta?

Dochodząc do „pałacu”, Przyjęta z igraszką kobiecą ciekawością w duszy nie mogła doczekać się spotkania z jej wysokością Alidą, osobą naprawdę niezwykłą. Przed laty — kosztowną prostytutką a zarazem tajną wywiadowczynią Trybunału Imperialnego; potem, w Dranie, wysoko postawioną urzędniczką tej instytucji; następnie jedną z przywódczyń stłumionego garyjskiego powstania, a wreszcie władczynią dwóch oderwanych od świata wysp. Wiedziała o niej to, czego tylko mogła się dowiedzieć — ale, choć umiała zdobywać potrzebne wiadomości, to żadna wiedza nie mogła zastąpić spotkania z żywym człowiekiem.

Jednak zamiast księżnej przyjął ją mężczyzna.

Najstarszy z mędrców Szerni, Tamenath, był przyjacielem Gotaha. Kesa nigdy nie poznała tego niezwykłego, olbrzymiego starca, który zmarł, jakby ustępował miejsca Przyjętej... Lecz Tamenath powierzył Gotahowi tajemnice swego długiego życia, ten zaś powtórzył wszystko żonie. Kesa-Przyjęta nie wiedziała na pewno, ale miała prawo podejrzewać, że stojący przed nią niewysoki mężczyzna w schludnym, lecz prostym stroju, to Raladan, mążzonek pani Alidy, najlepszy żeglarz świata, legendarny już za życia pilot znający każdą podwodną skałę w każdym morzu Szereru. Przyjaciół Tamenatha-Przyjętego; przybrany ojciec księżniczki Ridarety; w ogóle zaś nie tyle człowiek, co istota powołana do istnienia przez Bezmiary, za sprawą niezwykłego fenomenu i w niejasnym celu... a może bez celu? Krótko mówiąc, ktoś intrygujący. Co najmniej na miarę niezwykłej małżonki.

Ale książę Raladan — podobno — bardzo rzadko przesiadywał na Agarach, spędzając w domu właściwie tylko miesiące jesienne, gdy pełnomorska żegluga zamierała. A teraz był środek wiosny. Kesa

pomyślała, że mogąc poznać tego człowieka, ma szczęście... albo pecha. O swoich sprawach wolałaby pomówić jednak z księżną Alidą.

Milczał nie dłużej i nie krócej niż doroński Księżę Przedstawiciel.

— Zechciej usiąść, pani — powiedział, odprawiając gestem stojącego przy drzwiach żołnierza, a w zamian przywołując ładną niewolnicę z pismem, w którym Przyjęta rozpoznała własny list polecający.

— Wasza wysokość — powiedziała.

Pokiwał głową („tak, tak, tak...”); nie było w tym żadnej udawanej niedbałości, a tylko szczerą niechęć mądrego, ale jednak prostego człowieka, do wszelkich ceremonii i tytułów. Wziął pismo i popatrzył nań, ale tak, jakby nie czytał.

— Słabo czytam — powiedział, unosząc wzrok. — Kapitanowi okrętu czasem się to przydaje, ale nie tak znów często. Nazwy na morskich mapach to właściwie wszystko, co czytam, a prawdę mówiąc, obyłbym się bez nazw. A w rejestrach żaglowców więcej jest symboli niż słów, karakę oznacza się tak — narysował w powietrzu i przekreślił kółko — kogę tak, a to będzie karawela rejowa ze skośnym na bezanie... Przez całe życie nie nauczyłem się porządnie czytać. Składam litery i... — zawahał się — sylaby?...

Uśmiechnął się.

— Ale na szczęście dartańska niewolnica z dobrej hodowli czytać umie we wszystkich językach świata. — Podziękował skinieniem dziewczynie w kusej szatce; niewolnica ukloniła się i wyszła. — Agary nie są wyjątkiem — dorzucił trochę od rzeczy. — Także i tutaj niewolnik-mężczyzna jest zbyt cenny, by go używać do domowych posług. Wszystko robią kobiety.

— Ale radzą sobie przecież?...

— Tak.

Trudno to było uznać za podtrzymanie rozmowy.

Raladan odgarnął nieco fałdy szerokiej męskiej spódnicy i wygodnie usiadł na krześle, zakładając nogę na nogę, łokieć zaś opierając na stole. Chociaż żeglarz — to, na szczęście, nie biegał na bosaka; miał skórzane buty z miękkimi szerokimi cholewami sięgającymi wysoko nad kolana, warte więcej niż cała reszta stroju. Ale Kesa uznała, że i gospodarz, i jego strój pasują do wnętrza, urządzonego na armektański sposób, gustownie

lecz niebogato — choć, skądinąd, porozwieszane na ścianach okazy broni mogły kosztować sporo. Większe wrażenie zresztą robiły trofea... hm, myśliwskie?... Olbrzymie szczęki rekinów albo podobnych ryb stanowiły trofeum myśliwskie czy rybackie? Podczas morskiej podróży Kesa widziała rekiny. W sieć ani na wędkę tego nie złowiono.

Łowieckie; trofea łowieckie. To było najlepsze słowo.

— List jest do jej wysokości Alidy, ale muszę wystarczyć ja — rzekł gospodarz. — Mówię o moim czytaniu, bo powinnaś wiedzieć, pani, że skazana jesteś na rozmowę z kimś, komu wszystko trzeba będzie wytłumaczyć, i to może nawet dwa razy. Polityka... Do tej pory załatwiłem to i tamto, ale z polityką te sprawy nie miały nic wspólnego. Nic nie wiem o polityce. Dartan ma własną królową, to dla mnie najświeższe wydarzenie polityczne. Ale słyszę, że sprzed trzech czy czterech lat.

Na pewno przesadzał. Ale nie za bardzo. Dlaczego więc to on właśnie przyjmował specjalną wysłanniczkę, której handlowe pełnomocnictwa były przykrywką aż ostentacyjnie nieprawdziwą?... Przyjęta potrafiła czytać w gestach, spojrzeniach, słowach — a i między słowami — z biegłością, której sprostać mogło bardzo niewielu. To nie nadmiar zajęć był przyczyną nieobecności księżnej. I nie podróż.

— Czy jej wysokość... jest chora? — zapytała ostrożnie.

— Jej wysokość zmarła miesiąc temu. Wszystko, co ustaliła z kimkolwiek, na przykład z tobą, pani, zmarło razem z nią. Rozmowy na jakikolwiek temat trzeba teraz prowadzić ze mną.

Kesa milczała przez bardzo długą chwilę.

— Wasza wysokość, jest mi naprawdę przykro. I nie wiem co powiedzieć.

— Cokolwiek, byle nie „wasza wysokość” — szorstko odparł mężczyzna. — Zgaduję, że flota, z którą Agary pozostają w dobrych stosunkach, może komuś się przydać. Komu i za ile, wasza godność? Rozmawiasz z kimś, przed kim czuje respekt kilka tysięcy najemników pływających na własnych okrętach. Nie mówię „z dowódcą najemników”, bo nim nie jestem, te żaglowce mają własnych dowódców i zawijają do Aheli tylko dla własnej korzyści, jest to bowiem jedyny port, gdzie można przeczekać jesień i sprzedać wszelkie towary bez głupich pytań o to, skąd pochodzą. Niczego nie mogę tym ludziom nakazać. Ale mogę

kapitanom przedłożyć propozycje, które, jeśli będą dla nich ciekawe... No cóż, dzisiaj jest to flota piracka, a jutro, być może, kaperska. Korsarstwo bywa bardziej intratne niż piractwo.

Ten człowiek, jeśli nawet nie był mężem stanu, to tym bardziej nie był prostakiem ani głupcem. I Kesa, przygotowana na „zabawę w słówka” z intrygantką taką, jak jej wysokość Alida, zrozumiała, że z wdowcem po księżnej niczego w ten sposób nie wskóra. Trzeba było rozegrać rzecz inaczej. Zupełnie, zupełnie inaczej. Ale czy potrafiła?..

Przed przybyciem na Agary uzbroiła się najlepiej jak umiała, a teraz w jednej chwili okazało się, że cały oręż trzeba wyrzucić, bo jest bezużyteczny. Skąd miała wziąć nową broń? I jaką?

Słowo w słowo powiedziała to, co pomyślała.

— Ale czy potrafię? — zakończyła. — Każde pertraktacje to potyczka, a ja nie mam żadnego oręża. Wysłano kobietę do kobiety, dyplomatkę do intrygantki, niewolnicę do prostytutki. A tymczasem do ciebie, panie, należało przysłać po prostu jakiegoś mądrego żołnierza, najlepiej dowódcę eskadry straży morskiej. Lepiej by się z tobą porozumiał, ty zaś z nim.

— Co znaczy: niewolnicę?

Zauważył. Zdradził się z tym, więc naprawdę nie był intrygantem. Wyłowił jedno słowo spośród wielu — więc naprawdę był spostrzegawczy. Upewniwszy się co do obu tych rzeczy, Przyjęta wyjaśniła zwięźle:

— Urodziłam się w hodowli; uzyskałam certyfikat Perły. Kilka lat temu zostałam wyzwolona.

— Dartańska Perła — powiedział.

Prostak popatrzyłby z wyższością — niewolnica to niewolnica; droga, tania, wyzwolona... przecież to wszystko jedno. W gruncie rzeczy.

Raladan odchylił się na krześle, splatając dłonie na kolanie. Od wielu lat nie parał się handlem żywym towarem, ale kiedyś, spieniężając nielegalnie pochwyconych niewolników, bywał w dartańskich hodowlach. Widywał Perły i rozmawiał z nimi, bo nierzadko reprezentowały właściciela.

— Zrobimy tak, wasza godność: ponieważ żadne z nas nie potrafi rozmawiać językiem drugiego, nie będziemy rozmawiać wcale. Powiem swoje, potem ty swoje i rozstaniemy się. A jutro dam odpowiedź: tak albo

nie.

— Chyba wiem, do czego zmierzasz, panie.

— Bardzo dobrze. No to mówię swoje: wprawdzie jesteś tylko pełnomocniczką potężnego kupieckiego przedsiębiorstwa — skinieniem głowy pokazał leżące na stole pismo — ale rozmawiamy w cztery oczy, więc problemy handlu bławatnego zostawimy w spokoju. Wiemy, czego chcesz: floty, która puści na dno wszystko, na czym będą pływać garyjscy rebelianci. Mówię: możesz ją mieć, ale nie za darmo i nie myślę o pieniądzach. Pieniądze będą potrzebne żeglarzom, których weźmiecie na swój żołąd; teraz mowa o zysku pośrednika. Agary mają dużo pieniędzy, wasza godność, więc pośrednik ich nie potrzebuje. A czego potrzebuje? Ty mi to powiedz, pani, bo ja nie wiem. Wiedziała moja żona, lecz nie ja.

Przyjęta przypomniała sobie respekt, z jakim kapitan jej statku wypowiedział się o nowych, uzbrojonych w wiele dział okrętach agarskich. Przypomniała to sobie dlatego, że jej misja właśnie szła na dno niczym kamień, zgruchotana salwą z najbliższej odległości. Na zaproponowanych warunkach (zaproponowanych? narzuconych siłą!) mogła pewnie skaptować dla Przedstawiciela dwadzieścia lub trzydzieści żaglowców. Ale w żaden sposób nie mogła załatwić własnej sprawy. Gdzie tu było pole do negocjacji, targów, układów... do rozmów, do wymiany setek i tysięcy słów, spomiędzy których dałoby się wyciągnąć bodaj imię księżniczki Ridarety?... W jaki sposób miała się choć otrzeć o właściwy powód swojego przybycia na Agary?

— Czego potrzebują Agary? Może lepiej wyjaśni ci to, panie, księżniczka Ridareta? To ona prowadziła pertraktacje...

— Z tobą, pani?

— Nie...

— Oczywiście, że nie z tobą, bo wiedziałabyś wówczas, że księżniczka Ridareta była tylko wysłanniczką księżnej Alidy. Mówiła to, co jej kazano, i wracała z odpowiedzią na Agary. Nie prowadziła własnej polityki, nawet jeśli tak to wyglądało. Ale wątpię, by tak wyglądało.

Pustka. Nicość. Kesa pochwyliła pełną garść powietrza.

— Może nadal powinna to robić? Pośredniczyć...

— W czym? Pertraktacje właśnie się kończą. Powiedziałem swoje, teraz czekam, co ty powiesz, pani. Ja odpowiem i będzie po sprawie. Załatwimy wszystko od ręki albo wcale.

— Trudno to nazwać polityką.

— Więc nazwijmy to inaczej, wasza godność — zgodził się jak najuprzejmiej.

— A jednak polityczne...

Przerwał jej.

— Przyplłynęłaś na Agary, wasza godność, po flotę czy pobawić się w politykę? Flotę możesz dostać, ale zabawy nie będzie, bo ja nie potrafię bawić się w ten sposób. Jestem żeglarzem i rozmawiaj ze mną jak z żeglarzem, pani. Ostatecznie jak z dowódcą najemników, chociaż mówiłem, że nim nie jestem. Ale to ułatwi porozumienie, bo pertraktacje z najemnikiem to chyba nie polityka? Pytam: co mi proponujesz w zamian za flotę, wasza godność? Chcesz tę flotę czy nie?

— Znasz, panie, odpowiedź.

— A więc chcesz. I w zamian dajesz... — zawiesił głos.

— To sprzedawca wyznacza cenę, nie nabywca.

Westchnął. I skinął głową.

— No dobrze. Chcę gwiazdkę z nieba — oznajmił. — Nie dostanę? Trudno. W takim razie, co mogę dostać? Potargujmy się.

Może nie był politykiem — ale jakim negocjatorem! Kesa traciła grunt pod nogami. Jakakolwiek konkretna odpowiedź oznaczała, że jutro pora wracać na Garrę. Z dobrą wiadomością albo złą, ale obchodzącą tylko Księcia Przedstawiciela.

— To nie takie proste, wasza wysokość — powiedziała bezradnie, bezbronna jak nigdy w życiu, spychana w tył krok po kroku. Nie miała pojęcia jak odzyskać inicjatywę, którą ten mężczyzna tak... właśnie po męsku, stanowczo, wyjął jej z rąk. I ani myślał oddawać.

Patrzył na nią w milczeniu.

— Zaczyna mi się wydawać, wasza godność, że Książę Przedstawiciel wysłał z misją niewłaściwą osobę... Czy na pewno zależy ci na tym, żeby Wieczne Cesarstwo zyskało flotę kaperską? A może ma ją zyskać ktoś inny?...

Chybił, ale musiała skorzystać z możliwości przeciągania rozmów. To stwarzało przynajmniej cień szansy przeniesienia ich na inny grunt.

— A jeżeli tak? — desperacko skorzystała z otwartej furtki, bo było jej w końcu obojętne, kto zyska tę flotę. Najlepiej, żeby nikt jej nie zyskał; nie po flotę przyplłynęła na Agary.

Wzruszył ramionami i wtedy wreszcie do niej dotarło, że przecież rozmawiają o... najemnikach.

— Mhm — zaakceptował. — I co proponuje ten „ktoś inny”?

Kesa za plecami miała już tylko mur.

*

Poselstwo nie było oficjalne i Kesa, choćby chciała, nie mogła skorzystać z gościnności księcia Agarów, który wprowadził zaproponował jej pałacowe pokoje, ale tak jakby wiedział, że jest to czcza uprzejmość. Przyjęta wynajęła całe piętro w najlepszej gospodzie w mieście, sypiąc srebrem tak hojnie, że dwaj najemcy izb zgodzili się przenieść gdzie indziej. W dużym i naprawdę gustownie urządzonej pokoju jej godność rzuciła się na łóżko i... rozpląkała ze złości jak dziecko — upokorzona, bezradna i rozgoryczona. Kiedyś podejmowała doniosłe decyzje i prowadziła trudne rozmowy — jeszcze jako Perła Domu przyszłej królowej Dartanu; potem jako Przyjęta mierzyła się z tajemnicami, których umysł zwykłego człowieka w ogóle nie umiał objąć. Czy była zadufana w sobie? Nie, po prostu znała swoją wartość, miała zaufanie do wiedzy, potrafiła używać rozumu. Czy prowadzenie pertraktacji z jakimiś samozwańczymi suzerenami winno jawić się jej jako wielkie wyzwanie?

A jednak mu nie sprostała. Gorzej: wyszła na głupią. „Zdecyduj się w końcu, wasza godność, kogo reprezentujesz i co masz do powiedzenia” — rzekł spokojnie, ale jednak karcąco, gdy zaczęła wycofywać się z tego, co oznajmiła wcześniej. „Mam dużo czasu, ale nie aż tyle, by ucinać sobie próżne pogawędki z gadułą”. I mogła to tylko przełknąć.

Przedstawiła ofertę Księcia Przedstawiciela.

Nikt jej nie wyganiał z Agarów. Jednak nazajutrz miała zgłosić się do pałacu po odpowiedź — taką lub ową, w każdym razie na pewno ostateczną, bo stanowczość księcia poznała już na tyle, żeby wiedzieć, czego się spodziewać. W związku z tym było zupełnie jasne, że dalszy jej pobyt w Aheli wywoła co najmniej zdziwienie. „Śmieszka” wypływała w powrotny rejs za dwa dni, zmierzając do Dranu, a potem do portów zachodnioarmektańskich. Dostojna pasażerka musiałaby chyba udawać chorobę, i to chorobę poważną, by odmówić wejścia na pokład i przedłużyć pobyt na Agarach.

Czas! Chociaż tydzień. Gdyby żyła księżna Alida, rozmowy trwałyby

dłużej, bo wysłanniczka Księcia Przedstawiciela miała dla ambitnej agarskiej władczyni różne ciekawe sugestie, zawołowane propozycje, niedopowiedzenia... Dla polityka — wszystko, istny ocean możliwości. Lecz dla najemnika — nic.

Udawana choroba nie wchodziła w rachubę. Ale może jakieś kłopoty ze statkiem?... Kapitan był człowiekiem Trybunału Imperialnego, z grubsza wtajemniczonym w misję „jej wysokości”. Przyjęta jak najstaranniej usunęła z twarzy ślady łez, wezwała służkę i zażądała stroju stosownego do spacerów po mieście, bo szata odpowiednia do rozmów z władcą wyspy nie spełniała tego warunku. Wkrótce, w spiętej pasem długiej czarnej spódnicy i jedwabnej koszuli, na której pysznił się wiązany z przodu, haftowany czarnymi nićmi kaftanik, w asyście dwóch żołnierzy i przybocznej niewolnicy, Kesa zmierzała w stronę portu.

Nadal zwracała uwagę. Towarzyszył jej mniejszy orszak i nie było sukni wołającej „kosztowałam pięćdziesiąt sztuk złota!”, ale wyniosłej urody nie dało się zostawić w gospodzie. Jakkolwiek skromnie upięte były włosy; jakkolwiek brakowało klejnotów — wysoka szczupła blondynka o urodzie (no, przecież!...) hodowlanej dartańskiej Perły, z wygiętymi w wąskie łuki brwiami i spojrzeniem zginającym karki, nigdzie nie mogła pozostać niezauważona.

Jeden z żołnierzy pobiegł przodem, dopytał się o drogę i wrócił, po czym poprowadził tak, by pani nie musiała przebijać się przez przykry, cuchnący rybami i nie wiadomo czym jeszcze tłum na przyportowym targowisku. Jak na niewolnicę z certyfikatem Perły, Kesa miała bardzo bujne życie, kilkakrotnie zmieniali się jej właściciele (w przypadku Pereł rzadkość) i nie wszyscy byli łaskawi — zaznała niewygód, upokorzeń, bywała zaniedbana. Ale „zaniedbanie” w domu dartańskiego magnata-utrójusza w jakiej niby stało proporcji do spaceru po targowisku? Kesa tylko raz w życiu dotknęła ręką lnianej koszuli i nie mogła uwierzyć, że w coś podobnego można się przyoblec, nie kalecząc ciała. To „coś”, takie... płótno?... nadawało się najwyżej na worek.

Prawdę mówiąc, Gotah, mędrzec-Przyjęty zwany czasem Podróżnikiem, niewybredny, przywykły do niewygód, z nowo poślubioną żoną miał najpierw same kłopoty. Bardzo chciała być dzielna, ale nie zawsze rozumiała, czego mąż od niej wymaga i dlaczego, na koniec, nie prowadzi jej do swojej sadyby w Romogo-Koor, tylko za jej posag kupuje przestronny dom w Dartanie.

Niewygody morskiej podróży Przyjęta zniosła z godnością, choć, co prawda, kajutę kazała specjalnie wyposażyć. Poza tym, wyruszając w drogę, zabrała ze sobą kilka zmian pościeli, bo zachodziła obawa, iż najlepsza gospoda w Aheli nie dysponuje niczym odpowiednim (o dziwo, dysponowała). Teraz jednak Kesa wolała ominąć rynek, bo w tłumie nietrudno było zostać przez kogoś potrąconym. Wcześniej, opuszczając port, miała liczniejszą asystę, która mogła odgrodzić ją od ciżby kordonem.

Targowisko zostało z boku, potem z tyłu. Idący przodem żołnierz wkrótce pokazał ręką, ale i bez tego Przyjęta poznała smukły kadłub „Śmieszki” — i po cichu bardzo była dumna, że ma takie „żeglarskie oko”. Maszty u nabrzeży tworzyły istny las. Handlowych statków w Ahelskim porcie cumowało bez liku; podobnego ożywienia należało szukać dopiero na kontynencie, bo żaden port wyspiarski bądź garyjski nie umywał się do tego tutaj. Było niemożliwe, by tak prężny handel opierał się jedynie na zrabowanych towarach. Miniaturowe księstwko z całą pewnością prowadziło też legalne interesy. Przyjęta przypomniała sobie, że mówiono jej o łowiskach wielorybów i kopalniach — a z drugiej znów strony, na Agarach na pewno nie było dobrej ziemi uprawnej, podobnie rzecz się miała z lasami, więc mąkę, drewno opałowe, węgiel drzewny i wiele innych produktów należało sprowadzać. Przy takiej sile nabywczej, jaką miały zamożne Agary, był to rynek nieobojętny dla największych kupieckich przedsiębiorstw Szereru.

I Kesa zdała sobie nagle sprawę z tego, co ogląda. A oglądała narodziny morskiego imperium, które wkrótce miało objąć wszystkie Wyspy, najprawdopodobniej także Garę, i stać się przeciwwagą dla mocarstw kontynentalnych. Mocarstw albo raczej mocarstwa, bo Armekt i Dartan na pewno nie mogły pokojowo współistnieć. Szerer był za mały dla dwóch takich państw. Przyszłość miała więc należeć do dwóch imperiów: morskiego i kontynentalnego. O ile świat pod walczącymi nad

niebem potęgami w ogóle miał jakąś przyszłość.

Kesa przypomniała sobie, jaki jest jej prawdziwy cel przybycia do Aheli. Przyjemnie było o tym nie myśleć, tylko bawić się w zgadywanie, jak dalej potoczy się historia... A tymczasem, już w zasięgu jej życia, nastąpić mógł koniec historii.

Na mijanym dużym żaglowcu, cumującym nie dalej jak dwieście kroków od „Śmieszki”, prowadzono jakieś prace; nie odbywał się tam chyba zwyczajny załadunek zapasów albo towarów, bo żaglowiec daleki był od gotowości do wyjścia w morze, co poznała nawet Przyjęta: brakowało części olinowania, które najprawdopodobniej w całości wymieniano; te liny, które już były (spamiętanie ich nazw wydawało się niepodobieństwem), wyglądały na całkiem nowe. Umorusani i zdyszani mężczyźni, pokrzykując rytmicznie, zmagali się z grubym sznurem, który przepleciony przez bloczki, podtrzymywał gigantyczną beczkę, wypełnioną nie wiadomo czym — jeśli sądzić po wysiłku robotników, to na pewno ołowiem. Beczka kołysała się nad pokładem. Kilku ludzi pochwyciło oplatające ją liny i kierowało ciężar do otwartego luku ładowni. Przyjęta i jej mały poczet ostrożnie omijali robotników i grupkę gapiów, z których każdy — jakże by inaczej — miał własne zdanie na temat usprawnienia załadunku.

Uczepieni liny mężczyźni runęli na ziemię wprost pod nogi Kesy. Lina pękła; rozkołysana nad pokładem beczka spadła nań z hukiem. Żelazne obręcze wytrzymały i potworna baryła stoczyła się z krawędzi luku, miażdżąc nogi człowieka, który chwilę wcześniej próbował nią kierować. Mężczyzna zawył ochryple; musiał przeżywać katusze, jakby obdzierano go ze skóry. Tu i tam rozbrzmiały okrzyki, wszczęło się poruszenie, nad którym zaraz wziął górę nieprzytomny rechot wydarty z kilkudziesięciu gardeł. Wokół krzyczącego, tłukącego ramionami o pokład nieboraka w szarej koszulinie robotnika portowego zbierać się zaczęła załoga żaglowca. Jakiś dowcipniejszy od innych marynarz w mgnieniu oka wytrzasnął skądś parę starych chodaków — pewnie zdjął je z własnych brudnych nóg — i jął jak najzyczliwiej wręczać półprzytomnemu biedakowi, który wciąż dławił się krzykiem. To przepełniło czarę; majtkowie wręcz wyli ze śmiechu. Przerażona Kesa, która nie myśląc o tym, co robi, biegła już nieszczęśnikowi z pomocą, stanęła tuż przy trapie, niezdolna do uczynienia kolejnego kroku. Na jej

oczach rozgrywał się koszmar; niewyobrażalna była podłość tych szubrawców, którzy z męczarni i dożywotniego kalectwa — czy nie śmierci? — nieszczęśliwego człowieka urządzili sobie widowisko i zabawę.

Na rufowym kasztelu rozbrzmiał gniewny okrzyk, tak silny, że przebił się przez śmiech. Jakiś wielki mężczyzna z pałką w dłoni schodził na główny pokład, zaraz za nim szedł jeszcze jeden, a na końcu kobieta. Znalazszy się na dole, wielkolud jął grzmocić pałką każdego, kto stanął mu na drodze, i majtkom w jednej chwili przestało być do śmiechu. Rzucono się do ucieczki. Kobieta krzyknęła coś gniewnie i ci, co byli najbliżej, z miejsca zawrócili. Przetoczono beczkę, uwalniając straszliwie zmiażdżone nogi leżącego. Dwaj marynarze bezceremonialnie porwali go za ramiona i skowyczącego powlekli na nabrzeże, gdzie został porzucony niczym worek. Podbiegli doń robotnicy, którzy wcześniej trzymali linę.

— Nigdy nie wypłyniemy! — zawołała z gniewem kobieta, zamierzając się tak, jakby chciała trzasnąć w łeb najbliższego marynarza. — Robota?! To jest gównno, a nie robota!

Marynarz uchylił się i uciekł. Znalaziono już nową linę i przywiązywano do beczki tak spieszenie, jakby za każdą straconą chwilę groziło dziesięć kijów. Kobieta ze złością kopnęła szmatę przyklepioną do kałuży krwi na pokładzie, po czym popatrzyła na stojącą przy trapie Kesę. Zdziwiła się. Uważnie obejrzała strój Przyjętej, zerknęła na towarzyszących jej żołnierzy i pobladała, ale bardzo spokojną przyboczną niewolnicę.

— Skąd ktoś taki na tej wyspie, wasza godność? — zapytała z nietajoną ciekawością, spoglądając spod ciemnozielonej, skrywającej lewe oko przepaski. — Chyba od niedawna?

Kesa milczała, z głośno bijącym sercem patrząc na istotę, dla której przepłynęła Bliski Bezmiar Wschodni. Spotkanie było zbyt nagłe. Więc tak... więc rzeczywiście tak właśnie wyglądała jednooka księżniczka Riolata Ridareta. Pół kobieta, pół Rubin... legendarna dowódczyni piratów; ktoś od kogo zależało, być może, istnienie całego Szereru. Przyjęta nie mogła uwierzyć własnym oczom, bo legenda naprawdę wiernie oddawała rzeczywistość.

Księżniczka zeszła po trapie na nabrzeże. Była w szóstym, siódmym miesiącu ciąży, a poza tym w każdym szczególe wyglądała jak wyjęta z

tawernianej opowieści o piratach. Chodzące wcielenie taniego gustu, złego smaku, tandety... Nosiła pyszną zieloną suknię, albo raczej wspomnienie po sukni, bo rozcięto ją z przodu od dołu aż po stanik: wyzierała spod niej równie świetna, haftowana złotem spódnica, która jednak wydawała się krótka, jako że właścicielka zawiązała ją nie w talii czy choćby na biodrach, ale wysoko nad brzuchem, tuż pod samymi piersiami. Na przedramionach, podobnie jak na kostkach bosych stóp, dzwoniły niezliczone łańcuszki i bransolety, migotały pierścienie na palcach rąk i nóg, a przy uszach kołysały się, nieomal dotykając ramion, wielkie złote koła. Na szyi wisiały perły, złoto, srebro, bursztyny, szmaragdy i co tylko. Czy możliwe, by jakakolwiek kobieta była do tego stopnia pozbawiona gustu?... Przecież miała chyba zwierciadło? Zresztą Kesa przebolełaby wszystko, ale — z jakichś powodów — nie mogła uwierzyć, że przybrana córka chłodnego, rzeczowego mężczyzny, który przyjął ją w bogatym domu, lubi biegać boso z rozpaczliwie brudnymi podeszwami. Dlaczego nie miała butów?... Prości majtkowie dzięki temu lepiej się trzymali na wyblinkach, czy jak tam to się nazywało, ale ona chyba nie musiała łązić po masztach razem z nimi. Czy aż tak zależało jej na pokazaniu, że ma jeszcze więcej pierścionków?...

Kesa zadała sobie w myślach pytanie, czy ten zacietrzewiony głupiec Moldorn na pewno nie miał racji? Czy to dziwne COŚ, co stało przed nią, w ogóle było zdolne do myślenia i rozumienia? Jeśli nawet miało jakiś rozum, to na pewno nie na miarę piersi... O czym mogła z tym kimś porozmawiać? O Szerni; o złamaniu równowagi Pasm i o wynikających z tego zagrożeniach dla Szereru? O matematycznych twierdzeniach Tamenatha i modelach Yolmena?

Co najwyżej o oczkach pierścionków.

Piratka okrągłym ruchem ramienia odgarnęła do tyłu kędzierzawe włosy, których wystarczyłoby dla trzech kobiet, i stanąwszy przed Kesą, spoglądała wyczekująco.

— Są gnuśni i nieuważni — powiedziała spokojnie, wskazując ruchem głowy umorusanych mężczyzn, którzy wciąż się pochylali nad okaleczonym kolegą. — To wypadek, jakich codziennie pełno, w tym porcie albo innym... Wasza godność na pewno nie jesteś osobą, która często bywa na nabrzeżach portowych, więc nie wiesz, jak wygląda praca zwykłych ludzi. Zechciej mi uwierzyć, że ten niezgrabiasz już za trzy

tygodnie będzie najszcześliwszym nierobem na świecie. Teraz nie jest, bo bardzo go boli.

Słownictwo i nienaganna dykcja agarskiej piękności do tego stopnia kłóciły się z wyglądem, że Kesa — tak jak każdy, kto po raz pierwszy rozmawiał z księżniczką — poczuła się zbita z tropu. I więcej, bo oszołomiona.

— Najszcześliwszym człowiekiem na świecie?... A dlaczego tak uważasz, pani?

— A dlatego, że jest zatrudniony przy wojsku. To wojenny okręt — wyjaśniła jej wysokość, wskazując kciukiem żaglowiec za plecami. — Na dodatek bardzo wyjątkowy... bo mój. — Uśmiechnęła się z czymś w rodzaju delikatnej kpiny. — Więc remontuje go wojsko. A tutaj, na Agarach, sprawy mają się tak jak w Armekcie: ten człowiek nie jest żołnierzem, ale pracuje dla wojska, więc wojsko będzie mu teraz płaciło rentę, skromną, ale dożywotnią, za którą sprawi sobie drewnianą platformkę z kółeczkami. Na tej platformce będzie jeździł na piwo do najbliższej karczmy, pił, jadł, gadał byle co... Był ma zabezpieczony, a o nic więcej w życiu mu nie chodzi.

— Trochę srebra w zamian za nogi? Zgodziłabyś się, pani, na taki los?

— Ja nie, i ty też nie, wasza godność. Ale on jak najbardziej. Na ulicach każdego portowego miasta znajdziesz sporo takich żebraków, którzy sami sobie poobcinali palce, żeby łatwiej wzbudzać litość u przechodniów. Nie masz pojęcia, wasza godność, jaka tkwi siła w lenistwie. Mevev! — zawołała przez ramię.

— Kapitana — niewyraźnie odpowiedział mężczyzna zaciągający jedną ręką i zębami supeł na zielonej chustce omotanej wokół przedramienia; ozdoba ta dodatkowo była przewiązana jakimś strzępem, który nie wiadomo co oznaczał — w każdym razie Przyjęta nie wiedziała, choć podobne zielone chustki, przybrane strzępami jakichś starych szmat, dostrzegła u wszystkich majtków na pokładzie.

— Masz pieniądze?

— Ile?

— Daj wszystkie.

Wzięła podaną sakiewkę, przeszła parę kroków i niezgrabnie kucnąwszy, z wydatnym brzuszkiem między kolanami, wetknęła

rannemu pieniądze do ręki. Powiedziała coś, dźwignęła się na nogi i odeszła, odprowadzana żałosnymi podziękowaniami i... uśmiechem. Kaleka śmiał się przez łzy.

— No i już, świat naprawiony — powiedziała do Kesy księżniczka. — Dostał tyle, ile zarabiał przez dwa lata. Gdyby wiedział, że tak będzie, to już dawno spuściłby sobie coś na nogi... Zadowolona jesteś, wasza godność?

Przyjęta nie wiedziała, co powiedzieć. Prowadziła jedną z najdziwniejszych rozmów w życiu.

— Szukasz w porcie, pani, czegoś albo kogoś? Musisz załatwić jakąś sprawę? Pytam, bo mogę pomóc — powiedziała piratka. — Nie jesteś stąd, a ja... właściwie też już nie, więc może porozmawiamy? Co taka osoba robi na Agarach? To nie wścibstwo, tylko... no, może i wścibstwo. Nudzę się, bo nie wolno mi opuszczać portu. Wypływam stąd najwcześniej za tydzień. Z moimi chłopcami jeszcze się nagadam... — Urwała z nagłym zakłopotaniem, co zaskoczyło Przyjętą bardziej niż wszystko, co wydarzyło się wcześniej. — Już sobie idę, zechciej mi wybaczyć natarczywość, pani — powiedziała i zagryzła usta..

— Nie! — zabrzmiało to tak gwałtownie, że Kesa przestraszyła się własnego głosu. — Ja też chciałabym pomówić z waszą wysokością.

— Czyli wiesz, wasza godność, kim jestem.

— Domyśliłam się.

— Trochę szkoda. Chociaż, z drugiej strony, wszystko jedno.

5.

Moldorn nie kłamał, mówiąc, że w tawernach wszyscy się z niego śmieją; kolejne próby zwerbowania najemników nie miały żadnego sensu. Pomimo oporu towarzysza Gotah ruszył z nim do najpodlejszych knajp w Talancie; już w drugiej, na widok rosnącego osiłka (bo kimś takim uczynił się Moldorn) wstał od stołu gruby marynarz.

— Ty! — powiedział, celując paluchem w przybyłego. — Było mówione, cobyś tutaj więcej nie przyłaził! No to, kita! Nam żadnego smrodu tu nie trza. Nikt tu nie chce z tobą gadać, pomyleńcu.

Poparł go zgodny pomruk.

Stojący z tyłu Gotah pociągnął Moldorna za rękaw. I wyszli na ulicę.

Było późno, ale jeszcze widno.

— Wystarczy — powiedział po grombelardzku Gotah; był to język na Wyspach niemal całkiem nieznan, a jeśli nawet, to na pewno nie w „wysokiej” postaci. W brzmieniu podobny nieco do garyjskiego, tak samo gardłowy, obfitował w niezliczone akcenty i przydechy, bez których stawał się nieledwie szkieletem języka — ale w takiej właśnie formie znany był niemal wszystkim Grombelardczykom; wysoki grombelardzki rozumiało bardzo niewiele. — Chodźmy. To naprawdę jest... głupia zabawa, Moldornie. Nic więcej. Posyłamy księżniczce „podarki” w bursztynowych szkatułkach, szukamy jakichś obwiesiów, którzy... To właściwie dziwne, że nikt dotąd nie dogadał się z tobą. Powiedziałyby taki: „Zgoda!”, wziął zaliczkę i śmiał się do rozpuku, a my moglibyśmy najwyżej poszukać kogoś, kto ścigałby już nie księżniczkę, ale naszego najemnika. Czekajmy na wieści z Kirlanu.

— Nie.

— Skoro tylko tyle masz mi do powiedzenia, Moldornie — rzekł Gotah, bo wreszcie trafił go szlag — to siedź tu i baw się po swojemu. Yolmen i ja płyniemy do Llapmy na spotkanie z posłańcem z Kirlanu.

— To dopiero za miesiąc.

— Niecały. Llapma; ładne dartańskie miasto — z zadowoleniem rzekł Gotah. — I jasnowłose, słynące z urody Dartanki. Co drugi statek z Talanty płynie właśnie tam. Idę popytać do portu.

— Niech tak będzie. Gdzie szukać was w Llapmie?

— Nie szukaj.

— Co to znaczy?

— To znaczy, że jesteś błaznem albo durniem, a najprędzej dzieckiem. Żegnamy się właśnie, Moldornie, i rad jestem, że nigdy nie zapytałeś, gdzie w Llapmie będzie nas szukał posłaniec od Rameza. To pozwoli nam uniknąć „przypadkowego” spotkania.

— Odrzucasz moją pomoc?

— Pomoc? Skądże znowu, mędrco Szerni. Pozbywam się tylko kłopotu. Tam jest jakaś karczma. — Gotah pokazał palcem. — Nuże, Moldornie, najemnicy czekają! No idź, idź! A jak znów cię przepędzą lub wyśmieją, to przyoblecz się w kamienną skórę i pokaż im całą swą potęgę! Niech znają, psy, swoje miejsce! Bo nie wiedzą, że Przyjęty to ktoś, kto w bójce musi być górą. O, zobacz! — Kpiąc z Moldorna, Gotah

coraz bardziej rozpałał swą złość, aż na koniec, dojrzwawszy w błocie zgniłą marchew, podniósł ją, złamał na pół, cisnął pod nogi i podeptał, nie zważając na zdumienie przechodniów. Wsparł się pod bok i z najsroźszą miną pokazał, co zostało u jego stóp. — No i jak? Mmm, potęga i sława!... Możesz ułożyć o tym czynie pieśń. „Jak Gotah-Przyjęty zmiażdżył straszną marchew”.

— I mówisz, że jestem błaznem? — zastanowił się Moldorn.

Gotah pokiwał głową i poszedł w stronę portu.

*

Gdy ściągnął na nocleg, nie zastał żadnego z towarzyszy. Stanąwszy w progu izby, zaskoczony, przyglądał się gromadzie nieproszonych (a może proszonych? któż mógł wiedzieć, co wymyślił Moldorn?...) gości. Na krzesłach i skrzyniach siedziały dziwaczne osobistości przywodzące na myśl żeglarzy, ale Gotah nigdy w życiu nie widział tak schludnie odzianych, czystych, bez mała pachnących ludzi morza. Była to gromada jakichś przebierańców w nowiutkich koszulach i kubrakach, niewygniecionych spódnicach, nieskalanych błotem trzewikach... jako że niemal wszyscy byli obuci, dziw nad dziwy. Błyszczały wypolerowane klingi zatkniętych za pasy noży, migotały miedziane okucia mieczowych pochew. Wszędzie widać było haftowane fulary, wyszywane rękawy, starannie założone mankiety, zawiązane na równe kokardki troczki kaftanów i koszul. Nic nie rozumiejący Przyjęty wodził spojrzeniem od twarzy do twarzy, aż zatrzymał je na pomarszczonym obliczu siedzącego za stołem chudziutkiego jak patyczek, maleńkiego starucha. Człowiek ten miał lat co najmniej sto; prawdę mówiąc, wyglądał na sto dziesięć. Pił coś z kubka; o ile Gotah dojrzał, ciecz była bezbarwna, przezroczysta — gorzałka albo woda.

Dziadek za stołem odkaszlnął i powiedział:

— Późno wracasz do domu, młodzieńcze. Bardzo późno. Co? Dziewczynki?

Pierwszy raz w życiu Gotahowi całkiem serio przyszło na myśl, że oszalał. Poznawał wnętrze, sprzęty... Na pewno nie zabłądził.

— Mieszkam tutaj — powiedział ostrożnie.

Dziadyga trzepnął kubkiem o blat stołu, wychlustując część zawartości, i rozkaszał się ze śmiechu. Zawtórowali mu wszyscy prócz Gotaha.

— To dobrze, synku... khe! khe! Aaa... To dobrze.

Śmiechy umilkły.

— Mieszkaj sobie — powiedział stary. — Ja tam wcale z tobą mieszkać nie chcę. Masz sprawę do kogoś, zdaje mi się? Szukasz ludzi, hę? To znalazłeś.

— Nikogo nie szukam.

— Jeśli nie ty, to twój załogant — stwierdził stary. — Taki czarny, chudy... albo barczysty ryzawy, to zależy gdzie go oglądać. Tutaj czarny, w knajpach ryzawy. Obiecywał, niech mnie zarzną, złote góry. No to ja (bo biedny, do stu kurew, widzisz, bardzo jestem) pędzę z końca świata, o mało zem kapci nie zgubił, a on mi mówi, że niepotrzebnie. Że mi zarobić nie da. No, nieładnie.

Staruch spoważniał.

— Słuchaj żesz mnie, Przyjęty. Bawicie się tutaj, jak dzieciaki świeczką w stodole, niech mnie powiesz, jeśli nie. A to nie dla was zabawa. Jest takie żeglarskie powiedzenie, że kto wiatr sieje, zbiera burzę. I ja wam zaraz piękną burzę zrobię. Przypłynął zem tu z Dranu. W Dranie, w tawernie, moi chłopcy posłyszeli od innych, co właśnie stąd przypłynęli, że ktoś, niech mnie utopia, kręci bacik na Ślepą Ridi. Całą drogę stałem na pokładzie i dmuchał zem w grot, coby szybciej tutaj przypłynąć. Tak czy nie, do stu kurew? Rudy, gadaj! — wrzasnął do piegowatego dryblasa z pięknie uczesanymi ognistymi włosami. Rozkaszał się. — Stałem czy nie stałem?! Khe, khe?! Dmuchałem?!

— Nie, kapitanie — rzekł Rudy.

Na chwilę zapadła cisza.

— Nie dmuchałem — przyznał się staruch. — Ale przypłynąłem bardzo szybko. Rudy! Tak czy nie?!

— Tak, kapitanie — rzekł Rudy.

— O! Prawdomówny. Ucz się, młodzieńcze — surowo napomniał gospodarza gość. — Ale o czym to ja... Prawda. Rozejrzałem się tutaj, posłuchałem, popatrzyłem. No, mówię sobie, jeśli Ślepej Ridi szukają nie pomyłkę jakieś, tylko Przyjęci (aż trzech! a ja oprócz łysego Tamenatha na Agarach nigdy zem nie widział Przyjętego!), to znaczy, że można zarobić. Zgłosiłem się, a ten młody czarny... znaczy, w tawernie to on był barczysty i ryzawy... wyśmiał mnie. Dla niego prawdziwy żeglarz, widzisz, musi być młody, brudny, na bosaka i głupi. Ale ty, panie, wasza

godność mądry-Przyjęty, dowodzisz i tym starszawym, i tym czarnym-ryżym-barczystym-wysokim, no to chyba, do stu kurew, rozumu masz trochę więcej. Dogadamy się czy nie? Szybko, panie, bo jak się mamy nie dogadać, to szkoda mi tracić czas. Nie jestem już młody, widzisz, i ze wszystkim bardzo mi spieszno. Gadamy czy nie gadamy? Jak nie gadamy, to palę chałupę, wyrzucam do wody tych twoich załogantów i już se idę, a niech mnie!...

Staruch lubił mówić. Ale do Gotaha dotarło, że wytworna banda w izbie to niekoniecznie przebierańcy. Wyglądało na to, że nie warto stroić sobie żartów. Dziadunio naprawdę sporo wiedział... a w zamian Gotah nie wiedział zupełnie nic. I po raz kolejny rzekł sobie w duchu, że wdali się w paskudną historię. Jak to ładnie powiedział rozmówca: bawili się, niczym dzieci świeczką w stodole. Wyglądało na to, że właśnie przyszedł ktoś dorosły i dzieci teraz będą chowały tyłki do kieszeni.

— Przedstaw mi się, kapitanie. Bo „kapitanie”, tak?

— Rudy? — upewnił się staruch.

— „Kapitanie” — potwierdził Rudy. — To jest kapitan Brorrok.

Gotah nie miał pojęcia, czy powinien choć ze słyszenia znać żeglarza o takim imieniu. Coś mu się obiło o uszy... ale Brorrok to było w tych stronach popularne imię. Już prędzej pamiętał, że mówiono mu o jakimś sędziwym piracie, dziadku wszystkich piratów Szereru. Wyglądało, że to właśnie ten.

— Gdzie są moi towarzysze?

— Bezpieczni, młodzieńcze. Bezpieczni. Starszawemu nic się nie stało, ryżawego-czarnego będzie bolała głowa. Ja żem tego nie musiał robić — wyznał kapitan Brorrok. — Ale jak ryżawy-czarny mnie wyśmiał, tom powiedział sobie, że pokażę mu śmichy-chichy. Ja dużo lat żyję na świecie i byle czego, Przyjęty, to ja się nie boję. Szerń Szernią, a pała pałą, jak gadał łysy Tamenath. Ha! Cośmy razem wypili, on gorzałki, ja wody... Bo w pewnym wieku, widzisz, trunek szkodzi — wytłumaczył Brorrok. — Ty jesteś może... imienia już nie pomnę... ale czy ty, wasza godność, nie jesteś dobry znajomek Tamenatha? Mówił mi o Przyjętym, co go zwą chyba Głupkiem, bo ma skrzywione... no... — Brorrok dotknął kącika ust. — Tak go zwą, ale głupi wcale nie jest.

— O mnie mówił. Znałem Tamenatha.

— Znaczy... umarł? Bo na Agarach go nie ma, tyle wiem.

— Umarł.

— Szkoda, niech mnie zatłuką. Niestary był jesz... No, niby starszy ode mnie... — Brorrok szczerze się zasmucił. — Ja nie liczę tego czasu, co wy spędzacie w Złym Kraju, bo on się liczy jakoś... podziesiątnie. Liczę tylko normalnie, ale nawet tak, to on był starszy. No, no, no... A ty masz ile, wasza godność?

— Siedemdziesiąt parę.

— Młodyś.

Brorrok powiódł wzrokiem dookoła.

— Ładnie posprzątane tu macie; znać, że żadna baba nie mieszka. No, ale dobra, bo my tu gadu, gadu.... Skoro już się tak dobrze znamy, to nie będziemy pierniczyć trzy po trzy. Chcecie Ślepą Fokę czy nie? Ja się jej nie boję, tylko nie wiem jak zrobić, żebyście wiedzieli, że dotrzymałem umowy. Ucięty łeb w beczułce, bez jęzora i z wydłubanym drugim ślepiem, żeby nie gadała i nie patrzyła się. Bo od tego jej gadania i patrzenia czasem jest paskudnie, ona różne sztuczki potrafi... Może być?

Gotah wzdrygnął się mimo woli; otaczający go schludni piraci dostrzegli to i kilku uśmiechnęło się półgębkiem. Nie zanadto, bo kapitan mógłby się rozgniewać... Jakkolwiek groteskowa wydawała się postać starca, Gotah znał się na ludziach i już swoje wiedział. Powinien mieć się na baczności, to naprawdę nie były żarty. Po pierwsze, Brorrok miał Moldorna i Yolmena, a po drugie, nawet gdyby się dało pozabijać wszystkich w tej izbie... Gotah nie wiedział, czy potrafi coś takiego zrobić, bo jeszcze nigdy nikogo nie zabił. I nigdy nie użył sił Szerni. Nie wiedział, do jakich obszarów Pasm się odwołać, a łatwo tu było zrobić błąd. Tylko pomyleniec — jak Moldorn — mógł bawić się w coś, co przypominało otwieranie skrzyń z nieznaną zawartością. W jednej piasek zamiast spodziewanego oręza; w drugiej dwa głodne wilki, a w trzeciej morowe powietrze... Moldorn szukał, przeżył szukanie... i parę rzeczy znalazł. Gotah nigdy nie odważył się szukać.

A zresztą, choćby nawet pozabijał tych ludzi tutaj, to oznaczało tylko tyle, że nazajutrz skona w zaułku, grzmotnięty maczugą w potylicę. Szerń była Szernią, a pała pałą, jak mądrze powiedział Brorrok. I — prawdopodobnie — Moldorn już o tym wiedział.

Gotahowi zachciało się śmiać.

— Łeb w beczułce, mówisz, kapitanie. Może być — powiedział.

— Co ona wam zrobiła? — zaciekawił się Brorrok.

— Coś... ukradła.

— I chcecie to z powrotem? Co to jest?

— Już nic. Przepadło i nie chcemy tego z powrotem. Chcemy tylko, żeby więcej nie kradła... Co z moimi towarzyszami?

— Kłopot, hm — powiedział Brorrok. — Zwykle to jest tak, widzisz, że za robotę dawany jest zadatek, a cała reszta potem. Ale Ślepa Ridi?... To raz. A dwa: te twoje załoganty, do stu... Dasz trzy razy tyle, coście obiecywali. Wszystko z góry. Ja dotrzymam słowa. A twoich wypuszczę, nawet dziś. Nie, nie dziś, bo późno już i pora spać... — zmitygował się Brorrok. — Zdrowo jest kłaść się wcześniej i wstawać o świtaniu. No, to jutro. Jutro ty dasz złoto, a ja wypuszczę twoich. I od razu płynę, bo stary jestem i nie mogę tracić czasu na nicnierobienie. Dobry interes ubijamy, nie?

— Nie — powiedział Gotah.

— Nie? Znaczą się: niedobry czy że nie ubijamy?

— Niedobry. I nie wiem, czy ubijamy.

Brorrok westchnął.

— Rudy, gadaj z nim — rzekł. — Ja już, do stu kurew, nie mam cierpliwości. Jednak dobrze nazwali go Głupkiem. Ja się zdrzemnę, ty mu powiedz po swojemu. Bo starego to on nie słucha.

Zamknął oczy.

— Kapitan boi się Przyjętych — rzekł Rudy.

— O! — powiedział Brorrok, unosząc palec, ale nie otwierając oczu.

— O północy już nie będzie o czym mówić — wytłumaczył Rudy. — Kapitan nie wie, co możesz zrobić, wasza godność, bo jesteś Przyjętym i może nawet potrafisz czytać nasze myśli, więc na wszelki wypadek kapitan kazał o północy zabić twoich towarzyszy. Kapitan jest uprzejmy...

— O! — powiedział Brorrok.

— ...I nie chciał po prostu powiedzieć, że twój towarzysz, wasza godność, wyśmiał go i obraził, więc musi ponieść karę, bo nikomu tego nie wolno robić. To bardzo, bardzo nieładnie.

— Nieładnie! — rzekł z naciskiem Brorrok.

— Wykup towarzysza od kary, wasza godność, dorzuć nawiązkę w postaci dobrze płatnego zlecenia i będziemy kwita. Północ blisko.

— A gdybym nie wrócił do północy?

— To nas już by tutaj nie było. Powiedz tak albo nie, ale pospiesz się trochę, wasza godność, bo jeżeli egzekucji ma nie być, to powinniśmy już iść. Kapitan, wasza godność, nie jest młody i nie może biegać.

— W żadnym razie kapitan nie może biegać — powiedział Brorrok i otworzył oczy. — No to, młodzieńcze, tak czy nie? Było siedzieć spokojnie na zadku i nie bawić się świeczką w stodole. Wpierniczyłeś się, teraz gadaj: tak czy nie?

Gotah pokiwał głową. Miał z Moldornem do pomówienia.

— Niech będzie. Ale nie trzymam tutaj pieniędzy.

— A gdzie trzymasz?

Gotah policzył w myślach.

— Zgoda, dam trzy razy więcej, niż było obiecywane. Ale tylko połowę teraz, resztę po robocie.

— O, uczciwy targ! Takie coś to lubię, targować się zawsze trzeba. Ale ja chciałbym dostać wszystko teraz.

— Nie, bo nie mam — twardo powiedział Gotah. — Mogę mieć, ale za miesiąc, dwa.

— Hm... Do ręki, powiadasz, dasz dwa razy więcej, niż mówił czarny-ryżawy?

— No... prawie dwa razy więcej — troszeczkę ustąpił Gotah.

— A potem, mówisz, resztę?

— Jak dostanę beczułkę i sprawdzę, co jest w środku.

— No dobra.

— Tyle ile obiecałem z góry, mogę mieć najprędzej za trzy dni.

— Przyjdziemy za trzy dni — powiedział Brorrok. — Ty zostajesz. — Pokazał palcem marynarza na skrzyni. — Po północy on też sobie pójdzie — wytłumaczył. — Chodzi o to, młodzieńcze, że wiesz...

Gotah wiedział. Nie miał pojęcia, jak śledzi się ludzi w mroku, ale Brorrok miał prawo być ostrożny.

— Wypuście chociaż jednego. Yolmen jest stary...

— E, taki tam stary... Bez niczyjej pomocy chodzi, taki stary. Mamy umowę i nic już nie zmieniamy, Przyjęty.

— Idziemy — rzekł Rudy do kompanów podpierających ściany.

— Jeszcze jedno słowo, kapitanie.

Brorrok spojrzał wyczekująco.

— Nie lubisz jej. Dlaczego?

— Nie lubię — potwierdził starzec. — Bo to nie jest żaden marynarz. Żaden pirat. Zakąta. Smród, brud, zbieranina. Śmierdzący żaglowiec, a na nim wypierdki. Znał żem jej ojca, prawdziwego, bo Raladan to tylko jej ojcuje... To był ktoś! To był żeglarz! Wojownik! — Brorrok rozkaszał się. — A co po nim zostało? Gównno. Bo tak cesarscy na nią wołają: nie Ślepa Ridi, nie Foka, tylko Gównno. Nie słyszałeś? A ja, do stu kurew, pływam po tych morzach. Jeszcze pływam. I jak przestanę, to nie chcę, żeby... A, co ci tam będą gadał! Zapłacisz? To dostaniesz jej łeb.

Brorrok wsparł się na ramionach dwóch majtków. Po chwili izba opustoszała. Wtedy skrzypnęły nieodkryte drzwi drugiej izby i Gotah aż uśmiechnął się krzywo... Dwaj czyści, wymyści żeglarze, każdy z tęgą kuszą, minęli go bez słowa i także zniknęli. Zerknąwszy w ciemne okno, Gotah zastanowił się, czy dwaj inni strzelcy nie siedzieli w domu po drugiej stronie ulicy... Dwadzieścia kroków. Najprawdopodobniej byłyby trupem, gdyby tylko przyszło mu do głowy coś głupiego.

Znudzony majtek na skrzyni towarzyszył mu przez jakiś czas, wreszcie wyniósł się i on. Gotah mógłby przyjąć każdy zakład, że nie poszedł tam, gdzie pozostali.

Było całkiem jasne, dlaczego sędziwy Brorrok dożył swego wieku. Ten człowiek nie był głupcem: miał rozum, spryt... i chyba wszystko, co trzeba. Niewiele wiedział o możliwościach Przyjętych, ale na pewno umiał dbać o swoją skórę.

W pustej izbie filozof-historyk Szerni wygodnie rozsiadł się za stołem, na miejscu opuszczonym przez Brorroka, i zaczął wreszcie chichotać sam do siebie, choć skądinąd wcale nie było mu do śmiechu. Dziecko ze świeczką... W stodole. Gdyby stu takich mądrali jak on, wymachując Szernią, rzuciło się na wytworną załogę Brorroka, to kilku pewnie by się przedarło.

Naśmiawszy się do woli, Gotah spoważniał nagle, zerwał się i poszedł szukać gospodarza, bo przyszła mu do głowy nieprzyjemna myśl, że pocziwiec ucierpiał od nieswoich spraw. Spotkał Wyspiarza na schodach, spieszącego w przeciwnym kierunku.

— Wasza godność!... Co to się porobiło! — rzekł mężczyzna, nie tając ulgi i nerwowo przekładając kaganek z ręki do ręki. — Kim wy jesteście, panie? Naprawdę uczonymi? Przez cały wieczór dwóch takich trzymało mnie i żonę pod nożami...

— Nie skrzywdzili was?

— Nie, ale... nie mogłem pisać słówka. Dopiero co sobie poszli.

— Kapitan Brorrok — rzekł Gotah.

— Kapitan... Brorrok?...

— Znasz to imię?

— Kapitana Brorroka?

Pocziwiec wyraźnie zgłupiał.

— Chodźmy do mnie — rzekł Gotah.

Poszli. Przyjęty pokazał krzesło; Wyspiarz usiadł.

— Tak, jesteśmy uczonymi. Skradziono nam cenne dokumenty i księgi, które jednak nie mają dla nikogo, oprócz nas, wartości. Szukaliśmy więc kogoś, kto je odnajdzie i odkupi dla nas, jeśli nie są jeszcze zniszczone — łgał bez mrugnięcia okiem Gotah. — Mój towarzysz obraził najemnika, najemnik porwał go i... wziął nasze zlecenie siłą. Wszystko będzie dobrze, moi towarzysze wkrótce wrócą. Teraz powiedz mi, panie: kto to jest kapitan Brorrok?

Oszołomiony wieściami gospodarz milczał przez długą chwilę, składając sobie wszystko do kupy.

— Kapitan Brorrok? To byli jego?...

— Jego żeglarze i on sam, we własnej osobie. Kto to jest?

— No, wasza godność... pierwszy pirat Szereru. Odkąd nie ma Demona, pierwszy. Mówią, że jest tak stary...

— Rzeczywiście jest.

— Co i rusz słyhać, że umarł. Każdego roku słyszę to od jakichś... no, będzie pewno od trzydziestu lat. Ojciec, jak mi pierwszy raz opowiadał o Brorroku, to już mówił „stary Brorrok”. Musi mieć ze setkę.

— Ma.

— Ma sto lat?...

— Co najmniej.

— Widziałeś, panie, kapitana Brorroka... I rozmawiałeś z nim?

Gotah westchnął. Gdyby rzekł: „To właśnie ja, gospodarzu, wymyśliłem pismo i wynalazłem proch”, nie spotkałby się z większym podziwem. Był KIMŚ. Rozmawiał z Brorrokiem, królem i pradziadkiem wszystkich morskich mętów.

— Kapitan Rapis, Demon Walki, jak go wołali Dartańczycy — rzekł gospodarz — był większym piratem od Brorroka. Głośniejszym. Podobno

Ślepa Foka Ridi, ta piękna, co pływa teraz, to jego rodzona córka. Tylko że Brorrok był długo przed Demonem. Demon zginął, potem, powiadają, jego cień pływał na spalonym wraku, cień też przepadł, a Brorrok dalej pływa. I chyba tak już zostanie.

— Nieśmiertelny? — zapytał sarkastycznie Gotah i ugryzł się w język, bo już chciał dorzucić: „Jeszcze jeden!”.

— Nie... Tylko niektórzy mówią, wasza godność, że on umarł już dawno. Ale to jest taki sławny ktoś, że ci, którzy z nim pływali, wyciągają, niby, różnych starych dziadów i dla postrachu pokazują wszystkim, że niby kapitan Brorrok dalej żyje...

— O nie, ten był prawdziwy — stanowczo orzekł Gotah. — To na pewno nie był dziadek, którego pokazują dla picu.

6.

W ciągu półtora miesiąca i trochę ledwie trzymający się kupy żaglowiec przemieniono w istne morskie чудо: przy rejach na nowiutkich, należycie usztywnionych masztach pyszniły się ciemnozielone żagle — jeszcze zwinięte, bo okręt szedł na holu. Dostał nowe nadburcie. Oprócz tego w rufowej części kadłuba wycięto dwie furty działowe z każdej strony (takie furty to wciąż jeszcze była nowinka), a w dziobowej części po jednej, bo wysoka wolna burta holka pozwalała na podobny zabieg — okręt otrzymał więc mocniejsze uzbrojenie; w kadłubie i na kasztelach było razem dwadzieścia dział. Wysprzątaną pokład i łopocząca wojenna bandera na grotmaszcie — szkarłatne „R” na zielonym tle — dopełniały obrazu całości. Tylko nazwa, niestety, została niezmienną.

W porcie zebrał się tłum gapiów, pragnących ujrzeć na własne oczy zakończenie historii, której początkiem był pożar w gospodzie. Załogom wypływających w morze żaglowców machano na pożegnanie, do portu przychodziły rodziny żeglarzy. Ale teraz to było inne wyjście w morze. Ci tam, na pokładzie, mieli już nigdy nie wrócić, wypływali zaś nie z własnej woli.

Ahelczycy zegnali ich w milczeniu.

Na pokładzie nikt nie machał ręką.

Wypatrywano księżniczki. Pojawiła się na kasztelu rufowym. Chyba

szukała kogoś wzrokiem w tłumie, ale nie znalazła.

Raladan jednak patrzył, jak „Zgniły Trup” wychodzi w morze. Stał przy oknie w twierdzy; tym samym oknie, z którego oglądał port, gdy wrócił z ceremonii pochówku żony. Nie rozmawiał z córką od miesiąca... i nie pożegnał się. Najpierw posłał po nią raz i drugi — nie przyszła. Poszedł sam — schowała się gdzieś. W końcu dopiął swego, a wtedy mu powiedziała:

„Ty zostajesz w Aheli, księżę, rządzić księstwem i tym miastem, które mnie wyгнаło na twój rozkaz. O czym chcesz ze mną rozmawiać? Nie mamy już ani jednej wspólnej sprawy i nigdy mieć nie będziemy. Nie zobaczymy się już”.

Odpowiedział:

„To, czy się zobaczymy, zależy tylko od nas”.

„Właśnie tak. Więc nie zobaczymy się”.

„A cała przeszłość, Rido?”.

„W mojej przeszłości nie ma nic, Raladan, co chciałabym pamiętać. Matka widziała we mnie pamiątkę po swoim ukochanym i niewiele więcej, po jej śmierci rodzina mnie wyгнаła, odnaleziony po latach ojciec zgwałcił, gończy pies Trybunału tłukł, aż... w końcu zatłukł... Miałam córki, które chciały mnie zabić, ale wykończyły się nawzajem i zdechły jak na to zasłużyły. Pomogłeś mi się wykaraskać z tych wszystkich okropnych rzeczy, ale były właśnie takie: okropne. I wcale nie chcę o nich pamiętać. A ty co? Chcesz spłaty długu wdzięczności?... No więc ja swój dług wobec ciebie właśnie spłacam: odpłynę. Bo zapomniałam dodać, że mój przybrany ojciec i jedyny przyjaciel wypędził mnie, tak jak kiedyś rodzina. Pamiętam, co jestem ci winna, dlatego spełnię twoją zachciankę, odpłynę i nie zabiję cię. A teraz wynoś się z mojego okrętu, parszywcu, zanim każę wlepić ci kije”.

To była ich ostatnia rozmowa.

Ridareta nie wypatrzyła w tłumie Raladana — ale za to znalazła Kesę. Piękna pani nie stała pośród gapiów; była na pokładzie „Śmieszki”, której kapitan tak ciężko zaniemógł, że wyjście statku w morze wciąż było niemożliwe, pomimo słonych opłat postojowych uiszczanych portowym urzędnikom. Ridi uśmiechnęła się lekko, bo dwutygodniowe udawanie choroby musiało być dla dowódcy „Śmieszki” naprawdę bardzo uciążliwe... Ale teraz powinien ozdrowieć. Z dnia na dzień.

Pomachała Kesie i ujrzała podniesioną w odpowiedzi dłoń. Żegnał ją tylko ktoś obcy; dziwna kobieta, która jej zaufała i tak wiele pomogła zrozumieć.

„Obiecuję ci, wasza godność. Dotrzymam słowa” — powiedziała Kesie, gdy widziały się po raz ostatni. „Nie jestem rzeczą, jak to, co we mnie siedzi, mam rozum i wolę, trochę tylko ograniczoną. Niektóre rzeczy muszę robić, ale do Grombelardu w ogóle się nie wybieram. Koniec świata to także mój koniec; do czego mi to potrzebne?”.

„Wierzę ci” — odpowiedziała tamta. „Nie byłam tylko pewna, czy potrafiś aż tak dalece zapanować nad Rubinem, chciałam cię lepiej poznać, zanim zdradzę wszystko... Ale myślę, że zrobiłam dobrze”.

— Bardzo dobrze — powiedziała Ślepa Ridi, jeszcze raz machając w stronę „Śmieszki”.

— Kapitana?

Splotła ręce na brzuchu i odwróciła się.

— Powiedziałam: bardzo dobrze. Miniemy falochrony i jesteśmy wolni jak nigdy — oznajmiła wesoło. — Teraz zechciej wydać rozkazy, zastępcu, zanim wyrznię cię w głupi łeb. I kopnę w leniwą dupę.

Idący dokądś marynarz zarechotał i umilkł, doścignięty spojrzeniem Cichego.

— Ale jakie rozkazy, kapitana?

— No, jakie? — droczyła się.

Mevev wzruszył ramionami.

— Kurs na Małą — rzekła, poważniejąc. — Przecież mówiłam, że tam popłyniemy, nawet majtkowie wiedzą. Jutro cumujemy w Orce. Łaskawi ahelczycy dali nam taki przywilej.

— A! — powiedział pierwszy oficer.

— Byłeś kiedyś w Orce?

— Nie. Po co?

— Też nie byłam. Zawijało się od razu do Aheli. Podobno jest tam już całkiem ładna przystań. Może jeszcze nie port, ale... Jeśli jest dość wody pod kilem, to wszystko, czego nam trzeba. Sprawdzimy, jak tam wygląda.

— Ta — powiedział oficer.

Ridi nagle parsknęła przez nos i usmarkała się. Zakołysała brzuchem.

— Przyszło mi do głowy coś zabawnego — powiedziała, wycierając nos rękawem. — Urodzę ci córeczkę, chcesz?

Ktoś inny na miejscu Meveva odwróciłby się i wrzasnął do załogi: „Hej, chłopcy! Kapitana urodzi nam córeczkę!”. Ale Cichy zwany był Cichym. Ni to skinął, ni pokręcił głową, po czym zszedł z kasztelu.

— Uśmiechnij się! — zawołała za nim.

Cichy uśmiechnął się i zniknął w kajucie pod kasztelem.

— Beczka, synkowie! Od mamuśki! — wrzasnęła do załogi. — Do rana ma być sucha! Ale już!

Załoga zawyła triumfalnie; kilku majtków zaraz wspięło się na kasztel, porwało kapitanę, wyhuštało i zrzuciło w dół, prosto w ramiona kompanów. Zdyscyplinowani, karni marynarze już miotali się w ładowni: beczka to beczka, chodziło teraz o to, żeby wybrać największą. Niestety, te z gorzałką wszystkie były takie same.

Mevev wyjrzał na pokład, żeby zbadać źródło zamieszania, ale ujrzał kapitanę obnoszoną wokół grotmasztu — czyli okręt był dowodzony. Uspokojony, na powrót skrył się w kajucie. Kiedy indziej musiałby zebrać siły, by wyznaczyć kurs; Foka nie miała o tych sprawach najmniejszego pojęcia. Gdyby obaj jej oficerowie spili się i wypadli za burtę, okręt może nie poszedłby na dno, ale za to dopłynął do miejsca wybranego wyłącznie przez los.

Do Orki jednak trafiłaby nawet Foka; Mała Agara była tak blisko, że wystarczyło żeglować „na oko”, by wkrótce dojrzeć jej brzegi.

Za iglicą drugiego falochronu, gdy rzucono cumy holownicze, wioślarze na wracających łodziach oglądali ze zdumieniem pokład holka, gdzie podpici majtkowie szamotali się z jakimiś linami; ktoś spadł z masztu i ryczał, bo złamał nogę, ktoś wywrzaskiwał komendy, a jeszcze inny śpiewał. Na dziobowym kasztelu kilku żeglarzy sikało właśnie pod wiatr, radując się śmiesznym efektem. Za ich plecami w rytm muzyki tańczyły dziewczyny bez koszul, obłapiane przez marynarzy, a jedna (czyżby nieżywa?...) była przewieszona przez nadburcie. Wył pokładowy pies (a w rzeczywistości jeden z majtków; na „Trupie” nie było psa). Żagłowiec Ślepej Ridi wychodził w najdłuższy, niekończący się rejs. Bezdomny okręt z blisko dwiema setkami bezdomnych na pokładzie.

Ktoś odpalił jedną z burtowych bombard; kula łupnęła w morze, unosząc ku niebu słup wody. To był chyba pożegnalny salut.

*

Wódka z garyjskiej Bagby sprawiedliwie uchodziła za jedną z najlepszych w Szererze — ale samopoczucie załogi było rano niewiele lepsze niż po jakiegokolwiek innej berbelusze. Szarzy na gębach majtkowie czerpali kubłami morską wodę i moczyli łby, przemieszczali się nieskładnie w tę i nazad, burczeli na siebie i klęli. Łatwe wejście do przystani w Orce przedzierzgnęło się w niesłychanie trudny manewr — nic nie poszło jak trzeba i „Zgniły Trup” z żaglami w łopocie i sterem bezładnie szarpanym przez pijaków wyrznął w solidny pomost, gruchocząc listwy odbojowe. Załomotały w ładowni jakieś źle umocowane skrzynie, część załogi wstrząs zwałił z nóg. Zgrzyt trącego o drewno drewna kaleczył uszy. Rozwścieczona Ridi darła się wniebogłosy, siedząc płasko na tyłku przy barierce na rufowym kasztelu, tam gdzie posadziło ją zderzenie z pomostem. Wyglądało na to, że „Trup” nieprędko się zatrzyma; trąc o pomost, będzie jechał i jechał, jeszcze kawałek po wodzie, potem trochę po ładzie, aż zakotwiczy sto kroków w głębi wyspy. Jednak mądry żaglowiec nie pił tyle, co jego załoga. Zdzierając burtę do białego drewna, skrzypiąc wiązaniami, zwolnił na tyle, że zdesperowani marynarze rzucający cumy — pierwsze dwie od razu trzasnęły — a nawet abordażowe kotwice i chwytający pomost bosakami, zdołali wyhamować bieg okrętu. Zaklinowanego jakimś śmieciami kabestanu najpierw długo nie można było odblokować, ale teraz nareszcie zadzwoniły ogniwa kotwicznego łańcucha i wielkie żelastwo plusnęło w wodę. Żaglowiec zatrzymał się, nie tyle cumując, co kotwicząc w porcie. Zaraz rzucono trap. Rozwścieczeni majtkowie momentalnie podzielili się na kilka band: tych od żagli chcieli tłuc wszyscy; ci z kolei biegli na rufę wyrzucić pomstę na durniach trzymających ster. Inni, dzierżący jeszcze w rękach bosaki, mieli się za zbawców żaglowca — więc bosaków nie odłożyli, przeciwnie: chwycili je mocniej i ruszyli ku lubym kamratom. Rozpalającej się bitwie zapobiegła Garda — kilkunastu dryblasów z pałkami i batogami wpadło między ruszające do boju gromady i zaprowadziło porządek.

Rozgniewana Foka niezgrabnie złaziła z kasztelu; przeklęty bęben nie pozwalał dojrzeć wąskich stopni pod nogami. Ujrzawszy wyraz twarzy kapitany, marynarze runęli ku lukom pokładowym i zapchali je w mgnieniu oka, wszyscy jednocześnie próbując zejść pod pokład. Ridi

zabrała bat jednemu z gwardzistów i tłukła majtków tak długo, aż ostatni tyłek i ostatnie plecy zniknęły w czeluściach okrętu. Na pokładzie zostali tylko oficerowie i Garda. Kapitana wyrzuciła bat za burtę i bez słowa ruszyła do trapu; wyglądało na to, że zejdzie na ląd i nie obejrzawszy się za siebie, pójdzie dalej, by już nigdy nie wrócić. Dowódca Gardy, stary żylasty Dartańczyk imieniem Nells, poszukał spojrzeniem oficera, ale żadnego nie znalazł, bo zarówno Cichy, jak i Sayl mieli dość rozumu, by nie brać batów na oczach załogi; mógł od tego ucierpieć autorytet. Rad nierad, dowódca Gardy podjął więc samodzielną decyzję, kiwnął ręką na kilku gwardzistów i pobiegł śladem kapitany.

W leżącej nieopodal wiosce, przemienianej powoli w miasteczko — bo był tam już rynek, dwa murowane domy i coś w rodzaju ulic — pokazowe cumowanie wielkiego żaglowca wywołało znaczne poruszenie. Na spotkanie Ślepej Ridi zdążyła grupka ludzi, której przewodził zażywny osobnik, wyglądający na jakiegoś urzędnika. Był nim. Zarządca nowo powstałej, wciąż rozbudowywanej przystani dawno już został uprzedzony przez załogę stateczku kurierskiego, dla którego okrętu jego przystań ma stać się portem macierzystym.

— Wasza wysokość! — wysapał, przejęty jak nigdy w życiu. — Książę... jego wysokość nakazał zgromadzić wszelkie zapasy... Dostarczono nam mnóstwo, wszystko... To wielki zaszczyt, taki zaszczyt, wyróżnienie! — plótł.

— Nie potrzebuję zapasów — powiedziała. — Gdzie mieszkaś?

— Yyy, wasza wysokość... A o, tutaj, ten dom.

Minąwszy zarządcę, poszła we wskazanym kierunku. Pobiegł za nią.

Zarządca przystani był zarazem, z ramienia księcia Raładana, jego namiestnikiem na Małej Agarze, a więc — nominalnie — urzędnikiem wysokiej rangi. Ale tylko nominalnie. Wielka Agara przypominała miniaturowe państewko ze wszystkim co potrzebne, ale jej mniejsza siostra była tylko pokrytą piaskiem skałą, na której niewiele dało się uprawiać, prawie już nie istniały lasy, mieszkańcy kilku wiosek zaś żyli wyłącznie z rybołówstwa. Byle kamienicznik w Aheli był człowiekiem zamożniejszym i bardziej wpływowym niż książęcy namiestnik na Małej, zarządzający robotnikami na przystani, intendentem i poborcą danin, rybakami w wioskach oraz trzema żołnierzami, przydanymi dla powagi urzędu — wojsko to kwaterowało w chałupce zwanej „wartownią”. Był

jeszcze stateczek kurierski, chwilowo w przystani nieobecny. Zesłanie. Najwyższy rangą książęcy urzędnik na Małej Agarze jawił się jako nieszczęsny zesłaniec.

W parterowym murowanym domu, w urządzonych po mieszczańsku izbie księżniczka Ridareta znalazła jakąś wystraszoną kobiecinę otoczoną wianuszkami dzieci. Żona zarządcy była w sam raz na jego miarę. Ridi czuła, że lada chwila zemdleje; dusił ją gniew, a ze wstydu paliły policzki. Dowodziła żaglowcem obsadzonym przez bandę pijaków, pozwolono zaś jej bywać na zdziczałej wysepce, gdzie nie było ani jednego człowieka, który mógłby odezwać się po ludzku. Gdy przemierzała „ulicę”, oglądał ją tłumek nieprzytomnie śmierdzących rybami, wystraszonych już na wszelki wypadek stworzeń; niechby tylko tupnęła i krzyknęła, wskoczyłyby wszystkie do morza i zaczęły uciekać wpław, byle dalej. Ale te stworzenia z otwartymi gębami oglądały świetny okręt, który tylko cudem nie rozbił się... w porcie.

Obok drewnianego cebra na podłodze stał dzban z wodą. Ridi napiła się chciwie. W płytkiej wnece spełniającej rolę spizarki wpadła jej w oko opróżniona do połowy beczułka solonych śledzi i kubek z płynnym czerwonym miodem. A więc mieli tu nawet pasiekę! Uśliniona z łakomstwa, porwała śledzia, zanurzyła w miodzie i pożarła. Żona zarządcy wyspy oglądała te wyczyny z mieszaniną niesmaku i wyrozumiałości. Milczał także zasapany zarządca.

W izbie stawił się Nells, prowadzący kilku gwardzistów. Kapitana jadła śledzie, popijając gęstym miodem prosto z kubka.

— Całą załogę na chąd, na chokładzie zostaje tylko achta — rzekła z pełnymi ustami, zwracając się do dowódcy Gardy.

— Wszyscy na ląd, na pokładzie tylko wachta — powtórzył, spoglądając na jednego z dryblasów.

Dryblas pobiegł przekazać rozkaz.

Foka najadła się. Zdjęła ze ściany wianek czosnku i włożyła do baryłki ze śledziami. Dołożyła kubek z resztką miodu. Znalazła trochę mąki, trochę mięsa, chleb i kaszę — wszystko trafiło do baryłki. W skrzyni pod ścianą były jakieś szmaty. Księżniczka kolejno brała do ręki spódnice, sukieneczyny, kaftany i koszule, oglądała, po czym rozdzierała albo rozcinała nożem. Zgarnęła kłamoty z zawieszanej na ścianie półki. Oniemiały i przerażony gospodarz patrzył na to, nic nie rozumiejąc. Jego

żona zaczęła cicho płakać. Ślepa Ridi metodycznie demolowała wnętrze domostwa, niszcząc wszystko, co wpadło jej w ręce. W oknach rozpięte były błony — podziurawiła je, lecz w ostatnim znalazła szybkę, sprowadzoną przez gospodarzy wielkim staraniem i kosztem. Wyłukła ją.

Dzieciarnia poryczała się wniebogłosy.

— Wasza wysokość... ale... — powiedział zdławionym głosem urzędnik.

Zapłakana żona pociągnęła go za rękaw, potrząsając głową. Rozumna kobieta. Przygarnawszy dzieci, mocno zagryzła wargi, przeczuwając, że najlepiej będzie milczeć.

Ridi zalała ogień w palenisku wodą z ceberka, rozpruła pierzynę, potłukła dzbanek, z którego wcześniej piła, napluła do cebra z wodą po czym wyszła przed dom. We włosach miała kilka kłaczek pierza.

Między domy wioski powoli wsiąkały pierwsze grupki żeglarzy.

— Mevev — powiedziała — każ zebrać wszystkie dzieci i oddaj je pod opiekę jakimś starym babom. Dzieciaki mają być całe i zdrowe, urwę ci łeb, jeśli nie dopilnujesz. Ten dom za moimi plecami zostaje, wszystkie inne podpalić. Chłopów i baby pod nóż, dziewczyny wyłapać. Niech chłopcy wezmą je sobie na pokład, pozwalam.

Najbliżej stojący żeglarze coraz szerzej otwierali nieprzytomne ze szczęścia oczy. Jakaś grupa wróciła biegiem bez rozkazu na okręt i otworzyła zbrojownię, wyciągając powiązane w pęczki miecze, ciskając na deski topory. Niektórzy mieszkańcy wioski dosłyszeli wydane rozkazy i narastał rozpaczliwy lament. Dowodzący silną grupą Mevev już zgarniał otepiałych rybaków w gromady, sprawnie dzieląc według rozkazów kapitanów. Wrzeszczące gówniarstwo odrywano od mamusinych spódnic. Jacyś owładnięci przerażeniem ludzie rzucili się do ucieczki, jedni wzdłuż morza, inni ku wnętrzu wyspy, ale nikt ich na razie nie ścigał.

Siny na twarzy zarządca wybiegł zza pleców księżniczki i gruchnął na kolana, kurczowo splatając palce rąk.

— Wasza... wasza wysokość... Ale za co? dlaczego?... Wasza...

— Przekażesz księciu, że Piękna Ridareta jest mu wdzięczna za wszystko, co dla niej zrobił — powiedziała chłodno. — Ile wiosek jest na wyspie?

Urzędnik z przerażenia zapomniał. Ale Małą Agarę dało się

przemierzyć w pół dnia; tu nie było dokąd uciekać ani gdzie się schować. Całą ludność wyspy stanowiło najwyżej kilkuset rybaków. Wobec dwustu piratów ze „Zgniłego Trupa” byli to ludzie bezbronni.

— Zostawię ci trochę starych kobiet, żeby zajmowały się dziećmi. Nie zabija się dzieciaków, bo nie. Bo lubię dzieci — wyjaśniła. — Idź teraz do najbliższej wsi i każ wykopać bardzo duży dół. W każdej wsi niech wykopią. Trupy albo spalcie, albo powrzucacie do tych dołów i zakopcie. Tak trzeba robić, bo inaczej, zanim ktoś przyplynie, będziecie mieli zarazę. Weź to sobie do serca — poradziła. — Szkoda dzieciaków, dużo tutaj tego. Po co mają wymrzeć od morowego powietrza?

Zarządca jął wykrztuszać prośby.

— I niech wszyscy tam na mnie czekają — przerwała. — Nie chce mi się uganiać po tej wyspie. Zapowiedz, że każę zatłuc całą rodzinę każdego, kto ucieknie. Ale z tych, co będą czekali, niektórym może przebaczę i daruję.

Urzędnik płakał jak bóbr, zakrywając twarz dłońmi. Harmider we wsi narastał, chłopcy Ridi tłukli już rybaków i podpalali domy. Wyły psy, ale głośniej od psów kobiety, które niemal rozrywano na sztuki, bo wszyscy chcieli je mieć jednocześnie, a tych młodych i ładnych jak zwykle było za mało. Jakiś uszczęśliwiony pijany żeglarz (widać w nocy pił dłużej od innych i jeszcze nie zdążył wytrzeźwieć), któremu miłość do kapitany tak wezbrała w piersi, że już nie mogła się pomieścić, pędził dokądś, ale skręcił, rzucił się komendantce do nóg, z całej siły objął ją za kolana i przytulił policzek do łona, niczym dziecko dziękujące za prezent. Parsknęła śmiechem, rozwichrzyła mu czuprynę, a wtedy pocałował ją w biodro, skoczył na równe nogi i pohukując ze szczęścia, pognął dalej. Ridi ruszyła jego śladem. Pod ścianą coraz mocniej płonącego domu dwie okrętowe dziewczuchy kopały jakiegoś dziada, nieporadnie chowającego się pod grubo ciosaną ławą i zakrywającego głowę reumatycznie powykręcanyh rękami; kawałek dalej dwie inne trzymały przy ziemi wyrywającą się i skowyczącą kobietę z okaleczonymi dłońmi, o dostęp do której tłukli się majtkowie. Kolejny właśnie zrobił co trzeba i został nagrodzony triumfalnym wrzaskiem dziewczyn, które wcześniej zagrzewały go do boju, a teraz mocniej przydusiły ofiarę, bo dziko rzucała się pod nożem, gdy przyciskały jej rękę do ziemi, wyłamując i odcinając kolejny palec — każdy oznaczał jednego oblubieńca.

Popatrując dokoła, Ridi dostrzegła między przebiegającymi żeglarzami swojego pierwszego oficera, który tak mocno wziął sobie do serca zalecenia, że osobiście, w asyście dobrze uzbrojonego oddziałku, pilnował bandy półżywych od płaczu dzieciaków. Cztery stare kobiety — wyglądały na pijane albo obłąkane — niczym kwoki próbowały zgarnąć drobiazg pod skrzydła.

— Wszystko jak trzeba, kapitana!

— I tak ci nie zapomnę tego wejścia do przystani! — odwrzasnęła, przekrzykując hałas, który wprawdzie już nie narastał, ale i tak był prawie nie do wytrzymania. — Już nie jesteś pierwszym oficerem, słyszysz?!

Cichy uśmiechnął się półgębkiem, sięgnął za pazuchę i pokazał jakiś wisior. Zbliżyła się, zaciekawiona.

— Co to?...

Kunsztownie opraciony, na długim łańcuszku kołysał się prześlicznie oszlifowany szmaragd.

— Moje. Chcesz?

— Tu zdobyłeś? — niedowierzała, z zachwytem biorąc klejnot do ręki.

— Głupia jesteś? Jak: tu?... Dawno. Ale trzymałem. Masz.

— Mianuję cię pierwszym oficerem — powiedziała, zakładając łańcuszek na szyję i spoglądając w dół, gdzie bajecznie piękny kamień prawie dotykał brzucha. — Kopnę w tyłek kogoś innego.

— He! — rehotnął Cichy. — Ładna jesteś.

— No! — przytaknęła ucieszona.

Poszła dalej, co jakiś czas zerkając na rozkołysany klejnot. Mevev był taki, jaki był... ale naprawdę potrafił sprawić jej przyjemność. Zżyli się i dobrze rozumieli. Ale drań doskonale wiedział, że kapitana go i lubi, i potrzebuje... Postanowiła trochę wtłuc mu przy okazji. To na pewno nie mogło zaszkodzić.

Do ściany jednej z chałup przybito po obu stronach drzwi jakichś wyrostków z otwartymi brzuchami; jeden był nieżywy albo nieprzytomny, drugi poskrzekiwał, jakby stracił rozum, gapiąc się na serpentynę wiszących do ziemi flaków. Śmierdziało. Jakaś klęcząca na ziemi kobiecina wybałuszała na to oczy, skowycząc, jakby obdzierano ją ze skóry. Dom nie płonął, ale od innych pożarów zrobiło się niemożliwie

gorąco, a dym zaczynał dusić. Kaszląc i ocierając łzy, Ridi zawróciła na okręt, mijając trzy głowy w hełmach, zatknięte na resztkach płotu — miejscowe wojsko zostało więc pokonane. Szła na okręt, bo z rufowego kasztelu też było dobrze widać co się dzieje na brzegu, a poza tym niektórzy, bardziej sprytni od innych majtkowie przywlekli już na pokład parę dziewczyn, mogła więc pogapić się z bliska na różne miłosne zmagania i podokuczać „ogierom”.

Zawsze było to przyjemniejsze od krztuszenia się gryzącym dymem.

*

W następnej wiosce, oddalonej raptem o milę, znalazła mieszkańców poukrywanych w domach; wyglądało na to, że uciekli tylko nieliczni. Obrzydliwa była pokorna bierność, z jaką te stworzenia przyjmowały swój los. Najmarniejszy z dowodzonych przez nią żeglarzy — była zupełnie pewna — nie mając nic do stracenia, czekałby za ścianą jakiegoś domu z siekierą, wiosłem albo zaostrzonym kołkiem w ręce i umierając, zabrałby ze sobą przynajmniej jednego prześladowcę. W każdym razie ona tak by zrobiła.

Ale rybojady potrafiły tylko lamentować.

Wrzaski i skowyty przybierały na sile w miarę, jak grupki żeglarzy wpadały do kolejnych domów i wywlekały wieśniaków na zewnątrz. Ridareta skręciła w bok i weszła do chałupy stojącej trochę na uboczu, przystanąwszy wcześniej na chwilę, bo z jakiegoś powodu przykuł jej uwagę słup z drewnianym kołkiem do zawieszania sieci. Przekroczyła próg i ujrzała się przed ciasno skupioną grupką ludzi. Rozbrzmiał krótki, urywany krzyk strachu.

W izbie panował półmrok. Musiała minąć długa chwila, nim księżniczka dostrzegła, że kobieta w środku grupki jest brzemienna. Do jej nóg tulili się kilkuletni chłopcy, obok zaś stali dwaj niestarzy mężczyźni, bardzo podobni do siebie. Chyba bracia.

— Przed dom, smrody — powiedziała i zwróciła spojrzenie w stronę paleniska. — Zanim wyjdiesz, podpal chałupę — poleciła jednemu z mężczyzn.

Odwróciła się... ale nie wyszła.

Przez otwarte drzwi było widać pal do suszenia sieci.

Odwróciła się i raz jeszcze, bardzo powoli rozejrzała po izbie. Mieszkańcy domu nie mogli wyjść, bo zagradała dostęp do drzwi.

Zatrzymała spojrzenie na twarzy wyższego mężczyzny.

— Stary dziadek... nie mógł już chodzić... — powiedziała. — Kobieta i mężczyzna... i piątka dzieciaków, dwaj chłopcy i trzy dziewczynki... Mieszkali w tym domu. Wiele lat temu, piętnaście... a może dwadzieścia...

Oszołomieni strachem rybacy milczeli.

Ridareta odstąpiła dwa kroki i usiadła na zydlu pod ścianą.

— Tam, przed domem... — powiedziała stłumionym głosem, który ledwie się przebił przez dobiegające z zewnątrz wrzaski mordowanych — stoją słupy do suszenia sieci... Na jednym z tych słupów wisiała dziewczyna w dybach, mówili, że to piratka... Najpierw była trzymana tu, w tej izbie, potem wisiała na palu, potem siedziała pod tym palem... Złapał ją gończy pies Trybunału, taki chudy urzędnik. Też tu mieszkał. Ktoś to... pamięta?

Mężczyźni zaczęli rozumieć, że są o coś pytani.

A nadzieja potrafiła zakiełkować na najbardziej jałowym gruncie.

— Piratka? Ja... Brat też, pani, my... pamiętamy. Tak było, ano. Tak jak wasza dostojność powiedziała.

— I pewnej nocy ta dziewczyna zniknęła, a gończy Trybunału razem z nią. Pamiętacie to?...

Mężczyźni przytaknęli.

Ridi zerwała się nagle i wybiegła przed dom.

— Garda! Gaardaa!!

Usłyszał ją jakiś żeglarz i rozdarł się jeszcze głośniej. Po chwili kilku drabów co tchu w piersiach pędziło ku komendantce.

— Stać przed drzwiami! Tego domu nie ruszać!

Zawróciła do izby.

— Ten stary dziadziuś, który nie mógł chodzić — powiedziała. — Powiedział raz do mnie „córeczko”. Kobieta dawała mi jeść.

— Dziadziuś dawno umarł — rzekł mężczyzna i z jakiegoś powodu otarł nagle policzki; przecież chyba nie z żalu po zmarłym. — A matusia i ojciec niedawno. Ja wziąłem... wziąłem żonę, a to, pani, to jest mój brat.

— Te dzieci, ci chłopcy, którzy wtedy... To wy?

— Tak, pani.

Zdjęła opaskę z wybitego oka.

— Taka wtedy byłam, tak?.. Pamiętam was. Gdzie są wasze siostry?

— Starsze w Aheli posługują... mają dobre życie. Trzecia poszła za

mąż i teraz... chyba właśnie... — mężczyzna urwał i nagłym niezręcznym ruchem znowu otarł policzki. — Ano.

Owo wyspiarskie „ano” zabrzmiało jak: stało się.

— Idź stąd! Żonę i dzieciaki już uratowałeś — powiedziała. — No?! Na co czekasz, głupcze, pędź z bratem i ratuj siostrę, może zdążysz! Garda! Wy dwaj za nimi, macie robić wszystko co powiedzą! Kto stanie na drodze, temu w łeb! No szybko!...

Rybak zachłysnął się oddechem, spojrział na brata i żonę, po czym wybiegł, a brat zaraz za nim.

Ridi znowu usiadła na zydlu i patrzyła na kobietę, do której tuliły się ciche dzieci. Nie płakały, ale ich oczy wydawały się wielkie. Nienaturalnie wielkie.

— Spodziewasz się dziecka — powiedziała cicho. — Tak jak ja. Słuchaj, powiedz mi, jak to jest?... Jak jest, kiedy na świat przychodzi płaczące maleństwo, które nie jest przedmiotem, odłamkiem Rubinu, tylko prawdziwym dzieckiem? Płacze, bo chce ciepłego mleka, a wtedy dajesz mu pierś... Najgorzej, jak zaczyna żąbkować... i gryzie. — Dotknęła palcami ust, zapatrzona w jakiś punkt na klepisku. — Wiedziałam, ale już nie pamiętam. Prawie nie pamiętam. Miałam córki i tak się cieszyłam... A potem się okazało, że to nie są moje córki tylko jej... Riolaty — mówiła chaotycznie, bardziej zresztą szepcząc do siebie, niż kierując słowa do pobladłej żony rybaka, która nic z tego nie mogła zrozumieć. — Ja byłam tylko... takim workiem, z którego się wyjmują różne rzeczy. Takim workiem, wiesz?... Teraz znowu jestem czymś takim, stale jestem. Stale i stale.

Kręciła głową.

— Worek z Rubinami... Trzy miesiące ciąży i dziecko... Sześć lat i dorosła kobieta. Brzemenna kobieta. Dziesiątki, setki Rubinów Geerkoto, Ciemnych Porzuconych Przedmiotów. Złych. Nie, nie złych... Tamenath tłumaczył. Nie są złe, są... już wiem: aktywne.

Sięgnęła do uszu, odpięła wielkie kolczyki i położyła na stole. Pospiesznie zaczęła ściągać pierścionki z palców dłoni i stóp, potem bransoletki i łańcuszki. Zdjęła wszystko, co miała na szyi, wieńcząc kopczyk klejnotów przepięknym szmaragdem.

— To dla ciebie i dla twoich dzieci. Prawdziwych dzieci, takich... Żyjcie jak ludzie. Gdzieś, gdzie nie ma wojny, piratów, Rubinów... o ile

takie miejsce istnieje. Pamiętam ten dom... Taki stary dziadek, już nawet nie chodził... Powiedział: „jedź, córeczko”. Była tu piątka dzieciaków, dwaj chłopcy i... taka śmieszna mała, szczerbata... To byłaś ty?

Nie słuchała odpowiedzi. Wyszła przed dom, dotknęła poczerniałego od morskiej bryzy słupa, odwróciła się i spojrzała na wieś. Na cichą wioskę wyspiarską, drzemącą pod niskim jesiennym niebem, gdy sztormowa fala nie pozwalała rybackim łódkom wyjść w morze. Jesień; na Bezmiarach pora burz. Pochmurne niebo, wiatr i deszcz...

Coś rozdarło obraz cichej wioski. Na niebie lśniło późnowiosenne słońce, przysłonięte dymami. Wybuchły wrzaski. Jacyś palący się ludzie wybiegali z płonącego domu i rybackimi wiosłami wpychani byli z powrotem do ognia. Pędziło kilku rozradowanych mężczyzn, wlokących na sznurze uwiązaną za nogi kobietę; postrzępione szmaty odstaniały pościeraną do krwi skórę. Otwarte usta, zalane krwią z rozbitego nosa, zdarty do żywego mięsa podbródek i lśniące, nieprzytomnie wytrzeszczone oczy. Obok kilku drabów kopało coś zwiniętego w kłębek, co mogło być człowiekiem, workiem szmat albo dużym psem... Ridareta uniosła ręce do twarzy i zaczęła wyć z przerażenia. Słońce zgasło, zapadła noc. U nabrzeża niewielkiej przystani majaczyła ciemniejsza od mroku bryła olbrzymiego okrętu, z pokładu którego zbiegali ludzie niosący płomieniste żagwie. Kapitan K. D. Rapis, Demon Walki, naj słynniejszy pirat Bezmiarów, przyplął po niewolników, między którymi znalazł córkę, o istnieniu której nie wiedział. Ridareta uciekała, ale jakiś mały szczirowaty człowieczek chlasnął ją batem, do którego były przyłączone żelazne haczyki. Szarpnięta, uderzyła głową w ścianę domu, gorąca ciecz zalała jej twarz. Nie wiedziała jeszcze, że straciła oko. Wszędzie wokół mordowano ludzi, szczególnie starców i dzieci, bo to nie był dobry żywy towar, słabeusze umierali w ładowni podczas morskiej podróży. Ridareta zapamiętała swojego dobrodzieja, wędrownego kupca, z którym podróżowała: jakiś grubas siedział mu na piersi, wielką łapą napierał na podbródek i powoli podrzynał gardło, a raczej oddzielał głowę od tułowia, bo skończył dopiero wtedy, gdy trzymała się na samym kręgosłupie. We wsi szalała burza płomieni. Ridarete prowadzono związaną między innymi spętanymi ludźmi. Uzbrojeni żeglarze śpiewali starą morską pieśń o załodze, która spoczęła na dnie, ale dzięki pomocy braci-marynarzy razem ze swym statkiem wróciła na

wody Szereru; piękną pieśń o lojalności i wspólnym losie ludzi morza:

Podmorskie fale zielonym echem
Podwodnej trawy przynoszą szmer.
Przegniłe dłonie martwego szypra
Na dnie otchłani trzymają ster.
A nad powierzchnią niebo się chmurzy
Z mocami sztormu siądźmy do gry.
Śpiewa wiatr w wantach, śpiewa o burzy,
Więc zaśpiewajmy i my.

— Kapitana! — ryczał Mevev. — Kapitana!

Patrząc nań, wyła jak zwierzę, aż zatkał jej usta ręką i siłą zawlókł w ustronne miejsce, a potem kazał odstawić na okręt.

Komendantce czasem odbijało; za jego pamięci czwarty raz.

Nie było czym się przejmować.

7.

Znakomity i Godny Przyjacielu!

Chętnie opisałbym drogę, jaką zdążyłem do celu, ale będzie na to czas kiedy indziej. Odgadując niecierpliwość, z jaką bierzesz do ręki ten list, od razu piszę: Jej Cesarska Wysokość zrozumiała, jak doniosłe mogą być skutki powziętej przez Nią decyzji, i przychyliła się do moich próśb. Grombelardzka opowieść, którą znasz, jest prawdziwa: znajdziesz Strażnika Praw w Grombie, pod gruzami gmachu, który był niegdyś siedzibą Trybunału Imperialnego. Wiem, że znałeś Gromb takim, jakim był za stołecznych swoich czasów, powinieneś więc odnaleźć to miejsce. Nie ostrzegam przed niebezpieczeństwami Grombelardu, bo znasz je lepiej ode mnie. Potrzebny wam będzie liczny, dobrze uzbrojony poczet gotowych na wszystko ludzi. Skoro i tak jesteście w Llapmie, to poszukajcie takich w Dartanie. Po minionej wojnie pełno tam wojowników, którzy zasmakowali w przygodach i łupach, ale po tych pierwszych zostały im tylko wspomnienia, drugie zaś roztrwonili. Tacy ludzie chętnie poszukają szczęścia w Grombelardzie, skoro ominęło ich we własnym kraju.

Wiem, że masz potrzebne środki, ale gdyby wydatki okazały się większe niż przewidywałeś, nie zapominaj o mnie. Wciąż jestem człowiekiem majątnym. Wprawdzie przy sobie noszę tylko zwykłą sakiewkę, ale na Twoje żądanie każę wystać z Sar Soa tyle pieniędzy, ile

będzie trzeba.

Na koniec wybacz mi, Czcigodny Przyjacielu, osobisty dopisek, ale muszę z kimś podzielić się nadzieją: nie wszystko jeszcze dla mnie stracone. Wiem, że zrozumiesz, co mam na myśli. Nie zdziwi Cię zatem, że posłucham Twojej rady — a nawet rozkazu! — i zaniecham dalszej zabawy w mędrca Szerni. Nie wiem, czy Pasma mnie przyjęły, ale jeśli nawet tak się stało, to odrzucam ich dar, powodowany zarówno rozumem, jak i sercem. Bądź zdrów!

N.R.M.Ramez

Twój przyjaciel i zawsze dłużnik

Kesa odłożyła list na stół i z namysłem popatrzyła na Moldorna, krążącego po izbie, a chciałoby się rzec: po komnacie. W Llapmie, jednym z najbogatszych miast Dartanu, albo i Szereru, Gotah nie szukał kwater w prywatnych domach, wystarczyła porządna gospoda. To nie była Morska Prowincja... Wprawdzie dartańskie przydrożne zajazdy uchodziły za najgorsze w Szererze, ale te w miastach odwrotnie, oferowały wszystkie wygody. Bo też były bez mała domami schadzek dla dartańskich elit.

Spacerujący tam i nazad Moldorn nie tupał, bo pod nogami miał pyszny kobierzec.

— Przeczytałeś to im? — zapytała.

Gotah wiedział, co żona ma na myśli.

— Prywatne życie Rameza nic ich nie obchodzi — powiedział tak jak ona, półgłosem. — Powiedziałbym Yolmenowi, ale nie Moldornowi. Przeczytałem tylko początek.

— Mądry mężczyzna — pochwaliła. — No cóż, wygląda na to, że cieszysz się szczerą przyjaźnią małżonka Najgodniejszej.

— Jeszcze nim nie jest — zauważył Gotah. — Werena wprawdzie nigdy nie rozwiodła się z Ramezem definitywnie, zawiesiła tylko małżeństwo na pół roku, a potem na kolejne kilka lat. O ile dobrze liczę, mniej więcej za rok książę Ramez znowu będzie jej mężem. Chyba że cesarzowa wręczy mu kolejny list rozwodowy... ale raczej się nie zanosz. Z tego, co pisze Ramez, wynika, że nie.

— Mhm... Uważaj. Nasz przyjaciel Moldorn będzie mówił.

Wciąż półgłosem... ale jednak sporo wyraźniej. Moldorn miał to usłyszeć — i usłyszał.

— To niepotrzebny sarkazm, wasza godność — powiedział. — Niewiele mam do powiedzenia, chcę tylko dopytać, bo nie wszystko dobrze zrozumiałem. Więc księżniczka Riolata Ridareta wie o wszystkim?

— Prawie.

— O tym, że może zniszczyć symboliczne treści Ferenu i wytrącić tym Szerń z równowagi?

— Tak.

— I wie, że szukają jej Przyjęci?

— Powiedziała jej. Jednak swojej tożsamości nie zdradziłam, w jej oczach jestem... kimś, kto wam pomaga.

— Uwierzyłaś jej? Zaufałaś?

— Tak, wasza godność — odparła bardzo chłodno, akcentując grzecznościowy tytuł tak delikatnie, że tylko w jej ustach mógł zabrzmieć jak napomnienie; nigdy nie spoufaliła się z Moldornem. — Czy chcesz, panie, wiedzieć coś jeszcze?

— Tylko jedno. Jak sądzisz, wasza godność: za ile tygodni, a może już tylko dni, twoja nowa przyjaciółka pojawi się w Dartanie?

— A ma się pojawić?

— Wasza godność — powiedział szyderczo Moldorn. — Bardzo krótko jesteś Przyjętą, pozwól więc, że wytłumaczę. Rubin Córki Błyskawic to odbicie dwóch Ciemnych Pasm, które stale ciążą ku macierzystej Potędze. Księżniczka poszuka więc tego, czego szukać musi.

— Księżniczka nie jest Rubinem.

— Tylko ty tak twierdzisz.

— Tylko ja ją znam.

— Księżniczka całym swym życiem dowodzi, że jest wyłącznie Rubinem.

— Księżniczka całym swym życiem dowodzi, że nim nie jest.

— Różnimy się więc w ocenie.

— Owszem. A dlatego że twoja ocena, panie, bierze się z powietrza. To ocena intuicyjna, babska ocena, wasza godność — oznajmiła z nieskrywanym szyderstwem. — Nie wątpię, że można matematycznie wyliczyć zależności i relacje między Wyklętymi Pasmami a Ferenem, ale w wypadku księżniczki Ridarety matematyka zda się na nic. Za dużo niewiadomych i zmiennych. Natura ludzka jest, jak dotąd, niepoliczalna.

Zastosowanie ma tu najwyższej statystyka. A ta, jak wiemy, do jednostek się nie odnosi.

Moldorn chciał coś powiedzieć, ale zrobiła słaby ruch dłonią... i zamilkł.

— Przedstaw mi wzór, matematyku, opisujący syntezę sił Rubinu i charakteru kobiety. Zobaczę ten wzór i wycofam swoje zastrzeżenia.

Moldorn nie miał na to odpowiedzi.

— Więc niech będzie, jak mówisz, wasza godność: babska intuicja — rzekł na koniec. — Mówię, że piękna Ridi zjawi się w Dartanie.

— Tak? Być może. Ale tylko przypadkiem.

— Przypadkiem?

Przyjęta dyskretnie westchnęła.

— Okłamałam ją. Nie jestem naiwna ani głupia, wasza godność. Ufam i wierzę Ridarecie, ale mogę się mylić. Sprawa jest trochę za poważna, by uzależnić jej wynik od oceny jednej osoby, nawet jeśli jest to mądra osoba — Kesa nie zawsze była skromna. — Jeżeli się pomyliłam i Rubin rzeczywiście uderzy symbole Ferenu, to cios trafi w próżnię. Ta dziewczyna niewiele wie o Szerni... Powiedziałam jej, że odbicia Ferenu należy szukać w Grombelardzie. A dokładnie: w Grombie. Przestrzegłam, by tam nie jechała. Obiecała, że nie pojedzie.

Nawet Gotah był zaskoczony.

— Powiedziałaś jej... że odbicie Ferenu jest w Grombie?

— Tak, i wskazałam Strażnika Praw jako cel, bo to brzmiało prawdopodobnie. Założyłam, że Strażnik rzeczywiście został tam pogrzebany i będziemy chcieli go odszukać. A jeśli nie, to i tak będzie można sprawdzić, czy przypadkiem po Ciężkich Górach nie włączyła się armia... żeglarzy. Jeśli dowiemy się, że tak było... Wtedy złożę hołd twojej intuicji, panie — obiecała skwaszonemu Moldornowi.

Gotah stłumił niewczesny śmiech, bo mina matematyka była akurat taka, jaką widział po wykupieniu go z niewoli. Brakowało tylko guza na czole. Od czasu spotkania z wytwornymi piratami Brorroka Moldorn trochę spokorniał i stracił zaufanie do wszystkiego, co można wyszarpnąć z Pasm. Chociaż nigdy tego nie przyznał.

— No dobrze — rzekł Gotah pospiesznie, bo obawiał się, że parsknie śmiechem. — Przekonamy się, kto ma słuszność, a tymczasem... Keso, czy jest coś, co powinniśmy wiedzieć? Nie pytam już, czy księżniczka

Ridareta zasługuje na zaufanie. Pytam: kim albo czym jest? Opowiedz nam o niej trochę więcej.

— Bardzo ją podziwiam — odparła z głęboką powagą, udając, że nie dostrzega wzruszenia ramion Moldorna. — Jest bardzo silna i... dobra.

Tego już Moldorn nie wytrzymał.

— Jeśli chcesz ze mnie kpić, Przyjęta... — zaczął.

— Wcale nie — przerwała. — Nie złość się na mnie, wasza godność. Posłuchaj, proszę, co mówię. Jest dokładnie tak, jak przewidziałeś dzięki swoim obliczeniom... a muszę im wierzyć, bo choć jesteś niemożliwy jako człowiek, to zarazem genialny jako matematyk, co przyjąłam do wiadomości.

To nie było pochlebstwo; Przyjęta potrafiła chłodno ocenić rzeczywistość.

— Skądinąd to oczywiste, że skoro Feren zbudowany jest ze Smug oddzielonych od wszystkich Pasm, to jego odbiciem jest po trosze wszystko w Szererze, bo każda rzecz i każde zjawisko jest symbolem jakiegoś okrucha treści Szerni. Rubin rzeczywiście jest więc skłonny napierać... może lepiej powiedzieć: atakować i niszczyć wszystko. Najzupełniej wszystko. Ale ta dziewczyna w jakiś sposób skierowała jego siłę do wewnątrz. Nie przerywajcie mi, proszę, zaraz skończę, a wtedy będziemy dyskutować... Wydaje mi się, że Ridareta wymusza na Riolacie tak dużą aktywność, że niewiele jej zostaje do działań... do działań... Nie wiem jak to powiedzieć?... Innych działań. Zewnętrznych. Nie mogę tego twierdzić na pewno, ale wydaje mi się, że sto innych osób na miejscu księżniczki siałoby zniszczenie po prostu na prawo i lewo. A ona? Ona jest nikim więcej, jak tylko królową piratów, taką jak jej ojciec, na pewno nie bardziej okrutną, nawet nie bardziej aktywną. Zestawcie tych dwoje ludzi; porównajcie, proszę. Kapitan Rapis przecież nie nosił w sobie Rubinu, nie był Rubinem w żadnej mierze. On go tylko... po prostu miał przy sobie. A ona jest jego treścią przesiąknięta do cna, do dna duszy. Powinna być istnym demonem zbrodni, a tymczasem cała jej występna aktywność to... piratowanie. Czyli nic nadzwyczajnego. To są, oczywiście, okropne czyny i zbrodnie. Ale ani większe, ani bardziej przerażające od setek i tysięcy innych zbrodni, jakie były, są i będą popełniane. To nie ją, lecz jej ojca zwano demonem, Demonem Walki... Podziwiam ją — powtórzyła. — I chcę wierzyć, że ma w sobie dość siły, by pozostać tylko

piracką księżniczką, niczym i nikim więcej. A to już nie nasza sprawa. Od ścigania piratów jest straż morską, nie Przyjęci.

Słuchali uważnie.

— Dobrze, Keso — powiedział Gotah, który był w żonie na zabój zakochany, ale tylko, rzec by można, prywatnie; jako *lah'agar* atakował ją z innych pozycji niż Moldorn, choć wcale nie rzadziej. — Ale może księżniczka nie miała dotąd okazji, by stać się tym „demonem zbrodni”?

— Czy naprawdę nie miała?

— Jaką jednak dasz nam gwarancję, że tak będzie zawsze? Że nic się nie zmieni; że księżniczka Ridareta zawsze będzie panować nad Riolatą? Według pojęć każdej istoty w Szererze ta dziewczyna jest nieśmiertelna. Jeśli nie dziś albo jutro, to może za dziesięć, pięćdziesiąt albo sto lat zrobi swoje?

— Czyli co? Każe zgładzić sto tysięcy ludzi? Jeśli nawet każe, jeśli nawet będzie miała możliwość wprowadzenia takich zamierzeń w czyn, to Przyjętym chyba nic do tego? A może przeciwnie: nagle zaczniemy naprawiać niedobry świat?

— Wiesz, że mówię o zachwianiu równowagi. O Ferenie.

— Ależ, historyku... Księżniczka może i jest nieśmiertelna, ale za to odbicie Ferenu jest śmiertelne. Wydaje się, że ta emanacja sił Szerni rzeczywiście raz na kilka wieków przybiera postać Trzech Sióstr. Niemniej jednak pozostaje tylko symbolem Ferenu. Żadna z Sióstr nie jest nosicielką treści Szerni i oboje wiemy o tym najlepiej. Zwłaszcza ty. Wiesz, kim jest królowa Ezena, lepiej niż ktokolwiek inny na świecie. I tak samo dobrze znasz jej niewolnice. Wszystkie trzy. — Uśmiechnęła się i było w tym dużo przekory.

— Tylko dwie są Siostrami. A trzecia już nawet nie jest niewolnicą — wytłumaczył z największą powagą Gotah, nie bacząc na tłumioną złość Moldorna, któremu małżeńskie żarciki i przekomarzenia podobały się jak zdechły szczur. — Jest...

— ...twoją żoną. No dobrze... A wy? Co wskóraliście?

Gotah znowu powściągnął uśmiech. Zostawiając smakowite szczegóły na później, najogólniej opowiedział o Brorroku i tym, czego stary kapitan się podjął.

— Jeśli ten starzec wywiąże się z obietnicy, to... będzie mi jej żal. Ridarety — powiedziała, przemyślawszy nowiny. — Ale to tylko zwykłe

porachunki między piratami, nic z czym nie miałyby do czynienia na co dzień. To jej życie i jej własny los. Prędzej albo później... może Brorrok, a może ktoś inny... Jest nieśmiertelna, ale nie niezniszczalna.

— Jest zbrodniarką, która powinna skowyczeć na placu kaźni — spokojnie powiedział Moldorn.

— Ty zaś, panie, jesteś zwykłym głupcem, uzdolnionym matematycznie, ale tylko tyle. Jakich nagród dla niej żądasz za dobre uczynki, skoro tak skwapliwie domagasz się kary za złe?

— Mam już dosyć tych połajanek, wasza godność — w głosie Przyjętego zabrzmiało poważne ostrzeżenie. — W końcu przebierze się miarka.

— I co wtedy zrobisz, królu wszystkich głupców?

— Przestańcie — zażądał Gotah.

— Nie, bo życzę sobie usłyszeć odpowiedź — rzekła Przyjęta, swobodnie odchylając się na oparcie krzesła i leciutko unosząc swe królewskie brwi. — Jego godność Moldorn jest gburem, nędznikiem i głupcem nad głupcami; obecność kogoś takiego w naszym gronie uważam za dotkliwą karę. Tylko za co?...

— Keso...

— Nie — ucięła; Gotah jeszcze nigdy nie widział żony takiej. — Pomyśl, że bardzo bliska jest chwila, gdy usłyszysz ode mnie: jego godność Moldorn albo ja. I będziesz musiał wybrać, niestety.

— Nie mówisz tego poważnie.

— A skądże, żartuję sobie... Jesteś gburem, głupcem i nędznikiem, Moldornie — rzekła wprost do matematyka. — Co ty na to? Czy smagniesz mnie wyrwanym z Pasm płomieniem? A może zamienisz w kamień?

Zaległa krótka cisza. A potem, zupełnie niespodziewanie, Moldorn zaczął się śmiać.

— Zamienić w kamień?... Ty już jesteś kamieniem, Keso — powiedział całkiem życzliwie. — Jak pewnie słyszałaś, wasza godność, miałem w życiu trochę do czynienia z kobietami... Jedna z nich była nawet Przyjęta, a do tego moją żoną, bo to niezupełnie bajki i plotki. Ale Slava nie była taka jak ty. Trochę szkoda. Przebacz mi gburowate zachowanie. Głupoty nie zarzucaj, bo ten zarzut mija się z prawdą. A nędznikiem mam prawo być, bo walczę o słuszną sprawę i liczą się moje

czyny, nie natura.

Udało mu się zaskoczyć Przyjętą.

— Jednak trochę się zapędziłeś — powiedział po chwili Gotah. — Przecież zaraz powiesz, że i czyny w gruncie rzeczy się nie liczą, bo ważny jest cel, a słuszny cel usprawiedliwia wszystkie środki... To twierdzenie nie jest nowe, Moldornie.

— Ani nowe, ani fałszywe. Oby wiara w człowieka i dobre intencje Kesy okazały się dla świata bardziej zbawienne niż podłość nędznika Moldorna... Ale to raczej podły Moldorn zbawi świat. A dlaczego? Bo tak to już jest. Śpijcie dobrze, a ty, piękna pani z kamienia, jeszcze raz przyjmij moje przeprosiny. Chyba zawsze będę twoim oponentem, lecz bodaj nigdy wrogiem.

— Dlaczego nigdy nie rozmawiasz ze mną w taki sposób, Moldornie? — zapytała z wymówką, ale bardzo łagodną, płacąc matematykowi za nieoczekiwaną uprzejmość.

— Bo nie mam do tego cierpliwości. Bo przez całe życie słucham, że „z jednej strony... ale z drugiej strony...”. Jeśli nawet jestem nędznikiem, to bardzo mi zależy na Szererze. Chcę go ocalić i nie będę oglądał się na nic. A sądy, które wygłaszam, wyglądają może na pochopne, jednak biorą się nie tylko... z tego, co nazwałaś „babską intuicją”, czyli z wewnętrznego przeświadczenia o czymś. Przede wszystkim z innej linii rozumowania.

— Jaki błąd popełniam w moim rozumowaniu?

— Metodologiczny, wasza godność — cierpko rzekł matematyk. — Przedstawiasz szacunki procentowe, ja zaś operuję wartościami bezwzględny. Ty mówisz: księżniczka jest dobra, bo robi połowę tego, co mogłaby robić jako Rubin. Ja mówię: to zbrodniarka, bo popełniła sto zbrodni i nic tu nie ma do rzeczy, że mogłaby popełnić ich dwieście. Czy jest dobra jak na kogoś, kto nosi w sobie Rubin? Przecież w ten sposób, Keso, usprawiedliwisz niemal każdy występki. Zaczajony z nożem w zaułku lump też jest dobry jak na kogoś, kto przez całe życie był głodny; pirat dobry jak na kogoś, kogo pijany ojciec codziennie tłukł w dzieciństwie, potem zaś ojca zastąpił kapitan statku... Każdy z nich nosi swój Rubin: jeden głód, drugi gniew... I każdy z nich mógłby pewnie robić jeszcze więcej złych rzeczy, niż robi. Obiektywnie jednak są to ludzie nikczemni i — odkładając na bok wzruszające tego przyczyny — należy spodziewać się po nich dalszych nikczemności. Twoja wiara w takich

ludzi jest więc tylko wiarą, wasza godność. Naiwną.

Z sąsiedniego pokoju wynurzył się Yolmen.

— A wy wciąż rozmawiacie? Pozwól ze mną, Moldornie. Prosiłem, żebyś znalazł chwilę czasu! — przypomniał z wyrzutem. — Znalazłem w równaniach Tamenatha coś, czego zupełnie nie rozumiem. Pomóż mi.

— Tak. Już właśnie do ciebie szedłem.

*

Po całych miesiącach rozłąki Gotahowi marzyły się miłosne uniesienia, ale wyszło na jaw, że... nie jest do nich zdolny. Męskie siły zawodziły go rzadko, rozsądnie więc poszukał przyczyny tam, gdzie jej szukać należało: mianowicie między uszami, nie niżej. Wzburzyła go wieczorna rozmowa; słuchał żony, słuchał... towarzysza, bo nie przyjaciela... Chciał rozmawiać dalej, inne chęci musiały poczekać.

Podobnie czuła Kesa.

Leżeli w delikatnej pościeli, w łóżu godnym dartańskiej królowej, pod baldachimem. Za oknami pyszniła się ciepła noc; pokój przecinała jasna smuga księżycowej poświaty.

— Nie wyobrażam sobie, jak ona to znosi — powiedziała Kesa, myśląc o Ridarecie. — Ten Przedmiot... Rubin... TO jest martwe; to tylko ślepa siła. A ja myślę o tym jak o przeklętej, złej istocie, o demonie, który zamieszkał w żywym człowieku, kobiecie.

— Przede wszystkim, niestety, nie żywej. Nie ma, Keso, dobrego słowa na określenie... trwania Ridarety. Ty żyjesz; ja żyję, ale ona, zamiast żyć... rubinuje?...

— Przecież Rubiny Córki Błyskawic to nawet nie są prawdziwe rubiny — szepnęła z namysłem. — To są niewielkie czerwone przedmioty, trochę podobne do szlachetnych kamieni, tylko tyle.

— I co z tego wynika?

— Nic. Nie, ja... tak tylko, mówię na głos, co przychodzi mi do głowy. Wiesz, jakie to przyjemne? Leżeć tak i mówić co się chce... Nie muszę ważyć słów, bo nie załatwiam żadnej sprawy, nie wypełniam misji... Bardzo dobrze mi tutaj z tobą.

Wyciągnął rękę. Oparła głowę w załamaniu mężowskiego ramienia.

— Ale to nie demon — powiedziała, wracając myślą do Ridarety.

— Wódka — odpowiedział. — Mocny trunek. Chyba tak trzeba o tym myśleć.

— Nie rozumiem? Wódka?

— Byłaś kiedyś pijana? Chociaż raz?

— Nnnie... — odparła, zdziwiona, jakby właśnie w tej chwili to odkryła.

— W takim razie trudno mi będzie wyjaśnić. W każdym razie widywałaś pijanych. Niby wiedzą, kim są i co robią, ale mówi się czasem o takim, że myślała za niego gorzałka. Wódka w beczce nie robi nic niezwykłego, najwyżej ostro pachnie, to tylko ciecz. Martwa, nieżywa. Ale wlana w człowieka... no, to już co innego. Księżniczka jest bez przerwy „pijana”, ale ładnie się upija, bardzo grzecznie; inaczej niż większość ludzi. Od czasu do czasu traci kontrolę i robi coś, co dyktuje jej trunek, a potem znowu bierze się w garść i choć nadal widać, że jest pijana, zachowuje się jak pijana, to jednak... można od biedy z nią wytrzymać. Tak to wygląda, jeśli przyjąć wszystko, co o niej powiedziałaś. A ufam twojej ocenie.

— Trucizna.

— Tak. To trucizna.

Gotah chciał o coś zapytać, ale nie wiedział jak.

— Czy rzeczywiście jest aż tak... urodziwa?

Zaśmiała się.

— O, mężczyzna... Głupio urodziwa — rzekła, poważniejąc. — Wulgarnie. I nieprawdziwie. W sam raz dla prostych żeglarzy. Rubin działa na oślep, ale jednak celowo, bo urodziwa kobieta może więcej niż brzydka. Jednak... Riolata to naprawdę nie jest demon, to tylko siła, rzecz. Uroda Ridarety jest odbiciem jej własnych wyobrażeń na ten temat, to ona skierowała ślepą moc w pożądanym przez siebie kierunku. Głupiutka jest ta dziewczyna. Taka lub inna; zła czy dobra... ale w każdym razie głupiutka. Nie mówmy już o niej. Ja zaczęłam, wiem. Ale już wystarczy.

Gotah poczuł poruszenie opartej na ramieniu głowy, jakby żona pokręciła nią do własnych myśli.

— Najpierw nie mogłam uporać się z tym chaosem, z Szernią... Tak jak ty. Odkąd Pasma toczą wojnę ze Wstęgami Aleru, wszystko się rozsypało, mówiliśmy przecież o tym tyle razy... Dopiero od jakichś dwóch miesięcy... niedługo po naszym rozstaniu, odnalazłam nowy porządek. Zresztą, czy na pewno porządek?... Po prostu uspokoiłam się.

— To podobnie jak ja. Yolmen i Moldorn też.

— Moldornowi tak łatwo przyszło dotknięcie Pasm, wydobyć z nich tego, co uznał za potrzebne — mówiła z namysłem. — Może i są to „sztuczki”, jak je nazywasz, ale... jak on to zrobił?

— Próbował.

— Próbował? Dobrze, ale... czego? — zapytała bezradnie. — Ja mam uczucie... a właściwie pewność... mam świadomość, że w każdej chwili mogę zrobić... Że mogę zrobić COŚ. Coś odpowiedniego, ale co to będzie? Nie wiem, zupełnie nie wiem. I boję się. Może coś gwałtownego, nieodwracalnego, co wyrządzi krzywdę?... A ty? Jak ty to czujesz?... Podziel się ze mną, opowiedz! — zażądała, opierając się na łokciach. — Najpierw rozumiałam całą Szerń. Wiedziałam jak sprawić cokolwiek, chociaż wiedziałam zarazem, że gdy tylko zechcę wprowadzić zamiar w czyn, zostanę odrzucona przez Pasma. Rozmawialiśmy o tym i mówiłeś, że to tak właśnie jest. Ale teraz wszystko wygląda inaczej, w Pasmach wymieszały się treści... znaczenia... Znalazłeś już w tym nowe reguły? Opowiedz!

— Ale to jak baśń o uczniu czarodzieja. Dla mnie to jest ogromna piramida skrzyń. Od jakiegoś czasu już wiem, co zawierają, ale nie wiem, do której sięgnąć. Mogę otworzyć każdą, ale boję się zbliżyć do którejkolwiek, bo w środku może być wojownik, który stanie w mojej obronie, albo potwór, który urwie mi głowę. Elixir zdrowia albo fiołka z trucizną. Kłęb morowego powietrza. Kamienna skóra, jaką nakłada Moldorn, albo liszaje i wrzody, które okryją całe moje ciało. Moldorn chyba odczuwał to podobnie. Yolmen, wiem, zupełnie tak jak ja.

— I Moldorn otworzył te skrzynie?...

— Kilka... kilkadziesiąt... kilkaset... Nie rozmawialiśmy na ten temat. Sięgnął do Pasm i parę rzeczy znalazł. Teraz wie gdzie szukać.

— I wszystko, co znalazł, było pożyteczne?

— Nie wiem. Nie pytałem.

— Jest odważny...

— ...bądź głupi.

— Jedno nie wyklucza drugiego.

— Nawet uzupełnia. Głupota i odwaga lubią chodzić w parze.

Westchnęła.

— Czujemy inaczej — powiedziała, opadając na poduszki. — Może

to dlatego, że jestem...

— Kobieta? Tak mi się wydaje. To możliwe, bo przecież różnice zawsze istniały. Obok wszystkich podobieństw. Mówisz, że możesz zrobić coś odpowiedniego, właściwego w danej chwili?

— Tak. Ale właściwego według reguł, którym teraz podlega Szerń, a ja tych reguł przecież nie znam. To są reguły Pasm toczących wojnę, a ja takich Pasm nie rozumiem. Gdyby Moldorn naprawdę chciał dzisiaj uderzyć mnie ogniem... tak tylko mówię... wiem, że nie chciał. Ale gdyby chciał, obroniłabym się. Jestem pewna.

— Tylko nie wiesz, w jaki sposób ani z jakim skutkiem dla Moldorna?

— Żeby tylko dla Moldorna... Dla ciebie, dla Yolmena, dla całego domu, a może całego miasta...

— Nie przesadzaj.

— Naprawdę nie wiem.

— Przestraszona, a przez to niemądra. Keso, niektóre reguły rządzące Pasmami uległy zawieszeniu, ale istnieją reguły nadrzędne, którym podlega nie tylko Szerń. Takie choćby, jak zasada akcji i reakcji. Jakaś równowaga w tym być musi, przecież nawet stan wojny nie zawiesza podobnych praw. Armie nie ścierają się z pojedynczymi żołnierzami, a flota stu żaglowców nie wypływa przeciw rybackiej szalupie.

— Już rozumiem, nie kończ.

Gotah lubił jednak doprowadzić każdą myśl do końca.

— Szerń nie „oszalała”. Tak jak powiedziałaś, jest w stanie wojny, tylko tyle. Wojna nie jest podobna do pokoju i stąd nasze rozterki, niemniej, jeśli twierdzisz, że z tej wojującej Szerni potrafisz wydobyć właściwą rzecz we właściwej chwili, to przecież oznacza zachowanie jakichś proporcji. Może to być niezrozumiałe, może niemoralne lub okrutne z naszego... z ludzkiego punktu widzenia...

—... ale jakoś odpowiednie do problemu — przyznała.

— Więc taki Moldorn, być może, skonałby pod ścianą z poodrywanymi kończynami, udławiony własnym kręgosłupem...

— O, przestań! — Wzdrygnęła się.

— .Ale na pewno nie zmieniłby się w popiół razem z całą Llapmą. Może powinnaś czegoś popróbować?

— Prędzej umrę.

— Ale czegoś niezbyt gwałtownego. Dowiedz się, gdzie jest teraz i co robi księżniczka Ridareta — podsunął.

— Może dowiem się zarazem, co myśli, co czuje... Skąd mam wiedzieć? Może od tego oszaleję.

— Keso, złościsz się na mnie, gdy tłumaczę każdy drobiazg, a kiedy indziej udajesz, że nic nie rozumiesz. Możesz zrobić coś WŁAŚCIWEGO? No to zrób.

— Ale... to nie na zawołanie — zaproponowała. — Wiesz, co teraz wydaje mi się właściwe?

— Co takiego?

— Spać — odparła poważnie. — Nie śmieję się, przecież ja... Czy ty mnie słuchasz? Próbujesz zrozumieć? Mówię ci, że mogę wydobyć z Szerni właściwą rzecz we właściwej chwili. Teraz mogę nie więcej niż uśpić nas oboje. W mgnieniu oka. Chcesz?

— Nie — odparł, bo nareszcie zmęczyła go rozmowa, a w zamian odnalazł siły do czegoś zupełnie innego. — Naprawdę pora na właściwą rzecz we właściwej chwili i miejscu.

— Ach, tak? Ale mnie boli głowa.

— O... Nie poruszaj nią.

8.

Prowadzony na holu żaglowiec majestatycznie wpływał do portu w Aheli. Pokład, pełen krzątających się marynarzy, lśnił czystością, a ciemnoczerwone żagle, choć zwinięte, wyglądały na zupełnie nowe. Na dziobie i rufie holka widniała pięknie wymalowana, dumna nazwa: „Kaszalot”. Zarówno okręt, jak i jego dowódcę dobrze znano w tych stronach.

W ślad za holkiem posuwała się zgrabna karawela z mieszanym ożaglowaniem; ten okręt także szedł na holu, choć można było odnieść wrażenie, iż poradziłby sobie bez żadnej pomocy — marynarskie oczy nieczęsto oglądały tak udany, bardzo zwinny i szybki żaglowiec. Każdy, kto miał pojęcie o tym, co pływa po południowych morzach Szereru, nie czytając nazwy, mógł zgadnąć, że widzi słynną „Kołysankę” Armektańczyka Kitara, o którym powiadano, iż nikt nigdy go nie dogonił

— i tak samo nikt przed nim nie uciekł.

Niestary jeszcze, urwisowaty kapitan Kitar, zawołany żeglarz, był przed laty żołnierzem. Jego majtkowie, wyszkoleni i zdyscyplinowani niczym morscy piechurzy, nosili coś w rodzaju mundurowych tunik; po armektańsku dumny ze swego kraju Kitar nigdy nie abordażował armektańskich statków — co najwyżej brał umiarkowanie niski okup — unikał walk z armektańskimi okrętami, ale w zamian kazał wszędzie malować i haftować (na żaglach, na kubrakach marynarzy...) imperialne czteroramienne srebrne gwiazdy, co do szafu doprowadzało cesarskich strażników morza. „Kołysanka” i „Kaszalot” bardzo często działały razem. Sędziwy Brorrok, o którym powiadano, że był niegdyś ogrodnikiem w służbie garyjskiego bogacza wysokiego rodu, zakochany w pięknie i porządku, bardzo cenił towarzystwo „młodzieńca” wiedzącego co to ład i dyscyplina. Widok tych dwóch okrętów razem zapowiadał jakieś wielkie morskie wydarzenie. Ich kapitanowie nie składali eskadry bez powodu.

Okręty sprawnie cumowały do nabrzeża.

Brorrok i Kitar, każdy w odpowiedniej asyście, spotkali się przy trapie „Kaszalota”, bo starzec poruszał się z trudem i unikał zbędnych spacerów. Obaj posłali oficerów, by dopełnili portowych formalności. Już zniesiono na ląd otwartą lektykę dla Brorroka — było to szerokie, dobrze wymoszczone krzesło na solidnych drążkach; czterech krzepkich żeglarzy bez wysiłku uniosło je wraz z leciutkim jak wiórek kapitanem i cała kawalkada ruszyła ku głównej bramie twierdzy ahelskiej. Czterej żeglarze Kitara, torujący drogę w portowym tłumie, mieli w rękach najprawdziwsze halabardy — oręż u żeglarza co najmniej niezwykły — którymi grzecznie lecz stanowczo usuwali z drogi przechodniów. Dwaj dostojni piraci stanęli u celu i opowiedzieli się strażom. Wkrótce nadszedł rozkaz wpuszczenia ich do środka.

U stóp schodów Brorrok westchnął i wysiadł z lektyki. Nie był zniedołężniały i potrafił pokonać nawet strome stopnie, ale nie miało to nic wspólnego z przyjemnością.

— Rudy, zostań tutaj z chłopakami.

Przed ćwierćwieczem książę Raladan jako pilot pływał (wprawdzie krótko) pod komendą Brorroka. Zrędliwego starca trudno było lubić, ale jeszcze trudniej nie szanować. „Ślepy” wyszedł gościom na powitanie.

Zwano go tak niegdyś, bo — młody i próżny — popisывał się, z zawiązanymi oczami rzucając nożami do celu. A skądinąd, różnych „ślepych” — a właściwie półślepych — było na Bezmiarach całe mnóstwo; zranione w walce abordażowej lub jakiejś karczemnej bójce oko, urządzenie bardzo delikatne, nie goiło się tak dobrze, jak przecięte ucho lub policzek. Trudno było znaleźć taki wojenny żaglowiec, gdzie przynajmniej dwóch drabów nie biegało z opaską na prawym bądź lewym ślepiu.

— Dawno was tu nie było — rzekł Raladan, po czym osobno zwrócił się do Brorroka: — Mówili mi, kapitanie, że nie żyjesz.

— Ano, prawda — poświadczył Brorrok.

— Szkoda. Wreszcie się sprawdziło, bo co rok to słyszę... Chodźcie.

Wyglądający na trzydzieści pięć lat, a w istocie czterdziestodwuletni Kitar, chłop na schwał, wysoki i przystojny, rozpromienił się na widok ślicznej niewolnicy, która przepuściła go w drzwiach. Mrugnął okiem i powiedział coś takiego, że dziewczyna oblała się rumieńcem — lecz nie wstydu, a przyjemności. Uciekając, zdążyła jeszcze zerknąć na postawnego żeglarza, po męsku odzianego w grubą czarną spódnicę, nie zaś portki, jak większość marynarzy (w portkach nie ścierało się skóry podczas zjeżdżania po linie). Bezceremonialnie usiadłszy przy stole, Kitar wziął jabłko ze srebrnego talerza i z apetytem jął chrupać, zostawiając rozmowę Brorrokowi.

— Krótko, Ślepy, bo lada dzionek może się sprawdzić to co gadają od zawsze — zaczął staruch. — Nie mam, widzisz, czasu. Twojej córki szukam. Mam sprawę, niech mnie zatłuką.

Raladan milczał wyczekująco. Poprawił się na krześle, wyciągnął nogi przed siebie i splótł ręce na brzuchu.

— No to, Ślepy, gdzie jest?

— Zdawało mi się, że jej nie kochasz, kapitanie.

— Bo to flejtuch i zdzira — przyznał Brorrok. — A jeszcze ma coś z głową, tak czy nie?

Po trzykroć była to prawda.

Raladan czekał.

— No, Ślepy, powiesz czy nie powiesz?

— Do czego ci potrzebna Ridareta?

— Zapłacili mi za jej łeb — wyznał Brorrok. — Nie uwierzysz, jak ci

powiem kto.

— Niech no zgadnę... Przyjęci?

— Przyjęci, ano, niech mnie upieką! — uradował się Brorrok. — Skąd to wiesz?

Raladan leciutko zacmokał przez zęby.

— I czego od niej chcecie?

— No jak? Tego łba, a czego?... — zdziwił się staruch. — Tylko że, widzisz, mam go przywieźć w beczułce. Coś mi się wydaje, że nic z tego. Nie lubię tej twojej paskudy, no naprawdę nie lubię! — rozzłościł się Brorrok. — I ja bym jej ten łeb nawet uciął, tyle tylko, że nie wiem jak. Widziałem raz, jak spaliła żagle strażnikowi... bardzo brzydko, bo tak się nie robi. Wymyśliłem, Ślepy, że dotrzymam słowa i zawiozę Przyjętym głowę twojej pięknej, ale razem z całą resztą. Bo najpierw było, że odcięty łeb w beczułce, potem że nie musi być w beczułce... Takie tam. Hę? I co powiesz na to? Nikt nie lubi, jak na niego polują, nawet misio z lasu, bo to w sidła, widzisz, wpaść można. To ja ten misio z lasu mogę zawieźć tam, gdzie siedzą myśliwi, no i, do stu kurew... Jak twoja Foczyca się zgodzi, to zawiozę.

Raladan milczał i myślał.

Przyjęci dużo wiedzieli, ale niewiele mogli. „Podarunki” w rodzaju Kuli Ferenu, nasyłanie łowców głów w rodzaju Brorroka — wszystko to było, być może, bardziej niebezpieczne niż spotkanie z nimi oko w oko. Ridareta potrafiła niejedno i mogła spróbować szczęścia. Czy też miała raczej uciekać i uciekać? Jak długo?

— Zapłacili ci z góry, kapitanie?

— Dali tylko zadatek. — Staruch fraszobliwie podrapał się po nosie. — Dlatego mówię, że mam sprawę. Zapłać całą resztę, dorzuć jeszcze trochę... Znaczą ty albo Foczyca, wszystko jedno.

— Nie podoba mi się ta historia.

— Dobra, Ślepy. Ale ja żem coś komuś obiecał. Mogę kręcić, bo głupkom takie coś się należy, ale całkiem słowa nie złamię. Pirat, Ślepy, to nie jakiś kupiec, pirat musi być, widzisz, uczciwy. Bo inaczej nikt mu za nic nie zapłaci. Powiedz „nie”, a płynę szukać twojej małej cipki i, do kurwy królowej, co będzie, to będzie. Stary jestem.

— Kiedy widzisz, kapitanie — z namysłem odparł Raladan — znamy się już trochę, nieprawdaż? I dlatego coś mi się zdaje, że ty chcesz

dotrzymać słowa bez żadnego kręcenia.

— Gadaj z takim! Rudy, weźże mu powiedz... Zostawił zem Rudego na dole — zreflektował się Brorrok. — Zgadali my się z Kitarem, bo ta twoja córca dużo wrednego zwierza na pokładzie wozi i lepiej ją zdybać we dwóch. Nie to, żebym chciał zrobić jej co złego, ale toć to głupie i nie wiadomo, co wymyśli. A Kitar nie kładzie się do grobu i nie poszedłby na takie coś, żeby mieć u ciebie przerąbane do samego końca. Bo ty, Ślepy, wasza wysokość księżę, trochę za dużo możesz. Gadaj, Kitar: co ci mówiłem?

— To co teraz — przyznał Armektańczyk. — Ja, Raladan, nic nie mam do Pięknej Ridi, a jeśli nawet coś mam, to na pewno nie mieczyk... Ładna jest. Złota trochę już zarobiłem — kiwnął głową ku Brorrokowi — a teraz chętnie zawiózłbym Piękną tu czy tam... To nie musi być nudny rejs. Nie gniewasz się, braciszku, że tak mówię, hm?

Raladan może by się i gniewał, ale wszystko, co o Ridi mówił i myślał znany ze słabości do kobiet kapitan, było szczerą prawdą, niestety.

To nie musiał być nudny rejs.

— Nie wiem, czy wam wierzyć. Ale na szczęście nie wiem także tego, gdzie jest ani gdzie będzie Ridareta, więc nie muszę podejmować decyzji. Popłynęła. Ma prawo zawijać na Małą. Do Aheli już nie. I to wszystko.

— Jak niby? Na Małą, ale nie do Aheli?

— Popytajcie w knajpach o co chodzi — uciął Raladan, wstając z krzesła na znak, że rozmowa skończona. — Cumujecie do jutra?

— Co najmniej.

— Przyśle wam pieniądze. Ile to ma być?

— Zaraz... ale... — Brorrok co prawda sam mówił, że nie ma czasu, zarazem jednak bardzo nie lubił, gdy coś działo się byle jak. — Umowa, mówisz, zawarta?

— Przyjęci dali zadatek, ja mam zapłacić resztę i dorzucić jeszcze trochę, tak? No to płacę i dorzucam. Ile?

— Złota to ty już dawno nie liczysz, co? — rzekł z zawiścią ale i szacunkiem dziadek wszystkich piratów.

— Nie liczę. No to, ile?

Brorrok palnął sumę. Raladan skinął głową. Brorrok osłupiał i obraził się.

— Zawarliśmy układ — powiedział Raladan. — Teraz dogadujcie się z Ridaretą, ale o pieniądzach ma już nie usłyszeć od was ani słowa. Kitarze, do ciebie mówię, bo ty, kapitanie, zawsze byłeś troszeczkę za sprytny. Zawarliśmy układ?

Stary obraził się ponownie. Kitar pokiwał głową.

— Zawarliśmy.

— No to wynocha mi stąd.

— Dałbyś mi, braciszku, w prezencie jedną taką. — Kitar wskazał podbródkiem niewolnicę.

— Kup sobie, najlepiej w Dartanie. Ceny spadły, bo ma się na wojnę. Broń jest droga, niewolnice i chałupy coraz tańsze.

— Mówisz? A może i kupię. Właściwie, to dobra myśl... Jeszcze nigdy niczego nie kupiłem.

*

Dwa groźne okręty, połyskujące brązem dział na kasztelach, znękanej Małej Agarze zwiastowały wszystko co najgorsze. Wielka zgraja dzieciaków, rozplakanych już na wszelki wypadek, rzuciła się do ucieczki w głąb lądu. Z wysokości swych kaszteli dwaj kapitanowie ciekawie spojrzeli na czarne pogorzelsko widoczne tuż za przystanią. Ostał się tam tylko jeden dom.

Śmierdziało spalenizną i trupami. Kitar obejrzał zgliszcza z bliska, pocmokał, podniósł z ziemi zieloną chustkę, do której przywiązano jakiś strzęp. Niczego ciekawego nie znalazł.

W ocalałym domu kapitan „Kołysanki” znalazł zgnębnego człowieczka z roztrzęzionymi dłońmi, któremu wszakże na niczym już nie zależało — może tylko na życiu własnym i najbliższych; nic już więcej do stracenia nie miał. Musiał wiedzieć, że do przystani wpłynęły okręty, ale nawet nie wyszedł na próg. Kitar pytał, człowieczek odpowiadał — trochę chaotycznie, cicho, ale zrozumiale.

— Cała wyspa? Wszystkie wioski? Mieszkańcy?

— Zostawiła tylko dzieciaki, trochę starych babek do opieki. Za mało na setkę głodnego drobiazgu. Oseski zaczynają... zdychać. Bo to przecież nie jest umieranie.

— Nikt więcej nie ocalał?

— Paru albo parunastu rybaków uciekło, jacyś pewnie chowają się do tej pory. Jeden się powiesił, znalazłem go wczoraj. Może wszyscy się

powiesili.

— Co jej zrobiliście?

— Księżniczce? My nic, panie. Ale kazała powiedzieć... tylko...

— Co kazała powiedzieć?

Gospodarz domu wzruszył ramionami. Z kąta dobiegł szloch jego żony.

— Pytam: co kazała powiedzieć? I komu?

— Jego wysokości księciu.

— Księciu Raladanowi?

Zarządca wyspy pokiwał głową, na której srebrzyło się szerokie siwe pasmo.

— Tak, księciu. Że Piękna Ridareta dziękuje mu za wszystko. Ja... nie wiem, za co. Nic więcej nie wiem. Ci ludzie tutaj... całe życie łowili ryby.

— Dokąd popłynęła?

— Myślisz, panie, że zapytałem? Nawet... nawet wiosłowej łodzi mi nie zostawiła, żebym mógł pośłać na Wielką... — dorzucił zupełnie od rzeczy. — A zresztą... Nie wiem, kto miałby powiosłować? Chyba moja żona i ja.

— Nic nie słyszałeś? Nie mówiła nic do swoich oficerów?

Człowieczek westchnął i pokręcił głową.

Kitar wyszedł i wrócił na przystań. Najpierw wkroczył na pokład „Kaszalota”. Brorrok, utrudzony niedawnym biegiem po Aheli, tym razem nie pokwapił się na ląd.

— He? No, co tam?

Armektańczyk opowiedział, co widział i słyszał. Brorrok zadumał się.

— Całą wyspę z dymem, powiadasz, puściła? Niezła jest, he, he... — zarechotał i rozkaszłał się.

Kitar czekał. Starzec krztusił się i chrypiał, wybałuszał oczy, pluł i nie mógł złapać oddechu.

— Kiedyś... zdechnę od tego, niech mnie... — wymamrotał wreszcie i raz jeszcze kaszlnął cichutko. — No... khe... niech mnie uwężdzą. Noo... chciałbym zobaczyć Ślepego, jak mu o tym powiedzą. Idź, szukaj, gadaj ze wszystkimi! — zażądał. — Dam ci Rudego i paru mądrych chłopaków, cobyś sam nie latał. Też bym poszedł, ale widzisz mnie: popatrzę se z bliska na wszystko i już mnie nie odratują... Nie taka ona całkiem do

niczego, ma dziewczucha pomysłu i zadrzota. Tylko że niechlujka taka, bła!... Do tego jeszcze ladaczna. Idź, synuś, pytaj! W Aheli jakoś znalazł się głupek, co posłyszał gadanie majtków, że pewnie kapitana, niby, będzie chciała zajrzeć na Małą. To i tu jakiś uszaty się znajdzie. Niech mnie rozprują, jeśli nie.

— Rudy się przyda, ale marynarzy mi nie dawaj, bo nie lubię rządzić cudzymi — powiedział Kitar. — Dość mam własnych. Dobrze, poszukam jeszcze i popytam.

— Weź też moich. Co chcesz? Żeby twoi zaczęli kwękać? Że niby za chłopców Brorrocka wszystko robią, a ich kapitan lata na posyłki?

— Może to i racja. Dobrze, daj mi paru.

Kitar szukał i pytał do wieczora.

Marynarze odwiedzili kilka wiosek, a nawet z udającej lasek kępy drzew wydobyli ogłupiałego ze strachu rybaka, który siedział tam od kilku dni, jedząc liście — jednak nie dowiedzieli się niczego. Po zmroku zniechęcony i zmęczony Armeckańczyk bezceremonialnie obudził Brorrocka, który wprawdzie wstawał bardzo wcześnie, ale jeszcze wcześniej lubił kłaść się spać.

— Że też wy, niech mnie oprawia, żadnego szacunku dla starszych nie macie! — źlił się Brorrock, z wielkim trudem siadając w pościeli i osłaniając oczy przed blaskiem latarni, kołyszącej się w mocnej dłoni Kitora. — Gdy ja byłem młody...

— ...to nie miałeś szacunku dla nikogo, bo nikogo jeszcze nie było na świecie, tylko ty. — Kitar postawił latarnię na stole i rozsiadł się na kapitańskim krześle. — Ale ja już nie mam tak łatwo. Gównu! Nikt nic nie wie.

— O, Kitar, nie mów tak brzydki! — jak najszczerzej zgorszył się Brorrock. — Ja, widzisz, ja mam brzydki nawyk i bardzo z nim, do stu... bardzo walczę. Ale mowa powinna być schludna. A ty powiedziałaś „gównu”.

— A jak schludnie mówi się na gównu, bo ja nie wiem?

— Kupa.

— Kupę to robi mewa, a ja gównu się dowiedziałem! — Kitar wreszcie stracił cierpliwość. — Tu zostały jakieś stare ropuchy, banda ryczących z głodu małych smrodów i może dziesięciu chłopca, a wszyscy ze strachu obesrani. Kobiety ani jednej, wszystkie pozabierane, a te co

zostały, już cuchną. Prawda, znalazłem jedną, paskudną i o, z takim bębniem, chyba brzydzili się ją ruszyć. Piękna Ridi jest lepsza niż najczarniejsza zaraza, życie na tę wyspę wróci za sto lat. Gdzie płyniemy, braciszku? To ty jesteś dowódcą eskadry, nie ja.

Brorrok nie mógł być braciszkiem Kitara. Żaden mężczyzna na świecie nie był jurny dość długo, by dać życie jednemu i drugiemu. I żadna kobieta nie mogła powić synów w odstępie ponad sześćdziesięciu lat.

— Ten zarządca na pewno nic nie wie?

— Nie. Kazałem go powiesić, a i tak już nic nie powiedział.

— Ale wisi?

— Skąd, straszylem go tylko. Nie wisi.

— To niedobrze. Po co ktoś ma wiedzieć, o cośmy go pytali?

— Jak chcesz, to sam go powieś.

— Boisz się trochę Ślepego, co?

— Nic nie mam do Raladana. I potrzebny mi port u niego.

— Niech ci będzie. W takim razie, mój chłopcze, żeglujemy do Grombelardu.

— To na koniec świata.

— E, tam... Niewiele dalej, jak do twojego Armektu.

Kitar wskazał palcem za siebie.

— Na „Kołysance” mam mapy, każę przysłać, to sobie przerysujesz. Grombelard to znaczy Lond, bo innych portów tam nie ma. Do Londu jest trzy razy dalej niż do „mojego Armektu”.

— Dobrze, dobrze... Ale ja niczego lepszego, widzisz, nie wymyślę. Foczyca była już w Londzie. Jakies dwa lata temu. Jej hałstra ze „Zgniłego... tfu! tfu!... Trupa” spaliła w Londzie całą dzielnicę...

— Słyszałem, każdy słyszał.

— Była tam z Przyjętym, ze starym Tamenathem.

— I co z tego?

— Nic — przyznał starzec. — Ale to wszystko, com wydumał. Miała kiedyś jakieś sprawy w Londzie, a była tam z Przyjętym. Teraz dybią na nią... no, Przyjęci. Może jedno coś ma do drugiego? Powiedzieli, że coś im ukradła i rozchodzi się o to, żeby nie kradła dalej. Skąd można coś ukraść Przyjętym? Z Grombelardu. A była tam, zdaje mi się, jeden raz. Właśnie w Londzie. Gdzieś popłynąć, do stu kurew, trzeba.

Kitar nie wyglądał na przekonanego.

— Dobrze; a niech tam — rzekł jednak i wstał z krzesła, bo prawda była taka, że dzięki układowi z Brorrokiem już zarobił krocie za najprostszą, jak dotąd, robotę w całym życiu, a miał dostać jeszcze drugie tyle (stary chytrus nie lubił płacić z góry). — Mamy naszą umowę: pływam z tobą, aż znajdziesz Ślepą Fokę Ridi. Jak znajdziesz, ja biorę swoje złoto i patrzę co będzie dalej. Dogadacie się — możemy rozmawiać znowu; chętnie zarobię jeszcze trochę, byle za coś mądrego. Nie dogadacie się — już mnie nie ma.

— Chyba żeby brudne Foczydło bez niczego rzuciło się na nas! — przypomniał Brorrok.

— Chyba żeby, braciszku — potwierdził Kitar i wyszedł.

Część druga. Trzy żaglowce

9.

W ładowni skończyła się gorzałka. Ostatnią beczkę, zostawioną na czarną godzinę, Mevev trzymał przy swojej koi; bez mała spał z głową na niej. Było jeszcze szlachetne czerwone wino, ale — cierpkie i obrzydliwe, a do tego słabe — smakowało tylko dowódczyni; załoga upijała się tą cieczą z nieopisanym wstrętem. Niemniej chłopcy z wachty pokładowej, którym wina nie dano — bo przynajmniej kilkunastu przytomnych musiało być na okręcie — z zazdrością aż nienawistną spojierali na szczęśliwych kompanów, śpiewających, pływających i bawiących się z dziewczynami. Podczas bojowego rejsu każdemu przysługiwał kubek wódki dziennie, jednak libacje należały do rzadkości; kapitana pozwalała wypić najwyżej raz w tygodniu — wysuszone marynarskie gardła domagały się więc trunku. Ostatecznie, mogło być nawet wino.

Kiwało niezbyt mocno. W obszernej kajucie pod rufowym kasztelek, gdzie oprócz kapitana mieszkali tylko jej oficerowie, bawiła się starszyzna, do której zaliczano także komendanta Gardy oraz dowódców oddziałów strzelczych i abordażowych — jednak drzwi były szeroko otwarte, więc każdy marynarz mógł przepić do dowództwa; przepędzano tylko kompletnie nieprzytomnych i bełkoczących nie wiadomo co. Uczony Sayl, drugi oficer, któremu przypadła tego dnia komenda, nie pił; ale był to dziwak i cudak, który mógł pić albo nie pić i zawsze miał tak samo niewyraźną minę. Mevev, po trunku bardziej cichy niż zwykle, mocno przytrzymał się stołu, z wyrzutem patrząc przekrwionymi oczyma na hałaśliwą, rozwrzeszczaną kapitanę. Foka, ciężka jak chyba nigdy dotąd, z przyodziewkiem trzeszczącym w szwach pod naporem napęczniałych wymion i wydętego brzucha, pólżąc na łóżku z karkiem opartym o ścianę szamotała się, a przy tym kłęta i piszcziała na przemian, wierzgając i kopiąc podkomendnych trzymających ją za szeroko rozkrzyżowane, przyciśnięte do ściany ręce. Można by pomyśleć, że chciała się wyrwać — ale, tak naprawdę, nie chciała. Chwiejnym krokiem, z solidnym młotem w garści, już zbliżał się

skupiony, blady (bo przed chwilą wymiotował) dowódca Gardy Nells — przed laty pomocnik kata, więc do figli z kapitaną najlepszy, żeby nie powiedzieć: wymarzony, jedyny. Widząc Nellsa, któremu upadł młotek, Foka rozpiszczała się tak przeraźliwie, że pękały uszy; nie wiadomo jakim cudem Mevev wyłowił z tego rozkaz:

— WIIII-NAAA!!!

Posłusznie, choć z wielkim trudem stanąwszy na nogi, oficer ujął dzbanek, rozlał trochę na stół, więcej na podłogę, a najwięcej na podbródek i piersi kapitany, choć co nieco trafiło też do ust. Krawędzią dzbanka omal nie wybił jej przednich zębów, zarobił za to kopniaka — ten był prawdziwy, nie na niby — więc obruszył się i sam wypił resztę, nie bacząc na przekleństwa i groźby sypiące się z ust dowódczyni.

Wypił i stracił przytomność. Chrapiąc i co chwila dziwacznie podrygując, mocno spał obok przybitego do podłogi stołu.

Z pokładu dobiegały trzy różne marynarskie piosenki. Ryczano *Kurwę*, a ponadto *Tawernę na Garranach*:

Dobrym chłopem był stary Haghar,
Niby szynkarz, a pocziwą miał mordę.
Jak nie miałeś miedziaka, dał piwa,
Czerstwą bułkę wetknął ci w torbę.
Hej, stary, stary Haghar
To był z kośćmi chłop.
Jak trafisz do jakiejś
Na Garranach knajpy,
To za pamięć Haghara
(Za pamięć Haghara!)
Za jego pamięć piwo żłop.
Kiedyś Haghar był niezłym szyprem,
Znał mielizny i rafy wśród mórz,
Potem karcił żeglarzy, bo głodnych
Chłopców nie chciał oglądać i już!
Hej, stary, stary Haghar...

W tle dwóch piosenek kładła się trzecia; posępnie zawadzono Cesańskich:

Com zawinił, że mnie wzięli na okręt
Z żaglem szarym i niebieskim pół na pół?
Najpierw spili, ogłupili,
Potem zbili, przymusili
Do roboty na gwardziście morskiej straży.
Tam kapitan ani spojrzy na żeglarza.
Armekański żołnierz — to jest ktoś!

A marynarz, cóż marynarz?
Do roboty jest marynarz
I niech gęby otwierać się nie waży!

Nells na czworakach szukał upuszczonego młotka. Znalazł, chwycił blat stołu i podciągnął się do góry, stanął, utrzymał pozycję, zrobił krok i stracił równowagę, nie schodząc z kursu zrobił jeszcze dwa szybkie kroki i niemal wpadł na kapitanę. Foka skowyczała jak kopany pies, ale już nie wierzgała. Trzymana za nadgarstki, szeroko otwierała przyciśnięte grzbietami do ściany dłonie. Nells z największą starannością przytknął wielki ćwiek do środka dłoni i wałnął trzy razy młotem: raz w ścianę, dwa razy w łeb ćwieka. Poprawił; jeszcze trochę dobił. Tak samo przybił drugą rękę i odsapnął, ocierając pot z czoła. Był przejęty wykonanym zadaniem. Odepchnął na boki tych, co trzymali nadgarstki kapitany — to już nie było potrzebne.

Suczy skowyt umilkł. Rozkrzyżowana na ścianie Ślepa Foka Ridi ziajała z wystawionym językiem. Spazmatycznie kurczyły się palce przebitych żelazem dłoni. Jakiś majtek, zaglądający przez szeroko otwarte drzwi kajuty, darł się wniebogłosey, przyzywając załogę: kapitana dawała widowisko! Zbiegowisko przy drzwiach szybko rosło, przepychano się. Ci z tyłu nic nie widzieli, więc ci z przodu musieli opowiadać co się dzieje. Jak zwykle w takich wypadkach, w tylnych szeregach doszło do bójki. To rozładowało trochę tłok, bo walczący zaraz zapomnieli, o co właściwie się tłuką. Dzika banda miotała się po pokładzie; ktoś miał pecha, bo wyleciał za burtę. Drugi wrzeszczał, żeby go ratować; trzeci wrzeszczał na wrzeszczącego. Ryczeli zresztą wszyscy na wszystkich. Na kasztelu dziobowym śpiewano:

Ciepły kąć dla żeglarza miał Haghar,
Za miedziaka wiązkę słomy podłożył,
Ale nie ma już jego tawerny,
Lepszych czasów stary Haghar nie dożył.
Hej, stary, stary Haghar...

Majtkowie, którzy byli najbliżej drzwi, wspinali się na palce i wybałuszali ślepie. Mieli nieśmiertelną, niezniszczalną kapitanę, która mogła zupełnie wszystko! Starzy chełpliwie wyśmiewali nowych, którzy nie wierzyli własnym ogłupiałym oczom, a z wrażenia niemal trzeźwieli. Znaczy się, to nie były zwykłe pokładowe bajdy! Komendantka naprawdę

umiała pokazać nie byle co!

Oficerowie w kajucie, stłoczeni w drzwiach gapie, tłukący się za ich plecami marynarze, a nawet ci, którzy śpiewali na dziobie — wszyscy właśnie ocierali się o śmierć. Ale nikt o tym nie wiedział.

Raz na jakiś czas nadchodziły chwile, gdy ognista moc Rubinu zaczynała się przelewać i musiała dostać żer do strawienia. Siły Geerkoto uwiązano na smyczy — ale teraz była to smycz bardzo długa, jej koniec zaś trzymała kompletnie pijana kobieta. Gotah i Kesa mieli sporo racji: przed laty Ridareta, walcząc z nieoswojonymi siłami Porzuconego Przedmiotu, odchyliła je, skierowała w trochę inną stronę. Riolata, królowa Rubinów, częściowo ujarzmiona, poskromiona, zazwyczaj znajdowała strawę tylko tam, gdzie pozwolono jej szukać. Mało tego: nauczyła się dziękować.

Wciąż dysząc z wytkniętym językiem, przybita do ściany Ridi dygotała, podrzucana paroksyzmami bólu — i paskudnie wynaturzonej przyjemności.

Mistrz ceremonii Nells, piastujący ten urząd już nie po raz pierwszy, uroczyście jął ściągać hajdawery z tyłka kapitany. Niesporo mu szło, bo przeszkadzał dzierzony w ręku młot, więc w końcu odłożył go. Uporał się z hajdawerami, ale ciągle nic nie szło jak należy; komendant Gardy wprawdzie wyrzygał całe wino i już trochę podtrzeźwiał, ale nie w takim stopniu, niestety, by wykonać trudne zadanie, którego bęben kochanicy nie ułatwiał. Nells lawirował, kluczył i zwlekał, majstrując przy zawodnym narzędziu. Gdy wreszcie mógł przystąpić do dzieła, rozbrzmiał triumfalny ryk gapiów: nieszczęśnicy niemal podusili się jeden w drugiego, z zapartym tchem wspierając go duchowo. Znacząco klepnięta w obłe udo Foka pokazała podeszwy stóp, a po chwili krzyknęła ochryple. Piegowata dziewczucha okrętowa, która wiedziona ciekawością przecisnęła się do progu kajuty, zaczęła piszczeć z radości niemal tak samo głośno, jak potrafiła Ridi. Podskakując, szczypała najbliższych stojących kompanów, więc zaraz jeden od tyłu obłapił ją za cucky. Rytmicznie dzwoniły bransolety na kostkach kapitany; trzeszczało zaplamione winem wyro; dobiegały mokre odgłosy miłości; stękająca z bólu i rozkoszy Foka stukała głową o ścianę. Powiększały się rany w przebitych ćwiekami dłoniach, coraz obficie krwawiąc. Majtkowie wiwatowali, gwizdząc i rechocząc do utraty tchu. Nie wiadomo jak to się

stało, że cała kajuta pod kasztelem, do której zwykły marynarz nigdy nie miał wstępu, wypełniła się trąbiącymi z kubków i dzbanów, walącymi się nawzajem po ramionach, nieprzytomnie hałasującymi ludźmi. Nells nareszcie dopełnił obowiązków, wydał okrzyk zwycięstwa i poklepał rozdęte brzuszysko, po czym zabrał komuś wypełniony do połowy dzbanek i pił z flaczejącym, ale jeszcze budzącym szacunek zaganiaczem na wierzchu, wzniosłszy nad głowę mocno zaciśniętą pięść. Tłumek zawodził ze szczęścia; autorytet Nellsa znacznie wzrósł. Jednak sapiąca jak humbak Foka Ridi, w rozchełstanej i mokrej od potu, zaplamionej winem koszuli, ze strużkami krwi na przedramionach, tak wspaniale zgwałcona z przybitymi do ściany dłońmi, wciąż wyglądała na kogoś, kto nie wie, jak się nazywa. Tępo zapatrzona w jeden punkt, podrzucana była drgawkami, które przywodziły na myśl atak jakiejś choroby. W rytm skurczów wydostawał się na zewnątrz kleisty podarunek od sumiennego Nellsa, co podskakująca z radości pieguska przywitała nowymi piskami (było to piętnastoletnie dziewczę z ikrą, przedwcześnie osieroczone, które — jak powiadano — tak bardzo miało dosyć wiecznie chorej i kwękającej babki, że zatłukło ją w łóżku pałką do bicia świń; to już pech, że wszedł na to dziadek, do którego wychowanica nic w gruncie rzeczy nie miała...). Nowi majtkowie cisnęli się z ciekawością, koniecznie chcąc sprawdzić intrygujące wieści rozsiewane przez weteranów: ponoć ostryga „starej” była taka, że hej, co najmniej na miarę cycków — a bodaj czy jeszcze nie w poprzek. Jakiś krępy rozradowany marynarz przytknął do ust Pięknej Ridi kubek z winem, więc bezmyślnie zaczęła pić. A potem zdarzyło się coś, co za pamięci załogi miało dotąd miejsce tylko raz — tak dawno, że już wszyscy prawie zapomnieli. Zresztą, wtedy niedokładnie tak to było...

Pijany marynarz z kubkiem zaczął ryczeć prosto do ucha kapitany:

— Mamuśka! Jak ci było, co?! Powiedz: dobrze?! Ale dob... ale dobrze ci było, mamuśka! My cię wszyscy mauśka, za to... za to my cię, m... uśka, kochamy!

Mamuśka popatrzyła nieprzytomnie i ucięła mu łeb.

Ludzi w kajucie zatkało — oprócz tych, którzy nic nie widzieli; oni, owszem, ryczeli dalej. Ktoś z przodu krzyknął, następny tylko stęknął. Dziesięciu chłopów naraz rzuciło się do drzwi, więc zgnetli się w nich i zaklinowali. Kapitana szatkowała ich żywcem: cienka ognista smużka bezgłośnie wiła się we wszystkie strony, tnąc ludzi i sprzęty w

pomieszczeniu. Podrzucona dziwaczными drgawkami, przybita do ściany piękność wodziła wzrokiem na prawo i lewo, a zgodnie z ruchami głowy i oka miotał się wąski czerwony sznur. Już nie było rechotu i triumfalnych ryków, zamiast tego skowycieli i wyli ludzie, którym ręce odpadały od korpusów, rozszczepiały się tułowia, niczym cięte niebywale ostrą głownią miecza. Rozwalił się stół i zaczęła rozpadać ściana, chłaśnięta od sufitu aż po pokład. Osunęło się na kogoś ucięte skrzydło drzwi. Niczym cudaczne ptaszysko ni to skrzeczał, ni krakał klęczący na podłodze majtek, unoszący ku oczom kikuty obu przedramion. U stóp miał odciętą wraz z barkiem połówkę głowy małej pieguski. Po pokładzie rozbiegli się przerażeni szczęściarze bez palców i uszu, bez półdupków lub mięsa na ramieniu — wobec jatki w kajucie były to nieledwie śmieszne kontuzje.

Czerwona nić zgasła. Nagle.

Podłoga była zalana krwią i winem z pociętych bądź potłuczonych dzbanów. Charczeli i stękali poranieni żeglarze. Potężnie chrapał śpiący przy resztkach stołu Mevev, mający na plecach połówkę komendanta okrętowych strzelców. Z kąta patrzył zupełnie trzeźwy Nells, nie wiedzący jeszcze o tym, że ogromna dziura w kapocie odsłania brak skóry na żebrach — gładko odcięty płat mógł mieć wielkość co najmniej dwóch dłoni. Ktoś płakał; ktoś wzywał pomocy.

Tumult na okręcie narastał; pijacka bitka na pokładzie wciąż trwała i nikogo nie obchodziło, co wrzeszczą pokrwawieni kamracy nadbiegający z rufy. Chcieli w mordę? A proszę bardzo!

Z dziobowego kasztelu przybiegł drugi oficer, próbujący wcześniej uspokoić załogę okrętu. W drzwiach kajuty ugięły się pod nim nogi.

Siedząca na łóżku kapitana wiła się i skręcała, próbując oderwać przybite do ściany ręce. Po twarzy płynęły jej łzy. Stękała z bólu, co chwila dławiąc się krzykiem:

— Neells! NEEELLS!!! Odczep mnie... bo zabiję!... Już mnie odczep, aaa!... Zaa-bii-jęęę!!

Na pokładzie drągale z Gardy, prowadzeni przez zastępcę Nellsa, tłukli majtków batami i pałkami, z wielkim trudem przywracając porządek.

*

Szorowano pokład. Sprzątano. Huczał młot okrętowego cieśli, który

wraz z pomocnikami zbijał nowe sprzęty do kapitańskiej kajuty.

Praca szła bardzo niesporo, bo nikt na „Trupie” nie przywykł do podobnych zajęć. Tym razem jednak narzygane, nasikane i napaskudzone było wszędzie, a smród bił na wysokość grotmasztu — nawet chłopcy Ridi nie mogli w tym wytrzymać. Ślizgawica na pokładzie groziła wypadkami, od których mogła zmaleć liczba załogi.

Dostatecznie już została uszczuplona.

Szorowanie pokładu szło opornie także i dlatego, że na rozkaz kapitany całą pracę wykonać mieli winowajcy wczorajszego nieporządku. Wlepiono im kije, pokazując sprawiedliwą kaźń całej załodze, zebranej na głównym pokładzie — teraz ci sami ludzie, ledwie żywi z bólu i już zaczynający gorączkować, nieporadnie sprząтали żaglowiec.

Ślepa Ridi stała tam gdzie zwykle: z bezanem za plecami, oparta o barierkę na rufowym kasztelu. Przyglądała się podkomendnym, co jakiś czas palcami jednej dłoni pocierając wnętrze drugiej, gdzie skóra była troszeczkę jaśniejsza. Miała coś w rodzaju... pamięci o bólu. Zdarzało się. Nieraz ran nie było już widać, ale jeszcze przez krótki czas bolały.

Marynarz zemdłał przy kubie i osunął się na deski ze śmierzdzącą szmatą w rękę. Na kasztel wgramolił się Mevev.

— Problem, kapitana.

— Problemem jesteś ty. Upiłeś się wczoraj jak świnia. Do nieprzytomności.

— Ty też.

— Ja nie. A zresztą, ja mogę. Komu wolno, to wolno.

— O to chodzi — podsumował Cichy i wyjaśnił: — O picie.

— Co jest z picciem?

Mevev kiwał głową, myślał, popatrywał to na morze, to na pokład. Przyzwyczajona, że zastępca taki już ma obyczaj, nie ponaglała go.

— Jest inaczej. Wszystko. Załoga nie zna moresu.

— Wykonują każdy rozkaz.

— Ale do dupy wykonują.

— Boją się mnie.

— Ale tak jak wariatki z pochodnią i beczką prochu. Nie wiedzą, co zrobisz, ani jak z tobą gadać.

Przypatrywała mu się z uwagą.

Mevev kiwał głową, myślał, układał sobie słowo po słowie. Patrzył na morze, na żagle, na nieprzytomnego majtka przy kuble. Problem przerastał go. Był niegłupim, nawet trochę otrzaskanym w świecie, ale jednak prostym człowiekiem. Widział, że jest źle, jednak ledwo ledwo rozumiał, na czym to „źle” polega. Ubrać takich trudnych myśli w słowa w ogóle nie umiał.

— Załoga lubi, jak im pokazujesz, co potrafisz... — zaczął wreszcie.

— No właśnie — wpadła mu w słowo.

Mevev zgubił wątek.

— Zamknij się, kapitana. Bo nigdy nie powiem.

Zaczął jeszcze raz.

— Załoga lubi, jak im pokazujesz, że jesteś prawie jak jakaś Przyjęta. Kto ma kapitanę, którą można dziabnąć mieczem, a jej nic? Nikt, tylko my. Każdy lubi, jak się popisujesz. Bo na własne ślepia może pooglądać taką babę, której Nells przepchnie włócznię na wylot, a ona tylko wrzeszczy i się śmieje. Widzieli cię też przy robocie. Jak urywałaś łby cesarskim. I to naprawdę urywałaś. Nikt tak nie potrafi.

Mevev zagapił się na morze. Kiwał głową, milczał. Odpoczywał.

Na pokładzie trwało sprzątanie. Żagle były postawione tak starannie, jak nigdy.

— Ja wiem, że masz w sobie to świństwo, ten Rubin — odezwał się znowu. — Ale załoga nie wie. Wiadomo, że nie przynosisz nieszczęścia swojej załodze, tylko innym. Opowiadają sobie różne bajki. O tym, że zaszyli ci Rubin tam, gdzie wszyscy mają serce. Albo że nosisz go pod opaską w tym wybitym oku, takie coś też słyszałem. W tawernie. I w ogóle, że nosisz gdzieś przy sobie różne Przedmioty, albo... no.

Mevev znowu odpoczywał przez chwilę.

— Jak ktoś nowy i głupi — podjął — to mu podpowiadają twoje prawdziwe imię. I kiedy wymówi całe, to patrzą, co się z nim dzieje. Wiadomo, jednego roztelepie, drugi się poddusi, trzeci zesra. Potem mają o czym gadać przez miesiąc. Ale dobrze, bo jesteś dla nich dziwna i straszna. Mówisz takiemu: „napsociłeś, to wyskakuj za burtę”, a on hyc! już go nie ma. No bo przecież, jakby zaraz nie wyskoczył i rozgniewał cię, toby go inni wyrzucili za burtę. Tyle tylko że już w kawałkach.

Słuchała w skupieniu.

— No to o co ci chodzi?

— Czekaj. No i jeszcze jesteś... no, ich. Swojaczka. Kapitan to czasem taki ktoś, do kogo marynarz nie otworzy gęby. Bo od razu zarobiłby w pysk. A ty pijesz z nimi, wygłupiasz się, tańczysz. No i czasem dasz nawet chłopakowi z dziobówki, jeśli pozna, że masz humor, ładnie się przymówi i przyniesie jakąś błyskotkę. A już odkąd odcięłaś nas wszystkich od stryczka, załoga pójdzie za tobą w ogień.

— Więc o co ci chodzi? — powtórzyła. — Słyszę, że wszystko dobrze.

— Tak dobrze, że aż za dobrze.

Patrzyła pytająco.

— Zechciej mi to przystępnie wytłumaczyć — zażądała.

Czasem, jak coś palnęła tym swoim wielkodupnym garyjskim, Meveva trafiał najjaśniejszy szlag. Kiedyś zauważył, że Ridi, chyba nawet o tym nie wiedząc, zupełnie inaczej rozmawia z Raladanem, albo na przykład kimś takim, jak wysoka blondynka spotkana w porcie w Aheli, taka wielka pani, psia jej krew — a inaczej z nim i w ogóle wszystkimi żeglarzami. Zniżała się do nich, czy co? Żeby zrozumieli, co mówi?

— Mówię, że za dużo tego dobrego. Marynarz musi mieć wszystko jasne, proste, a ludzie się pogubili. Wszystko im się popierdzieliło. To jest kapitana, a to jest piczka dla załogi. Ale jeśli kapitana to też jest piczka dla załogi, to jak niby powinno być: słuchać się jej czy ją dmuchać? Czasem słuchać, a czasem dmuchać?

— No! — potwierdziła. — Na wszystko jest czas i miejsce.

— Ale oni nie wiedzą, kiedy robić jedno, a kiedy drugie. Jak wypiją, to wszystko im się miesza. — Mevev miał już dosyć rozmowy i żałował, że w ogóle ją zaczął.

— Nigdy nie mówiłeś, że się miesza.

— Bo kiedyś się nie mieszało. Robiłaś widowisko, oni się gapili i nie wiedzieli nawet, czy mogą podejść bliżej. Ale teraz Nells przybija cię do ściany i włazi na ciebie.

— No bo tak mu kazałam. — Piękna Ridi umiała mówić o wiele składniej niż Mevev, ale on był, niestety, mądrzejszy; widział problem, a tylko nie umiał się wysłowić, natomiast kapitana niczego nie widziała. — Inaczej by przecież nie wlaź, bo urwałabym łeb. Nie rozumiesz, po co to było? Przecież ci mówiłam, jak to jest, kiedy muszę nakarmić sukę, bo inaczej...

Cichy miał naprawdę dość rozmowy.

— Tylko patrzeć, jak za Nellsem wlezie na ciebie cała reszta. Chociaż... no, po tym, co było wczoraj, to nieprędko. Chyba. Sześciu zabitych, dziesięciu pokrojonych. Ale im dałaś.

— No! — Zaśmiała się.

— Słuchaj, kapitana... Ale następnym razem nie rób... no, widowiska. Zwłaszcza po wypiciu. Jak musisz coś zrobić, no to musisz. Ja rozumiem, bo mi powiedziałaś. Ale my z Nellsem sami możemy cię przybić. Albo przypiec ci podeszwy, czy co tam sobie wymyślisz. Chłopcom lepiej nie pokazuj. Przecież już wiedzą, co umiesz. Nie od dziś.

Zaskoczona, gapiła się nań, niepewnie mrugając swym jedynym okiem.

— Ale kiedy ja lubię się pokazać. Lubię, kiedy tak na mnie patrzą, a jeszcze zaczynają wrzeszczeć i gwizdać na wiwat... Przecież jestem bardzo ładna, tak? Czy nie jestem? — zaniepokoiła się nagle. — Nie jestem?... Mevev? Ja wiem, to przez ten brzuch!

Nie dała mu dojść do słowa.

— Ja wiedziałam, ja coś czułam. Ale co?... Bardzo zbrzydłam? — nalegała. — Powiedz! Jestem gruba, tak?

Mevev niby wiedział, że jego kapitana jest idiotką, czasem jednak o tym zapominał i musiał dowiadywać się od nowa.

— Ale przecież wiesz, dlaczego ja ciągle chodzę z brzuchem! — tłumaczyła ze złością, szarpiąc go za rękaw. — Kiedy mogłam, to piłam ziółka na spędzenie płodu, ale przestały na mnie działać. Muszę to COŚ nosić, aż urodzę. Myślisz, że chcę? Albo lubię?

Mevev miał na końcu języka, że sprawa nie jest zupełnie prosta, bo babskie brzuchy raczej nie biorą się z niczego.

— Przestań już, kapitana.

— Powinnam mieć większe piersi, już wiem — powiedziała zupełnie poważnie.

Mevev osłabł.

— Kapitana, ty... głupia jesteś?

— Bo mówisz mi, że jestem gruba i brzydka! — wrzasnęła i palnęła go w łeb. — A co mam zrobić?! Ja też już nie mogę na siebie patrzeć! Zawsze to trwało trzy miesiące, najwyżej parę dni dłużej, a teraz tak długo, jak chyba jeszcze nigdy! Jak to można wytrzymać przez dziewięć

miesiący, to ja nie wiem! Hodować w sobie żarcie dla ryb! Chciałbyś tak?! I przychodzi taki, mówi: brzydka jesteś! Ludzie patrzeć na ciebie nie mogą!

Awantura na rufowym kasztelu zwracała uwagę marynarzy.

— Ładna jesteś, już przestań. Mówię ci, że ładna.

— Łżesz!

Jeszcze raz trzepnęła go w ucho i zaczęła złazić z kasztelu. Po drodze się popłakała.

Mevev stał na kasztelu. Pogapił się na morze, na żagle, na pokład...

Kiwał głową i myślał.

*

Grombelardzkie szlaki morskie — bo były dwa: Północny i Południowy — należały do najbardziej uczęszczanych w Szererze. Z Armektańskiej Riny i Rapy spływały przez Wody Środkowe rozmaite towary z północnego i środkowego Armektu. Przeładowywano je w Londzie, po czym wieziono dalej, najczęściej Szlakiem Południowym, do Dartanu.

„Zgniły Trup” płynął właśnie tym szlakiem.

Prawie nie było dnia bez jakiegoś żagla na horyzoncie. Na horyzoncie — dlatego że żaden kapitan specjalnie nie dążył do spotkania z innym żaglowcem, a już szczególnie żaglowcem samotnym; wiadomo, kto zacz? Nie wiadomo. Handlowe statki, zwłaszcza powolne kogi, najczęściej skupiano w konwoje. Przydawano im wojskową asystę. Samotny okręt to mógł być pirat.

Mijano się w rozsądnej odległości.

Ale jakieś dziwne statki pojawiły się za rufą „Zgniłego Trupa”. Tylko dwa. Za mało na konwój. Płynęły tym samym kursem. Nie było ich, potem się pojawiły — czyli były szybsze od holka Ślepej Foki Ridi. Powinny go doganiać.

A nie doganiały.

Cichy wytrzeszczał oczy, posiłkował się też sokolim wzrokiem kilku członków załogi (na każdym żaglowcu znalazło się paru widzących lepiej niż inni). Ale niczego nie ustalił, zdany był na domysły. Żaglowce różniły się wielkością, ale mogło to oznaczać cokolwiek. Plamka i punkcik pod horyzontem. Mały holk i duża koga. Karaka i holk. Cokolwiek i cokolwiek. Może jednak bez kogi; koga „Trupa” by nie dogoniła.

Wojskowe eskadry cesarskich składano zwykle z okrętów o podobnych rozmiarach i szybkości. Zwykle, bo nie zawsze. Zwłaszcza floty garyjskie, przetrzebione w ostatnim powstaniu, wciąż nie mogły się dorobić eskadr z prawdziwego zdarzenia. Pływało tam wszystko, co tylko trzymało się na wodzie. Jednak garyjska eskadra na tym szlaku? Południowym Grombelardzkim? Chyba że w asyście konwoju.

Cichy uznał, że za rufą ma piratów. Prawdopodobnie z Agarów. Ale co to mogło znaczyć? Czy wyszło już na jaw, co Ridi po sobie zostawiła na Małej, i Raladan wysłał pościg? Wątpliwe. Nawet, jeśli sprawa wyszła na jaw, to Raladan — tak przynajmniej mówiła Foka — nie wiedział, dokąd płynie „Zgniły Trup”. A gdyby wysłał coś w pościg, to raczej którąś z wojennych eskadr Ahagadena, starą albo nową. Jacy kapitanowie, zawijający do Aheli, by spieniężyć łupy, zgodziliby się ścigać Ślepą Fokę Ridi?

Mevev myślał i myślał, a choć umiał, to bardzo nie lubił. Ostatnio zaś kazano mu myśleć na okrągło.

Zlął do kajuty, ale ciągle nie miał z kim gadać. Kiwał głową, dumał, układał sobie plan. Poszedł szukać Sayla. Znalazł go rządzącego chłopakami przy rumplu. Starzy uczyli nowych, jak obchodzić się z wrednym drągiem.

— Chodź.

Sayl zdał komuś komendę nad sterem i wyszli z Mevevem na pokład.

— Nic nowego nie wymyśliłem z tymi tam. — Pierwszy oficer wskazał daleko za rufę. — Tylko patrzeć, jak okrążymy Najdalsze. I już prosto do Londu. Za rufą mamy nie wiem kogo. Nic nie wiem.

— Co ci powiedziała?

— Stara? Że płyniemy do Londu. Od tego czasu nic. W Londzie pozna „Zgniłka” każdy mieszczuch, a co dopiero marynarz. Nie możemy tam zawinąć, bo po nas. Jak mnie pytasz, to nie pokażę się nawet w Zatoce Lońskiej, a co dopiero w Londzie.

— A teraz Foka co mówi?

Mevev popatrzył ciężko.

— A podobno żeś taki mądry. Jakby coś mogła mówić, tobym do ciebie nie laźł. Kiedyś ty ją widział?

— No... jak wstała.

— Na śniadanie wypić, teraz śpi. Zerzygała ci się na koję i zeszczęła,

bo pomyliła wyrka.

— Mhm — uznał Dartańczyk. — Czyli tak jak wczoraj.

— I przedwczoraj, a najgorsze, że tak, jak jutro i pojutrze. Ile to ma potrwać, tydzień? Dwa?

— Mniej jak tydzień na pewno nie. — Sayl też wiedział, że kapitana potrafi pójść w cug.

— Nie dam jej więcej pić. Może sobie pić na Bezmiarach. Ale nie prawie na redzie portu.

— Powiesz: nie pij?

— Powiem: nie ma co pić. Zaraz każę rozwalić beczki — twardo oświadczył Mevev. — Razem z tą, co trzymam w kajucie. Bo jak zabraknie wina, to dobierze się i do gorzałki.

— No... — powiedział Sayl. — To ja się chowam i szukuję na pierwszego oficera. Bo ten, z którym rozmawiam, ma już wyrwane obie nogi z dupy, tylko udaje, że jeszcze o tym nie wie.

— Przetrzynam — odpowiedział bohatersko, chociaż bez sensu Mevev, bo tego, o czym mówił Sayl, nie przetrzymał jeszcze nikt na świecie. — Nie popłynę do Londu z szybszą od „Trupa” eskadrą na karku. Jakby co, to nawet nie będzie jak uciekać. Z przodu Lond, a z tyłu nie wiadomo kto i po co. Strasznie mi coś tutaj śmierdzi.

Przywołał bosmana i ku przerażeniu załogi kazał porozwalać beczki z winem. Poszedł do kajuty i osobiście wytoczył ostatnią baryłkę wódki, bo nie dało się jej schować tak, żeby nikt o tym nie wiedział. Od cieśli wziął topór i z krwawiącym sercem — bo nie był przecież pozbawiony uczuć — kazał pysznej bagbiance wsiąkać w deski pokładu.

Załoga okryła się żałobą, niektórzy po prostu płakali. Ale wiadomo było (choć gadano o tym najwyżej półgębkiem), że płyną do Londu — czyli tam, gdzie na pewno ich nie chcą — a kapitana od trzech dni nie trzeźwieje. Kiedy piła z załogą, to piła dla zabawy — ale kiedy sama... no, to piła. Tymczasem już za Ostatnim Przylądkiem lubiły się kręcić patrolowe szniki Floty Grombelardzkiej. Rozważywszy to, marynarze przebaczyli Cichemu. W zamian czyniono zakłady, jaki los go spotka. Był odważny do szaleństwa, czego dowiódł, zyskując u załogi nowe poważanie; teraz musiał jeszcze pokazać, że ma szczęście.

I, skurczybyk, pokazał. Widocznie szczęście naprawdę lubiło sprzyjać głupim.

Wieczorem kapitanę wreszcie sparło.

Tym razem nie było widowiska. Sayl i Mevev wzięli sobie do pomocy Nellsa, który — choć z żebrami na wierzchu, ledwie żywy — umiał doradzić coś mądrego, bo jako były katowski pomocnik dobrze znał się na sprawach cielesnych i rozmaitych bólach (porodowych, co prawda, najmniej). Nowiutkie, dopiero co sklecone przez cieślę drzwi kajuty zatrzaśnięto na głucho i otwarto tylko dla zabrania doniesionego pod próg szaflika z ciepłą wodą — podtrzymywana przez akuszerów kapitana darła się w kucki na stole. Załoga w skupieniu słuchała przekleństw, przeplatanych wymęczonym, wysiłonym wrzaskiem; raz nawet w kajucie rozbrzmiał wybuch dzikiej wesołości. Nikt nie słyszał o babie, która się śmiała, rodząc — ale o takiej, co pocięła paru chłopca na kawałki, także nikt nie słyszał. Widocznie kapitana lubiła się pośmiać przy rodzeniu. Śmiała się czy nie śmiała, wróżono sobie z tego same dobre rzeczy; starzy majtkowie tłumaczyli nowym, że Foka nigdy nie jest dla załogi tak łaskawa, jak po... no, wiadomo. Właśnie po tym.

Wrzaski i przekleństwa w końcu umilkły, ale nie zastąpił ich płacz bachora. Późną nocą Mevev, z drewnianym szaflikiem w rękach, wylazł z kajuty i wywalił za burtę coś, co przypominało obrzydliwą zupę przyrządzoną z nie wiadomo czego. Zaraz potem wyrzygał się, dając rybom jeszcze więcej żarcia. Na koniec wyrzucił szaflik.

Widziała to i słyszała tylko nocna wachta.

Gadało się w dziobówce, że Foka rodzi potwory — całe czarne i z mackami, niczym ośmiornice. Ale wielu kiedyś widziało, co rodzi, i ci mówili, że nie, a jeżeli nawet tak, to nie zawsze. W rzeczywistości rodziła Rubiny, chociaż nigdy tak nie wyglądały. Miały w sobie czerwoną moc Riolaty — i nie miały niczego więcej. Ridareta przeżyła własnym życiem aż szesnaście lat, nim jej dusza wymieszala się z Geerkoto; miała własne wady i zalety, doświadczenia i przemyślenia... Jednak w tym, co rodziła, nic z niczym nie mogło się wymieszać. Mogły być z tego — jak przed laty — myślące Rubiny i nic więcej.

Już następnego dnia wieczorem rozfiglowana i bez przerwy uśmiechnięta kapitana biegała po pokładzie, a nawet łażyła po wantach, w nisko wiszących, bo słabo zasznurowanych portkach, ale za to koszuli zawiązanej na supeł pod samymi piersiami — tak wysoko, że wszyscy mogli zobaczyć jej wąziutką kibić i płaski, twardy brzuch. Żadna inna

kobieta na świecie nie mogła w tak krótkim czasie odzyskać nieskazitelnych kształtów. Foka mogła — i ze swojej własnej sakiewki kazała wypłacić uradowanym marynarzom po dwie sztuki złota na głowę, a ważniejszym członkom załogi nawet więcej. Wydała w ten sposób pół tysiąca i była szczęśliwa jak nigdy. Wytrasnęła skądś srebrne dzwoneczki, które zawiesiła na kostkach i przegubach, a cztery zamiast kolczyków wpięła w uszy i nozdrza. Było ją słychać wszędzie.

Zaśpiewała chyba wszystkie znane sobie piosenki. Głos miała na tyle znośny, że dało się tego słuchać; jedynie przy trudnych *Białych mewach* okropnie fałszowała.

Mevevowi się upiekło. Dostał tylko niegroźnego kuksańca na wieść o tym, że wielkiego czynu dowódczyni nie można uczcić powszechną pijatyką.

Zaczęto go nazywać Szczęściarzem Mevevem Cichym.

*

Zachmurzyło się; wiatr był silniejszy i przykry, a bezksiężycowa noc ciemna jak smoła. Na „Zgniłym Trupie” wzmocniono pokładowe wachty. Pojawił się nowy kłopot: wszyscy chłopcy Ridi — a było ich przeszło półtorej setki — zwali się marynarzami, jednak pojęcie o żaglowcu miał najwyżej co czwarty. Reszta nadawała się do abordaży, obsługi dział i do najprostszych prac, ale nijak nie mogła zapamiętać, co to noki, co bukszpryt, a co rogi szotowe grota. Los sprawił, że niedawne zajścia wytrąciły ze służby aż dwunastu prawdziwych marynarzy — zabitych, rannych, bądź stłuczonych za karę. Teraz, w przedsztormowych warunkach, na nogach byli w kółko ci sami ludzie.

Dzień wstawał szary, zimny i mglisty. Wciąż trapiiony niedobrymi przeczuciami Mevev kazał budzić się wcześniej i wylazł na pokład w samą porę, by usłyszeć wołanie stojącego na oku majtka:

— Okręt od rufy ze sterburty! Hee-ej! Ooo-kręt!

Średni holk, tylko trochę mniejszy od „Trupa”, ostro szedł lewym halsem, doskonale już widoczny w rzednących kłębach mgły. Tak samo ożaglowany, musiał mieć jednak jakiś inny wiatr, własny, bo do wiatru okrętu Ridi płynął bardziej ostro — a prawie dwa razy szybciej. Mevevowi wydało się, że niemal słyszy, jak grają napięte liny, trzeszczy czerwone płótno pełnych żagli, syczy cięta dziobnicą woda.

Marynarz na oku rozdarł się po raz drugi:

— Hee-ej! Na lewym trawersie! Ooo-kręć!

Ale to nie mógł być okręt. To było coś, czego Cichy nigdy dotąd nie widział. Niby karawela z mieszanym ożaglowaniem, ale ta karawela, prawie położona na burcie, szła półwiatrem z szybkością orki, nie okrętu. Mevev nie miał dotąd pojęcia, że w ogóle można uzyskać taką prędkość. Ależ, ścierwo, było wybalastowane!... A jak prowadzone! Przy takim wietrze i fali dawno już powinno leżeć na wodzie!

Ożaglowany na czerwono holk naraz wydał się Mevevowi powolny i niezgrabny.

Wyzwał się ostatnich wątpliwości i przyzwał wachtowego.

— Budź kapitanę. Powiedz, że „Kaszalot” Brorroka i „Kołysanka” Kitar proszą, żebyśmy się zatrzymali.

Kitar właśnie przecinał kurs „Trupa”, przemykając przed dziobem cięższego żaglowca w odległości godnej pomylenia — była to uprzejma prośba o zrefowanie żagli. Mniej uprzejma polegała na posłaniu sto kroków przed dziobem kuli działowej w morze — taka „prośba” miałaby już rangę ostrzeżenia. Na pokładzie „Kołysanki” uwijała się przy żaglach śmiesznie nieliczna załoga pokładowa — ale każdy tam świetnie wiedział co robić, i rozkazy na żagle i ster padały tylko takie, które były naprawdę niezbędne. „Trupem” mocniej zatelepało w świeżym śladzie torowym karaweli, która już robiła zwrot — ale taki, jakby wiatr przestał nagle wiać, a za to jakiś podwodny olbrzym obrócił okręt w palcach. Bardzo krótko trwało zwykłe przy manewrach zamieszanie, które szczerom lądowym (na przykład zabranym w rejs pasażerom) stawiało włosy na głowach — bo zawsze był taki moment, gdy wszyscy biegali, na pozór zupełnie bezładnie, a okręt, jak się zdawało, robił co tylko chciał... Aż trzasnęły brasowane reje; huknęły płótna. Kitar najwyraźniej zamierzał opłynąć „Trupa” dokoła.

Coś było nie tak z tym żaglowcem. Kitar zdobył go, ale nie zmienił nazwy — kupiec, do którego karawela należała, nazwał ją „Kołysanką” podobno dlatego, że kiwała się na wodzie niczym koga i podobnie prędko pływała. Chłopcy Kitar majstrowali przy łajbie tak długo, aż wykryli, że statek jest po prostu niedożaglony — i dla odmiany przeżaglili go tak, że byle podmuch powinien przygniatać ich do wody.

A jakoś nie przygniatał.

Brorrok obelżywie refował foka i grota — obelżywie dlatego, że

płynął teraz kursem równoległym i brał dokładnie ten sam wiatr, z którego korzystał wymęczony do granic okręt Ridi. Jeśli „Kaszalot” nie chciał zostawić go w tyle, musiał zwolnić. Szczęściarz Mevev zamarzył nagle o takim okręcie i takiej załodze. Ale nic z tego. Miał w zamian niesamowitą, legendarną kapitanę, która właśnie wylazła na pokład tak jak spała: w wygniecionej koszuli, niezawiazanych portkach i ze zmierzwionymi kudłami na twarzy. Drapała się pod pachą i po przyrodzeniu, co było zrozumiałe o tyle, że na okręt ktoś przywłókł mendi i drapali się wszyscy tak samo.

— To Brorrok i Kitar? — zapytała, odgarniając włosy, dzwoniąc dzwoneczkami, ziewając i gapiąc się na okręty. — Aha, rzeczywiście oni... Czego chcą?

— Żebyś zasznurowała i podciągnęła portki.

— Mhm. A tak poważnie?...

— Poważnie to jeszcze nie wiem. Wciągnij portki i powiedz co robimy.

— Co ty z tymi portkami? Znowu ci się nie podobam, czy co?

Mevev zatrząsnął się na samą myśl o tym, że znów będzie musiał w kółko powtarzać: „Ale ładna jesteś, kapitana, bardzo ładna”.

— Mniejsza o portki... Co robimy?

— Zakotwiczmy. Chyba możemy tutaj?

— Nie bardzo — sucho powiedział Mevev.

— Dlaczego? A, bo za głęboko?

Szorowali stępką po szelfie kontynentalnym. Mevev policzył w myślach do pięciu.

— Bo pogoda się robi paskudna i lepiej by było poszukać jakiegoś cichego kotwicowiska. Zamiast sterczeć tu i tracić czas.

— Wiem, tak tylko powiedziałam — rzekła, grzecznie wiążąc troczki hajdawerów. — Ale zakotwiczmy. Jakoś się zdąży.

Wściekle dzwoniąc, okręciła się na pięcie. Rozłożyła ręce: „No i jak?...”.

— Pięknie.

— No to kotwica w dół — powiedziała.

— Jak chcesz z nimi pogadać, to będziesz musiała się wybrać. Do jednego albo drugiego.

— Dlaczego?

— Żaden tu nie przypłynie.
— Dlaczego?
— Co ty, dzisiaj się urodziłaś?... Kto ci wejdzie na pokład okrętu, który się nazywa „Zgniły Trup”?
— Aha, no tak. Zapomniałam. Ale to oni mają jakąś sprawę i ja się do nich nie wybiorę. Postoimy, poczekamy, a jak nie, to nie.
— Kotwiczymy?
— Kotwiczymy.
— Trochę za duża fala, żeby spinać okręty. I paskudny wiatr.
— To nic. Może nawet dobrze. Wyślij do Brorroka chłopaków w szalupie. Będzie uprzejmie. A może im tylko każe, żeby coś mi powtórzyli?
— Jak chcesz.
— Wiecznie coś ci się nie podoba.
Mevev udał, że nie słyszy, albo rzeczywiście nie słyszał, wykrzykując rozkazy.
— To ja idę coś zjeść, a ty spuść szalupę na wodę. Wykąpię się szybko, chyba zdążę, co? Jak myślisz? Brorrok uważa, że jestem brudas, no to go dzisiaj zaskoczę. Oczywiście, jeżeli przypłynie.

10.

Grombelardzka wyprawa Przyjętych od samego początku była warta śmiechu. Albo morza łez.

Najpierw okazało się, że Moldorn ani myśli maszerować w dzikie góry.

— Zamierzam czekać na wiadomość od pirata. Ten staruch, który kazał mi przyłożyć pałką, jest więcej wart niż ten, którego zamierzacie odkopywać — powiedział.

— Nie jesteś ciekaw, co ma do powiedzenia Strażnik Praw Całości?
— szczerze zdziwił się Gotah.

— A co może mieć do powiedzenia dziadek, którego parę lat temu żywcem zamurowali i przysypali gruzami? Śmiertelny czy nieśmiertelny, żaden umysł tego nie wytrzyma. A choćby nawet wytrzymał, to ja od początku nie widziałem w tym sensu, Gotahu.

— Próbował zniszczyć Riolatę Ridaretę już kilkanaście lat temu.

Wiedział, czym grozi jej istnienie.

— Nie udało mu się. Potem próbował w Grombelardzie podnieść Srebrną czy Złotą Wstęgę, żeby sprowokować wojnę prewencyjną z niegotowym jeszcze Alerem. To też mu się nie udało. Kiedy sika, to na pewno na but.

— O... Czy nie jesteś nazbyt rubaszny, wasza godność? — napomniała Kesa.

— Czy nie jesteś nazbyt delikatna, pani, by przedzierać się przez dzikie góry?

— Ale ja nie będę się przedzierać przez góry. To śmieszne, wasza godność... Uważałeś, że zamierzam wyruszyć do Grombelardu? Czy ty to słyszysz, Gotahu?

Oniemiały Gotah dowiadywał się coraz to nowych rzeczy.

— Ale... Więc i ty nie zamierzasz ze mną jechać, Keso?...

Teraz zdziwiła się Przyjęta. Zdziwiła i przestraszyła.

— Czyżbyś sądził...? Ale dlaczego?...

Gotah siedział za stołem, przenosząc spojrzenie z twarzy Moldorna — który chyba z trudem powstrzymywał się od złośliwego uśmiešku — na twarz żony. W końcu popatrzył na Yolmena, jakby pytał: „Słyszałeś? Co to wszystko znaczy?”.

Ale starzec zrozumiał spojrzenie opacznie.

— Hm... ehem!... Ja też się nie wybieram, wybacz mi, drogi przyjacielu. To już nie na moje nogi. A paski suszonego mięsa nie na moje zęby. Pojadę z Moldornem. Naprawdę mamy jeszcze sporo pracy... czy nie tak, Moldornie?

— Rzeczywiście. Ze wzorów Tamenatha wynika więcej, niż podejrzewaliśmy. Może mówię to trochę na wyrost, ale... kto wie, czy nasza księżniczka nie będzie wkrótce dla nas przewidywalna. Matematycznie przewidywalna, przynajmniej jeśli chodzi o jej „rubinową” część. Prawdopodobnie możemy z dużą dokładnością określić interwały aktywności Odrzuconych Pasm, a więc i Rubinu. Oznaczmy dni, kiedy księżniczka nie potrafi nic. Zupełnie nic, bo bez swojego Rubinu jest nikim i niczym.

— Otóż, co do tego, nigdy się nie zgodzimy — oświadczyła Przyjęta.

— Czekajcie — rzekł Gotah. — W Ciężkich Górach pogrzebano żywcem Strażnika Praw Całości, jedyną istotę w Szererze, która rozumie

wszystko, co związane z Szernią. Trwa wojna Szerni z Alerem. Czwooro Przyjętych próbuje nie dopuścić do spotkania żywego symbolu Odrzuconych Pasm z żywym symbolem Ferenu. I z tych czworga Przyjętych troje mówi, że ma ważniejsze sprawy niż szukanie jakiegoś zakopanego dziadka.

— Najdroższy, ależ ja nie mam żadnych ważniejszych spraw. — Kesa czuła się winna. — Ja tylko... w żaden sposób nie mogę jechać do Grombelardu. Przecież wiem, co to za kraj. Jak to sobie wyobrażałeś? Że dosiędę konia, a wieczorem na biwaku... zrobię sobie z dwóch peleryn taki mały namiocik, jaki podobno potrafią zbudować żołnierze?...

Gotah popatrzył na żonę. Pomedytował nad kształtem perłowo-różowych paznokci uniesionej dłoni; przyjrzał się miedzianej barwy sukni z zielonymi dodatkami, a najwięcej uwagi poświęcił starannie upiętym włosom i wygiętym łukom królewskich brwi. Zastanowił go delikatny jak pajęcza nitka, złoty łańcuszek na nieskazitelnej szyi.

Nie wyobrażał sobie. Myślał, że tak będzie, że pojedą, ale nigdy jakoś nie zszedł do poziomu szczegółów. Do namiociku z dwóch peleryn, wilgotnego pledu i śmierdzącej podróźnej sakwy z koziej skóry. Rechetu najemników przy kopającym ognisku obozowym.

Znów popatrzył na Moldorna i Yolmena.

— Chcecie siedzieć i czekać, aż Brorrok wróci ze swych łowów? To może trwać i pół roku.

— Albo kilka tygodni. Ale nawet jeśli pół roku, to mamy co robić z Yolmenem i na pewno nie będziemy się nudzić. W Talancie zwolnimy pachółka, który czeka na wiadomość od Brorroka, a na jego miejsce przyjmujemy kilku sprawnych rachmistrzów.

— Więc mam jechać do Grombu sam? — zapytał Gotah... i nagle poczuł ulgę. — A właściwie, dlaczego nie?... Jest dużo racji w tym, że ja jeden jako tako nadaję się do podobnych wypraw. Odbywałem już niezwykle podróże; z jednej nawet przywiozłem żonę.

— Teraz tak nie będzie — rzekła Kesa.

— No, niestety, nie. Co ja mówię „niestety”... Nie będzie tak i tyle. — Gotah był w coraz lepszym humorze, ale jeszcze nie wyzbył się resztek uczucia zawodu i złości. — Gdybym od początku działał sam, to już dawno wszystko byłoby zrobione. Mam was serdecznie dosyć, siebie też! — Wycelował palec w kobietę. — Wielka damo z niewolniczej hodowli!

— Jestem podła — powiedziała z płaczem Kesa, kucając w swojej świetnej sukni i zakrywając twarz dłońmi. — Liczył na mnie... a ja jestem podła. Nielojalna i podła. Ale czy on wcale mnie nie kocha? Nawet nie pomyślał, że taka wyprawa może być dla żony niebezpieczna.

— Określmy te fluktuacje aktywności Pasm, Moldornie — poprosił Yolmen. — Sam sobie nie poradzę, a zależy mi, żeby coś po sobie zostawić. Żeby ktoś powiedział kiedyś: „Moldorn? Ale ktoś mu trochę pomógł, chyba Yolmen-Przyjęty”.

— Banda głupców, wszyscy siebie warci. Ty jeden, Yolmenie, choć brak ci zdolności, przynajmniej robisz to, na czym się znasz, i nie udajesz kogoś, kim nie jesteś.

Wszyscy jednocześnie rzekli swoje. Wielkie szczęście, bo każdy niewiele usłyszał, cztery głosy zlały się w niezrozumiały gwar.

Zaległa cisza.

Kesa bardzo wolno odsłaniała wilgotne oczy, wciąż kucając na podłodze pod ścianą. Gotah i Yolmen siedzieli za stołem. Moldorn stał ze skrzyżowanymi na piersi ramionami. I Moldorn właśnie odezwał się pierwszy. Podeszedł do okna, wyjrzał i oparł się plecami o ścianę.

— Poszło Pasma — powiedział po prostu. — Tak? Czy nie?

— Raczej kilka Pasm jednocześnie — zaprotestował Gotah, wstając. — Ile czasu minęło, zanim Smugi z pozostałych przejęły funkcje tego, co szlag trafił! To jest wojna, tak, to jest wojna! — mówił, chodząc po komnatce. — Ona cały czas się toczy, a my o tym mówimy, ale nie pamiętamy! Tylko my? — pytał chaotycznie. — Czy inni także stracili kontrolę? Wszystkie istoty w Szererze? Ludzie i koty? Tylko ludzie? Tylko Przyjęci? Nie pytajcie mnie, bo nigdy nie powtórzę tego, co powiedziałem!

— Ja chyba... nie powinnam.

— A ja bym nie chciał — rzekł Yolmen.

— A ja powiedziałem: banda głupców, z których tylko Yolmen robi swoje, chociaż brak mu talentu! — palnął Moldorn. — Dobrze świadczy to o mojej szczerości względem was. W każdej chwili mogę powiedzieć i powtórzyć to, co myślę. I zdaje się, że nikt więcej w tym szlachetnym gronie.

— Mylisz, wasza godność, nieszczerość z taktem i delikatnością. Ktoś, kto na ulicy powie mojemu mężowi: „Ale masz krzywą gębę!” jest

nie tyle szczerzy, co bezczelny i gruboskórny. — Kesa wiedziała, że Gotah nie ma urazu na punkcie swego (bardzo w końcu drobnego) kalectwa, więc wolno jej przytoczyć taki przykład. — Skończmy już rozmowę na ten temat. Ubliża mi tłumaczenie w tym gronie, że stosunki między istotami rozumnymi nie są oparte na mówieniu w każdej chwili wszystkiego, co tylko przyjdzie do głowy. O wojnie Szerni z Alerem też nie mówmy; wiemy, że się toczy, i nie mamy na nią wpływu. Mówmy o czymś innym. Zgadzam się z Moldornem — oświadczyła.

Nikt się nie odezwał.

— Jesteśmy grupą głupców, zajmujących się sprawami, o których nie mają pojęcia. Wstrząsnęły nami wzory Tamenatha, na których Yolmen oparł swoje modele. Od pół roku zajmujemy się pogonią za widmami. Szukaniem dziury w całym. Pora oprzytomnieć i przestać.

— Po świecie biega istota, która sama jedna może doprowadzić do nieprawdopodobnej katastrofy. Do utraty równowagi przez walczącą Szerń. Mówiąc obrazowo: zapaśnik, którego zwycięstwo jest dla nas ważne, zmagający się z innym zapaśnikiem, w każdej chwili może zostać przez kogoś uderzony maczugą w tył głowy. Ty nazywasz to, Keso, „szukaniem dziury w całym”?

— Tak, bo takie zdarzenie jest mało prawdopodobne. Prawie nieziszczalne. Mieliśmy powody przypuszczać, że Feren jest realnie zagrożony, ale to była sytuacja modelowa, nie mająca, jak się okazało, odbicia w rzeczywistości. Riolata nic nie wie o Trzech Siostrach, nawet nie przeczuwa ich istnienia i nie przychodzi mi na myśl nikt, kto mógłby jej wskazać cel. Wie o nim kilka osób na świecie. Teraz już tylko nasze przewrażliwienie, nasza wiedza o konsekwencjach jej spotkania z Siostrami, każe nam ścigać widmo takiego zdarzenia. Kometa spadająca na Szerer też może go unicestwić.

— Nie możemy bronić się przed tym. Ale gdybyśmy mogli?

— Obawa przed każdym zagrożeniem, jakie majaczy w nieodgadnionej dali, nie świadczy o zdrowym rozsądku. Dlaczego w ogóle wychodzimy z domu? Przecież nawet tu, w Dartanie, może pędzić ulicą szaleniec z nożem, który rzuci się na nas. Dlaczego nie szukamy tego szaleńca, nie bronimy się przed nim już na zapas? Czyżby takich szaleńców nie było? Skończcie to, co zaczęliście. Matematycy niech policzą swoje i czekają na wieści od tego pirata; ty Gotahu, zwany czasem

Podróżnikiem — uśmiechnęła się — ruszaj w podróż. Ja przeniosę się do En Anelu, gdzie będę czekać na posłańców od was. Żadnych nowych przedsięwzięć. Uważam, że kto zbyt niecierpliwie szuka dziury w całym, ten w końcu może ją nie tyle znaleźć, co zrobić.

Poirytowany Gotah spostrzegł nagle, że już nie jest zwierzchnikiem tej grupy. Stanowczo choć subtelnie odebrano mu berło i wyproszono z tronu. Zezłościło go to, niemniej w tle irytacji i złości położyła się cicha duma.

— Chcesz czekać w En Anelu? Dlaczego nie w stolicy?

— Bo to za blisko mojej byłej pani. Jestem jej wdzięczna za wyzwolenie i posag, ale nie chciałabym zostać wezwana do pałacu, by mieć możliwość złożenia podziękowań.

— Wątpię, by się dowiedziała o twoim pobycie w Rollaynie. Nawet taka kobieta jak ty, Keso, nie zwróci tam niczyjej uwagi. To jest w końcu największe, a do tego najbogatsze miasto świata.

— Może. Ale ja wiem tylko tyle, że mieszka w nim królowa Dartanu, pilnowana przez swoje dwie Perły, które dobrze znam. Mogłabym może zobaczyć się z Hayną, ale na pewno nie z Anessą. Przede wszystkim, w ogóle nie powinnam pokazywać się w otoczeniu Ezeny. Musiałabym milczeć o sprawach, które jej dotyczą, a zatajanie wiedzy o niebezpieczeństwie grożącym monarchini to prawie zdrada stanu, Gotahu.

— Przecież to...

— Gdyby jednak, jakimś zrządzeniem losu, dowiedziano się o mojej obecności, to stanęłabym właśnie przed Anessą.

Zniecierpliwiona tłumaczeniem oczywistych rzeczy, Kesa powiedziała dwa słowa za dużo. Uczucia żywione przez żonę do dawnej chlebodawczyni i jej wiernych sług nie do końca były dla Gotaha zrozumiałe — ale tym razem akurat pojął, o co chodzi. Anessa, Pierwsza Perła Domu królowej miała wszystkie wady właściwe swojej płci — i chyba ani jednej zalety. Wezwałaby Kesę tylko po to, by pokazać, na czym polega różnica między zaufaną niewolnicą królowej, a wolną żoną mądrali z Grombelardu. Po widzeniu z Anessą jego żona płakałaby przez całą noc i cały następny dzień.

Moldorn uśmiechał się pod nosem. On także zauważył, że Przyjęta powiedziała troszeczkę więcej, niż chciała.

— A cóż cię tak bawi, panie? — zapytała z niezwykłym u niej rozdrażnieniem.

Ale matematyk tym razem nie chciał się kłócić.

— Daruj, wasza godność, to nie ciebie dotyczy mój uśmiech — skłamał. — Podśmiewam się z własnych myśli. I na własny temat.

— Skoro tak... Przebaczcie mi teraz, ale muszę odpocząć — powiedziała Kesa. — Źle się czuję po tym, co dzisiaj niechcący powiedziałam... i co mimowolnie usłyszałam. Wiem, że te słowa nie mają znaczenia, ale jednak chcę być trochę sama.

Wyszła, zostawiając bladego męża z przykrą pamięcią o tym, co rzekł.

*

Samotna wyprawa.

Gotah w pełni docenił zalety takiego stanu rzeczy, gdy tylko przystąpił do wstępnych przygotowań. Nie musiał oglądać się na nic; zbędny był zarówno worek kaszki dla sędziwego Yolmena, jak i czterdzieści mułów objuczonych składanym pałacykiem, sprzętami, pościelą, sukniami i zastawą Kesy. Dla siebie Gotah potrzebował żołnierskiego prowiantu, lekkiej kolczugi, zwykłego wojskowego miecza (bo nie był jakimś finezyjnym rębajłą, specjalnie gustującym w orężu o takim lub innym kształcie czy długości), szat podróżnych, niewybrednego wierzchowca, dwóch sprytnych gońców-pachołków — i trzydziestu zaprawionych do wojny najemników.

Rozsądny książę Ramez posłużył z Kirlanu dobrą radą: tych ostatnich nie należało szukać w portowej dzielnicy Llapmy, tylko trochę dalej. Na przykład w Semenie na Złotych Wzgórzach, gdzie dotarła miniona wojna (bo do Llapmy — niestety dla Gotaha, a na szczęście dla mieszkańców okręgu — nie dotarła). Złote Wzgórze były dosyć daleko, Gotah najął więc gońców, wyposażył ich w srebro, dobre konie i odpowiednie pisma, po czym wyprawił w drogę, sam zaś uzbroił się w cierpliwość. Zresztą miał co robić. Pieniądze nie brały się znikąd; Przyjęci musieli kontrolować kwitnący handel Porzuconymi Przedmiotami. W ogromnej części były to zabawki, których niezwykle właściwości mogły wydawać się pociągające dla bogaczy; tylko czasem trafiał się w tej stercie śmiecia znamienitszy artefakt. Odkąd zgasła aura Romogo-Koor — Nienazwanego Obszaru, gdzie jeszcze niedawno czas płynął wolniej

niż w innych częściach Szereru — większość Przedmiotów przemieniła się w bezużyteczne klamoty. Przestały symbolizować Ciemne lub Jasne Pasma, czasem tylko zachowały zabawne („magiczne” w powszechnym rozumieniu) właściwości. Ostre Ziarna bez reszty likwidowały ból — cecha zbawienna dla wielu rannych i chorych, trochę mniej dla pijaka siadającego w kominku i bezwiednie palącego się żywcem. Krowi Ozór rozjaśniał ciemności — istne cudo, zwłaszcza jeśli zważyć, że kosztował tyle, co dziesiątki tysięcy świec bądź jezioro oliwy do kaganków. Gotah-Przyjęty nigdy nie mógł pojąć, dlaczego ludzie — bo koty już nie — gotowi są wykładać absurdalne sumy za niewiele warte... głupotki. Miały wartość (kiedyś) dla uczonych Szerni, ale cała reszta posiadaczy Przedmiotów przywodziła na myśl krowy, które mają własne pałace — przydatne najbardziej wówczas, gdy pałacowa ściana rzucała cień, dający schronienie przed słońcem. Mógł zrozumieć cierpiących; Ostre Ziarna naprawdę niosły ulgę — zwierzęcą agonię w paroksyzmach bólu potrafiły przemienić w godne i pogodne trwanie aż do końca. Ale dla rozrzutników kupujących Kłębki Włosów Królowej Zimy (oczywiście dartańska nazwa...) zrozumienia już nie miał. Kłębek Włosów czynił prawie nieważkim opleciony nimi przedmiot — nie każdy przedmiot, bo musiała to być rzecz martwa i do pewnego stopnia jednorodna. Dwieście Kłębków w rękach dwustu ludzi noszących kamienne bloki mogło mieć ogromne znaczenie dla Tamenatha, który podjął się zbudowania w krótkim czasie twierdzy — noszono te bloki niczym puste skrzynki, potem tak samo wciągano na rusztowania i za pomocą Wachlarzy spajano bez użycia zaprawy. Ale jeden Kłębek albo jeden Wachlarz w ręku jednego człowieka (na dodatek bogatego) był właśnie tylko zabawką, niczym więcej. Zakup owocował niebotycznym słupem posklejanych kamyków, ku podziwowi przyjezdnych sterczącym na dziedzińcu posiadłości.

„Naprawdę powinieneś być trochę mądrzejszy” — rzekła mu kiedyś żona. „Filozof Gotah dziwi się światu” — zakpiła zeń łagodnie. „A widziałeś kiedyś hodowlaną Perłę?...”

„Widziałem z bliska” — odparł z niezmaconą powagą.

„Żadna niewolnica na świecie, obojętnie jak wykształcona i piękna, nie jest warta tysiąca sztuk złota. Są to pieniądze, które biedakowi wystarczą na całe życie. Kupuje się Perły dlatego, że są drogie. Na

dodatek utrzymanie bardzo dużo kosztuje, w sumie znacznie więcej niż zakup, a pożytek z niej taki, jak z nałożnicy, albo znośnego zarządcy, jeśli kogoś interesuje to, co Perła nosi w głowie. Tylko znośnego, bo zarządca w pełni zależny od chlebobawcy i nie mogący odejść, wcale nie jest wybornym zarządcą. Nałożnice i dobrych zarządców można mieć za ułamek tej sumy. Kupuje się Perły, żeby pokazać wszystkim: mam dość pieniędzy, by kupić i utrzymać takie zbędne ale urodziwe coś. Z tego samego powodu kupuje się Przedmioty”.

Co prawda, to prawda. Właściwie nie powiedziała nic nowego. Ale Gotah czasem przecierał oczy, spoglądając na świat, który w niezliczonych przejawach był... durny, po prostu głupi. I potrzebował kogoś, kto życzliwie szczypał go w ucho i mówił: „Wcale nie śpisz; po prostu tak już jest”.

Zagłębiwszy się na krótko w rozważaniach o Porzuconych Przedmiotach, Przyjęty otrząsnął się, wziął pióro i zaczął liczyć. Właściwie mogliby to zrobić matematycy, ale wstyd było iść do Moldorna z prośbą o zrachowanie kilkunastu ustawionych w słupki liczb... Gotah policzył, ile mu trzeba, i zagwizdał — podróże były kosztowne jak... najdroższe hodowlane niewolnice. Ale z końcem miesiąca powinny nadejść pieniądze od księcia Askara; dziesiątą część uzyskanych sum garyjski Przedstawiciel odprowadzał do szkatuły Przyjętych, bo taka była umowa. Szukał nowych rynków, bo garyjski z wolna się nasycił, a ceny brzydtko spadały. Co nie powinno dziwić, jako że do dyspozycji garyjskiego wicekróla Gotah oddał dużą kogę z pełniutką ładownią, a pospiech także nie sprzyjał windowaniu cen. Książę Askar potrzebował pieniędzy na wczoraj, Gotah-Przyjęty natychmiast.

Nie będąc biegłym w sprawach handlu i prowadzeniu różnych interesów, Gotah znowu potrzebował żony do uświadomienia sobie, co właściwie wyprawiają — on i jego towarzysze.

„Dajemy bardzo silny impuls do rozwoju niektórych gałęzi rzemiosła i handlu. Ściągane z rynku nadwyżki pieniądza zasilają wytwórców oręża, skutnie i stocznie, przepływają do sakiewek coraz liczniej zaciąganych i lepiej opłacanych żołnierzy, którzy po służbie wydają swój żołd tylko na dziewczęta i piwo. Ale to nie dzieje się w próżni. Zwłaszcza na rynku najdroższych przedmiotów zbytku panuje zastój, a przybliżyła się widmo katastrofy; dzisiaj zamiast niewolnic i

grzebieni z masy perłowej kupuje się Porzucone Przedmioty, dostępne i tanie jak nigdy”.

„Przebacz, Keso, ale nie chcę nic o tym wiedzieć”.

Uśmiechnęła się.

„Królowa Ezena, jeszcze będąc księżną Dobrego Znaku, zdobyła dartański tron nie tylko dzięki mieczom swych rycerzy, ale także finansowym machinacjom” — przypomniała. — „Nadchodzą nowe wojny, a do ich prowadzenia potrzeba tylko dwóch rzeczy, mianowicie złota i srebra. Ostatecznie... wystarczy jedna z nich. Nasze zabawy z Rubinem Córki Błyskawic...”.

„To nie zabawy, Keso” — zaprotestował surowo.

„...Zaowocować mogą zmianami na mapie Szereru, albo brakiem zmian” — skończyła niezrażona. „Czyjaś żona-Przyjęta już zdobyła dla Wiecznego Cesarstwa niekarną i dziką, ale groźną flotę. Tylko po to, by przy okazji porozmawiać z pewną obwieszoną błyskotkami dziewczyną”.

„Żona-Przyjęta bardzo chce, żeby mężowi-Przyjętemu wypadły resztki posiwiałych włosów. Czy ja nie mam dość kłopotów, Keso? Co do mapy Szereru, to najbardziej zależy mi na tym, żeby w ogóle jakaś mapa była, a co na niej, to już mniejszy problem... Idź sobie stąd, rachmistrzyni”.

Uśmiechnęła się, pocałowała go i poszła — chyba jednak troszeczkę obrażona.

Do Grombelardu było daleko. Gotah uznał, że mija się z celem męcząca, kosztowna i długotrwała podróż przez cały Dartan. Taniej i wygodniej było załadować poczet i zapasy na wynajęty statek, po czym wyokrętować wyprawę gdzieś na brzegu Morza Dartańskiego, ale już w Grombelardzie Niskim. Gotah czekał więc w Llapmie na odzew od werbowanych najemników; chciał rozpatrzeć oferty i wybranych ściągnąć wprost do portu.

Liczba chętnych przekroczyła jego najśmielsze oczekiwania. Ani się domyślał podobnego głodu wojaczki w kraju, przez który ledwie parę lat wcześniej przewaliła się naprawdę krwawa wojna. A jednak to właśnie ta miniona wojna popychała ludzi do czynu. Jego wysokość Ramez świetnie wiedział, co pisze: dzięki bitewnym zmaganiom wyrosły nieliczne fortuny — i stokroć liczniejsze rozbudzone a niezaspokojone ambicje. Rzadko przysyłało Gotahowi oferty, przeważnie od razu

ściągnęli do Llapmy ubodzy wojownicy, dla których u schyłku wojny brakło już rycerskich pierścieni i łupów, ale wciąż mieli swoje miecze i zbroje — bo poza tym właściwie nic więcej. Werbowanie tak licznej poczty wywołało w środkowym Dartanie istny huczek. Pędzili do Gotaha potężnie zbudowani zawadiacy — niegdyś knechci werbowani przez rady miejskie, teraz głodni nędzarze, gotowi bić się z kimkolwiek za samo utrzymanie. Przybywali nawet prawdziwi rycerze z wiejskich zamków — owe zamki składały się przeważnie z jednej jako tako połatanej wieży, sterczącej pośród ruin, w której to wieży rycerz i jego pani małżonka, otoczeni wianuszkami dziatwy, odżywiali się soczewicą i bytowali w warunkach urągających byle dartańskiemu mieszcuchowi. Świetna gospoda, w której Gotah zamieszkiwał z żoną (matematycy już ich opuścili), codziennie gościła przybyszów spoza miasta. Przyjęty nabawił się kłopotów, których nie oczekiwał: nie mógł przyjąć do służby wszystkich, a odmowa czasem nie chciała mu przejść przez gardło. Stał przed nim młody i gotowy na niebezpieczeństwa człowiek w niekompletnej, ale starannie oczyszczonej zbroi, której krawędzie wszelako nadgryzione były przez rdzę, i nie mógł prosić słowami, bo pochodził ze starego rycerskiego rodu — ale w zamian prosił samym swym przyjazdem, długą drogą odbytą na pożyczonym koniu. Była w jego obecności zaklęta nadzieja żony na przywieziony przez męża z wojaczki grosz; być może wskrzeszona otucha starej matki, która wymarzyła dla syna coś więcej niż kapiące z dziurawego dachu krople dżdżu i małżeństwo ze szlachetnie urodzoną panną, mającą wszakże za wiano pierzynę i dwie poduszki. Gotah w panice odwoływał gońców, a w zamian posyłał nowych z wieściami, że nikt już w Llapmie nie chce żadnych najemników. Bez rozterek odprawiając pijaków i drabów, którym źle z oczu patrzyło, zarazem przyjmował wielu, wielu innych. Przyjmował i przyjmował... aż przestał, bo zamiast trzydziestu miał czterdziestu dwóch wojowników pod bardzo dobrym dowództwem rycerza, którego wprawdzie słabo pamiętał, ale jednak znał osobiście, albowiem ów służył przed laty w świetnej Chorągwi Domu pani Dobrego Znaku, porzucił zaś służbę z powodu nieszczęśliwego ożenku. Mając taki oddział, Gotah uciekł, po męsku zasłaniając się żoną, co już dawno powinien był zrobić. Piękna pani o sercu wykutym z najtwardszego czarnego lodu (Gotah truchlał, oglądając zimową pustynię na dnie jej

przejrzystych oczu) obojętnie słuchała przybysza, bawiąc się przy tym pierścionkiem przesuwanym wzdłuż smukłego palca, po czym mówiła: „Jestem wdzięczna, że zechciałeś przybyć, panie, ale ja nikogo już nie potrzebuję. Na dole rozkaż mojemu gospodarzowi, by cię zaopatrzył na drogę powrotną. Nie wątpię, że masz własne zapasy, jednak ten człowiek winien podziękować ci za honor, który stał się jego udziałem dzięki twojej obecności w tej oberży”. Z byłymi knechtami i wszystkimi ludźmi niskiego stanu poczyniała sobie bardziej bezceremonialnie: na skinienie pani przyboczna niewolnica wciskała w dłoń biedaka dwie lub trzy sztuki srebra, a wówczas niedoszły najemnik, którego przez całe życie odpędzano najwyżej kopniakiem, rzucał się Przyjętej do nóg, całował skraj jej sukni lub zdawkowo podsunęty czubek trzewiczka i wychodził tyłem, zgięty wpół.

*

Późnym wieczorem Gotah ściągnął na nocleg, bo ostatnio nie tyle mieszkał, co właśnie nocował w „Diamentowej Iskrze Nocy” — czyli, jak wolno mniemać, „gwieździe” (gospodarz Gotaha był Dartańczykiem z dziada pradziada). Wracał z portu, gdzie dobił wreszcie targu i wynajął niewielki statek; po drodze zajrzał jeszcze do kwater najemników — była to wielka i całkiem porządna szopa w niedziałającym tartaku pod miastem; za nieduże pieniądze jego ludzie mieli przyzwoite schronienie, a do tego ciszę i spokój. Zmęczony Przyjęty, któremu marzyła się już tylko ciepła polewka przed snem, zatrzymał się w progu pokoju, uderzony niezwykłym widokiem. Wyglądało na to, że niestety nie pójdzie jeszcze spać.

Kotów było w Szererze niezbyt wiele — może to z powodu nietrwałości „małżeństw”, jeśli można tak nazwać niechętnie i zdawkowe kocie spotkania, w wyniku których przychodziło czasem na świat kocię — zwykle jedno, bo odkąd Szerń obdarzyła koty rozumem, mnożyły się niezbyt licznie, a już w żadnym razie tak żwawo jak myszy, króliki czy ludzie. Był w tym umiar; był zachwycający — przynajmniej Gotaha — namysł i zdrowy rozsądek. Nie w tym jednak tkwiła przyczyna, dla której czworonożnych Rozumnych trudno było spotkać. Istniało mnóstwo miejsc, w których koty z jakichś powodów nie bywały, a już na pewno nie mieszkały. Cała Morska Prowincja (na wielu Wyspach istnienie kotów uważano wprost za legendę, zaś wspomnienia żeglarzy przywożone z

różnych portów — za bajania); niemal cały Dartan; większość miast Armektańskich.

W Lłapmie kot był rzadkością. A już szczególnie taki, jaki leżał przed Gotahem na stole.

— Pozdrowienie Nocy, mędrce Szerni — powiedziało śnieżnobiałe cudo głosem trochę mniej ochrypłym i niewyraźnym, niż zwykle mówiły koty, ale nawet bez tego Gotah poznał, że ma do czynienia z kocicą. — Nazywam się K.N.Vasaneva. Przychodzę od królowej Dartanu.

Krótko, z iście kocią zwięzłością.

— Jej godność śpi; nie budziłam — dorzuciła, wysuwając i lekko zakrzywiając pazury, co było milczącym powtórzeniem kociego Pozdrowienia; nie każdego człowieka w ten sposób honorowano.

— Od królowej Ezeny — rzekł Gotah.

Koty nigdy nie rozumiały, dlaczego ludziom trzeba powtarzać niemal każde słowo — a jak nie, to powtórzą sobie sami. Przysłowiowa kocia zwięzłość, o której pomyślał Gotah, była nią tylko dla ludzi... Między sobą rozmawiały inaczej, rzeczywiście zwięźle; do tego stopnia krótko i zwięźle, że choć nie miały własnego języka, człowiekowi trudno je było zrozumieć. Biała piękność nie przejawiała jednak zniecierpliwienia. Zamiast tego zapytała:

— Historyku?...

Gotah podjął podsunięty trop. Co nie było szczególnie trudne, bo do rodowych monogramów przed imieniem przyznawało się zaledwie kilka kotów w Szererze.

— Keyła Nelos Vasaneva — powiedział, rozejrzał się za krzesłem i usiadł.

Był w środku historii Dartanu.

Przez wieki Złoty Dartan stanowił zaledwie Pierwszą Prowincję armektańskiego imperium. Lecz kiedyś — tak jak obecnie — był niepodległym królestwem. Zmieniali się królowie i dynastie, przenoszono stolicę — a w każdej stolicy i u boku każdego prawowitego władcy pojawiał się kot mający prawo do monogramów imion dwojga niezwykłych przodków, Keyli i Nelosa. Tych dwoje ocaliło kiedyś monarchę, wyprowadzając go nocą z oblężonego przez potężne wojsko obozu. Przed Gotahem, w jego własnej izbie, leżała na stole najlepiej urodzona kocica Szereru. Przyjęty zdążył już usłyszeć plotkę — ba!

niemal młodą legendę — o pierwszej nocy po koronacji, kiedy królową Ezenę przestraszył śnieżny błysk w mrocznej sypialni.

„Jestem, królowo” — miało rozbrzmieć w ciemności. „Śpij dobrze, a jutro mi powiesz, jakie dokumenty albo tajemnice powinnam dla ciebie ukraść”.

Vasaneva, tak jak jej przodkowie, była królewską złodziejką.

— Złodziejka królowej chyba nie powinna być biała — zauważył Przyjęty.

Nigdy nie było wiadomo, czy kot pojmie żart.

— Tak przynajmniej, jakby kradła sama — powiedziała kotka. — Albo jakby krawiec królowej nie mógł uszyć dla niej drugiej skórki z czarnego aksamitu.

Gotah roześmiał się.

— Jestem rad, że poznałem waszą godność — powiedział po chwili, poważniejąc. — Dla historyka to ważne zdarzenie. Nie jesteś tu bez powodu.

Vasaneva doceniła zwięźłość gospodarza.

— Kilku nowych ludzi na miejsce innych, wydalonych za jakieś przewinienia, zaciąga się często, do jakiegoś prywatnego pocztu — powiedziała. — Trzydziestu najemników werbuje ktoś raz w roku. Trzeba sprawdzić, kto werbuje i po co. Sprawdziłam. Teraz pozdrawiam mędrca Szerni, którego królowa bardzo dobrze wspomina. Wracam z wieścią, że najemnicy wyruszają do Grombelardu. Ale mam też dla królowej inne wieści, chyba dosyć ważne. Nie rozumiem i nie kocham tego, czym się zajmują Przyjęci, jednak zdaje mi się, że czasami to mogą być sprawy niebłahe. Opowiedz mi o nich, wasza godność, bo w raporcie, który złożę, nie powinno być pomyłek wynikłych z mojej niewiedzy.

— O których sprawach mówisz, wasza godność?

— O agarskiej księżniczce i Przedmiocie, który w niej tkwi, a także Trzech Siostrach będących odbiciem Ferenu. O wszystkim tym, wasza godność, o czym małżeństwo Przyjętych rozmawia, gdy sądzi, że nikt nie słyszy.

Została zrobiona dziura w całym — ta dziura, o której tak niedawno proroczko mówiła Kesa. Królowa Ezena wiedziała, że do pewnego stopnia jest wcieleniem legendarnej królowej Rollayny, najstarszej z mitycznych cór Szerni. Ale tylko tyle. Teraz potężna monarchini, mająca więcej wojsk

i pieniędzy niż cesarzowa Wiecznego Cesarstwa, miała poznać całą prawdę. Miała się dowiedzieć, że jest odbiciem Ferenu, tarczą Szerni, w którą może uderzyć agarska awanturnica — symbol Wyklętych Pasm.

Gotah nie miał pojęcia i bał się przewidywać, jakie mogą być skutki gniewu monarchini.

Anessa, Pierwsza Perła Domu królowej, jedna z najbardziej wpływowych kobiet w państwie, niewolnica, przed którą schylali się magnaci, miała cechy Seili, Drugiej Siostry.

Hayna, dowódczyni wszystkich gwardii królewskich i straży, odpowiadała najmłodszej z Sióstr, Delarze.

Kapryśnica Anessa i obronny pies Hayna — obie dobrze znane Gotahowi — nie wiedziały dotąd o niczym. Nawet o tym, że są odbiciem Młodszych Sióstr.

— Czy zażądam wiele, gdy poproszę, byś rozmówiła się wyłącznie z królową, wasza godność? Bo podejrzewam, że uzgadniasz swoje działania z Hayną.

— Uzgadniam. Ale służę tylko królowej. Nikomu innemu nic nie powiem. Może to zrobić królowa.

Gotah trochę odetchnął. Ezena była rozsądna — przynajmniej ta Ezena, którą znał. Władza zmieniała ludzi... Niemniej królowa mogła postanowić coś mądrego. Bo Anessa w oczach Gotaha była rozpieszczoną ladacznicą, Hayna zaś — właśnie obronnym psem. Wiernym, niezastąpionym, ale jednak bezmyślnie brutalnym, przynajmniej gdy chodziło o bezpieczeństwo pani.

Poszedł obudzić Kesę. Nie była mu potrzebna, ale miała prawo wiedzieć o wszystkim i podejmować decyzje razem z nim.

11.

Jeśli nawet Brorrok żywił do córki Demona Walki jakieś resztki słabości, to wyzbył się ich, uderzony w twarz straszliwą obelgą, jaką było zaproszenie na jej okręt. Stary pirat dokonywał w życiu najprzeróżniejszych czynów, ale teraz stanął przed wyzwaniem, któremu mógł nie sprostać. W odległości stu kroków telepało się na wodzie śmierdzące dziadostwo, do którego nazwa „Zgniły Trup” pasowała jak ulał. Starzec nie umiał wytłumaczyć sobie, w jaki sposób coś, co tak się

nazywa, nie zostało jeszcze pochłonięte przez Bezmiary. Woda chyba brzydziła się tym czymś. Podobnie jak niemal wszyscy ludzie morza, sędziwy kapitan „Kaszalota” był przekonany, że ocean jest podobny do Szerni, tyle tylko że widzialny i pożyteczny. Ma moc sprawczą, ponadto żyje, czuje, ma swoje zachcianki i kaprysy, a łaskawy jest wyłącznie dla tych, którzy go szanują. I szczerze bał się temu szacunkowi uchybić, stawiając stopę na pokładzie okrętu, który swoją nazwą drwił z Bezmiarów i szydlerzo rzucał im wyzwanie.

Ale popłynął. Siedząc w szalupie, oglądał się na wszystkie strony, czy aby już sam zamiar przybicia do burty „Trupa” nie ściąga na niego nieszczęścia. Wiatr chyba przybierał na sile, fale zaś zdawały się wyższe i groźniejsze. Gdy wreszcie dotarli do celu — pół wciągany, pół wpychany na pokład starzec aż trząśił się na myśl o tym, że dokona długiego żywota na takiej zbutwiałej — i do tego cudzej — kupie desek. Mocno chwycił Rudego za łokieć — i Rudy odkrył wówczas rzecz zdumiewającą: jego kapitan wyglądał na szczerze wystraszonego.

Jednak pierwsze wrażenie było nie najgorsze. Brorrok widział kiedyś „Trupa” z bliska, cumującego w porcie, mnóstwo słyszał i — jak to czasem bywa — zapamiętał i wydumał sobie więcej, niż było w rzeczywistości. Odszykowany w Aheli żaglowiec prezentował się jeszcze jako tako, a nawet lepiej niż zwykle, bo przecież po ostatniej pijatyce został gruntownie posprzątanym. W oficerskiej kajucie pod kasztelem powietrze było troszeczkę nieświeże, ale pyszniły się nowe sprzęty, tak niedawno zbite przez cieślę, zaś niewielki brunatny przedmiot pod stołem, któremu kapitan „Kaszalota” przyglądał się z nieufnym obrzydzeniem, to jednak była tylko jakaś szmata, jakiś związany na supeł fular, nie ekskrement. Ale najbardziej Brorroka zdumiała osoba kapitanicy. Przywitała go ubrana w piękną i czystą, trochę tylko wygniecioną jasnobrązową suknię, godną jakiejś księżniczki, którą... no, niby i była. Kończyła spletać warkocz. Chyba nawet nie bardzo śmierdziała. Właściwie wcale a wcale.

Jednak, czysta czy brudna, to jednak była wstrętne morska dziwa. Obsyty aksamitem pas do sukni spięty został złotą klamrą umieszczoną dokładnie na przyrodzeniu, jakby brakło lepszego miejsca, a wielkie dydki, ku zgorszeniu Brorroka, aż wyłaziły na wierzch, ściśnięte i rozdzielone ciemną szczeliną, niczym, nie przymierzając, półdupki, z

czego bezwstydnie dziewczusko nic sobie nie robiło. Jednak, będąc gościem, stary żeglarz umiał się znaleźć, więc wytwornie powstrzymał się od splunięcia pod nogi i nie powiedział ani słowa.

Foka pamiętała, że starzec nie pije żadnych trunków (zresztą nie miała ani kropli).

— Woda paskudna, jak to na okręcie — powiedziała wesoło, stawiając kubki na stole. — Do pełna, kapitanie?

— Daj do pełna — rzekł Brorrok.

Po przejeździe szalupą miał objawy morskiej choroby. Klątwa okrętu Ridi najwyraźniej zaczynała już działać. Obejrzawszy się groźnie na Rudego — tak przynajmniej, jakby to jego pilot zwodował „Zgniłego Trupa” — Brorrok łapczywie wysiorbał wodę z kubka. Zrobiło mu się od tego trochę lepiej.

— Płyniecie za mną od paru dni — zagaiła gospodyni, odchylając się na oparcie krzesła i zakładając nogę na nogę.

Brorroka na chwilę zatkało, bo zobaczył, że Foczyca nawet nogi ma czyste.

— Płynęliśmy, bośmy nie byli pewni, czy to ty — wytłumaczył. — Tak mi się zdawało, ale mógł być jakiś duży kupiec. Zobaczyłby, że płyniemy i zaczął wiać, a mnie się tam nie chce latać po morzu we wszystkie strony. Nie spieszyło mi się.

— Poczekaliście, aż zmieni się pogoda — powiedziała domyślnie.

— Ano. Ciemna noc, wiatер poszedł... — Brorrok podrapał się po nosie. — Jakby był kupiec, tobyśmy go z Kitarem złupili i utopili. Ale jednak myślał, że to ty. Od razu tak żem myślał, ino ten głupek Kitar... Zawsze swoje wie. Ale dzisiaj byśmy cię łapali przy każdej pogodzie. Za Ostatnim Przylądkiem, widzisz, za duży ruch. Grombelardczyki lubią szwendać się po morzu.

— Szukaliście mnie? — Ridi wymieniła spojrzenie z Mevevem.

— Goniliśmy. Słuchaj mnie, fląderko, polują na ciebie Przyjęci. Mówią: coś im ukradłaś i nie chcą, żebyś znowu ukradła... — Brorrok pokrótce wytłumaczył, jak mają się sprawy i w jaki sposób doszedł do wniosku, że warto płynąć do Londu. — Łepetyna, widać, jeszcze pracuje; dobrzem zgadł.

Ridi spoglądała ze zdziwieniem swoim jedynym okiem.

— Mówią, że im ukradłam?... Co ukradłam?

— A mnie, dziewczyno, niby co do tego? Ukradłaś, nie ukradłaś... Znalazłem cię i wystarczy. Zapłacili mi za twoją głowę. Pieniądz wziąłem, a teraz słuchaj, co żem sobie umyślił: mogę zabrać ten twój łeb na „Kaszalota”, i to z przyczepioną od spodu całą resztą. Twój ojczulo mi zapłacił, mówię uczciwie, bo i tak by się wydało. Ale godziwie by było, jakbyś jeszcze troszkę dorzuciła, bo to, widzisz, od jakichś sześćdziesięciu lat nie było na moim pokładzie żadnej baby, niech mnie przeciągną pod kilem. Żadnej. A tu jeszcze, kapitanica, takie półkurwie jak ty. Chłopaków mi popsujesz, gapić się będą gdzie nie trzeba, o robocie ani pomyślą. — Brorrok był prawdziwie strapiony. — Ale co tam, już trudno. Mogę cię zabrać i zawieźć tam, gdzie mają czekać na mnie i twój łeb. Chcesz? Bo jak nie, to nie. Ja tam już pieniądz wziąłem, teraz tylko chcę się wywiązać.

Ridareta patrzyła to na Brorroka, to na zaskoczonego Meveva, a wreszcie nawet na Rudego. Jak dla niej, staruch mówił trochę za dużo i za szybko.

— Mmm... jeszcze raz — zażądała. — Masz przywieźć Przyjętym...?

— Twój łeb, Foczyca, twój kudłaty łeb — powtórzył cierpliwie Brorrok. — Umyśliłem sobie, że zarobię więcej, i faktycznie: Ślepy dorzucił drugie tyle, żebym razem z tym łbem zawiózł Przyjętym całą resztę. Znaczy, jeżeli chcesz, bo jeżeli nie, to płynę dalej polować na twój łeb dla Przyjętych. W tym roku mogę polować... eee... na Bezmiarze Zachodnim. Może być? Ja stary jestem, dziewczyno, popisywać się już nie muszę, wiem co warto próbować, a co nie. Łba ci nie utnę, bo ty różne paskudne rzeczy umiesz.

— Gdybym nie umiała, tobyś uciął?

— A może bym i uciął. Lubić, Ślepa, to ja cię nie lubię, chociaż dziwnie umyta dzisiaj jesteś... Ale jak można zarobić dwa razy za to samo, to może bym uciął, może nie... Powiedziałem, że przywiozę twój łeb; nie mówiłem, że będzie ucięty — zełgał Brorrok. — No jak? Idziesz na mojego „Kaszalota” czy nie? Tylko — uniósł palec — ubierz ty się, dziewczusysko, jak należy. Żeby tych twoich dydków tak nie było widać, bo ja, do stu kurew, nie upilnuję potem swoich! Wszystko to młode i głupie, o! — Nawet nie patrząc, pokazał kciukiem Rudego, który... no, w samej rzeczy, ku zadowoleniu Pięknej Ridi, niby mimochodem co chwila popatrywał, gdzie nie trzeba. — Jak mówisz: wtłuczesz tym Przyjętym?

Wzruszyła ramionami i prychnęła lekceważąco.

— Takaś silna? — W głosie starego zabrzmiało niechętnie uznanie.

— A co oni mogą mi zrobić? Kiedyś, na początku... — Urwała. — Kiedyś sama nie wiedziałam, co umiem. Ale potem Tamenath cały czas prawił i prawił. O Szerni, o Przedmiotach. Powiedział mi też, co i kiedy mogą zrobić Przyjęci. W Złym Kraju mogli sporo, bo tam Szerń prawie leżała na ziemi i... Tamenath mówił, że wystarczy jej cień, aura czy coś takiego, bo samej Szerni żaden Przyjęty nie dotknie. Muszą zachować równowagę — mądrzyła się Ridi, widząc, że jej wiedza robi wrażenie nawet na Brorroku, o Mevevie i Rudym nie wspominając; cała trójka słuchała z uwagą.

— Alem słyszał w Aheli, że jeden przyszedł kiedyś do ciebie, chyba w Dranie. Cały był z kamienia. Czy nie był, a tylko tak gadają?

Wieści — zwłaszcza takie — rozchodziły się szybko. Jej majtkowie pletli w knajpach, inni powtarzali... Brorrok dobrze spożytkował czas spędzony na Agarach.

— Daj to — poleciła Mevevovi, wskazując szeroki żeglarski nóż.

Chwyciła trzonek, palcami drugiej ręki ujęła ostrze i przeciągnęła w poprzek po obu jego stronach; wydawało się, że narysowała paznokciami na żelazie dwie cienkie jak włos czerwone kreski. Nóż rozpadł się, przecięty na pół.

— Może i był z kamienia.

— O, cipcia... — Zaimponowała staremu. — A zresztą, masz ty rację, dziewczucha. Przyjęci, nie Przyjęci... Weź na mój pokład paru swoich. Pokażę ci dom, wejdziecie tam w nocy, wyrzniecie fajfusów i tyle. Nawet nie będziesz się musiała popisywać.

— Lubię się popisywać. Dlaczego mam iść na twojego „Kaszalota”? Mam swój własny okręt.

— Nie, Ślepa — powiedział Brorrok. — Okręt to mam ja, albo Kitar. A jak my mamy okręty, to znaczy, że ty, widzisz, masz coś innego. I to „coś innego” nie dopłynie do Talanty na czas. Niech się wlecze z tyłu. Zrobisz swoje, a potem wsiądziesz na tą beczkę z powrotem, bo ja już cię wozić nie będę.

— Dlaczego tak się spieszymy?

— Bo oni, znaczy Przyjęci, gdzieś się wybierają. Potem będzie czekał tylko posłaniec od nich. Posłańcu, to ja mogę najwyżej powiedzieć, że

mam beczkę z twoją głową, taki z niego pożytek. Będiesz, cipcia, mordowała posłańca?

— Aha. Ale ten posłaniec chyba będzie wiedział, gdzie ich szukać?

— No chyba, Ślepa, będzie wiedział. — Brorrok westchnął. — Słuchaj no, dziewczyno, mnie tam się tak bardzo nie spieszy. Byłem tylko dożył. Jak dla mnie, to możemy się umówić nawet za dwa lata. A najlepiej, widzisz, płyn ty w swoją stronę, bo tak mi się chce do tej Talanty, że aż kopytami przebieram, patrzaj: o! — Brorrok zaczął przebierać kopytami. — Wszystko? No to, cipcia, na mnie już czas. Gdzie mamy, niech mnie uwędrzą, spotkać się za te dwa lata?

— Czekaj. Tylko zapytałam. — Rozłożyła ręce i od tego gestu wypchnęło się jej do przodu takie coś, że Brorrok aż zaklął pod nosem. — Czyli mówisz, kapitanie, że wziąłbyś mnie na „Kaszalota”?

— Coraz bardziej nie wiem, do stu kurew.

— Kapitana — powiedział Mevev.

— Hm?

Oficer nie bardzo chciał mówić przy Brorroku i jego rudym pilocie, ale Ridi nie kwapiła się do wyjścia na słówko.

— To tutaj jest twój okręt i twoja załoga.

— „Zgniły Trup” popłynie do Talanty tak szybko, jak będzie mógł.

— O! — powiedział Brorrok, spoglądając na Cichego z wyraźnym politowaniem. — Ale ty, cipcia, pamiętaj, żeby zabrać do mnie paru swoich, bo ja ci moich chłopaków do zabawy z Przyjętymi nie dam. No i upilnują cię przed starym... he, he... — Brorrok zakasłał i otarł oczy. — Ja, widzisz, tylko tak niegroźnie wyglądam, ale jeszcze, dziewczucho, jeszcze... jak ucapię, to... tak w pupsko uszczypnąć cię mogę, że zobaczysz. Niech cię lepiej pilnują.

— Sama się upilnuję.

— Weź kogoś ze sobą, mówię! Ja wiem, że ty się mnie nie boisz, tak ci tylko... tego... dogadałem. Ale paru swoich musisz mieć ze sobą choćby dla fasonu! Nawet jak ci do roboty z Przyjętymi niepotrzebni.

Mevev kiwał głową. Zastanawiał się.

— Wszystko mi tutaj śmierdzi — powiedział.

— A co ci, chłopcze, tak śmierdzi? — obruszył się Brorrok. — He?

— Teraz mówię z moją kapitaną — rzekł Cichy, nie patrząc na Brorroka; w zamian ruchem głowy wskazał drzwi. — Kapitana?

— Ale czego chcesz?

— Co chcę, to powiem, ale tylko tobie.

— A idźże z nim, Ślepa! — zdenerwował się stary. — Jak twój oficer ma sprawę, to z nim gadaj. Ja ci stąd niczego nie ukradnę.

Ociągając się, Foka wstała i polazła do drzwi. Mevev wyszedł zaraz za nią. Odeszli pod grotmaszt.

— Pomyśli, że się go boję! — powiedziała, odęta. — Że nie mam odwagi mówić przy nim, co myślę! Czego chcesz? Nie boję się Przyjętych!

— Przyjęci to później. Ale Brorrok.

— Co: Brorrok? Rzeczywiście mam się go bać?

— A nie boisz się?

— Nie!

— No to... chyba powinnaś.

— Kogo? Brorroka? Ja wiem, kto to jest Brorrok, ale nikogo się nie boję. Co on mi może zrobić?

— Może dotrzymać słowa i zawieźć Przyjętym twój głupi łeb, kapitana. Ucięty. Skąd wiesz, że nie? Co on taki chętny, żeby zrobić sobie wrogów z Przyjętych? Ma coś do nich? Bo że ma do ciebie, to wiem.

— I utnie mi łeb? — zastanowiła się Ridi. — A w jaki sposób mi go utnie, co?

— Kiedy będziesz spała.

— Mogę nie spać, przecież dobrze wiesz. Będę zła i zmęczona, ale na upartego mogę wcale nie spać; co, naprawdę nie wiesz?

— Wiem, ale...

— Otruć mnie też nie otruje, mogę nie jeść — przerwała. — Będę głodna, ale nawet nie schudnę, choćbym nie jadła przez rok. O tym też wiesz. Trucizny mi zresztą nie szkodzą, w każdym razie od żadnej nie umrę. Co ci jeszcze powiedzieć, o czym wiesz?

— Nic.

Ale Ridi już się rozpędziła.

— Że mnie nie udusi, bo oddychać właściwie też nie muszę? — pytała szyderczo. — Wieszaliście mnie już z Nellsem na rei! No i co?... Pocharczałam i wywaliłam jęzor. Tyle wyszło z wieszania Pięknej Ridi, że powierzałam i upaprałam pokład. Nawet tobie się nie podobało, chociaż tobie to nigdy nic się nie podoba. — Lubowała się w rozpamiętywaniu swych znamienitych czynów i dobra była każda okazja.

Mevev słodkie wspomnienia o wieszaniu Ridi miał w tej chwili bardzo głęboko. Chyba już zapomniała, że mówią o Brorroku. Spozierał na maszty, trochę pogapił się w paskudne niebo, posłuchał szumu morza i gwizdania wiatru. Kiwał głową.

— Co on się tak spieszy? Parę dni włókł się za nami, a teraz od razu musisz zejść z okrętu i płynąć na tej jego wypucowanej balii.

— Wytłumaczył, dlaczego się włókł i dlaczego trzeba się spieszyć.

— Co ty mu tak wierzysz we wszystko?

— A dlaczego mam mu nie wierzyć? Zresztą, boi się mnie. Widziałeś, jaką miał minę, kiedy przecięłam nóż?

— To największy drań na Bezmiarach. Nie dorastasz mu do pięt, kapitana.

Wybrał najgłupszą z możliwych taktyk; jego komendantkę aż zatkało.

— Że... co niby?...

— Zatopił sto żaglowców, zanim przyszedł na świat. Rzygowinę z zyskiem by sprzedał. Zawsze przechytrzył każdego: sojusznika, wroga... każdego. Bał się tylko jednego żeglarza, twojego ojca. Tego prawdziwego.

— A co ty w ogóle o tym wiesz?

— To co każdy.

— I córki się, mówisz, nie boi?

— Boi? Kapitana, on ma cię w dupie. Jest sto razy mądrzejszy od ciebie. Podpuścił cię. Idziesz za nim jak cielę na sznurku.

— Nie, to ja ciebie mam w dupie — powiedziała.

— Chcesz pokazać, że się go nie boisz? Dawaj, kapitana, spalimy ten jego pływający kram! Spełni się wreszcie, że stary Brorrok wyciągnął kopyta! — Mevev wpadł na lepszy pomysł niż straszenie mądrej Ridi Brorrokiem. — Tylko powiedz, a zrobimy mu sprzętanie na okręcie. Powiedz: zrobić?

— Rozmawiam z nim. Jest gościem na moim pokładzie. Zaprosiłam go.

— Niech wraca i szykuje swoje działa. Kitar też. A co właściwie Kitar tu robi?

— Nie wiem, pewnie Brorrokowi był potrzebny szybki okręt. Chciał mnie szukać po całym Szererze, przecież mówił. Jakby znalazł później, to pewnie byśmy popłynęli do Talanty na „Kołysance”.

— Kapitana...

— Przestań już! — Tupnęła nogą, aż szczęknęły bransolety, a pierścionki zgrzytnęły o deski. — Płynę z nim! Mam już dosyć tych wszystkich Przyjętych! Wysyłają taką na Agary, żeby mnie ugłaskała, a sami wynajmują Brorroka! Trzeba poucinać parę łbów i żaden nie będzie mój. Co ty się tak boisz wszystkiego? I od kiedy? Wezmę Nellsa i kilku z Gardy.

— Na stu paru chłopców Brorroka?

— Przypilnują mnie.

— Nells ma ciągle zebra na wierzchu. A choćby i nie miał, to...

— Mam cię powyżej uszu. Zrobię tak, jak powiedziałam.

— Nie puszczę cię.

— Że co niby?...

— To mnie zatłucz. Od razu, zanim zejdziesz z pokładu. Bo wysadzę „Zgniłka” w powietrze. Ty schodzisz z pokładu, a ja złażę do prochowni i podpalam sznurek.

Gapiła się i gapiła.

— Co w ciebie wstąpiło?

— Nie puszczę cię nigdzie z Brorrokiem.

— Sama się puszczę gdzie tylko będę chciała! — zapowiedziała groźnie, i to akurat na pewno mogła zrobić. — Chcesz wysadzać „Trupa”, to wysadzaj, znajdę sobie inny okręt. Najwyżej.

— Inny okręt?

— Inny okręt.

Mevev rozejrzał się dokoła. Pokazał (głupio, bo o czym to niby miało świadczyć?...) zieloną szmatę na nadgarstku, do której przywiązany był nierówny strzep.

— Ale... to jest twój okręt i twoja załoga.

— A tak, moja załoga — powiedziała szyderczo. — Nawet zawinąć do przystani nie potrafią, a Brorrok może nas dogonić, przegonić i co tylko. Załoga! — Pokazała podbródkiem majtków gramolących się tu i tam niczym muchy w smole. — W sam raz dla ciebie.

— Są tacy, jacy są, bo innego okrętu i innych chłopaków nie chciałaś... A tym tutaj nigdy nie mówiłaś, że są źli. Dla ciebie to oni nawet praliby szmaty, jak ci od Brorroka. Wlepiasz im kije, tniesz ich na kawałki i ciągle jesteś ich Foczka... Nie zależy ci na nich? Mam ich wszystkich

wysadzić? Zrobię to, naprawdę to zrobię.

— Wysadzaj. Zdaje się, że to właśnie tobie na nich nie zależy.

— Zależy, ale... wysadzę. Nie schodź z pokładu, kapitana. Masz swój okręt, załogę, płyniemy do Londu... Co? Już nie płyniemy?

— Popłyniemy potem.

— Nie popłyniemy. Wysadzę „Trupa”.

— Wysadzaj. I nie wracaj ze mną do kajuty, bo to już nie są twoje sprawy, tylko moje. Następny wierny przyjaciel — powiedziała. — Przyzwyczyłam się.

Poszła. Huknęły drzwi.

Mevev pogapił się na żagle. Na morze, na marynarzy... Na zieloną chustkę na nadgarstku.

Gapił się, myślał... Kiwał głową.

*

Brorrok najpierw kazał się wieźć do Kitara.

Przykra fala huśtała łodzią; przeklęty okręt Ridi został z tyłu i Brorrok musiał sobie powiedzieć, że jednak nie o klątwę tu chodzi... Chciało mu się rzygać zupełnie normalnie, całkiem zwyczajnie i po prostu. Kołysanie solidnego okrętu miało się nijak do podrygów łupiny, w której siedział. Stuletni żeglarz dotarł do burty karaweli ledwie żywy, zielonkawy na pomarszczonym obliczu — i wisielczo zadowolony. Skoro nie o klątwę chodziło, mógł się pośmiać.

— Widzisz, chłopcze... he!... No, patrzaj na mnie — wychrypiął do Kitara i głęboko zaczerpnął powietrza. — Rzyguś za burtę poszedł. Kapitan Brorrok, patrzaj. Szczur lądowy, niech mnie udławia...

Kitar kazał dać wody. Stary, gulgocząc, wypłukał usta, potem napił się, pooddychał głęboko. Trochę wydobrzył, lecz odmówił pójścia do kajuty.

— Nóg mi szkoda, a i świeżego powietrza tutaj więcej.

— Może być niezły sztormik. — Kitar ruchem głowy pokazał majtków mocujących wszystko, co dało się umocować.

— Nie będzie. Przejdzie bokiem. Przestało mnie łupać w gnatach, a znam już to łupanie, że ho! ho!

Cokolwiek sądzić o łupaniu, Brorrok naprawdę rzadko mylił się co do pogody.

— To i lepiej — skwitował Kitar.

— Rozliczmy się, chłopcze. Rudy, daj no... Właśnie. — Brorrok ujął solidny worek, wydobyty przez pilota zza pazuchy. — To twoje, synku. Trochę mniej, niż mówiłem, ale więcej, niż żeś się spodziewał.

Armektańczyk skrzywił się w kpiącym uśmiechu, bo było właśnie tak, jak powiedział stary. Nie po raz pierwszy robili coś razem i Kitar przyzwyczał się już, że od sum wymienianych przez chciwego dziadygę zawsze trzeba odjąć gdzieś tak jedną czwartą. Przy rozliczeniach Brorrok wymieniał różne nadzwyczajne koszty, przyznawał sobie nagrody za to, co niby zrobił, choć według umowy miał nie robić... Ale ponieważ ugoda z nim i tak zawsze owocowała ciężkim trzosem, nie warto było wszczynać o to wojen. Bardziej opłacało się być stale podskubywanym przez Brorroka, niżli raz twardo postawić na swoim i już nigdy więcej nie zostać zaproszonym do tworzonej przez niego eskadry.

— Czyli, robota skończona? Co załatwiłeś?

— Wszystko, chłopcze, wszystko... Nie oglądaj się teraz na mnie, płyn gdzie chcesz. Jakbyś był na Agarach, możesz powiedzieć Ślepemu, że dogadał się z jego córczydłem. A co z tego będzie, to będzie. — Brorrok zadumał się na chwilę. — Dobryś żeglarz. Kiedy już mnie zabraknie na Bezmiarach, wspomnij czasem starego Brorroka i wypij za moje gnaty na dnie morza.

— Kiedy twoje gnaty tam spoczną, moje będą już dawno zjedzone przez meduzy. Do czego ci byłem potrzebny? — zagadnął, ważąc worek w dłoniach. — Jeszcze nigdy nie zarobiłem tyle za nic... Do towarzystwa mnie wzięłeś, do pogaduszek, czy co?

— A żebyś wiedział, że trochę i do tego. Ja, synu, naprawdę cię lubię — nieoczekiwanie wyznał stary — a coś czuję, że śmichy śmichami, a niedługo przyjdzie na mnie pora. Chciałem z tobą popływać, a co tam... Trochę mi się przydałeś, a mogłeś przydać bardziej.

— Do czego ci się przydałem? — Kitar nie krył powątpiewania.

— Do, jak to się mądrze i ładnie mówi, do robienia dobrego wrażenia. Taki Ślepy, dajmy na to, widzisz, on wie, że ja jestem stary i wszystko mam gdzieś, niech mnie spalą. Nie pogadałby ze mną tak, jak gadał. Ale ty jesteś młody, potrzebujesz portu w Aheli, sam mówiłeś. Ślepy wie o tym, no i widzisz. — Brorrok pokazał worek w rękach rozmówcy, przy czym omal nie stracił równowagi, bo puścił linę, której się trzymał, a kiwało naprawdę niezłe. — W końcu wziął od ciebie słowo

za nas obu. Teraz pływ, a przy okazji powtórz mu, co żem ci powiedział.

Kitar popatrzył uważniej.

— Co ty chcesz z nią zrobić? Z Piękną Ridi?

Starzec obruszył się.

— O, patrzajta go!... Ja, chłopcze, dlatego zawsze znajdę zarobek, że jak coś powiem, to powiem. Tylko trzeba słuchać, co mówię; kto nie słucha, ten sam sobie winien. Przyjęci dostaną, za co zapłacili. I Ślepa Ridi też. Pokażę jej dom w Talancie i niech se zarzyna Przyjętych.

— Ale słyszę, że kładziesz się do grobu.

— Eee, no ale nie przez Foczycę! — rzekł z politowaniem Brorrok. — Kładę się, bo kładę, bo czuję, że na mnie pora. Ale jeszcze nie dzisiaj, chłopcze, o nie, jeszcze nie dzisiaj... I nie przez Ślepą Ridi. Widzisz Kitar, tak na mój rozum, to najlepiej nazwali ją cesarscy: Gównno. Znaczy: za przeproszeniem. Jaka tam Piękna, jaka Foka, jaka Ślepa Ridi?... To jest tylko, chłopcze, pływające po wodzie kupsko. I to nawet nie jego wina, że śmierdzi.

Wyciągnął kościstą dłoń i poklepał Armektańczyka po ramieniu.

— Pływ, Kitar! Jeszcze się zobaczymy, i to pewnie prędzej, synu, niż myślisz. Kończę robotę, zaraz znajdę inną, no i, do stu kurew, będzie mi potrzebny twój okręcik! Tym, co gadam, to ty się nie zajmuj; jak dożyjesz stu lat, to też będziesz żegnał się z każdym tak, jakby to było na zawsze.

— Nie dożyję stu lat.

— Jak tam chcesz. Ale nie zawadzi, jak ci powiem, co robić: pókiś młody, to pij dużo gorzałki; myj się nawet codziennie; z dziewczuchami za często nie łaż, bo wyciągną ci siłę z łędźwiów; jedz dużo i tłusto, bo to krzepi. Naucz cię wreszcie palić fajkę; ja do dzisiaj bez fajki spać nie pójde. A, i syp na wszystko bardzo dużo soli, bo to wyżre ci ze środka robaka.

*

Smukła „Kołysanka” miała na pokładzie ledwie kilka słabiutkich dział, i pojedynczy pożegnalny wystrzał nie narobił wiele hałasu. Za to przenikliwy dźwięk glinianej świstawki, za pomocą której Kitar zwykł wydawać załodze niektóre rozkazy, był doskonale słyszalny. Majtkowie chwacko uwijali się przy żaglach, podśpiewując do rytmu; karawela pełnym wiatrem szła na południowy wschód ku południowi, gładko

rozcinając dziobem grzbiety fal. Na „Kaszalocie” machano rękami i powiewano fularami, życząc szczęścia zaprzyjaźnionemu okrętowi.

Wymęczony jazdami w szalupie Brorrok nie spoglądał za mknącym niczym mewa żaglowcem. Choćby chciał, to nie mógł, bo w otwartych drzwiach kajuty kapitańskiej tkwiła, oparta o framugę, Ślepa Ridi — więc siedzący za stołem kapitan „Kaszalota” mógł najwyżej oglądać jej rufę. Wcale nie chciał. Baba na okręcie. Już mniejsza o to, kim była. Dość, że baba.

Brorrok nic nie miał przeciwko dziewczuchom. Za młodu... he! Ho, ho. Przez to brakowało mu teraz siły w lędźwiach, dlatego ostrzegł zyczliwie Kitara. Ale i na starość... choć niby dziewczuch nie potrzebował, to nie przeszkadzały mu. W porcie potrafił swoim chłopcom pożyczyć z własnej sakiewki, gdy już całe srebro przehulali. Wiedział, na co poszło: najpierw na kobiety i gorzałkę, potem już na samą gorzałkę, bo nikt zdrowy na rozumie nie kupi przecież za ostatnie grosze dziewczuchy, gdy może kupić trunek. Ale trunek to była żeglarska rzecz, kobieta zresztą też. Byle nie na okręcie. Z dwojga złego, stary kapitan wolałby mieć pijaną załogę — niżli trzeźwą, ale mieszaną. Gdyby musiał wybierać, nie wybrałby mieszanej załogi. No, na szczęście nie musiał.

W trakcie długiego i bujnego życia stary pirat — a kiedyś ogrodnik — poczynił mnóstwo cennych obserwacji. Kobiety były brudne, leniwe, niechlujne. I tchórzliwe, co akurat wychodziło im na korzyść. Gdy taka miała swój dom, swego chłopca i stadko dzieciaków, stale bała się, co inni pomyślą i powiedzą. Prała, myła, sprzątała, gotowała, byle tylko inni pomyśleli, że jest czysta, robotna... Ale niech no trafiła w takie miejsce, gdzie nie musiała się bać „tego, co inni powiedzą”. Brorrok widział w życiu kilka „kapitanic”. Pływała kiedyś — na pokładzie burdelu, bo okręt to nie był na pewno — Szkarłatna Alagera. Teraz ta tutaj, piękna... Obie siebie warte. Gadać takiej: „Aleś ty dzielna, odważna!...” to ho! ho! Cały dzień, całą noc i od nowa. Ale niechby kto spróbował zapytać: „Tylko, córcia, a czemu tu tak brudno?”. Obrza! Hańba, zniewaga! Brudno? No przecież to okręt, wojenny żaglowiec, nie dom! W domu to co innego, przecie co by ludzie powiedzieli? I chłop zaraz by se wziął inną babę, nawet brzydka, byle tylko porządna.

Ślepa Ridi przyodziła się niczym na wojnę; mrużąc jedno oko, a wysoko unosząc brew nad drugim, Brorrok podziwiał drucianą koszulkę

na grubym zielonym kaftanie, niżej zaś męską spódnicę spiętą skórzanym pasem, do którego przytwierdzone były dwie okute miedzią pochwy. W jednej tkwił miecz, w drugiej zaś — tak na stare pirackie oko — oręż zwany półmieczem, a w innych stronach łamaczem mieczów. Wytwarzano tę broń z pękniętych mieczów właśnie, formując nowy sztych, a jedną stronę głowni nacinając w kwadratowe zęby. Zachowywano rękojeść. Była to solidna, krótka — więc wygodna w walkach abordażowych — broń, bardzo groźna we wprawnych rękach, jednak posługiwanie się nią wymagało dużej zręczności i siły: półmiecze, jako oręż poniekąd prowizoryczny, zawsze były źle wyważone i cała siła ciosu uciekała gdzieś w głowicę rękojeści. Nadawały się właściwie wyłącznie do klucia — no i wychwytywania, a nawet łamania wrogiej broni.

Brorrok nie kochał Ślepej Ridi, miał ją za brudasa i blondynkę o brązowych włosach — ale swoje wiedział i wcale nie śmiał się z jej półmiecza. Jakoś nie byłby zdziwiony, gdyby potrafiła tego użyć. Bo niby dlaczego nie?

Foczego stroju dopełniały skórzane opaski ściskające przeguby i pęciny. W zamian zniknęły niezliczone pierścionki i bransolety.

Ridi krzyknęła coś do osiłka dowodzącego pięcioma paskudnymi dryblasami, których wzięła ze sobą na „Kaszalota”. Pokazała osiłkowi ręką, by coś zrobił; Brorrok nie zrozumiał, o co chodzi. Osilek kiwnął głową i gdzieś poszedł; przez szczelinę między ramieniem Ridi a framugą niewiele było widać.

— Chodź już tutaj, dziewucho, nie stój w drzwiach — zrzędlawie rzekł dowódca okrętu. — Nie będziemy gonić Kitarą.

— A co mnie obchodzi Kitar... Na co innego patrzę.

„Kaszalot” jeszcze nie wybrał kotwicy, ale posłuszni oficerskim komendom marynarze już zaczęli się krzątać. Wszystko tutaj lśniło czystością, pokład był wyszorowany niemal do białości. Gdyby komuś wiatr zerwał chustkę z głowy, wstrząśnięci chłopcy Brorroka wszyscy naraz rzuciliby się na nią, sprzątnęli i sprawdzili, czy do deski pokładu nie przyczepiła się nitka.

Zaczęło padać, jednak wiatr raczej osłabł, niż przybrał na sile. Brorrok zdążył już powiedzieć Pięknej Ridi, że go nie łupie w gnatach i burza przejdzie bokiem — wyglądało na to, że się nie pomylił. Gdyby

miała być, to już by była. A tymczasem, choć dzień zrobił się ciemnoszary, z niskiego nieba miała spaść tylko ciepła letnia ulewa.

— To są niedojdy dopiero!... — powiedziała ze złością. — Nie słuchali mnie w ogóle, czy jak? Pogłupieli?

— A kto taki, hę?

— Moi, na „Zgniłku”. Już podnieśli kotwicę, ale wybierają się na północ... Trzeba dokoła opłynąć cały Szerer, żeby dotrzeć w ten sposób do Talanty.

Brorrok zastanowił się — coś go tknęło. Oparł się o blat stołu i wstał tak żwawo, jakby miał siedemdziesiąt pięć lat.

— Czekaj no, co ty mówisz? No już, cipcia, wynocha mi z tych drzwi!

Wypchnął Ridi na zewnątrz i sam wyszedł. Pokuśtykał do burty.

Nie przerywając pracy, majtkowie na pokładzie zaczęli się oglądać na żaglowiec Ślepej Foki Ridi, który oddalał się od nich, żeglując ostro na wiatr; rzeczywiście maszerował prościutko na północ.

Z nieba, w ślad za pierwszymi grubymi kroplami, spadła ulewa. Sieczone deszczem fale wyglądały jak pokryte gęsią skórka. Strugi dżdżu rozmyły kontury „Zgniłego Trupa” — ale nie minęło wiele czasu i żaglowiec znowu zarysował się wyraźniej.

Przekrzywiając głowę, Ślepa Ridi ze zdziwieniem przyglądała się swojemu okrętowi. Brorrok gapił się i drapał po nosie. Patrzyła cała załoga.

Aż wszystko stało się jasne.

— Hyyp... do stu kurew, to sukin... khe! — wrzasnął Brorrok, uczepiony nadburcia obok osłupiałej Foki. — Za... khe!... łoga!!! Khe! khee!...

Dudniły o deski pięty biegnących marynarzy, na których ryczał pierwszy oficer.

Z głębi deszczu, zgniatając kłute milionami kropel fale, nadciągał pod pełnymi żaglami przekłety okręt wyrzutków, którym na niczym nie zależało — czego właśnie zamierzali dowieść. Mevev Cichy nie wysadził „Trupa”, zamiast tego odszedł ćwierć mili, zrobił zwrot i wziął pełny wiatr w żagle. Nie było mowy, by jego załoga wygrała bój abordażowy z rzeźnikami Brorroka, którzy — jak powiadano — piechotę morską z imperialnych żaglowców wyrzynali niczym stada owiec. Ostatnimi czasy zastęp chłopców Ridi stale przerzedzano; spośród nowych, którzy

wypełnili luki w szeregach, niektórzy w ogóle nie umieli się bić (bo daleko nie każdy szubienicznik był od razu dzielny wojownikiem), a jeżeli nawet, to nie w nowych dla nich warunkach potyczki abordażowej. Szturmowanie okrętu Brorroka w ogóle nie wchodziło więc w rachubę — ale jak najbardziej wchodziło w rachubę rozwalenie obu żaglowców.

„Zgniły Trup” dał ognia z dwóch dział pościgowych — i z jednego jakimś cudem trafił. Mocno trafił; wyglądało na to, że warto było już na stałe zaopatrzyć się w żeliwne kule, odlewane w Aheli dla zastąpienia kamiennych — nowe pociski, wzięte na próbę obok starych, były przeszło dwa razy cięższe. Brorrokowi wyrwało z kasztelu wypucowane deski. Staruch ryczał, co chwila kaszłąc z wywalonymi oczyma; ryczał jego zastępca (i to chyba nie były jednobrzmiące rozkazy...); wrzeszczał zbrojmistrz przyzywający pomocników; klęli marynarze. „Kaszalot” sprawnie schodził z kursu „Trupa”, ale wobec uskrzydłonego pełnym wiatrem holka Ridarety wydawał się wołowaty: zwrot trwał stanowczo zbyt długo. Napastnik lekko odpadł od wiatru, i to w zupełności wystarczyło. Już nie mógł trafić w burtę, ale było jasne, że dojdzie do rufy. Stary żeglarz Brorrok, którego cesarscy ani kupcy jakoś nigdy nie taranowali, stracił głowę — raz, że wmieszał się w dowodzenie swojego zastępcy; po wtóre, należało raczej nakazać zwrot ostro na wiatr, co dawało przynajmniej szansę, że dziobnice zderzonych okrętów rozjadą się na boki, zgruchotane zostaną kasztele, ale potem oba żaglowce zedrą burty i rozejdą się w przeciwne strony. „Trup” nie byłby już zdolny do zrobienia zwrotu i doścignięcia — o niebo sprawniejszego przecież i szybszego — wroga.

Zamiast tego dowódca „Kaszalota” rzucił się do ucieczki według znanej kurom zasady „byle dalej!” i pozwolił, żeby Cichy zgniótł mu ster.

Wstrząs był słaby, taki... niegroźny, prawie niegodny wzmianki. Nikt się nie przewrócił. Uchodzący pełnym wiatrem „Kaszalot” miał już prędkość na tyle znaczną, że napastnik ledwie go dopadł — raczej dołączył doń, niż weń uderzył. Na długą chwilę dwa duże żaglowce zespoliły się w jeden olbrzymi sześciomasztowiec — po czym „Trup” ze złamanym bukszprytem, pokiereszowaną dziobnicą i zgniecionym dziobowym kasztelek został w tyle.

„Kaszalot” obracał się bokiem do fali. Brorrok mógł obejrzeć ster swojego żaglowca, telepiący się pośród zwałów sieczonej deszczem

wody, które dźwigały na grzbiety, to znów opuszczały między cielska całe mnóstwo połamanych desek.

Stary pirat, ruszający właśnie w wielką podróż ku Szerni — bo i serce, i płuca przestały mu pracować — rzucił się na Fokę i wyrznął ją pięścią w nos, a miał więcej krzepy, niż można by przypuścić. Jednak Ślepa Ridi, trzymająca się nadburcia, chyba nie zauważyła, że ją biją, bo traciła przytomność ze śmiechu. Odruchowo oddała Brorrokowi, klaszcząc go w czerwoną z gniewu papę, rozmazała krew z nosa i aż skowyczała z radości, gotowa wypaść za burtę. Świetni żeglarze Brorroka miotali się jak w ukropie, próbując zapanować nad żaglami, ale bez steru mogli bardzo niewiele. Szczęściarz Mevev Cichy osiągnął stokroć więcej, niż oczekiwał: chciał staranować Brorroka i rozbić oba okręty, a tymczasem obezwładnił wroga, zachowując bardzo nieznacznie uszkodzony, a w istocie najzupełniej sprawny, gotowy do walki żaglowiec.

Ślepa Ridi nigdy się nie dowiedziała, w jaki sposób jej pierwszy oficer poderwał załogę do czynu, który miał być czynem ostatnim. W jaki sposób przemówił do ludzi; co takiego im zełgał, że rozpaprana banda typów spod ciemnej gwiazdy, dzieciobójców i matkojebów, rzuciła się na ratunek swojej oszukanej, omotanej i przekabaczonej przez Brorroka, bez mała porwanej dowódczyni.

Wokół Foki skupiła się piątka jej gwardzistów, dowodzonych przez wiecznie skrzywionego Nellsa, którego bolał niewygojony bok.

— Schowaj się gdzieś — rzekł dowódca Gardy. — Będzie jatka, a działa nie wybierają. Słyszysz, kapitana? Schowaj się!

Foka znowu rozmazała krew z nosa. Przestała się śmiać.

— Ja zabiję tego skurwysyna — powiedziała. — Słyszysz, Nells? Ta parszywa świnia będzie poćwiartowana, bo taki los każdej świni! Poćwiartujesz go dla mnie i wolniutko obedrzesz ze skóry, szykuj się.

Na „Trupie” Cichy już odkrył, że jest władcą mórz — a przynajmniej tego kawałka, po którym pływał „Kaszalot”. W pojedynku dwóch sprawnych okrętów ślamazarne manewry holka Ridarety skazałyby go na przegraną — lecz żaglowiec Brorroka nie był już okrętem, a tylko otaklowanym pływającym kadłubem. „Zgniły Trup” przecinał jego kurs za rufą — jeśli można było mówić o kursie — przeciwstawiając dwóm średnim działom rejteradowym ciężką burtową baterię. Pełna salwa z

odległości pięćdziesięciu kroków zdemolowała kasztel „Kaszalota” i rozerwała płótno na bezanmaszcie. Prochowa pukania nie dawała rozstrzygnięcia w morskich bitwach, bo kadłuby wciąż były mocniejsze od okrętowych bombard, niemniej działowe kule mogły posiąć spustoszenie w osprzęcie i wytrącić z walki wielu ludzi. Niesterowny okręt stanowił cel nieledwie bezbronny, mogący odgryzać się z tych dział, przed które uprzejmie wyszedł mu przeciwnik. „Kaszalot” już nie miał niczego; za cenę jednej szczyrby w nadburciu „Zgniły Trup” rozniósł mu baterię rejteradową, zakopaną w kupie połamanych desek i pozrywanych lin. Tłukli już do siebie łucznicy i kusznicy obu stron, ale Brorrok wyraźnie widział, że Cichy ma rozum i nie wda się w przepychanki. W ogóle nie musiał się spieszyć; odpadł od wiatru i wyraźnie szykował się do zwrotu, by skierować w stronę wroga baterię lewoburtową. Mógł potem spokojnie nabić działa — obojętne, jak długo to trwało — i kopać „Kaszalota” w zadek do chwili, aż ten zadek rozleci się w drzazgi. Holk pierwszego pirata Szereru był dla niego tak samo groźny, jak zbombardowana szopa na ahelskim nabrzeżu (Brorrok zdążył posłyszeć w Aheli to i owo o pamiętnych rozruchach).

Niesione wiatrem, przeciskały się przez deszcz urywki komend rzucanych na „Trupie”:

—...Foka szot!... ster... trzymaj tak!... Trzyy-maaj!!!... przeklęte dupy wołowe!... wybieraaać!...

Starzec przestał się miotać po pokładzie, zamiast tego popadł w osłupienie. Topił wszystko, co pływało po morzach Szereru, w żadnej flocie nie istniał taki okręt, któremu by nie dał rady. Miał żeglarzy potrafiących wyprawiać cuda na rejach, zawsze mógł uchylić się od walki z zespołem kilku okrętów bądź dogonić pojedynczą ofiarę. Dobrał i wychował sobie na pokładzie rzeźników, w mgnieniu oka wycinających obrońców abordażowanego żaglowca. Teraz jego okręt był bezkarnie rozstrzeliwany przez zgraję brudasów i łapserdaków, którym dziób mógł pomylić się z rufą... Bezradnie miotali się we wszystkie strony masakrowani marynarze. To nawet przez chwilę nie była bitwa; od początku do końca egzekucja. Stary pirat ujrzał nagle wewnątrz garyjskiej tawerny, gdzie przy piwsku jeden żeglarz mówi do drugiego: „Brorrok już nie pływa, słyszałeś? Niedowodzone, he, chłopaki ze „Zgniłego Trupa” złamały mu ster i rozwały tego jego „Kaszalota” z dział. Nawet się do

niego... he, he... nie wybrali”.

Wciąż lało. Strzały znów wbijały się w drewno i dziurawiły żagle. Rufowego kasztelu już prawie nie było — konstrukcje na kadłubie budowano z lżejszych desek niż sam kadłub. Łucznicy nie mieli skąd strzelać — zupełnie inaczej niż przeciwnik, u którego na obu kasztelach uwijało się mnóstwo zbrojnych. Wrzeszczeli szpikowani pociskami majtkowie. Odgryzano się desperacko z głównego pokładu, ale właśnie odezwało się osiem dział lewej burty „Trupa”. „Kaszalot” zadygotał, trzask łamanego drewna zagłuszył wszystkie inne dźwięki. Gdy przebrzmiał, wrzaski były liczniejsze. Pod olbrzymim czerwonym płótnem zerwanego grotu, pośród lin i szczątków miotali się uwięzieni marynarze. Pokład był najeżony strzałami. Nikt już nie mógł wątpić, że po następnych dwóch salwach oddanych z odległości półsta kroków, z pięknego holka Brorroka zostanie właściwie sam kadłub ozdobiony dziobowym kasztelem i zwieńczony gołymi masztami.

Brorrok siedział oparty o nadburcie przy wsporniku dziobowego kasztelu. Uspokajająco poklepywał po ramieniu Rudego, który siedział obok z rozbitą głową; widać czymś zdrowo oberwał. Bardzo zdrowo; Ridarecie wydało się, że pilot Brorroka nie oddycha.

— Patrzaj, pomoc — powiedział gorzko Brorrok, ukazując ruchem podbródka spowite ulewą morze.

W samej rzeczy: niesione wiatrem odgłosy kanonady dotarły do „Kołysanki”. Karawela Kitar ostro szła prawym halsem; była już blisko placu boju. Ridi przekrzywiła głowę, ale stary żeglarz po prostu sobie kpił... Kitar nie mógł się bawić w morskie wojny; imperialne okręty zostawiał za rufą i tyle. Miał na pokładzie najwyżej czterdziestu chłopów — aż nadto do rozprawy z eskortą ładunku na kupieckiej kodze. Ale jeśli chciał abordażować Cichego, to znaczyło, że życie mu zbrzydło — „Zgniły Trup” był dwa razy większy, miał sporo wyższe burty (naprawdę paskudna rzecz przy abordażu) i co najmniej pięciokrotnie większy ciężar salwy, nie mówiąc już o liczebności załogi. Brorrok wiedział równie dobrze jak Ridi, że Kitar może najwyżej powyławiać z wody rozbitków. O ile mu Mevev pozwoli.

W eskadrze „Kołysanka” była nieoceniona, bo mogła dogonić każdy żaglowiec, rzucić kotwice abordażowe, obezwładnić i przytrzymać go. Do chwili, aż przyszło wsparcie — ale dobrze, jeśli przyszło bardzo szybko.

— Chłopaka mi zabili... znał morza prawie jak Ślepy... — rzekł Brorrok, jeszcze raz klepiąc Rudego, tym razem po piegowatym policzku. — Nie poznał żem się, do stu kurew... Ten twój... jak mu? Cichy? Może żaden marynarz, ale ma chłop ikrę. Oj, ma... No, dziewucho, wyciągnij mnie z tego. Głupia jesteś, aż boli, do tego jeszcze ladaczna, ale niech ci tam będzie. Szalupka jeszcze cała. Ja opuszczę z masztu wojenną banderę... pierwszy raz, do stu... Pierwszy raz. Ale twoi tam pomyślą, że szachruję, sam bym tak pomyślał. Wsiadaj i płyn do swoich. Powiedz, żem się wykupił. Potem mnie weźta na hol, a ja ci podziękuję. Pomogę.

Ridareta popatrzyła z podziwem.

— Jeszcze czego... Już zadzieram kieckę i lecę. Widzisz mnie? Mam z Cichym do pogadania, ale teraz to sprawa między wami. Między sławnym „Kaszalotem”, a wypędzonym z własnego portu „Zgniłym Trupem”, którego wszyscy się wstydzą. Jak chcesz, to sam płyn do niego.

— Ja nie mogę, córcia, bo kapitan ma być na pokładzie. Nie ucieknę z okrętu, który idzie na dno... A nikomu, kto popłynie, nie uwierzą, muszę odesłać im ciebie. Coś ty temu Cichemu powiedziała?

— Wtedy, na „Trupie”? Nic. Żeby zniknął mi z oczu. Powiedział, że mnie nie puści. No i chyba rzeczywiście nie puści, ale będzie za to wisiał. W kawałkach — zapowiedziała spokojnie.

Tuż nad nimi ochryple krzyknął łucznik, któremu pocisk ze „Zgniłego Trupa” przeszył szyję. Na pokład upadł oręż, a po chwili z kasztelu spadło ciało — jeszcze żywe... Majtek tłukł o deski piętami, wybałuszał oczy i charczał, zaciskając ręce na strzale.

— Pomóż mu, Ślepa. No już, pomóż mu.

Ridi wgniotła kolano w brzuch konającego, wyciągnęła półmiecz i dobiła łucznika jednym krótkim pchnięciem. Wytarła ostrze brzegiem mokrej spódnicy.

— Nie chciał cię puścić, mówisz, he, he... — zarechotał Brorrok. — No i dobrze, widzisz cipcia, że nie chciał. Dla mnie źle, ale dobrze dla ciebie. Obiecał żem Przyjętemu twój pusty suczy łeb, ale drugi Przyjęty, taki czarny... najpierw, widzisz, to on był ryżawy... sporo mi dopłacił, żebym tylko przywiózł cię całą. Ażem musiał mu dwa razy obiecać, że ci nie utnę głowy. Czekają tam, cipcia, na ciebie. I nie wygląda mi na to, żeby byli bardzo zestrachani. Na moje oko, widzisz, to ten czarny już włożył do ognia obcęgi.

Ridareta, wciąż z kolaniem na trupie i półmieczem w ręku, spoglądała, nie mówiąc ani słowa. Po twarzy ściekał jej deszcz.

— Miał od razu czekać pacholek, ale ten ryzawy-czarny mi szepnął, że na pewno będzie czekał sam. Choćby roczek, he, he... a pachółka to on pośle do portu, żeby wypatrywał mojego „Kaszalota”. Wiedziałyby, żeś przyjechała. Możesz pociąć i powiesić swojego oficera — ciągnął Brorrok, popatrując na pełną rannych i trupów ruinę, w którą się przemieniał jego okręt — ale widzisz, dziewucha, uczciwiej będzie, jak zrobisz to, co chyba umiesz najlepiej... Jakby tu rzec: weź ty do buzi ten bukszpryt, co twój Cichy ma między nogami, i trzymaj tak długo, aż ci powie, żebyś poszła ugotować mu obiad. I niech mnie, do stu kurew, zabatożą. Uratował ci życie, głupia foko.

— Po co mi to mówisz?

— No bo, rybcia, przecie, nawet jak wyjdę z tego cało, to nie wezmę cię na Kitarową „Kołysankę” i nie powiem, że twardo płyniemy do Przyjętych. Nawet tobie zaczęłoby śmierdzieć, że za bardzo mi na tym zależy. Że okręt w kawałkach, pół załogi gada z rybami, a ja nic tylko Talanta i Talanta... Nie chcesz płynąć do swoich, to ci mówię, jak było. Wykupuję się. Jak mnie z tego wyciągniesz, to pomogę.

— Nie potrzebuję pomocy.

— Że co? Że nie potrzebujesz?

Brorrok nie krył politowania.

— Ty żelazo tniesz, cipcia, pazurem, ale nie masz rozumu w pustym łbie. Ja bym ci go uciął dziesięć razy. Kiszonym ogórkiem, rybeńko. Tylko żem się bezpotrzebnie połaszczyl na pieniądz.

Brorrok raz jeszcze prychnął z politowaniem i rozkaszał się.

— Taka kapitanica, co na morzu... khe! khe!... zesła z pokładu okrętu i zostawiła załogę... Ja wiedziałem. Przypląnąłem po ciebie jak po pisklak, który każdy sobie może wyjąć z gniazdka. Tylko żem nie pomyślał, że te twoje łachmyty mają tyle ikry. I rozumu, do stu kurew; i rozumu. Bom ich sądził podług ich kapitanicy.

Cichy uwinął się: salwa była trochę za słaba jak na burtową, widać dwóch czy trzech dział nie nabito — a może po prostu zawiódł proch, lubiący kaprysić przy tak wilgotnym powietrzu. Rozleciały się resztki barierki na rufowym kasztelu. Furkotały strzepy bezana, przestrzelonego po raz drugi. Deszcz osłabł, ale wciąż padał i nie przejaśniało się.

Brorrok uznał klęskę — i pogodził się z nią, pokazując prawdziwy hart ducha, który mieszkał w wątłym starczym ciele. „Nosił wilk razy kilka...” — no, tak to bywało. Postawił nogę na pokładzie „Zgniłego... a tfu!... Trupa” — no to ma, czego chciał. Każdy wiedział, że Foczyca i jej parszywa trumna ściągają nieszczęście. Chciał, to dograł się. Ale teraz niemalże wesoło spoglądał na pobladałą twarz rozmówczyni. Foce trzęsła się ręka, gdy chowała swój oręż do pochwy. Jednak stary nie oszczędził jej niczego. Lubił gadać — a nie lubił Foki.

Wolno ale zręcznie ją nabijać ukochaną fajkę.

— Ruszże wreszcie ogonem, Foczyca. W lewo albo w prawo. Weź ten swój dziabak i zachechłaj mnie, a jak nie, to raz w życiu pokaż, że masz jakiś rozum, he? Szoruj, Ślepa Ridi, do tej łódki, a ja ci ją spuszczę na wodę i wrócisz do swojej załogi. Pogadasz ze swoim Cichym, on ci powie, co trzeba robić, a potem najwyżej do reszty mi rozwalisz „Kaszalota”, przecie zdążysz. Rozwalisz albo weźmiesz na hol.

— Nie, ty obłudny dziadu — powiedziała Ridi. — Aż tak głupia to ja nie jestem.

Zerwała się z pokładu, cofnęła o kilka kroków i podpaliła Brorroka razem z jego fają, trupem Rudego, nadburciem i dziobowym kasztelem.

*

Jeszcze tego samego dnia wieczorem Szczęściarz Mevev Cichy ledwie żywy siedział na koi, bo nie mógł leżeć na pociętych batem plecach, a i w brzuchu miał ranę od strzały — niegroźną, ale bolesną. Kapitana, chmurna jak niebo nad okrętem, weszła do kajuty, huknęła drzwiami i stała przy nich, głęboko zamyślona. Wreszcie zrobiła trzy stanowcze kroki i kucnęła przy wyrku. Leżący na swojej koi drugi oficer wytrzeszczył zdumione oczy, gdy półmieczem rozcięła Mevevowi portki. Pogapił się chwilę, po czym ostentacyjnie legł na drugim boku, podkładając ramię pod głowę — znaczyło to, że wszystko ma gdzieś i akurat teraz będzie spał.

Na pokładzie, mimo gęstniejących ciemności, marynarze hałaśliwie sprząтали żaglowiec po bitwie, wciąż na nowo gadając o zwycięstwie. Każdy odegrał w nim decydującą rolę; inni mu tylko pomagali.

Ridi odłożyła broń na łóżko.

— Stary gaduła, zanim zdechł, powiedział, że jestem ci coś winna — kwaśno oznajmiła Mevevowi. — I miał rację. Jak się zrobisz głodny, to

powiedz... a szyniosę hoś ho jesenia.

Przez okienko wpływał do kajuty drżący czerwony poblask. Wrak „Kaszalota” wciąż trzymał się na wodzie i płonął.

12.

W całej historii świata bardzo niewielu istotom dane było oglądać Pasma Szerni.

Wyłoniło się znikąd. Nie spadło z dalekich przestworzy. W chmurach i wolnych przestrzeniach między nimi zaczęło się zapadać niebo. Pękło. Od horyzontu po horyzont, do niewidzialnej szczeliny coraz szybciej wsączało się... wszystko. Powietrze, chmury, chyba nawet światło. Bezgłośnie powstawało coś, co nie miało żadnego odpowiednika w widzialnym świecie Szereru, jakieś zdumiewające załamanie nieba; gigantyczny stopień, uskok, tak jakby jedna część przeciętej na pół kopuły osunęła się ku dołowi. Lecz ten uskok niemal natychmiast przestał być uskokiem — znowu stał się szczeliną, lecz tym razem widzialną, wąską, doskonale równą, zalaną rtęcią. Rtęci przybywało, aż wydostała się na zewnątrz i przybrała postać szerokiej na pół mili, wygiętej sztaby, spinającej wschodni i zachodni kraniec widnokregu. Od srebrnego lśnienia niemal pękały oczy. Wciąż bezgłośnie, Pasma osuwało się w dół, ciągnąc za sobą chmury. Wzrok nie mógł zaakceptować niemożliwego obrazu czegoś, co było proste i wygięte zarazem, a jeszcze wygięte dwojako, bo w górę i w dół jednocześnie; umysł bronił się przed uznaniem takiej rzeczywistości.

Idealnie równa wstęga, wycięta z zastygłej rtęci. Płaska i prosta jak głownia miecza, jednostronnie wybrzuszona ku niebu i ziemi.

Wstęga rtęci dotknęła Bezmiarów i zarysu lądu na zachodzie, przecinając Szerer na pół. Tak się zdawało. Lecz w rzeczywistości upadające Pasma miało najwyżej pięćdziesiąt, sześćdziesiąt mil długości. Dobry piechur przemierzyłby je z końca w koniec w ciągu trzech, najwyżej czterech dni.

Połamane grombelardzkie góry osunęły się w przepaść, wyrąbaną żelźcem rtęciowego topora; wstrząsy dało się odczuć w odległym o ponad sto mil Londzie. Ale ziemi dotknął tylko sam kraniec ostrza. Niemal całe Pasma zapadło się w wodę — i w mgnieniu oka rozplynęło

w niej, niczym kawałek smalcu we wrzątku. Bezmiary unicestwiły je jednym krótkim dotykiem. Fale delikatnie bawiły się wielomilowym pasem granatowej, niemal czarnej wody.

Jednak trzęsienie ziemi na grombelardzkim brzegu podniosło falę, jakiej nie widział świat. Gigantyczny garb sunął na południe i nieco ku zachodowi. Mógł uderzyć w półwysep Mały Grombelard, potocznie nazywany Złym Krajem, złamać się, opłynąć go częściowo i po jakimś czasie dotrzeć przez Morze Puste do gęsto zaludnionego półwyspu Mały Dartan, zmiatając zeń wszystkie ślady ludzkiego istnienia.

Lecz pradawny opiekuńczy byt Szereru, tak na co dzień kapryśny i srogi, równoważył moce obcych potęg, które rozpostarły swe obmierzłe macki nad lądami. Bezmiary były nieodmiennie wrogie wobec potęg takich jak Szerń. W niepojęty sposób, wodny garb o długości kilkudziesięciu mil ociężale zmienił kierunek ruchu: osunął się na bezludne wybrzeża Złego Kraju, zatopił wschodnie archipelagi Morza Pustego — ale już odpływał, zataczając ogromny łuk, na południowy wschód; odchodził od lądu, kierowany przez potężną siłę, gdzieś w niezbadaną i nieodgadnioną dal oceanicznych przestrzeni.

Na Południowym Grombelardzkim szlaku kilka okrętów i statków wyrzuconych zostało na ląd. Ale te, które były na pełnym morzu, nie ucierpiały wcale; wodne wybrzuszenie, mające szerokość kilku mil, łagodnie dźwignęło je ku niebu — i tak samo łagodnie opuściło. Największy kataklizm w dziejach został zduszony, chciałoby się rzec: rozpuszczony w zimnym cielsku oceanu — bytu starszego i potężniejszego niż wszystkie podniebne i nadniebne potęgi razem wzięte.

Po odejściu wodnego wału Bezmiary były spokojne aż nienaturalnie.

Ale tylko w pobliżu lądu. Nikt nie mógł widzieć morskiego wiru, wielkiego jak całe Morze Puste, który powstał kilkadziesiąt mil w głębi Wschodniego Bezmiaru. Niewyobrażalne masy wody ciągnięte były dokądś; zderzał się z tym prądem drugi, idący od dna, wstępujący. Dźwignęła się nagle ku niebu jeszcze jedna fala — ale to nie była wodna góra o łagodnych stokach. Dwie rwące morskie rzeki zderzyły się, tworząc poszarpany grzywacz, istne monstrum, które z hukiem pomknęło na wschód. Dokądkolwiek ów grzywacz dotarł, przyniósł ze sobą koniec świata.

Czy istniały na Bezmiarach jakieś lądy, wyjęte spod potężnej opieki oceanu?...

W Dartanie i Armekcie nikt nie wiedział, że upadło Pasma.

Przez krótką chwilę ludzie popełniali głupstwa i wygadywali oczywiste bzdury — wszystko, co akurat przyszło im do głów. Doszło na tym tle do licznych kłótni, sprzeczek, nawet bójek. Tu i ówdzie nie ubito interesu; ktoś stracił współnika, a ktoś przyjaciela — lecz ktoś jeszcze inny powiedział wreszcie coś, co nosił w sercu od dawna, dzięki czemu zdobył sobie żonę... Nie zdarzyło się nic wielkiego, jeśli wziąć pod uwagę, że właśnie zostało zniszczone jedno z największych Ciemnych Pasm Szerni.

*

Olbrzymia niecka, wytłoczona w tarczy oceanu, była gładka niczym jezioro; wodna fałda przez chwilę majaczyła w oddali i zniknęła za horyzontem, zostawiając dziwnie zapadnięty ocean — o czym jednak załogi dwóch żaglowców nie wiedziały, bo niecka miała takie rozmiary, że można by ją dostrzec najwyżej z lotu ptaka. Po jakimś czasie pod kotwiczącymi okrętami jęły się przesuwac płaskie, bardzo długie fale. Poza tym nie zdarzyło się nic.

Ale wszyscy widzieli Pasma.

Na „Kołysance”, oprócz marynarzy Kitara, były jeszcze resztki załogi Brorroka — wszyscy ci, którzy uniknęli działowych kul, strzał, ognia, a na koniec śmierci w słonej wodzie. Na „Zgniłym Trupie” siedziała własna załoga. Razem blisko ćwierć tysiąca ludzi, podobnych do siebie — i bardzo różnych zarazem. Ale po upadku zniszczonego Pasma wszyscy czuli to samo: przygnębienie. Było coś przerażającego w tej monumentalnej śmierci... chociaż chyba nie śmierci, bo Szerń była przecież martwa. W tym... końcu.

Niewiarygodne, niebywałe zjawisko, nieoglądane dotąd przez nikogo, pozostawiło po sobie właściwie tylko jedno uczucie — właśnie przygnębienie. Brakło niedowierzania, podziwu, strachu... Szerń zbyt mocno sprzęgnięta była z duszami istot, które obdarzyła świadomością. Wszyscy wiedzieli, że tak jest.

I wszyscy naraz stracili po kawałku duszy.

Natychmiast coś innego weszło na to miejsce, zastępując utracony fragment. Ale pamięć po stracie pozostała. Podobna do odległego

wspomnienia o śmierci bliskiej osoby.

Na „Zgniłym Trupie” najszybciej ze wszystkich oprzytomnieli oficerowie. Nie dlatego, że mieli poczucie obowiązku wobec załogi... Coś niepojętego działo się z ich dowódczynią; coś, co się nie wydarzyło nigdy wcześniej.

Ridareta oglądała upadek Pasma tak samo, jak cała załoga. Potem, wstrząśnięta, widziała odległy garb wodny. Garb przesunął się, unosząc ku niebu horyzont, a po jakimś czasie zniknął. Dowódczyni „Trupa” odwróciła się, przeszła kilka kroków i uderzyła w ścianę obok drzwi kajuty. Nim ją pochwycono, tocząc z ust pianę rzucała się na pokładzie jak ryba wyjęta z wody. Na oczach przerażonych oficerów i marynarzy kłębiło się to wszystko, co utrzymywało ją dotąd przy istnieniu, przy namiastce życia, jaką miała. Wypadały jej całe garście włosów — i natychmiast z niebywałą szybkością odrastały nowe. Twarz stała się twarzą nierozpieszczonej przez życie czterdziestoletniej kobiety, by niezwłocznie odmłodzić, a potem znów się zestarzeć... Te błyskawiczne przemiany, wiotczejąca, to znów napinająca się skóra na dłoniach, policzkach i szyi; pojawiające się pojedyncze siwe włosy, ustępujące zaraz miejsca brązowym kędziorom; migające spod zadartej koszuli rozstępy na brzuchu i liczne brzydkie blizny, natychmiast zastępowane jędrną, gładką skórą; pojawiające się, to znów znikające odciski i zgrubienia na bosych stopach — wszystkie te ataki dojrzałego wieku zderzane z gwałtownymi kontratakami dziewczęcej młodości, były szokujące, a ponadto w jakiś sposób wstrętne. Jednak same drgawki przywodziły na myśl atak choroby, z którą Mevev kiedyś się zetknął, choć nie pamiętał jej nazwy; ale w porę przyszło mu do głowy, że dotknięty taką przypadłością człowiek gotów bezwiednie odgryźć sobie język, podważył więc szczęki kapitany i wetknął jej między zęby owinięty kawałkiem szmaty drewniany trzonek noża; nic lepszego nie miał pod ręką. Trzymano jej ręce, nogi i głowę, bo tłukła nimi o pokład. Próbowwała wygiąć się w łuk — i nagle zamarła w bezruchu. Napięte do granic mięśnie zwiotczały. Mevev był pewien, że umarła.

Ale po chwili dostrzegł słabe poruszenie piersi.

— Ty i ty — powiedział zdyszany, bo siedział na Ridi okrakiem i trzymał najmocniej ze wszystkich.

Wydobył trzonek noża spomiędzy zaciśniętych zębów, wstał i

odstąpił na bok. Wskazani majtkowie podnieśli bezwładne ciało i przenieśli przez próg kajuty. Cichy wskazał łóżko. Położono ją. Wydawało się, że na chwilę odzyskała przytomność. Wyszepiała coś; w kącikach ust i na policzku miała zastygłe resztki piany. Mevev pochylił się szybko i zdołał pochwycić kilka słów.

Ridi zachłysnęła się powietrzem; przeszył ją dreszcz i powtórnie straciła świadomość.

Cichy wyprostował się i myślał, zagapiony na ścianę. Nie przeszkadzano mu. Wreszcie pokiwał głową.

— Łódź na wodę. Przywieźcie mi tu Kitara. To jest... poproście go. Może się zgodzi. Ważna sprawa.

Majtkowie wybiegli na pokład.

Cichy usiadł na stołku i wymownie popatrzył na Sayla.

— Gównu — powiedział, bo nic lepszego nie wymyślił.

Od jakiegoś czasu nie pamiętał o bólu posieczonych batem pleców; teraz sobie przypomniał. Skrzywiony, poruszył ramionami. Koszula przyschła do świeżych strupów. Na brzuchu kalały ją cztery czerwone plamki. Otrzymał najśmieszniejszą ranę w życiu: wystrzelona przez łucznika z „Kaszalota” strzała trafiła go w brzuch, ale z boku — i płasko weszła w skórę niczym drzazga. Wbiła się z prawej strony pępka, wyszła w dołku pępkowym; wbiła się z drugiej strony tego dołka i wylazła z lewego boku. Cztery rany od jednej strzały.

— A ty, Sayl, masz czasami ochotę wziąć toto za ręce i nogi, rozhuścić i wyrzucić za burtę?

Drugi oficer siedział na stole. Pogapił się na leżącą, która wyglądała tak kiepsko, jak chyba jeszcze nigdy. Nawet blada i chora po przepiciu prezentowała się lepiej. Znacznie lepiej. Wzruszył ramionami i trochę pokiwał, a trochę pokręcił głową, niby że: „tak, ale...”.

— Kiedyś bardziej. Ale teraz nie.

— Przeszło ci, mówisz? A czemu?

— Bo ciągle to noszę. — Sayl pokazał zieloną chustkę na ramieniu, przewiązaną strzępką tkaniny. — To ty wymyśliłeś, nie ja. Ja tylko pamiętam, że miałem stryczek na szyi, a ona... księżniczka, która mogła rządzić Agarami i siedzieć teraz w pałacu... Ona klęczała przed tymi starymi pierdzielami z rady miasta. Klęczała i poszła na wygnanie, żebym ja mógł wozić dupę po Bezmiarach. — Sayl mówił wolno, z namysłem. —

Ja w ogóle nie wiedziałem, że naprawdę zdarzają się na świecie takie rzeczy. Dlaczego ona to zrobiła? Do dziś nie wiem. Ale szmatę będę nosił i Ridi za burtę nie wyrzucę. I nikomu nie dam wyrzucić.

— Głupi jesteś, chłopie, oj głupi... — powiedział Cichy. — I ja też. Ale wiesz co? Ona jest jeszcze głupsza od nas. Ja bym czegoś takiego nie zrobił. No, może dla brata... Miałem brata; to dopiero był sukinsyn, mówię ci. Dałem mu kiedyś pas, ale taki... wiesz, naprawdę kawał pasa. Jeszcze dzisiaj pamiętam, jak mi się podobał. Ściągnąłem z jakiegoś kramu. A wiesz, dlaczego mu dałem? Bo mnie, gówniarz, poprosił!... — Mevev zaśmiał się i klepnął w uda. — No i tak to było.

Zamilkł, jakby się nagle zawstydził, że bez przerwy gada i gada. Ale coś go uwierało i naprawdę chciał gadać. Jak rzadko.

— Spadło Pasma Szerni — powiedział od rzeczy Sayl.

Mevev popatrzył nań i zadarł podbródek: „hę?”.

— Kiedyś już się działy takie rzeczy — wytłumaczył tamten. — Bardzo dawno. Podobno Szerń toczyła wojnę z Alerem. No, tym paskudztwem za północną granicą Armektu. Aler to taka siła jak Szerń, tylko inna. Obca. Nie nasza. Przyplłynęła skądś nad Bezmiarami i chciała odebrać Szerer naszej Szerni. Szerń, ta nasza, prawdziwa, wygrała, a z Aleru został tylko kawałek. Ten za północną granicą. Dlatego tamtą ziemię też nazwano Alerem. Od tego, co nad nią wisi.

— Skąd to wszystko wiesz?

— No... gdzieś usłyszałem. Albo przeczytałem.

Sayl był dziwny. Czytał nie tylko potrzebne rzeczy, takie jak rejestr statków. Kiedyś złupili kogę, na której był kufer ze zwojami, a na samym jego dnie kilka solidnych ksiąg. I Sayl to wszystko przeczytał, zanim sprzedał. Jakieś wymyślone historie, które wcale się nie zdarzyły... Mevev też umiał czytać, kiepsko bo kiepsko, ale zawsze. To była dobra i potrzebna rzecz, umieć czytać. Przydawała się. Ale takie historie, które się nie zdarzyły?... Można posłuchać różnych bajek w knajpie przy piwie, ale... czytać? Tyle się natyrać dla historii, które się nie zdarzyły?

— To znaczy, że teraz Szerń i Aler znowu zaczęły wojnę? A jak taka wojna wygląda?

— Nie wiem. Nie wiem, jak wygląda, i nie wiem, czy to Aler. Może coś nowego przyplłynęło nad Bezmiarami? Tak tylko powiedziałem. Kiedyś, gdy Pasma spadały na ziemię, zniszczyły cały Grombelard.

— No, widziałem, co się dzieje. Kiedy spada Pasma. Jakoś... źle mi z tym.

— Mhm. Wiem. Mnie też.

Zadumali się obaj.

Niepodobna było pozbyć się wspomnienia srebrzystej sztaby, prostej i wygiętej zarazem, która tak ciężko i powoli, bezdźwięcznie, osuwała się w dół i w dół... A za nią, jak przylepione, ciągnęły się kłaki chmur.

— I to już teraz tak będzie? Będą spadać Pasma? To ja biorę największą mapę i patrzę, gdzie jest sam środek Szereru. I tam będę siedział. Widziałeś, co się działo na morzu?

Pytanie było z rodzaju tych, na które odpowiadać nie trzeba, więc Sayl nie odpowiedział.

*

Kitar przyplłynął dopiero pod wieczór, bo miał robotę na łajbie. Brakowało miejsca dla setki ludzi; czterdziestu to było w sam raz. Przyplłynął zmęczony i wściekły. Ale zobaczył wymizerowaną kapitanę „Trupa” i trochę mu przeszło. Spojrzał na Cichego.

— A tej co znowu?

— Widzisz.

— Widzę, ale nie wiem, co jej jest. Pijana? Ranna, chora?

— Chora, nieprzytomna. Mam sprawę.

Kitar usiadł.

— No to daj coś do picia.

— Nie mam. No, nie mam, mówię. Wszystko poszło za burtę.

— Bo co?

— Nic.

Kitar westchnął. Uważniej przyjrzał się Cichemu, którego już kiedyś widział, ale słabo pamiętał. Zresztą — widział, nie widział... Teraz patrzył na kogoś innego. Na dowódcę, który dał radę Brorrokowi.

— Ty masz sprawę, a ja mam na okręcie trzy kliny piechoty, czyli ładną kolumnę... A wiesz co? Obóz tylko na jeden klin.

— Daj mi ich. No, daj. Była bitwa, wyłowiłeś ich. Teraz to są tylko sieroty-marynarze. Bez własnego pokładu pod nogami. Jak który będzie chciał, to może zostać na „Trupie”. Resztę po cichu wysadzę na Wielkiej. Gorzałki nie mam, ale zapasów pełną ładownię. Woda też jeszcze jest. Do

Agarów wystarczy.

— Który z nich ci przyjdzie na „Trupa”? Ich kapitan postawił nogę na pokładzie i teraz rozmawia z rybami.

— A ty co? Siedzisz tu, tak?

— Ja, braciszku, urodziłem się w Armekcie — rzekł Kitar. — Jak dla mnie, to twoja łajba może się nazywać: „Zgniły Trup Który Przynosi Kitarowi Codziennie Cztery Nieszczęścia”. Dalej będę tu siedział, bo tak wierzę w podobne pierdoły. A w to, że Piękna Ridi przynosi nieszczęście, uwierzę, jak mi przy niej nie stanie.

— Brorrok by ci powiedział co innego.

— O szczęściu czy o tym, jak staje? Brorrokowi już przy nikim nie stawał. A co do szczęścia, Brorrok sto lat pracował na uczciwą śmierć w morskiej bitwie. Przeliczył się, ugryzł zbyt twardą skórę i połamał zęby. To tyle.

— Mielicie eskadrę.

— Rano tak; przed południem już nie. Miałeś powód, więc go utopiłeś. Lubiłem starego i mi żal, ale za burtę z powodu jego kręctw nie wyskoczę.

Kitar wyłowił z wody nie tylko załogę „Kaszalota”, ale i Fokę Ridi, która ani myślała upiec się przy trupie Brorroka. Wiedział już, co się wydarzyło i dlaczego.

— Może wśród tych chłopaków od Brorroka znajdą się jacyś, co rodzili się w Armekcie tak jak ty — powiedział Mevev. — W każdym razie, możesz im powiedzieć. Kto chce, to ma u mnie miejsce. Jak przyjdzie tylko pięciu, to o tyle będziesz ich miał mniej. Mam sprawę.

— No, czekam.

— Źle z nią. — Cichy wskazał kapitanę ruchem głowy. — Może jej się poprawi, może nie. Powiedziała, że chce na Agary.

— Co jej się stało właściwie?

— Widziałeś to co wszyscy. Najpierw spadła Szerń. Potem pokazała się fala, a ta wyfajtnęła się. Ona... — Cichy urwał, bo nie chciał palnąć czegoś głupiego. Pokiwał głową i skończył: — Ona i Szerń mają coś do siebie. Pewnie słyszałeś, co się o niej gada, a jak nie, to nie. Spadło Pasma, a ona... no. Jak jej się polepszy, to ją spytaj.

Kitar patrzył wyczekująco.

— Weź ją na Agary — powiedział Cichy. — „Zgniłek” nie może

zawijać do Aheli, a na dziko, nocą, to ja mogę wysadzić na brzeg paru chłopca. I to po wschodniej stronie, bo od zachodu Wielka jest mocno pilnowana. — Pogapił się na Fokę i pokiwał głową. — Nie wiem, co z nią jest, i nie wiem, czy w ogóle zdążę ją dowieźć. Pewnie jej się poprawi, ale może nie... Tego, co było dzisiaj, to jeszcze nigdy u niej nie widziałem.

— Mam ją zawieźć do Aheli?

— A gdzie się wybieralesz?

— Do Aheli.

— No.

— Ale z ładunkiem to będzie kosztowało.

— Powiedz ile. Jak mi nie wystarczy, to Foka dołoży ci resztę.

— Chyba że się przekręci.

Cichy popatrzył na ścianę. Podumał, pokiwał głową.

— Powiedziałem ci, jaką mam sprawę. To teraz ty mów „tak” albo „nie”. Bo jak nie, to ja nie mam czasu. Dla mnie na Agary jest dwa razy dalej, jak dla ciebie.

— No dobra, braciszku. Wezmę ją.

— A na miejscu najpierw idź do Raladana. On wymyśli, jak ją przenieść albo przeprowadzić do pałacu. Nikt nie może jej tam widzieć, pamiętaj.

— Tylko że Raladan... hm... Na pewno wie już, coście zostawili na Małej.

— To niech wie. Ja też coś wiem. Dla Raladana to Ridi może spalić nie tylko Małą, ale i Wielką Agarę. Powiedziała mi, że chce się z nim widzieć. Zawieź ją. Nawet gdybyś nic za to nie wziął, to i tak zrobisz dobry interes. Nie mam racji? Z Raladanem warto żyć w zgodzie. Co dopiero mieć u niego dług.

13.

Ku zaskoczeniu dowódców obu okrętów aż siedmiu chłopców Brorroka bez zastanowienia przyjęło propozycję Cichego, a po namyśle i z jakimś ociąganiem w ich ślady poszło jeszcze czterech. Ale było tak, jak powiedział Mevev: na pokładzie „Kołysanki” siedziały sieroty po dobrym żaglowcu i sławnym dowódcy — prości ludzie, którzy potrafili obsługiwać okręt, bić się i nic więcej. Niektórzy uwielbiali swego

kapitana, ale inni równie dobrze mogli w kółko prac koszule i szorować pokład u Brorroka, jak maszerować w nogę pod gwizdek Kitara, albo zbierać baty u kogoś innego. Okręt Ślepej Ridi nazywał się paskudnie, to prawda. Ale widać nie ściągał nieszczęścia na własną załogę, bo gdyby tak było, to nie „Kaszalot” leżałby teraz na dnie... Tylko głupi mógł przeczyć aż tak oczywistej prawdzie. Pokład pod nogami oznaczał pełny brzuch, od czasu do czasu pełny trzosik, no i grupę-rodzinę, do której się należało. A tymczasem w Aheli całymi miesiącami mogli wycierać tyłkami błoto z ulic, głodni, przeganiani z knajp przez oberżystów (bo na co komu marynarz bez miedziaka?), codziennie łażąc do portu i próbując się zaciągnąć na jakiś żaglowiec. I na koniec trafić znacznie gorzej, niż mogło być pod komendą Ślepej Foki Ridi, u której na pokładzie, jak mówiono, były nawet dziewczynki do zabawy. Darmo!

Kitar palnął w morze z jednej ze swoich pukawek, Mevev kazał dać odpowiedź z rejteradowej bombardy — i okręty rozstały się.

Zamożny kupiec, po którym Kitar odziedziczył „Kołysankę”, darzył widać jej dowódcę szczególnymi względami, bo w długiej i płaskiej nadbudówce rufowej nakazał wydzielić dlań osobne pomieszczenie, co zdarzało się bardzo rzadko; zwykle zarówno kapitan, jak i jego oficerowie, a na koniec zabierani w rejs pasażerowie, dzielili wspólne pomieszczenie, do którego najwyżej wstawiano dodatkowe, zbite na poczekaniu prycze — i tyle. Kitar mógłby zabrać na spacer po morzu samą cesarzową — tak przynajmniej powiadał. Rzeczywiście; z wojskową akuratnością urządził sobie naprawdę wygodną, schludną kajutkę, gdzie wszystko było na swoim miejscu, liczne latarnie rozjaśniały mrok, a pod nogami pysznił się dartański kobierzec wart tyle, że nie chciał tam pasować w ogóle do niczego. Ozdobiwszy dodatkowo ściany orężem (jakże Armektańczyk mógłby obyć się bez tego?...), pośród którego trafiały się naprawdę cenne okazy, dowódca „Kołysanki” umieścił jeszcze na poczesnym miejscu wykutą z blachy armektańską gwiazdę — i mógł być zadowolony.

Cesarzowa Wiecznego Cesarstwa nie wybrała się na spacer po morzu; do podziwiania kapitańskiej komnaty Kitara musiała wystarczyć agarska księżniczka. Bo zakwaterował ją u siebie.

I niemal do samego końca rejsu nie miał z tego żadnego pożytku. Ridi nie była towarzystwem. Była żywą rzeczą, czasem niby przytomną,

niemniej tępo spoglądającą w sufit i gotową bez końca składać odpowiedź na najprostsze pytanie. Najczęściej jednak spała, bo to nie było omdlenie. Dawała się obudzić, tyle tylko że... Patrzyła tępo i bez końca składała odpowiedź na pytanie, które wystarczyło skwitować „tak” lub „nie”.

Podczas długiego rejsu przy dobrej pogodzie Kitar miał niewiele roboty i nudził się na potęgę. Poupychał jakoś chłopców Brorroka, niektórych w dziobówce, innych w wydzielonej części ładowni (w każdym razie z daleka od beczulek). Doglądał wszystkiego, grał w kości ze swoimi oficerami, uproszony przez marynarzy parę razy zagrał na lutni, ku podziwowi tych od Brorroka (miał dobre ucho i grać umiał naprawdę przyzwoicie, a znał wiele tęsknych armektańskich pieśni, nuconych przez żołnierzy na biwakach). Wszystko to zajęło mu trzy razy mniej czasu niż nudzenie się.

A nudził się w swojej kajucie.

Na innym okręcie podśmiewano by się ze „starego”, że chyba ukradkiem podmacuje chorą pasażerkę... Ale nie u Kitara. Nikt tu nigdy nie uderzył marynarza, bo mir i dyscyplina były takie, jak w armektańskim wojsku, gdzie oficerowie nie śmieli poniżać podkomendnych. Ale ci niebici, nakarmieni, przyzwoicie opłacani marynarze, też musieli znać swoje miejsce. Każdy z nich mógł w te pędy wylecieć z „Kołysanki”, a za ciężkie przewinienie zawisnąć. Kapitan miał więc prawo wyczyniać cokolwiek, choćby łązić po pokładzie z dyndającym fajfusem i piórem rybitwy w zadku; nikt by się nawet nie obejrzał, a co dopiero uśmiechnął.

Kitar zawsze nudził się u siebie, jako że kapitańskiej nudy podkomendny oglądać nie powinien. Niby wszyscy wiedzieli, że zamknięty w swoich czterech ścianach dowódca ziewa od ucha do ucha i drapie się pod pachą, ale każdy zapytany oficer albo marynarz natychmiast by odpowiedział: „Kapitan? Jest u siebie. Na pewno wykreśla kurs”.

Jednak Kitar kursu nie wykreślał.

Piękną Ridi poznał bardzo dawno, tak jak poznawali ją inni kapitanowie. Na Agarach. Pokazano mu księżniczkę; popatrzył, cmoknął, zaświstał, uniósł brwi — i poszedł. Już kilka razy przeczekiwał w Aheli porę burz; jesienią zbierały się tam żaglowce ze wszystkich mórz

Szereru, bo nareszcie miały macierzystą przystań, sto razy lepszą od dzikich kotwicowisk lub niegościnnych portów wyspiarskich, gdzie oczy cesarskich żołnierzy i urzędników trzeba było zasypywać kruszczem. Ale choć należał do grona najznamienitszych dowódców spod znaku czarnego żagla, do Foki szczęścia nie miał. Nie znosiła księżnej Alidy, więc na zabawach wydawanych przez nią dla żeglarskiej starszyny nie bywała. Po mieście włóczyła się zawsze z jakimiś smętnymi fagasami, których łapska najwyraźniej przyrosnięte były do jej tyłka; fagasy zmieniały się często, ale obyczaj Ridi — nie. Hulanki z udziałem prostych żeglarzy, w których lubowała się księżniczka — to z kolei było nie dla Kitara. Mógł przepić do swoich chłopaków niczym setnik legii do żołnierzy, ale uchlać się należycie potrafił tylko w gronie innych kapitanów i okrętowych szarż. Skutkiem tego prawie nie znał Ślepej Foki Ridi i pierwszą dłuższą rozmowę w życiu przeprowadził z nią dopiero co: po tym, jak wdrapała się na pokład ociekając wodą — jeden z wielu topielców Brorroka. Topielec ów musiał wrzasnąć, by dowódca „Kołysanki” zauważył, iż jest to topielec szczególny.

Porozmawiali wtedy o Brorroku.

Kitar siedział w kajucie i się nudził. Dla chorej Ridi kazał zrobić wyrko, a teraz sam na nim spał. Księżniczkę przeniósł na swoje własne łóżko.

Nie wyglądała już tak źle, jak na samym początku. Jej twarz miała normalną barwę, usta nie były sine, na czole przestał się perlić zimny pot. Oddychała równo. Po prostu spała. Tyle tylko że nie bardzo dawała się dobudzić.

Nieprawdopodobnie wręcz bujne były włosy tej dziewczyny. Nieprawdopodobnie. Zmierzwiłone na poduszce, wokół ramion... Wszędzie było ich pełno. Ciemnobrązowe, kędzierzawe, gęste.

— Aleś ty ładna — mruknął, kiwając się lekko na krześle. — Niech mnie zatłuką, jak powiedziałyby stary. Co ja bym dał, żeby dorwać tego, który ci wybił oko. Okaleczyć taką dziewczynę. Mówię ci, braciszku...

Urwał.

— No nie. Chyba jednak: siostrzyczko — dokończył.

Sunący po morzu okręt sennie poskrzypywał więzaniami. Kitar pokiwał się na krześle, pobębnił palcami w kolano, podłubał w ucho i w nosie. Podrzemał. Przecknął się, ziewnął, popatrzył na Ridi, która w

międzyczasie nie zbrzydła. Wziął lutnię i cichutko bawił się podwójnymi strunami.

Cienie dusz z pajęczyny rozpląną się w mroku,
gdy Szerń postanowi o końcu.
Lecz inaczej kontury istnień stałą rzeźbionych;
te na zawsze utrwala się w słońcu.
I na zew Niepojętej Arilory powstaną rycerze
mgłą śmierci zdławieni,
By zaświadczyć o czynach, co tuniką chwały
okryły kolczugę ziemi.
Pośród legend o czynach z diamentu,
żłobiących
gładź pustą zwierciadeł historii
Zabrzmią...

Urwał i patrzył na Ridi.

Ridi patrzyła na niego.

— Ładne — powiedziała cicho. — O czym to?...

Kitar śpiewał po armektańsku.

Odłożył lutnię na stół.

— O żołnierzach Niepojętej. O tych, którzy nie umierają... bo giną. Bardzo stara żołnierska pieśń. Śpiewali ją łucznicy z Sar Soa. Najlepsi łucznicy świata. Poszli przeciw wszystkim innym armektańskim księstwom, które się zjednoczyły przeciw nim.

Myślała.

— I zwyciężyli?...

— Przegrali. Księstwo Sar Soa przyłączono do innych i powstało Królestwo Armektu. Ale pobitych łuczników Sar Soa sławi się do dziś. Nie umarła ani jedna z ich pieśni.

— Ta jest smutna.

— Nie. Tylko łagodna i spokojna. Zupełnie inna niż to, co wrykują żeglarze.

— O czym jest? — zapytała jeszcze raz.

— O tym, że po śmierci wszyscy roztopią się w Szerni, ale nie żołnierze Niepojętej. Bo Pani Wojna jest silniejsza od Szerni i ci, co jej służyli, wrócą pod jej rozkazy bić się znowu. Ale już nie między sobą. Ramię przy ramieniu staną naprzeciw tchórzy. I będą ich zabijać gołymi rękami, bo szczury nie są godne oręza.

— Wierzysz w to?...

— Nie... Nikt w to nie wierzy. To tylko takie żołnierskie marzenie. Ale dla takich marzeń... armektańskich marzeń...

Nie dokończył.

— Co: „dla armektańskich marzeń”? Powiedz. Ja też trochę jestem Armektanką. Półkrwi. Ale nic nie wiem o kraju ojca.

— Prawda... No tak, prawda. Kapitan K. D. Rapis był przecież Armektańczykiem — powiedział zdziwiony Kitar. — Zapomniałem. Znałem twojego ojca, pomagałem mu zdobyć Barirrę. To był czyn. Co z tobą, Piękna Ridi? Obudziłaś się wreszcie na dobre?

— Nie wiem. Płyniemy do Aheli?

— Mhm.

— Pamiętam, że... chyba prosiłam Meveva... I zabrałeś mnie?

— Mhm.

— I daleko mamy jeszcze?

— Jeśli wiatr się nie zmieni, to trzy dni.

Odetchnęła.

— To dobrze. Muszę...

Usiadła, odgarniając włosy do tyłu. Upewniła się dotykiem, czy ma opaskę na wybitym oku. Poprawiła ją.

— Nie chce ci się jeść? Ani pić? Wyglądasz jakbyś całkiem wyzdrowiała.

— To dlatego, że nie byłam chora. Jeść i pić?... Tak, ale później. Lustro! — powiedziała. — Masz tu coś takiego? Muszę się zobaczyć... albo nie. Nie! — mówiła, wygrzebując się z pościeli. — Najpierw mi powiedz, jak wyglądam. Na ile lat? Trzydzieści? Czterdzieści? Pięćdziesiąt?...

Kitar nie był przyzwyczajony do sposobu bycia Pięknej Ridi. Odchylony wraz z krzesłem, które stało na dwóch nogach, opierał się karkiem o ścianę.

— Mówisz, że jesteś już zdrowa, yyy... siostrzyczko? — zapytał z powątpiewaniem.

— Tak, ale nie wiem, czy ładna... Ładna jestem? — zapytała.

Zadarła koszulę (Kitar nie był aż tak dobrą niańką, by ściągnąć z niej odzienie do snu) i lękliwie spojrzała na brzuch. Był gładki, bez znamion po ciąży, bez brzydkich szram po zranieniach. Puściła skraj koszuli, oburącz chwytając się za piersi. Twarde. Przeciągnęła językiem po zębach. Wszystkie. Szybko dotknęła policzków.

— No, mów mi: ładna jestem czy nie? Gdzie masz to lustro?

— Chyba nie mam w ogóle... Po co mi?

Aż jęknęła.

— No to naczynie z wodą, wypolerowane żelazo albo coś! — zawołała rozzłoszczona nie na żarty. — Kpiny sobie ze mnie robisz czy jak? Ładna jestem czy nie?! — Omal nie rzuciła się na niego z pazurami.

— Ładna. Nawet ci to powiedziałem, kiedy spałaś... — odrzekł. — Ale poza tym, siostrzyczko, chyba coś... nie tego.

— Ale... taka, jak kiedyś?

— No... chyba tak. W każdym razie ładniejsza niż wtedy, kiedy wyciągnąłem cię z wody. Nie taka osmyczona.

Usiadła na łóżku, przygryzła usta i nagle parsknęła śmiechem.

— Wygrałam z suką — powiedziała. — No, Riolatko? I kto znowu jest górą? Riolatka czy Ridaretka?

— Rio...

— Nie mów! — zawołała ostrzegawczo. — Suka lubi żarty! Cała Szerń w ogóle lubi żarty. Tamenath jakoś inaczej to nazywał, ale... no, to właśnie są żarty. Takie niepoważne nie wiadomo co.

Patrzył, rozważając, czy Ridi naprawdę oszalała. Ale okazało się, że nie.

— Rubin Córki Błyskawic. Imię Riola to skrót od Riolata. Riolata, Królowa Rubinów. Ciemny Porzucony Przedmiot, który jest symbolem dwóch odrzuconych Pasm Szerni — powiedziała dobitnie, ale trochę tak, jakby klepała wyuczoną formułkę. — Słuchasz mnie?

— Słucham. I to jest to twoje przeklęte imię, Piękna Ridi?

— Nie moje i nie przeklęte. Jeśli nie wiesz, co oznacza, ma moc Formuły, tak przynajmniej mówił Tamenath. Odwrotnie niż zazwyczaj, i dlatego to jest... taka kpina, żart. Nie wiadomo dlaczego coś tak potężnego jak Szerń robi różne... no, głupstewka. Tamenath mówił, że na przykład dziewczyny urodzone w Alerze, tam gdzie nie ma naszej Szerni, mają na włosach znak Aleru. Nie wiadomo dlaczego. To tylko taka... zabawa. Aż dziwne, że takie wielkie moce, które stwarzają całe światy, robią różne śmieszne rzeczy po nic.

Przyglądał się jej z namysłem.

— Ale teraz już wiesz — zakończyła — co znaczy Riolata, i teraz nawet dziesięć razy dziennie możesz mówić Riolata. Jednak lepiej mów

Ridaretka.

Z pełnym satysfakcji westchnieniem oparła się o ścianę. Oburącz uniosła nad głowę kłęby włosów i przepuściła między palcami. Przeciągnęła się, pokazując pępek.

— Teraz chcę jeść i pić. Masz wino? Najlepiej dartańskie czerwone, z Seyenu. I daj mi naczynie z wodą, bo muszę się przejrzeć. A gdzie są wszystkie moje klejnoty? — przestraszyła się. — Ten sukinsyn Cichy... Dał ci jakieś suknie i dodatki dla mnie?

Kitar nareszcie zrozumiał, dlaczego razem z Ridi przywędrował na pokład „Kołysanki” wielki kufer. Nawet dotąd go nie otworzył.

Ten Cichy to był bardzo mądry ktoś.

— Chyba dał.

— O, i to jest pierwszy oficer! — powiedziała z dumą. — A twój? Nie masz nawet lustra na pokładzie. Wyrzuć go.

Kapitan Kitar już się nie nudził.

— Ale szerokie masz łóżko — powiedziała, jakoś tak mimochodem, chyba bezwiednie opierając rękę na brzuchu trochę poniżej pępka i lekko przebierając palcami. — A gdybym była ruda? Jak myślisz? Co ty tak nic nie mówisz?! Baw się ze mną, rozmawiaj, noo! Wszyscy tu są tacy ponurzy? I przestań mnie wreszcie głodzić.

Kitar na pokładzie własnego okrętu nigdy nikomu nie nosił jedzenia. Teraz poszedł i przyniósł.

Ridi gadała bez przerwy przez trzy dni, biegała po całej „Kołysance”, a nocami spała jak zabita. Kitar przetrzymał te trzy dni i dwie noce, ale widział, że gdyby podróż miała potrwać dłużej, to już nie pozbierałby załogi i okrętu do kupy. Jednooka piękność wystroiła się w czarną suknię o armektańskim kroju, bez rękawów i pleców, ale za to porozcinaną ze wszystkich stron i nie było takiego kąta na żaglowcu, z którego nie dolatywałyby brzęk jej bransolet oraz wpiętych lub wszytych w jakieś tajemnicze miejsce — bo niewidocznych — dzwoneczków. Wprowadziła obyczaje na „Kołysance” nieznanne: przegadywała się z cieślą i kucharzem; przegrała perłowy naszyjnik do chłopaków z obsługi dział, bo żadne od jej pisku samo nie wypaliło, chociaż wszyscy niemal ogłuchli; zabawnie dokuczała majtkom z pokładowej wachty; wieczorem tańczyła na pokładzie, tak jak nikt nigdy nie tańczył — gibka i zwinna aż niewiarygodnie, roześmiana, wirująca z rozkrzyżowanymi, to znów

wzniesionymi nad głowę ramionami. Kitar nie domyślał się nawet, że ma w załodze aż dwóch świetnych tancerzy — Foka to odkryła w jeden wieczór. Rozradowane jak dzieci dryblasy — jeden szczerbol; drugi ze złamanym nosem — pod rękę z tańczącą w środku Ridi misternie przeplatały krok w lewo i prawo, trzaskały o pokład podszwami wydobytych skądś drewnianych chodaków, pokazując mało znane, niezeglarskie tańce garyjskie. Obaj pochodzili z Harenów, gór będących kręgosłupem wyspy. Księżniczka gotowa była przetańczyć całą noc. Ale dała też się wyzwąć do walki na niby — obojętnie uchechłała pół spódnicy swojej czarnej sukni, po czym, z mieczem w lewej, a półmieczem w prawej ręce, wychwyciła i złamała oręż dowódcy Kitarowych gwardzistów — i od razu cmoknęła go w policzek, jakby przepraszając... W trzy doby potłukła — niczym gliniane garnki — wszystkie ponure mity narosłe wokół niej; kochali się w Ślepej Ridi już nawet chłopcy od Brorroka, niektórzy wciąż skomlały z bólu od poparzeń, poranieni, a potem opici morską wodą... Wielu starych majtków pluło sobie w brody, zupełnie jawnie biadając nad głupotą, która kazała im odrzucić zaproszenie do załogi „Trupa”. Kitar nie miał pojęcia co z tym wszystkim zrobić.

A najgorsze, że sam nie był bez winy, bo i jemu zawróciła w głowie.

I jednego tylko nie rozumiał: gdzie w tym wesołym i pogodnym dzieciaku mieszka przyzwolenie dla wyrżnięcia wszystkich mieszkańców rybackiej wyspy.

Dowódca „Kołysanki” nie był okrutnikiem. Zabijał dla zysku, nie z potrzeby serca. Ten, kto niczego nie miał, mógł się czuć przy nim bezpieczny. Ale przy Ridi chyba nie. Przyglądał się tej dziewczynie i myślał; myślał i znów się przyglądał. Najpierw obrachował, że nie jest dziewczyną, a tym bardziej „wesołym i pogodnym dzieckiem”... Trudno było o tym pamiętać. Niemniej, jakkolwiek liczył, wychodziło mu, że Piękna Ridi ma jakieś trzydzieści pięć lat. Wyglądała najwyżej na dwadzieścia.

Ostatniej nocy, już kotwicząc na redzie ahelskiego portu, dowódca „Kołysanki” musiał sobie powiedzieć, że boi się wrócić do własnej kajuty, bo zupełnie nie wie, jak trzeba rozmawiać i postępować z tym niezwykłym stworzeniem, które nieopatrznie — ledwie żywe, pogrążone w odrętwieniu — zgodził się przyjąć na pokład.

Ridi siedziała z podwiniętymi nogami na jego fotelu i przeglądała się w maleńkim zwierciadélku, które skądś dla niej wytrzasnął jeden z marynarzy. Kitar nie był zdziwiony, bo już wiedział, że dla Ridi chłopcy wynaleźliby w kłopotach nawet małą kamienicę albo wiatrak.

— Ale się wytańczyłam... — powiedziała trochę niewyraźnie, bo akurat robiła do lustra różne miny. — A ty? Tak ładnie potrafisz grać i śpiewać. Dlaczego nie tańczysz?

— Bo myślę, jak cię jutro dostarczyć do twierdzy — wykręcił się od odpowiedzi.

— Nijak.

— Hm?

— Nie wybieram się do twierdzy — oznajmiła, po czym uniosła górną wargę i lekko zadarła głowę, żeby w zwierciadélku obejrzeć przednie zęby.

— Chciałaś widzieć się z Raladanem.

— Tralala. Już nie chcę. Nic mnie nie obchodzi ta świnia.

Kitar stracił cierpliwość.

— Posłuchaj no mnie, siostrzyczko. Prosiłaś o coś Cichego, a on mnie zaprosił na pokład, pokazał, co leży na koi, i zawarliśmy umowę. Jutro schodzisz na łąd, a jak nie, to z mojego pokładu i tak zejdziesz.

Odłożyła lusterko.

— To znaczy, że mnie wyrzucasz?

— Nie. Dowożę, gdzie trzeba, bo taka była umowa.

— Przeszkadzam ci?

— Trochę. To jest pokład wojennego okrętu, nie karczma. Rób u siebie, co ci się podoba. Ale ja nie będę tańczył dla swojej załogi ani mizdrzył się do bosmana, żeby zgodził się mnie posłuchać.

— Aaa! — rzekła ze zrozumieniem. — Zabrałam ci załogę.

— Nie, bo ci jej nie dam.

— Sama sobie ją wezmę, jeśli będę chciała — oświadczyła, wstając z fotela i zmierzając do łóżka.

Grzmotnęła plecami o dartański kobierzec, aż deski pod spodem jęknęły. Kitar podciął jej nogi kopniakiem, który każdemu zadarłby kopyta aż pod sufit. Przygniótł szczękę kolaniem, obracając głowę policzkiem do podłogi. To na pewno nie były żarty. Na skroni czuła zimny, kłujący dotyk żelaza.

— Puszczaj swoje ognie, Piękna Ridi, a ja się oprę na tym, co właśnie trzymam w rękach. Podobno nie można cię zabić. Przedziurawię łeb i zobaczymy, co jest w środku.

Wargi z lewej strony miała zmiążdżone o zęby. W ustach pełno krwi z rozciętego od środka policzka. Powoli sięgnęła ręką i dotknęła gniotącego twarz kolana. Pchnęła lekko...

Nierozkazująco.

Wstał.

— Jestem dowódcą tego żaglowca, więc bądź grzeczna.

Obróciła twarz do góry, tak że mogła go wreszcie zobaczyć.

— A teraz mogę cię zabić — powiedziała.

Nim skończyła, obrócił się na pięcie i dostała takiego kopniaka, że omal nie odpadła jej głowa. Na szczęście znów miała kolano miażdżące wargi o zęby, które ledwie trzymały się w dziąśle. Na skroni poczuła znajomy ostry dotyk.

— Zabijaj.

Bardzo chciała, ale nie mogła. Bo zdążyłby całym ciężarem oprzeć się na nożu. A to mogło zboleć bardziej niż dziesięć kopniaków w twarz. Nie chciała sprawdzać, co ma w głowie. Tego jednego nigdy nie sprawdzała.

W głosie Kitora niewiele było emocji:

— Kiedy chcesz zabijać, to zabijaj. A jak nie chcesz, to nie strzęp języka — pouczył. — Daję ci trzecią szansę, siostrzyczko, i ta będzie ostatnia. Zabijaj albo milcz, bo jak powiesz słowo, to ja zabiję ciebie. Słuchasz mnie? Zabiję. Dotąd nie chciałem, więc gadałem. Ale teraz już nie powiem ani słowa.

Puścił ją po raz drugi.

I po raz drugi popatrzyła nań. Bardzo, bardzo ostrożnie i powoli. Miała obtarte, rozcięte w kilku miejscach i zakrwawione usta, do których przylepił się pukiel włosów.

Przyglądał się jej z wyżyn swego wzrostu — a nie był małym mężczyzną.

Nie powiedziała ani słowa. I nie zabiła go.

Wbił nóż w ścianę przy drzwiach, bo bardzo lubił, kiedy wszystko było na swoim miejscu..

— Wstawaj, Piękna Ridi. No już, podnieś się.

Pokręciła głową, że nie.

— Możesz już mówić, jeśli chcesz. Byle tylko do rzeczy.

Pokręciła głową, że nie.

— Coś ci... zrobiłem?... — zapytał.

Pokręciła głową, że nie. Nieruchomo leżała na plecach. Wolniutko odsunęła ręce od tułowia, kładąc dłonie płasko na kobiercu.

Całował ją delikatnie, bo popękane wargi drżały z bólu. Smakowała lekkim oddechem, rozrzedzoną krwią i włosami, których kosmyk dostał się do ust. Z najbliższej odległości widział długie rzęsy, które zgasiły spojrzenie. Mięciutko, samym koniuszkiem języka, z psim oddaniem polizała mu policzek, tuż przy kąciku ust. Obejmowała go za szyję i plecy. Niepewnie i trochę nieśmiało, czego nie oczekiwał. W pewnej chwili zauważył, że spod zamkniętej powieki potoczyła się ku skroni drobna łza.

Pocałował tę łzę.

Ostrożnie wziął dziewczynę na ręce — bo wszystko jedno, ile tak naprawdę miała lat, była przecież dziewczyną — i położył na łóżku. Znalazł trochę wody i czystą szmatkę. Delikatnie opatrzył porozcinane wargi, lekkimi muśnięciami zmywając krew. Szczypało i bolało; znów zobaczył małą łezkę — i znowu ją pocałował.

Dowódca „Kołysanki” przeżył aż czterdzieści dwa lata, zanim się dowiedział, że miał o czymś fałszywe pojęcie.

*

Raladana nie było, pojechał w jakiejś sprawie do Arby i miał wrócić dopiero nazajutrz. Kitar zmartwił się i ucieszył zarazem; Ridareta tylko ucieszyła.

— Nie ciesz się — powiedział. — Tak czy owak, na „Kołysance” nie zostaniesz ani chwili dłużej.

— Masz mnie dosyć?

— Jak zarazy.

Posmutniała. Naprawdę szczerze. Ujął ją za włosy po obu stronach głowy.

— Tutaj jest jeden kapitan i tak ma zostać, Rido. Mamy umowę, tak?

— Mhm.

— No to zbieraj się.

Jakie przebranie wchodziło w rachubę dla jednookiej kobiety, której

twarz znał każdy mieszkaniec Aheli? Kitar długo myślał, ale niczego nie wymyślił. Nawet w środku nocy musieliby ją rozpoznać choćby wartownicy.

Wpakowano Ridi do skrzyni i zaniesiono jako dar dla księcia.

Dowodzący garnizonem twierdzy oficer, wyjątkowo tępy żołdak-służbista, nie potrafił podjąć decyzji, czy wolno wnieść do pałacu wielką pakę, o zawartości której nic nie wiedział. Do Kitara wyszła pierwsza niewolnica domu, bardzo ładna (choć nieprzesadnie już młodziutka) perełka o imieniu Lasena. Armekańczyk odwołał ją na bok i wyjawiał bez ogródek, o co chodzi. Nie był prostakiem, któremu się wydaje, że niewolnik to coś w rodzaju rozumnego psa. Pies stał o wiele wyżej; był zwierzęciem, podczas gdy niewolnik zaledwie rozumnym przedmiotem. Niemniej przedmiotem wyjątkowym, bo jeśli książę Raladan powierzył takiemu przedmiotowi zarządzanie domem, to znaczyło, że przemienił go w swoje uszy, usta, ręce i nogi, a w środku tego wszystkiego działał jego własny, Raladana, rozum. Cokolwiek zrobiła niewolnica reprezentująca właściciela, szło na jego rachunek. Mógł ją bez żadnej przyczyny upiec żywcem, pokroić, a resztki wrzucić do koryta dla świń — ale musiał odpowiadać za wszystko, co zrobiła.

Działało to jednak w dwie strony. Kitar rozmówił się z Laseną dokładnie tak, jak rozmówiłby się Raladanem, perełka zaś ważyła każdą odpowiedź, bo najpierw trzy razy pomyślała, co powiedziałyby jej pan. Jej własne uczucia i chęci nie miały najmniejszego znaczenia.

— Dobrze, wasza godność, każę wskazać drogę do pokoi jej książęcej wysokości. Wypuście ją z tej... skrzyni, a resztą zajmę się sama.

Tak zrobiono.

Raladan, wbrew zapowiedzi, wrócił późnym wieczorem. Miał niezłego konia, ale nigdy nie był dobrym jeźdźcem, ledwie więc zlął z kulbaki. Zamienił kilka słów z żołnierzami, którzy przyjechali razem z nim — miał ich przy boku bardziej dla towarzystwa niż z jakichkolwiek innych powodów — po czym, na zdrętwiałych nogach, wkroczył do twierdzy-pałacu. Strome stopnie budowli napawały go szczerym lękiem, jednak drogą powietrzną dostać się na górę nie umiał. W połowie schodów spotkał idącą na spotkanie Lasenę.

— Zaczekaj, panie — powiedziała.

Niedługo potem stał w drzwiach pokoju, w którym tak niedawno i

dawno zarazem pokazywał córce Kulę Ferenu.

Ridareta siedziała na swoim ulubionym miejscu przed zwierciadłem, lecz nie patrzyła weń. Usłyszała, jak otwarły się drzwi. Zobaczył okropnie spuchnięte, okryte świeżymi strupami usta i paskudny siniak na policzku.

Najpierw oboje milczeli.

— Nic się tu nie zmieniło — powiedziała niegłęboko i trochę niewyraźnie, być może z powodu obrzękniętych ust. — Łóżko, pościel... Lustro, a w skrzyniach moje suknie. Miałam przecież nigdy nie wrócić na Agary?...

Raladan pokręcił głową.

— Co ci się stało? — zapytał.

Zrozumiała, o co mu chodzi.

— Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Uderzyłam się... mniejsza o to. I nie goi się od wczorajszego wieczoru. Takie... — Opuszkami palców dotknęła strupa na wardze. — Takie nic.

— Po tym, co ci ktoś zrobił — rzekł, bo umiał rozpoznać skutki pobicia — zwykła kobieta przez tydzień wygląda jak... No, źle.

— Właśnie. A ja nie jestem zwykłą kobietą, tylko pół-Rubinem. A przynajmniej byłam. Czy zacznę teraz się starzeć? Zbrzydnę? Zwichnę nogę i przez miesiąc będę utykać? Ale ja... Ja już nie umiem tak żyć.

Usiadł tak samo jak kiedyś, na pysznie malowanej skrzyni pod ścianą.

— Po co przypląnęłaś? — zapytał. — Chcesz czegoś ode mnie, Rido? Dobrze, ale nie wiem, czy na wiele się przydam. Coś ty narobiła, dziewczyno?... Wszyscy wiedzą, co się stało na Małej. Wielu ahelczyków miało tam rodziny. Wielu innych wychowuje sieroty, które z wrzaskiem zrywają się po nocach i chcą na oślep uciekać, a przybrane matki płaczą z nimi... Jeśli „Zgniły Trup” pojawi się na horyzoncie, to Ahagaden, nie pytając mnie o nic, weźmie swoje karaki i rozwali go z dział na kawałki, a tych, co wyskoczą za burzę, każe podobijać w wodzie bosakami. Bo jeśli tego nie zrobi, będzie miał do czynienia z mieszkańcami Aheli, a może i częścią własnych zbuntowanych żołnierzy. Po co przypląnęłaś?

Milcząc, patrzyła w jakiś punkt na podłodze.

— Po co przypląnęłaś? — powtórzył.

— Nie wiem. Chyba po nic. Myślałam, że umieram... Tak myślałam.

Potem wyzdrowiałam, ale Kitar już mnie tutaj przywiózł. Chciałam cię jeszcze zobaczyć i powiedzieć, że bardzo cię Kocham, ojciec.

Raladan odwrócił twarz ku drzwiom.

— Wczoraj mi przeszło. Znowu nie chciałam cię widzieć. I wtedy Kitar mnie stłukł. — Zaśmiała się, a zaraz potem pociągnęła nosem. — Lubie, jak mężczyzna mnie stłucze, kiedy sobie zasłuży. Co to za mężczyzna, któremu można gadać, co się chce, a on tylko będzie się gapił? A Kitar to taki mężczyzna jak ty, zupełnie taki sam, wiesz? Prawdziwy mężczyzna. Przypomni mi, jaki jesteś. Że tak samo jesteś mądry, zawsze wiesz czego chcesz i niczego się nie boisz. Ty też potrafiłeś mi przylać, kiedy zasłużyłam — przypomniała. — Zateśniłam do ciebie, bo... ty byłeś ze mną przez całe życie, może i wredne, tylko że ja też jestem wredna... — Pogubiła się; już nie wiedziała, co właściwie chce mu powiedzieć. — Co prawda, już nie umieram, ale lżej mi będzie pływać dokoła Szereru, jeśli już nie będziesz się gniewał. — Prawie się rozpłakała.

Raladan głęboko odetchnął.

— Gniewał... — powiedział strapiiony. — Nienawidzi cię cały świat, Rido.

— I co z tego?

— Jak zwykle: nic. Dla ciebie zawsze nic, Rido.

— Jak maluchy? Ciągłe płaczą po matce? Będę je mogła zobaczyć? — pytała. — Może to już ostatni raz...

— Pomyślę o tym jutro. Dokąd się teraz wybierasz?

— A tutaj nie mogłabym zostać?... Ja nikomu się nie pokażę, to tylko parę dni...

— Z Aheli, Rido. Dokąd płyniesz?

— Do Talanty na Wyspach Barrierowych. Albo do Niskiego Grombelardu, w każdym razie na łowy. Wiem gdzie siedzą, albo będą siedzieć, Przyjęci.

— Skąd wiesz i co wiesz? — zapytał rzeczowo.

Ridareta pozbierała się trochę. Jeszcze raz pociągnęła nosem i wzięła głębszy oddech.

— Powiedziałam, co. Rozpoznam dom w Talancie. A skąd wiem o tym domu? No, tak samo kiedyś wiedziałam, że spotkam cię na Brzegu Wisielców, potem czekałam na dartańskich wydmach... Czasem czegoś

się dowiaduję. Wiem, jak z morza wygląda miejsce na wybrzeżu Niskiego Grombelardu, gdzie warto czekać. To tylko parędziesiąt mil lądu. W tle niewyraźne góry, z lewej strony dymy wioski, chyba dosyć dużej. Zagajnik... Znajdę. Jest ich czterech.

— Przyjętych?

— Tak, ale wiem tylko o trzech. Czwarty jest jakiś dziwny.

— Talanta, zgoda. Ale skąd wiesz, że chodzi właśnie o Niski Grombelard?

— Bo w całym Szererze, patrząc z morza, tylko jedne wysokie góry można mieć przed sobą i po prawej ręce, kiedy czerwone słońce świeci ci w twarz. Może jeszcze na Ostatnim Przylądku, ale tam rzadko jest piękna pogoda.

— A niektórzy mówią, że jesteś głupia — rzekł z uśmiechem.

— Bo jestem. Czasem coś mi tłumaczą cały dzień, a ja dopiero przed zaśnięciem zaczynam rozumieć o co chodziło i... robi mi się gorąco, tak mi wstyd. Albo przypominam sobie co palnęłam i tak samo robi mi się duszno. Ale umiem rozpoznać strony świata i znam całe wschodnie wybrzeże Szereru.

— Był u mnie Brorrok. Mówisz jednak, że przywiózł cię tu Kitar? No to chyba wiesz, jaki pomysł miał stary? Chciał...

— Brorrok nie żyje.

Raladan uniósł brwi.

— Potem ci opowiem — powiedziała. — Podobał ci się jego pomysł?

— Tak sobie. Nie można uciekać i chować się bez końca. Wreszcie cię dopadną, i to zawsze będzie w najgorszych możliwych warunkach. Nie wygrasz, jeśli będziesz bez przerwy się cofać i nie wybijesz przeciwnika z uderzenia. Ale kiedy już stary odpłynął, pomyślałem, że to jednak zbyt ryzykowne. Przyjęci to Przyjęci... Teraz jednak, mówisz, wybierasz się do nich?

— Tak, bo mam ich dosyć.

Myślał.

— To od Brorroka wiem, gdzie ich szukać — dorzuciła. — Takich domów jak ten, o którym wiem, może być tysiąc w Szererze. Jak znaleźć jeden dom, który stoi... gdzieś? Ale skoro wiem, że w Talancie, to go znajdę.

— Że też nie ma z nami Tamenatha... Mógł poczekać trochę z

umieraniem. Zawsze robił wszystko nie w porę. Jak chcesz się do nich zabrać? Wiesz teraz o sobie cokolwiek pewnego? Dostałaś pięścią w zęby, i to się nie goi, a właściwie goi się, ale tak jak u wszystkich... Czyli: można cię teraz zranić, a nawet zabić jak każdego? Co potrafisz?

— Złamać miecz, bo mnie Bohed nauczył. Ale tylko komuś, kto nie pomyśli, że po lewej stronie nic nie widzę. I przy dobrym świetle, bo inaczej ciężko mi ocenić dystans.

— Ano właśnie. A poza tym, Rido, trochę trudniej łamie się miecze, kiedy trzeba naprawdę uważać, żeby ostrze nie weszło ci w brzuch... I to już wszystko, co umiesz? Nie pytam o machanie żelazem.

— Nie wiem. Nie próbowałam. Myślisz, że zawsze mogę podpalić okręt albo dom? Przecież wiesz, że nie zawsze. A niektórych rzeczy już w ogóle nie potrafię.

Skupiona, przeciągnęła paznokciem w poprzek tafli lustra.

— I co? Całe — skonstatowała z namysłem.

— To samobójstwo — ocenił. — Nie możesz się wybrać do Przyjętych, nic o sobie nie wiedząc. To od początku zakrawało na szaleństwo, ale teraz twoje szanse, Rido... Nie masz żadnych szans.

— No to co mam robić? Siedzieć i czekać?

— Siedzieć nie, ale czekać — tak. Czy jest jakiś sposób, żebyś się dowiedziała, co właściwie się z tobą stało? Bezpieczny sposób. Trudno, żebyś na próbę wepchnęła sobie miecz w brzuch.

— Sposób? Jaki może być sposób? Kiedyś moje córki wypróbowały wszystko za mnie, a resztę wytłumaczył mi Tamenath. Mam urodzić Rubinek i zobaczyć, co można mu wydłubać i uciąć, zanim zdechnie? Może i tak — powiedziała — ale nawet jeśli zaszłam już w ciążę... a nie jestem pewna... to trzeba czekać co najmniej ze dwanaście tygodni. O ile będę rodzić o czasie, bo ostatnio...

— Nie wygaduj głupstw. — Nawet dla starego pirata były gdzieś granice makabry i Raladan właśnie otarł się o nie, bo wyglądało na to, że jego przybrana córka snuje swoje rozważania całkiem serio.

Przeraziła się nagle.

— A jeżeli to też się zmieniło? — zapytała nieswoim głosem. — I teraz będę musiała przez dziewięć miesięcy, jak każda?...

Udał, że nie słyszy.

— Tamenath... — powiedział z namysłem. — Może jest ktoś, kto zna

się na Szerni i może coś wiedzieć? Kiedy byliście w Londzie z Tamenathem, mieszkaliście u jakiegoś kupca...

— Ogen. Miał na imię Ogen.

— Był kiedyś pomocnikiem Gotaha, tego przyjaciela Tamenatha, pamiętasz. Stary często mówił o Głupim Gotahu, tym historyku ze skrzywionymi ustami.

— Pamiętam. Ale Ogen... nie. — Teraz ona się zamyśliła. — Ale jest ktoś inny. Kesa. Ona wie o Szerni chyba tyle samo, co Przyjęci.

— Kesa?... — Raladan zmarszczył brwi.

— Wysłanniczka garyjskiego Przedstawiciela. Raladan, przecież ona nie przypłynęła tu po flotę.

Raladan zadumał się. Wreszcie pokiwał głową.

— Więc to tak — powiedział. — Spotkałaś się z nią?

— Spędziłyśmy razem ładne parę dni.

Raladan od nowa zastanawiał się nad tym, co usłyszał.

— Wiesz, gdzie jej szukać? W Doronie?

— W Llapmie, a jak nie, to w... w jednym dartańskim mieście. Czeka... zaraz sobie... Już wiem: w En Anelu.

— Chyba musisz mi o wszystkim opowiedzieć, Rido. Co właściwie się wydarzyło?

— Co się wydarzyło... To rozmowa na całą noc.

*

Wczesnym rankiem niewyspany Raladan wybrał się do portu. Obudził wachtowego, a wachtowy Kitara. Armekańczyk rozkoszował się odzyskanym łóżkiem, w którym pełno jeszcze było długich brązowych włosów. Zezując, jeden taki włos odczepił właśnie od twarzy, bo łaskotał go w czoło i nos.

— Rozumiem, że już się z nią widziałeś? — zapytał.

— Wczoraj — odrzekł krótko Raladan, siadając na tym samym krześle, które sobie upatrzyła Ridareta. Z roztargnieniem wziął do ręki leżące na stole zwierciadełko i bawił się nim przez chwilę. — Wróciłem wcześniej. Powiedziała, że zabierzesz ją na „Trupa”.

— Przypłynie tu za jakiś czas. Zakotwiczy przy północno-wschodnim wybrzeżu, Rida dokładnie wie gdzie. Powtórzyłem jej, co mi powiedział Cichy, i od razu wiedziała wszystko. Masz lepszy pomysł, jak ją zaokrętować?

— Nie.

Raladan podumał i pokiwał głową — zupełnie, jakby przypadł mu do gustu sposób bycia Meveva Cichego.

— Ridareta wygląda tak, jakby miała męża pijaka. Uprzedzam: pobijesz mi dziewczynę jeszcze raz, a inaczej porozma...

— Nie, braciszku — powiedział Kitar. — Co najwyżej sobie pobiję dziewczynę jeszcze raz. To nie jest twoja dziewczyna, tylko moja. A pijakiem nie jestem, więc o przyszłość też możesz być spokojny.

Raladan otworzył usta, zamknął je i na powrót otworzył.

— Coś ci padło na rozum?... Chyba tak.

— Tutaj zgoda — powiedział Kitar. — Daj mi jeszcze trochę pospać, hm? Cumuję w bezpiecznym porcie, a trzy czwarte załogi mam na lądzie. Jeśli teraz się nie wyśpię, to kiedy?

Ale Raladan był ojcem, to zaś oznaczało, że tak łatwo nie przejdzie do porządku nad zasłyszczanymi głupotami.

— Będziesz spał, jak pójdę. Przyczepiłeś się do Ridarety?

— Słuchaj, braciszku, czego ty chcesz ode mnie? Zawsze tak męczyłeś każdego, kto złapał Ridę za tyłek?

— Ty nie jesteś każdy, tylko pies na baby. A odkąd nie ma Brorroka, to jeszcze na dodatek najślawniejszy żeglarz na Bezmiarach.

— Uu? — zastanowił się Kitar. — Mówisz, że najślawniejszy?...

— Jakoś tak.

— Idź już, tatuś, bo naprawdę gadasz... Nie lubię niczego robić byle jak, lubię po armektańsku, czyli ciebie pierwszego poproszę, żebyś poświadczył nasze listy małżeńskie. A teraz daj mi spać.

Raladan naprawdę już zgłupiał.

— Coś ty jej takiego powiedział?

— „Tak”. A wcześniej, że jest najładniejszą dziewczyną na Bezmiarach.

— „Tak”?... Co znaczy: „tak”?

— To znaczy, że mi się oświadczyła, a ja powiedziałem „tak” i ożenię się z twoją córką, wasza księżęca wysokość. Jest piękna jak żadna kobieta na świecie, odważna i wcale nie taka głupia, tylko rozpaprana i leniwa. Myśleć potrafi prawidłowo, tyle tylko że wolno jej idzie. A ja mam czterdzieści dwa lata, zakopaną beczkę pełną złotych krążków, jestem... yyy... najślawniejszy na Bezmiarach i brakuje mi tylko żony, z którą będę

mógł sklecić eskadrę. Zwykła baba od garów i dzieciaków w ogóle się nie nadaje.

— A Ridareta się nadaje?

— Ładnie tańczy i złamała miecz dowódcy moich przybocznych.

— Ładnie tańczy?

— I lubi jak śpiewam. A, i jeszcze ma takie...

— Wiem, co ma; opuść te łapy. Jak długo ty ją znasz?

— Jakieś osiem lat, a od czterech dni bardzo dobrze. Co ty tak gadasz, jakbym chciał się utopić? Chcę się ożenić, a ty zrozumiałeś, że popełnić samobójstwo? Jeśli wylezie z niej jędza, która gotuje, pierze, siedzi w domu i ceruje gacie, to po próbnym roku nie przedłużę małżeństwa. Armekańskie prawo nie jest takie złe, czasem warto je brać pod uwagę.

Praworządny Kitar — to było coś nowego. Raladan zastanowił się, czy w ogóle zna jakiegoś żeglarza spod czarnego żagla, który byłby zgodnie z prawem obabiony. Nikt nie przychodził mu na myśl.

Chociaż... on sam — był.

— Tylko puszczałstwo jej ukróć — rzekł Kitar.

— Ty oszalałeś, Kitarze, a ja nie będę dalej słuchał tych bzdur. Ty i Rida?...

— Uff! — powiedział Kitar. — Czyli już sobie idziesz?

— Idę.

— No to idź, braciszku. Idź, idź.

Raladan wzruszył ramionami i wyniósł się z „Kołysanki”. Nie minęło wiele czasu, jak stał przed czerwoną na policzkach córką.

— Ale kłamca — rzekła z niedowierzaniem. — A ozór ma długi jak baba. I ta załgana świnka powiedziała ci, że się jej oświadczyłam?...

— Nie oświadczyłam mu się?

— No, nawet jeżeli jestem głupia, to chyba nie aż tak!

Raladan odetchnął.

— Czyli nic ci nie powiedział, nawet „tak”?

Przez chwilę patrzyła nań, milcząc.

— Mm? — zapytała. — No nie... „tak” to powiedział. Ale inaczej powiedział.

W Dartanie modne były kiedyś zabawy zwane kalamburami. Raladan dostał kalambur.

— Inaczej? Czyli jak?

— No... — powiedziała czerwona już nie jak róża, ale wiśnia — leżał i patrzył...

— Leżał?

— Leżał — przyznała. — Ale to było już rano — wytłumaczyła szybko; widocznie poranne leżenie górowało nad leżeniem wieczornym. — Leżał i patrzył, a potem powiedział: „Rido... tak?”.

Raladan też patrzył — być może podobnie, jak Kitar. Chociaż, na pewno nie.

— A ja powiedziałam: „mhm”.

— Powiedziałaś „mhm”?...

— Mhm.

Teraz Raladan milczał przez krótką chwilę.

— Z wami jest coś nie w porządku.

— Chyba tak — przyznała zupełnie tak samo, jak wcześniej kapitan „Kołysanki”, i Raladan ugryzł się w język, bo już już gotów był palnąć: „Pomyleńcy, jesteście siebie warci!”.

A skądinąd, rzeczywiście coś w tym było.

— Co ty o nim w ogóle wiesz?

Wzruszyła ramionami.

— Wiem o nim, że... że jestem ciągle sama. Że każdy chce mnie na trochę, ale nikt na zawsze. Mogę być żoną. I mieć męża — zakończyła wyzywająco, a oba słowa zabrzmiały w jej ustach niczym jakieś wyjątkowe tytuły. — Nigdy nie myślałam, że mogę. Że ktoś mnie weźmie z tym... wszystkim.

Raladan wciąż udawał Cichego: patrzył, myślał i kiwał głową.

Część trzecia. Wojownicy

14.

Gotah wylądował ze swym pocztem po południowej stronie Gór Wąskich, czyli w Niskim Grombelardzie. Chciał ruszyć najpierw na północny zachód, a potem przez Sępią Przełęcz — już prosto na północ.

Biała piękność wyciągnęła zeń wszystko — albo może raczej: wszystko już wiedziała, pozostało tylko tłumaczenie niektórych spraw. Kocica słuchała uważnie, choć z wyraźnym wstrętem, bo nie istniał na świecie taki kot, któremu sprawiałoby przyjemność „gdybanie” na jakikolwiek temat. A w nakreślonym przez dwoje Przyjętych zagrożeniu „gdybaniem” było dla niej wszystko. GDYBY Rubin Córki Błyskawic... to PRAWDOPODOBNIIE Feren... a wówczas ZAPEWNE równowaga Szerni... to zaś MOGŁOBY dla toczącej się wojny Potęg mieć opłakane konsekwencje... Na szczęście Strażnik Praw PRZYPUSZCZALNIE... Dowiedziawszy się, że rewelacje Przyjętych oparte są na matematycznych wyliczeniach — dopuszczających, co prawda, pewien margines błędu — złodziejka królowej zamknęła jaskrawozielone oczy i bardzo długo ich nie otwierała. Dla kota matematyka sprowadzała się do czterech najprostszych działań; cała reszta była ulepioną z urojeń magmą.

„Powtórzę wszystko królowej tak dokładnie, jak tylko zdołam” — powiedziała jednak na koniec, ujawniając w ten sposób kolejną kocią cechę, mianowicie wyrozumiałość dla istnienia różnorodnych odmienności; koty rzadko podzielały ludzki punkt widzenia — i równie rzadko wydziwiały nad tym faktem. Świat był, jaki był; należało go przyjąć w całości albo skoczyć z mostu do rzeki. Byle tylko nie próbować nic naprawiać; aż zdumiewająca tu była zgodność sądów istot, które w ogóle nie czuły Szerni, z poglądami Przyjętych — rozumiejących Szerń jak nikt inny na świecie. „Teraz chcę jeszcze wiedzieć, mędrco Szerni, gdzie dokładnie zamierzasz wylądować i jaką drogę do Grombu obierzesz. Czy tę, którą jeździli wszyscy? Pytam, bo być może królowa zechce wysłać kogoś do ciebie z dodatkowymi pytaniami”.

Gotah przedstawił swe zamiary.

Teraz wylądował w Grombelardzie Niskim — a był to kraj przestronny i pogodny, mający więcej wspólnego z Dartanem niż prawdziwym Grombelardem, gdzie niepodzielnie królował wieczny deszcz — i dowiedział się od razu dwóch rzeczy: że królowa rzeczywiście kogoś wysłała oraz że ten ktoś nie ma żadnych pytań.

Mędrzec Szerni Gotah, podstępnie wyrwany kiedyś ze swojej pracowni historyka, obejrzał kawałek świata, o którym pośród kronik i roczników zapomniał — a obejrzawszy, nigdy już do pracowni nie wrócił. Historia, którą zgłębiał, była martwa. Zapisał setki stronic, a każde słowo na nich było przekłamaniami. Wróciwszy do świata, ujrzał w Ciężkich Górach prawdziwą potyczkę i zrozumiał, że w jego opisach przełomowych bitew nie ma słowa prawdy — może tylko liczba poległych się zgadzała. Opatrywał raną dziewczynę — i osłupiał na widok jej ciała, bo wyzbywszy się już niemal wszystkich ludzkich potrzeb, zapomniał, jak wygląda kobieta, a jeszcze bardziej zapomniał, że widok nagiego kobiecego ciała jest dla mężczyzny... co najmniej nieobojętny. Pisał rozprawę dotyczącą hipotetycznego świata, w którym istoty żywe nie miały świadomości istnienia siły sprawczej i zdane były tylko na domysły (nazwał takie domysły „religiami” od starogrombelardzkiego *rhel'eghon* czyli „pocieszanie konającego”), po czym odkrył, że nie filozofem, a najwyżej głupcem i pyszałkiem jest ktoś, kto pisze rozprawę, choć nigdy w ciemnym zaułku nie walczył na pięści z opryskiem. Pewnie można było bez tego zostać wielkim matematykiem, ale nie historykiem-filozofem, snującym rozważania o świecie i kształtujących go istotach. Pierdoły. Wypisywał zawieszane w próżni pierdoły, nie mające znaczenia dla nikogo, co najwyżej dla drugiego takiego popaprańca, jak on sam. Gdy zebrało się dwudziestu takich przyków, to tworzyli dziedzinę nauki i wymyślali dla niej różne zastosowania, chociaż było właściwie tylko jedno: otóż owa dziedzina nauki dawała zajęcie dziadkom mającym robaki w głowie, tak jak inni mieli je w tyłku. Otworzywszy oczy, Gotah wreszcie zrozumiał, dlaczego najznamienitszy z Przyjętych, Wielki Dorlan, bardziej był łazęgą niżli dziejopisem. Zrozumiawszy Dorlana, Gotah uciekł od opracowań i traktatów, z niezłomnym postanowieniem, że wróci dopiero wówczas, gdy dowie się czegoś o czymkolwiek. Los był dla niego łaskaw: w

niezmiernie krótkim czasie ujrzał *lah'agar*—Podróżnik rozpad całej prowincji imperium, potem wielką wojnę, w wyniku której oderwana została następna prowincja, największa i najbogatsza. Sypiał w obozach wojskowych; stał u boku dziewczyny, która z nędzy sprzedała się kiedyś w niewolę, najpierw była zwykłą praczką, potem bajecznie bogatą dziedziczką największego majątku Szereru, a wreszcie królową mocarstwa — i zobaczył, co może kierować istotą zmieniającą porządek świata. A na koniec poznał jeszcze jedną niewolnicę, w której coś chyba obudził, bo Szerń wkrótce uznała ją za żywy symbol swych treści, on sam zaś — za połowę siebie. Przynajmniej jeden traktat gotów już był napisać: mianowicie bardzo dokładnie wiedział, ile wart jest świat, cała jego historia i przyszłość, wszyscy jego mieszkańcy razem wzięci, o Pasmach Szerni nie wspominając. Otóż warte były dokładnie tyle, ile jeden włos z głowy Keszy.

Uzbrojony w tę wiedzę Przyjęty bardzo, ale to bardzo spokorniał. Wyszło mu, że dopóki istoty rozumne podlegają tak potężnym uczuciom, pytania o naturę spraw niekonkretnych, a za nimi filozofie próbujące opisać i uporządkować świat, będą miały wartość starczego marudzenia w rodzaju, że „kiedyś to młodzież była inna”. Już nie chciało mu się pisać o „religiach” ani innych wydumanych problemach. Zstąpił był do świata prawdziwego.

Takie właśnie myśli — co prawda, w wielkim skrócie — przemknęły mu przez głowę, gdy na miejscu lądowania, w cieniu malutkiego zagajnika, ujrzał zwarty szyk trzydziestu żołnierzy. Ludzie ci mieli narzucone na kolczugi granatowo-zielone tuniki, na których wyhaftowano czerwoną koronę wieńczącą dębowe liście. Były to barwy i herb Domu K. B. I. Gotah miał wrażenie, że cofnął się w czasie o kilka lat i trafił na wielką polanę w największej kniei Szereru, gdzie domu strzegli tak właśnie wyglądający ludzie. Oto oddawali mu honory najlepsi żołnierze Dartanu, przyboczna gwardia królewska, pałacowa straż monarchini. To nie byli wojacy na pokaz. Potrafili bić się pieszo lub konno, jako średniozbrojna jazda, ciężka lub strzelcza piechota. Kiedyś było ich tylko stu, ale odkąd ich pani dodała do książęcego tytułu tytuł królewski, znacznie pomnożono ich liczbę. Mówiono, że każdy z nich mógł stanąć za pięciu, i raczej nie było w tym przesady.

Lecz największa niespodzianka czekała nań kilkanaście kroków

dalej, w cieniu brzoź, oparta o jeden z białych pni.

— Wasza godność — powiedziała niespodzianka, przymykając na chwilę oczy, by ukryć błysk szelmowskiej radości.

Przyjęty przeraził się i rozpromienił zarazem.

— Hayno!...

Podbiegła i najzwyczajniej w świecie rzuciła mu się na szyję.

Było dla Gotaha zagadką, w jaki sposób ta serdeczna i wrażliwa dziewczyna, użalająca się nad losem poranionych w bitwie koni, karmiąca zimą ptaki, nie znosząca łowienia ryb na haczyk („bo to je musi boleć...”), spiesząca każdemu z pomocą, wiecznie rozgadana i wesoła, mogła być jednocześnie bezlitosną machiną do zabijania.

Czarne Perły udało się wyhodować w jednym z armektańskich domów niewolniczych; potem tajemnicę chowu odkupiły jeszcze dwa czy trzy inne. Zawsze istniał popyt (szczególnie w Dartanie) na niewolne przyboczne strażniczki — głównie dla fasonu. Popyt ten łatwo zaspokajano. Znacznie, znacznie droższe, ale równie łatwo dostępne były Perły. Ale jednego z drugim nijak połączyć nie umiano. Każda Perła potrafiła posłużyć się bronią na tyle, by w razie konieczności stanąć w obronie właściciela — a z każdą strażniczką dało się zamienić parę słów; musiały być niezbyt głupie i co najmniej niebrzydkie. Lecz wyhodowanie naprawdę sprawnej gwardzistki, godnej zarazem certyfikatu Perły, przerastało możliwości niewolniczych przedsiębiorstw. Nauka czterech głównych języków Szereru, historii, matematyki, praw zwyczajowych i pisanych, czytanie poezji i sag armektańskich, do tego jeszcze muzyka i taniec — to w ogóle nie chciało się łączyć z bieganiem po lesie, pływaniem, wymachiwaniem włócznią, sztyletami i mieczem, strzelaniem z łuku, hartowaniem do znoszenia najwymyślniejszych niewygód i bólu, brutalnymi bójkami na pięści — bo strażniczka najwyższej próby musiała znać także sztukę walki gołymi rękami. Próby pożenienia ognia z wodą owocowały wyszkolonymi do boju pięknosciami, które w razie niebezpieczeństwa obezwładniał strach przed blizną na twarzy, albo szorstkimi wojowniczkami, których wykształcenie i ogłada łuszczyły się niczym cienka warstwa pozłoty. Od samego początku — czyli od poczęcia — rzecz była niezmiernie trudna. Niemowlę z zadatkami na Perłę pochodziło ze specjalnej pary rozplodowej, ale oczekiwano tylko kobiety rozumnej i nieprzeciętnie

urodziwej, poza tym mogła być filigranowa albo bujnokształtna; wysoka i szczupła bądź nieduża, ale za to o miłej dla oka, obfitującej w kobiece krągłości sylwetce... Nabywcy mieli bardzo różne gusty. Tymczasem niewolnice do walki musiały po prostu być silne. Bardzo urodziwe, ale co najmniej średniego wzrostu i wagi, o solidnych udach i bynajmniej nie wiotkich ramionach, krótko mówiąc: o budowie — na kobiecy sposób — atletycznej.

I komuś się wreszcie udało.

Nigdy nie były tak solidnie wykształcone i dobrze ułożone, jak prawdziwe Perły. Kosztowały też trochę mniej, bo jednak przede wszystkim były wojowniczkami — a w spokojnych czasach „wiecznego pokoju” w granicach Wiecznego Cesarstwa rynek okazał się płytki i popyt szybko zmaleł. Przyznawano im jednak certyfikaty niewolnic najwyższej próby. Nazywano Czarnymi Perłami i opowiadano najwymyślniejsze historie o tym, skąd się brały. W każdej miała płynąć jedna ósma krwi stepowej pantery... Albo płodzono je pod niebem Aleru. Albo jeszcze ich matki pojono specjalnym wywarem o tajemniczym składzie... Gotah podejrzewał, że najbliższe prawdy mogło być to ostatnie. Oczywiście to nie dobór pary rozplodowej był decydujący, ani to, co piła bądź jadła brzemienna niewolnica. Wymyślono wreszcie (pewnie pomógł przypadek) odpowiednie metody chowu — i tyle. Ale jednak coś tym dziewczynom — albo ich matkom — robiono. Czarne Perły były bezpłodne, wszystkie bez wyjątku. Nigdy nie słyszano, by któraś z nich zaszła w ciążę, co — pomimo licznych środków ostrożności, przedsięwziętych dlatego, że ciąża psuła sylwetkę i mogła pozostawić na klejnocie trwałe skazy — zdarzało się czasem w przypadku zwykłych Pereł.

Gotah dowiedział się tego od Keszy. Wcześniej nie miał zielonego pojęcia o sekretach niewolniczego rynku.

Uwieszona na jego szyi dziewczyna była Czarną Perłą królowej — być może najdroższą i najlepszą, jaką kiedykolwiek zdołano wyhodować. Uzyskała certyfikat o wiele szybciej niż jakakolwiek inna Czarna Perła. Najbogatszy człowiek Szereru kupił ją kiedyś za niebotyczną sumę, z myślą o bezpieczeństwie dziedziczki swych rodowych monogramów, której przeznaczeniem — wierzył w to głęboko — było zostać królową mocarstwa.

Hayna.

A może lepiej jednak Delara, ostatnia z Cór Szerni. Dowódczyni wojsk Rollayny, najstarszej z Trzech Sióstr, półlegendarnej królowej zjednoczonego pod jednym berłem Dartanu. Córka Błyskawic — według dartańskiej legendy stanęła na ziemi Szereru, gdy szalała niezwykle silna burza. Ofiara czerwonej mocy Rubinu o imieniu Riolata, który zniszczył jej życie, uczynił zdrajczynią i zaprowadził na plac strasznej kaźni, skąd zniesiono kalekie, obłąkane zwierzę. Mające żyć dalej jako przestroga i dowód sprawiedliwości królowej, która nie cofnęła się przed ukaraniem siostry, lecz zarazem umiała się zdobyć na okazanie łaski.

Według jednej z wersji legendy to nieszczęsne kalekie zwierzę znalazło w sobie jeszcze dość siły, by pokonać przeklęty Rubin i oddać życie w obronie królewskiej siostry.

Jedna z bram dartańskiej stolicy nosiła imię Delary — przywróconej do łaski i chwały.

Hayna była odbiciem Trzeciej Siostry. Jej niedoskonałym i niepełnym wcieleniem. Może tylko dalekim echem?... Gotah bardzo, bardzo chciał w to wierzyć. Ale z Twierdzeń Tamenatha wynikało zupełnie co innego.

*

Noc była pogodna i ciepła. W cieniu zagajnika, przy ogniskach, żołnierze przerzucali się żartami. Gotah wiedział co nieco o uczuciach mieszkających w sercach takich ludzi, dlatego przy pierwszej sposobności bardzo głośno wyraził wdzięczność królowej, która mu przysłała najświetniejsze wojsko — i równie ostentacyjnie podniósł zalety swych najemników, ludzi zuchwałych i bitnych, gotowych udać się z nim na kraj świata. Opłaceni przez niego wojownicy nie mogli poczuć się zbędni, zepchnięci w cień; Przyjęty potrafił dobrać słowa i nie obrażając nikogo — wprost przeciwnie — upewnił swoich wojaków, że to oni są jego przybocznym wojskiem, a królewska gwardia ma ich tylko wesprzeć, nie zastąpić.

Zyskał uznanie w oczach Hayny, która równie dobrze — jeśli nie lepiej — wiedziała, co czasem musi zrobić bądź powiedzieć dowódca. Teraz, przy osobnym ogniu, Przyjęty czytał list, doręczony przez pierwszą gwardzistkę królowej:

Jego Godność Gotah-lah'agar

Powiernik Królowej

w podróży

Mędrcze Szerni!

Czas mija szybko, ale wciąż pamiętam każde słowo skierowane przez Ciebie do dziewczyny, która w środku największego lasu Szereru pytała o swoją tożsamość. Mówiłeś o Szerni, o marzeniach pokoleń rycerzy i o przeznaczeniu.

Ufam Ci.

Keness. Baven. Iss. Ezena

królowa Dartanu

księżna Zachodnich Wybrzeży

pani Dobrego Znak

Jej królewska wysokość miała bardzo niewyszukane, proste i czytelne pismo — litery wyglądały trochę tak, jakby nakreśliła je ręka dziecka. Dziwnie to wzruszyło Przyjętego — ta dziewczyna uczyła się czytać od armektańskiego wędrownego bakałarza, który na kilka miesięcy zawitał do jej wioski; sztukę pisania poznała jeszcze później, zresztą nie wiadomo gdzie, być może dopiero w Dobrym Znak. Króciutki list, napisany jej własną ręką, zawierał jednak o wiele więcej treści, niż kryły słowa. Przypomniano Gotahowi, że jest *vanasaney*, powiernikiem królowej — był to tytuł honorowy noszony przez wielu, niemniej zaszczytny i obligujący. Bardzo szczególną wymowę miał podpis. Mędrzec Szerni został wyróżniony w sposób najzupełniej wyjątkowy: pełnymi imionami rodu posługiwano się niemal wyłącznie w najbardziej prywatnej i poufnej korespondencji. Mało tego: używanie pełnych imion zamiast monogramów zastrzeżone było właściwie tylko dla członków rodziny... Potężna dartańska *vana*, kładąc taki podpis postawiła się — świadomie przecież — w pozycji pewnej podległości wobec mądrego człowieka, któremu dużo zawdzięczała. Bardzo mocno podkreśliła łączącą ich zażyłość; było trochę tak, jakby podpisała się „Ezenka” albo „Eza”.

— Co powiedziała Jej królewska wysokość, posyłając cię w drogę?

— Nic. Rozkazała mi wybrać najlepszych żołnierzy z gwardii i oddać się z nimi pod twoje rozkazy, wasza godność. Wiem, że idziesz do

Grombelardu. Armektanka... mmm... cesarzowa zgadza się, a nawet żąda, by dartańscy żołnierze pilnowali porządku w tej prowincji Wiecznego Cesarstwa.

„Armektanka”. A więc tak na dworze Ezeny mówiło się o Najgodniejszej Cesarzowej... Armektanka zgadzała się, a nawet żądała. Oczywiście. Formalnie zwasalizowany Dartan miał obowiązek wystawienia kontyngentu wojsk na żądanie Kirlanu. Wywiązywał się z tej powinności... nieskwapliwie.

Ale Gotah myślał przede wszystkim o tym, że pewna mądra kobieta w dartańskiej stolicy, słuchająca raportu śnieżnobiałej służki, zapanowała nad wszystkimi uczuciami, a mogły być wśród nich gniew, oburzenie, urażona duma... O dotyczących jej sprawach zdecydowano bez niej. Ale nikomu nie zdradziła tajemnicy. Anessa i Hayna o niczym nie wiedziały. Mało tego; królowa przebaczyła i bez reszty zaufała Przyjętemu — tak, jak napisała w liście.

— Pokłóciłyśmy się — dodała Hayna. — Moje miejsce jest pod drzwiami jej sypialni.

Gotah uśmiechnął się, bo z Czarną Perłą królowej w takich sprawach nie było żartów. „Pokłóciłyśmy się”... Wierzył.

A jednak kłótnia zdała się na nic i Gotah domyślał się przynajmniej jednej z przyczyn. Wrażliwa i wierna Hayna rozplakałaby się chyba — a może i zrobiła sobie coś złego — na wieść, że królewska przyjaciółka jej... nie ufa. Korzystając z wygodnej okazji, oddaliła od swej osoby odbicie zdrajczyny Delary...

Siedząc przy wesoło trzaskającym ogniu, Gotah z zadumą spoglądał na sięgające ramion kasztanowe włosy Perły, które przy tym świetle wydawały się czerwone. Mocnym fuknięciem odrzuciła spadającą na oczy grzywkę i uśmiechnęła się. Przyjętemu naraz wydało się niemożliwe, by w tle tej pięknej nocy i tych ognisk, przy których podśpiewywali żołnierze, istniały Rubiny mogące zburzyć świat; toczyły się zmagania gigantycznych potęg; wzbierały pomruki nadchodzącej wojny światowej, w której wezmą udział wszystkie kraje i ludy Szereru... Chciałby tak siedzieć i rozmawiać o niczym z miłą i śliczną Hayną, powspominać dawne dzieje, potem wrócić do domu i spierać się z żoną o to, jakie znaczenie dla Wiecznego Cesarstwa miał edykt o osadnictwie na prawie północnym.

Grombelardzko-dartańskie pogranicze od pewnego czasu nie było miejscem spokojnym, więc zarówno Gotah, jak i Hayna wystawili wokół biwaku strażę. Nigdy się nie dowiedzieli, co spotkało tych wartowników.

Doborowych gwardzistów królowej niemal wymordowano, zanim zdążyli chwycić za broń. Gotah słyszał, że piraci z Wysp podpalali wrogie żaglowce, ciskając na pokłady naczynia z płonąca oliwą — teraz mógł sprawdzić, jak działają takie zapalające bomby. Tuż przy nim upadł i odbił się od ziemi mały gliniany garnuszek, który nie trafił w ogień — ale kilka innych trafiło, a musiały zawierać proch. Z hukiem wyleciały w powietrze trzy czy cztery ogniska żołnierskie, zaraz potem na suchej trawie wylądowały liczne worki, z których rozlała się i rozbryznęła tłusta ciecz. Skraj zagajnika od razu stanął w płomieniach; wrzeszcząc, tarzali się i biegali ogarnięci nimi ludzie. Ze świstem jęły nadlatywać strzały, kłusząc ziemię, ludzkie ciała, bagaże i ekwipunek żołnierzy — a pod ten deszcz pocisków, wypuszczanych z bezbrzeżną pogardą dla życia własnych towarzyszy, biegiem wpadła przeogromna sfera pomyleńców, pragnących chyba tylko ponadziewać się na miecze obrońców. Gotah widział kiedyś podobny atak — w Ciężkich Górach, gdy wataha rozbójników, na złamanie karku pędząc w dół stromizny, wpadła na żołnierzy. I błysnęła mu w głowie krótka myśl, że żołnierze — prawdziwi żołnierze — nigdy nie sprostają zgrai zwierząt, którym nie chodzi o żołąd, chwalebna służbę ani jakąś ideę. Dla większości żołnierzy, niechby doborowych, wojna była pracą, której chętnie — jak wszyscy inni ludzie — uniknęliby, byle tylko wypłacano im pobory; żołąd można przecież pobierać, siedząc w garnizonie, a po służbie popijając grzane piwo w karczmie. Lecz dla zwierząt z pirackich żaglowców rzezie jawiły się niemal sensem życia, koniecznością, bez której nie było zdobyczy, a zarazem przyjemnością i nagrodą za tygodnie ciężkiej pracy przy żaglach. Smakowała ta nagroda poniżeniem i hańbą wrogów, cudzym bólem i krwią. Żgające mieczami półzwierzęta miały oto szansę dowieść swej wartości — i wyższości, co na żadnym innym polu udać się nie mogło.

Dygotała ziemia, po której pędził tabun obdartych, czasem półnagich, wywijających wszelką możliwą bronią napastników. Z rykiem kilka setek piratów przewaliło się przez obóz, przewracając gwardzistów i Gotahowych najemników, wpadając wraz z nimi w resztki ognisk,

tratując się, chwytając przeciwników wpół, czasem najdosłowniej nabijając się na ich miecze. Wódz, który podczas regularnej bitwy w polu umiałby nakłonić podkomendnych, by uderzyli z podobną furją, bez wątpienia mógłby pobić czterokrotnie silniejszego wroga. Gotah na własne oczy ujrzał draba, który skupiony w sobie niczym kula, wystawiwszy do przodu grot włóczni, nie zwalniając pędu, przebił nią żołnierza — ale i barującego się z nim towarzysza, bo w ogóle nie przyszło mu na myśl, że warto liczyć się z życiem kamrata. Upadł pirat, trafiony w kark strzałą wypuszczoną gdzieś spoza kręgu światła. Ale przecież w tej bezładnej rzezi kryła się mądra taktyka: rozbójnicy nie umieli walczyć w szyku, ramię przy ramieniu, osłaniając się wzajemnie i wspierając; chaos był ich sprzymierzeńcem.

Przyjęty oglądał to wszystko z pozycji leżącego na trawie półtrupą; bardzo chciał się poruszyć, ale nie mógł. Cokolwiek mu zrobiono — nic nie poczuł, albo raczej nie potrafił nazwać tego, co poczuł. Ból?... Lecz krótki jak mgnienie, zbyt krótki, by go ocenić. Gotah raczej odgadywał, niż wiedział, że w ustach ma pełno krwi, a brak czucia w ciele i niemożność poruszenia nogami jest, być może, skutkiem złamania kręgosłupa. Pełzł ku niemu płomień, chciwie chwytający każdy żer, liżący już skraj tłustej plamy obok niestratowanego jakimś cudem ogniska. Gotah widział garść gwardzistów, którzy zabijali napastników z wielką sumiennością i spokojem, chciałoby się rzec: akuratnością. Ci ludzie blokowali cios i wysuwali ostrze w kontrataku — dwa ruchy, po których na ziemię zawsze osuwał się trup. Dojrzał jeszcze w świetle licznych ogni obraz niewiarygodny, mianowicie pijaną ostatnim tańcem, schłapaną krwią dziewczynę, która chyba powinna być już martwa — a nie była. Pokaleczone ramiona wciąż trzymały lekką włócznię o długim tnącym grocie, lecz oręża prawie nie było widać, bo rozmazany w nieustannym ruchu malował ostrzem srebrzyste wachlarze w powietrzu. Na otwartej i równej przestrzeni była to broń straszna, pozwalająca trzymać wrogów na dystans. Wojowniczkę z włócznią próbowało dostać co najmniej kilku — bo może i dziesięciu — rozmaicie uzbrojonych napastników, ale zawsze zdążyła zejść z linii ciosu, odbierając skaleczenia zamiast ran; otarcia zamiast łamiących kości uderzeń. Nadbiegali następni. Przetaczała się po ziemi, by natychmiast znów stanąć na nogach, wygiąć ciało w niemożliwy sposób, przepuszczając nad tułowiem lub z boku

ostrze miecza i pchnąć albo ciąć ostrzem włóczni — a wówczas przeciwnik chwycił się za tryskającą krwią tętnicę na szyi bądź wypuszczał broń i przyklękał, zaciskając dłońmi ranę w tułowiu. Znów wymierzyła błyskawiczne pchnięcie — i Gotah zobaczył, że trafiony w brzuch napastnik jest kobietą.

Hayna szarpnęła włócznię, a tamta zawyła jak zwierzę, upuściła trzymany w ręku oręż i w tym samym momencie chwyciwszy broń Perły, szarpnęła w drugą stronę, nawlekając się na ostrze rozpedzonym ciałem. Hayna zastygła na chwilę — i to była ta krótka jak mgnienie oka chwila, której miało jej zaraz zabraknąć... Nadziana niczym robak na patyk przeciwniczka, wciąż skowycząc, wykonała gwałtowny półobrót, łamiąc drzewce. Przyjęty widział okrwawione, sterczące z jej pleców ostrze, gdy rzuciła się na gwardzistkę królowej, która z niesłychaną szybkością zeszła jej z drogi, smagnęła przez łeb odłamkiem włóczni, po czym przechwyciła rękę atakującej i zwichnęła bądź złamała ją w łokciu. Ale trwało to wszystko jedną chwilę za długo: otoczona przez wrogów Czarna Perła podcięła komuś nogi, wbiła ułomek włóczni prosto w gębę wojowniczo ryczącego dryblasza, ale za plecami miała jeszcze draba z mieczem i nożem, który to nóż z miejsca wszedł w jej plecy. Przebita włócznią kobieta klęczała na ziemi trzymając się za bezwładną rękę. Z rozciętego ucha ciekła jej krew. Wrzeszczała jak opętana, i to chyba na skutek tego krzyku opuszczono ostrza, już wzniesione przeciwko rannej gwardzistce królowej. Wyprężona i wygięta w łuk, nadziana na nóż Hayna, z odrzuconą do tyłu głową i okiem zalany krwią wypływającą z rozciętego łuku brwiowego, stała na słabnących nogach, z szyją zgniataną przedramieniem mężczyzny, który miał ją na ostrzu. Klęcząca przed nią pokrwawiona kobieta chwiejnie dźwignęła się na nogi, krzycząc z bólu, wzięła zamach i po babsku trzasnęła Czarną Perłę w pysk, ale siła tego ciosu na pewno nie była babska — Gotah niemal widział, jak pęka skóra na kości policzkowej; uderzenie zważyło Haynę z nóg.

— Doo... stuu... suuk!!! — zawyła zwyciężczyni, krótkimi szarpnięciami wrywając pogrążone w ciele drzewce. — Aaa... haaaa!!!...

Wyrwała. Zatoczyła się i upadła.

Znowu drżała ziemia — to pędzili łucznicy i kusznicy, mający nadzieję, że coś jeszcze dla nich zostało; Gotah czuł to drżenie pod

zimnym od murawy policzkiem. Odzyskał część władzy w ciele, ale jednocześnie obudził się ból — tak dotkliwy i przejmujący, że Przyjęty zdążył tylko uświadomić sobie, co i kogo przed chwilą zobaczył: tarczę Szerni łamaną przez topór Wyklętych Pasm; Delarę po raz drugi w dziejach wydaną na pastwę czerwonego Geerkoto. Jeśli modele Yolmena były cokolwiek warte — to właśnie gdzieś tam, na górze, wyszczerbiony został Feren. Nadwątlony niczym wielka tama, trzymająca na barkach skłębione masy wody.

Gotah dostał przypadkowego kopniaka od biegnącego pirata, drugi przebiegł mu po plecach. Ból był taki, jakby całe ciało miażdżył młyński kamień.

Przyjęty wyrzucił z ust krew, spazmatycznie zacisnął pięści i zapadł się w nieświadomość.

15.

Nie mogąc obejrzeć własnych pleców, Gotah mógł się tylko domyślać, że na karku ma siniak wielkości męskiej dłoni — było to dzieło Nellsa, który chętnie używał okutej żelazem maczugi, bo gruchotała gnaty, czyniąc wrogów niezdolnymi do walki, ale długo jeszcze mogącymi cierpieć. Gotah, choć silny i raczej żylasty, był tylko człowiekiem, nie żubrem; cios odebrał mu władzę w ciele i — prawdopodobnie — uratował życie. Gdyby nie wyglądał jak zabity, następny biegnący pirat zdzieliłby go już nie pałą, a toporem bądź mieczem.

Z trudem powstrzymując się od jęków i pokaślując krwią, Przyjęty oglądał wstrętne pobojuwisko, z którego nikt najwyraźniej nie zamierzał uprzątnąć trupów. W świetle pięknego świtu widać było osmalone drzewa, a niżej wielkie place wypalanej trawy, stykające się z plamami zakrzepłej krwi. Wszędzie trupy, a w powietrzu smród — Gotah widział już kilka pobojuwisk, więc zmieszany fetor krwi, uryny, kału i treści rozszarpanych jelit nie był dla niego niespodzianką. Korzystając z dziennego światła, zwycięzcy mogli wreszcie poobdzierać poległych, co czynili jak najsumienniejszy; uwijały się przy tej pracy dobre dwie setki ludzi. Przydawało się wszystko, nawet dziurawe, pokrwawione szmaty, które już trudno było nazwać odzieniem; na trawie porzucano nagie

zwłoki. W zatoce, obok zdobytego żaglowca, na którym Gotah przypląnął ze swym poczem, zakotwiczyły dwa inne, a trzeci, dużo większy, trochę dalej. Zza cypla wysuwał się czwarty. Jakieś łodzie pływały w tę i nazad, przywożąc na brzeg różne rzeczy — głównie chyba prowiant i napitki — zabierając zaś rannych.

Kilkunastu pólżywych jeńców, pirackim obyczajem powieszonych za nogi, konało na drzewach. Była między nimi Czarna Perła.

Nad morzem słońce uniosło już całą tarczę nad horyzont, gdy do Gotaha przysła — albo raczej przywlokła się z trudem — widziana w nocy kobieta. Nie miał wątpliwości, kim jest. Jednooka księżniczka Riolata Ridareta, pół kobieta, pół Rubin. Ta, której szukał i którą znalazł.

Ujętą w łubki i obwiązaną rękę zawieszoną miała na zielonej chustce, opasującej szyję. Podarta koszula i szarpie pod nią były przesiąknięte krwią; z wiedzy Gotaha o budowie ludzkiego ciała wynikało, że piratka ma przebitą wątrobę, od strony pleców zaś — nerkę. Wyglądała potwornie, bo nie przyszło jej dotąd na myśl, że warto się umyć po walce. Włosy z lewej strony nie tyle były włosami, co wielkim strupem zakrzepłej krwi; brudna twarz została co najwyżej wytarta jakąś szmatą, być może rękawem koszuli. Co najmniej dziwnie wyglądały na tle tego kosztowne naszyjniki i wisiorki, na palcach zaś pierścienie... W nocy chyba tego nie miała. Teraz nie uznała za stosowne umyć się z brudu i krwi, ale za to powsuwała na palce i zawiesiła na szyi ozdóbki...

— Nie wiedziałam jak sprawdzić... a sprawdziło się samo... — rzekła urywanie, raczej osuwając się na ziemię, niżli na niej siadając. — Goi się wolniej niż kiedyś... tak wolno, jak chyba u każdego. Ale goi się wszystko... i zagoi zupełnie, tak jak usta. Nells mówi, że suka przebiła mi wątrobę... i powinnam już nie żyć. A on wie, co mówi.

Zmęczona, zwiesiła głowę.

— Czterystu ludzi na siedemdziesięciu — powiedziała po chwili. — Strasznie dużo to kosztowało. Ale jakoś mi się zdawało... że będzie was tu więcej. Odezwij się do mnie, mędrco Szerni. Wiesz, kim jestem... a ja o tobie też wiem. Poznałam cię. Tamenath dużo mówił o Szalonym Gotahu.

Dźwignęła głowę i popatrzyła na jeńca. Coś było nie tak z opaską na oku, może się rozluźniła, bo właścicielka sięgnęła zdrową ręką i ściągnęła ją. Gotah ujrzał straszliwie oszpeconą twarz — nie tylko

brakowało oka i dużej części powieki, ale jeszcze wokół oczodołu widniały paskudne, bardzo źle przed laty wygojone blizny. Tej rany nikt nie opatrzył; mięso pozrastało się krzywo, byle jak. A potężny Rubin widocznie nie chciał uznać tego za ranę, bo zjawił się dużo później, gdy już raną nie była. Jeśli Kesa miała rację, to siedząca przy nim nieszczęśnica sto razy próbowała zmusić czerwoną moc, by oddała jej oko, albo chociaż wygładziła potworne ślady wokół pustej jamy. Tymczasem, choć błyskawicznie odrastały włosy, powiększyły się piersi, niemal na zawołanie szczupłała kibić — stara rana wydawała się należeć do innego ciała i świata.

To się łatwo mówiło: jednooka księżniczka. Ale Gotah właśnie dodał do swej wiedzy o świecie kolejny mały kawałek. Myślał o tym, co poczuła szesnastoletnia dziewczyna, porwana przez piratów z wioski, gdy wreszcie mogła spojrzeć w zwierciadło... Chyba wiedział — i przeraził się.

Ridareta zdała sobie sprawę, że jedną ręką nie zwinie opaski od nowa, a tym bardziej nie zawiąże na głowie.

— Hej! — krzyknęła przez ramię i skuliła się, przeszyta bólem. Ostrożnie zaczerpnęła tchu.

Przybiegł jakiś pokurcz bez zębów.

— Kapisana? — wyseplenił.

— Zawiąż mi.

Marynarz, przygniatając język dziąsłami (bo przecież nie przygryzając...), z ogromną starannością spełnił polecenie. Gotah dostrzegł zieloną szmatę na nadgarstku pokurcza i zdał sobie sprawę, że to chyba coś oznacza. Wielu nosiło takie szmaty.

— Odezdziesz się do mnie czy nie, wasza godność?

— Ale co miałbym mówić, wasza wysokość? — zapytał z niejakim trudem. — Oboje wszystko wiemy. Nic nie ma do powiedzenia.

— Chłopcy mi opowiadali, że jeden z was przyszedł okryty kamienną skórą... Raladan mówił: „Uważaj, to są jednak Przyjęci!”. Co z wami? Naprawdę nic nie umiecie?

— Ja nie umiem i nie chcę umieć.

Pokiwała głową.

— A chciałam być taka odważna — powiedział z goryczą, i to chyba nieudawaną. — Pomyślałam: niech się dzieje, co chce. Jak mi urwie łeb,

no to urwie i przynajmniej wszystko się skończy. Jeszcze przed chwilą tak myślałam, a moi oficerowie mówili: „Nie idź do niego, kapitana! To jest jednak Przyjęty”. Napatrzyli się, jak podpalam żagle na okrętach, i myślą, że Przyjęty potrafi to samo, a może nawet więcej. Powiedziałam im... — Chyba znowu ją zabolalo, bo zagryzła usta i podjęła dopiero po długiej chwili: — Powiedziałam: „Nic mi nie zrobi”. Skąd miałam wiedzieć, że nie kłamię?...

Patrzyła wyczekująco.

— Pokaż, co potrafisz. Zrób mi coś, mędrco Szerni, albo cię skopię jak psa. I po tym kopaniu niczego już nie będzie.

— Ty mnie skopiesz, Ridareto? Czy Riolata?

Wyczekujące spojrzenie przemieniło się w spojrzenie szydercze.

— Riolata... Jakby miała głowę, tobym mogła jej na nią nasrać — skwitowała i było coś bardzo paskudnego w zderzeniu świętego garyjskiego, jakim się posługiwała, z rynsztokowym słówkiem. — Nie, Gotahu-Przyjęty... Gdyby każdy z brzydką częścią siebie miał tylko takie problemy, jakie Ridaretka ma z Riolatką... Bardzo niewiele muszę dla niej robić, a to co muszę, to są rzeczy... — Przestała się uśmiechać i na chwilę popadła w zamyślenie. — Dla ciebie może dziwaczne, ale złe? Bo co jest złego w tym, że na własnym pokładzie każę się stłuc batem do krwi?

— Mówisz mi, księżniczko, że Rubin nie ma nad tobą żadnej władzy?

— Rzeczywiście prawie żadnej, wasza godność. To COŚ bardzo wiele proponuje, ale mało potrafi wymusić. Przypomina pokusę, a pokusy ma każdy. I panuje się nad nimi albo nie. To nie moje słowa — wyjaśniła. — Powtarzam coś, co powiedziała pewna bardzo mądra kobieta, piękna blondynka, która wam pomaga. Opowiadałam jej o sobie, o Riolacie, a ona wszystko rozumiała i potrafiła nazwać. Najbardziej zapamiętałam to o tych pokusach.

— Potrafisz te pokusy przezwyciężyć?

— Jeśli chcę. Ale nie zawsze chcę.

— Wasza wysokość... — teraz zadrwił Gotah. — To przypomina słowa pijaka, który twierdzi, że przestałby pić, gdyby tylko chciał. Ale nie chce.

Zamyśliła się.

— Mój ojciec nie mógł oddać mi pod rozkazy agarskiej floty, bo Agary mnie nienawidzą — powiedziała po pewnym czasie — Ale dał mi

złoto. Za bardzo duże pieniądze kupiłam sobie pomoc kilku pirackich kapitanów, którzy chcą mieć w Aheli macierzystą przystań i niewiele więcej ich obchodzi. Czekaliśmy tu okrągły tydzień. Wynałazłam wśród swoich żeglarzy byłych nocnych złodziei, kilku kłusowników... Warto, byś obejrzał ten las, mędrce Szerni. Są tam nawet nory w ziemi, przykryte klapami, na których rośnie trawa. Milę dalej, w dużym lesie, rozbiliśmy obóz. Miałam... można to nazwać snem, czasem mam takie sny... Widziałam ten zagajnik tutaj, dymy wioski i wasz biwak o zachodzie słońca. Wiedziałam, że tu będziecie. Mówię to wszystko, bo chcę ci pokazać, wasza godność, ile trudu mnie kosztowało złapanie jednego Przyjętego. Co to byli za żołnierze, ci granatowo-zieloni? — zapytała ni z tego, ni z owego. — Jeden z moich mówi, że to wojsko królowej Dartanu?

— Mieli misję do spełnienia w Grombelardzie... Przez jakiś czas mieliśmy maszerować razem — skłamał Gotah, pytając się w duchu, czy nie zdradzi go głośnie bicie serca.

Ale Ridi niczego nie zauważyła.

— Bardzo dzielni — skwitowała obojętnie, i to była największa obelga, jaką mogli usłyszeć żołnierze nie bez racji mający się za elitę wojowników Szereru. Dowódczyni morskich zbirów, którzy urządzili zasadzkę i zgnetli przeciwnika samą liczbą, miała dla nich aż dwa słowa: „bardzo dzielni”. — Dowodziła nimi ta kobieta, tak? Wydaje mi się... Chyba skądś ją znam.

Uderzenia serca Gotaha już nie tylko było słycać, ale jeszcze widać: w ich rytm drżała mu szata na piersi. Na szczęście agarska księżniczka zamyśliła się tak głęboko, że niczego nie widziała ani nie słyszała.

— Nie wiem co z tobą zrobić, babo w męskiej skórze — powiedziała na koniec. — Zabiję cię; tylko jak?... Chyba poślę do Talanty twoją głowę. Nie, nie poślę. Dotrzymam słowa: skopię cię, tak jak zapowiedziałam. Nienawidzę tej twojej Szerni. Podaj mi jeden powód, dla którego się nią zajmujecie.

Wstała — ale o kopaniu nie mogło być mowy. Zgięta w pół, trzymała się za ranę w brzuchu.

— Nells! — krzyknęła, skrzywiona, ocierając dłonią łzę z policzka. — Skop to zwierzę za mnie — poleciała, gdy nadbiegł barczysty drągal. — Nie bój się... nic ci nie robi. To tylko Przyjęty, nie mężczyzna, jak ty.

Splunęła Gotahowi na policzek i poszła.

— Na śmierć, ale tak, żeby nie zdechł za szybko! — wrzasnęła jeszcze przez ramię.

Wkrótce znowu siedziała na ziemi.

Odległe krzyki, a potem już tylko stękanie kopanego po żebrach Gotaha nie były aż tak głośne, by musiała wrzeszczeć do powieszonej za nogi kobiety; bardziej już przeszkadzały nawoływania i rechoty włączających się wszędzie żeglarzy. Siedząc na podwiniętych nogach, miała twarz zdychającej śliczności mniej więcej na wysokości własnej twarzy.

— Znam cię skądś — powiedziała, oddychając bardzo ostrożnie, tak by nie obudzić przyczajonego w ranie bólu. — Przypomnij mi skąd... a może na tym skorzystasz.

W zakrwawionej i nabrzmiałej twarzy na chwilę otwarło się oko — tylko jedno, bo otwarcie drugiego uniemożliwiała wielka opuchlizna, kryjąca brew i powiekę. Jednak ranna wojowniczką nie chciała, albo nie mogła mówić. Ridi ujęła pełną garść zwisających kasztanowych włosów i rozhuściła powieszona ciało. Bezwładne dłonie muskały kępę trawy. Z nosa wypłynęła strużka krwi, jakby tylko czekała na okazję.

— No? Zaraz przyjdą moi synkowie i nożami wydlubią ci zęby, otworzą brzuch... I na pewno będą wkładać miecz tam, gdzie się chowa miecze: do pochwy. Ja takie coś wytrzymam — ty nie... A potem puszczą do ciebie okrętowe dziewczyny. I dopiero one wymyślą coś naprawdę wyjątkowego, chłopaki już o tym wiedzą... I zawsze zostawiają resztki dziewczynom, bo wtedy jest na co popatrzeć. Nie boisz się? Boisz, tylko jeszcze o tym nie wiesz... Ale się dowiesz. Zaraz.

Ridareta zmęczyła się i miała ochotę popłakać sobie z bólu. Znienawidzony Rubin kiedyś przynajmniej do czegoś się przydawał — teraz już tylko był. Chyba zapewniał nieśmiertelność, a może tylko niezwykłą żywotność, wytrzymałość — i nie wiadomo, czy coś więcej. Ridi najbardziej bała się tego, że zacznie odczuwać upływ czasu. Że się zestarzeje. Nieśmiertelna, a może tylko długowieczna starucha.

Wprawione w wahadłowy ruch ciało poruszało się coraz wolniej i wolniej. Ridareta pochyliła się nagle. Nie myśląc o tym, co robi, zdrową ręką ujęła jedną z bezwładnych dłoni, która chyba odruchowo zacisnęła się na jej palcach.

— Nie umieraj, Delaro — powiedziała. — Nie dam ci umrzeć, bo znowu mamy coś do zrobienia.

16.

Krzycząc z przerażenia, Kesa usiadła na łóżku. Wirowały obrazy; w uszach brzmiały bojowe wrzaski, jęki rannych przemieszane ze strzępami rozmów. Kesa widziała wykrzywioną bólem twarz męża, którego wielki zbir kopał w bok — beznamiętnie, jakby wykonywał zleczone zadanie: ani mu to sprawiało przyjemność, ani napawało obrzydzeniem...

Praca.

W tle tego pojawiała się twarz Hayny. Kesa z najwyższym trudem rozpoznała tak dobrze jej znane rysy. Nigdy nie przyjaźniły się z Hayną, ale szczerze lubiły. Spędziły w jednym domu wiele lat. Teraz... czy to mogła być ta wiecznie uśmiechnięta dziewczyna z gładko ułożonymi wokół głowy kasztanowymi włosami?...

I zamajaczyła jeszcze jedna twarz — rozmazana, niewyraźna. Taką mogła ją widzieć umierająca Perła, patrząca przez zlepione krwią rzęsy. Była to twarz przekreślona opaską kryjącą lewe oko.

„Gdzie są twoje siostry, Delaro? Gdzie jest Rollayna? Służysz królowej, tak?... Czy to, co o niej mówią, jest prawdą? Że w jej osobie wróciła królowa Rollayna?”

Głosy odpłynęły, obrazy rozpuściły się w mroku. Była tylko ciemna sypialnia.

Kesa odrzuciła okrycie i wstała. Krążyła po pokoju; nieomal biegła od ściany do ściany. Oddychała ciężko, unosiła dłonie do twarzy, do skroni, i zaraz je opuszczała. Próbowwała wrócić myślą do katowanego męża, ale nie zdołała pochwycić obrazu... Umysł nie radził sobie ze strumieniem... istną rzeką wiedzy, którą weń wtłaczano. Bo choć obrazy i dźwięki zniknęły, to Przyjęta z każdą chwilą wiedziała więcej i rozumiała więcej. Bolało... Głowa chciała pęknąć od tego. Nowe i straszne, nieprzyjemne uczucie. Wstrętne. Kesa miała wrażenie, jakby karmiono ją siłą, wpychając strawę od razu... już nawet nie do gardła. Do żołądka. Uczucie sytości graniczące z bólem.

Chciała krzyknąć na wspomnienie obrazu katowanego męża, który

nie wracał, chociaż poń sięgała. Chciała wyć i skowyczeć z rozpacz.

Zamiast tego głucho zawodziła z bólu.

Stała przy ścianie, oburącz trzymając się za głowę. Oparła czoło o ukryty pod kosztownym obiciem mur. Oddychała z coraz większym wysiłkiem. Nie poznawała tego, co ma w głowie, nie wiedziała, czym ją napchano i napycha się nadal. Jakby przez luk do okrętowej ładowni wsypano mnóstwo... czegoś. Nie wiadomo czego, jakichś rzeczy.

Rozpłakała się i zaciśniętymi pięściami uderzyła w ścianę. Gotowa była oszaleć... tak, tak właśnie... Traciła rozum. Z przerażającą świadomością tego, co się dzieje, krok po kroku wkraczała w mrok obłądu. Traciła rozum — z nadmiaru wiedzy o wszystkim. Była... Kim była? Kesa, Przyjętą przez Pasma. Gdzie była? Gdzie, no gdzie?!...

Uczepiła się tych dwóch myśli niczym skraju przepaści. Próbowwała nie zapomnieć... wiedzieć... Zachować świadomość tego, kim jest i gdzie się znajduje.

I pamiętać, że ktoś kopał człowieka.

Wlewająca się do głowy rzeka gęstego błota została zatamowana.

Nagle.

Kesa uklękła pod ścianą. Ulga była natychmiastowa, bo ból, choć obecny, już nie narastał. Powoli znikał. Nabyte wiadomości układały się na swoich miejscach, nieruchomiały, już mogła ich dotknąć, obejrzeć. Rozpoznać. Kaskada przemieszanych towarów zastygła na dnie ładowni. Wciąż nie było wiadomo, co tam właściwie wrzucono, ale teraz wystarczyło mieć trochę cierpliwości i czasu. To, co leżało na wierzchu, dało się rozpoznać od pierwszego rzutu oka; inne rzeczy wystarczyło wydobyć, czasem tylko odsłonić mały fragment...

Czarna przepaść pod nogami zniknęła. Kesa już nie musiała kurczowo trzymać się krawędzi. Czeluść zasypano.

Ból ustępował, odchodził coraz dalej, aż zostało po nim tylko wspomnienie.

Przyjęta siedziała z ramieniem opartym o ścianę i oddychała głęboko, równo, miarowo.

Tylko cierpliwość i czas.

Ale nie miała czasu. Ani chwili.

Rozpłakała się. Ale płakać też nie mogła. Rozmazała łzy na policzkach i głęboko oddychała. Wdech... wydech. Wdech...

Zakryła twarz dłońmi, przywołując wspomnienie komnaty... Szczegół po szczególe, wszystkie, które zapamiętała. Stół... jedne drzwi, drugie... ściany i to, co na ścianach...

*

Raladan obudził się i usiadł. Trzęsąca jego ramieniem, zmieszana, a nawet przestraszona niewolnica omal nie podpaliła mu włosów; w ostatniej chwili cofnęła rękę z lichtarzem, w którym była osadzona świeca.

— Wasza wysokość... — powiedziała.

Już to jedno świadczyło o wzburzeniu. Posłuszne stanowczemu rozkazowi perełki zwracały się do niego „panie”. Jego wysokością był wtedy, kiedy musiał. Nie potrafił przekonująco wytłumaczyć, dlaczego tytuł napawał go taką niechęcią — ale niewolnicom, na szczęście, wyjaśnienia były zbędne.

— Co się stało? — zapytał.

Potrafił oprzytomnieć w mgnieniu oka.

— Ktoś... przyszedł — powiedziała niepewnie dziewczyna.

Ktokolwiek doń przyszedł w środku nocy, musiał mieć sprawę. Prawdziwą sprawę, więc Raladan ku zdumieniu służki nie zapytał o nic. A raczej owszem, zapytał, ale było to pytanie rzeczowe i brzmiało:

— Dobrze; gdzie jest ten „ktoś”?

Podawała mu odzienie.

— Nie tutaj. W gmachu i... To jest kobieta, panie.

W milczeniu wciągnął spódnicę i kaftan, wzuł buty.

„Gmachem” nazywano dawny budynek Trybunału. Rzadko tam bywał. Już częściej w trzeciej rezydencji, czyli w „domu”, bo tam były dzieci i próbował mieć dla nich chociaż jeden wieczór na trzy dni. Właściwie mieszkał w twierdzy.

Ale dawny gmach Trybunału Imperialnego był blisko. Dłuższy spacer czekał go po schodach i do bramy niż później po uśpionych ulicach Aheli.

Do komnaty, w której czekał gość, przyniesiono już światło — ale mało. Ujrawszy przybyłą, która oderwała spojrzenie od zawieszanej na ścianie ogromnej szczęki rekina i zwróciła się ku niemu, Raladan obejrzał się na niewolnicę:

— Dlaczego tu tak ciemno? Przynies...

— Nie, wasza wysokość. To na moją prośbę — pospiesznie powiedziała kobieta, którą kiedyś poznał jako wysłanniczkę cesarskiego przedstawiciela. — I nie zbliżaj się z nadto, książę, proszę. Ja... straciłam poczucie rzeczywistości. Zjawiłam się tutaj... w bardzo nieodpowiednim stroju.

Zmieszanie pięknej blondynki wydawało się zrozumiałe; światła było mało, ale dość, by zauważyć, że dostojna pani o królewskich oczach ma na sobie sukienny płaszcz, w którym Raladan rozpoznał swoje własne okrycie... a poza tym niewiele więcej. Pod spodem majaczyło coś w rodzaju jedwabnej koszuli, ale była to najwyżej kusa szatka nocna, noszona chyba tylko w Dartanie. Gość potwierdził spostrzeżenie, mówiąc:

— Niewolnica waszej wysokości zlitowała się nade mną i przyniosła tę pelerynę... Przebacz mi, książę. Tej nocy... ja... nie wiem, co robię, i w ogóle nie jestem sobą. Ale zaraz mnie zrozumiesz i usprawiedliwisz. Przynajmniej mam taką nadzieję.

Raladan wyjął lichterz z rąk niewolnicy.

— Wyjdź — powiedział.

Gdy zamknęła za sobą drzwi, zdmuchnął świecę. Pozostała tylko ta na stole.

— Słucham, wasza godność — rzekł, odstawiając lichterz.

— Poznałeś mnie, panie, jako posłankę garyjskiego Księcia Przedstawiciela Cesarzowej. Byłam nią, ale przede wszystkim, książę, jestem Przyjętą. Moi towarzysze, o czym na pewno już wiesz, próbowali zgładzić twoją córkę, a ja... postanowiłam poszukać innego sposobu. Dlatego tu wtedy przypłynęłam.

— Ridareta powiedziała mi o tobie, pani. Wiem, że się znacie. Ale nie zdradziła mi, że jesteś Przyjętą.

— Nie wiedziała o tym i chyba nadal nie wie.

Kesa urwała. Cisnęło jej się na usta sto pytań i tyleż samo wyjaśnień, tłumaczeń, usprawiedliwień... W ogóle nie miała czasu, a musiała pozyskać kogoś, kto dał się jej poznać jako człowiek bezlitośnie prostoliniorny, zdecydowany, twardy. Chłodny i nieustępliwy.

— Wasza wysokość — powiedziała z nieskrywaną desperacją i rozpaczą — twoja córka wyruszyła przeciw swoim prześladowcom... czy tak? Wiem, że tak. I odniosła sukces. Mogę tylko prosić, więc proszę: czy

popłynęła na swoim żaglowcu? Muszę wiedzieć; o nic więcej nie pytam. Czy „Zgniły Trup” jest tam, gdzie księżniczka?

Raladan widział w życiu naprawdę niejedno i bardzo rzadko się dziwił. Teraz jednak patrzył na kobietę, która ciemną nocą pojawiła się znikąd, prawie nago, w środku jego domu... Mówiła, że jest Przyjętą (rzecz niezwykła, ale chyba możliwa, a w zaistniałej sytuacji wręcz tłumacząca niejedno) i pytała o... jakąś błahostkę. Chociaż ta błahostka musiała być nią tylko z pozoru.

— Nie, pani. Nie powiem ani słowa, jeśli nie dasz mi powodu, bym przemówił. Nie kiwnę głową, nie skrzywię ust, nawet nie mrugnę okiem.

— Oto mój powód — powiedziała i zobaczył w migotliwym świetle świecy dwie płynące po jej twarzy łzy. — Minionego wieczoru księżniczka pokonała poczet Przyjętego. Rano ten Przyjęty umrze... Kilkakrotnie widziałam i dobrze pamiętam pokład „Zgniłego Trupa”, więc być może będę mogła się tam dostać. Jeśli nie odpowiesz na moje pytanie, książę, to i tak się tam zjawię, bo... bo już nic innego do zrobienia nie mam. Pomóż mi, a ja pomogę tobie.

— W czym mi pomożesz, wasza godność?

— Zakończę tę bzdurną wojnę, choćbym miała... choćbym musiała użyć siły wobec swoich towarzyszy. Wytłumaczę i wyjaśnię wszystko; odpowiem na każde pytanie twoje albo twojej córki. Zaopiekuję się nią. Zachodziła obawa, że księżniczka zniszczy równowagę Szerni, a Szerń toczy właśnie wojnę... Od tego może rozpaść się nasz świat. I niech się rozpada, książę. W ogóle mi na nim nie zależy.

— A na czym ci, pani, zależy?

— Na życiu jednego człowieka.

— Tego Przyjętego — dopowiedział. — Czy to jest, pani, twój przyjaciel? Ktoś bliski?

Tym razem rozplakała się naprawdę. Oparła zaciśnięte pięści na stole takim ruchem, jakby go uderzała za jakieś przewinienia.

— Nie! — zawołała. — To jest mój mąż, mój świat, moje życie... to jestem ja sama, rozumiesz?! Widziałam kawałek zatoki, ale tam stał tylko jeden mały okręt, a na brzegu były jakieś łódki!... Gdzie jest „Zgniły Trup”?! Milę stamtąd? Dziesięć mil, sto?!...

Raladan patrzył na roztrzęsioną kobietę i próbował zebrać układankę do kupy. Nie tyle nawet złożyć, co tylko zgromadzić wszystkie

potrzebne części. Miał mało czasu; jego niezwykły gość był bliski hysterii. Oznaczało to nieobliczalność.

— Czego oczekujesz ode mnie?

— Jednej odpowiedzi!

— Chcesz się dostać na pokład „Trupa”?

— Jeśli będę wiedziała, gdzie jest! Powiedz mi! Inaczej... ja i tak spróbuję.

— Ratując męża, zabijesz mi dziecko — powiedział. — Jedyne prawdziwe, jakie mam. Pozostałe... tylko spłodziłem.

— Zabiję, tak — odparła z nagłą stanowczością, prostując się i ocierając łzy z policzków. Głęboko zaczerpnęła powietrza. — Może sobie poradzę bez pomocy, a jeśli tak, to zaraz będę na „Zgniłym Trupie” i jeżeli przypadkiem jest w pobliżu twojej córki... Zawrzyj ze mną układ, Raladanie. Pomóż mi, a nikomu nie stanie się nic złego. Ridareta mówiła ci o mnie? Co mówiła? Że jestem jej wrogiem?

Raladan umiał bezzwłocznie podejmować decyzje, ale ta, którą miał podjąć, była bodaj jedną z najtrudniejszych w jego życiu. Nie wiedział prawie nic. Miał rzucić kośćmi, stawiając na szalę wszystko, co było dlań ważne.

Mógł nie rzucać. Ale gra bez niego toczyłaby się dalej. Nie mógł wycofać stawki.

— Do świtu jest jeszcze sporo czasu — powiedział. — Szybko możesz się tam dostać? Na pokład „Zgniłego Trupa”?

— W mgnieniu oka lub wcale. Ale muszę wiedzieć, gdzie jest. Nie zgadywać. Wiedzieć.

— Dlaczego?

— Bo muszę odnieść go do jakiegoś miejsca pod Pasmami. Inaczej... Mogę się zgubić... utknąć gdzieś... na długo, albo na zawsze. Nie umiem ci tego wytłumaczyć. Domysł, przypuszczenie... to nie zmusza Pasm do dania mi odpowiedzi... do pokazania drogi. Wiedza — tak. Ale zaryzykuję, jeśli będę musiała.

— Nie musisz. Usiądź — rozkazał. — Ridareta ma cztery żaglowce i mniej więcej czterystu ludzi. „Zgniły Trup”... nie wiem. Popłynęła na nim, ale to duży holk i raczej nie wejdzie do zatoki, o której mówisz, bo jest zbyt głęboko zanurzony.

— Ale jest tam, gdzie twoja córka? — upewniła się z ulgą.

— No... mniej więcej. Nie dalej pewnie, jak o kilka mil.

— To wystarczy.

— Wystarczy do zaokrętowania Przyjętej, ale nie do uwolnienia jeńca — rzekł sucho. — Twój mąż jest na okręcie?

— Nie...

— Powiedziałem, że „Trup” raczej nie wpłynie do zatoki.

— Znasz tę zatokę?

— Znam wszystkie zatoki Szereru, więc mnie o to nie wpytuj, szkoda czasu — uciął. — Rida mi mówiła dokąd płynie; to jest północny kraniec Morza Dartańskiego. Takich wąskich zatok nie leżących u ujścia żadnej rzeki jest tam zaledwie kilka, wszystkie bardzo płytkie. Do żadnej bym nie zawiązał, chyba że na krótko, przy najwyższym stanie wody. Morze Dartańskie jest morzem otwartym i pływy oceaniczne są tam mocno odczuwalne. Z tego wynika, że możesz wylądować na pokładzie okrętu kotwiczącego nawet pół mili od brzegu. Zamk... zamilcz na chwilę, wasza godność. — Uniósł rękę. — A gdy już uwolnisz swego męża, to jak chcesz się stamtąd wydostać? Potrafisz zabrać kogoś ze sobą?

— Nie wiem.

— To się dowiedz.

— Ale jak?...

Była już spokojna; w każdym razie o niebo spokojniejsza niż przed chwilą. Rzeczowość rozmówcy działała kojąco i Kesa nagle zdała sobie sprawę, że chce być dowodzona; że z całej siły pragnie zaufać temu silnemu, stanowczemu mężczyźnie, który jest piratem, rabusiem, mordercą... a ponadto dobrym człowiekiem.

Jeśli „dobrym” jest ktoś zdolny do współczucia.

— Chodź — powiedział.

I poszła.

Tylko do drugiego pokoju.

— Zjawiałaś się, jak rozumiem, w tamtej sali, znanej ci z poprzedniego pobytu tutaj? No to... Odległość chyba nie ma znaczenia, wasza godność. Albo umiesz sprawiać cuda, albo nie.

Niemal się przeraziła, takie to było proste. Natłok zdarzeń, lęk, niepewność... Postradała nie tylko rozsądek, ale i umiejętność myślenia.

— Zabierz mnie tam, Przyjęta — powiedział. — Dotknąć cię?

— Chyba... Nie wiem. Tak.

Zbliżył się i ujął jej rękę.

— Zabierz mnie.

I zabrała.

Zaskoczona i oszołomiona, stała przy długim stole, a gospodarz już dokądś szedł.

— Każę przynieść ci wygodny strój podróżny — rzekł przez ramię.
— Może być trochę za luźny i przykrótki, Rida jest niższa od ciebie, ale za to... Jakąś broń?

— Nn... nie. Nie!

— A ja wezmę.

Przystanął w progu.

— Wrócimy we troje, ale jeśli to będzie niemożliwe, to wrócicie tylko wy, we dwoje. Ja mogę zostać; nie jestem ranny i nic mi tam nie grozi. Czekał tu na mnie, wasza godność.

17.

Było to uczucie szczególne, przywodzące na myśl przekraczanie punktu między jawą a snem. Równie nieuchwytnie. A odległość w samej rzeczy nie miała znaczenia: podróż z komnaty do komnaty trwała tyle samo, co wyprawa przez pół Szereru.

W świetle latarni przyczepionej do kolumny masztu widać było otwartą gębę i wybałuszone oczy majtka z pokładowej wachty.

— Nie śpij, synu, kiedy trzymasz wachtę — rzekł spokojnie Raladan, lekko popychając Przyjętą w stronę kasztelu rufowego. — Kapitana na łodzi?

Oniemiały marynarz zdołał tylko pokiwać głową.

— Kto dowodzi okrętem? Sayl czy Cichy?

— Sayl.

Raladan popatrzył w stronę brzegu, gdzie migotały światła licznych ognisk, po czym bez słowa podążył za Przyjętą, dotarł do drzwi kajuty i otworzył je. Drugi oficer drzemał na koi — boso, ale w odzieniu. Raladan obudził go i został uraczony takim samym spojrzeniem, jakie miał dla niego wachtowy.

— Już nie śpisz, naprawdę jestem tutaj — zapewnił. — Mam sprawę, więc was dogoniłem, cała tajemnica — oznajmił obojętnie. — A

wachtowi ci się pospali, wlep im po parę kijów, bo nawet nie widzieli, jak abordażuję wasze cudo. No? Oprzytomniałeś? Daj mi łódź i odstaw na brzeg.

Sayl na tyle dobrze znał Raladana, by wiedzieć, że z jego rozkazem się nie dyskutuje. Ale, wyrwany z błogiej drzemki i zaskoczony przybyciem nieproszonego gościa, mocno się pogubił.

— Już po bitwie? — raczej stwierdził niż zapytał Raladan.

— Nawet nie widziałem — odparł z roztargnieniem oficer, szukając drugiego buta i dokładając starań, by nie gapić się na towarzyszkę Raladana, którą, byłby przysięgł, już gdzieś widział. — Coś pukało za cyplem, jakby strzeliło kilka dział, ale nie wiem, co to mogło być.

— Ja też nie wiem.

— Kapitana przysłała rozkaz, żebyśmy do niej płynęli, bo wcześniej chowaliśmy się za cyplem. Dopiero co zakotwaczyłem. — Sayl stęknął, z wysiłkiem wzuwając but. — Żeby podejść bliżej, trzeba by sondować... yyp! Może za dnia... jeśli w ogóle warto.

— Daj mi łódź i tyle.

— Ale... nie mam.

— Nie masz łodzi?

— No, nie. Obie poszły na brzeg i nie wiem, kiedy wrócą. Może rano, a może w południe. Kiedy kapitana je odeśle. Z rannymi, albo po coś.

Raladan popatrzył na przerażoną Kesę i bez słowa wyszedł na pokład. Dartańczyk podążył za nim.

— Muszę być o świcie na brzegu.

— No to chyba wpław. Nic nie poradzę, nie wiedziałem... A twoja łódź, panie?

— Odesłałem — uciął Raladan. — Przyplłynąłem i odesłałem.

Sayl podrapał się w szczękę, bo wszystko to było co najmniej dziwne i tajemnicze. Rozejrzał się, szukając na migoczącym od księżyca morzu żaglowca Raladana. Jednak agarski książę nie dał mu czasu na myślenie.

— Przynieś mi kubek gorzałki — powiedział.

Sayl uśmiechnął się.

— Znow mamy parę beczek — powiedział zagadkowo i wrócił do kajuty.

Raladan odwrócił się ku stojącej za nim Kesie.

— Potrafisz fruwać, wasza godność?

- Nie — powiedziała cicho.
- Na pewno nie?...
- Mówię: nie.
- Więc poczekaś tu na mnie.
- Nie.
- Umiesz pływać?
- Umiem.
- To ponad pół mili.
- Przepłynę.
- A ile to potrwa?
- Nie będziesz na mnie czekał.
- Ani cię ratował?
- Wasza wysokość — rzekła chłodno. — Skoro mówię...

Urwała, bo jego wysokość ściągnął już buty, odpiął pas z mieczem i właśnie zwlekał przez głowę kaftan. Niewysokiego wzrostu, był jednak bardzo mocno zbudowany. Energicznie poruszył ramionami, zrobił kilka wymachów w przód i w tył.

Wrócił Sayl, niosąc nie kubek, a kubał. Drewniane naczynie miało grube, pięknie wyczelowane w drewnie ucho. Raladan ujął to ucho, przytknął usta do krawędzi kubka i pił.

— Hu!... Wystarczy... ekhe!.. Teraz daj mi portki żeglarskie i jakąś koszulę twojej kapitanu. Lekką, cienką, najlepiej jedwabną.

Sayl wrócił bez słowa pod kasztel.

— Pij, wasza godność. Wiosna była piękna, ale mamy dopiero wczesne lato i woda jest jeszcze zimna.

— Nie przełknę tego.

— No to nie.

Z ramionami opartymi o nadburcie Raladan czekał na Sayła. Gdy oficer wrócił, odebrał odeń przyniesione rzeczy, zwinął koszulę i przywiązał sobie do głowy, używając nogawek hajdawerów. Wyglądało to co najmniej cudacznie.

— Zabierz wachtę z pokładu i sam też się wynoś.

Sayl pogapił się chwilę, zerknął na kobietę i zrozumiał. Ale Przyjęta nie.

Raladan ściągnął spódnicę.

— Chcesz pływać czy się utopić? — zagadnął. — To jest ponad pół

mili wody. Nie dla siebie mam te szmaty na łbie.

Pokład opustoszał. Raladan przelazł przez burtę, zwiśł na rękach i osunął się w łagodne fale. Czekał — ale nawet niezbyt długo. I uśmiechnął się z uznaniem, bo nie wiedział, że Perły uczone są pływanie. Może zresztą nauczyła się sama?... Wskoczyła do wody jak syrena i zobaczył, że naprawdę umie pływać.

Podobała mu się ta kobieta. Nie dlatego że miała jasne włosy.

Była dzielna.

A jednak trochę się przeliczyła...

O świcie wypłynęli na brzeg. Było jasne, że Przyjęta donikąd nie pójdzie. Gotowa była zemdleć z braku tchu. Nie wiedział, że jest z nią aż tak źle, bo spróbowałby pomóc. Ale w wodzie nic nie dała poznać po sobie; płynęła równo, a syk fal i plusk uderzanej ramionami wody zagłuszyły jej ciężki oddech.

Okupiła to skrajnym wyczerpaniem; była bliska utraty przytomności. Szczupła, niemal chuda, zmarzła bardziej niż on. Wychłodziła się prawie na śmierć.

Bez żadnych ceregieli pomógł jej przyoblec mokre szmaty. Nie protestowała. Znowu osunęła się na piasek i leżała na plecach, próbując dojść do siebie. Dygotała z zimna i zmęczenia.

— Tam. — Pokazał palcem. — Obróć głowę i popatrz: te drzewa za wydumą... widzisz? Czekaj tam.

— Ale... — Po raz drugi tej nocy rozpłakała się. — Muszę...

— Nie, wojowniczo, teraz to już ja muszę. Ty zrobiłaś wszystko, co było do zrobienia: dostarczyłaś właściwego człowieka w miejsce dla nikogo nieosiągalne w takim czasie. Leż, a potem idź do tamtych drzew. Przyjdę tam z twoim mężem.

— Przyjdiesz... z nim?...

— Przyjdę. Ale bądź tam, bo inaczej wszystko możesz popsuć. Myśl o tym. W niczym nie pomożesz, a wszystko zepsujesz, cały czas o tym myśl — powtórzył z naciskiem, bo trochę już znał kobiety. — Żadne z nas nie zabije czterech setek ludzi. Zabijesz?

Nie czekając już na nic, podniósł się i pobiegł po piasku.

Potrzebował odzienia. Nagi człowiek wydaje się słaby i niewiarygodny. Nawet jeśli jest władcą pirackiego księstwa... to najpierw ktoś musi go poznać.

Na brzeg dotarł ze swą towarzyszką kilkaset kroków od miejsca, do którego przybijały łodzie. Wszędzie było pełno uzbrojonych mężczyzn, noszących jakieś bagaże, hałasujących, cieszących się z czegoś bądź szukających zwady. Szarość poranka ustępowała miejsca pełnemu blaskowi słonecznego dnia. Nie było gdzie się schować. Truchtający skrajem plaży nagus wzbudził wesołość w gronie majtków opartych o burtę wyciągniętej na brzeg łodzi; obok drugą spychano właśnie na wodę. Nagus podbiegł i bez słowa wyrznął w pysk najwyższego z rozbawionych żeglarzy. Śmiechy umilkły.

— O, bratku...

— Gdzie jest Ridi? Zaraz urwę ci głupi łeb — rzekł Raladan. — Któryś z was mnie zna?

— A kto ty niby jesteś?

— Znajdź i przyprowadź mi Fokę, a się dowiesz. Albo swojego... — Urwał, bo dojrzał czterech majtków składających na brzegu rannego; mieli zamotane, dwaj na rękach, a dwaj na szyjach, ciemnozielone chustki. — Hej, wy tam!

Jeden obejrzał się, zarechotał i pokazał golasa kamratom. Ale golas, za którym groźnie postępowała grupka od szalupy, zbliżył się i chłopcom Ślepej Ridi przestało być do śmiechu. Załoga „Zgniłego Trupa” bardzo dobrze znała Raladana — choć co prawda nie od strony malutkiego, skurczonego w zimnej wodzie wróbelka.

— Daj mi jakieś szmaty i wytłumacz tym durniom, kto jestem — powiedział krótko, wskazując za siebie. — Gdzie macie kapitanę?

— Yyy... nie wiem — odrzekł marynarz, pospiesznie ściągając kapotę, podczas gdy jeden z jego towarzyszy już klarował sprawę nadchodzącym obwiesiom; wystarczyła krótka chwila, a widać było tylko ich plecy. — Kapitana? Była chyba z innymi kapita... o, tam! Tam ich widać. Albo może przy jeńcach.

— Gdzie są jeńcy?

— Wiszą, o!... Na brzegu lasku.

Raladan już wciągał portki pozyskane od drugiego żeglarza; butów żaden nie miał, niestety.

— Wszyscy wiszą?

— No, poza tym jednym... Tam leży, tam gdzie tak pusto. Bo gada się, że to jest...

— Wiem, co się gada. Szukajcie mi kapitany. Ale biegiem. I wszystkich dowódców żaglowców. Będę przy tym jeńcu, tym o którym się gada.

Nie mówiąc nic więcej, Raladan pognał na skraj zagajnika, bo widział, że dzieje się coś złego. Zapomniał, jak nazywa się dowódca gwardzistów Ridarety, więc wrzasnął nań tylko, ale wielu wokół wrzeszczało, kłóciło się i przekrzykiwało... Wielkie chłopisko tratowało coś, co, zwinięte w kłębek, prawie nie przypominało człowieka. Raladan wpadł na Nellsa i odepchnął go, po czym natychmiast schylił się nad człowiekiem z poranioną twarzą, broczącym krwią z nosa i ust. Bardziej zaskoczony i zdumiony, niż rozgniewany Nells omal jednak nie przyłożył intruzowi — ale poznał go i osłupiał.

— Zabiłeś go? — zapytał Raladan.

— Nie! — Były katowski pomocnik aż zachłysnął się z oburzenia, bo podano w wątpliwość jego umiejętności. — Rid... kapitana kazała go skopać. No, tom skopał. Gównno, taka robota. Ale teraz to on jeszcze nie zdechnie, bo mówiła, że to ma potrwać.

Jednak jeńiec wyglądał tak kiepsko, że Raladan nie wyzbył się obaw.

— Co mi tu gadasz, przecież on ledwie oddycha... Jakbyś dalej go kopał, to co?...

— Aaa, to tak — uczciwie przyznał Nells. — Bo i miałem go skopać na śmierć. Ale powolutku! — znowu się uniósł honorem. — A jak powolutku, to chyba nie na czterech kopach! Kapitana by mi za to...

— Rozwiąż go i zawołaj kogoś, kto zna się na opatrunkach.

— Ale Ridka...

— Żadnego „ale Ridka”, Nells. — Raladan ponieważ przypomniał sobie imię komendanta Gardy. — Patrz na mnie. Żadnego „ale Ridka”.

Nells popatrzył.

Tu nie było żadnego „ale Ridka”.

Raladan mógł naprawdę niejedno i nikt nie musiał płynąć aż do Aheli, żeby się o tym przekonać. „Zgniły Trup” miał tam już nigdy nie zawinąć... ale za to Raladan mógł zawinąć wszędzie. A zawinął właśnie tutaj.

— Tak, panie.

— I waruj przy nim. Jeśli ptak mu nasra na głowę, to masz wytrzeć.

Czas naglił; Raladan nie dałby miedziaka za rozsądek półżywej

kobiety, która już na pewno nie była półżywa, odzyskała siły, a z siłami lęk, obawę i poczucie karygodnej bezczynności, poruszyć zaś umiała niebo i ziemię. Mogła czekać pod drzewkami na wydmach — albo nie.

Zdziwiłby się, gdyby czekała.

Spiesznie zdązał na spotkanie grupki ludzi, którzy z drugiej strony zmierzali ku niemu w poprzek wypalonego, skrwawionego, zasłanego nagimi trupami placu boju. Dowódcy trzech okrętów i Cichy. Wszyscy bardzo dobrze go znali.

— Na razie żadnych pytań, nie mam czasu — powiedział, stając z nimi w niewielkim kręgu. — Gdzie jest Ridi?

Mevev nie wiedział.

— Zaraz ją znajdą — obiecał na wszelki wypadek.

— Dobrze. Kupuję waszych jeńców, bo mi do czegoś potrzebni. Dwadzieścia sztuk złota za każdego. Podzielcie tak, jak wam się podoba. Z tym, że złoto odbierzecie w Aheli.

Zaskoczeni kapitanowie wymienili spojrzenia i rozpromienili się. Raladan był słowny, a kilkanaście odciętych od gałęzi półtrupów miało wartość skrwawionych szmat, z których jeszcze ich nie obdarto. Broń, a nawet i buty, dawno już znalazły nowych właścicieli.

— Ale tam jest ich komendantka — sprytnie zauważył jeden z dowódców, szybko idąc po rozum do głowy.

— Za nią pięćdziesiąt — powiedział bez namysłu Raladan, nie mając pojęcia, o kogo w ogóle chodzi, ale było mu to całkiem obojętne, podobnie jak cała śmieszna suma najwyżej dwustu sztuk złota. — Targ ubity?

— Pewnie. A ten... no, ten tam?

— To już nie wasz jeniec, tylko Pięknej Ridi. Tak, Cichy?

— Od niego z daleka — potwierdził pierwszy oficer.

Skinąwszy głową dowódcom żaglowców, Raladan zabrał ze sobą Cichego.

— Każ poodcinać tych tam.

— Bardzo się z nimi cackać?

— Jak tam chcesz. Słuchaj mnie: masz mi znaleźć swoją kapitanę, bo ciągle nie wiem, gdzie jest. W krzaki poszła? Co wy tu macie za burdel, to już nawet nie chcę... Daj mi czterech chłopaków, ale mądrych i takich na schwał. Najlepiej z Gardy. Niech znajdą jakiś pled albo płaszcz. Muszę

zabrać stąd Przyjętego.

Cichy przystanął.

— O, co to, to nie... Kapitana...

— Słuchaj mnie. Muszę go stąd zabrać i tyle.

Cichy patrzył w ziemię. Kiwał głową.

— Nie ma mowy — powiedział. — Jak usłyszę to od Ridi. Wtedy tak.

— Jej się boisz bardziej czy mnie?

— Jej — powiedział oficer. — Bo to moja kapitana.

Sprawa wyglądała coraz gorzej.

— W takim razie odeślij go na „Trupa”. Tyle możesz zrobić; tak czy nie? Tutaj zostać nie może.

— Czemu nie?

— Bo jest więcej Przyjętych, nie tylko on — powiedział znacząco i z naciskiem Raladan, a na szczęście umiał łągać przekonująco. — Wiem coś, ale nie powiem ci, co. Powiem Ridi. A tobie radzę tylko: odeślij go na „Trupa”. Bo może się okazać, że tu go nie upilnujesz.

Mevev patrzył pytająco. Zmarszczył brwi i pogapił się na morze.

— Skąd się tutaj wzięłeś?

— Goniłem was na „Delarze”. Bo mam powód. Myślisz, że dla żartów gnałem tu jak głupi? Albo dla tych zdechłaków, których wykupiłem dla pozoru?

Po utracie ukochanej „Seili”, karaweli która zostawała w tyle tylko za „Kołysanką”, Raladan kazał zbudować dla siebie zagłowiec na wzór tamtego i choć nie był równie udany, nazwał go imieniem najmłodszej z Trzech Sióstr — co wydawało się właściwe, skoro poprzedniczka nosiła imię średniej.

— Gdzie kotwiczysz?

— Za cyplem. Odeślesz go na „Trupa” czy nie?

Mevev zastanawiał się. Milczał i kiwał głową.

*

Przyjęta czekała — i Raladan zobaczył, że ta kobieta przeżywa istne męki. Już sto razy musiała sobie powiedzieć, że trzeba biec, iść dalej — i sto razy odrzekła: „nie, bo kazał mi czekać”.

Czekanie... Co mogło być gorsze od czekania? Zdał sobie sprawę z tego, jak bezbrzeżnie mu zaufała, i choć nie był skłonny do wzruszeń, ścisnęło mu się gardło. Przebyła oceany, spiesząc na ratunek

najważniejszemu człowiekowi — i stanęła kilkaset kroków od celu, bez reszty zawierając obcemu mężczyźnie, z którym rozmawiała ledwie trzy razy w życiu. A przecież ten mężczyzna był ojcem dziewczyny, którą za jej wiedzą próbowano zabić... Dojrawszy go, pobiegła naprzeciw... i dostrzegł, jak zwolniła kroku, widząc, że idzie sam. Że nie idzie nikt przy nim ani za nim. Trupio blada, bosa, w pogniecionych żeglarskich hajdawerach i nie pasującej do nich jedwabnej koszuli, z jednym warkoczem ciasno zwiniętym z boku głowy, drugim zaś — z którego wypadła szpila — byle jak zwisającym na pierś, nie przypominała wyniosłej piękności, która z ramienia garyjskiego księcia omawiała warunki pozyskania floty kaperskiej. Warta krocie jako Perła, po odarcie z kosztowności i strojów, nieuczesa i nieumalowana, w istocie była trochę za chudą, trzydziestokilkuletnią kobietą o pięknych brwiach i regularnych rysach twarzy... Tylko tyle.

A może jednak: aż?...

Raladan poczynił swoje spostrzeżenie ze smutkiem, który nie wiadomo skąd się wziął.

Nie zapytała o nic. Gryząc usta, zebrała spojrzeniem o nadzieję... o cokolwiek, byle to nie było krótkie i kończące wszystko: „Nie zdążyłem”.

Potężna kobieta, której zgadzały się służyć toczące wojnę Pasma Szerni.

— Żyje i wyzdrowieje, co najwyżej obędzie się bez zęba albo dwóch. Kazałem go odesłać na „Zgniłego Trupa”, bo nic więcej nie dało się zrobić. Też tam popłyniemy, chodź. Tak, już zaraz... teraz. Szalupa czeka.

Po raz trzeci zobaczył, jak dzielna Przyjęta płacze — ale teraz to było w pełnym świetle dnia. Osunęła się nagle na kolana i nim zdążył zrobić cokolwiek, pocałowała go w rękę.

— Chodź... syreno — rzekł, kryjąc pod szorstkim żartem wzruszenie i zakłopotanie. — Ty już nie masz zmartwienia, ale za to ja mam. Nikt nie umie znaleźć Ridarety. Gdzieś zniknęła i wygląda na to, że zabrała ze sobą komendantkę dartańskich żołnierzy. Nie mam pojęcia, co to znaczy.

Tom II

Część pierwsza. Królowa i niewolnica

1.

Talanta na Wyspach Barrierowych była miastem, z którym wiązały Kitarą bardzo szczególne wspomnienia. Przybył tu jako człowiek prawomyślny i praworządny. Młody, zaledwie dziewiętnastoletni, podsetnik straży morskiej, przysłany został z Armektu do służby w eskadrze Floty Rezerwowej Garry i Wysp. Przesłużył aż cztery dni. Nawykły do imperialnych, a więc armektańskich porządków w wojsku, niebacznie stanął w obronie maltretowanych marynarzy — i zanim się obejrzał, był buntownikiem i zbrodniarzem odpowiedzialnym za wyrżnięcie wszystkich oficerów żaglowca i ośmiu czy dziewięciu morskich piechurów, bo tylu siedziało na cumującym w porcie okręcie. To nie było wojsko, jakie znał z Armektu. Dalsze przygody młodzieńca, wiodącego za sobą dwudziestu niemających nic do stracenia, zbuntowanych majtków; brawurowa ucieczka z wyspy; zdobycie słynnej „Kołysanki”; udział w morskiej wojnie rozpętanej przez pirackiego króla, kapitana K.D.Rapisa (także, dziwnym trafem, przed laty będącego żołnierzem straży morskiej) — niezliczone zdarzenia, które uczyniły Kitarą znanym, a nawet sławnym, nastąpiły później. Wszystko jednak zaczęło się w Talancie.

Kitar nie był sentymentalny. Stary majtek, jeden z trzech, którzy przetrwali u jego boku od samego początku, przypomniał mu dawne dzieje. Kapitan uniósł głowę, rozejrzał się dokoła jakby właśnie doń dotarło, że kroczy ulicami Talanty, po czym odpowiedział:

„A! No tak”.

Minął tydzień. „Kołysanka” spokojnie cumowała w porcie, bo jako żaglowiec piracki była nietykalna — miała przecież w nadchodzącej wojnie zasilić flotę kaperską na usługach Wiecznego Cesarstwa... Kapitan codziennie rano wychodził na pokład, ale ani razu nie przyszło mu do

głowy zadumać się nad przeszłością. „Gdzie myśmy wtedy stali?... Tutaj... a może tutaj? Jak potoczyłoby się moje życie, gdybym wówczas trzymał gębę zamkniętą?...”. Żadne takie myśli go nie zaprzętały.

Miał w Talancie robotę. Robotę, trzeba dodać, bardzo dobrze płatną. Ridareta, gdy wspomniał o pieniądzach, zdumiała się.

„Ale... mam ci płacić?” — zapytała niepewnie.

„A nie?” — odpowiedział pytaniem. „Moi chłopcy będą wystawiali skórę na szwank. Co ich obchodzi, że dla ciebie? To nie oni chcą się z tobą żenić, tylko ja. I ja od ciebie, Piękna Ridi, nie wezmę nawet miedziaka. Opłać tylko moją załogę”.

Opłaciła.

Kitar rzeczywiście, bardzo honorowo, nie zamierzał wziąć nawet miedziaka, ale koniec końców wziął równo połowę zapłaty — nikt nie musiał wiedzieć, że wziął. Poza tym jednak, jak najszczerzej, chciał dać narzeczonej prezent zaręczynowy i umyślił sobie, że ucięte głowy dwóch Przyjętych na pewno jej przypadną do gustu. Zresztą nie ukrywała, że tak.

Opisała mu dom, którego powinien szukać. Taki opis mógł nie wystarczyć, ale Kitar miał na pokładzie kilku chłopców zdjętych z wraku „Kaszalota” Brorroka; dwaj spośród nich towarzyszyli dawnemu dowódcy, gdy — swego czasu — prowadził pertraktacje z Przyjętymi. Wystarczyło obejrzeć wskazany przez nich dom i porównać go z opisem Ridarety, by mieć pewność, że Przyjęci się nie przeprowadzili.

Dom wybornie pasował do opisu.

Siódmego dnia pobytu w Talancie, cierpliwy i ostrożny Kitar, planujący swe działania z iście wojskową akuratnością, wiedział już wszystko, co chciał wiedzieć. Dom należał do zubożałego kamienicznika, mieszkającego z żoną. Nie trzymano służby. Właściciele domu odwiedzani byli — dość rzadko — przez dwóch dorosłych synów, synowe i rozwrzeszczane wnuki. Całe pierwsze piętro zajmowali dwaj cudzoziemscy uczeni, mający na swoje usługi dwóch pachotków, z których jeden zawsze był w porcie (Kitar wiedział, przybycia jakiego żaglowca oczekują Przyjęci) i kilku pomocników — jak się zdawało, najemnych rachmistrzów; pomocnicy nie mieszkali w domu, choć przesiadywali w nim niekiedy aż do późnej nocy. Posiłki dla uczonych sprowadzano z pobliskiej gospody; bardzo rzadko wybierali się tam

sami. Prawie nie wychodzili z domu.

Kitarowi najpierw przyszło na myśl, że można by Przyjętych otruć.

Nie był to jednak sposób pewny. Nieryzykowny — i to stanowiło bodaj jedyną jego zaletę. Istniały jednak rozmaite odtrutki, a mędracy Szerni — jak mówiono — mieli dużą wiedzę medyczną. Może tylko tak powiadano — a może naprawdę mieli. Mogli (kto ich tam wie?...) wygrzebać coś z tych swoich Pasm. Poza tym Kitar nie znał się na truciznach i nie miał pod komendą nikogo, kto znałby się lepiej niż on. Wyszło na to, że topór wbity w czerep, miecz w brzuch, a żeglarski nóż w gardło, załatwią sprawę i szybciej, i pewniej.

Po tygodniu obserwacji, wywiadów i podchodów, kapitan „Kołysanki” wybrał z grona podkomendnych ośmiu chłopca, mających nie tyle twarde mięśnie, co otwarte łby; tylko dwóch dało się nazwać tęgimi rębajłami. Ale nie ruszał przeciw wojownikom i jeśli przewidywał kłopoty, to nie z powodu zaciętego zbrojnego oporu. Raczej należało się liczyć z jakąś niespodzianką, z nie wiadomo czym, a w takiej opresji rozum przydawał się bardziej niż mięśnie.

Zbliżała się północ, gdy siedzieli w przyportowej knajpie, dość powściągliwie sącząc paskudne miejscowe piwo i leniwie pogadując. Czekająca ich robota była inna niż zwykle. Nieżeglarska. Abordaż; pukanina z dział; ucieczka przed wrogą eskadrą, nocna zmiana kursu... Sztorm na morzu; wejście na mieliznę... Chleb powszedni, wiadomo. Ciche zarzynanie śpiących w domu ludzi, a do tego Przyjętych — no, to było wyzwanie innej miary. Łatwiejsze, trudniejsze... W każdym razie nowe.

Kitar z grubsza znał rozkład domu. Dwa dni wcześniej przyodział się bardzo porządnie, swój armektański akcent wyciągnął na wierzch tak mocno, jak tylko mógł, po czym poszedł pytać o możliwość najęcia izby na tydzień albo kilka tygodni. Nie wzbudził żadnych podejrzeń, bo też — obyty, przystojny, o szczerym spojrzeniu i takim samym uśmiechu — w ogóle nie wyglądał na zbója. Gospodarz uprzejmie odmówił, wyjaśniając, że oprócz kilku starych lokatorów ma nowych najemców, którzy wprawdzie zajmują tylko jedno piętro, ale zapłacili za wszystkie puste pomieszczenia, tłumacząc, że do pracy jest im potrzebny spokój. zaproponował miejsce w drugim domu, należącym do syna, położonym w innej części miasta i ucieszył się, gdy oferta została przyjęta. Kitar najął

dwie izby w małej kamieniczce na przedmieściu, dał zaliczkę i poszedł, z lekkim a porozumiewawczym uśmiechem zapowiadając, że wprowadzi się najpewniej za dwa dni, gdy tylko będzie gotowa jego towarzyszka... W domu zajmowanym przez Przyjętych zdążył jednak obejrzeć wiodące na piętro schody, zasuwę przy drzwiach, okiennice i pokoje, w których mieszkał kamienicznik z żoną.

Teraz siedział przy stole w tawernie i uczył się palić fajkę, pożyczoną od marynarza. Może Brorrok wiedział, co mówi, namawiając go, by palił dla zdrowia (musiał wiedzieć, bo inaczej nijak by nie dożył stu sześciu czy siedmiu lat), ale Kitarowi palenie w ogóle nie szło. Na jego żądanie marynarz kupił od oberżysty trochę dobrego (w każdym razie znośnego) tytoniu, bo najtańszy śmierdział nieumytą dziwką, szcurem i mokrą szmatą, ale wydatek zdał się na nic. Kapitan „Kołysanki” miał wrażenie, jakby ktoś go wędził od środka.

— Umrę młodo — zdecydował na koniec, po raz trzeci zaniósłszy się kaszlem. — Sto lat w męczarniach? Ja dziękuję. Powiedz jeszcze, że mam jeść jarzyny, pić tylko mleko... ekhe! khe!... Zabierz to ode mnie.

Marynarze radowali się zabawnymi niepowodzeniami kapitana. Majtek, do którego należała fajka, popisywał się, pykając ją z lubością i znanstwem; swoją drogą tytoń był naprawdę całkiem dobry, o niebo lepszy od wiórów, które popalał zwykle.

— Skąd się wziął zwyczaj palenia tego świństwa?

— No jak, skąd?... Nie wiesz, kapitan? — Marynarz obraził się szczerze. — No przecież, że z Garry! Ojczulo dawał mi fajkę, jeszcze zanim od ziemi odrosłem! No i... o! — Puknął się pięścią w pierś i naprężył solidny muskuł. — Dlatego u nas chłopcy takie mocne, a w tym twoim Armekcie, kapitan...

— No, uważaj — powiedział Kitar i marynarz od razu się zamknął, bo na moment zapomniał, że Armekt przy kapitanie można tylko chwalić. — Chcesz zobaczyć, jakie chłopcy są w Armekcie? To zaraz się spróbujemy.

Kitar był wysoki, dobrze zbudowany, i naprawdę potrafił przyłożyć. Jednak, skądinąd, słuszność miał raczej jego podkomendny. W Armekcie, podobnie jak wszędzie — w Dartanie, w Grombelardzie, czy na Wyspach — ludzie rodzili się różni. Zazwyczaj jednak jasnowłosi Grombelardczycy, choć średniego wzrostu, byli krępi, barczyści, ich

kobiety zaś dupiate, niezbyt urodziwe, za to silne, płodne i zdrowe. Dartańczycy i Dartanki słynęli z urody, Garyjczycy zaś z krzepy — nieco zbyt masywni, tak jak Grombelardczycy, zwykle jednak byli od nich wyżsi. Na tym tle synowie i córki armektańskich Równin wypadali dość mizernie: przeważnie niewysocy, o raczej drobnej budowie, wydawali się jeszcze mniejsi za sprawą lekko smagłej cery i czarnych włosów. W krainach Szereru podśmiewano się z wąsatych Armektanek; rzeczywiście, dość łatwo tam było spotkać smolistowłosą brunetkę o górnej wardze ocienionej delikatnym lecz wyraźnym puszkciem; opowiadano też rubaszne żarty o ich owłosionych przedramionach i nogach (by nie wspomnieć o całej reszcie, dla żeglarskiej braci najważniejszej) — co nie zawsze mijało się z prawdą, a zwracało uwagę tym bardziej, że w odróżnieniu od Dartanek, Armektanki nie miały w zwyczaju używać wosku do depilacji; była to moda, która nigdy się w Armekcie nie przyjęła. Krótko mówiąc, zdobywcy Szereru słynęli raczej ze zdrowia i długowieczności niż urody i krzepy. Ale, oczywiście, od wszystkich tych reguł istniały niezliczone wyjątki — i postawny, muskularny, po męsku bardzo urodziwy Kitar, ciemny blondyn o piwnych oczach, Armektańczyk z dziada pradziada, był tego najlepszym przykładem.

— Pora iść — powiedział, dopijając piwo.

Marynarze dopili swoje.

Wyszli przed tawernę. Przy nożu był tutaj prawie każdy, ale cięższy oręż zwracał uwagę; topory i miecze trzymali więc pod kapotami.

Talanta była miastem małym. O jej znaczeniu decydował port, wokół którego, zwykłą koleją rzeczy, rozłożyły się liczne składy, siedziby przedstawicielstw handlowych, targowiska, tawerny i burdele dla ogromnych rzesz marynarzy. Ponadto, obok portu wojennego, wyrosły — od jakiegoś czasu niezbyt zatłoczone — kwatery dla oficerów i żołnierzy straży morskiej, których, wraz z rzemieślnikami i urzędnikami służącymi przy wojsku, w czasach największej potęgi cesarstwa, było bodaj więcej niż wszystkich niezwiązanych z wojskiem mieszkańców Talanty. Gdyby więc stolicy Wysp Barrierowych odebrano nagle koturny — handel morski i port wojenny — które ją wydzwignęły, skarłałaby w jednej chwili do rozmiarów miasta liczącego tysiąc mieszkańców. I dobrze, jeżeli aż tylu.

Kitar i jego żeglarze odbyli dość długi nocny spacer, przemierzając zaułki dzielnicy portowej, nim zapuścili się w uliczki właściwej Talanty; teraz już czekała ich przechadzka znacznie krótsza.

Człowiek, który w samym środku nocy niegłośno lecz zdecydowanie dobijał się do okiennicy jednego z uśpionych domów, nie wzbudził niczyjej uwagi; karczmy w mieście otwarte były przez całą noc, wypić zaś i zabarłóżyć w którejs z nich lubili nie tylko żeglarze — do mieszczańskich domów też zdarzały się późne powroty... Jednakże gospodarz kamienicy, którego obudzono we własnej sypialni, nie spodziewał się żadnych odwiedzin. Kołatanie nie milkło, więc kamienicznik wstał z łóżka. Odpaliwszy świecę od innej, zwanej „lichwiarzem” lub „błędym ognikiem” — wolno płonącej i prawie niedającej światła, której zadaniem było tylko przechowywać płomień — zbliżył się do zamkniętego okna.

— Kto tam? — zapytał.

— No, nareszcie — usłyszał w odpowiedzi męski głos, skażony wyraźnym armektańskim akcentem; pobrzmiwało w nim zniecierpliwienie. — Ułożyłem się wczoraj z twoim synem, panie, w sprawie najmu dwóch izb. Zapłaciłem. Właśnie odmówiono mi do nich wstępu, twój syn chyba mnie nie poznał, wasza godność. Przyszedłem poskarżyć się i zażądać pomocy. To ty, panie, wskazałeś mi tamten dom. Mam teraz spać na ulicy?

Uchyliwszy lekko okiennicę, kamienicznik poznał mężczyznę.

— Ale... co opowiadasz, wasza godność?... — wymamrotał, strapiiony. — Odmówiono ci wstępu?... Już otwieram, poczekaj chwilę, panie...

Zamknął okno i podążył ku drzwiom.

— Śpij — powiedział po drodze, pochwyciwszy pytające spojrzenie obudzonej żony.

Po chwili stał w otwartych drzwiach. Poirytowany przybysz za progiem spoglądał wyczekująco.

— Mówisz, wasza...

— To też sprawa twojego syna, panie? — przerwał Armektańczyk, pokazując palcem mroczne wnętrze domu za plecami gospodarza, który obejrzał się z najwyższym zdumieniem.

Kitar objął szyję nieszczęśnika przedramieniem i ścisnął — a ścisnąć

potrafił. Jeden z jego żeglarzy oderwał się od ściany przy drzwiach i zręcznie wyjął świecę z osłabłej dłoni duszonego. Niedługo potem Kitar, ustrojony w szlafmycę zdjętą z głowy kamienicznika, znalazł się przy łóżku, w którym leżała gospodyni. Uniosła pytające spojrzenie, mrużąc oczy od blasku świecy — i zarobiła drewnianą pałką w ciemię. Kitar zdjął szmaty, którymi był owinięty oręż, sprawdził, czy mimowolnie nie zabił kobieciny, a upewniwszy się, że nie, wrócił do sieni, gdzie czekali jego piraci.

— Połóżcie go na łóżku obok żony — polecił, zdejmując szlafmycę i wskazując nieprzytomnego.

Wkrótce ostrożnie weszli po skrzypiących schodach na górę. Drzwi do Przyjętych były zamknięte. Wzruszywszy ramionami, kapitan „Kołysanki” sprawdził, że otwierają się do środka, po czym odszedł na bok i unosząc świecę dał znak marynarzowi — był to jeden z tych dwóch, których siła nie leżała w rozumie. Kitar widział zasuwę przy drzwiach na dole i wąpił, żeby na piętrze były mocniejsze skoble. Wielkie i grube chłopisko nabrało rozpędu, grzmotnęło barkiem w drzwi, poprawiło — i wleciało do środka. Ośmiu ludzi wskoczyło zaraz za nim i rozbiegło się po izbach, szukając mieszkańców.

W pokoju z wyrwanymi drzwiami spał pacholek. Obudzony włamaniem, wrzeszczał wniebogłosy, ale zamilkł rąbnięty mieczem w łeb, toporkiem w bark, a potem jeszcze raz w łeb porwanym z podłogi zydlem. W kiepskim świetle nie było widać efektu, więc trzymający zydel marynarz sumiennie, na wszelki wypadek, jeszcze cztery czy pięć razy zamasyście grzmotnął, biorąc zamach znad głowy, po czym musiał przestać, bo od zydła odpadło siedzenie. Zapłonął oliwny kaganek, a potem świece na stole, sprawiedliwie obdzielane ogniem przez kapitana, który na koniec rozejrzał się i zapalił jeszcze dwie inne, osadzone w lichtarzu na ścianie. Z dalszych izb dobiegały wrzaski, ryki, odgłosy uderzeń i jakieś inne hałasy.

— Jeden! — tubalnie zawołał któryś z marynarzy i w następnej chwili u stóp Kitara wylądował trup jakiegoś dziadka z siwymi włosami; w każdym razie takie były na tej połówce głowy, która jeszcze wieńczyła porąbany korpus.

— I drugi! — wrzaśnięto zaraz potem. — Nikogo więcej, kapitan!

Niemłody nagi mężczyzna, słusznego wzrostu i postury, którego nie

tyle wrzucono, co wepchnięto do oświetlonej izby, z brzuchem przebitym kilkoma sztychami, miał ponadto rozrąbany bark i przecięte gardło, w którym bulgotała wymieszana z oddechem krew. Po obu stronach szyi sikały dwie czerwone strużki. Nie wiadomo jakim cudem człowiek ten jeszcze trzymał się na nogach. Zatoczył się i uderzył plecami o ścianę, po czym zaczął się po niej zsuwać na podłogę. Kitar dobył miecza, sumiennie pchnął go w pierś, ale nie trafił w serce, więc wziął zamach, zamierzając rozrąbać czaszkę. Lecz w tej samej chwili charkoczący i rżący Przyjęty uczynił ruch, jakby strząsał wodę z mokrych dłoni. Ostrze sięgnęło celu i ze szczękiem zjechało po krzywiznie głowy, nawet jej nie drasnąwszy.

Zaraz potem Kitar stracił połowę ludzi.

Kamienna kula o takich rozmiarach, że dorosły mężczyzna nie objąłby jej ramionami, pojawiła się w powietrzu i runęła na podłogę, zarwała ją, po czym zniknęła, z hukiem spadając niżej. Przewrócił się stół i rozsypały wyrzucone z kandelabra świece. Druga kula, taka sama i podobnie zjawiająca się znikąd, pomknęła poziomo, uderzając nie w podłogę, a w ścianę — i w tle niezziemskiego łomotu rozbrzmiał ochryply krzyk miażdżonych ludzi. Zataczając płaski łuk, unosząc się nad podłogą, szybował już następny monumentalny pocisk; przemknął obok twarzy Kitara tak blisko, że rozszerzone źrenice Armektańczyka dojrzały chropowatą i nierówną powierzchnię jasnoszarego kamienia. Kapitanowi „Kołysanki” wydało się, że śmiertelnie poraniony mężczyzna pod ścianą odzyskuje siły, już nie osuwa się ku podłodze, a prostuje. Nie sikała krew z tętnic, gardło chyba zasklepiało się, znikwały rany na tułowiu... Trafiwszy nogą w dziurę, którą wyrwała w podłodze pierwsza z kamiennych kul, Kitar stracił równowagę i upadł. Płonęły jakieś karty i rulony, które spadły z przewróconego stołu, dając migotliwe światło, więc kapitan „Kołysanki” nie był pewien, co właściwie widzi... Kamienne kule nieustannie, jedna za drugą, pojawiały się pod powałą i pchane niewidzialną siłą rozwalały ściany, za którymi darli się masakrowani żeglarze, po czym chyba mknęły dalej, wstrząsając całym domem, prawdopodobnie rozbijając mury; było jasne, że chałupa lada chwila cała się rozleci. Dwaj żeglarze, przewróceni tak samo jak ich wódz, pełznąc po obrzeżach roztrzaskanej podłogi, próbowali uniknąć zetknięcia z kamiennymi bryłami, a zarazem zbliżyć się do zastygłego pod ścianą,

nieruchomego, a jednak straszego wroga. Okazało się jednak, że Przyjęty nie do końca kontroluje rozpętany żywioł — może było to niemożliwe, a może po prostu półprzytomny człowiek kontrolować go nie był w stanie?... Jedna z kul raptownie zmieniła kierunek lotu, o włos mijając tego, kto powołał ją do istnienia. Huknąwszy w ścianę tuż obok, przełamała ją i nieomal łagodnie potoczyła się po podłodze, jednak Przyjęty stracił oparcie za plecami. Z niepojętą żywotnością zaczął się podnosić, lecz Kitar już stanął na nogi i trzymał w ręku kawał złamanej belki, która odpadła od sufitu — gdyby nie wściekłość, zawziętość i pospolity strach, pytanie, czy w ogóle dźwignąłby coś takiego...? Obróciwszy się wokół własnej osi, krzyknął z wysiłku, grzotnął przeciwnika i wypuścił z rąk belkę, której dłużej utrzymać nie był w stanie. Nie wyrzucił wrogowi żadnej krzywdy, nie połamano gnatów, niemniej Przyjęty poleciał w bok. Byłby spadł przez dziurę w podłodze, lecz zatrzymał się na blacie przewróconego stołu, wokół którego płonęły dokumenty, zanurzone w płomie oliwy do kaganków — i tylko dzięki zrzędzeniu losu Kitar zwyciężył w tej niezwyklej walce. Czymkolwiek naprawdę była „kamienna skóra” nakładana przez matematyka Szerni, zetknięta z ogniem, w jednej chwili stanęła w płomieniach. Nie wiadomo, czy posiadacz owej niepokonanej zbroi w ogóle wiedział, jak bardzo jest wrażliwa na ogień; w mgnieniu oka przemieniony w błękitno-czerwoną kulę — bo spowijające go płomienie podbarwione były właśnie błękitem — wyjął z bólu, miotał się po izbie. Równie głośno darł gębę Kitar, cofający się ku drzwiom, a potem czekający przy nich na ocalałych podkomendnych. W dalszych izbach, zburzonych przez kamienne kule, właśnie waliły się sufity, rozpadały ściany — tam nie było już kogo ratować. Dwaj żeglarze wyskoczyli z izby i raczej spadli niżli zbiegli na dół po przekrzywionych schodach. Zdyszany Kitar jeszcze przez długą chwilę patrzył na konającego wroga. Żywcem pieczony w swojej „zbroi” Przyjęty pozbył się jej chyba, bo płomień zgasł, ustępując miejsca dymowi, w którym czuć było obrzydliwy swąd przypalonego mięsa. Od sufitu odpadła kolejna belka i kapitan „Kołysanki” mógłby przysiąc, że usłyszał chrupnięcie łamanych żeber, gdy uderzyła w czarny, częściowo zwęglony korpus próbującego dokąś pełznąć człowieka. Sufit zaczął się walić naprawdę; Kitar wybiegł i wylądował na parterze razem ze schodami, które odpadły od rozchwianej ściany. Potłukł się, ale na

szczęście nie połamiał. Nie czekając już na nic, wrzasnął na marynarzy i pobiegli, zostawiając za plecami walącą się kamienicę, z ruin której buchały dym i kurzawa. Pod rozbitą ścianą leżała wielka kamienna kula. Ciemna ulica budziła się, mrugając światłami w oknach, trzaskając otwieranymi okiennicami. Rozbrzmiewały krzyki mieszkańców, tonące w hałasie rozpadającego się w gruzy domu.

*

Rano na miejscu niezwykłego zdarzenia kręciło się paru żołnierzy, jacyś niepozorni ludzie — pewnie urzędnicy Trybunału — a dokoła stało mnóstwo gapiów. Jedni odchodzili; na ich miejsce przybywali nowi, bo wieść o zdumiewającym zawaleniu się kamienicy, w której przecież nie wybuchła beczka z prochem, w mgnieniu oka obiegała całe miasto. Oglądano zagrzebane w gruzach wielkie kule z szarego kamienia, pokazywano je sobie, dociekano i zgadywano skąd się wzięły. Jakiś mężczyzna, wypytywany przez żołnierzy, wycierał nos i wilgotne oczy rękawem — Kitar domyślił się, że to drugi syn właściciela domu, nie ten, którego znał. Obok lamentował niekompletnie odziany człowiek — być może jedyny mieszkaniec, któremu udało się uciec. Z ruin, częściowo spalonych, wydobywano ciała. Kapitan „Kołysanki” stał w tłumie gapiów i czekał. Niewiele ryzykował; nawet gdyby jakimś cudem ktoś w nim rozpoznał człowieka dobijającego się nocą do zamkniętego okna — nic by mu nie zrobiono. W Talancie, wojennym porcie, którego nazwę każdy pirat zawsze wymawiał z nienawiścią, było teraz bezpiecznie jak w domu. Wieczne Cesarstwo upadło tak nisko, a potrzebowało pirackich okrętów tak bardzo, że nikt tutaj nie był równie bezpieczny, jak kapitan okrętu spod czarnego żagla. Pokazałby palcem swoją „Kołysankę” i gończy urzędnik Trybunału odwróciłby się plecami, mamrocząc coś pod nosem — przeprosiny albo przekleństwa. Marynarze z „Kołysanki” musieliby chyba metodycznie zacząć palić miasto, dom po domu, by cesarscy wojacy wzięli się do roboty. Zrujnowana, należąca do „nikogo”, kamieniczka?... Obchodziła cesarskich akurat tyle, co zadźgany o północy w porcie pachoł, nie wiadomo komu służący.

Pewnie wypatrywał przybycia jakiegoś okrętu.

Wydobyto zmasakrowanego, nadpalonego trupa starca o siwych włosach. Potem zaczęto znosić ciała marynarzy, co ich stojącemu w tłumie komendantowi było bardzo nie w smak. Patrzył na swoich

żołnierzy i naprawdę szczerze żałował, że nie może im sprawić uczciwego morskiego pochówku. Dowódca powinien dopilnować takich spraw; był to winien swoim podkomendnym.

Znaleziono jeszcze kilka ciał, między nimi właściciele kamienicy — pozostałe dwa należały chyba do najemców izb, którzy mieszkali nad Przyjętymi.

Kitar czekał, czekał — i się nie doczekał.

W nocy izba płonęła. Być może konający Przyjęty spalił się niemal doszczętnie, a to, co zostało, przykryły gruzy. Najpewniej tak właśnie było. Ale Kitar lubił wierzyć tylko własnym oczom. Siwowłosa staruszek bez wątplenia był jednym z uczonych — Ridareta miała więc o jednego wroga mniej. Ale ten drugi...

Szerń Szernią, Pasma Pasmami. Kitarowi nie chciało się wierzyć, by Przyjęty — porąbany, popalony, miażdżony całymi spadającymi nań piętrami domu — wyszedł żywy z opresji. Niemniej jednak, trupa nie widział, a w zamian był wcześniej świadkiem, jak na ciele wroga zasklepiały się rany. Śmiertelne rany. Z czystym sumieniem mógł więc sobie teraz powiedzieć: „Chyba go zabiliśmy”.

Ale coś mu mówiło, że nie.

2.

Przyjęta obudziła się z krzykiem. Leczący popękane zebra Gotah wciąż potrzebował opieki — tymczasem to jemu przyszło opiekować się roztrzęsioną, z dnia na dzień tracącą siły żoną, z której zawieszona nad światem potęga uczyniła sobie żywą zabawkę.

Przyjęta zdradziła swego agarskiego sojusznika, któremu zawdzięczała ocalenie męża. Posłuszna rozkazowi pirackiego księcia, uciekła, zabierając Gotaha z pokładu przeklętego okrętu — ale nie wróciła na Agary, choć Raladan tego chyba od niej oczekiwał. Obiecała mu wyjaśnienia, powiedziała: „Zaopiekuję się twoją córką; zakończę tę nedorzeczną wojnę” — i uciekła. Porwała rannego, cudem odzyskanego męża daleko, jak najdalej... W bezpieczne miejsce. Do domu. Do pięknego, cichego domu w Dartanie. Nie docierała tutaj słona bryza morska; nie było przeklętych kobiet-Rubinów, morskich rozbójników, ani noszących groźne nazwy żaglowców...

Ale, niestety, nie było też spokoju.

Zgodnie z Dartańskim obyczajem małżeństwo Przyjętych zajmowało dwie położone obok siebie sypialnie. Zwlókłszy się z łóżka, Gotah pokuśtykał do drzwi, otworzył je i znalazł się w sypialni Kesy. Obudzona krzykiem chorej pani służka, stale obecna u jej wezgłowia, podawała właśnie pucharek napełniony wodą. Drżącymi dłońmi Przyjęta uniosła go do ust, rozlewając trochę wody na poduszkę.

— Idź — powiedział Gotah do niewolnicy. — Wrócisz, kiedy wyjdę.
Dziewczyna oddaliła się posłusznie.

Skrzywiony z bólu Przyjęty ostrożnie usiadł na brzegu pośłania. W półmroku — bo płonęły tylko dwie świece — niewyraźnie rysowała się blada twarz i błyszczące gorączką oczy Kesy. Nie oszczędzono jej niczego. Walczyła z Pasmami Szerni, które wciąż wracały, próbując uczynić ją boginią; zmagła się z rozterkami, a do tego jeszcze była po prostu chora. Przeziębiona.

— Jak długo to ma trwać? — zapytał Gotah. — Co mam zrobić, powiedz? Tak bardzo chcę ci pomóc... i tak bardzo nie umiem.

— Ja... próbuję... — odrzekła półprzytomnie, bo nie rozbudziła się do końca, a gorączka przeszkadzała zebrać myśli. Ale już dochodziła do siebie. Była naprawdę silna; zawsze w końcu udawało jej się skupić, odszukać sens i znaczenie słów męża. Nieprawda, że nie pomagał. Sama... pozbawiona wsparcia... nie umiała się zmusić do niczego. Odruchowo tylko stawiała nowe mury, zapory... Broniła się przed klątwą wszechmocy.

— Rozmawiajmy — poprosiła po raz nie wiadomo który w ciągu minionych kilku dni. — Rozmowa to... zewnętrzne myślenie.

A jednak milczeli, bo niewiele było do powiedzenia. Już dawno wszystko sobie wyjaśnili. Dwoje Przyjętych nie potrzebowało wielu słów, żeby się porozumieć.

Wszechmoc kosztowała. Nie mogła współistnieć ze świadomością. To dlatego Szerń była martwa i bezrozumna, podlegająca jedynie prawom matematyczno-przyrodniczym, nie zaś porywom serca i nakazom rozumu. Martwa potęgą rozpostarta nad setkami mil łądu, obojętna i zimna, nieczuła, mogła zawrzeć w sobie dowolnie wielką moc, powoływać do istnienia światy zamieszkane przez rozumne istoty — bo nie знаła bólu, przerażenia, rozpacz, nie wiedziała co to miłość i

nienawiść, nie miała żadnych rozterek. Szerń była tylko rzeczą.

Kesa nie.

Wiedziała już, dlaczego Największy Kraf, żywa część Szerni wyłoniona z nieożywionej potęgi, trwał w wiekuistym uśpieniu, swego rodzaju półśmierci, budząc się raz na wiele tysięcy lat, by w chwili krótkiej jak okamgnienie powołać do noszenia rozumu kolejny zwierzęcy gatunek. Kraf — czyli: nie-czuwający... Był nim właśnie dlatego, że wszechmoc nie mogła trwale współistnieć ze świadomością. Obumrzeć musiało jedno albo drugie.

Gdy obumierała świadomość, powstawała kolejna martwa i bezrozumna siła, podobna do Szerni. W coś takiego nieuchronnie przemieniali się wszyscy bogowie wszechświata.

Lah'egri, odnaleziona część Szerni, symbolizowała kiedyś treści Pasm. Ale nie wolno jej było do nich sięgnąć. Teraz, uzyskawszy przyzwolenie, sięgnęła kilkakrotnie. Bardzo, bardzo głęboko — nie tak jak Moldorn, który lekko dotykał Szerni, wyskubując z niej drobne okruszki. Dla ratowania męża Przyjęta brutalnie wtargnęła w treści wielu Pasm, zmuszając je do udzielenia jej pomocy. Ale całą duszą sprzęgła się z nimi. Naruszyła Równowagę i mogła ją przywrócić tylko na dwa sposoby: umierając i stapiając się z treściami Szerni, albo budując nowy ład. Odzyskując spokój. Własny.

Jedna myśląca, obdarzona świadomością istota; jedna dusza. Tyle wystarczało, by pomieścić potęgę, która — pozbawiona świadomości — rozpościerać się musiała nad setkami mil ładu...

Dusza Przyjętej przypominała naczynie, które połączono z innym. Rozpętana w tym naczyniu burza owocowała wahaniem poziomu cieczy w drugim. Należało unicestwić pierwsze naczynie — albo uspokoić burzącą się w nim ciecz.

Kesa próbowała uczynić to drugie. Ale zużywała wszystkie siły, broniąc się przed wiedzą, której udzielała jej Szerń. Wszechmoc... Nie, to było zbyt wielkie słowo... Prawdziwa wszechmoc, pozwalająca gasić i zapalać gwiazdy, na pewno nie istniała, a jeżeli nawet, to nie pod malutkim niebem Szereru. Ale nadludzka potęga? Tak. Szerń próbowała uczynić ją boginią.

Przyjęta chciała zostać sobą. Śmiertelniczką.

„Pamiętasz, jak mówiłam, że mogę zrobić właściwą rzecz we

właściwej chwili?” — przypomniała mężowi. „Słusznie obawiałam się skutków. Tamtej nocy bardzo czegoś chciałam i... dowiedziałam się o twoim losie. A wtedy wyszarpnęłam z Szerni wszystko, co mi było potrzebne... i sto razy więcej rzeczy zbędnych, ale jakoś widocznie... Wszystko to jest ze sobą połączone. Posiadłam ogromną wiedzę o sprawach, które mnie... które nas w ogóle nie dotyczą. Nie chciałam tego. Chciałam tylko ratować męża. Nie wiedziałam, że będzie to możliwe dopiero po przerwaniu wielkiej tamy, utrzymującej całe jezioro. Szerń przygniotła mnie tak, jakby mówiła „Chcesz ratować męża? Proszę bardzo; już możesz... A teraz muszę... uspokoić się. Znaleźć w tym wszystkim sens. Rozmawiaj ze mną. Przekonuj. Nie pomożesz mi w żaden inny sposób... ale to dużo. Dużo”.

Teraz znowu chciała rozmawiać.

— Mów ze mną — żądała. — Rozmawiajmy, proszę.

Gotah smutno pokręcił głową.

— Wszystko już powiedziałem. Nie umiem cię przekonać. Może się mylę, błędzę... a może...

— Powtórz stare argumenty, wymyśl nowe! — domagała się, zamykając oczy i przykładając dłoń do rozpalonego czoła. — Rób to przez cały czas... bo niedługo przestanę cię rozumieć. Rozmawiaj ze mną! Gdzie jest słuszność? Przy kim racja? Ja muszę wiedzieć, muszę mieć pewność... odzyskać spokój, równowagę. Chcesz, żebym zamieniła się w rzecz?... Mów: czy postępowałam słusznie? Czy mogłam postąpić inaczej?

Gotah milczał. Już na te pytania odpowiadał, a przynajmniej próbował.

Kesa podjęła głośnym szeptem, gorączkowo:

— Tylko popatrz: kierowani szlachetnymi intencjami ludzie wyruszają do walki o wielką, wielką sprawę... Czworó Przyjętych próbuje odsunąć od całego swego świata groźbę unicestwienia. Ceną ma być życie jednej małej piratki, zbrodniarki i okrutnicy. Wybór oczywisty. Ale kilka miesięcy później już nic nie jest oczywiste. Działania tych czworga Przyjętych przybliżyły do świata wizję katastrofy, zamiast ją oddalić. To ja zachwiałam Szernią, której Pasma uginają się teraz pod naciskiem Wstęg Aleru; nie wiadomo, jaki będzie tego skutek. To ty sprawiłeś, że Riolata spotkała się z Delarą. Czy teraz runie Feren?... Zaczne intencje i jak zwykle... opłakane efekty poczynań. Rosną długi zaciągnięte przez

szlachetnych zbawców świata wobec niegodziwców. Żyjesz, bo pirat, opiekun dziewczyny, którą chciałeś zabić i która się przed tym broniła, znalazł w sercu litość dla obcej kobiety, twojej żony. Nikt nigdy nie uczynił dla nas więcej. Ty jednak dla niego takiej samej litości nie znalazłeś. Wciąż polujemy na jego córkę; po Bezmiarach pływa okręt, którego kapitan za garść złota przyrzekł nam przywieźć jej głowę. Mało tego: ta dziewczyna, okrutnica, morderczyni... niczemu właściwie nie jest winna. Skrzywdzony dzieciak, któremu uczyniono coś nieludzko podłego. Najdosłowniej nieludzko... bo przecież mówimy o przedmiocie albo co najwyżej zjawisku. Odebrano jej życie i zaraz oddano, ale razem z niezmywalnym piętnem, z obrzydliwą klątwą. Ona... zmagła się i nadal zмага z czymś, czemu nie sprostałaby, być może, ścigający ją, szlachetni Przyjęci. Na pewno nie sprostałaby Przyjęta — słaba, samolubna kobieta, gotowa poświęcić wszystko... wielkie i szczytne cele... ideały... Wszystko dla małej, prywatnej sprawy: ocalenia jednego, bliskiego jej człowieka. Ta Przyjęta mogłaby mordować... torturować... Zbawczyni Szereru. To jest dobre? To jest sprawiedliwe? Taki świat chcemy ocalić i zachować? A niech szczeźnie.

— A jednak, Keso, tak właśnie jest — rzekł ze smutkiem, bo szczerze podzielał niektóre rozterki żony, tyle tylko że od spokoju jego sumienia bardzo niewiele zależało.

— Co? Co „tak jest”? — pytała niecierpliwie i bez mała gniewnie. — Co to znaczy: „tak jest”?

— Nie istnieją światy idealne; nic nie wiemy, jakoby istniały. Niepodobieństwem jest nawet stworzenie modelu takiego świata, matematycznego bądź filozoficznego... wszystko jedno, jakiego. Dotykamy tu problemów, od których chciałem się odzegnać raz na zawsze, bo to nawet nie jest ćwiczenie umysłu; raczej jego zamulanie. Czy nieistnienie jest lepsze od istnienia? Czy wolno powoływać na świat dziecko, które, nie istniejąc, na razie niczego nie żałuje ani nie pragnie, wkrótce zaś może pragnąć i żałować wszystkiego? Gdyby prawdą było, że najgorsze istnienie jest lepsze od nieistnienia, to nikt nigdy nie zginąłby z własnej ręki. Odgradzeni od samobójstwa strachem, instynktem przetrwania, mamy w sobie czasem dość rozpacz, by przełamać wszystkie bariery. Gdyby tego strachu i tego instynktu nie było, zaraz wyszłoby na jaw, jak „wspaniałym” darem jest świadome

życie. Ale ja mam... mam w pogardzie te problemy, Keso. Bo dotyczą wyłącznie światów wydumanych, bytów wydumanych, istot wydumanych... To pustosłowie i bełkot odwołujący się do nie wiadomo czego, a my przecież istniejemy realnie, tu i teraz.

— Tak, za sprawą martwego, ale za to wszechmocnego truchła, które sporządziło nasz świat zupełnie tak samo, jak spadający z urwiska kamień robi w ziemi dziurę. Zwykłe prawo przyrody, które opisać można za pomocą wzorów i liczb... Nienawidzę tego czegoś. Ja nie jestem kamieniem, nie jestem Szernią i nie mogę istnieć ani działać tak jak one. Bezmyślnie i beznamiętnie. Tak jakbym spadała z urwiska, miała zaś za zadanie wybić w ziemi dziurę albo odbić się od niej, jeśli będzie twarda i skalista.

— Ale nikt tego od ciebie nie żąda. Bezmyślność? Przecież... Posłuchaj mnie, Keso — rzekł powoli i dobitnie Gotah, bo przyszło mu naraz do głowy, że pozwolił się sprowadzić żonie na manowce; poszedł za nią jak cieleń na sznurku i nigdy nie powie nic mądrego, skoro przyjął tok rozumowania półprzytomnej, rozdygotanej kobiety. — Posłuchaj naprawdę uważnie. Otóż rzecz w tym, że żądasz niemożliwego. Chcesz odpowiedzi? To umieraj, bo nie dostaniesz. Nikt nie rozstrzygnie wszystkich twoich wątpliwości i rozterek. Ani twoich, ani żadnych innych tej miary. Przyszło nam żyć w świecie pełnym sprzeczności i jedyne, co może uczynić istota prawdziwie rozumna, to pogodzić się z tym. Rozstrzyganie, że to jest dobre, to złe, to jedynie słuszne, a tamto niesłuszne, należy pozostawić głupcom. Nieszczęśnikom, którzy muszą poukładać sobie świat, bo w normalnym, niepoukładanym, jest im niewygodnie. I nędznikom szukającym usprawiedliwień dla swych czynów. Szerń ma reguły, którym podlega — ty masz rozum, którego używasz, i porywy serca, za którymi idziesz. Przecież wiemy, że jedno i drugie, myśli i uczucia, to właśnie odbicie reguł, którym podlegają Pasma Szerni.

— Tak, Prawa Całości.

— Prawa Całości. Pomyśl, co to znaczy. Kierując się rozumem i sercem, zawierając przy tym różne kompromisy, zrobiliśmy to, co zrobiliśmy. Pozostaliśmy wierni swoim przekonaniom, wierni sobie. Nie sprzeniewierzyliśmy się niczemu, nie zostały złamane żadne prawa. Złamałobyśmy je wówczas, gdybyśmy dobrowolnie działali wbrew

uczuciom i wbrew rozumowi.

— Właśnie usprawiedliwiłeś, najdroższy, każdego kto wtargnie do naszego domu, by zgwałcić i zabić twoją żonę, ukraść zaś kosztowności — zadrwiła gorzko. — Skoro rozum temu komuś podpowiada, że w ten sposób wyjdzie na swoje, chętkę zaś na piękną Kesę miał od dawna...

— Tak — uciał Gotah.

— Co: tak?

— Usprawiedliwiam.

I Kesa zrozumiała, co próbuje wytłumaczyć jej mąż.

Milczała przez długą, długą chwilę.

— Chyba... słusznie — powiedziała niemal bezgłośnie, lekko marszcząc wspaniałe brwi i wpatrując się gdzieś, w głąb mrocznego pokoju.

— Ty zaś zechciej usprawiedliwić mnie — dodał (zgoła niepotrzebnie) Gotah — gdy na widok włamywacza, idąc za głosem serca i rozumu, roztrzaskam mu głowę kandelabrem. Czy zgodzisz się, byśmy takiego zdarzenia nie rozpatrywali w kategoriach dobra i zła, słuszności bądź jej braku, a tylko widzieli w tym potwierdzenie reguły przyrodniczo-matematycznej, jedno z Praw Równowagi?

Rozpłakała się nagle, ale i szczerze uśmiechnęła przez łzy — po raz pierwszy od dłuższego czasu.

— Jesteś mądry i bardzo cię kocham — powiedziała, rozmazując łzę na policzku.

— Przyrodniczo i matematycznie — rzekł z dobrodusznym sarkazmem, dotykając ustami drugiej łzy i powstrzymał się od okrzyku, bo nieludzko przy tym zaboląły go żebra. — Ani słusznie, ani niesłusznie.

Maskując ból i wysiłek, stanął obok łóżka.

— Próbujesz złapać równowagę, nieustannie skacząc po rozchybotanych kamieniach. — Gotah był poczciwie nieznośny ze swoją skłonnością gaduły do szukania wciąż nowych przybliżeń i mnożenia uroczych przypowieści. — A tymczasem tracisz tylko siły. Stań na twardym gruncie i dopiero wtedy przyjrzyj się kamieniom, oceń, które są rozchybotane, które nie... Śpij, a przed zaśnięciem pomyśl, co powinniśmy robić dalej. Pomarż sobie o tym do poduszki.

— Ale tego, co zrobiliśmy, nie można przecież unieważnić.

— Nie ma takiej potrzeby. To, co zrobiliśmy dotąd, jest ogromnie

ważne, bo czegoś nas nauczyło, zarazem zaś nieważne o tyle, że już się nie odstanie. Znacznie większą odpowiedzialność, Keso, ponosimy za to, co jeszcze zrobimy, niż za to, co już uczyniliśmy. Myślenie o przyszłości jest... konstruktywne. A więc myśl o niej, bo jesteś mądra i od twoich decyzji bardzo dużo zależy. Rano powiesz mi, co wymyśliłaś. A wtedy chętnie posprzeczam się z tobą.

*

Jednak do następnej poważnej rozmowy doszło dopiero trzy dni później.

W przestronnym ogrodzie upał nie doskwierał. Piaszczyste alejki wiły się w cieniu drzew, opasywały kilka małych sadzawek, kładły się wzdłuż równych żywopłotów. Ładny dom, piękny ogród, pracowita i wierna służba...

Po błękitnym niebie wolniutko przemieszczały się białe obłoki. Kesa leżała na trawie przy sadzawce, patrzyła na chmury i bawiła się wrzucaniem kamyczków do wody. Miała na sobie lekką domową sukienkę z białego jedwabiu, rozciętą tu i ówdzie, spiętą złotym motylem na piersiach i przepasaną łańcuszkiem — była to szatka podobna trochę do noszonych przez niewolnice, chociaż, oczywiście, o wiele staranniej i szykowniej wykonana. Patrzący na żonę Gotah poczuł się śmieszny — bo sentymentalny. Gdy zobaczył ją po raz pierwszy, miała na sobie strój bardzo podobny... Teraz zrobiło mu się ciepło koło serca.

Nie słyszała, jak nadchodził. Nie chciał jej przestraszyć, więc cichutko kaszlnął. Obejrzała się przez ramię.

— O... tak — powiedziała z nieoczekiwaną powagą. — Popatrz na ten ogród i tam dalej, na ściany naszego domu... Widzisz? To teraz usiądź tutaj, obok mnie. Właśnie myślałam o domu, ogrodzie, służbie... Zdążyłam jeszcze pomyśleć o tobie i od razu przyszedłeś. Mam wszystko. I już nigdy tego nie zostawię.

— Ani ja — rzekł Gotah, z niejakim trudem lokując wciąż obolałe ciało na trawie.

Delikatnie dotknął palcem ciemnej brwi żony. Przesunął wzdłuż wygiętej linii.

— Będę tu tak z tobą siedział i siedział — dorzucił. — Choćby do końca życia.

— Naprawdę? Czy tak tylko sobie mówisz? — zapytała wciąż z tą

samą powagą.

Zdziwił się.

— A ty?

— Ja mówiłam poważnie.

— Hm... — mruknął pod nosem i spoważniał tak samo jak ona, bo zrozumiał, co miała na myśli. — Wiem, że masz dosyć przygód, ale...

— Nie chcę słyszeć żadnego „ale”. Rzucam wszystko, zostawiam. Uciekam. Tutaj jest mój dom, moje schronienie. Wychodząc z niego, krzywdzę siebie i innych. Gorzej, bo nie jestem zwykłą kobietą, lecz Przyjętą. Mogę skrzywdzić... po prostu cały świat. Naruszyłam równowagę Szerni — mówiła cicho i spokojnie, ale bardzo stanowczo. — Wygląda na to, że nic się nie stało, ale może wystarczyło tylko trochę mocniej poruszyć Pasmami, żeby...

— Keso...

Uparła się.

— Nie. Już dosyć tego. Niemądrej zabawy w ratowanie świata. Gdy przyjdzie tu jakiś zbawiciel, zaraz mi go pokaż, a najlepiej od razu rozkaż spuścić psy. Będzie to akt miłosierdzia, bo Szerń wprawdzie zostawiła mnie w spokoju... ale wiem i pamiętam dość dużo, żeby nasz gość miał się z pyszna. Lepiej niech ucieka przed psami.

Choć Gotah zdołał zrobić wyłom w murze, to jednak walny szturm do twierdzy Kesa przypuścić musiała sama. I wygrała — ale poniosła straty. Jak to w bitwie.

Postradała całą odwagę.

Roześmiała się nagle, bo był to dzień, gdy kolejno ziszczało się wszystko, o czym mówiła, albo nawet tylko myślała. Wielkie kosmate zwierzę, zziajane, z ociekającym śliną ozorem wywieszonym z pyska, wypadło właśnie z za żywopłotu i radośnie rzuciło się na panią, której tak długo, tak straszliwie długo nie było w domu... Zbyt długo dla wiernego psiego serca.

A od kilku dni znowu była!

Kesa lubiła psy. Mieli trzy; nazywały się Pancierz, Wełna i Grombelard. Psisko łapczywie napiło się z sadzawki i znowu skoczyło na Kesę. Przygnieciona do ziemi, śmiejąc się i broniąc tyle o ile, Przyjęta pozwoliła Grombelardowi „ucałować się” w nos i policzek. Miała po tym mokrą całą twarz.

— A... fu! — powiedział Gotah, który też lubił psy, jednakże bez przesady. — Najpierw on, potem ja... Leżeć! Grombelard, leżeć!

Grombelard słuchał swego pana tak, jak wszystkie psy swoich panów... jeśli oprócz tego miały panie. Pognał alejką z powrotem, uradowany gwizdaniem pachotka, który opiekował się całą sforą. Pachot, hah! Ten to był bardzo mądry, rzucał patyk! Nie to, co Gotah. Gbur, którego nie można pocałować.

— Sam widzisz — rzekła, wycierając twarz, i Gotah zrozumiał, że znajduje się na przegranej pozycji. Skoro argumentu mógł dostarczyć nawet uśliniony Grombelard.

— Dobrze — powiedział sucho, bo potrafił rozpoznać babskie „Nie i już!”. — Niech tak będzie. Grunt, że wyzdrowiałaś. Nie leż na gołej ziemi, ciągle pokasłujesz — napomniął.

Podniósł się i ruszył do domu.

— Ale... — powiedziała. — Ty... nie gniewasz się?

Gotah stanął. I może po raz pierwszy w życiu odezwał się do żony ostrym tonem:

— Nie, Przyjęta, nie gniewam się. Rozumiem i poniekąd przyjmuję do wiadomości twoje argumenty. Podzielam punkt widzenia, ależ tak. Tyle tylko, że po Bezmiarach wciąż pływa opłacony przez nas łowca głów. W Talancie czekają nasi towarzysze, jeśli nawet nie przyjaciele. Gdzie indziej czeka na ciebie wódz pirackiej floty i księżę pirackich wysp, któremu coś obiecałaś...

— Ale...

—...i jeśli połowa z tego, co o nim mówią, jest prawdą, to ten człowiek pewnego dnia znajdzie ten dom, ten ogród, twoje psy i ciebie. I czekają na mnie... uśmiejesz się... moi żołnierze. Ludzie, których wynająłem za pieniądze, którzy mnie bronili, a teraz jęczą w niewoli. Nie wiem, ilu z nich żyje, może już tylko jeden albo dwóch; to obojętne. Nie, już nie będę zbawiał świata. Idę tylko załatwić te sprawy. A potem wrócę do tego domu, tego ogrodu, tych psów... Przede wszystkim do ciebie, Keso.

Poszedł w stronę domu.

Ktokolwiek był na dworze cesarzowej w Kirlanie, a następnie przyjechał do Rollayny i porównał go z dworem władczyni Dartanu, ten już wiedział, gdzie mieści się stolica Szereru. Ktoś taki bez kłopotu mógł udawać jasnowidza-wróżbitę, wyrokując o zdarzeniach i zmianach mających nastąpić w ciągu najbliższych pięciu lub dziesięciu lat. Dwory obu monarchiń były bardzo podobne, a zarazem tak różne, jak to tylko możliwe. Tu i tam w świetnych wnętrzach przelewał się stubarwny tłum domowników, urzędników, petentów — ale były to różne tłumy. W Dartanie wszyscy czegoś chcieli, o coś zabiegali, na setki uczciwych i nieuczciwych sposobów budowali swoją przyszłość, kariery, pożąдали stanowisk, zaszczytów, próbowali wkraść się w łaski osobistości znamienitszych od siebie, a zazdrośnie strzegli przywilejów przed mniej znamienitymi. Tymczasem w Armekcie królował nastrój wyczekiwania. Wszyscy wszystko odkładali na później; pałac Najgodniejszej Cesarzowej przypominał dom, którego mieszkańcy gotowi są do podróży, lada chwila mają wyjść za próg, niczego więc już nie robią, bo nie warto. Najpierw podróż — potem wszystko inne.

Nie o podróż jednak chodziło, lecz o wojnę. Być może najważniejszą w armektańskich dziejach.

W Dartanie nikt o wojnie nie myślał. Było jasne, że wkrótce nastąpi, ale liczyło się tylko to, co potem. Dartańczyk Czystej Krwi żył już kiedyś pod panowaniem Kirlanu; teraz miał własną władczynię w Rollaynie, ale gdyby znowu miała ją zastąpić armektańska cesarzowa... No cóż. Należało to brać pod uwagę i postępować roztropnie — tylko tyle. Patrzono daleko w przyszłość.

Armektańczycy próbowali uratować i zachować przeszłość.

Szczupły mężczyzna o chłopięcej twarzy, w której nikt nie doliczyłby się trzydziestu jeden lat, widział te wszystkie różnice. Był armektańskim wtrętem w dartańską rzeczywistość. Mijając nielicznych halabardników, szedł pustym korytarzem jednego z wieżowych skrzydeł pałacu, podczas gdy w środkowej parterowej części przelewały się tłumy. Z tysiąca obecnych w tym domu ludzi był jedynym, który nie miał nic do zrobienia, nie załatwiał żadnej sprawy, za nic nie odpowiadał, niczego nie planował, ani nawet nie pożywał. Jego przeszłość unieważniono, przyszłość zaś wpisano w zimne mury tego domu.

Armektański książe, brat cesarzowej, noszący w Dartanie tytuł Jego

Królewskiej Wysokości.

Nikt. „Małżonek”, częściej jednak „Książę Zajączek”. Łagodnie przepędzany z kąta w kąt przez służbę. Grzecznie powstrzymywany przez pałacowe strażę przed wchodzeniem do tych, to znów innych pokoi. „Z rozkazu królowej”. Bywało, że Książę Zajączek musiał szukać okężnej drogi do własnej sypialni, bo sąsiadowała z sypialnią jego królewskiej małżonki, najkrótszą drogę zaś zagradzały pokojeienne, w których królowa Ezena — bywało, że do późnej nocy — podejmowała gości, prowadząc trudne negocjacje, załatwiając sprawy państwowe... Jego Królewska Wysokość Książę Zajączek nie mógł ni z tego, ni z owego rozpraszać monarchini i jej wysoko postawionych gości spacerami z komnaty do komnaty.

A może miałyby ochotę trochę poszpiegować na rzecz najgodniejszej siostry w Kirlanie?...

W olbrzymim pałacu dartańskich władców znalazł tylko jedną istotę, która miała dlań coś więcej niż grzeczną obojętność. Uśmiech, plotkę, krótką rozmowę o niczym... Cichy, łagodny mężczyzna, mający w żyłach najszlachetniejszą krew Szereru, ukradkiem i wstydliwie zakochał się chłopięcą miłością w niewolnicy, która umiała w nim dostrzec człowieka. Nie Armektańczyka, nie małżonka królowej i na pewno nie Księcia Zajączka. Widziała i potrafiła zrozumieć urodzonego na stopniach cesarskiego tronu, a jednak zupełnie zwyczajnego, przedwcześnie owdowiałego i nieszczęśliwie ożenionego po raz drugi, łagodnego człowieka, dla którego w świecie pod Pasmami Szerni nigdzie nie było miejsca.

Książę Awenor, noszący to samo dumne imię, co surowy i władczy cesarz-ojciec, szedł pustym i zimnym korytarzem, tęskniąc do króciutkiej, zdawkowej rozmowy z uśmiechniętą Czarną Perłą królowej, śliczną Hayną, która udała się w podróż i nieprędko miała wrócić do Rollayny.

Na szczęście istniał w tych murach jeszcze jeden maleńki okruszek ciepła. Różowa drobina, której istnienie nadało życiu księcia Awenora sens. Sens o wiele dlań głębszy niż próba przypiecztowania sojuszu dwóch mocarstw.

Miał już kiedyś taką małą gwiazdkę — ale zgasła.

Wymoszczona puchową pościelą kołyska stała w niszy pod oknem,

przez które wlewało się żółte światło słońca. Na widok wchodzącego do komnaty Małżonka mamka i starsza piastunka wstały i pokłoniły się. Piastunka położyła palec na wargach, przestrzegając tym gestem, że maleńki następca tronu śpi. Obie kobiety uśmiechnęły się, gdy jego królewska wysokość z wielką ostrożnością podszedł na palcach. Były mu życzliwe; widziały codzienną troskę i najszczerzą ojcowską miłość, zupełnie oderwaną od planów dynastycznych, trosk o stabilność państwa... Awenor schylił się nad kołyską, tłumiąc śmiech. Pięciomiesięczne stworzenie, rozkopane, w króciutkiej do pępka koszuli, wygrzewało się w promieniach słońca, z maleńkimi pięściami zaciśniętymi na wysokości skroni. Książę Zajączek, nieskłonny do sprzeczek, uległy, postawił jednak na swoim, gdy poszło o opiekę nad synem. Nie pozwalał go przegrzewać, co było nagminne w Dartanie. Przy ładnej pogodzie maleńki Lewin stale przebywał pod gołym niebem, odziany tylko w lekkie szatki i czapczkę dla ochrony przed słońcem; spocone, okryte kołderkami po same oczy dartańskie niemowlaki mogły tylko zazdrościć następcy tronu rozsądnego ojca Armektańczyka. A ojciec ten miał dla synka coś jeszcze, mianowicie delikatny i opiekuńczy dotyk ramion, szorstki męski policzek przytknięty do gładkiego policzka dziecięcego... Narzązał się na śmieszność — bo dartański magnat opiekę nad dziećmi bez reszty pozostawiał kobietom. Syn zaczynał dlań istnieć dopiero po osiągnięciu „małej pełnoletności”, a więc wieku dziewięciu lat. Jako aldey — mały mężczyzna — przechodził pod władzę rodziciela, który miał go odtąd wdrażać do dwóch rzeczy: mordowania zwierząt i ludzi. Bo tylko dwa zajęcia, tak naprawdę, były godne dartańskiego magnata-rycerza, mianowicie polowanie i wojaczka, a z jej braku — orężne turnieje.

Armektańska tradycja była tu jeszcze surowsza. Jednocześnie jednak, w Armekcie nie wstydzono się kochać dzieci. Podczas gdy w rycerskim Dartanie uważano to za rzecz plebejską, a w najlepszym razie — kobiecą.

Królowa Ezena — o pochodzeniu której krążyły najróżniejsze opowieści — będąc wcieleniem królowej Rollayny, tak jak ona miała w żyłach przynajmniej połowę armektańskiej krwi. Najprawdopodobniej była nieślubnym dzieckiem starego władcy Puszczy Bukowej, księcia K.B.I.Lewina, który uciekł się do prawnego wybiegu, jakim było

poślubienie własnej córki, o istnieniu której nikt nie wiedział... Tylko w ten sposób mógł przekazać jej majątek, pozycję, monogramy rodu i skierować na drogę do tronu. Tak mówiono.

Jednakże, nawet jeśli królowa rzeczywiście była półkrwi Armektanką, to — zupełnie po dartańsku — powiła nie syna, a dziedzica królewskiej korony. Zapewniła ciągłość dynastii i była głęboko przekonana, że na tym na razie jej rola się kończy. Dla dziecka spłodzonego z należycie urodzonym, ale niekochanym i lekceważonym mężczyzną, nie miała zbyt wiele cierpliwości i czasu. Kochała je, oczywiście że kochała, ale... Może za parę lat... Książę musiał przecież starannie się wyuczyć królewskiego rzemiosła, do którego został przeznaczony, a któż miał go uczyć, jak nie matka?

Należało jeszcze dać mu brata, by żadne przykre zrządzenie losu nie pokrzyżowało planów dynastycznych.

— Jadł?

— O... jak niedźwiedz. — Młoda kobieta uśmiechnęła się, chyba odruchowo przykładając dłoń do piersi.

Była to dobra wiadomość, bo rano mały książę popłakiwał i nie miał apetytu.

— Jego malutka królewska wysokość gotów jest zagłodzić swoją mleczną siostrę — dodała z żartobliwym wyrzutem mamka, spoglądając ku drugiej kołysce.

— Nie pozwolimy na to — zapewnił Awenor, spoglądając na rumianą twarz dziewczynki śpiącej równie głęboko, jak chłopiec. — Czy nie trzeba ci... pomocy?

— Nie, naprawdę — odparła zarumieniona. — Pozwoliłam sobie żartować, wasza królewska...

— Jednak, gdyby to przestały być żarty, nakazuję ci natychmiast powiedzieć mi o tym. Ani ty, Yalmo, ani twoje dzieci nigdy nie zaznacie głodu, masz na to moje słowo — rzekł poważnie. — Przyjdź do mnie zawsze i z najbardziej błahym zmartwieniem. Karmisz mojego syna. Nigdy ci nie powiem, że nie mam dla ciebie czasu.

— Dziękuję, wasza wysokość — powiedziała szczerze dziewczyna, unosząc wzrok i spoglądając na Awenora ładnymi, osadzonymi w miłej choć pospolitej twarzy, oczyma.

— Mam... prośbę — rzekł Awenor, prostując się i spoglądając na

kobiety. — Gdy moja królewska małżonka przyjdzie pocałować syna na dobranoc, nie mówcie... nie wspominajcie, że rano brakło mu apetytu. Oczywiście, jeżeli zapyta — dodał pospiesznie — trzeba powiedzieć prawdę.

Starszej piastunce takie „intrygi” nie bardzo się podobały. Ale Yalma powiedziała:

— Tak, wasza wysokość. Księżę na pewno nie jest chory, po prostu chciał pokapryścić.

— Tak myślę.

Gdyby wyszło na jaw, że następca tronu rano nie jadł, przez cały następny dzień byłby dręczony przez medyków i jakieś stare kwoki, gotowe go „przemierzać”, obwiązywać nóżki, ugniatać brzuch i zwilżać wnętrze ust paluchami umaczanymi w nie wiadomo czym. Awenor uważał, że są to praktyki, którym można poddać zbrodniarza w lochach Trybunału, ale nie biedne dziecko, które ośmieliło się przez chwilę nie mieć apetytu.

Księżę Awenor, nie budząc syna, delikatnie pocałował go w czoło, skinął w odpowiedzi na ukłon kobiet i wyszedł.

*

Zgodnie ze starym obyczajem, na królewskim dworze załatwianiu spraw państwowych poświęcone były parzyste dni tygodnia — w nieparzyste dartańscy władcy odpoczywali. Był to podział sztuczny i nieprzestrzegany; w rzeczywistości dni parzyste służyły po prostu oficjalnym audiencjom i głośnym ceremoniom, nieparzyste zaś załatwianiu spraw bardziej dyskretnych, nienagłaśnianych. Prowadziło to do absurdów. Delegacja stołecznych sprzedawców wody z petycją, z której przyjęcia albo odrzucenia nic nie wynikało, mogła liczyć na posłuchanie w sali tronowej i sycić oczy widokiem królewskiej purpury oraz korony na skroniach monarchini. Następnego zaś dnia asystował królowej przy śniadaniu wielki pan z prowincji, oglądający jej wygodną domową szatkę i splecione w zwykły warkocz włosy, a na koniec unoszący lekko poplamiony winem, trochę krzywo napisany dokument, z którego wynikało, że cech kupców bławatnych z jego miasta ma wyłączność na dostawy sukna dla przybocznych królewskich chorągwi — czyli czterech tysięcy jeźdźców i tyluż okrytych kropierzami koni — a oddziałom tym towarzyszyły przecież odpowiednie służby... Krótko

mówiąc, w parzyste dni królowa z wielką pompą przyjmowała tych, których musiała przyjąć, w nieparzyste zaś tych tylko, których przyjąć chciała.

Niepewna siebie, wyraźnie skrępowana kobieta z dalekiego Seyenu prosiła o prolongatę spłaty długu — była to prośba skierowana nie tyle do monarchini, co księżnej Sey Aye, pani Dobrego Znak, najbogatszej kobiety Szereru. Jej królewska wysokość dobrze się bawiła, wiedziała bowiem, że prosząca jest matką powszechnie znanego utracjusza, który mógł przehulać i przepić każdą ilość złota. Zarazem jednak była w swoich stronach bardzo wpływową osobą. Królowa — czy też raczej pani Dobrego Znak — chciała sobie obejrzeć dłużniczkę i z tego tylko powodu nie zostawiła sprawy swojemu skarbnikowi. Przyjęła magnatkę w pokojach Pierwszej Perły, bo akurat tam przebywała.

Świetnie urodzona, ale trochę dzika prowincjuszka stała przed obliczem ubranej w ciężkie brokaty, siedzącej na miękkim krześle, korpulentnej, ale bardzo pięknej pani, która niedbale opierała boscie stopy na nagich plecach niewolnicy. Rozmawiała z nią ta ostatnia. Głos brzmiał trochę niewyraźnie, bo leżąca miała policzek wsparty na przedramieniu i nie unosiła głowy.

— Wasza wysokość... Przecież zdajesz sobie sprawę, że te pieniądze przepadły raz na zawsze. Twój syn nie inwestował ich, lecz wydał na dziwki i przepił. Kolejna prolongata? Poproś raczej, pani, o umorzenie długu. Po spełnieniu pewnych warunków... nie będzie to niemożliwe.

Niewolnica, szczególnie o takim statusie, zawsze miała prawo mówić w imieniu swojej pani. Niemniej, jeśli ta pani była obecna przy rozmowie, świadczyło to o jawnym lekceważeniu rozmówcy. Cała sytuacja była zresztą niezmiernie upokarzająca. Nieszczęsna dłużniczka miała coraz bardziej czerwone policzki.

— A o jakich warunkach mówimy?

— O zrzeczeniu się przez twego syna, pani, pewnego urzędu... Wasza księżęca wysokość wiesz przecież, o czym mówię?

Tytuł zabrzmiał trochę lekceważąco — bo też takich ksiąząt, uhonorowanych tytułami nie wiadomo za co, biegało po Dartanie całe mnóstwo. Staroksiążęcą koronę nosili na swych skroniach tylko właściciele Puszczy Bukowej, władcy Dobrego Znak.

Petentka uniosła nieco wzrok, lecz napotkała obojętny uśmiech i

trochę nieobecne spojrzenie siedzącej.

— A więc pospolity handel — powiedziała z godnością.

— Zamiast pospolitego niepłacenia długów... Tak.

Zaległo krótkie milczenie.

— Ja... powinnam to przemyśleć.

— Oczywiście.

Już nic więcej nie było do powiedzenia. Zdruzgotana dłużniczka pokłoniła się i wyszła.

Ezena parsknęła śmiechem.

—

— Trochę niżej — poleciała. — Mmm... O, tak.

Zręczne palce stóp Perły ugniatały jej obolały kręgosłup. Królowa wstrzymała oddech, a potem zamruczała z błogością.

— Ozłocę cię za to, mmm...

— O nie, tylko nie to — powiedziała z niechęcią Perła, odgarniając nieco fałdy swej brokatowej sukni i przesuwając stopę ku lędzwiom leżącej. — Wysił się i wymyśl coś innego. Mam tyle pieniędzy, że już nie wiem, co z nimi robić.

— A co się zwykle robi z pieniędzmi?

— Wydaje się je. Ale ja nie mam na co. Jestem niewolnicą. Nie mogę mieć domów, dóbr ziemskich, własnych niewolnic, niczego z czym się wiąże spisany akt własności. A sukni i klejnotów mam tyle, że już zaczynam je gubić.

— Gubisz suknie?...

— Przecież nie na korytarzach. Ale od dawna nie wiem, ile w ogóle ich mam. Ani gdzie.

— Niewdzięcznica.

— Ja? To ty nie potrafisz się odwdzińczyć!

Lekko pchnięta nogą Ezena leniwie przetoczyła się na grzbiet, rozsypując na kobiercu granatowoczarne włosy. Przeciągnęła się i znowu roześmiała. Miała na sobie leciutką domową szatkę: czerwoną sukienkę bez pleców, związaną na piersiach kremowożółtą wstążką.

— Dobrze, Anesso — powiedziała. — Wymyślę coś specjalnie dla ciebie. Ale pod jednym warunkiem: przestań wreszcie tyć! A jeszcze lepiej: schudnij!

Perła szczerze się obraziła.

— Próbowałam.

Jeśli tak było w istocie, to skończyło się na dobrych chęciach. Piękna blondynka z najlepszej hodowli Szereru była, jak to się mówi, kobietą co najmniej przy kości.

Skądinąd, stanowiło to widomy dowód jej siły i władzy, jaką miała nad swoją panią. Gruba z obżarstwa i lenistwa Perła — tak beztriosko popsuty najdroższy bibelot Szereru — to był widok zgoła niespotykany. Na coś podobnego mogła sobie pozwolić... królowa, władczyni. I to silna władczyni. Nikt inny. Gdyby w jakimś magnackim pałacyku powitała gości tak zaniedbana niewolnica, odebrano by to jako kpinę, afront, wyraz lekceważenia. Właściciela nie mogło reprezentować byle co. To dlatego biedna prowincjuszka pomyliła królową z niewolnicą. Było przecież zupełnie niemożliwe, by władczynię Dartanu reprezentowała gruba Perła.

Jednak królowa Ezena do rozmów z możnymi panami królestwa mogłaby oddelegować nawet konia. Nikt nie śmiałby szepnąć drugiemu, że coś tu jest nie w porządku.

Stało za nią nie tylko wiele świetnych Domów, którym miniona wojna przydała znaczenia i blasku. Miała poparcie, jakiego nigdy nie uzyskał żaden dartański władca: została pokochana przez lud. Była to w Złotym Dartanie lekceważona, niedostrzegana, a nawet nieprzeczuwana siła, która okrzepła pod rządami zdobywców z Kirlanu. Pierwsza Prowincja Wiecznego Cesarstwa pozostawała nią zbyt długo, by nic się nie zmieniło w świadomości milionów prostych ludzi. Okazało się, że nie ma już powrotu do sytuacji sprzed wieków. W prywatnych dobrach nadal siedzieli ciemni półniewolnicy — ale tylko tam. W przejętych przez dartańskie państwo majątkach Wiecznego Cesarstwa wszystko wyglądało inaczej, żyli w nich mający swoje prawa wolni ludzie, których powinnością było składanie daniny bądź płacenie podatków — i niewiele więcej. Królowa nie mogła i nie chciała odebrać tym ludziom przywilejów, do których przywykli. Utrzymała wszystkie i w mgnieniu oka stworzyła dartański naród, który stał za nią murem. Te chłopskie i mieszczańskie masy jeszcze niedawno należały do „ludów Szereru”, miały mówiącego obcym językiem władcę, siedzącego w dalekim Kirlanie... Przemienieni w poddanych własnej królowej, poczuli się Dartańczykami.

Koczownicze armektańskie plemiona, nim stworzyły księstwa, a później potężne królestwo, nieustannie się zwalczały, ale określiły swą tożsamość przede wszystkim w odniesieniu do potworów z ziem Aleru; prawdziwym „obcym” był podobny do zwierzęcia Alerczyk, nie zaś arm — czyli człowiek. Bardzo krótka stąd wiodła droga do wyłonienia arm eini, prawdziwego człowieka, człowieka Czystej Krwi, broniącego Armektu — Kraju Ludzi. Nie był nim przybysz z dalekiego południa, który nigdy nie widział półzwierzęcych alerskich hord. Armektański naród powstał wcześniej niż królestwo zwane Armektem, potem zaś to królestwo pokazało podbitym ludom coś nowego i nieznanego, nieobecnego w świadomości kmiecia, dla którego świat kończył się za miedzą, a jedynym panem był „dobry dostojny pan rycerz z wielgaśnego zamku wedle boru”.

Teraz jednak bardzo wielu nosicieli świetnych nazwisk nie umiało się pogodzić z taką nową-starą rzeczywistością. Z Królestwem Dartanu, w którym niewiele się zmieniło oprócz nazwy i siedzącej na tronie osoby. To nadal przypominało prowincję Wiecznego Cesarstwa, urządzoną na armektańską modłę.

Jakimikolwiek ścieżkami biegły myśli pięknej grubaski w brokatch, dotarły do tego właśnie miejsca.

— Przyjmiesz ją jutro? — zapytała.

— Kogo? A, tę... jej książęcą wysokość panią B.Rasalenę?

— Mhm. Stroisz sobie żarty z takich ludzi, ale to oni cię mają obronić przed zakusami Armektanki.

— O nie, nie — powiedziała królowa, poważniejąc. — To ja ich obronię przed nią. Są bezpieczni tak długo, jak długo mieszkam w tym pałacu. Kirlan nie zapomni, ile Domów stanęło po mojej stronie podczas minionej wojny. I gotów jest wystawić rachunki.

— Mylisz się, Ezenko. Twoja władza jest władzą strachu, tu masz rację. Wiedzą, że cofając swoje poparcie dla ciebie, zdają się na łaskę Kirlanu. Ale już niedługo przyjdzie komuś do głowy, że wycofanie poparcia powinno nastąpić warunkowo. Przehandlują cię za obietnicę bezkarności. I Armekt podbije Dartan po raz drugi w ten sam sposób, w jaki zrobił to po raz pierwszy. Rękami dartańskich rycerzy.

— Przesadzasz.

— Nie, wasza wysokość. — Gdy Anessa mówiła „wasza wysokość”,

to oznaczało, że rozmowa jest skończona... albo przeciwnie: prawdziwa rozmowa dopiero się zaczyna. — Nie przesadzam. Te ręce dartańskich rycerzy nie muszą być zaciśnięte na mieczach. Wystarczy, że będą założone na piersiach. Zapomniałaś już, co było trzy lata temu?... Chłopi, rybacy i mieszczauchy, oni wszyscy mogą czuć się Dartańczykami, a nawet rdzennymi Dartami. Ale dartański rycerz nikim się nie czuje. Tylko sobą, nosicielem swoich rodowych monogramów, spadkobiercą chwały swego Domu. Przyspiesz tę wojnę! Na razie nie musisz się opierać na kopiach swoich wasali, masz dość żyjącego z żołdu wojska, by Armekt rozpadł się pod jego uderzeniem. Ale to się zmieni.

— Mówisz i mówisz.

— A ty zacznij mnie wreszcie słuchać. Cesarzowa Werena jest taka sama, jak ty: uparta baba nie bojąca się niczego, a najmniej stojących przed nią problemów. Rozwiąże je po kolei. Zanim się obejrzysz, będzie miała armię, która rozniesie twoje wierne chorągwie; wystarczy, że największe Domy dartańskie zachowają bierność. Dzisiaj to się nie uda, rycerstwo musiałoby czynnie poprzeć Kirlan, by sprowadzić na ciebie klęskę. Nikt tu jeszcze nie jest gotów na coś podobnego. Ale za kilka lat?

— Nie wydam jutro wojny Armektowi, Perło — powiedziała sucho Ezena, wciąż leżąc na podłodze, niemniej przetaczając się na bok i podpierając głowę ręką. — Najpierw musi wypowiedzieć posłuszeństwo Garra. Dartan nie ma floty, o czym wiesz równie dobrze, jak ja. I na razie nie będzie jej miał, bo za pieniądze mogę kupić bardzo wiele: okręty, broń... Ale nie doświadczone załogi na pokładach. Sto okrętów obsadzonych przez lądowe szczury do niczego mi się nie przyda. Zresztą, nie kupię stu okrętów, co najwyżej mogę je zbudować. A to potrwa.

— No tak, ale wysokie rody garyjskie właśnie się pożarły między sobą i powstanie tego lata nie wybuchnie. Zresztą oni tam oglądają się na ciebie tak samo, jak ty na nich: woleliby wszcząć swoją ruchawkę po wybuchu wojny na kontynencie. Dogadaj się z nimi wreszcie i uderzcie razem: ty tutaj, oni u siebie.

— A ty znowu swoje: dogadaj się z nimi i dogadaj... Z kim, z Garyjczykami? — zapytała ostro królowa. — Znowu mam ci tłumaczyć, kto to jest Garyjczyk? To ktoś, kto kopniakiem wyrzuci z wody wszystkie nasze statki handlowe, jak tylko rozpanoszy się na swojej wyspie. Nie chcę, żeby wygrali. Chcę tylko, żeby zatopili chociaż pół armektańskiej

floty, a swoją stracili całą. Wtedy, jako lojalna wasalka, pošlę Werenie tyle wojska, ile tylko zażąda, i mam nadzieję, że gdy wrócą z wojny, to pod niebem Szereru nie będzie już nikogo, kto do swoich dzieci mówi po garyjsku... Jeśli miałabym mieć za sąsiada niepodległe garyjskie królestwo — powiedziała Ezena, wskazując kciukiem za siebie — to już chyba wolałabym do śmierci odnawiać hołd lenny u stóp mojej dobrej armektańskiej pani, Najgodniejszej Cesarzowej Wereny.

— Gdy rozpadnie się Wieczne Cesarstwo, Garyjczycy i tak odzyskają niepodległość.

— Ale ja już nie będę miała wroga w Kirlanie. Może odzyskają niepodległość, ale bardzo kruchą po dopiero co przegranej wojnie. Wyspiarska niepodległość bez floty?... Natomiast jeśli teraz wygrają, to potem już tylko będą patrzeć, jak dwie baby na kontynencie garściami wydzierają sobie czarne kudły.

Perła wzruszyła ramionami.

— Rób jak chcesz. Nie znam się na wojnie, od tego masz Yokesa, Enewena i wszystkich pozostałych wodzów. Ale znam się na ludziach. Stroisz sobie żarty z zadłużonej prowincjuszki, która dzięki jednej rozmowie mogłaby zostać twoją sojuszniczką, a zostanie wrogiem. Bo nigdy nie zapomni, jak ją dzisiaj upokorzyła dartańska królowa, dla kaprysu udająca swoją własną Perłę.

— Nikogo nie udawałam.

— Nie wyprowadziłaś jej z błędu.

— Gdzie była, gdy rozmawiałam z rycerskimi rodami królestwa? Chyba powinna wiedzieć, jak wyglądam?

— Gdzie była? Wydaje mi się, że w domu. Hołd składał ci jej pierworodny syn, głowa rodu. I wdzięczyłaś się do tej miernoty, bo ci zależało na poparciu.

— Wdzięczy... Ale bezczelna! — powiedziała z groźnym zdumieniem Ezena, jakby dopiero przed chwilą to odkryła.

Pierwsza Perła nie zamierzała uciekać, chociaż zrobiłby to każdy na jej miejscu.

— Dzisiaj, zamiast tego pętaka, przyszła do ciebie mająca kłopot matka. To nie ona wyrzuciła w błoto twoje pieniądze. Ma syna hulakę, którego jednak kocha, bo jest matką, więc odkurzyła najlepszą suknię, z której wszyscy tutaj się śmieją, zebrała całą odwagę i przyszła prosić.

Napraw jutro to, co zepsułaś. Przepróż ją i pomóż w kłopotcie.

— No... chyba sobie żartujesz?

— Nie, wasza wysokość. To kobieta, a do tego matka — powtórzyła Anessa. — Pozwalaj sobie na psie figle z mężczyznami, ale nie z kobietami. To ty nie wiesz, że nie znamy się na żartach?

Ezena popadła w zadumę.

— Hm. Może i masz rację — powiedziała po długiej chwili. — Dobrze, przeproszę ją... chyba. Odroczę jej termin spłaty długu i umorzę zaległe odsetki.

— Przypomnieć ci jutro, żebyś ją przyjęła?

— Przypomnij.

— Skoro tak, to chodź — łaskawie powiedziała Anessa. — Wyleczę do końca twój kręgosłup.

Śmiejąc się, Ezena podpełzła na czworakach do krzesła i legła u stóp swojej Perły, wystawiając ku niej obolałe plecy.

— Śniła mi się Hayna — powiedziały równocześnie.

Parsknęły śmiechem. Ale królowa niemal natychmiast spoważniała. Bo wiedziała coś, o czym jej Pierwsza Perła nie miała najmniejszego pojęcia.

— Nie, nie, czekaj — powiedziała. — No czekaj, nie depcz mnie przez chwilę... Co ci się śniło?

— Jakieś... głupstwa — odparła rozbawiona Anessa. — Co ty, wierzysz w sny?...

— Nie. Ale co ci się śniło?

— Że Hayna została czyjąś niewolnicą, nie twoją. Dostała rozkaz, żeby mnie zamordować i...

— Rzeczywiście głupstwa — mruknęła Ezena. — No? Rób, co miałaś robić.

Perła usłuchała.

— A tobie się śniło...?

— Że upiła się i wpadła do rzeki — powiedziała królowa, chociaż śniło się jej, że Hayna została czyjąś niewolnicą i dostała rozkaz zamordowania Anessy. — Wierzysz w sny? — zakpiła.

— W takie? Nie.

Sporo później, idąc już do swoich pokoi, królowa powiedziała:

— A, byłabym zapomniała... Każ odszukać Vasanevę. Niech do mnie

przyjdzie. Zaraz.

*

W Rollaynie koty nie były rzadkością, ale na dworze królowej przebywał stale tylko jeden. Jej godność K.N.Vasaneva osiągnęła pozycję, jakiej mógł jej pozazdrościć każdy. Zauszniczka -monarchini miała do niej dostęp o dowolnej porze dnia i nocy. Mogła niemal tyle, co Anessa; na pewno więcej niż którykolwiek z wysokich rangą dworzan. Złodziejka i wywiadowczyni nosząca tytuł Powiernicy Królowej zaliczała się do grona jej doradców — ci zaś nie byli figurantami, bo do Rady Królewskiej Ezena wybrała tylko takie osoby, którym naprawdę ufała. Na wielu dworach — historycznych i istniejących — „doradcą” zostawało się w nagrodę, był to tytuł-wyróżnienie i niewiele więcej. Ale nie u królowej Ezeny. Jeśli już ktoś był doradcą, to doradzał, a ona słuchała.

— Zlekceważyłam to i zupełnie nie wiem dlaczego — powiedziała Ezena. — Teraz, gdy o tym myślę, mam uczucie, jakby coś mnie odводziło od rozpamiętywania tego snu. Powiedziałam Anessie, że śniła mi się Hayna, bo chciałam po prostu zmienić temat, zażartować sobie... już nie wiem, co chciałam, wszystko jedno. W każdym razie, dopiero kiedy Anessa jednocześnie ze mną powiedziała to samo, poczułam że coś jest nie tak. Wiem, lubisz Szerń akurat tak samo jak ja. Ale słuchaj, co mówię, i radź, bo oprócz Przyjętych tylko my dwie wiemy wszystko o Trzech Siostrach, Ferenie i tym... tym czymś, co może go rozbić. Dwie Siostry mają takie same sny na temat trzeciej. Co to znaczy? Że Hayna naprawdę będzie chciała zabić Anessę? A potem może Rollaynę, hm? Zupełnie tak jak w legendzie. Co to znaczy?

— Nie jestem Przyjętą, królowo, i nie wiem, co to znaczy. Mam sprawdzić? — spytała z kocią zwięzłością Vasaneva.

Lubiła wylegiwać się na stołach. Wyciągnięta, opierała się teraz grzbietem o krawędź koszyka z jabłkami, uchem zaś dotykała krawędzi srebrnego pucharka.

— Oczywiście, że masz sprawdzić, ale ja chcę wiedzieć już teraz, czego się spodziewać. A jeśli Hayna naprawdę będzie chciała zabić Anessę?

— To zabije — skwitowała Vasaneva.

— Co mówisz?

Ezena dość dobrze знаła koty i potrafiła z nimi rozmawiać, jednak

czasem ludzka natura brała górę. Vasaneva lubiła królową i umiała się nagiąć... niekiedy.

— Jeśli Hayna zechce kogoś zabić, to zabije — powtórzyła cierpliwie.

— Chyba jednak trochę przeceniasz swoją przyjaciółkę.

— Nie przyjaźnię się z Hayną. Szanuję ją.

— Anessa jest moja — krótko powiedziała królowa. — Życzę sobie, żeby żyła. Więc ma żyć.

— Przecież nie jest naprawdę twoją siostrą, królowo. Ani Hayna — powiedziała Vasaneva, która pamiętała wyjaśnienia udzielone przez Gotaha. — Legendarne Trzy Siostry też nimi nie były. To tylko tak się nazywa.

— I co z tego? Ja nie mówię, że mam siostrę, tylko że Anessa jest moja. Gdy skończymy rozmawiać, idź... no, nie wiem. Idź GDZIEŚ i zarządz COŚ. Nie obchodzi mnie, co. Mamy być bezpieczne, Anessa i ja. Jeśli będzie to kosztować milion, to go wydaj. Oczywiście na Anessę. Na mnie nawet cztery miliony.

— Werk.

Było to skrzyżowane z pomrukiem kocie słowo o twierdzącym, niemniej bardzo szerokim znaczeniu. Teraz mogło znaczyć zarówno: „Świetnie, doskonale!”, jak też: „Usłyszałam”.

Ezena wzięła ze stołu pucharek, z oburzeniem odczepiła przylepiony do krawędzi biały koci włos, po czym upiła łyk wina i usiadła na krześle przy oknie.

— Chcę wiedzieć, co myślisz.

— Nic.

Królowa patrzyła w milczeniu. Vasaneva obraziła się, ale doszła do wniosku, że tym razem jednak nie warto. Ezena mogła ją trzepnąć w białe ucho, albo nawet za ogon powlec w poprzek stołu.

Potrafiła.

— Więc, co myślisz?

— Że Hayna nie jest człowiekiem ani kotem, tylko psem — powiedziała kocica, dodając jeszcze jeden głos do tyleż silnego, co zgodnego chóru, bo niemal wszyscy znający Haynę widzieli w niej po prostu wierną sukę królowej. — Jeśli jutro umrzesz, ona zwinie się na twoim grobie w kłębek i będzie cicho skomleć, aż zdechnie.

Bardzo obszerna wypowiedź. Jak na kota.

— Wiem, że jest mi wierna, ale... co to ma do rzeczy?

— To, że nie wydam czterech milionów, ani nawet jednej sztuki srebra. Nie ma takiego szaleństwa, ani takiej ilości trunków, które skłoniłyby Haynę, żeby podniosła na ciebie rękę. Nawet zarazona wścieklizną, pokąsa wszystkich oprócz ciebie.

— A Anessę?

— To co innego.

— Więc masz wydać ten milion na Anessę i dołożyć moje cztery, skoro ja ich nie potrzebuję! — z irytacją w głosie rzekła Ezena. — Co w ciebie dzisiaj wstąpiło? Pytam o coś i nie mogę się doczekać odpowiedzi!

— Nie słuchasz odpowiedzi. Idę sobie.

— Co takiego?...

— Idę. Jesteś królową, a ja twoją złodziejką. Nie wypada mi słuchać, kiedy pytasz o jakieś bzdury. Poślij po mnie, jak już sobie wszystko poukładasz.

Ezena rzuciła kielichem — tak przynajmniej, jakby mogła trafić. Vasaneva patrzyła na lecące ku niej naczynie, a kiedy przyszła pora, zniknęła ze stołu. Srebro zderzyło się z blatem i głośno zrobiło: „głłą!”.

— Myślisz, że wszystko ci wolno?... Wyjdź. Wrócisz, kiedy cię wezwę.

— Werk.

Ezena została sama.

Posiedziała, porozmyślała. Wstała i podeszła do okna.

— Werk, że „wszystko mi wolno”?... Werk, że „tak, już wychodzę”, czy werk, że „wróć, kiedy mnie wezwiesz”? — próbowała przedrzeźnić ochrypły głos kocicy.

Pomyślała jeszcze trochę, podniosła kielich i napełniła go. Upiła łyk wina, znów popatrzyła w okno. Wino było naprawdę dobre, więc pochwaliła je:

— Werk.

4.

Bardzo niewiele brakowało, by Raladan znalazł się w naprawdę poważnych opałach.

Niezrozumiałe zniknięcie Przyjętego i tajemniczej kobiety, której twarz — Cichy byłby przysiągł — już gdzieś widział, wprawiły zastępcę Ślepej Foki Ridi w, oględnie mówiąc, podły nastrój. Najuprzejmiej poprosił o wyjaśnienia.

„A kto ty właściwie jesteś, hę?” — zapytał Raladana. „Coś mi tutaj naprawdę śmierdzi. A może ty też jesteś Przyjęty, co? Wy umiecie się zmieniać tak, że nikt nie pozna”.

Raladan niewzruszenie siedział za stołem, spoglądając na groźnie stojącego w drzwiach kajuty oficera i towarzyszących mu niemiłych drabów.

„Nie wygaduj bzdur, tylko znajdź mi wreszcie Ridaretę” — powiedział. „Zrobiłem, co zrobiłem. To sprawa między mną a moją córką”.

„Znaczy, wiedziałeś, że ten tutaj da drapaka?”.

„Pewnie, że wiedziałem. Ale nie jestem żadnym Przyjętym”.

„I co mi jeszcze powiesz?”.

„A co tylko chcesz. Gdybym był Przyjętym, to uciekłbym razem z nim. Nie bądź durniem, Mevevie Cichy” — po raz drugi zmiłogował go Raladan. „Nawet Przyjęci nie są tacy głupi, żeby udawać kogoś, kogo dobrze znacie, a potem siedzieć i czekać, aż wszystko się wyda. Wtedy, na Ostatnim Przylądku, kiedy zabraliście mnie i Ridi na pokład... Pamiętasz, co powiedziałem?”.

Mniej więcej przed dwoma laty Raladan uciekł z twierdzy więziennej w Londzie. Bardzo mu pomogła załoga „Zgniłego Trupa” i, koniec końców, wrócił na Agary na pokładzie okrętu córki, który zabrał ich oboje z Ostatniego Przylądka.

Mevev gapił się i namyślał.

„No... pamiętam” — odrzekł wreszcie, powściągając krzywy uśmiezek. „I co, niby, powiedziałeś?...”.

„Powiedziałem: zesrałem się. Przez tydzień żarłem takie świństwa, że aż dziura w dupie mnie bolała. Wlazłem na pokład i jak przełaziłem przez nadburcie... poszło. Ty wtedy zaczęłaś coś, że: „No, dobra.....”, a ja na to: „Zesrałem się„. Było tak, czy nie było?”.

Majtkowie za plecami Meveva rechotali. Kilku z nich dobrze pamiętało opisywane zdarzenie, bo też kto by zapomniał taką pyszną historię? Cichy także uśmiechnął się troszeczkę wyraźniej.

„Jaki Przyjęty może o tym wiedzieć?” — podsumował Raladan. „Dałem uciec waszemu jeńcowi, bo miałem powody. Wytłumaczę się przed Ridaretą, a ona, jak będzie chciała, to wam wszystko powie. Tylko znajdźcie mi ją wreszcie”.

Od tamtej rozmowy minęło parę dni. Mevev na tyle dobrze znał Raladana, że w końcu przestał powątpiewać w jego tożsamość — agarski książę każdym słowem potwierdzał, że naprawdę nim jest. A jednak Cichemu ciągle coś nie pasowało. Raladan nie przypłynął na „Delarze”, bo nigdzie jej nie było. No więc, skąd się wziął? Musiał mieć konszachty z Przyjętymi, zresztą sam się przyznał, że pozwolił jeńcowi uciec.

Przede wszystkim — gdzie, na Szerń, przepadła kapitana?

Bo ciągle jeszcze jej nie znaleziono.

Pożegnali się z załogami sprzymierzonych okrętów; ich kapitanowie zrobili już to, za co wzięli pieniądze, i trzeba by im zapłacić znowu, żeby zostali dłużej. Ale po co? Stu pięćdziesięciu chłopców ze „Zgniłego Trupa” zupełnie wystarczało do prowadzenia poszukiwań. Wątpliwe, by czterystu chłopów zrobiło to szybciej i lepiej. Zwłaszcza że poszukiwania już po dwóch dniach przemieniły się w czekanie. Ile można szukać wiatru w polu? Ślepa Ridi umiała jeździć konno. Jeśli umyśliła sobie, że przypadnie, nikomu nie mówiąc słowa, to na pewno zdobyła wierzchowca i mogła już być gdziekolwiek. W Armekcie albo Dartanie.

Wyszło na jaw, że zabrała ze sobą trzech chłopaków. Nie było ich na pokładzie ani między poległymi.

Dobrze zrobiła. Przyprawdzili ją po sześciu dniach. Rozchichotana, próbowała coś tłumaczyć, ale bezskutecznie, bo co chwila dławiała się śmiechem. Odpoczywała, próbowała coś powiedzieć — i znów przerywała w pół słowa. Z głową, niby, wszystko miała w porządku: zdziwiona i uradowana uściskała Raladana, machnęła ręką Cichemu, posłała załodze soczystego buziaka z ręki... Było z nią dobrze do chwili, gdy próbowała coś powiedzieć. Nie skończyła bodaj jednego słowa. I żadnego nie napisała, bo na widok pierwszej postawionej litery, prychnęła na kartę kropelkami śliny, usmarkała się i gotowa była ze śmiechu spaść ze stołka.

Wszyscy rechotali razem z nią, bo było to zaraźliwe. Okręt przypominał przytułek dla pomyłków.

Opowieść towarzyszących Foce żeglarzy była krótka, prosta,

nieciekawa: na rozkaz kapitany odcięli od gałęzi powieszoną za nogi wojowniczkę i ponieśli. Szli i szli, aż doszli do lasu, a po drodze zabrali z mijanej wioski tyle jedzenia, ile tylko mogli. W głębi lasu, w największym gąszczu, zbudowali dwa szałas — mieszkali w jednym; kapitana i półżywa wojowniczka w drugim. Nocami dobiegało z drugiego szałas szlochanie, a czasem takie jęki i stękania, jakby obie kobiety, no... migdały się, albo coś. Aż jednego ranka kapitana obudziła ich, rozchichotana, kiwnęła ręką — i wrócili. Po drodze, gdy tylko chciała coś powiedzieć, to od razu zaczynała się śmiać. W każdym razie czas był najwyższy wracać, bo już nie mieli co jeść.

Nic więcej marynarze nie wiedzieli. Nie umieli nawet powiedzieć, czy zabrana wojowniczka umarła, wydobrzała i poszła sobie, a może została w szałasie... Wszystkie odpowiedzi znała Ślepa Ridi.

Było coś jeszcze: Focę wygoiły się odniesione w bitwie rany. Rzecz dziwna, bo ostatnio zdrowiała nie szybciej niż każdy inny człowiek. Wyglądało, że tak już zostanie. Ale okazało się, że nie.

*

Wciąż kotwiczyli w zatoce. Ridi nie była w stanie określić, dokąd chce płynąć, a Raladan nie miał żadnego dobrego pomysłu. Powinien właściwie wracać na Agary, ale oznaczało to rozstanie z córką, której... no, jednak coś dolegało. Żywił nadzieję, że jej przejdzie za dzień albo dwa. Bo jeżeli nie... Sytuacja była tak głupia, że aż warta śmiechu — zresztą najdosłowniej. Dziwaczna. Majtkowie śmiali się razem z Ridi, potem spoglądali po sobie i wzruszali ramionami; oficerowie mieli dość wszystkiego. Raladan próbował porozumieć się z córką na zasadzie: „ja mówię, a ty kiwasz albo kręcisz głową” — w odpowiedzi zdołała wykrztusić coś, co od biedy brzmiało jak: „przejdzie!”. Nagabywana, już tylko machała ręką, że niby „potem, później...”. Nie tylko nie mogła, ale jeszcze nie chciała mówić. Tak wyglądała prawda.

Ridarecie czasem odbijało. Ale jednak trochę inaczej. Teraz najwyraźniej wszystko rozumiała, wiedziała, gdzie jest i kim jest, wszystkich poznawała... Zostawiona w spokoju, zachowywała się zupełnie normalnie. I nieodmiennie parskała śmiechem przy każdej próbie nawiązania rozmowy.

Aż wreszcie przemówiła. Wczesnym rankiem. Wszyscy jeszcze spali. Do kapitańskiej kajuty wstawiono dodatkowe wyrko, sklecone z

paru desek; jego książęca wysokość nie miał wielkich wymagań. Trochę tylko trzeszczało i skrzypiało, a po kilku dniach nawet bardziej niż trochę. Okrętowy cieśla był na miarę reszty załogi; cud, że ten żaglowiec jeszcze pływał. Raladan przez sen przekręcił się na drugi bok i obudziło go głośne skrzypienie pod biodrem. Trochę nieprzytomnie popatrzył na Ridaretę. Siedziała przy stole, w zamyśleniu spoglądając na pokład przez otwarte drzwi. Miała na sobie żeglarskie portki, a wyżej tylko opasujący piersi i zawiązany na supeł pas brudnego, poplamionego czymś i postrzępionego płótna, wydarty chyba ze starego prześcieradła. Dochodziła do tego, rzecz jasna, niebywała ilość ukochanych bransolet, pierścieni, kolczyków i naszyjników, pośród których to precjozów królowało ciężkie złote kółko wpięte w przegrodę nosową. Zaczął się przyzwyczajać; najwyraźniej na tym okręcie tak wyglądał normalny kapitański strój, bo nikt nie zwracał na niego uwagi.

Okrętowe dziwki, których było tu ze dwadzieścia, łąziły zresztą ubrane tak samo albo i gorzej, bo niektóre miały tylko portki. No i żadna, co zrozumiałe, nie dźwigała tylu klejnotów; w zamian prawie wszystkie były wytatuowane — tej jednej rzeczy sobie oszczędziła Piękna Ridi. Raladan nawet wiedział dlaczego: otóż Rubin nijak nie chciał przyjąć tatuażu do wiadomości, rozpuszczał je bez śladu, likwidując tak jak wszystkie inne skazy. Ridareta miała kiedyś barwny, wielki i niebywale kosztowny tatuaż na plecach. Nic z niego nie zostało.

Do kajuty zaglądało wczesne słońce. Ślepa Ridi nie dostrzegła, że Raladan uniósł się na łokciu, bo ku pryczy zwróconą miała lewą stronę twarzy. By zobaczyć cokolwiek, musiałaby obrócić całą głowę; brak oka był jednak poważnym kalectwem.

Przyglądał jej się z namysłem. Miała brudną szyję, rozczochrane i pozlepiane w strąki kudły, a pazury u rąk tak zadbane, że na ich widok przeraziłby się nawet kret. Z jakichś powodów Raladanowi utkwili w pamięci dłonie jasnowłosej syreny, z którą przed tygodniem wypełzał z wody na brzeg; nawet jego służebne „perełki” nie miały podobnie wypielęgnowanych rąk. Już zapomniał, że można mieć paznokcie z różowobiałej masy perłowej, długie, równiutko zaokrąglone... Kiedyś widywał takie stale — u Alidy. To nie były pazury marynarza; o nie.

Raladan przemierzył kawał świata, a może i cały świat. Był pilotem u schludnego Brorroka; służył pod kapitanem K.D.Rapisem,

Armektańczykiem Czystej Krwi. Bywał w najdroższych niewolniczych hodowlach, w bogatych domach, a nawet pałacach. Ożenił się z półkwi Garyjką wysokiego rodu. I nie podzielał marynarskiej wiary, że zdrowy człowiek koniecznie musi cuchnąć; odziewał się porządnie i czysto, a szaflik z wodą i przybory do mycia nie kojarzyły mu się czymś niegodnym mężczyzny. Teraz patrzył na córkę i przyszło mu do głowy, że stary Brorrok miał rację. Piękna Ridi?... Może i piękna. Tylko, dziecko, umyłabyś się czasem...

W Aheli nigdy tak nie wyglądała. Nawet gdy szła do tawerny uchlać się z marynarzami. Co się z nią porobiło na tym przeklętym okręcie?...

Prycza zatrzeszczała po raz drugi. Ridareta obróciła głowę i uśmiechnęła się spod swej ciemnozielonej, kryjącej wybite oko przepaski.

— Nie śpisz? Zostało z wczoraj trochę zimnego mięsa. — Pokazała stojącą na stole miskę z resztkami. — Zjedz. Rozbudź się porządnie. Mam dużo do opowiadania.

Z miejsca wyzbył się resztek senności.

— Uch, nareszcie — skwitował.

— Sayl, Mevev! — powiedziała głośno przez ramię. — Wstawać chłopcy! Wynocha na pokład!

Oficerowie obudzili się.

— Wszystko wam opowiem — obiecała po chwili, gdy do rozbudzonych mężczyzn dotarło, że ich kapitana odzyskała mowę. — Ale teraz muszę pomówić z Raladanem. Wynocha na pokład, no już!

Gdy ją mijali, wlepiła Sayłowi przyjacielskiego klapsa w tyłek; była w pogodnym nastroju. Potem w zamyśleniu patrzyła na Raladana, wciągającego koszulę i spódnicę. O czymś jej to przypomniało.

— Czekał, ja też się ubiorę... — mruknęła. — Zapominam, wiesz? Że nie lubisz, jak chodzę tak ubrana. Dlaczego ja ci się nigdy nie podobam? Wszyscy chcą, żebym chodziła nago, tylko ty jeden zawsze robisz miny. Chyba mam co pokazać?

Oczywiście, że miała co pokazać, niczego jej nie brakło. Prócz oka — no trudno — i rozumu. Może to tutaj tkwił problem.

— Nie gniewaj się. Jutro włożę suknię — obiecała, trochę odęta. — W sukniach się czuję najlepiej, ale na okręcie jest w tym niewygodnie. I gorąco; teraz takie upały — tłumaczyła.

Znalazła coś, co być może było koszulą. Raladan wzuł buty; przytupnął i ruszył ku drzwiom.

— Gdzie idziesz?

— Podnieść poziom morza.

Została sama. Na krótko.

— Jest taka stara, bardzo stara legenda, chyba dartańska — powiedziała, gdy wrócił. — Ale znają ją wszędzie. O trzech siostrach-czarodziejkach, które zostały przysłane przez Szerń. Słyszałeś ją?

Wzmiankę o zimnym mięsie Raladan potraktował poważnie. Ridareta Ridareta; ciekawość ciekawością... Przede wszystkim rano należało dobrze zjeść. Więc siedział przy stole i jadł.

— A skąd, nie słyszałem — powiedział z pełną gębą, bo czego jak czego, ale bezmyślności swojej córki naprawdę miał czasem dosyć. Nie głupoty, bo właściwie nie była aż tak głupia, jak można by sądzić po stroju. Właśnie bezmyślności. — Moja karawela nazywa się „Delara”, a poprzednia nazywała się „Seila”. Legenda o Trzech Siostrach? Pierwsze słyszę.

— Czyli... no tak, znasz ją. To dobrze. One znowu tu są.

— Czekał... Kto i gdzie?

— Trzy Siostry. Tutaj, w Szererze. W Dartanie. Kiedyś Riolata zrobiła jednej z nich to, co mi. Delara nie była zawistnicą, ale wielu rzeczy zazdrościła starszym siostronom — opowiadała ze swoim nienagannym garyjskim akcentem, co jakiś czas „łamiąc rozmowę”, bo tak to sobie kiedyś nazwał w myślach. Nawet jeśli nie była zbyt bystra, to jednak odebrała staranne wychowanie, potem jednak zasób słów topniał jej z roku na rok, aż nagle, w jakiejś krótkiej rozmowie, z ust garyjskiej damy padało starannie wymodulowane: „Raladanie, ależ ja tej możliwości nie wykluczam!”. I dalej „ple, ple, ple, hi, hi, powiedz, że jestem ładna”...

Opadały mu wtedy ręce.

— Były starsze od niej — ciągnęła — piękniejsze, mądrzejsze, miały władzę, a ona nie. Rollayna była królową, ale rządziła razem z Seilą, stale pytała ją o radę, słuchała... A Delara była tylko wojowniczką. I zdobyła klejnot, którego potem już nie umiała się pozbyć. Tak jak mój ojciec Rapis... Pamiętasz? Nie opowiadam ci teraz żadnej legendy. Tak było.

— Tak jak mówisz?

— Zupełnie tak. Ja to wiem. Pamiętam.

— Mhm — skwitował, jakby chodziło o rzecz oczywistą. Ale nie był głupi i domyślał się, skąd Ridareta „pamięta” takie rzeczy. To nie ona przecież pamiętała, tylko to, co w niej siedziało. — I co dalej?

— Delara zazdrościła siostronom, ale kochała je. Potem jednak omal nie zabiła Seili. Mniejsza o to. Pamiętasz, jak mówiłam ci o Kesie, tej pięknej blondynce, która przypląnęła do Aheli?

— Bardzo dobrze pamiętam — spokojnie rzekł Raladan, odgryzając kolejny kęs mięsiva. — Tak dobrze, jakbym dopiero co ją widział... I co z nią?

— Okłamała mnie. Feren, ten mur, który Szerń zbudowała...

— Tak, tak, wiem.

— To nie ten garbaty grajek, którego znasz, jest symbolem Ferenu, tylko właśnie Trzy Siostry.

— O co chodzi z tymi symbolami, Rido? — W Aheli Ridareta powtórzyła mu to, czego dowiedziała się od Kesy, ale po pewnym czasie uznał, że jednak zbyt mało rozumie. — A Kule Ferenu? To nie one są symbolami tego... muru, który zbudowały Pasma Szerni?

— Nie. Zapomniałeś, co mówił Tamenath?

Dowiedział się właśnie, że Ridareta pamięta coś z tego, co mówił Tamenath.

— To są zwinięte w kłębek Smugi, czyli to, z czego zrobiony jest Feren — wytłumaczyła. — Takie, no wiesz, cegły. One jakby... spadają czasem na Szerer, kiedy Odrzucone Pasma wyszczerbiają mur. To są prawdziwe kawałki Pasm Szerni, jedyne, jakich można dotknąć i zobaczyć. Rubiny po zetknięciu z nimi tracą swoje... swoje... właściwości. Można powiedzieć, że giną. Tylko ja... to znaczy: tylko MÓJ Rubin mógłby chyba pokonać Kulę. Dlatego że jest największy. To jest Królowa Riolata, przecież wiesz.

— Wiem i nie wiem. — Raladan beznadziejnie gubił się we wszystkim, co dotyczyło Szerni. Ridareta zresztą też się gubiła, przynajmniej do niedawna, bo teraz przemawiała doń tak, jakby była jakąś Przyjętą. — Czy to musi być takie poplątane?

— A jakie by miało być?

Patrzył i patrzył, z coraz głębszym namysłem. Dokładnie tak samo przed paroma laty, i na takie samo pytanie, odpowiedział mu lah'agar

Tamenath.

„A jakie by miało być?” — zdziwił się Przyjęty. „Gdyby nie było Szerni, to na pewno wymyślono by coś w tym rodzaju, i to byłoby proste jak kij, bo wymyślone specjalnie po to, żeby uporządkować świat. Ale Szerń jest prawdziwa. Nikt jej nie wymyślił, żeby dać sobie odpowiedź na jakieś tam pytanie, na przykład: „Skąd się wzięłem? „, albo „Co mam robić, żeby było dobrze? „. Jest prawdziwa, naprawdę potężna i dlatego taka, jak mówisz, trudna. Zagmatwana”.

Raladan zaczął się zastanawiać, czy jego córca, jeśli ją trochę przycisnąć, nie zaśpiewa mu teraz czegoś podobnego. Coś tam chyba naprawdę wiedziała. Od niedawna.

— Dobrze. I Riolata chce...?

— Żebym zniszczyła żywy symbol Ferenu. Pozabijała wszystkie Trzy Siostry.

— Gdzie są te Trzy Siostry?

— W Rollaynie. To Ezena, królowa Dartanu, Anessa, jej Pierwsza Perła i Hayna, komendantka straży pałacowej. Rollayna, Seila, Delara.

Raladan nie dziwił się byle czemu, bo widział w życiu tyle zdumiewających rzeczy, że gdyby zawsze otwierał przy tym gębę, to już by mu się nie domykała. Ale teraz zaprzestał na chwilę żucia mięsa, chociaż mu tak bardzo smakowało.

— Kesa mówiła, że od tego może rozpaść się cały Szerer — tłumaczyła tymczasem Ridareta. — Szerń właśnie toczy wojnę i jeśli straci równowagę, może zostać pokonana. Spadnie już nie jedno, ale bardzo dużo Pasm, a pozostałe zostaną wyparte znad naszego nieba przez Aler.

— Więc co zrobisz?

— Nie zabiję żadnej z Sióstr, chociaż Riolata omal mnie nie rozniosła, gdy powiedziałam jej „nie”. Wymęczyła mnie tak, że się wściekłam i skatowałam sukę. Skoro nie wie, co jej wolno, będzie chodzić na jeszcze krótszej smyczy. Co prawda, ja też będę musiała dawać jej w nagrodę większe przysmaki, niż dawałam... No i chyba częściej. Da się zrobić. — Przygryzła wargę i rozdęła nozdrza, lekko rozbawiona. — Ona bardzo ładnie dziękuje.

Raladan wiedział jak ładnie.

— Nie chcę, żeby rozpadł się świat — dorzuciła. — Nie podoba mi

się, ale innego nie mam. Zrobiłam na złość Riolacie. Ten głupiec, którego kazałam skopać Nellsowi... Ale przecież jeszcze ci nie mówiłam! — zmitygowała się. — Na pewno już wiesz, że złapałam Przyjętego? Nells go skopał na śmierć. W każdym razie ta baba w męskiej skórze kpiła sobie ze mnie i pytała, czy na pewno radzę sobie z Riolatą. Tralala. Dureń jeden.

— Czekaaj, Rido... O Przyjętym wiem. To później.

Zastanawiał się przez chwilę.

— Śmiałaś się, jakbyś...

— Jakbym — potwierdziła.

Urwał.

— Nie powiesz, dlaczego?

— Mogę powiedzieć. Wszystko było śmieszne. I dlatego właśnie się śmiałam.

— Uważasz, że to normalne?

— Tak. A ty co uważasz? Że jak niby wyglądają moje kłótnie z suką, co? — zapytała nieoczekiwanie ostro. — Co ty w ogóle o mnie wiesz?

— Nie było cię przez tydzień. Zabrałaś trzech marynarzy i ranną komendantkę żołnierzy, których...

— Haynę. Delarę — przerwała z roztargnieniem.

— Ta dziewczyna to Delara?

— Poznałam ją i... Nie umiem wytłumaczyć. Z Pasmami Szerni jest tak, że jak coś wiesz... no to wiesz. Możesz sobie zgadywać, ile ci się podoba, ale gdy już się czegoś dowiesz, to masz od razu wszystko.

— Czyli co? — ciężko zapytał Raladan, bo rozmów o Szerni miał dosyć, zarazem jednak wiedział, że tę rozmowę dokończyć muszą.

Zastanowiła się.

— Zobacz — powiedziała po chwili, zadowolona. — Gdybyś trzymał w ręku wiele kluczy do jakichś drzwi, a ja bym zgadywała, i mówiła na przykład: „Ten?”. Na takie zgadywanie Szerń odpowiada: „Może i ten”. Nawet jeśli wskażesz właściwy. Szerń pozna, kiedy wiesz, a kiedy tylko zgadujesz. Dopóki zgadujesz, nie dostaniesz klucza. Ale jeśli znasz go i na pewno wiesz, który to jest, to Szerń od razu ci go daje. I drzwi są otwarte.

Coś bardzo podobnego powiedziała niedawno Kesa. „Nie mogę zgadywać, muszę wiedzieć. Domysły nie zmuszają Szerni do dania mi odpowiedzi...”.

— Poznałam Delarę — ciągnęła Ridareta — i od razu otworzyły się drzwi. Suka też jest kawałkiem Szerni... albo symbolem kawałka, obojętne. Czasem coś jej wyrwę, powiem „wiem!”, i ona od razu musi dać mi wszystko. To jest tylko rzecz, Raladan. To nie myśli. Myślę ja. Za nią i za siebie. Nawet jeżeli nie zjadłam wszystkich rozumów, to i tak jestem tysiąc razy mądrzejsza od jakiegokolwiek rzeczy. Prawda, że tak? Byłyśmy kiedyś głupie! — dodała ni przypiął, ni przyłatał. — Ja i moje córeczki. W ogóle nie umiałyśmy tym rządzić... Wiesz, że one mogły wiedzieć wszystko to, co ja? Do momentu, aż je urodziłam, miałyśmy przecież w sobie jedną i tę samą sukę... Zresztą suka też nie mogła się w nas ułożyć, było jej niewygodnie. Nawet bała się dzielić dalej, na następne suczki.

— Poczekaj, Rido... Nie możemy mówić o wszystkim jednocześnie. Więc ta komendantka dartańskich żołnierzy to na pewno Delara?

— Tak. Uratowałam ją. Myślałam, że nie dam rady... Suka tak się wściekła, że zaczęła mnie gryźć.

— Uratowałaś Delarę? W jaki sposób? Tak jak kiedyś tego dzieciaka na rynku?

Przed kilkoma laty trzyletni gówniarz wypadł przez okno na ulicę. Wypadek, jakich wiele — ale nie każdy nieupilnowany szkrab lądował z roztrzaskaną głową u stóp agarskiej księżniczki. Wydawało się, że Ślepa Ridi dostała ataku szału. Zabrała dzieciaka do pałacu, siłą wyrywając go matce. Tylko Raladan widział, jak... przekazywała mu własne tchnienie, w każdym razie tak to wyglądało. Ale wycierpiała przy tym nieziemskie katusze, bo uwięzione w niej moce czerwonego klejnotu broniły się przed wyrywaniem z nich kawałków treści. Chłopiec przeżył, choć nie miał prawa.

„Nikommu ani słowa...” — powiedziała wtedy przez łyzy, wciąż jeszcze zwinięta w kłębek na posadzce. „Nie mogę ratować każdego... Oddaj dzieciaka matce. I zrujnuj tę szmatę, każ jej odebrać wszystko, ostatniego miedziaka... Powiedz, że tyle kosztowało lekarstwo, które całe zużyłeś. Niech nauczy się pilnować swoje dzieci. Ma prawdziwe dzieci... i pozwala im wypadać przez okno”.

— Ją też tak uratowałaś? — powtórzył pytanie Raladan.

— Inaczej — odparła z ociąganiem. — Miałam karmić symbol Ferenu czystą mocą Rubinu?... Wymyśliłam coś innego, ale nie powiem ci co.

— Dlaczego?

— Bo to śmieszne i głupie.

— Tak jak chichotanie z niczego?

— No dobrze, narzygałam na nią i karmiłam piersią... Dowiedziałeś się?

Przekrzywił głowę. I zgadła, co sobie pomyślał.

— Wcale nie oszalałam i nie zmyślam. Wyrwałam suce, co trzeba, wymieszałam i... i wyrzygałam się czymś szarym, nie wiem czym. Zalepiłam rany. Goiły się od tego. A pokarm mam do tej pory, chcesz spróbować, czy to na pewno jest mleko? Bo moim zdaniem nie całkiem, smakuje trochę inaczej albo... nie wiem. Jest dziwne.

Sięgnęła pod koszulę, wydobyła pierś i wprawnie ścisnęła palcami. Zobaczył w powietrzu cienką jak włos strużkę, a potem wąż kropelek biegnących w poprzek stołu. Nacisnęła raz jeszcze i spojrzała pytająco.

— Hm? — mruknęła.

— Widzę.

— Wydoić więcej?

— Powiedziałem: widzę.

— Czyli nie oszalałam — podsumowała, dziwnie zamyślona, strząsając z palców białozółtą kroplę, a następnie upychając nedorzecznie ciężką kulę, która nijak nie chciała wleźć z powrotem pod resztki koszuli, a cóż dopiero pod sławetną szmatę wydartą z prześcieradła; w końcu wlaźła. — Suka może wyleczyć każde rany, nie tylko moje. Moje to ona... musi wyleczyć. A innych nie chce. Teraz bolało mnie trochę mniej, bo nie wyrzygałam z Rubinu niczego, trochę go tylko skopałam. Przyrzędziłam... no, takie eliksiry, jak w bajce. Ale nawet kiedy tylko zmuszasz sukę do zrobienia czegokolwiek, co nie jest jej potrzebne... — urwała nagle i zbuntowała się. Wstała, okrążyła stół i usiadła na drugim stołku. Odchyliła się i oparła o ścianę, kładąc nogi na stole. Założyła ręce na piersi.

— Co jest? — zapytał Raladan.

Odpowiedziała w sposób, który nieboszczykowi Brorrokowi na pewno wydałby się niechlujny.

— No, ale co jest? — powtórzył.

— Nic nie jest. Przecież ja ci wiele razy chciałam o tym wszystkim opowiedzieć. Ale ty zawsze uciekasz. Co ty o mnie w ogóle wiesz? —

powtórzyła. — Nic nie wiesz. Że mam w sobie Rubin, tak? Nawet Mevev wie więcej od ciebie. Raz mi mówisz: „Chcę wreszcie zrozumieć, co z tobą jest, Rido”, a kiedy indziej krzyczysz na mnie, że mogłabym się powstrzymać i nie robić przy tobie tego albo tamtego. Tak jak teraz. Wyjmuję pierś i pokazuję ci... no, prawdziwe cuda, których sama za bardzo nie rozumiem, a ty prawie że się gorszysz. Co ty, dziecko jesteś? Dla zabawy ci to pokazuję? Zabawę to ja sobie urządzę z moimi chłopcami, a od ciebie oczekuję czegoś innego. Rady. Bo wygląda na to, że noszę w cyckach eliksir zdrowia, może mogę mieć go już zawsze, i co? Głupie i śmieszne, wiem. Ale dla ciebie nic z tego nie wynika? — pytała. — Bo dla głupiej Ridi wynika tyle, że skoro pozbiierała się po tym śmiertelnie ranna wojowniczką, to może naprawdę warto wydoić mnie parę razy jak krowę i zawieźć parę dzbanków tego na Agary, dla jakichś małych zdechłaków, którym nie pomoże żaden medyk i żadna babka-zielarka. Niechby dzięki temu tylko kilkoro prawdziwych, żywych dzieciaków pobiegło jeszcze zbierać poziomki... Ale ty potrafisz najwyżej powiedzieć: „Widziałem, schowaj to już!”. Czego ty właściwie chcesz? Mam ci wszystko dokładnie tłumaczyć czy nie?

Raladan nie przerywał. Wylała swoje żale i miała, niestety, sporo racji. Chciał trzymać się jak najdalej od... skłonności i umiejętności swojej przybranej córki. Przez kilkanaście lat uparcie próbował rzeczy niemożliwej: poznać jej problemy, reguły współistnienia z Rubinem, zrozumieć ją — ale z daleka, na dystans.

A co do dzieci... Z wielką troską potrafiła je oddzielić od idących na rzeź rodziców; nie widziała żadnej sprzeczności w lubieniu dzieci i czynieniu ich sierotami. Nie miał głowy do roztrząsania takich głupot, jak rojenia Ridarety-uzdrowicielki.

W zamian nagle zapytał o coś, o co nigdy nie chciał zapytać... Wyszło samo:

— Dlaczego nie pomogłaś Alidzie?

Milczała przez bardzo krótką chwilę. Kopnęła miskę z resztkami, tak że spadła mu na kolana.

— Zaraz wyrznię cię w pysk — powiedziała. — A chociaż poprosiłeś? Zapytałeś?... Próbowałam! Omal od tego nie zdechłam... Pozatykać dziury i posklejać gnaty to co innego, to nawet wojskowy chirurg potrafi. Ale ona była chora, nieprzytomna... Nawet nie wiem, co właściwie jej było.

Może gdybym wcześniej wróciła na Agary... Chociaż parę dni wcześniej, kiedy mogła mówić... Może dzisiaj umiałabym jej pomóc, ale wtedy... nie umiałam... — tłumaczyła urywanie, z żalem.

— Nie wiedziałem.

— Ty nigdy o niczym nie wiesz. Delara — rzuciła sucho. — Mówiłam o Delarze. Właściwie to nie ja pamiętam tamte wydarzenia, tylko suka — wyjaśniła, potwierdzając to, co wcześniej sam pomyślał. — Bo to ona kiedyś kręciła Delarą. Wiem o wszystkim, co się wtedy wydarzyło, i dlatego dzisiaj tak się mądrzę.

Otrzymał wytłumaczenie, skąd się wzięła obszerna wiedza Ridarety.

— Wciąż nie mogę zrozumieć kilku rzeczy. Przyniosłem ci Kulę Ferenu i omal nie spaliłaś...

— Rubin — przerwała.

— Mmm... tak. I Rubin omal nie spalił całej twierdzy. A teraz ratowałaś coś... kogoś, kto jest symbolem Ferenu...

— Kule i Rubiny to coś zupełnie innego niż Trzy Siostry i Ridareta. Tamte są przedmiotami, a Siostry i ja nie. My myślimy i decydujemy. Raz na wiele setek lat — tłumaczyła — pojawia się żywy i myślący symbol Ferenu. I po raz pierwszy pojawił się ktoś, kto jest żywym Rubinem. Prawie.

— I co teraz z Delarą? — zapytał.

— Wyzdrowieje. Kazałam jej zabić Seilę. Anesę.

— Pierwszą Perłę królowej Dartanu? — Raladan po raz kolejny zaczął się zastanawiać, czy umysł Ridarety nie doznał żadnego uszczerbku, choćby podczas nagłego „przypominania sobie” zdarzeń sprzed stuleci.

— A kto może to zrobić łatwiej niż jej przyjaciółka i dowódczyni gwardii pałacowej?

— No dobrze, ale jeśli nawet... Zabić? Przecież dopiero co słyszałem...

— Słyszałeś, słyszałeś... A myślałeś? Ja nie mogę ich zabić, a dokładnie: Riolata nie może. Przecież to jest właśnie ta matematyka Szerni. — Znowu była (albo próbowała być) Przyjętą. — Riolata mordująca Trzy Siostry jest tym samym, co Odrzucone Pasma rozbijające Feren. Ale inny powód zniknięcia Trzech Sióstr? To nic nie oznacza, Raladan. Są śmiertelne. Wiadomo, że umrą. Przecież Feren od tego nie

zniknie. Delara zabije Seile, a jak jej się nie uda, to zostanie pochwycona i stracona. Właśnie uratowałam świat. Kogo nie mogę zabić, Raladan? Kogo suka NA PEWNO nie zabije, nawet gdyby mnie ogłupiła, zmusiła do czegoś i zerwała się ze smyczy? Kogo, no kogo na pewno nie można zabić?

Pokiwał głową.

— Martwego.

— Właśnie. Załatwiłam sprawę raz na zawsze. Chociaż raz w życiu zła Ridareta zrobiła coś naprawdę dobrego — powiedziała z prawdziwie szczerą wiarą.

— No nie, czekaj... Zginie jedna, może nawet dwie. A trzecia, najważniejsza?

— Jeśli nawet ją kiedyś zabiję, to będzie znaczyło tylko tyle, że rozpadła się jedna trzecia Ferenu. Pozostałe symbole Ferenu będą martwe, więc Riolata nie zabije ich, bo to niemożliwe.

Raladan myślał i myślał. Wreszcie znowu pokiwał głową.

— Matematyka, mówisz...

Podniósł się, wyszedł zza stołu i przez chwilę grzebał w kłopotach wrzuconych do skrzynki pod ścianą. Przyniósł naddartą kartę i ołowiany rysik. Mozolnie zaczął bazgrać. Wreszcie pokazał kartę Ridarecie.

— Tam leżą tablice deklinacji słonecznych, tablice matematyczne i przyrządy nawigacyjne — powiedział. — Każdy dowódca okrętu ma jakieś, choćby blade, pojęcie o matematyce. Każdy, tylko nie ty. Pytanie zresztą, Rido, czy tu w ogóle jest potrzebna znajomość matematyki? Może wystarczy po prostu odrobina zdrowego rozsądku. Chwila zastanowienia.

— Co mi tu napisałeś?

— Policzyłem to samo na dwa różne sposoby... Jeden sposób jest dłuższy, drugi krótszy, a oba tak samo pewne. Wynik identyczny. Oszukała cię.

Ridareta niepewnie patrzyła na liczby i symbole.

— Ale... kto? — zapytała.

— Riolata albo, jak mówisz, suka. Tak jak powiedziałaś, Rubin to tylko rzecz. Albo raczej siła, która faktycznie nie myśli, potrafi jednak zmierzać do celu. Ciąży ku czemuś, choćby i nieświadomie; tak pewnie powiedziałyby Tamenath.

Gdyby jednoręki Przyjęty mógł się przekonać, jak wielki wpływ wywarł na dwoje zwykłych awanturników... Nigdy go nie słuchali, a jeśli nawet, to nie rozumieli, zwłaszcza Ridareta. Tak uważał. A po latach okazywało się, że nawet na najbardziej nieurodzajnej glebie potrafi zakiełkować jakieś ziarno. Tych dwoje wiedziało o prawach Szerni więcej niż wszyscy mieszkańcy Agarów razem wzięci.

— Wątpię — ciągnął Raladan — żebyś musiała wykończyć Trzy Siostry osobiście. Jeśli to naprawdę jest matematyka albo coś do niej podobnego... jakieś niewzruszone prawa... Brawo, Rido, rozwiązałaś równanie. Na swój sposób, ale wynik się zgadza.

— Nic nie rozumiesz, wszystko pokręciłaś! — zawołała.

— Ja pokręciłem? Zleciłaś zabójstwo, będziesz więc sprawczynią. To po pierwsze. A po drugie, skoro to takie proste, że wystarczy zabić jedną z Trzech Sióstr i Rubin przestanie mieć ochotę na następne, to dlaczego właściwie Delara ciągle żyje? Trzeba było pozwolić jej umrzeć. Czy to ty ją śmiertelnie raniłaś?

— Nie chciałam, żeby umarła! Suka chciała! Ja nie!

— I postawiłaś na swoim. A wtedy Rubin, skoro nie mógł rozwiązać równania w prosty sposób — Raladan wziął kartkę ze stołu — poszukał innego sposobu. Rido... Posłuchaj mnie uważnie. No, słuchaj! — powtórzył z naciskiem, bo aż ją roztrzęsło. — Twój plan nie trzyma się kupy. To stek bzdur. Nie znam się na Szerni, ale dwa dodać dwa to zawsze będzie cztery; i tak samo jeden dodać trzy... Rozumiesz, co do ciebie mówię? Oszukała cię! Lada dzień Feren zacznie się rozpadać z twojego powodu.

*

Oba szafasy były puste. A do tego zrujnowane, i to tak, jakby srożył się w nich niedźwiedź.

Raladan oglądał miejsce, w którym poszukiwana przez załogę Ridareta przesiedziała kilka dni. Nie dostrzegł nic ciekawego.

Marynarze łazili tu i tam. Był wśród nich mały pokurcz, przed laty kłusownik. Szukał tropów, lub udawał, że szuka. Ale nie znalazł żadnych.

Ridareta opierała się o drzewo przy strumyku. Raladan stanął pod drugim.

— Jaka była, kiedy ją zostawiłaś? Zdrowa?

— Prawie. Ale słaba — odpowiedziała krótko.

— Mogła chodzić?

— Z trudem. Ale mogła.

Z zatkniętymi za pas dłońmi kołysał się na obcasach. Miał taki obyczaj, gdy myślał.

— Opowiedz mi o niej — rzekł po zastanowieniu. — Zaszło tutaj coś, o czym warto wiedzieć? Powiedziała ci o czymś? Co zamierza zrobić, dokąd iść? Jak w ogóle wyglądała ta wasza... znajomość? — wypytywał.

— Po co ci to wszystko?

— Nie bądź głupia. Wybieram się do Rollayny — oznajmił. — Może wiesz coś, co może mi się przydać?

— Nie.

— Siedziałyście tu przez parę dni. Rzygałaś na nią, pięknie, to już wiem. A poza tym? O niczym nie rozmawiałyście, nic nie robiłyście?

— Prawie że nic.

Czekał.

— Łasiła się do mnie. Podlizywała jak najpodlejsza niewolnica. No to pobawiłam się nią.

— Pobawiłaś?...

Wzruszyła ramionami.

— Tresowałam... Kazałam, żeby sobie robiła różne rzeczy.

Wydeła usta i patrzyła nań tak długo, aż zrezygnował z dalszego wypytywania. Czymkolwiek były „różne rzeczy”, już nie wątpił, że Ridareta poniżyła i udręczyła zniewoloną brankę na najwymyślniejsze sposoby. Szkoda tylko, że dla niego nic z tego nie wynikało.

Wytlumaczyła sobie jego milczenie opacznie. Kiepsko się ostatnio rozumieli.

— Nie za bardzo mogłam się powstrzymać — powiedziała usprawiedliwiającym tonem — bo jeśli nie chciałam jej zabić, to suka musiała coś dostać na pocieszenie. Żeby nie kęsała mnie za bardzo. Kogo miałam jej dać do gryzienia? Marynarzy? A zresztą nie miałam humoru; jestem w ciąży, od jakichś pięciu tygodni. Nawet już trochę widać, nie zauważyłeś?... I to idzie tak szybko, jak zawsze, czyli urodzę gdzieś tak za dwa miesiące. Wszystko zaczyna być jak dawniej; może znowu nauczę się podpalać coś albo... Na razie nic nie umiem. Mówię, bo kiedyś pytałeś.

— Te twoje humory i ciąży... — urwał, bo nie chciał znowu zbywać jej problemów byle czym. — Skoro nie możesz poronić od naparów z

ziół, to dlaczego nie pójdziesz do jakiejś wiejskiej babki?

Nie doceniła jego starań. Przekrzywiła głowę i popatrzyła z litością.

— A myślisz, że nie próbowałam? Wyrwie ze mnie wszystko, tylko nie to co trzeba. A boleć będzie tak, że tego to już nawet ja nie wytrzymam. Suka umie się bronić i mścić, ona przecież chce, żeby było dużo Rubinków. Ja już nawet próbowałam sama otworzyć sobie brzuch, ale omal nie zabiłam Nellsa i...

— Wracamy i podnosisz kotwicę — zdecydował. — Wyszadzisz mnie w Dartanie, na wysokości Rollayny. Nie minęło zbyt wiele czasu i nawet jeśli zdobyła konia, to chyba nie ma pieniędzy, żeby co chwila kupować świeżego, a kradzieże to nie taka prosta sprawa dla kogoś, kto nigdy tego nie robił. Mogę ją jeszcze wyprzedzić. Masz w załodze kogoś, kogo można zabrać do wielkiego miasta, tak żeby nie przyniósł wstydu? Mądrego chłopaka o nie całkiem zakazanej gębie?

Podumała chwilę.

— Znajdzie się. Zresztą Dartańczyk; będziesz miał tłumacza. I mogę ci dać jeszcze dziewczynę, Garyjkę. Dziwka, ale dobrze zna Kinen, czyli chyba rozgarnięta. — Ślepa Ridi nigdy nie zdołała się nauczyć bodaj słowa w obcym języku. — Na dodatek taka, co nosiła naprawdę ładne suknie. Droga dziwka, nie dla każdego. Tyle tylko że pewnego razu...

— Lepiej już zamknij się, Rido — powiedział. — Żadnych dziwek i w ogóle żadnych kobiet. Czy w ogóle w Szererze są jeszcze jacyś mężczyźni? Na jednym tronie królowa, na drugim cesarzowa. Trzy Siostry i kobieta-Rubin. Dlaczego to nie mogli być Trzej Bracia?... Już ja widzę, jak wy to urządzicie. Jeśli ty nie rozwalisz Szerni, to Dartanka i Armektanka rozwalą przynajmniej Szerer. Wracajmy na okręt.

— Dobrze — powiedziała z niezwykłą pokorą.

— A ty dokąd popłyniesz? Jak już mnie wysadzisz na brzeg?

— Do Nin Aye, tak jak umówiłam się z Kitarem.

— Nie przeszło ci jeszcze?

— Mnie nie. Ale...

Lekko przygryzła wargę.

— Ale boisz się, że jemu przeszło?

Skrzywiła usta i smutno skinęła głową.

— Jestem głupia, przeklęta i nigdy nic mi się nie udaje.

5.

Kolorowe — byle nie czerwone — a najczęściej czarne maski, wąskie i szerokie, od kilku lat noszono w wielkich miastach Dartanu tak powszechnie, że aż trudno było wyjść z domu i nie spotkać nikogo z zasłoniętą twarzą. Stało się to niemal modą. Szczególnie w stolicy, mieście w którym biło serce królestwa będącego wcześniej najbogatszą prowincją imperium, każdy kto stał wyżej od przekupnia, miał coś do ukrycia. Plotki mogły przemienić się w chłoszczące różgi, a sprawdzone wieści w śmiercionośny oręż. Pijani mężczyźni w gospodzie, prawiący słodkie słówka córce gospodarza, niekoniecznie chcieli, by w nich rozpoznano szacownych urzędników miejskich; pukający do drzwi domu publicznego chwat nie życzył sobie pokazywać twarzy należącej do oficera halabardników królowej; dwie damy poprzedzane przez pachotków — także zamaskowanych — śpieszące dokądś o północy, na pewno miały powody do zakrywania twarzy. Nawet w miejscu tak niewinnym, jak miejskie targowisko, nie każdy szastający srebrem człowiek gotów był zdradzić swą tożsamość. Czyjeś oczy mogły poznać zalegającego z czynszami sąsiada, który niemal głodził swą rodzinę, zaniedbywał żonę, a teraz oto kupował kilkanaście łokci drogiego jedwabiu, tasiemki i wstążki do aplikacji, słowem: materiały potrzebne do uszycia wcale bogatej sukni...

Zapadał wieczór. Od trzech lat Rollayna nie zamykała bram miejskich, ale do Dzielnicy Królewskiej po zmierzchu nikogo przypadkowego nie wpuszczano. Mury stolicy miały postać dwóch okręgów, z których mniejszy, wewnętrzny, zamykał w sobie najbogatsze domy, ważne urzędy, a przede wszystkim, oczywiście, świetny pałac dartańskich monarchów. Zewnętrzny mur już od dawna nie miał znaczenia obronnego, obrósł domami, ogrodami — pieszy człowiek mógł bez trudu sforsować go w wielu miejscach. Przedmieścia były otwarte. I to tam skupiała się większa część ludności Rollayny, tam załatwiano liczne nieurzędowe sprawy. Tam najwięcej handlowano, bawiono się i zdradzano.

Zamaskowana kobieta, która idąc z przedmieścia wspięła się po wąskich stopniach na szczyt muru i zeszła po drugiej stronie (był to wygodny skrót łączący obwodnice zewnętrzną i wewnętrzną), bardzo pilnie wystrzegająca się ujawnienia swojej tożsamości. Oprócz zwykłego

paska materiału z wycięciami na oczy miała na twarzy zasłonkę z czarnego jedwabiu, którą można było puścić luźno z boku albo podpiąć do górnej części maski; teraz była podpięta. Kobieta — a może dziewczyna, bo sprężystość ruchów i cała sylwetka zdawały się zaświadczać o jej młodym wieku — miała na sobie bardzo prosty i tani mieszczański przyodziewek; kosztowna tkanina kryjąca twarz w ogóle do tej szatki nie pasowała, bo chyba przewyższała ją wartością. Na ulicach panował jeszcze znaczny ruch; dziewczyna, potrącana przez obojętnych przechodniów, poszła prosto ku jednej z dwóch bram wiodących do Dzielnicy Królewskiej. Zdążyła tuż przed zmrokiem; dwaj znudzeni żołnierze przechadzali się wzdłuż muru w tę i nazad, popatrywali w niebo, ale nikogo jeszcze nie zatrzymywali.

Dziewczyna przeszła przez bramę.

Rollayna, wymieniana często jako najpiękniejsze miasto Szereru, nie wszędzie jednak wyglądała tak samo. Dzielnica Królewska, wielokrotnie przebudowywana, była koszmarem architektonicznym. Starodartański styl, smukły, strzelisty, ale przy tym wspaniale rozłożysty, bo — jak kazała tradycja — koniecznie parterowy, został tu wyparty przez bękarta. W ciasnocie stolicy, gdzie każdy chciał mieć rezydencję, wznoszono potworki rodem ze złego snu: pałacyki strzelające ku chmurom, z dziedzińcami, na których z trudem mieściła się lektyka, usadowione na podstawach mających najwyżej pięćdziesiąt na pięćdziesiąt kroków, istne wieże pełne spiralnie kręconych schodów, niezliczonych wykuszy, mających wyrwać dla mieszkańców domu dodatkową przestrzeń o rozmiarach kilku łokci, wszechobecnych balkonów i wiszących w powietrzu tarasów. Była to ohyda, która rozlała się, niestety, na cały Dartan, a następnie bez mała cały Szerer. To, co w stolicy było koniecznością, gdzie indziej stało się modą. Zapomniany rycerzyk z prowincji, nie mogący marzyć o domu w stolicy, budował podobny na swych ziemiach, nie rozumiejąc w ogóle, co robi i po co — bo od biedy umiał podpatrywać, jak żyją możni tego świata, ale myśleć, niestety, już nie.

Brukowana, świetnie utrzymana ulica, wiodła wzdłuż szeregu takich domów. Kobieta w mieszczańskim przyodziewku mijała je obojętnie, zmierzając tam, gdzie dźwigały się ku niebu potężne wieże pałacu królewskiego, uwiecznione w herbie stolicy. Główna bryła tej

największej niewojskowej budowli Szereru (bo dwie stare armektańskie twierdze na północy, Tor i Rewin, wydawały się jednak większe i potężniejsze) była starodartańska, parterowa, jednak skrzydła strzelały w górę, mieszcząc więcej pokoi, korytarzy i komnat niż cesarska rezydencja w Kirlanie. Idąca ulicą dziewczyna, z dziwnym smutkiem w pięknych wilgotnych oczach spoglądała na owe widoczne z daleka skrzydła, jakby zostawiła tam coś, do czego nigdy nie wróci; jakieś dobre, ale już nieziszczalne marzenia, może tylko ciepłe wspomnienie...

Bo tak było.

Na dziedzińcu przed pałacem królewskim na pewno zmieściłoby się sporo więcej niż tylko jedna lektyka... Bywało, wyprawiano tam uczy. Solidny, chociaż bardzo piękny, po dartańsku otynkowany biały mur, otaczał zarówno dziedziniec, jak i sam pałac, a na koniec ogród — bardzo szczególny, bo zapuszczony, trochę dziki, udający kawałek prawdziwego lasu: szumiały tam dęby i sosny, wznosił się pagórek, otwierało kilka piaszczystych wykrotów. Między paprociami zalegał nie zbierany chrust, a na miękkim mchu spoczywały igły i szyszki... Nie wiadomo, kto wymyślił taki dziwny ogród-nie-ogród, ale pomysł był bardzo dobry. W Rollaynie — szczególnie na przedmieściach — istniały parki i prawdziwe ogrody, lecz kawałeczek lasu mieli dla siebie tylko władcy.

Królowa Ezena, księżna Dobrego Znaku, polany w największej kniei Szereru, bardzo kochała ten lasek, bo przywodził jej na myśl początek długiej drogi, jaką musiała przebyć, by dotrzeć do komnaty tronowej.

Przed pałacową bramą czuwali pysznie odziani, uzbrojeni w halabardy i miecze wartownicy — to już nie było zwykłe wojsko, jak przed miejskimi bramami. Królewska gwardia uchodziła za najlepiej opłacaną formację Szereru — i powiadano, że służący w niej żołnierze zasługiwali na to. Wywodzili swój rodowód z osobistej straży władców Dobrego Znaku; odkąd przyszło im strzec monarchini, pomnożono ich liczbę, ale nie obniżono wymagań, skutkiem czego wciąż było ich za mało. Nie przyjmowano nikogo z niepewnym pochodzeniem i wątpliwymi umiejętnościami; gwardzistą mógł zostać tylko zasłużony żołnierz z określonym stażem, wywodzący się z innych, nie tak elitarnych, oddziałów monarchini.

Najlepsi spośród tych ludzi, wybrani z wybranych, zasłużeni wśród zasłużonych, zostali niedawno stratowani przez zgraję czterystu

brudnych drabów. Kilku ciężko rannych przeżyło tę bitwę, by następnie konać z nogami przywiązanymi do gałęzi. Zapłacono za nich po dwadzieścia sztuk złota i pozwolono umrzeć na chłodnej murawie w cieniu drzew, które wcześniej oglądały ich klęskę.

W pałacowej bramie ruch nie zamierał prawie nigdy; może o północy, ale przecież nie wczesnym wieczorem. Zamaskowana kobieta poczekała chwilę, aż dziedziniec opuści większa od innych grupka ludzi (petentów, dworaków; któż to wiedział?...), i zbliżyła się do jednego z wartowników, który przerwał rozmowę z kolegą i spoglądał wyczekująco. Z maską na twarzy — obojętne, jak powszedni to był widok na ulicach dartańskich miast — nikt nie mógł wejść do pałacu. Żołnierz zrobił dwa kroki na spotkanie kobiecie.

— Daj mi tego dotknąć — powiedziała dziwnie zdławionym głosem, wyciągając rękę i muskając palcami mundurową tunikę gwardzisty. — Może to już ostatni raz...

Zaskoczony wartownik otworzył usta, ale nie zdążył nic powiedzieć, bo uprzedziła go słowami:

— Ja i królowa, żołnierzu. Tylko ona lub ja.

Halabardnik zgłupiał do reszty. Nagle zmarszczył brwi, trochę niepewnie uniósł rękę, jakby chciał podrapać się w głowę, odstąpił krok i zapytał:

— Wasza god...? Perło?

— Tak, tylko nikomu ani słowa. Muszę wejść do pałacu, ale nie zdejmę maski. Wiem — uprzedziła wszystkie wątpliwości. — Nie złamię własnego rozkazu... Ma tu przyjść twój dowódca, a jeśli nie on, to jej godność K.N.Vasaneva. Nikt inny. Nie znajdziesz ich, to wróć i mi powiedz.

— Tak, Perło.

Halabardnik znał sylwetkę, włosy, oczy, głos i sposób mówienia Czarnej Perły. Wprawdzie nie widział jej twarzy, ale postawiłby w zakład głowę, że mówiąca nie jest nikim innym. Zresztą nie zleciła niczego, czego by nie mógł wykonać; wprost przeciwnie. Odwrócił się i powiedział kolegom:

— To do komendanta.

Szybkim krokiem ruszył przez dziedziniec.

Zamaskowana kobieta odsunęła się od bramy, przez którą znowu

ktoś wchodził.

Przyszło jej czekać dość długo.

Żołnierz tymczasem nieomal biegiem przemierzał pałacowe korytarze. Odebrany od Czarnej Perły rozkaz nie tylko mógł, ale nawet musiał wykonać, bo pochodził aż z dwóch źródeł. „Gdyby wróciła pani Hayna” — rzekł niedawno komendant Ohegened, kierując swe słowa do oficerów straży pałacowej — „mam być o tym natychmiast powiadomiony. Natychmiast!” — podkreślił.

Oficerowie powtórzyli rozkaz podkomendnym.

Teraz halabardnik, znający znaczenie słowa „natychmiast”, pędził prosto do komendanta, pomijając nawet zwykłą drogę służbową, bo normalnie zameldowałyby się u dowódcy wart. Był rad, że niesie dobrą nowinę: Czarna Perła królowej, surowa kiedy trzeba, ale na co dzień uśmiechnięta i łaskawa, a zawsze sprawiedliwa dla żołnierzy i gotowa ich bronić przed każdym, była powszechnie lubiana. Prosty wojak cieszył się, że już wróciła z podróży.

Hayna była pierwszą gwardzistką królowej i jej osobistą przyboczną. Odpowiadała za bezpieczeństwo monarchini, podlegały jej więc zarówno zwykłe przyboczne niewolnice, jak też wojskowy oddział mający akurat służbę w pałacowych koszarach, a na koniec straż pałacowa, choć bezpośrednim przełożonym halabardników był komendant Ohegened, niemłody już Grombelardczyk, żołnierz wierny i zasłużony. Właściwie wyłącznie za jego pośrednictwem Czarna Perła miała prawo rozkazywać pałacowej straży, była to jednak czcza formalność, z reguły nieprzestrzegana, zwłaszcza że surowy wojak Ohegened bardzo dobrze znosił zwierzchnictwo pięknej i mądrej niewolnicy królowej, która ze swej strony okazywała mu uznanie, przyjaźń i szacunek. Jeśli zlecała coś halabardnikom, to nie tyle przywłaszczała sobie jego prawa, co po prostu ujmowała mu pracy — tak to właśnie (bardzo słusznie zresztą) widział i traktował. Niemniej, gdyby kiedyś tych dwoje dowódców wydało sprzeczne rozkazy, pałacowi strażnicy winni byli posłuch swojemu komendantowi — on zaś co najwyżej mógł tłumaczyć się przed królową, dlaczego nie wypełnił polecenia Perły.

N. Ohegened, człowiek o dużych wpływach i znaczeniu, dowodzący raptem pięcioma setkami żołnierzy, a mimo to mający stałe miejsce w

radzie wojennej obok wielkich i sławnych wodzów królestwa, nigdy — poza krótkim okresem urlopu — nie miał czasu prywatnego; stale pozostawał na służbie. O każdej porze dnia i nocy musiał być gotów wypełniać obowiązki; nie miał prawa wyjść ze swojej komnaty, nie pozostawiwszy w niej żołnierza, który wiedziałby, gdzie szukać komendanta, gdyby zaszła taka potrzeba. Zdążający od pałacowej bramy gwardzista miał szczęście, bo zastał zwierzchnika u siebie — ale zarazem miał pecha, bo zwierzchnik był akurat półnagi i przymierzał się do kadzi z ciepłą wodą. Ładna służka z naręczem kąpielowych prześcieradeł zapowiedziała, a raczej krótko i sucho zameldowała mu podkomendnego, więc wyłonił się z drugiej komnaty, bardzo nierad. Żołnierz zameldował, z czym przyszedł. Komendant przez chwilę milczał.

— Wróc i powiedz Perle, że przyjąłem meldunek. Zaraz będę przy bramie.

— Tak, panie!

Żołnierz wyszedł. Ohegened zwrócił się do niewolnicy.

— Sam się ubiorę. Odszukaj lub każ odszukać jej godność K.N.Vasanewę. Gwardziści służbowi do mnie.

— Tak, panie. — Niewolnica była wdrożona do wojskowych porządków i należało przypuszczać, że wykąpawszy komendanta, powiedziałaaby wyprostowana: „Melduję, wasza godność: jesteś czysty!”.

Zostawiła prześcieradła tam gdzie stała, okręciła się na pięcie i ruszyła prosto do drzwi. Czy z nią sypiał?... Jeśli tak, to na pewno mówiła: „Akt miłosny dobiegł końca, wasza godność! Przystępuję do zasypiania”.

Służbowi gwardziści wartowali na korytarzu przed drzwiami do komnat dowódcy. Niewolnica wyszła, wezwani żołnierze weszli.

— Do warty przy osobie królowej. Powiedz: przyszła. Niech przekażą to jej królewskiej wysokości.

— Tak, panie.

Żołnierz wyszedł.

— Do oficera służbowego — rzekł jego koledze Ohegened. — Ośmiu ludzi w rynsztunku bojowym. Nie paradnym! — podkreślił, bo różne honorowe asysty były w pałacu na porządku dziennym; w poważnej sprawie należało wykluczyć wszelkie pomyłki i nieporozumienia. — Mają czekać przy drzwiach głównych.

— Tak, panie!

Komendant odział się, narzucił na wierzch zielono-granatową mundurową tunikę, z wyhaftowanymi dębowymi liśćmi i czerwoną królewską koroną, przypasał miecz, po czym ruszył korytarzem ku schodom. Mieszkał we wschodnim skrzydle, niewysoko, bo na pierwszym piętrze. Zbiegł po szerokich stopniach, prawie nie dostrzegając czmychającej z drogi służby, jakichś domowników i gości czy petentów... Bogato zdobiona narzuta oficera gwardii królowej robiła wrażenie na każdym, nawet jeśli był to dzikus spoza stolicy, nieznający twarzy komendanta Ohegeneda. Stary wojak skierował się ku wyjściu, dokąd już zmierzali biegiem z naprzeciwka wezwani żołnierze pod bronią.

Stary Grombelardczyk miał do wykonania najobrzydliwsze zadanie, jakie mu kiedykolwiek zlecono.

Nie wierząc własnym uszom i aż uśmiechając się z politowaniem — co zakrawało na bezczelność i zuchwalstwo, bo mówiła doń sama królowa — wysłuchał niedawno poronionej historii o spisku, w którym jakoby mogła uczestniczyć... Hayna. Gdy chodziło o służbę królowej, Ohegened gotów był poważnie potraktować wszystko — ale nie takie bzdury. Jedno poprzysiągł sobie w duszy: że jeśli w tych szaleńczych (bo co z tego, że królewskich?...) bredniach jest bodaj okruczeństwo, to nie odnowi swej żołnierskiej przysięgi, wymówi służbę i wyjedzie z Dartanu raz na zawsze. Skoro Hayna mogła zwrócić się przeciwko królowej, to znaczyło, że może każdy. On sam, jego gwardziści, Yokes i jego chorągwie... Wszyscy, zupełnie wszyscy. Ohegened nie zgadzał się na trwanie w takim świecie, gdzie pod nogami nie było nawet najmniejszego kawałka twardego gruntu. Musiał mieć chociaż jedną osobę, której ufa.

Hayna miałyby zdradzić królową?

Gdyby się to potwierdziło, Ohegened nie zdołałby już nigdy zaufać nikomu. Nikomu! Nawet samemu sobie. Bo Hayny był bardziej pewien niż siebie — nie upijała się. Nigdy.

Jednak Czarna Perła właśnie wróciła do pałacu, chociaż miało jej nie być co najmniej przez kilka, a nawet kilkanaście tygodni. Królowa uprzedziła go o takiej możliwości, a to oznaczało, że w niewiarygodnych wieściach, które uzyskała (od kogo? z jakich źródeł?), coś jednak było prawdą.

Robiąc dobrą minę, miał teraz zwabić Czarną Perłę do siebie, otoczyć zbrojną strażą i oddać Vasanevie. Po czym nigdy już nie spojrzeć Haynie prosto w oczy. Bo nie chodziło wcale o to, że z rozkazu królowej miał ją pojmać; Hayna wiedziała, co to rozkaz. Ohegened miał udawać, że nic nie wie, że cieszy się z jej powrotu. Sto razy wolałby stanąć i od razu powiedzieć: „Jesteś podejrzana o udział w spisku i musisz iść ze mną, Perło”.

— Do moich komnat — rozkazał krótko, zwracając się do dowódcy uzbrojonych jak na wojnę gwardzistów. — Czekać w drugim pokoju na rozkazy.

— Tak, panie.

Ohegened wyszedł przed pałac.

Z dziedzińca znoszono właśnie pustą lektykę, z której zapewne przed chwilą wysiadł jakiś umówiony na wieczór gość lub po prostu wracający do domu dworzanin. Trzej ludzie pytali o coś strzegącego bramy wartownika. Odpowiedział, po czym wskazał kierunek. Podziękowali i poszli dobrze oświetloną ulicą wzdłuż pałacowego muru. Komendant straży znalazł się przy bramie i rozejrzał dokoła. W świetle wielkich olejowych zniczy dostrzegł samotną sylwetkę po drugiej stronie ulicy, w cieniu strzelistego budyneczku. Ruszył ku niej.

Postąpiła mu naprzeciw.

— O nic nie pytaj — powiedziała, chyba odruchowo dotykając jedwabnej tkaniny na twarzy, jakby chciała sprawdzić, czy ją ma. — Wprowadź mnie do pałacu, muszę się zobaczyć z królową.

— Co tu robisz, Perło? Miałaś być w Grombelardzie.

— Owszem. Ale z ruszającej tam wyprawy ocalałam tylko ja. Wprowadź mnie. Nie mogę tego zdjąć — rzekła, po raz drugi dotykając zakrywającego twarz jedwabiu.

— Dlaczego?

— Bo nie mogę.

Po krótkiej chwili dorzuciła:

— Dobrze, daj rękę... No, daj.

Ujęła jego dłoń i wsunęła pod zasłonę. Dotknął palcami policzka.

— Oszczędź mi tego na razie — poprosiła bardzo, bardzo cicho.

Nie wiedział co powiedzieć. Przełknął ślinę.

— Co się stało? — zapytał w końcu. — Powiedz mi, co zaszło. Walczyliście?

— Tak, ale to nieważne. Nic więcej ci teraz nie powiem, bo nie mogę. Nie mogę. Wprowadź mnie do pałacu.

Pomogła mu wypełnić wstrętną misję. Nie chciała o czymś mówić, miała tajemnice. Więc i on mógł jakieś mieć.

— Skoro tak — powiedział — to chodź.

Ruszyli ku bramie.

— Wszystko w porządku — rzekł do wartowników.

— Tak, panie.

Z Czarną Perłą u boku przemierzył dziedziniec. Weszli do pałacu.

Ktoś kiedyś powiedział, że jest to dom przeklęty. Miał rację czy jej nie miał... W każdym razie, była to budowla nieudana. W założeniu

piękna, wyglądała na taką jedynie z zewnątrz. Coś wyszło zupełnie na opak, gdzieś popełniono błąd, a raczej wiele, wiele błędów... Wysoko zawieszona sklepienia winny dawać poczucie wolności i przestrzeni; zamiast tego — niedosiężne, niewyraźne, nazbyt płynnie przechodzące w ściany — wywoływały przygnębienie, zniechęcenie. W korytarzach źle rozchodziło się światło, a po dziwnie rozplanowanych schodach równie trudno było wejść, jak zejść — zbudowano niskie, a za to nadmiernie szerokie stopnie, zbyt wąskie, by uczynić dwa kroki, za szerokie na jeden krok, skutkiem czego tylko karzeł lub wielkolud mógł się po nich poruszać normalnie, wszyscy inni gramolili się, dreptali... Prawie każdy drobiazg był w pałacu nie taki, jak trzeba. Nawet wzory na posadzkach mamąły i męczyły oczy. Może zresztą wynikało to z nadmiaru niedoskonałości; możliwe, że każde z owych błędnych rozwiązań architektonicznych i zdobniczych, przeniesione do innego domu, byłoby raczej ciekawym urozmaiceniem niżli wadą. Lecz zebrane wszystkie w jednym miejscu, czyniły życie niezmiernie uciążliwym, szczerze przykrym.

Ohegened szedł po wzorzystej posadzce, prowadząc za sobą Haynę.

Wszyscy ją tu znali. Maską niewiele mogła pomóc, skoro każdy żołnierz i każdy domownik sto razy widział równo ułożone wokół głowy, kasztanowe włosy królewskiej Czarnej Perły, znał jej zgrabną sylwetkę i sposób chodzenia... Ale skromny przyodziewek, jaki miała na sobie, zbijał domowników i służbę z tropu. Widywano ją w bogatych sukniach; kiedy indziej nieomal nago — bo zwiewne domowe szatki Pereł, porozcinane ze wszystkich stron, pospinane łańcuszkami i delikatnymi broszami, bardzo niewiele ukrywały; czasem nosiła kolczugę i ściągniętą pasem narzutę wojowniczką... Teraz ktoś przystanął, oglądając się za dziwną mieszczką z jedwabną tkaniną na twarzy, bo byłby przysiągł, że już kiedyś... gdzieś... W grupce stojących pod ścianą ludzi na chwilę ucichły rozmowy; trochę dalej dwaj mężczyźni, marszcząc brwi, przyglądali się towarzyszce komendanta Ohegeneda.

— Dokąd mnie prowadzisz? — zapytała.

— Najpierw do siebie — odrzekł krótko. — Do królowej teraz nie wejdiesz.

— Dlaczego?

Byli już na piętrze. Komendant uniknął odpowiedzi, przyspieszając

kroku.

— Dlaczego, Ohegened?

— W tej chwili jest... niedostępna — odpowiedział przez ramię.

Nie wysilił się. Dla dowódcy straży pałacowej i osobistej przybocznej o statusie Drugiej Perły królowa była dostępna zawsze i wszędzie. Po chwili sam zrozumiał, że się nie wysilił... Obejrzał się na towarzyszkę, ale już jej za nim nie było. Biegła korytarzem z powrotem w stronę schodów.

— Straż! — krzyknął. — Zatrzymać ją!

W głównej bryle budowli było pełno halabardników; w skrzydłach trochę mniej. Ale przy schodach stały warty. Żołnierze skoczyli ku uciekinierce. Jacyś pałacowi niewolnicy odbiegli pod ścianę, ale nie dość szybko: potrącając ich, pędził już halabardnik z kolejnego posterunku, za nim zrywał się do biegu następny. Pałacowe straże były rozstawione tak, że każdy wartownik widział dwóch najbliższych kolegów.

Zamaskowana mieszczka przystanąła, bo stało się dla niej jasne, że zaraz zostanie pochwycona — albo zginie. To nie były zbiry, których mogła nad morzem szlachtować swoją włóczęgią; znała żołnierzy, którzy właśnie ku niej biegli. Z gołymi rękami mogła stawić czoło jednemu, może dwóm. Ale ci ludzie, tutaj, pilnując domu osoby, która nadawała sens ich istnieniu, w ogóle nie znali się na żartach. Sama ich tego uczyła. Każdy gotów był bez namysłu nadzieć się na wrogi miecz, byle tylko jednocześnie wbić swój tam, gdzie trzeba.

Zamiast biec dalej ku schodom, rzuciła się w bok, całym ciężarem ciała uderzając ogłupiałego, zastygłego w miejscu dworaka, który poleciał do tyłu i rozbił głową szybę w wielkim oknie. Mając za sobą pędzących z nastawioną bronią gwardzistów, skoczyła w okno, wygniatając barkiem ołowianą ramkę, w której tkwiły zębate resztki szkła — i wypadła na zewnątrz. Mogło się to skończyć bardzo źle, bo piętro oparte na starodartańskim parterze, dzieliła od ziemi naprawdę spora odległość. Czarna Perła wylądowała w dzikim ogrodzie za domem, szczęśliwie nie nadziejąc się na żadną sosnową gałąź i nie łamiąc kości w płytkim piaszczystym wykrocie, o brzeg którego wyrznęła żebrami, kalecząc się o wystający z ziemi korzeń. Zerwała się i pobiegła w głąb lasu. Stała na krótką chwilę i rozdarła spódnicę swojej sukieneczyny, by nie krępować poruszeń. Z jasnych pałacowych okien na łeb, na szyję,

ale bez żadnego wahania, wyskakiwali w ślad za nią pałacowi strażnicy. Ktoś krzyczał, przyzywając warty z zewnątrz — nawet zagajniczek za domem królowej zawsze patrolowali gwardziści.

Hayna natknęła się na nich tak niespodziewanie, że tym razem nie mogła uciec. Uderzeniem rozpędzonego ciała zbiła z nóg pierwszego gwardzistę, przetoczyła się po ziemi i wstała, trzymając w rękach wydartą przeciwnikowi halabardę. Zgruchotała kolana drugiemu żołnierzowi i przedłużyła łuk zataczany przez masywne żeleźce, pozwalając, by ciężka broń nabrała nowego pędu; nie straciła przy tym równowagi ani orientacji. Dosięgła trzeciego gwardzistę, tak samo podcinając mu nogi i zrywając ścięgna hakiem halabardy. Ten, którego przewróciła na początku, wstał z mieczem w ręku, rzucił się do przodu i umarł, pchnięty grotem żeleźca w gardło.

Nie umiała walczyć na niby.

Wstrząsnęła nią śmierć żołnierza. Własnego... Wiernego i odważnego.

Zachłysnęła się oddechem; omal nie zapłakała.

Rzuciła halabardę, wyrwała miecz z martwej ręki i pobiegła dalej, zostawiając za sobą dwóch rannych i zabitego.

Mur wokół ogrodu był za wysoki, by mogła go sforsować bez sznura. Między drzewami prześwitywały jasne okna pałacu. Drzewa i zarośla podchodziły pod ściany obu skrzydeł budowli, ale od środkowej części oddzielała je pusta przestrzeń. Pałacowe drzwi wiodące do „lasu” były strzeżone przez wartę.

Hayna znała w lasku każdy krzaczek; tu nie było gdzie się schować. Lada chwila z pałacu wypaść miało kilkudziesięciu żołnierzy, dołączając do tych, którzy właśnie znaleźli jęczących towarzyszy z patrolu. Potem już tylko krótkie polowanie z nagonką. Osaczona pod murem zwierzyna.

Przedzierała się do zachodniego skrzydła.

I dojrzała otwarte okno.

Nie było tak jasne, jak większość pozostałych. W komnacie migotało kilka świec, zmieniających ciemność w żółtobrazowy półmrok.

Otwarte okno — w głównej bryle budowli... Po drugiej stronie wolnej przestrzeni. Zawieszona wysoko nad ziemią, chyba wyżej, niż sięgała głową.

Gdzie patrzyli strzegący pałacowych drzwi wartownicy? Czy w

stronę wschodniego skrzydła, skąd dochodziły krzyki biegających po lasku strażników?

Przesunęła się na sam skraj lasku. Wielkim łukiem cisnęła miecz ponad korony drzew, licząc, że upadnie gdzieś przy murze. Nie czekała, aż zadzwoni o konary; pobiegła. I nabrała rozpędu; wypadła na oświetloną przestrzeń niczym sarna, w mgnieniu oka przemierzyła ją, odbiła się od ziemi i skoczyła, ramionami i głową naprzód.

Nikt nie krzyknął, nikt jej nie zauważył. Nikt nie szukał uciekinierki w padającym z pałacowych okien świetle, na otwartej przestrzeni, w miejscu gdzie nie mogła się schować.

Przez szeroko otwarte drzwi wybiegali do ogrodu halabardnicy gwardii.

Hayna bardzo ostrożnie i powoli przymknęła skrzydło okna, przez które wskoczyła do komnaty. Stała przy ścianie, bo inaczej płomień świec rzuciłyby na okno jej cień. Poza tym ściana... dawała oparcie plecom. Krótkotrwały wysiłek bardzo zmęczył Perłę. Pomimo zbawczego działania ohydnych eliksirów, którymi smarowano ją i karmiono, była jeszcze słaba.

Drżały jej kolana i ręce.

Poznała pokój, w którym się znalazła — i tak samo poznała człowieka, który właśnie do niego wchodził.

Nie zauważył jej.

Zamknął drzwi, odwrócił się i krzyknął zaskoczony, gdy rzuciła mu się do nóg.

— Nic nie mów, wasza wysokość. Nie wydaj mnie — poprosiła.

Oniemiały ze zdumienia, przez chwilę nie mógł wykrztusić słowa.

— To ty, Perło?... — zapytał wreszcie.

— Tak, wasza królewska wysokość.

— Co tutaj robisz? Jak się tu dostałaś? Czy nie powinnaś być w Grombelardzie? — pytał trochę chaotycznie. — Przede wszystkim wstań! Co wyprawiasz?

— Klęczę. Bo potrzebuję pomocy. Nikt nie może mnie tutaj znaleźć... a nie chcę podnieść ręki na waszą królewską wysokość.

— Podnieść ręki?...

— Szukają mnie żołnierze straży pałacowej.

— Twoi własni żołnierze?

— To żołnierze królowej, nie moi.

— Co zrobiłaś? I powiedziałem ci: wstań.

— Nie, wasza wysokość, dopóki nie obiecasz, że pozwolisz mi się schować pod łóżkiem, jeśli ktoś zapuka do tych drzwi.

— Skoro to jest warunek, obiecuję — powiedział. — Ale ponieważ nie ma tutaj łóżka, musimy przejść do mojej sypialni. Tam na pewno nikt nie wejdzie, bo nie ma drzwi wiodących na korytarz. Mogłaby najwyżej wejść królowa... ale drzwi łączące nasze sypialnie bardzo rzadko się otwierają. O czym, niestety, wiesz.

Podniósł ją i popchnął ku wejściu do drugiej komnaty.

Kotary w oknach były zasunięte. Na stole obok łoża stał kandelabr dźwigający pięć świec. Książę rozjaśnił je kolejno, odpalając od pojedynczej, zabranej z pokoju dziennego. Zupełnie odruchowo upewniła się, czy na kotarach nie kładzie się jej cień. Przez chwilę nic nie mówili, dzięki czemu do uszu Małżonka dotarły okrzyki biegających po lasku żołnierzy.

— To z twojego powodu te hałasy? — zapytał.

— Tak.

— Co zrobiłaś?

— Wykonuję... tajną misję na zlecenie królowej — powiedziała. — Wszyscy myślą, że jestem w Grombelardzie, i nikt nie może wiedzieć, że wróciłam do Rollayny. Nikt, nawet komendant Ohegened. Próbowałam skrycie dostać się do pałacu...

— W tym stroju? I z maską na twarzy?

— Nie miałam innego stroju. A maska... Zabiłam żołnierza w ogrodzie. Teraz mnie szukają.

— Zabiłaś żołnierza?...

— Tak.

— Ale przecież nawet, jeśli cię złapią, to nic ci nie grozi!

— Tak, ale moja misja. Legnie w gruzach, wasza królewska wysokość. A jeszcze jej nie zakończyłam.

Książę Awenor milczał. Nie miał pojęcia, o jakiej misji mówi Czarna Perła; nie wiedział, co dzieje się w pałacu, jakie gry się toczą i intrygi... Nigdy nic nie wiedział. O niczym.

Ale za to Hayna wiedziała, że małżonek królowej nic o niczym nie wie... Że jest ostatnią osobą, która dowie się, iż tego dnia wieczera

zostanie podana wcześniej. I przyjdzie do stołu, by ujrzeć wstających właśnie z krzesel, sytych biesiadników, wymieniających żarciki z jej królewską wysokością, tryskającą dobrym humorem. Zechce samotnie dojeść zimne resztki albo po prostu pójdzie spać. Głodny.

Siedział na łóżku, spoglądając na stojącą przed nim niewolnicę.

— Na razie nic ci nie grozi. Tutaj możesz odpiąć tę zasłonkę z twarzy; to niewygodne — powiedział, byle coś powiedzieć. — Lubię oglądać twój uśmiech, śliczna Perło.

— Ale już go nigdy nie zobaczysz, panie.

— Co to ma znaczyć?

— Nic, wasza wysokość... Czy mogę tu zostać do chwili, aż uspokoi się zamieszanie? Nikomu o mnie nie powiesz?

— Nawet królowej? Mógłbym... chyba mógłbym ją tutaj sprowadzić.

— Chyba tak, wasza wysokość. A może nie.

— Mógłbym chociaż spróbować.

— Lepiej nie.

Co mógł odrzec?... Perła dobrze wiedziała, co mówi. Księżę Zajączek i poufne szepty, intrygi?... Jej królewska wysokość Ezena była gotowa zwrócić się ku niemu, zmierzyć zdziwionym spojrzeniem, po czym głośno, na użytek wszystkich, powiedzieć:

„A cóż to za szepty, wasza królewska wysokość? Czy mamy jakieś tajemnice? Wobec kogo? Naszych najbliższych domowników?”.

Wówczas stałby, w ciszy, pośród pięćdziesięciu „najbliższych domowników”, patrzących wyczekująco i próbujących powściągnąć uśmieški.

— Wolalabym poczekać, aż jej królewska wysokość zostanie sama w swojej sypialni. Jeśli nawet mógłbyś ją sprowadzić, to... lepiej, żeby nikt nie wiedział, wasza królewska wysokość, że w ogóle mnie dzisiaj widziałaś. Lepiej dla mnie, dla ciebie, dla królowej... Dla wszystkich, wasza wysokość.

Było oczywiste, że Czarna Perła ma rację.

— Dobrze, Hayno. Zgodzę się z tobą. Ale teraz życzę sobie wiedzieć, co znaczyła ta wzmianka o uśmiechu. — Armektański książę wprowadził niewiele wiedział, ale nie był głupcem i potrafił rozpoznać chwilę, w której otarł się, coś ważnego. — Dlaczegoż to nie będziesz się uśmiechać?

Przez chwilę nie odpowiadała. Ale było jasne, że tym razem nie

zdoła zmienić tematu. Małzonek odniósł wrażenie, że śliczne oczy, widoczne przez otwory w jedwabnej tkaninie, przygasty.

— Dlaczego już nie będę się uśmiechać? Z wielu różnych powodów, ale pierwszy jest taki, że nie mam czym, wasza wysokość — powiedziała wolno, próbując zapanować nad głosem; nie do końca się to udało. — Z mojej twarzy zostało tylko to, co widzisz... Oczy, książę. Nie mam już policzków, podbródka... — Urwała. Zaczerpnęła tchu i dokończyła trochę niewyraźnie: — Tam są tylko szramy, blizny... potworność...

Urwała po raz drugi. Uniosła dłoń i dwoma krótkimi ruchami zebrała łyzy z dolnych rzęs, każąc im wsiąkać w czarny jedwab.

Awenor milczał przerażony.

— Nie każ mi tego pokazywać — poprosiła. — Zapamiętaj mnie taką, jaką... jaka byłam...

Znowu musiała zamilknąć.

— Czyś ty oszalała, dziewczyno? Nie mogę w to uwierzyć... — szepnął, patrząc na mięciutki jedwab czarnej maski. — Co ty mówisz, Hayno?... Zostałaś zraniona w jakiejś walce? Ale są wspaniałe balsamy gojące, jakieś maści... Królowa wezwie najlepszych medyków królestwa, może nawet najlepszych w Szererze! To wszystko się wygoi, a kilka niedużych blizn na twarzy wojowniczkii... choćby nawet nie zniknęły do końca...

Na pewno myślał tak, jak mówił. Dla Armektańczyka wojenna pamiątka na twarzy — choćby i twarzy kobiety — bardzo rzadko była czymś odstręczającym. Wprost przeciwnie: chwalebna skaza pozwalała wydobyć na wierzch i dojrzeć całą pełnię urody, trochę tak jak... sypiący się na męskiej twarzy zarost... Świeże chłopięce policzki na pewno były ładne, ale policzki męskie, chociaż szorstkie, pociemniałe, świadczyły o urodzie dojrzałej. Wojenne piętna tak samo. Spoglądająca na bitewne pola armektańska Arilora — Pani Wojna, ale także: Pani Śmierć — nie miała gładkiego oblicza. Gładkich twarzy nie miały nawet posągi wojowników i wojowniczek, strzegące wrót cesarskiego pałacu w Kirlanie.

— Nie wiesz, o czym mówisz, wasza wysokość — powiedziała nieco spokojniej niż przed chwilą. — Dziękuję ci... ale już nie wracajmy do tego.

W sąsiedniej komnacie otworzyły się drzwi. Jakiś kobiecy głos zapytał:

— Wasza królewska wysokość?

Awenor bez słowa pokazał Haynie łóżko, na którym właśnie siedział. Od razu legła na podłodze i zręcznie pod nie wpełzła.

— Wasza królewska wysokość? — zapytano raz jeszcze.

— Jestem — odpowiedział Małżonek, wychodząc z małym podróznym zwojem w rękę do dziennej komnaty; bardzo wiele armecktańskich dzieł powielono w takiej właśnie postaci, bo były lekkie i wygodne w użyciu. — Zaczytałem się... O co chodzi?

— Żołnierze kogoś szukają — wyjaśniła służka, pokazując kilku zbrojnych na korytarzu.

— Tak? A kogo?

— Wasza królewska wysokość — powiedział dowodzący gwardzistami oficer. — Czy nikt tędy nie biegł? Korytarzem albo...

— Albo z mojej sypialni do komnaty dziennej i z powrotem? — zapytał trochę kpiąco Awenor. — Nie, nikt nie biegł. A kto powinien biegać po prywatnych pokojach królowej Dartanu i jej męża?

— Nikt nie powinien — przyznał grzecznie oficer. — Gdyby jednak wasza królewska wysokość dostrzegł kogoś, kto robi coś, czego tutaj robić nie powinien... Albo choćby tylko jest dziwacznie ubrany...

— Nie rozumiem nic z tego, co mówisz, wasza godność — rzekł z niejakim zniecierpliwieniem Awenor, lekko unosząc częściowo rozwinięty zwój, na którym widniały równe linijki jakiegoś armecktańskiego poematu. — Co to znaczy: „dziwacznie ubrany”? Kogo szukacie?

— Tego nie wolno mi powiedzieć, wasza królewska wysokość — wciąż grzecznie, ale i cokolwiek niechętnie odpowiedział oficer, który wiedział, co i wobec kogo może, a czego na pewno nie. — Gdyby wydarzyło się coś niezwykłego, w imieniu królowej proszę waszą wysokość o posłanie do nas niewolnicy.

— Mam do posług tylko jedną niewolnicę — raczej ze spokojną wymówką, niżli skargą w głosie powiedział ksiązę Awenor. — Gdy ją po was pošlę, proszę mi ją szybko odesłać, bo zostanę w ogóle bez służby.

— To już do mnie nie należy, panie — skończył rozmowę gwardzista, który wyraźnie nie miał ani poczucia humoru, ani wyczucia taktu. — Wasza królewska wysokość — odmeldował się.

— Żołnierzu — odpowiedział Awenor.

Strażnicy poszli.

— Niech nikt nie zawraca mi głowy — rzekł Małzonek do wzorowej służki, która przed chwilą nie wiedziała nawet, czy jej pan jest w swoich komnatach. — Chcę przed snem spokojnie poczytać.

— Tak, wasza wysokość.

— Dziękuję.

— Czy dzisiejszej nocy będę waszej wysokości potrzebna?

— Nie. — Tym razem Awenor nie dodał słówka „dziękuję”. — Prosiłem, by mnie o to nie pytać.

W Dartanie, podobnie jak w Armekcie, niewolnicy mieli status przedmiotów, służących właścicielowi do dowolnych celów. Zwłaszcza w Armekcie nie bardzo dostrzegano różnicę między, powiedzmy, posileniem się a zaspokojeniem „potrzeby kobiecej” albo „męskiej”... Tak był zbudowany i tak działał człowiek — rozumowali synowie i córki Równin. Miłosne uniesienia kochanków lub małżonków były jednym, codzienne potrzeby — sprawą drugą; można było łączyć miłość i cielesność, lecz nie należało ich mylić. Zdrada małżeńska? Owszem, ale przecież nie z przedmiotem albo sługą... W Dartanie może brakowało głębokich uzasadnień (niewolnika uważano za przedmiot, i tyle), ale wszystko inne wyglądało podobnie, tak więc w całym Szererze tylko Garyjczycy mogli dopatrywać się zdrożności w obsłudze pana lub pani przez niewolną służbę. Jego królewska wysokość Awenor z całą pewnością nie był Garyjczykiem — a jednak nie korzystał z usług niewolnicy, choć jako zdrowy i niestary mężczyzna bez wątplenia takowych potrzebował. Problem polegał na tym, że istnieli niewolnicy i niewolnicy; przedmioty i przedmioty... Obsługiwany w nocy z tą samą starannością i szacunkiem co za dnia, armektański książę poniechał obcowania z obojętną i zimną figurą, wykonaną na kształt kobiety, którą musiałby chyba przetaczać z boku na bok, bądź skłaniać do tego rozkazami (nieładne żołnierskie słówko „rznąć” wydawało się tu jedyne, bo w sam raz odpowiednie dla deski). Był przywiezionym z obcego kraju panem, od którego nic nie zależało, a sługa, jak świat światem, jeśli za coś NAPRAWDĘ nienawidził pana, to właśnie za to. Za marność. Bo niewolnik „nikogo” był niczym. Podczas gdy niewolnica królowej — drugą królową Dartanu.

Być może takie właśnie myśli snuły się po głowie Księcia Zajączka, gdy wrócił do sypialni — bo mogło się wydawać, że zapomniał o

schowanej pod łóżkiem wojownicze. Usiadł na krześle pod ścianą. Nieruchomo zapatrzony przed siebie, powoli obracał w dłoniach zwój, na którym spisano Dwie strofy o Morzu Enivetty, a płomyki tkwiących w kandelabrze świec zlewały mu się przed oczami. Był panem, który musiał okłamywać własną służbę, podczas gdy najmarniejszy dartański prowincjusz mógł powierzyć swym niewolnikom każdy sekret. Chyba że... no, chyba że też miał żonę.

— Wasza wysokość — powiedziała cicho Hayna. — Dziękuję.

Zrobił nieokreślony ruch dłońmi i wzruszył ramionami.

— Nie masz za co — powiedział z tak wyraźną goryczą, że nie mogła nawet udawać, iż jej nie dostrzegła. — Dzięki tobie mogłem dzisiaj dokonać walecznego czynu: bohatercko okłamałem żołdaka i niewolnicę do posług... Ho, ho! — mruknął. — Niechby się o tym dowiedziano, gdzie trzeba... Sama oceń, jaki jestem nieustraszony.

— Wasza wysokość... To przecież wszystko nieprawda.

— Nieprawda, Hayno? Wykonujesz doniosłą misję dla królowej, może jutro z twojego rozkazu tysiąc ciężkozbrojnych wojowników ruszy na drugi koniec kraju, by puścić z dymem dobra jakiegoś nielojalnego wasala twojej pani. Powiesz: „Ten ma żyć, a ten wisieć!”. Królowa zobaczy cię, gdy wrócisz, i zapyta: „Co tam, Perło? Załatwiłaś sprawę?”, ty zaś jej odpowiesz: „Tak, Ezeno”. Nawet nie zapyta, jak ją załatwiłaś. Może później, przy jakiejś okazji. I pogrozi ci palcem: „No, chyba troszeczkę przesadziłaś...”. Jesteś kopia jej osoby, tą kopia, która się zajmuje knowaniami nielojalnych wasali i podobnymi sprawami. Ty mi mówisz: „Wszystko nieprawda?”. Komu to mówisz, Perło? Księżciu Zajączkowi? Wymarzyłem sobie, że może... pojednam Dartan z Armektem. Przemówię do siostry i do żony. Ojciec... mój wspaniały i mądry ojciec być może też na to liczył. Może nadal liczy?... Nie wiem. Jeśli tak, to powtórzę: jest wspaniały, ale mądry... nie, już nie dodam.

Zawstydził się nagle, bo dotarło doń, że wybrał się ze swymi naiwnymi żalami do dziewczyny, która właśnie jest poszukiwana przez uzbrojone straże, wykonuje jakieś bardzo ważne zadanie, a co gorsza — niedawno została oszpecona i okaleczona, może trwale, nieodwracalnie. Prześliczna dwudziestopięciolatka, roześmiana Czarna Perła, mająca dla każdego czas i dobre słowo. Jedyna w tym pałacu istota szczęśliwa dlatego, że żyje, niemająca żadnych innych pragnień jak to, żeby nigdy

nie było jej gorzej... Czy zabrano jej to marzenie?

— Przebacz mi, Hayno — powiedział. — Utyskiwania niezguły.

Wciąż siedząc na krześle, w najprostszym odruchu wziął jej dłoń i pocałował kostki palców.

Nieoczekiwanie, wolno i z odrobiną wahania, przykryła mu ręką policzek. I poczuł drugą rękę, którą objęła jego głowę, łagodnie ją przytulając do ciepłego, a zarazem twardego brzucha.

— Obiecuj, księżę, że nie sięgniesz do mojej maski — powiedziała bardzo, bardzo cicho. — Obiecujesz? Jeśli tak, to... to...

Straciła pewność siebie i nie dokończyła.

Wstał z krzesła, po czym, z mocno bijącym sercem, objął dziewczynę i przytulił, delikatnie całując w kasztanowe włosy. Z ulgą, nieodtrącona, złożyła mu głowę na ramieniu.

— Gdyby wolno mi było pokochać... — mówiła — chciałabym mieć mężczyznę tak szlachetnego jak ty. Nie wolno... ale mimo to spróbuj coś we mnie uratować, resztki czegoś... Właśnie teraz... dobrze? Może zdołasz. Bo jeśli ty nie zdołasz... to już chyba naprawdę nikt...

Poczuł drzenie podbródka na ramieniu i gorącą kropelkę na szyi. Czarna Perła rozplakała się.

*

Wąski i przytulny korytarz, łączący prywatne pokoje królewskiej pary i kilka innych, zajmowanych przez najbardziej zaufane i najwyższe stojące w hierarchii sługi — korytarz, na który prawie nikt nie miał wstępu, bo domownicy i dworzanie królowej zamieszkiwali skrzydła — był tej nocy patrolowany przez żołnierzy straży pałacowej.

Jej królewska wysokość nie miała kapryśnego usposobienia; owszem, raz na parę miesięcy zdarzało się, że przez kilka dni była gotowa krzyczeć na każdego. Zły humor monarchini najczęściej wynikał z beczynności — gdy czekała na coś i w żaden sposób nie mogła przyspieszyć biegu wypadków. Wtedy bywała nieznośna. Na co dzień jednak mogła uchodzić za wzór wyrozumiałej i łagodnej pani, stanowczej, ale nigdy złośliwej. Bezwzględnie należało wykonywać polecenia, lecz poza tym — o, naprawdę niezmiernie rzadko ktoś ze służby lub domowników zasługiwał w jej oczach na surową karę, zwykle otrzymywał napomnienie, czasem zaledwie połajankę. Gdyby nie rygor, jaki zaprowadziła w pałacu Czarna Perła, żołnierze mogliby drzemać na

warcie. Obudziwszy opartego o ścianę strażnika, królowa powiedziałaaby pewnie: „No wiesz?...”.

Ohegened i Vasaneva oberwali jak nigdy dotąd.

„Głupiec i nieudacznica” — powiedziała Ezena. „Ohegened”.

Stary wojak postąpił krok naprzód i dostał w pysk, aż głowa odskoczyła mu na ramię. Królowa była kobietą słusznego wzrostu, zdrową, najzwyczajniej w świecie silną.

„A ty nawet się do mnie nie zbliżaj” — ostrzegła kocicę — „bo cię rzucę kopniakiem na ścianę. Jeśli cokolwiek (słyszycie? cokolwiek!) wydarzy się dzisiejszej nocy, ptak w parku krzyknie głośniejsze niż zwykle, Anessa kichnie, a ja... nie wiem... znajdę w łóżku krzywo ułożoną poduszkę... Odpowiedcie za to. Oboje. Głupiec i nieudacznica” — powtórzyła. „Teraz wyjdźcie”.

Oficer, który na czele kilkuset zbrojnych wywiódł kiedyś na manowce kilkutysięczną armię, omal jej nie unicestwiając w głuchych borach; najśłynniejsza złodziejka Szereru; pięciuset najdzielniejszych żołnierzy Dartanu. To nie wystarczyło do pojmania samotnej nieuzbrojonej kobiety, która niczego się nie spodziewała i szła środkiem pałacowego korytarza.

Otoczona przez nieudolne sługi, bezradna i upokorzona, pozbawiona wszelkiej władzy, bezsilna, już chyba tylko tytułarna królowa Dartanu, poszła do swojej Pierwszej Perły i rzekła:

„Nie będziesz dzisiaj spała. Ani słowa. Nie pytaj, dlaczego, bo nie będę się przed tobą tłumaczyć. Masz nie spać; to wszystko”.

„Tak, wasza królewska wysokość”.

„Masz tu broń?”

Anessa zaniemówiła.

„Broń?...”.

„Broń, Anesso. Nie rób min, bo kiedyś wymachiwałaś sztyletem tak zręcznie, że omal przez to nie trafiłam do więzienia. Pytam, czy masz tu broń?”.

„Nie, wasza...”.

„To każ sobie przynieść. Od tej chwili ma cię nie odstępować przyboczna”.

„T... tak, wasza królewska...”.

„Dobranoc”.

Ezena wyszła.

Miewała już sny, dziwne sny. Kiedyś. Sny, które właściwie wcale nie były snami, bo raczej objawieniami. Ale teraz... Śniły z Anessą to samo, a jednak nie uwierzyła. Wydała odpowiednie rozkazy, mając jednak poczucie, że jest po prostu śmieszna. Opowiadając o wydumanym spisku, prawie się zaczerwieniła pod spojrzeniem komendanta straży pałacowej, który niemal bez ogródek pytał ją wzrokiem: „Czyś ty, babo, kompletnie oszalała?...”.

Nie znalazła wtedy w sobie dość odwagi, by przywołać go do porządku. Bo rzeczywiście — Hayna? Wkradająca się do pałacu z zamiarem zabicia Anessy?... I co jeszcze?

Historia, którą Gotah-Przyjęty przedstawił Vasanevie, niczego nie wyjaśniała do końca. Ezena miała wrażenie, że nastąpiło dziwne odwrócenie ról. Kiedyś, w Sey Aye, mędrzec Szerni musiał tłumaczyć przestraszonej młodej kobiecie, że od Szerni bardzo niewiele zależy; że wszystko, co zawieszona nad światem potęga miała zrobić, zrobiła już dawno, a teraz Szererem rządzą istoty rozumne, przede wszystkim ludzie. Cztery lata później ta sama kobieta gotowa była tłumaczyć Przyjętemu, że... chyba gdzieś się zagalopował, nadmiernie czymś przejął, wyolbrzymił zagrożenie... Ezena nie znała opinii Kesya, ale gdyby jej zostały przedstawione — roześmiałyby się głośno, odnajdując w swojej dawnej Perle wyrazicielkę większości własnych myśli i uczuć. Jaka wojna Szerni? Jakie Trzy Siostry? Jaki tam Feren?... Co miała w związku z tym wszystkim robić? Usiąść w swojej komnacie, podeprzeć głowę ręką i czekać, bo przecież lada tydzień, lada rok, może rozlecieć się Feren, a wtedy... oho-ho! Czyli, niby co? Nie wiadomo... bo może i nic.

A poza tym — co właściwie zagrażało władczyni Dartanu? Jakaś... dzika piratka, będąca pół kobietą, pół Przedmiotem? Jak ktoś taki mógł realnie zagrozić królowej, jej Pierwszej Perle i osobistej przybocznej? No tak, prawda: obłąkany człowiek, któremu nie zależało na życiu, mógł być groźny. Jednakże podobne zagrożenia zawsze były wpisane w losy władców i nic na to nie dało się poradzić. Prowadzało się ze sobą przyboczne, wystawiało strażę, opłacało różnych szpicli, mających wyszukiwać i demaskować w zarodku wszelkie spiski. Co jeszcze?

Ale potem pojawiły się sny. Takie jak przed laty, na pewno nie przypadkowe. Trudno było zlekceważyć ostrzeżenie — a przecież

zlekceważyła. Poczyniła pewne kroki, jednak bez przekonania.

I oto Hayna właśnie wróciła do Rollayny. Bez zapowiedzi, skrycie przysłała do pałacu. I uciekła, posłyszawszy jedno nieostrożne słowo, rzucone przez dowódcę gwardii pałacowej. Zabiła żołnierza, a kilku poraniła.

Hayna. Druga Perła królowej Dartanu i jej osobista przyboczna.

Ezena nikomu — nikomu! — nie ufała tak bezgranicznie. Ohegened był oddany, ale już niemłody. Anessa nieobliczalna i rozkapryszona, Vasaneva zarozumiała. Wodzowie armii próżni. Osobiste niewolnice do posług — głupiutkie.

Hayna była mądra, dobra, bezgranicznie wierna. I groźna. Potrafiąca zabijać tak sprawnie, jak żadna inna kobieta w Dartanie, a może i całym Szererze. Najdroższa Czarna Perła, o jakiej Ezena w ogóle słyszała.

Królowa zaczęła się bać. Na Seilę-Anessę (a może i Rollaynę — Ezenę?...) polował ktoś, kto znał je obie na wylot, z zamkniętymi oczami mógłby narysować plan królewskiego pałacu i wyliczyć z pamięci wszystkie mocne bądź słabe strony zbrojnych straży. Anessa, ze swoim sztyletem i siedzącą przy łóżku przyboczną, nie zdołałaby nawet pisać, gdyby Hayna zjawiała się przed nią. Rację miała nieudacznica Vasaneva, mówiąc: „Jeśli Hayna zechce kogoś zabić, to zabije”.

Pytanie: dlaczego chciała? Czy naprawdę była odbiciem Delary? Niewyraźnym i zamglonym, nieświadomym tego, że nim jest, ale jednak prawdziwym? Dlaczego Delara — kiedyś — chciała zabić Seilę? Było wiele odpowiedzi; tyle, ile wersji legendy. Czyli co najmniej dwadzieścia.

Armektańskim zwyczajem królowa sypiała nago; nocną szatkę przywdziewała tylko wtedy, gdy w pałacu robiło się zimno. Rozbierała ją do snu jedna z Pereł Domu — to z kolei był obyczaj dartański — nienawidząca, tak jak wszystkie pozostałe Perły, Anessy i Hayny; w cieniu dwóch pierwszych niewolnic królowej pozostałe, choćby i najdroższe, były zupełnie niewidoczne.

— Dziękuję — powiedziała Ezena. — Położę się sama. Przyślij mi dwie przyboczne.

— Czy tutaj, wasza wysokość? — Perła zdziwiła się, bo w obrębie pałacowych murów królowa zawsze obywatła się bez strażniczek; cóż dopiero we własnej sypialni.

— Jedna ma czuwać pod drzwiami, druga przy moim łóżku —

uściśliła Ezena.

— Tak, pani.

Perła wyszła.

Królowa usiadła przed lustrem, sama pozbyła się mocujących kok szpilek, rozczesała włosy i zaplotła warkocz. Położyła się do łóżka. Gdy przyszła przyboczna, zamieniła z nią kilka słów. Potem długo nie mogła zasnąć. Przeszkadzała jej obecność milczącej strażniczki, przeszkadzał natłok myśli, przeszkadzało wszystko. Wierciła się i przewracała z boku na bok.

Już świtało, gdy władczynię Dartanu zbudził odgłos tępego uderzenia. Rozchyliła powieki i ujrzała szkliste oczy przybocznej, która póleżała na łóżku, a z głowy ściekała jej wąska strużka krwi, plamiąc pościel. Ezena chciała się zerwać, ale powstrzymał ją zimny grot włóczni, przytknięty do nagiego brzucha tuż poniżej miejsca, gdzie łączyły się żebra, tworząc mostek.

— Małżonek królowej ma bardzo twardy sen — powiedziała cicho kobieta, której czarna sylwetka ostro rysowała się na tle poszarzałego okna. — I mnóstwo oręża na ścianach. Jak to Armektańczyk, Rollayno. A może lepiej: siostrzyczko?...

Pchnęła krótko, zdecydowanie.

Ezena wydała tylko jeden urywany okrzyk.

Hayna puściła włócznie, po czym cofnęła się pod okno.

Drzwi sypialni otwarły się i do komnaty wpadła dziewczyna z mieczem w dłoni. Zastygła w progu, patrząc na ukośnie sterczące drzewce włóczni i dwie nieruchome kobiety leżące w zakrwawionej pościeli. Wolno uniosła otępiałe spojrzenie.

— Nie słyszałaś odgłosu uderzenia? — zapytała Hayna. — Nie słyszałaś... Kiedy królowa krzyczy, to znaczy, że jest już za późno. Zabierz drugą i opatrz jej głowę. Jeszcze dzisiaj zgłosicie się obie do chorągwanym taborów. Będziecie służyć przy wojsku. Czy muszę mówić, jako kto?

— Nie, Perło — powiedziała nieswoim głosem dziewczyna.

— Więc zabierz ją teraz i wyjdź.

— Tak, Perło. — Przyboczna nie ośmieliła się szukać potwierdzenia rozkazu w oczach nieruchomej monarchini.

Ezena, oddychając płytko i nierówno, nie mogła oderwać spojrzenia

od drobnego skaleczenia pod piersią, będącego dziełem zsuwającego się wzduż żeber ostrza włóczni, które zaraz potem przebiło prześcieradło i utkwiło głęboko w sienniku.

— Wasza wysokość — powiedziała Czarna Perła, której nagle załamał się głos. — Przebacz mi to skaleczenie... i wszystko, co zrobiłam. Musiałam ci coś udowodnić. Teraz wezwij strażę. I każ mnie przyprowadzić z powrotem, kiedy już będziesz chciała ze mną mówić.

Ezena milczała, próbując uspokoić oddech; serce ciągle waliło jej tak, że w rytm jego skurczów drżała odsłonięta pierś. Przyboczna niewolnica z wysiłkiem wlokła ku drzwiom nieprzytomną koleżankę, z głowy której wciąż sączyła się krew. I królowa uświadomiła sobie, jak bezbronna jest w istocie bez swojej Czarnej Perły. Orężne strażniczki nawet nie wiedziały, że to właśnie ich dowódczyni jest zagrożeniem, którego się obawia jej królewska wysokość. Pytanie: czy wiedzieli żołnierze ścigający zamaskowaną kobietę?... Nikt tu nie potrafił dopilnować podobnych spraw, bo zawsze to robiła Czarna Perła. Mówiąca każdemu tyle, ile trzeba: nie więcej, ale i nie mniej.

Czy dźwigająca ranną koleżankę nieszczęśnica, która właśnie w haniebny sposób została pozbawiona statusu strażniczki królowej, w ogóle rozumiała, co się stało? Mogła podejrzewać cokolwiek, nawet to, że jej koleżanka oszalała i omal nie zabiła swojej pani, powstrzymała zaś ją Czarna Perła, która nie wiadomo skąd się wzięła...

Przyboczne zniknęły; drzwi zamknięto. Królowa została sama ze swą najwierniejszą niewolnicą.

— Wezwij strażę, wasza wysokość — powtórzyła Hayna.

Ezena ciężko odchyliła głowę na poduszki. Już nie patrzyła na ranę, z której wyciekło parę kropel krwi.

— O nie, nie — powiedziała. — Trzęsą mi się ręce, no dobrze... Ale głupia nie jestem. Udowodniłaś mi, co chciałaś, a ja zrozumiałam. To teraz się wytłumacz.

— Wytłumaczyć się... Ale jak? — zapytała bezradnie Hayna, opierając plecy o ścianę i spoglądając w sufit, bo zbyt często tego dnia wzbierały jej w oczach łzy. — Ona mówiła: „Uważaj, bo mogą się ciebie spodziewać. Feren jest jeden, chociaż tutaj składa się z trzech części”. Ale ja nie uwierzyłam. I przyszedłam otwarcie do królowej, żeby jej o wszystkim powiedzieć. A Ohegened mi mówi: „Królowa jest

niedostępna”. Co można powiedzieć królowej, która jest niedostępna? Jak ją przekonać? Można już tylko przyjść w nocy, wbić włócznię w jej łóżko i powiedzieć: „Gdybym chciała cię zabić, to już byś nie żyła, pani”.

— Przyszłaś otwarcie? W mieszczkańskim stroju i w masce?...

— Maską? W masce... — Perła roześmiała się, nawet już nie próbując ukrywać drżących w tym śmiechu łez. — Niech zgadnę, wasza wysokość: coś ci się o mnie przyśniło? Ale ja też o czymś śniłam: że pewnego dnia umrę za ciebie... A co? Nie wolno mieć marzeń? Suka królowej; wszyscy tak mówią i myślą... Byłam dumna.

Uniosła dłoń, gotowa chyba przygryźć kostki palców — i dotknęła jedwabiu na twarzy. Zdarła tkaninę jednym ruchem.

— Cztery lub pięć dni... tak wiele, że straciłam rachubę — powiedziała, idąc ku łożu, a w miarę, jak odchodziła od okna, światło wyławiało z półmroku rysy jej twarzy. — Kobieta? Nie wiem... Coś widziałam, tam coś było... człowiek... albo nie człowiek; nie wiem co...

Zamarłej na łóżku Ezenie rozszerzały się źrenice przerażonych oczu.

— Kilka dni na brzegu urwiska — mówiła Hayna z grymasem bólu na potwornej twarzy. — Ona... to COŚ leczyło mnie i bawiło się mną... To było przekonane, że jestem jego niewolnicą, spełnię każdy rozkaz, zachciankę, zamorduję Anessę... może nawet ciebie, wystarczy mi wydać polecenie. Było tak, jakbym została wepchnięta do przepaści i to COŚ myślało, że spadłam na samo dno, a ja... ja się trzymałam krawędzi. I robiłam wszystko, żeby nie było widać moich połamanych palców, którymi jeszcze się trzymam, bo wtedy... wystarczyłby jeden ruch. Żeby naprawdę spadła i może... przyszła cię zabić. Bałam się oddychać bez rozkazu, żeby nie poznało... żeby nie odkryło, że mam wolę.

Ezena nie była w stanie patrzeć na to, co zostało z dziewczyny, która otrzymała certyfikat Perły nie tylko ze względu na wiedzę i umiejętności, bo także dzięki urodzie. Zasłaniała twarz dłońmi, ledwie słysząc, co Perła do niej mówi. Ale jednak słyszała — i chyba już pojmowała.

Rozdygotanej Haynie coraz bardziej łamał się głos.

— Lizałam jej stopy, bo tak chciała... Albo mówiła: „Nie tutaj, tylko o, trochę niżej”, a ja sobie wykrawałam kawałek mięsa z twarzy w tym miejscu, które pokazała palcem. Lubiła... lubiło... — Czarna Perła próbowała odchrząknąć, ale chryпка nie minęła. — Lubiło, jak przebijam sobie nożem policzek albo ciało pod dolną wargą i wytykam przez dziurę

język... bo to było śmieszne, najśmieszniejsze...

— Przestań...

— Nie, ja... muszę. Wymiotowała mi na twarz, a rany zamykały się od tego i po krótkim czasie nawet nie bolały. Potem... znowu było wszystko od początku. Nabierałam sił, karmiło... karmiła mnie. Kobieta? Nie wiem. Tak, ale jakby bez skóry, cała z czerwonego kamienia... Kiedy indziej zupełnie jak człowiek... a czasem tylko zarys, czerwony kontur w powietrzu... Rubin Córki Błyskawic? Ale ja pamiętam jej... pamiętam MÓJ Rubin, Rollayno. Ja, Delara. Tamten Rubin był martwy. Zwykła rzecz. Trująca, niebezpieczna... Ale tylko rzecz.

Ezena milczała, wciąż ukrywając twarz w dłoniach.

— Gdybym mogła to zabić... Ale raz zabiłam, włócznia przeszła na wylot! Potem bałam się próbować, żeby nie odkryło tajemnicy. Więc powtarzałam sobie: Ezena, Ezena... bo już czasem zapominałam, po co właściwie to wszystko...

Królowa zerwała się i usiadła na łóżku.

— Przestań! — krzyknęła, zaciskając pięści. — Przestań, bo cię zabiję!... Co mi robisz?! To co ona tobie?!

Zamierzyła się, jakby chciała uderzyć Perłę, ale zamiast tego pochwyciła ją i przytuliła. Rozpłakały się obie.

— Ja to wszystko... naprawię — powiedziała ze szlochem Ezena. — Tylko że... nie wiem, jak...

Rozdygotana Hayna dławiała się łzami, przyciskając twarz do jej piersi. Opuściło ją całe zdecydowanie, pękła silna wola, nakazująca doprowadzić do końca najważniejszą sprawę. Zniknęła wojowniczką; pozostała tylko skrzywdzona, oszpecona do końca życia dziewczyna, która wreszcie mogła wyrzucić z siebie cały żal.

6.

Raladan kiepsko jeździł konno, ale potrafił się spieszyć. Wysadzony na dartańskim brzegu, miał przed sobą prostą drogę do Rollayny, mądrego towarzysza u boku i twardo nabitą sakiewkę. Nabył konie, niedługo potem sprzedał, kupując na ich miejsce świeże. Towarzyszący mu Sayl nie pochodził wprawdzie z tych stron, ale jednak czysty dartański brzmiał w jego ustach zrozumiale nawet dla najgłupszego

chłopa z prywatnej wioski — dla Raladana, który oprócz garyjskiego posługiwał się tylko Kinenem, co prawda wzbogaconym o znaczny zasób słów z właściwego armektańskiego, drugi oficer Ridarety był więc nieocenionym pomocnikiem.

Zmitrężyli sporo czasu. Dartan, kraj w którym podróże uważano za przypadłość kupców i włóczęgów, słynął z najgorszych dróg w Szererze (oczywiście, jeśli nie liczyć Grombelardu — w Ciężkich Górach nie było żadnych dróg). Jeszcze gorzej miała się sprawa z mostami, których na dodatek sporo w minionej wojnie spalono i nie wszystkie odbudowano. Niewyobrażalnie ciemne chłopstwo, dla którego pół mili od wioski już rozciągał się tylko „wielki kraj”, raz umiało wskazać drogę do brodu, a raz nie; może i kiedyś dziaduś widział „podle dwóch dąbków” jakąś piaskową łachę, ale teraz nie było dąbków, a zwłaszcza piaskowej łachy, o dziadusię nie wspominając... Wobec takiego stanu rzeczy podróż zajęła dwóm jeźdźcom ładne kilka dni. Gdy wreszcie stanęli w Rollaynie na Przedmieściu Kuszowników, był wieczór i zdrożeni podróżni zdali sobie sprawę, że stracili właściwie jeszcze jeden dzień. Agarski książę nie znał miejscowych zwyczajów, miał jednak dość wyobraźni, by wystawić sobie, że niewiele wskóra, idąc do pałacu królewskiego o północy. Mógł się udać tam dopiero nazajutrz. Jego irytacja byłaby większa, gdyby wiedział, że tysiąc kroków dalej wiodą na miejski mur schody, dzięki którym właśnie skraca sobie drogę zamaskowana dziewczyna w tanich szatkach mieszczki... Raladan stawił się w Rollaynie dokładnie tego dnia i o tej samej porze, co Czarna Perła królowej. Ale ona nie była podejrzanym cudzoziemcem, pragnącym uzyskać posłuchanie u potężnej władczyni. Szła prosto do wartownika, któremu wystarczyło przypomnieć parę słów. Tych słów, które słyszał stale, bo w największym skrócie opisywały jego powinności: „Tylko ja i królowa, żołnierzu; ona albo ja”...

Tej nocy nie tylko królowa miała kłopoty z zaśnięciem i nie tylko ona zmagła się z myślami. W średnio drogim zajeździe na przedmieściu dwaj mężczyźni zajmowali wspólną izbę. Sayl pochrapywał (prawdę mówiąc nawet niezbyt dokuczliwie); Raladan leżał, patrzył na słabo widoczną w mroku belkę podtrzymującą powałę i rozmyślał, bo na pirackim żaglowcu myśleć się nie dało, a w podróży tak bolał go odgnieciony tyłek, że nie mógł porządnie się skupić — konie miały

naprawdę wyjątkowo wredne pokłady i niepomysłowe olinowanie. Teraz próbował pozbierać całą swoją wiedzę o Szerni i Szererze — a było to zajęcie na co najmniej kilka tygodni, o czym dowiedział się dopiero wówczas, gdy na dobre ugrzązł w rozmyślaniach. Czegokolwiek dotknął, natychmiast łączyło się z czymś innym: Trzy Siostry nasuwały myśli o Ferenie i Odrzuconych Pasmach, Pasma o Rubinie Córki Błyskawic, Rubin o Ridarecie... W zakamarkach umysłu pobrzmiwały słowa mądrego Tamenatha, dotyczące nie tylko Ridarety, ale także jej córek, jedynych „Rubinków”, jakim dała życie — o ile w ogóle było życiem... Niekończąca się podróż po małym, a jednak skomplikowanym świecie, nad którym wisiała jednorodna, jawna, policzalna, a zarazem tak złożona i tajemnicza potęga. Raladan w ogólnych zarysach widział i rozumiał problem, przed którym właśnie stał, ale... nie miał do niego cierpliwości. Ze wszystkiego, co dotąd powiedziano o Ferenie, Wyklętych Pasmach, równowadze Szerni i Prawach Całości, najbardziej podobały mu się niektóre opinie Tamenatha. Stary mędrzec lubił udawać prostszego i głupszego, niżli był — a może po prostu wiedział, że opis świata, na potrzeby żyjących w nim istot, trzeba choć trochę uprościć. Naigrawał się więc czasem z Szerni, wtrącał cudaczne, wymyślone przez siebie słówka, lekcewazył, wyśmiewał, bagatelizował. Może nawet naprawdę wierzył, że jest tak, jak mówi.

„Szerń Szernią, synu, a kostur kosturem. Jak opadną cię parszywe psy, to potrzebny ci kostur, nie Szerń. Szerń w ogóle jest ci niepotrzebna. Światu tak, ale nie tobie, czy jakiemuś innemu człowiekowi” — tłumaczył kiedyś przy kubku gorzałki, bo choć nie miał „trunkowego problemu”, to wypić i umiał, i lubił. „Widzisz... jakby tu rzec... Szukać trzeba zawsze najprostszyc sposobów i wyjaśnień. Co to znaczy? Ano, od razu wyrzucić wszystko, co niepotrzebne. Zniszczy cię tylko to, w co wierzysz albo czego się boisz. Nie ma tutaj, w Szererze, ani jednej rzeczy, ani jednego zjawiska... Słyszysz, książę? Ani jednego! Nie ma zjawiska wysmrodzonego z tyłka Szerni, którego nie można by pokonać albo oswoić sposobami dostępnymi każdemu. To jest właśnie Prawo Równowagi, pierwsze ze wszystkich Praw Całości. Wszystkie treści Szerni równoważą się, ale i dla dowolnych sił Szerni, na zasadzie fenomenu działających pod niebem Szereru, musi się znaleźć przeciwwaga w zwykłych mechanizmach rządzących tym światem.

Mamy tu do czynienia z układem bardzo stabilnym; jego trwałość wynika właśnie z tej stabilności. Światem nie rządzą i nie mogą rządzić Pasma, ich potęga tutaj to zawsze śmierdząca bździna, zwykłe oszustwo, tym większe, im bardziej niezwykle albo straszliwe z pozoru. Pasma mogą wystawić przeciw tobie stutysięczną flotę, ale jeśli się nie przerazisz i podpłyniesz bliżej, to zobaczysz eskadry żaglowców z pergaminu, które już nasiąkają wodą... Rozumiesz, o co mi chodzi? Tutaj, w Szererze, jesteśmy u siebie i do nas należy potęga. Nie do Szerni, Aleru albo innych mocy. Nawet tak starych jak twoje Bezmiary”.

Rozmawiali też o Ridarecie i o nim, Raladanie, synu władcy mórz.

„Z Przepowiedni Całości wynika (i zatrzymaj to, książę, dla siebie), że jedynym powodem twojego istnienia jest dziewczyna, którą uznałeś za córkę. Wygląda na to, że Bezmiary wyłoniły cię wtedy, gdy w pewnym garyjskim domu przyszła na świat dziewczynka, której dano stare i dumne imię: Ridarethe; trochę szkoda, że nawet Wyspiarze wymawiają je dzisiaj w armecktańskim brzmieniu... Dlaczego się pojawiłeś? Jako tako pojmuję Szerń, ale o Bezmiarach nikt nic nie wie... Potraktuj więc to, co powiem, jako przypuszczenia. Takie sobie bajania, w których może tkwi ziarno prawdy. Wygląda na to, Raladanie, że Bezmiary pochłaniają część aktywności Odrzuconych Pasm, zmniejszając w ten sposób nacisk wywierany przez nie na mur Feren. Jeśli tak, to dla żywego symbolu Odrzuconych Pasm musi się znaleźć w Szererze odpowiedź w postaci żywego symbolu Bezmiarów. Ocean powołał do istnienia coś podobnego do Wielkiego Krafa, Nie-Czuwającego boga Szerni; ty widziałeś to COŚ pod postacią Węża Morskiego, ale jakie jest naprawdę — któż to wie? I to COŚ powołało długowieczną, a może nawet nieśmiertelną choć na pewno zniszczalną istotę, będącą symbolem Bezmiarów. Oto kim jesteś, książę, i nic na to nie możesz poradzić. Będziesz jakoś równoważył działania twojej pięknotki i nie zdziwiłbym się wcale, gdybyś otrzymał wsparcie. Możliwe, że niedługo zostanie odkryty w Szererze żywy odpowiednik Ferenu; drugi kamyczek obciążający tę szalę wagi, na której już leży kamyk-Raladan. Na przeciwnej szali pozostanie twoja córka. Co z tego wyniknie? Nie wiem. Nie potrafię przewidzieć, bo modele Szerni słabo się mają do Odrzuconych Pasm, zaś modelu Bezmiarów nikt dotąd zbudować nie potrafi”.

Sayl pochrapywał; Raladan rozmyślał, wspominał. Przez wiele lat

spotykał się z Przyjętym, pił z nim, kiwał głową, słuchał głądzenia — bo jednoręki olbrzym był kimś, komu on i jego córka wiele zawdzięczali. Podczas długich jesiennych miesięcy można było słuchać opowieści Przyjętego równie dobrze, jak historii wędrownego bazarza — i poniekąd tak to traktował. Ridareta powiedziała prawdę: uciekał, stale uciekał. Było mu źle i niewygodnie z wydumanym, niejasnym pochodzeniem, jeszcze bardziej pokręconym przeznaczeniem, jakąś misją... równoważeniem symbolu czegoś tam, dlatego że coś-tam-coś-tam... Wcale nie szukając, znalazł żonę, którą pokochał, i córkę, o jakiej marzył, chociaż nawet nie wiedział, że marzy. Piękną zuchwałą dziewczynę, wyprawiającą na morzach, co jej się podobało. Kogoś, kto rzadko, ale za to szczerze przybiegał doń, zarzucał ręce na szyję i mówił: „Jestem, jaka jestem, ale kocham cię, ojczy, i prawie wszystko ci zawdzięczam”. Takie życie mu wystarczało, nie chciał żadnego innego. I przez wiele lat żył pośród swoich spełnionych marzeń. Zapominał — bo nie chciał pamiętać — o wszystkim, co mówił Tamenath; nie widział — bo nie chciał oglądać — dziwnych rzeczy, które działy się z Ridą. Zresztą... Takie tam dziwne. Podpaliła parę żaglowców, komuś urwała głowę... Wypuściła sobie flaki, obejrzała i z powrotem wepchnęła do brzucha. Świat od tych cudów nie zadrżał.

Ale teraz, niestety, drżał.

Piracki książę myślał, wspominał, szukał wyjaśnień i sposobów. Robił to niechętnie, z odrazą, której był w pełni świadom. Brzydził się Szernią jak niczym innym na świecie (co to za przyjemność mieć do czynienia z czymś, czego się nie rozumie?); zresztą, prawie wszyscy się brzydzili, więc nie był w tym odosobniony... Dlaczego uciekał od tajemnic córki? No przecież właśnie dlatego. Na pewno nie dlatego, że był gotów zemdleć na widok przywiązanej do masztu dziewczuchy, która dla zabawy kazała się tłuc batem albo przypalać żelazem. Oglądał kiedyś popisy akrobatów — mógłby się pogapić i na dziewczę, co skowyczy z przyjemności pod razami. Niechby sobie robiła, co jej się podoba. Gdyby stała za tym tylko jakaś pokręcona potrzeba, zachcianka (słyszał o takich... dziwakach, którzy lubili, jak ich sponiewierano). Ale za tym, co robiła Ridareta, stała Szerń. Rubin, symbol czegoś tam, Odrzucone Pasma... Nie chciał mieć z tym nic do czynienia.

Uciekał i uciekał... Teraz go wszystko dogoniło. Wszystko naraz.

Zasnął krótko przed świtem i obudził się późnym rankiem. Nie był śpiochem; czuł się wypoczęty. Przeciągnął się, ziewnął. Zbudził towarzysza. W podróżnych sakwach zostało im parę wędzonych ryb, kawał czerstwego chleba, pół bukłaka wina. Mogli się posilić, nie wychodząc z izby.

— Weź srebro — rzekł Raladan, żując jeszcze ostatnie kęsy; zadzwoniła rzucona na stół kieska. — Ja nie potrzebuję, zresztą jeszcze mam drugie tyle. Słuchaj.

Sayl skinął głową, że słucha.

— Nie wiem, co będzie; idę do pałacu jak głupi. Zrobią mnie tam od razu naczelnym wodzem swojej floty albo jutro powieszą na haku, wszystko jest tak samo możliwe. Słuchaj.

Sayl skinął głową. Że słucha.

— Jeśli z jakichś powodów nie wrócę, poczekaj dwa lub trzy dni i zabieraj się stąd do Nin Aye. Wrócisz na okręt i pięknie okłamiesz swoją kapitanę. Powiesz, że Raladan coś załatwił, ale nie wiesz co, i odesłał cię.

Mina Sayla mówiła więcej, niż mógłby wyrazić słowami.

— Słuchasz?

— Nie. Mam okłamać kapitanę w czymś, co tyczy się ciebie?

— Masz ją ołgać tak pięknie, jak tylko potrafisz, bo potrzebna mi tutaj jak... Powiesz, że potrzebny mi Kitar, ale nie wiesz do czego. Nakłamiesz jej, nazmyślasz i pójdziesz do Kitara. A Kitarowi powiesz wszystko tak, jak jest. Powiesz mu, że ma mnie wyciągnąć z tego, w co wdepnąłem. Najpierw niech przyśle kogoś tutaj, bo jeśli się wykaraskam, to zostawię wiadomość w tej gospodzie — Raladan dziobnął palcem blat stołu — albo nawet sam będę tu czekał. Jeśli nie, to... Niech Kitar myśli tak długo, aż przyjdzie mu do głowy coś mądrego. Teraz słuchaj, ale naprawdę uważnie, bo właśnie podaję ci sposób na dobranie się do pieniędzy, których sobie nawet nie umiesz wyobrazić. Tylko... no! — Agarski książę znacząco uniósł palec i Sayl pojął, że naprawdę, ale to naprawdę i naprawdę nie powinien się do tych niezmiernych bogactw dobrać. — Jeśli Kitar będzie potrzebował złota, to ma zgłosić się w Aheli do mojej perełki Laseny, dać jej to — Raladan zsunął z palca prostą srebrną obrączkę — i powiedzieć: „ukradłem to Raladanowi”. Niech nie mówi, że dostał ode mnie, bo Lasena to kobieta, nie pomyśli dwa razy, tylko z miejsca wsadzi mu nóż w brzuch. Ukradł mi to. Zrozumiałeś?

— Tak, panie.

— Czyli sprawę pieniędzy mamy załatwioną — skwitował Raladan.

— I jeszcze jedno, może najważniejsze: nie jestem pewien, ale prawdopodobnie mam teraz w Aheli gości, tę kobietę, którą widziałeś ze mną na „Trupie”, i Przyjętego, który uciekł. Niech cię to w ogóle nie obchodzi — ostrzegł. — Powiedz tylko Kitarowi, że tych dwoje ma wobec mnie dług. Niech idzie do nich i powie, że o tym długu wie i pora zacząć spłacać odsetki. To wrogowie, którym wyświadczyłem łaskę, powtórz to Kitarowi, żeby wiedział, na czym stoi. I niech działa tak, jak uzna za najlepsze, mówi co chce, robi co chce i płaci za co chce. Ma nie mieszać do niczego twojej kapitanicy, tylko tyle. Słuchaj, Sayl, ja cię zabiję — dodał zupełnie spokojnie. — Jeśli się w czymś pomylisz, coś popłaczesz albo wygadasz, to zabiję cię, i to będzie pierwsza rzecz, jaką zrobię, gdy już wydobędę się z tarapatów. Twoja kapitanica pogniewa się o to na mnie, więc wynajdę jej nowego drugiego oficera. Zrozumieliśmy się?

Wstał i wyspiarskim zwyczajem uściśnął nie dłoń, a przedramię towarzysza; Sayl odwzajemnił uścisk.

Idąc ulicami Rollayny, Raladan rozglądał się dokoła, aż wpadł mu w oczy okazały szyld, na którym coś było napisane (niestety, po dartańsku), a niżej namalowane — obrazek przedstawiał koszulę albo kaftan, do tego jakąś spódnicę. Kupiec miał wszystko co trzeba i po rozsądnych jak na stolicę cenach, więc Raladan zostawił mu trochę srebra, dokładając własne odzienie podróżne, nieco zakurzone, ale nie zniszczone. Wkrótce znowu podążył ulicą, mając na sobie luźną i długą na dartańską modłę, bo sięgającą aż do połowy łydek, granatową spódnicę, wyżej zaś jasnobrązowy kaftan, bardzo porządny, wyszywany białymi nićmi, spod którego wystawały rękawy białej koszuli, bezwstydnie kosztownej, uszytej ze świetnego jedwabiu. Przy biodrze wisiał mu niezły miecz, przypięty do solidnego i ładnego pasa, który to pas mógł śmiało bratać się z butami — agarski książę zawsze żywił dziwną słabość do obuwia, więc to, które miał na nogach, choć nie nowe, nie ubliżało reszcie stroju. Tak mógł wyglądać średnio zamożny Armekańczyk lub Dartańczyk Czystej Krwi; ostatecznie nawet nie żywiący uprzedzeń do kontynentalnej mody Garyjczyk.

Agarski książę wiedział, że warto wyglądać po ludzku.

Warty przed bramą prowadzącą na pałacowy dziedziniec

wystawiano głównie dla fasonu — ci żołnierze rzadko kogoś zatrzymywali. Nie wpuściliby na dziedziniec pijaka, przekupnia albo — powiedzmy — kobiety z maską na twarzy, lecz poza tym każdy mógł przejść bez obawy, że skrzyżują mu przed nosem halabardy. Raladan zatrzymał się jednak i zapytał swym bardzo dobrym Kinenem, do kogo winien się zgłosić z ważną wiadomością dla dowódcy straży.

— Właśnie do mnie, wasza godność — odpowiedział w tym samym języku halabardnik. — A jeszcze lepiej do wartownika stojącego dalej, przy samych drzwiach pałacu. On zaniesie wiadomość do dowódcy wart.

Raladan podziękował i przemierzył dziedziniec. Nie był głupcem i wiedział, że wyjdzie — w najlepszym wypadku — na śmiesznego prowincjusza, wypytyując wojaka z halabardą, jak dostać się do królowej. To na pewno nie było takie proste. Uznał, że najłatwiej dopnie swego, poruszając się długimi, zamaszystymi, ale starannie odmierzonymi krokami. Na szczycie płaskich schodów wiodących do drzwi pałacu rzekł więc wartownikowi to samo, co jego koledze przy bramie — i został poprowadzony do niewielkiej izby, pełniącej chyba rolę wartowni; siedziało tam kilku żołnierzy, z których jeden zaraz zmienił kolegę-wartownika, przejął gościa i poprowadził dalej. Spacer zatłoczonym korytarzem był na szczęście krótki. Raladan wkrótce znalazł się w surowej, ale wygodnie urządzonej komnatce, przekazany kolejnemu żołnierzowi, ten zaś otworzył jeszcze jedne drzwi i zameldował: „Wasza godność. Ktoś z ważną wiadomością”.

Raladan stanął przed dowódcą wart. Był to człowiek w średnim wieku, niewysoki i szczupły, przy mieczu, w narzuconej na odzienie granatowo-zielonej tunice, takiej samej jakiej nosili żołnierze, jednak o wiele staranniej wykończonej. Oficer zmierzył go spojrzeniem i zapytał:

— Do mnie? Cóż to za wiadomość?

Raladan nie znał dartańskiego ni w ząb, więc mógł się tylko domyślić treści obu pytań.

— Nie rozumiem po dartańsku, wasza godność — rzekł, posługując się Kinenem. — Może być język, w którym mówię, a najlepiej garyjski.

Kinen (albo Keynen, bo tak teraz modnie mówiło się w Dartanie), uproszczony armektański, był właściwie zaledwie szkieletem tego języka i choć ułatwiał porozumiewanie się w granicach Wiecznego Cesarstwa (czyli, jeszcze niedawno, w całym Szererze), to jednak służył głównie do

załatwiania spraw najprostszych: można było łatwo dopytać się o drogę, porozumieć z handlarzem, nawet porozmawiać o pogodzie, ale już powiedzieć coś miłego a pomysłowego poznanej przed chwilą narzeczonej, w taki sposób, by nie zerwała zaręczyn, znacznie trudniej. Oficer, niestety, znał armektański, nie Kinen — dobrze więc rozumiał Raladana, zwłaszcza że ów wtrącał, obok podstawowych, także bardziej wyszukane wyrażenia; za to Raladan musiał częściowo zgadywać, co do niego mówiono, bo nie pojmował znaczenia blisko połowy słów, a i w takich drobiazgach, jak stopniowanie określeń, nierzadko był skazany na domysły (w Kinenie były trzy stopnie, w czystym armektańskim siedem, w „wysokich” odmianach — podobno kilkadziesiąt).

— Wasza godność — przerwał żołnierzowi — wiem, jak działa wojsko, i tylko dlatego stawiłem się u ciebie. Ale mam sprawę ważną, dotyczącą bezpieczeństwa królowej. Nie domagam się widzenia z jej królewską wysokością, chcę tylko przekazać wiadomość. Jeśli ty ją możesz przekazać, to wystarczy. Jeśli nie, niech to zrobi ktoś inny.

Oficer przyglądał mu się z uwagą. Trudno było przekazywać królowej słowa każdego nieznanego zgłaszającego się do wartowników. Jakieś zażalenia, prośby, podziękowania i nie wiadomo co jeszcze. Wśród tysięcy mieszkańców stolicy zawsze znalazłoby się kilkudziesięciu mniemających, że co jak co, ale — powiedzmy — taki skandal, jak niesprawiedliwe naliczenie podatku od dochodów warsztatu kaletniczego, winien z miejsca być przedstawiony monarchini. A już poparta łzami prośba o lek dla chorego dziecka?...

Jednakże sprawa dotycząca jej bezpieczeństwa? Przybysz mógł być pomyłką, chociaż na takiego nie wyglądał. Z drugiej jednak strony, minionej nocy w pałacu nastąpiły wydarzenia, oględnie mówiąc, niecodzienne i dowódca wart nie mógł o nich nie wiedzieć. Dlatego nie namyślał się długo.

— Co trzeba przekazać jej królewskiej wysokości? — zapytał.

— Czy przekazesz, wasza godność, moje słowa osobiście?

— A co to za różnica?

— Wiadomość dotyczy spraw osobistych jej królewskiej wysokości — spokojnie odparł Raladan. — Gdyby to było możliwe, nie przekazałbym tych słów nikomu i rozmówił się z królową sam na sam. Ale wiem, że nie jest. Dlatego pytam. Powiedz, panie, że jesteś

człowiekiem zaufanym, któremu królowa powierzyłaby każdy sekret, a ja ci uwierzę i zdradzę, co mam do powiedzenia. Jeśli nie, skieruj mnie do kogoś, z kim jej wysokość gotowa jest dzielić wszystkie tajemnice.

Sprawa zaczęła przerastać niskiego rangą oficera straży pałacowej. Ale nie był człowiekiem głupim i zdał sobie z tego sprawę. Dziwny gość nie próbował przecież podstępnie dostać się przed oblicze żadnego z wysoko postawionych dworzan, skoro mówił: „Powiedz, że jesteś człowiekiem zaufanym, a ja ci uwierzę...”. Chyba rzeczywiście miał wiadomość, która nie powinna trafić do zbyt wielu uszu. Ale do kogo (na własną, w końcu, odpowiedzialność) powinien skierować tego tajemniczego człowieka? Odpowiedź nasuwała się sama: do naczelnego komendanta straży N. Ohegeneda. Jeśli komendant nie był człowiekiem mogącym poznać każdy sekret związany z bezpieczeństwem królowej, to znaczyło, że takiego człowieka w ogóle nigdzie nie ma.

Oficer wezwał dyżurnego i posłał go do komendanta.

— Przydzielę ci asystę, panie. Rozmówisz się z komendantem straży pałacowej. W sprawach dotyczących bezpieczeństwa jej królewskiej wysokości wyżej stoi już tylko Druga Perła, a potem sama królowa.

Raladan, niemal zawsze opanowany, tym razem nie zdążył ugryźć się w język.

— Czy Druga Perła jest w pałacu? — zapytał.

Żołnierz przyjrzał mu się ze wzmożoną uwagą.

— A dlaczego, panie, o to pytasz?...

— Może powinieneś, wasza godność, skierować mnie prosto do niej — przytomnie wybrnął Raladan. — Skoro stoi wyżej od...

— Uważam, że wystarczy komendant straży pałacowej.

Raladan uczynił skąpy gest oznaczający: „Oczywiście; jeżeli tak twierdzisz...”. Nie nadawał się do dworskich gier w słówka; wiedział o tym, ale zapomniał. I więcej tego robić nie powinien. Potrafił rozmawiać o wszystkim i z każdym, ale musiały to być rozmowy podobne do tej, jaką kiedyś przeprowadził z piękną Kesą-Przyjętą. Czy tutaj, w samym sercu dartańskiego państwa, w tłumie dworzan, urzędników, najwyższych oficerów i najdroższych niewolnic było to możliwe? Nie wiedział. Wobec Kesy to nie on był petentem. Teraz wierzył swemu rozumowi, ufał doświadczeniu — ale mógł się zaraz przekonać, że wykuta z tego stopu broń do niczego się tutaj nie przyda.

W komnatce stawili się dwaj halabardnicy.

— Prowadzić do komendanta — rzekł krótko oficer, i Raladan, słysząc melodyjne brzmienie dartańskiego, po raz drugi mógł się najwyżej domyślić, co ów rzekł. — Komendant został uprzedzony.

— Tak, panie.

Raladan w asyście żołnierzy poszedł długim korytarzem. Szedł i szedł, bo dom był naprawdę ogromny. Sforsował męczące schody i znalazł się w kolejnym korytarzu. Nie musiał przebijać się przez tłum; halabardnicy bardzo sprawnie torowali drogę, chyba wystarczał sam ich widok. Doprowadzono go do drzwi, przed którymi wartowali żołnierze. Poproszony o miecz, oddał go razem z odpiętą od pasa pochwą.

W dość przestronnej komnacie będącej zarazem salą odpraw komendant nie trzymał osobistych rzeczy; Raladan domyślił się, że właściwe mieszkanie tego wysokiego rangą oficera znajduje się w dalszych pokojach, a może tylko jednym pokoju (czy olbrzymi pałac królewski był aż tak olbrzymi, by każdemu słudze i dworzaniekowi zapewnić trzy, cztery komnaty?...). Brodaty, niemłody już mężczyzna w świetnym, kapiącym od złota mundurze powitał go uprzejmie, choć zdawkowo. Posłużył się Kinenem, co oznaczało, że jakoś się dogadają. Raladan krótko przedstawił sprawę.

— Dobrze, panie — powiedział oficer, z namysłem oglądając strój, postawę, a przede wszystkim twarz gościa, znamionującą człowieka nieprzeciętnego, bywałego, chyba nawet (na oko Ohegeneda, który był żołnierzem z krwi i kości) nawykłego do rozkazywania; tak mógłby wyglądać któryś z jego wyższych oficerów, albo nadsetnik, może i tysięcznik armii imperialnej. — Co mam przekazać jej królewskiej wysokości? Uczynię to niezwłocznie, chyba że usłyszę jakieś oczywiste brednie.

Raladan docenił dosadną zwięzłość komendanta, bo to właśnie był język, którym on sam się najlepiej posługiwał.

— Oczywiście, że brednie — odparł. — Dla każdego, kto nie zna wszystkich spraw królowej.

Komendant milczał, patrząc wyczekująco.

— Trzy Siostry — powiedział Raladan. — Feren, Rubin Córki Błyskawic. Równowaga Szerni. Powtórz to, panie, królowej. Tylko tyle. I pozwól mi gdzieś poczekać na odpowiedź. Chyba że sam jej udzielisz i

będzie to odpowiedź dorzeczna.

— Od kogo ta wiadomość?

— Królowa będzie wiedziała — beczelnie skłamał Raladan.

Dowódca pałacowej straży miał nieprzeniknioną twarz i Raladan nie odgadł, czy treść „wiadomości” jest dlań jakkolwiek czytelna. Ale to nie miało znaczenia. Ważniejsze, czy była czytelna dla królowej?...

Raladan nie miał pojęcia.

Jeśli jej królewska wysokość wiedziała, że jest odbiciem Rollayny (że nim jest, krążyły pogłoski; pytanie tylko: czy królowa w to wierzyła...?), a ponadto znała podwójną tożsamość swych niewolnic, to mógł oczekiwać, że zażąda dodatkowych wyjaśnień. Ale jeśli było inaczej... Wówczas nie miał nic do powiedzenia. Nawet gdyby został dopuszczony przed oblicze monarchini, to co mógł powiedzieć nic nie wiedzącej o tych sprawach kobiecie? Opowiadać legendy, mamrotać o Delarze, która spotkała przekleństwo z przeszłości i wybiera się właśnie zabić swoją siostrę; a Feren, otóż Feren, wasza królewska wysokość...

Wiedziała o wszystkim albo nie. Jeśli nie wiedziała, mógł wracać. A wcześniej tłumaczyć się gęsto, dlaczego i w jakim celu zawraca głowę władczyni mocarstwa.

— Powtórzę to królowej — rzekł komendant. — Zaczekaj tutaj, panie.

Raladan został sam — jeśli nie liczyć dwóch żołnierzy, którzy mu dotrzymywali towarzystwa. Nie byli rozmowni, on też nie.

Czekał długo. Naprawdę dosyć długo.

Komendant wrócił i stanął przy drzwiach. Patrzył z głębokim namysłem.

Drzwi nie zamknął. Przepuściły dwóch żołnierzy oraz przystojną, rosłą kobietę o bardzo niezwykłych włosach — bo wysoko upięty warkocz miał głęboką granatową barwę — i jeszcze dziwniejszych oczach, z których jedno było zielone, drugie czarne. Piękna pani nosiła na głowie delikatny złoty diadem; podobnie złote były dodatki do odsłaniającej ramiona, lekkiej ciemnoczerwonej sukni — szaty raczej domowej, bo na pewno nie ceremonialnej. Towarzyszący Raladanowi żołnierze oddali honory bronią.

— Królowa — najkrócej jak można i chyba zupełnie niezgodnie z dworskim obyczajem rzekł komendant.

Raladan pokłonił się.

— Słucham — powiedziała po armektańsku jej królewska wysokość.

Posławszy swą wiadomość, Raladan nie wiedział, jaki wywrze skutek, ale takiego zupełnie nie oczekiwał. Sądził raczej, że — w najlepszym wypadku — zostanie wezwany do królowej. Tymczasem to ona przyszła i było w tym coś... gwałtownego. Zdecydowanego. Tak mógłby postąpić on sam, gdyby mu doniesiono o pojawieniu się jakiegoś palącego problemu; odłożyłby inne zajęcia i powiedział: „Dobrze, już idę”. Jak wtedy, gdy w nocy obudziła go służka, mówiąc: „Panie, ktoś przyszedł”. Dla niewielu istot na świecie miał jakikolwiek respekt — teraz jednak stał przed kimś, kto mógł zrobić właściwie cokolwiek. Przed osobą, z którą w całym Szererze równać się mogła najwyżej cesarzowa resztek Wiecznego Cesarstwa. I poczuł... lekki podskórny dreszcz, bo przez całe życie miał słabość do takich właśnie kobiet. Silnych, zdecydowanych, wiedzących czego chcą. Władczych. Taka była, bądź bywała, Alida.

Aż się zdziwił, że w królowej Ezenie tak szybko dostrzegł kobietę.

Jej obuwie kryła długa suknia, jednak królowa na pewno chodziła na koturnach — rzecz obojętna o tyle, że nawet boso byłaby wysoka. Postawna i... zdrowa — bo z jakiegoś powodu to słowo się od razu narzucało. Miała wyraźnie rysujące się pod suknią duże, może troszkę za ciężkie piersi, szerokie okrągłe biodra, jakby stworzone do rodzenia dzieci, tak samo szerokie ramiona, a uda zapewne jak koń... Duża, silna kobieta, a jednak — właśnie bardzo kobieca. Przystojna i proporcjonalnie zbudowana.

Nie mógł stać i oglądać królowej.

— Wasza królewska wysokość — powiedział — czy gdyby zjawił się przed tobą człowiek z wiadomością, że Delara znów znalazła Rubin Córki Błyskawic, nie oparła się jego sile i być może wkrótce tutaj dotrze, by zagrozić swoim siostram... Czy ktoś taki byłby dobrze zrozumiany? Czy też raczej wzięty za szaleńca?

— Może mógłby mówić dalej. Najpierw jednak powinien się przedstawić.

— Nie uczyni tego. Chyba że zostanie zmuszony.

— O... — rzekła niechętnie królowa. — Ależ to da się zrobić.

— Wasza wysokość, powiedziałem: zmuszony. A to przecież nie

znaczy: przestraszony. Więc nie strasz mnie, pani, tylko zmuś.

Na chwilę zaległa cisza.

— No i usadził babę, bardzo pięknie — skonstatowała Ezena. — Mów, przybyszu, co masz powiedzieć.

Raladan znał słówko „usadził”, choć nie należało do Kinenu, i nie zdołał powściągnąć uśmiechu. Zaimponowała mu ta władczyni, potrafiąca wobec obcego zakpić z samej siebie. Była naprawdę silna i dobrze o tym wiedziała.

— Wasza wysokość, mam dużo do powiedzenia i byłoby mi łatwiej, gdybym wiedział, co mogę pominąć. Ale nie wiem. Przedstawię wszystko jak najkrócej. Przerwij mi lub zażądaj dodatkowych wyjaśnień, jeśli...

— Nie potrzebuję pozwolenia ani zachęty, wasza godność. Teraz słucham.

Raladan powiedział wszystko, co wiedział o Rubinie Córki Błyskawic, Trzech Siostrach, Ferenie i zagrożeniu dla równowagi Szerni. Prawił i prawił; sporo tego było... Zataił swoją tożsamość i niektóre szczegóły związane z możliwościami księżniczki Riolaty Ridarety. Na wszelki wypadek (bo może niepotrzebnie) wytłumaczył, co znaczy imię Riolata, bo wydało mu się niepożądane, by królowa, choćby odruchowo powtórzywszy to imię, straciła przytomność z braku tchu. Na koniec przedstawił wydarzenia, jakie nastąpiły nad brzegiem Morza Dartańskiego, i jak najdokładniej wyjaśnił, co, dlaczego i w jaki sposób próbowała osiągnąć Ridareta oraz jaki błąd, jego zdaniem, popełniła w rozumowaniu.

— To wszystko, wasza wysokość — zakończył.

— Brzmi to jak brednie — zauważyła po chwili milczenia.

— Nie, bo nikt tak cierpliwie nie słucha czegoś, co uważa za brednie.

— Nie zgaduj, panie, dlaczego jestem cierpliwa.

— Przepraszam, wasza wysokość.

Raladan nie bał się nikogo i nie potrafiłby wyjaśnić, dlaczego nieustannie wzrasta jego respekt i szacunek dla kobiety w czerwonej sukni.

— Dobrze. Słucham dalej. Może jutro zjawi się tutaj moja Druga Perła z zamiarem popełnienia morderstwa. Co proponujesz, panie, bym zrobiła?

— Co ja proponuję?...

— Właśnie.

— Żebyś kazała ją pochwycić, nie wyrządzając krzywdy. Twoja Perła... została otruta, pani — Raladan znalazł odpowiednie słowo. — Można powiedzieć, że przywrócono moc bardzo starej truciznie, którą miała w żyłach. Ale istnieje odtrutka.

Królowa czekała.

— Jest nią Rubin Córki Błyskawic. Ręczę za księżniczkę Ridaretę, wasza królewska wysokość — rzekł bardzo poważnie Raladan. — Jeśli istnieje na świecie ktoś, kto naprawdę nienawidzi Rubinu, to tym kimś jest właśnie księżniczka. Ona zmusi Riolatę, by oddała Delarze wolną wolę.

Królowa Ezena milczała, z namysłem obracając w palcach koniec granatowoczarnej warkocza.

— Ręczysz mi, panie, za księżniczkę. Poręczenie nikogo — zauważyła chłodno. — Człowieka bez imienia. Kapitana jej statku? Gońca?

— Takie poręczenie musi wystarczyć, wasza królewska wysokość.

— Nie — powiedziała jeszcze bardziej chłodno niż przed chwilą. — Nie musi i nie wystarczy.

Raladan poczuł, że sprawy stoją naprawdę kiepsko. Ale był przygotowany na taki obrót sprawy.

— Zapamiętałam nauczkę, więc już nie straszę, a zmuszam. Jeszcze tu jestem, ale właśnie wychodzę, więc szybko do mnie przemów, wasza godność. Gdy wyjdę, zabijcie go — poleciła. — Szalencie próbujący zamordować królową.

— Tak, wasza wysokość — powiedział Ohegened.

Postąpiła ku drzwiom.

— No i usadziła pirata, bardzo ładnie — powiedział kpiąco Raladan. — Zechciej odwrócić się, pani, bo nie będę przemawiał do twych kształtnych pleców.

Teraz ona się nie ustrzegła krótkiego błysku w różnobarwnych oczach.

— Nazywam się Raladan, jestem samozwańczym księciem pirackiego księstwa na Agarach, co oznacza: właścicielem siedmiu najlepszych wojennych żaglowców Szereru, a ponadto kimś, z kim liczą się dowódcy kilkudziesięciu innych, również bardzo groźnych okrętów.

Księżniczka Riolata Ridareta jest moją przybraną córką.

Jako gospodyni miała prawo odezwać się pierwsza, więc po krótkiej chwili milczenia powitała go:

— Książę.

— Wasza królewska wysokość.

— Zechcesz skorzystać z mojej gościnności.

Pożegnała go skinieniem, spojrzała na komendanta straży i wyszła.

*

Królowa spacerowała po lasku za domem. Hayna dostrzegła między drzewami błysk czerwonej sukni i odsłoniętych ramion; ruszyła w tamtą stronę. Jej wysokość nigdy się nie pogodziła z wymogami miejscowej mody; niemal wszystkie jej suknie były po dartańsku bogate — lecz zarazem po armektańsku odważne: rozcięte tu albo tam, bez pleców, bez ramion, inne z dekoltami... Różne armektańskie nowinki zawsze były widoczne w Rollaynie, teraz jednak przyjmowały się szybciej.

— Jesteś, dobrze.

Królowa obrzuciła spojrzeniem wojenną szatę Czarnej Perły, zapiętę na biodrach pasy podtrzymujące miecz i dwa sztylety, krótko popatrzyła jej w twarz, do połowy zakrytą delikatną zasłonką z czerwonego płótna. Piękne oczy hodowlanej gwardzistki nie straciły urody ani blasku, a niewielka blizna, ukryta w brwi, była prawie niewidoczna. Hayna jeszcze nie odkryła, jak niepokojąca jest nieodgadniona uroda posągowo zbudowanej, kasztanowowłosej wojowniczkii z zasłoniętą twarzą... Ale czy to mogło być pocieszeniem dla nieodwracalnie oszpeconej, tak pięknej niedawno kobiety?

Jej wysokość podjęła przechadzkę. Obie — królowa i niewolnica — były ubrane na czerwono, choć wojenna barwa przybocznej strażniczki miała inną wymowę niż królewska purpura.

Ezena bawiła się szyszką, przerzucając ją z ręki do ręki. Bardzo spokojnie, niemal obojętnie, przedstawiła gwardzistce przebieg rozmowy, która się odbyła przed południem.

— Dlaczego nie posłałaś po mnie, pani? Mogłabym...

Urwała.

— Jednak nie do końca umiesz mi zaufać — powiedziała po chwili.

Królowa popatrzyła z namysłem.

— O nie, Perło — powiedziała. — Wiem, co przesłałaś, ale nie

będziesz mnie tym szantażować. Mam pokazać ci twoje miejsce? Jest tutaj, u mego boku. Zajmij je albo idź precz, bo innego miejsca dla ciebie nie widzę.

Rozgoryczona Hayna potrzebowała trochę czasu, by zrozumieć, co właściwie powiedziała jej pani.

— Nie będę ci za nic dziękować, ani tym bardziej przepraszać. Spełniłaś swoje obowiązki i to wszystko; teraz zostań ze mną albo odejdz — rzekła Ezena, po czym odwróciła się niespiesznie i ruszyła w głąb lasu. — Czego oczekujesz, przyboczna? Nagrody? — zapytała jeszcze przez ramię.

Hayna zrozumiała, co mówi do niej pani. Rzuciła się w ślad za nią, wyprzedziła i upadła na kolana.

— Jesteś ze mnie zadowolona?..

— Oczywiście — odparła ze zdziwieniem Ezena, znowu bawiąc się podrzucaniem szyszki. — Ale czy to dla ciebie coś znaczy?..

Pytanie zawisło w powietrzu. Hayna zdobyła się tylko na skinienie głową, opartą o udo królowej.

— Przebacz mi — poprosiła po chwili.

— Mhm. No już, teraz puść mnie i chodźmy. Lubię spacerować, kiedy mówię — przypomniała jej wysokość. — Vasaneva, gdy rozmawiała z Gotahem i Kesą...

Miała dobrą pamięć, potrafiła powtórzyć niemal każde słowo przekazane jej kiedyś przez kocicę. Ale choć mówiła rzeczy ważne, Czarna Perła najpierw prawie nie słuchała. Miała nowy dług do spłacenia. Najpotężniejsza kobieta Szereru jednym zdawkowym „mhm” przebaczyła przyjaciółce i strażniczce, która była gotowa chodzić za nią i na każdym kroku przypominać: „A pamiętasz, co dla ciebie zrobiłam?”. Tymczasem nie zrobiła nic nadzwyczajnego. Tak jak powiedziała królowa, wypełniła tylko swoje obowiązki. Zaszczytne obowiązki żywej tarczy monarchini.

Błagała kiedyś o ten przywilej.

Nagroda, podziękowanie?... Tak, gdyby upiekła dobre ciasto. To do niej nie należało.

— Skoro Gotah, jak twierdzisz, na pewno nie żyje, pozostaje Kesa — ciągnęła królowa. — Miała czekać w En Anelu na wiadomości od męża albo pozostałych towarzyszy. Jeśli jej tam nie znajdziesz, to być może

dowiesz się, gdzie szukać. Opowiedz jej wszystko. — Ezena zgubiła szyszkę, więc schyliła się i podniosła drugą. — Żądaj rady, a najlepiej przybycia do Rollayny. Wierzę, że piracki książę jest tym, za kogo się podaje, ale co do reszty jego słów... Wzbudził moje zaufanie — przyznała i z jakiegoś powodu lekko się zarumieniła na policzkach. — To, co mówił o księżniczce Ridarecie, pokrywa się zresztą z tym, co Vasaneva usłyszała od Gotaha. Księżniczka być może naprawdę nienawidzi siły, która ją trzyma przy życiu. Uważasz, że to możliwe?

— Nie wiem, wasza wysokość — odrzekła Hayna, której bladość była widoczna mimo zasłony na twarzy. — Znęcanie się nade mną sprawiało jej... rozkosz. Nawet nie przyjemność, tylko rozkosz. Taką, jakiej...

— Nie kończ, zrozumiałam. I tak nie ściągnę do siebie tej... tego czegoś, z czym się spotkałaś, jeśli nie będę wiedziała, jakich niebezpieczeństw się spodziewać ani jak się przed nimi uchronić. Jedź do Kesy i dowiedz się wszystkiego.

— Tak, wasza wysokość.

— No to teraz stoi przede mną już ostatnie, ale za to najtrudniejsze zadanie — podsumowała Ezena. — Muszę w końcu rozmówić się z Anessą.

Hayna doszła do siebie na tyle, że uśmiechnęła się lekko i było słychać ten uśmiech, gdy powiedziała:

— Może powinnam iść z tobą? Przecież ona po prostu nawrzeszczy na ciebie, a wcześniej na pewno oberwiesz poduszką. Przez cztery lata milczałaś, że jest Seilą, twoją siostrą... — urwała.

Królowa zdobyła się na kpiący półuśmiech, bo swoją Pierwszą Perłę, błyskotliwą i niezastąpioną powiernicę, kochała niemal bezwarunkowo, ta zaś o tym wiedziała. Rozpieszczona faworytka Anessa — Pierwsza Dziwka Domu, jak półgębkiem, ale za to z nienawiścią nazywano ją w królewskim pałacu — była zdolna do wszystkiego, potrafiła narazić się na karę, ponieść ją i po staremu wrócić do łask monarchini, która bez niej nie wyobrażała sobie życia. Rozmowa przyjaciółek na pewno mogła się skończyć awanturą, o jakiej napomknęła Czarna Perła.

Do Ezeny dotarło, że Hayna nagle zamilkła.

— Nie, Hayno — rzekła z głęboką powagą, przystając. — Seila nie jest moją siostrą. Delara także nie. To dlatego że nie jestem Rollayną, o

czym wiesz. Gotah dokładnie mi to kiedyś wytłumaczył i ja tobie także wytłumaczę. Lecz nie dziś. Teraz wystarczy, jeśli mi uwierzysz. Zajęłyśmy... trzy puste miejsca. One czekały właściwie na kogokolwiek, niekoniecznie na nas. Ubrałyśmy się w suknie Rollayny, Delary i Seili, ale nimi nie jesteśmy, nie będziemy i nigdy nie byliśmy. Schyl głowę — poleciała, a gdy Perła spełniła polecenie, delikatnie i naprawdę czule pocałowała ją w czoło. — To na drogę od przyjaciółki, chlebowczyni, opiekunki, a zarazem podopiecznej. Ale nie od siostry, Hayno. Nie jesteś Delarą, ani ja Rollayną — powtórzyła. — Trochę tylko je przypominamy. Może coś z tego wynika dla Szerni, ale dla nas nic. Zapamiętaj. A teraz weź wszystko, czego ci trzeba, konie, pieniądze, żołnierzy, i ruszaj do En Anelu. Najlepiej jeszcze dziś.

— Tak, Ezeno.

Królowa z uśmiechem podała jej szyszkę.

— Nie zgub, daj to Kesie — powiedziała, jakby nagle coś jej przyszło do głowy. — Może sobie przypomni lasy wokół Sey Aye.

7.

Szerer był mały dla każdego, kto uciekał; ogromny — kiedy szukało się czegoś albo kogoś. Gotah na nowo odkrył tę prawdę, gdy — jako tako wyleczywszy popękane żebra i odbite wątpia — wyruszył wreszcie w drogę.

Nie miał pojęcia, dokąd jechać.

Rozum podpowiadał: do najbliższego wielkiego portu — a więc do Seyenu — stamtąd zaś na Agary. Człowiek, który uratował mu życie, jego przekłeta córka, a wreszcie wzięci do niewoli żołnierze (było mało prawdopodobne, że choć jeden z nich jeszcze żyje...) — wszystkich tych ludzi należało szukać na Agarach. Jeśli nie tam, to gdziekolwiek, czyli nigdzie.

A może jednak nie?...

Kesa — w bardzo niewyraźnej co prawda i zamglonej wizji — widziała Haynę i słyszała stawiane przez Riolatę pytania. Czy opętana mocą Rubinu piratka mogła wyruszyć do Rollayny? Hayna-Delara nie żyła; za to jedno Przyjęty gotów był dać głowę. Rozmawiał ze Ślepą Foką Ridi, która przede wszystkim była właśnie nią: jednooką piratką,

zwierzęciem, bo księżniczką Ridaretą panującą nad siłami Geerkoto chyba tylko w wyobraźni Keszy. Nie umiał wystawić sobie, w jaki sposób to półdzikie stworzenie, szarpane najniższymi instynktami — czego był naocznym i skopanym niemal na śmierć świadkiem — miałoby zapanować nad tym, co beztrąsko nazywało „pokusami”. Piękna Ridi mogła więc pojechać do stolicy. Czy w towarzystwie przybranego ojca? Gotah nie znał tego człowieka; wiedział o nim wyłącznie to, co powiedziała mu żona. Żonie zaś przestał ufać, bo była tylko dobrą, wystraszoną, wierzącą w zacne intencje kobietą. Kimś, kto wzbraniał się przed potępieniem kogokolwiek za cokolwiek. Naprawdę — rację miał Moldorn.

Dokąd więc powinien jechać? Do Rollayny czy na Agary?

Rollayna była bliżej. Znacznie bliżej.

Najpierw jednak Gotah pojechał do En Anelu. Było to ładne, niezbyt duże miasto obwodowe; podział kraju na okręgi i obwody miejskie, choć narzucony przez Armekt, przyjął się w Dartanie bardzo dobrze i bez trudu przetrwał wojnę z Wiecznym Cesarstwem. W En Anelu mogła czekać wiadomość od towarzyszki z Talanty.

Wiadomości nie było. Znużony pacholek, najpierw przerażony zagadkowym zniknięciem pani, potem uspokoiony przez wysłanego z domu posłańca, próżniaczył się w wygodnym zajeździe, błagając los tylko o to, by mu zesłał jeszcze wiele tygodni wypełnionych drzemkami, posiłkami i nudą; może też drobnymi męskimi przygodami, o których jego pan, a zwłaszcza pani, woleliby nic nie wiedzieć. Gotah uregulował wszystkie należności, zwolnił pokój wynajęty przez Kesę i nakazał odesłać jej bagaże, zostawił pacholekowi nowy trzosik na pokrycie codziennych wydatków, po czym, rad nierad, ruszył w dalszą drogę.

Tuż pod miastem rozciągały się zabudowania podupadającej, pośledniej hodowli niewolników. Gotah obejrzał obszerny, nieogrodzony podwórzec, na którym kilka nieładnych dziewczyn pod nadzorem starej baby wykonywało jakieś nie wiadomo czemu służące ćwiczenia. Niewolniczym rynkiem Szereru rządziły szczególne prawa, bo wobec braku wojen świeży towar pozyskiwano niemal wyłącznie z szeregów wolnych ludzi, dobrowolnie sprzedających się w niewolę. Nikogo nie wolno było do tego zmuszać, namawiać ani zachęcać; gdyby nie ów przepis, którego złamanie karano bardzo surowo, prywatne wioski w

Dartanie zapewne wyludniłyby się na przestrzeni kilku pokoleń... Prawo Wiecznego Cesarstwa było jedno dla wszystkich i nawet najmniejszy z chłopów mógł zgłosić się do imperialnego wojska, gdy rozpisywano pobór (inna sprawa, że niewielkie miał szanse na przyjęcie w szeregi), a także rozporządzić własnym życiem. Oznaczało to, że wolno popełnić samobójstwo — był to czyn zgodny z prawem i rodziny samobójcy nie śmiały dotknąć żadne szykany — bądź wystawić swoje życie na sprzedaż. Mężczyźni, nawet uciskani i przymierający głodem, prawie nigdy tego nie robili, bo niewola oznaczała dla nich szybką śmierć przy morderczej pracy — na przykład w kopalniach albo kamieniołomach. Zresztą mężczyźni, nawet najdrożsi, od urodzenia hodowani specjalnie do walki zawodnicy, bardzo źle znosili niewolę, o wiele gorzej niż kobiety: chorowali, przygasali, często odbierali sobie życie, a nawet się buntowali, co bywało naprawdę niebezpieczne. Kobiety godziły się na status przedmiotu z mniejszymi oporami i sprzedawały się dość często; zahukana i dzika dartańska dziewczucha jako niewolna służka (a nawet, jeśli była bardzo ładna, prostytutka w którymś z miejskich domów publicznych) niemal zawsze znajdowała lepszy los, niż stałby się jej udziałem w prywatnej wiosce magnackiej. Ale już w Armekcie wyglądało to zupełnie inaczej: niemal każdy (i każda) gotów był tam wstąpić w szeregi legii — prawie nikt nie sprzedawał się w niewolę.

Hodowla pod En Anelem była nią tylko z nazwy, bo w rzeczywistości co najwyżej przedsiębiorstwem „kupno-sprzedaż”; prawie na pewno nie hodowano tam Pereł, ani tym bardziej mężczyzn do walki na arenach, najdroższych niewolników Szereru, przy których ceny najświetniejszych niewolnic wyglądały na wcale przystępne. Ale też żywe wojenne maszyny, z których każda rozdarłaby na sztuki trzy takie wojowniczkę jak Hayna (mijający hodowlę Gotah wspomniał ciepłą, uśmiechniętą Czarną Perłę z prawdziwą przykrością i smutkiem), potrafiące zadziwić tłumy na arenach, mogły zdobyć majątek dla swoich właścicieli; złoto zainwestowane w zakup dobrego zawodnika zwracało się szybko. Jednak musiał to być właśnie zawodnik bardzo dobry, który nawet pokonany po wspaniałej walce mógł mieć pewność, że zostanie mu darowane życie — takiego zaś hodowało się przez dwadzieścia lat. Kupowanie byle jakich osiłków, którym łby odlatywały od korpusów w pierwszym starciu, było wyrzucaniem pieniędzy.

Po zwycięskiej wojnie z cesarstwem królowa Ezena ani pomyślała o zrujnowaniu niewolniczego rynku w Dartanie, dlatego utrzymała wszystkie związane z nim prawa. Hodowle pozostały jedynymi przedsiębiorstwami upoważnionymi do handlu żywym towarem.

Ta pod En Anelem dożywała jednak kresu swych dni. Działo się tak zawsze, gdy wyhodowane niewolnice nie otrzymywały certyfikatów Pereł, a zawodnicy przegrywali na arenach — to drastycznie obniżało prestiż przedsiębiorstwa. Perły prawie zawsze przynosiły straty, ale podnosiły rangę hodowli. Gdy raz została uznana za poślednią, bardzo trudno było podnieść ją z upadku. Wydłużał się łańcuch zaniedbań; ratując nierentowne przedsięwzięcie, albo już tylko próbując odzyskać trochę pieniędzy, właściciel przymykał oczy na zbyt wiele spraw i pogrążał się coraz bardziej. Choćby „delikatna kwestia”... Delikatną kwestią nazywano odmowę sprzedaży niewolnicy lub niewolnika. Nabywca zgodnie z prawem i bezkarnie mógł czynić ze swoją własnością, co mu się podobało, więc, na przykład, wolno mu było dla przyjemności masakrować zakupioną dziewczynę, okaleczać ją, wreszcie zabić. Gdy coś takiego wychodziło na jaw, żadna szanująca się hodowla nie sprzedała oprawcy świeżego towaru; mało tego, posyłała poufną wiadomość do innych. Postępując inaczej, zrujnowałaby swą reputację, a to owocowało brakiem chętnych do sprzedania się w niewolę; jaka dziewczyna, mając do wyboru dwie hodowle, zgłosiłaby się do takiej, z której mogła trafić w ręce zwyrodnialca?

Patrząc na zaniedbane budynki, Gotah zastanawiał się, czy właściciel tej ruiny w ogóle jeszcze przywiązywał wagę do „delikatnej kwestii”. Co najwyżej ustalał bezczelnie wysoką cenę, ale bez skrupułów wyzbywał się wszystkiego, co jeszcze mu pozostało. Żaden inny hodowca nie miał interesu w odkupieniu od niego dwudziestu brzydkich, chorowitych i niemądrych dziewczyn. Nadawały się już tylko na żywe mięso dla jakiegoś popaprańca; zresztą wkrótce, zaniedbane i głodzone, mogły przedstawiać już naprawdę tylko wartość mięsa do karmienia świń albo psów...

I nagle Przyjęty pomyślał, że walcząc o zachowanie równowagi Szerni, wyrzucając tysiące sztuk złota na ogromne przedsięwzięcia, o wielu sprawach zapomniał. Walka w imię naprawy świata była skazana na niepowodzenie, przynosiła więcej szkody niż pożytku — to prawda.

Nie dało się naprawić czegoś, co od początku do końca zostało wymyślone i zrobione przez innego majstra; można było tylko sknocić to do reszty. Ale czy na pewno należało się wyrzekać wszystkich ludzkich odruchów, takich jak naturalna u rozumnej istoty skłonność do pochlebiania sobie?... Rzucona żebrakowi moneta nie naprawiała świata, ale pozwalała darczyńcy poczuć się lepszym.

I słusznie. Bo ktoś, komu pochlebiało unoszone w duszy uczucie „jestem szczodry i dobry”, był rzeczywiście lepszy od kogoś, komu to nie pochlebiało.

Gotah zawrócił konia.

Na widok dostatnio odzianego człowieka, dosiadającego bardzo dobrego wierzchowca, stara baba z nieogrodzonego podwórza niemal biegiem rzuciła się ku niemu. Miała na sobie czystą, całkiem ładną i noszącą resztki dawnej świetności suknię. Gotah powierzył konia wezwanej przez babę niewolnicy, po czym wszedł do budynku i został zaproszony do schludnego pokoju, w którym chyba dobijano targów — nie wiedział, bo pierwszy raz w życiu przekroczył próg hodowli niewolników; całą służbę — a więc jedną przyboczną niewolnicę oraz dwie dziewczyny do prac domowych i posług — jego żona otrzymała w ślubnym podarunku od swej dawnej pani. Leniuchujący w En Anelu pacholek, podobnie jak drugi w domu, byli ludźmi wolnymi. Teraz Gotah chciał kupić sobie niewolnicę i nie wiedział, jak się to robi. Przedstawił więc krótko sprawę, nawet nie mając pojęcia, z kim rozmawia; babsztyl w sukni mógł być kimkolwiek, choćby i wiekową Perłą albo niewolnicą pierwszego sortu, bo podobno takie sterane życiem klejnoty trafiały czasem z powrotem do hodowli, gdzie prowadziły rachunki, pisały bądź czytały listy w czterech głównych językach świata, a przede wszystkim doradzały w sprawach związanych z chowem nowych Pereł. Swoboda i obycie stojącej przed nim starowinki, a także świetny dartański, jakim się posługiwała, czyniły podejrzenie uprawnionym.

— Wasza godność — powiedziała stara Perła (o ile nią była naprawdę) — przecież masz oczy i na pewno widzisz, że hodowla przeżywa... kłopoty. Prawdę mówiąc, prowadzimy wyprzedaż. Nie mam niczego, co byłoby choć podobne do tego, o co pytasz. Chyba tylko ja — dorzuciła z cierpkim humorem. — Miecza już na pewno nie udźwignę, ale sztylet... Przynajmniej wiem, za który koniec trzymać.

Niemal wszystkie domysły Gotaha znalazły potwierdzenie.

— Byłaś Czarną Perłą, pani? — zapytał i dopiero, gdy zaczęła się śmiać, zrozumiał, jak naiwne zadał jej pytanie.

— Przebacz mi, wasza godność — powiedziała, zawstydzona. — Czarną Perłą?... Już niedługo powędruję na spotkanie z Pasmami Szerni, więc biorę je na świadka, że nigdy nawet nie widziałam takiego klejnotu na oczy. Czarna Perła?... Nie, wasza godność. Urodziłam się, by zostać zwykłą Perłą, ale już po pięciu latach okazało się, że, niestety, nic z tego nie będzie. Z wielkim trudem utrzymałam się w gronie dziewczyn pierwszego sortu... Trochę nas uczono, jak bronić pana lub pani, gdyby zaszła taka konieczność, ale jeśli mnie zapytasz, to odpowiem — bo mam swoje lata — że nie obroniłabym wtedy nikogo przed nikim. Nie sprzedam ci, wasza godność, żadnej przybocznej strażniczki, choćby nawet najgorszej, bo nie mam. Trochę brzydkich i chudych dziewczyn, prawie każda ze skazą, jąkała albo wiecznie pryszczata, inne z popsutymi zębami. Mówię, jak jest, bo przecież sam zobaczysz, jeśli zechcesz. W ciągu tygodnia ma zgłosić się ktoś, kto półdarmo weźmie je wszystkie do roboty. Takiej, którą zwykle wykonują mężczyźni — dorzuciła, i to oznaczało, że dziewczyny mają przed sobą może cztery miesiące życia, wypełnionego nieludzką harówką od świtu aż po zmierzch. — Jeśli ten nabywca się nie zgłosi, to po prostu dam im wszystkim akty wyzwolenicze, bo nie stać mnie na dalsze żywienie. Dawno już przejadły więcej, niż są warte. Niech poumierają na własny rachunek, w zaułkach En Anelu albo gdzieś indziej, bo do swoich wiosek nie trafią. Przynajmniej będą miały szansę coś ukraść, zanim je złapie straż miejska i za karę ześle do kamieniołomów.

Słowa brzmiały bezdusznie, ale ku swojemu zdziwieniu Gotah nie dostrzegł obojętności w oczach rozmówczyni. Stara „perełka” chyba miała serce i najpewniej oddałaby swój towar już nawet nie półdarmo, ale zgoła za symboliczną sztukę srebra — byle tylko poszedł w dobre ręce.

— Każ przyprowadzić je wszystkie, pani.

— Każ?... Muszę iść po nie sama, wasza godność. Możliwe, że jesteś ostatnim, który chce tu kupić cokolwiek. Nikogo już tutaj nie ma, sprzedam dziewczyny, przekażę budynki (bo już nie należą do hodowli, wkrótce zgłosi się nowy właściciel) i wracam do mojego pana, któremu

zaczyna się dobrze wieść w handlu zamorskim. Też należy mi się trochę odpoczynku. Będę naprawiała suknie pani, piekła słodkie racuszki, a poza tym leniuchowała.

Wyszła. Niedługo wróciła.

— Zechciej przejść, wasza godność, do następnego pokoju. Tutaj jest zbyt ciasno, a zresztą nie ma podestu.

W sąsiedniej izbie był podest. Kilkanaście nagich kobiet w różnym wieku — bo najstarsza miała co najmniej trzydzieści lat — w równych odstępach ustawiło się na podwyższeniu mającym wysokość łokcia. W bardzo dobrym świetle padającym przez duże okna Gotah zobaczył, że niewolnice są zadbane w stopniu, w jakim to było możliwe: wyglądały czysto, miały umyte włosy porządnie zaplecione w warkocze, niepołamane paznokcie, a wszelki zarost usunięty na dartańską modłę. Może były trochę niedożywione, ale nie wynędzniałe. Gotah odwrócił się nagle i powiedział niegłośnie:

— Jesteś człowiekiem, perełko.

Stara uśmiechnęła się lekko.

— Nie, wasza godność, tylko rzeczą — odparła odruchowo, po czym nagle zrozumiała, o co mu chodziło, i przestała się uśmiechać. — Chyba tak.

Gotah wiedział już, że zbrojnej strażniczki nie dostanie. Zwrócił się na powrót ku podestom i zapytał:

— Czy któraś zna albo chociaż rozumie Kinen?

Odpowiedziała mu cisza.

— Nie, panie — odrzekła stara.

— Jakikolwiek język? Chociaż kilka słów?

— Nie, panie.

— Przeczyta cokolwiek, chociaż parę liter?

— Każda napisze swoje imię. Ale tak, jakby rysowała zapamiętany wzorek, wasza godność.

— Czy któraś jeździ konno?

Cisza.

— Nie, panie — powiedziała perełka. — Nie potrafią nic.

Jedna z dziewczyn postąpiła pół kroku i pochyliła głowę.

— Mów.

— Jeź-dziłam... na osiołku — powiedziała niewolnica. — To jakby ta-

ki mały koń.

Gotah milczał. Dziewczyna, nie unosząc głowy, zerknęła w bok, napotkała jego spojrzenie i znowu zapatrzyła się w podłogę.

— Coś jeszcze? — zapytała nadzorczyńni.

— Ojciec mieli mnie pierwszą. A sios-try z macochą. Rą-bałam drwa, umiem wszystko w obejściu... Umiem pamiętać piosenki. Nie chrapię i je... je-stem zawsze ciepła... — Przesunęła rękami po brzuchu aż do piersi, jakby chciała pokazać, o jakie ciepło chodzi. — Um... umiem...

Zamilkła.

— Czasem jąka się bardziej, czasem mniej — powiedziała stara. — Raczej zacina, niż jąka.

Gotah podszedł i popatrzył na dziewczynę z bliska. Nieładna szeroka twarz była tu i ówdzie poznaczona dziobami po przebytej chorobie. Miał przed sobą zwykłą osiemnastoletnią chłopkę o grubokościstej budowie; dziewczuchę nadającą się najwyżej do prac w polu. Jak to często bywało, ojciec nie pozwolił jej wyjść za mąż, bo bardziej opłacało się ją sprzedać, kiedy podrosły młodsze. Dartański chłop nigdy nie widział tyle srebra na raz, ile mogła mu oddać córka po zgłoszeniu się do hodowli. Mimo że do ręki dostawała tylko skromną zaliczkę, resztę — dopiero gdy ją sprzedano, i to z jakimś zyskiem.

Niemal słyszał przyspieszone bicie serca. Naprawdę słyszał. Było zupełnie cicho.

— Um-iem... — zaczęła raz jeszcze, ale zaraz stało się jasne, że już nic więcej nie powie, i to nie z powodu wady wymowy.

— Umiesz czegoś chcieć i jesteś odważna — dopowiedział. — Sama nie wiesz, jak dużo umiesz. Potrafisz wierzyć, że jesteś coś warta, że dla kogoś może mieć znaczenie to, że jeździsz na osiołku, rąbiesz drwa i pamiętasz piosenki... I masz rację, mądra dziewczyno. Kupię cię.

— Chodź — powiedziała nadzorczyńni.

Gotah nie był tak odważny jak kupiona niewolnica i już nie ośmielił się spojrzeć na te, które pozostawiał z gasnącą w oczach nadzieją, że zawróci i zapyta o coś jeszcze. Nie był bogaczem; może mógłby je wszystkie nabyć, ale nie utrzymać. Do En Anelu, gdzie miała czekać Kesa, powinno wkrótce napłynąć złoto od garyjskiego Przedstawiciela, nie wiedział jednak ile, a tym bardziej nie potrafił ocenić, jak dużo jeszcze wyda, zanim skończy się cała awantura... Tymczasem ani on, ani jego

żona nie umieli zarabiać pieniędzy, zaś odsetki od tego, co złożyli w jednym ze stołecznych domów kredytowych, z trudem pokrywały ich potrzeby. Nie mógł otworzyć na rynku w En Anelu kramu z Porzuconymi Przedmiotami.

A zresztą wiedział, że choćby miał środki i wykupił wszystkie nieszczęśnice ze wszystkich hodowli Szereru, to osiągnąłby tylko taki skutek, że podesty zaczęłyby się uginać pod ciężarem kolejnych; a im więcej by kupował, tym bardziej by się uginały... Tak się kończyły próby naprawiania świata, który działał według ustalonych reguł, a ominąć się ich nie dało. Dobrym intencjom winien zawsze towarzyszyć rozum.

Dziewczyna nazywała się Sema — takie imię, obok jego imienia, wypisano na akcie własności, który otrzymał od wiekowej perełki. Miał odtąd przypisaną do swojej osoby żywą rzecz, z którą mógł zrobić cokolwiek i za której każdy, nawet najdrobniejszy czyn odpowiadał. Gdyby oszalała i zabiła mu żonę, mógłby ją za to żywcem poćwiartować — po czym poszedłby na szafot za zabójstwo żony. Dopełniwszy żmudnych formalności — bo pojawiły się przed nim jakieś księgi, świadectwa, rejestry — i bez żadnych targów uiściwszy zapłatę, Przyjęty wyszedł na podwórzec, dosiadł konia i wyciągnął rękę do wystraszonego stworzenia w kusej białej szatce, które spoglądało nań z dołu, wciąż chyba nie pojmując, co właściwie zaszło.

— Chwyć się i wskocz za mnie. Potem mocno się trzymaj — polecił.

Chwilę później kłusował z powrotem do En Anelu, kurczowo objęty w pasie przez dziewczynę, która pierwszy raz w życiu widziała drogę płynącą pod kopytami wielkiego dartańskiego ogiera pełnej krwi. To na pewno nie był osiołek.

W kłusie trzęsło i dziewczyna wciąż się zsuwała. Zachodziła obawa, że spadnie. Gotah puścił konia galopem, bo do jazdy stępa nie miał cierpliwości, a dla kogoś, kto pierwszy raz siedział na koniu, galop był lepszy niż kłus. Nietrzęsący, równy, płynniejszy.

Migały drzewa przy drodze. Sema omal nie umarła ze strachu.

*

W największym składzie towarów, jaki mieścił się przy rynku w En Anelu, było wszystko. I to chyba naprawdę wszystko, bo właściciel wprawdzie nie mógł wyciągnąć kamienicy spod stołu, nie miał rzecznej szkuty, ani nawet kupieckiego wozu, jednak jak najbardziej mógł to

wszystko zaproponować, jako że posiadał wcale zgrabne rysunki wymienionych dóbr — nie zaczynał więc rozmowy od niczego. Gotah potrzebował tylko zwykłych rzeczy, z których najdroższą i najbardziej niepokorną był koń. Kupiec z uwagą wysłuchał, na czym polega problem.

— Mam grzecznego muła — rzekł na koniec. — Nieuparty.

— Jadę do stolicy — zaprotestował Gotah.

— Może być jeszcze ładny wałach ebelski, ale to drogi koń.

— Wielkie bydlę — zastanowił się Gotah.

— Ba, dosiadają takich ciężkozbrojni królowej — zarozumiale powiedział kupiec, pragnąc dowieść, że nieobce mu nawet tak światowe sprawy, jak wyposażenie przybocznych chorągwi monarchini. — Gdyby to był ogier, to na pewno bym go nie miał, wasza godność. Wielkie bydlę, mówisz. No, prawda. Ale ebelczyki są odważne, posłuszne, niewybredne. A mój wałaszek niekapryśny, miękki w pysku, bardzo łatwy w prowadzeniu, poradzi sobie z nim nawet dziecko — wyliczał handlarz. — Prawdziwy ebelczyk wasza godność.

I faktycznie wiedział, co mówi. Gotah znał zalety wierzchowców księżnej Dobrego Znak, bo niejednym tygodniem przesiedział w obozach jej wojsk. Większe i silniejsze — oraz trzy razy droższe — były tylko rumaki ciężkozbrojnych (bo w tej akurat sprawie kupiec się pomylił; w chorągwiach królowej wierzchowców ebelskich dosiadali żołnierze zaliczani do średniozbrojnych). Jeźdźcy bardzo chwalili ebelczyki, bo jak żadne inne konie lubiły chodzić w szyku i błyskawicznie się wdrażały do wszelkich manewrów jazdy. O mało co Gotah byłby kupił Semie łagodnego wałacha, ale poszedł z kupcem do nieodległej stajni i szczęśliwie oprzytomniał. Jego własny ogier dartański był nawet wyższy od armektańskiego pobratymca — ale pierś?! ale zad, ale grzbiet?!... Gotah trochę jednak zapomniał, o czym mowa; przecież biedny dzieciak nie objąłby potwora udami.

— No nie, panie, jednak go nie wezmę — powiedział, uśmiechając się z politowaniem, które to uczucie kierował sam do siebie. — A ta klacz?

— Młodziutka armektanka. Miła, dobrze ułożona. Niedroga. Ale jednak to już jest koń dla jeźdźca, wasza godność.

— Wezmę ją — powiedział krótko Przyjęty, bo prawda była taka, że nie szukał zwierzęcia na wojnę ani do gonitw, tylko po prostu

czegokolwiek, na czym mogłaby się w podróży utrzymać jego niewolnica; jeśli chciała od razu spaść, to przynajmniej miała do ziemi bliżej niż z grzbietu stojącego obok lądowego wieloryba. Handlarz zaś prowadził zbyt duży interes, by opłacało mu się ukrywać jakieś istotne wady niedrogiego w końcu konika; na pewno nie chciał stracić przez takie coś klienta. — Ile?

Kupiec powiedział. Gotah potargował się i zapłacił.

Więcej niż za niewolnicę.

Wrócili do wielkiej izby wypełnionej wszelkim dobrem, którego oszołomiona dziewczyna nie śmiała nawet z bliska oglądać; stała dokładnie w tym miejscu, w którym pozostawił ją Gotah. Przestraszona, zostawiona sama sobie, nie odpowiadała na pytania i nagabywania kupieckich pomocników. Nie wiedziała, czy wolno jej mówić.

Przyjęty zmitrężył dużo czasu, a miał go zmitrężyć jeszcze więcej, wykładając komuś w trakcie podróży tajniki jazdy konnej, reguły dbania o wierzchowca i chyba wszystkie inne... Bez ceregieli zabrał niewolnicę do kąta, gdzie schowała się za jakimś stelażem, nakazał, by się rozebrała, po czym ubrał ją od nowa w strój podróźny niewiele gorszy od tego, który miał na sobie. Zachwycona dziewczyna z niedowierzaniem dotykała koszuli z gładkiego sukna, to znów grubej i szerokiej spódnicy do jazdy wierzchem, skórzanego kaftana, pasa, wiązanych rzemieniami do łydek trzewików... Te ostatnie sprawiły jej kłopot; kiepskie to było do jazdy konnej, ale w butach z cholewami na pewno by nie wytrzymała — przywykła chodzić bosą lub w drewnianych chodakach, ostatecznie może w jakichś łapciach z łyka.

— Cokolwiek ci daję do ubrania, tego już nigdy nie odbiorę — powiedział tak dobitnie, żeby zrozumiała, bo w szeroko otwartych oczach widział same wątpliwości i pytania. — To wszystko jest twoje, już na zawsze.

Jednak nie od razu uwierzyła. Miała na sobie odzienie warte więcej niż wszystko, co trzymał w chacie jej ojciec.

Dostała jeszcze mały nóż, którego pochwę mogła przypiąć do pasa. Dokupił prowiant, pled, płaszcz, parę drobiazgów, a na koniec podszedł do stojaka, na którym lśniła błękitnoszara stal.

— Rąbałaś drewno... To nie jest siekiera, ale masz — powiedział, podając lekki topór, który mężczyźnie przydałby się głównie do rzucania,

lecz dziewczynie pasował w sam raz do obu rąk. — Zawieszysz to przy siodle, zaraz pokażę ci jak. I jeśli ktokolwiek będzie nam chciał zrobić krzywdę... to wyobrazisz sobie, że jest kłodą drewna, dużą kłodą. Chodź. Teraz zjemy coś, a potem jazda. Nie, zaczekaj...

Był żonaty; wiedział już i potrafił to i tamto... W otwartej skrzyneczce wyszukał drewniany grzebień. Kesa lubiła, gdy ją czesał. Teraz rozplótł brązowy warkocz, rozczesał włosy, splótł od nowa, upiął wyżej. Wcisnął grzebyk w dłoń Semy. Dokupił jeszcze jeden drobiazg i zawiesił jej na szyi rzemyczek, podtrzymujący niewielką srebrną łzę.

— To też twoje. Tak samo na zawsze.

Zaprowadził niewolnicę do dużego zwierciadła przy oknie.

— Taka jesteś, patrz. Tak cię wszyscy widzą, tak nas widzą... Nie patrz na mnie, tylko tutaj. I nie rycz.

W tafli odbijało się dwoje podróżnych, należących do tego samego świata. Obok krzepkiego, łysawego mężczyzny z brodą, skrzywionego w wiecznym, lekko kpiącym uśmiechu, stała niewysoka, dostatnio ubrana dziewczyna z drżącymi ustami i zaczerwienionym nosem.

Chciała rzucić mu się do kolan. Chwycił ją i zatrzymał.

— Nie, dziewczyno. Już nigdy przed nikim nie klękaj. Wolno ci tylko przede mną, ale ja sobie tego nie życzę. Chcesz podziękować?

— Tak — szepnęła.

— To po prostu powiedz: dziękuję.

Poczekał.

Zaczerpnęła tchu i powiedziała.

Jakże łatwo było zawiesić na czyichś rzęsach łzę... Wystarczył prosty ubiór podróżny, ozdobiony srebrną kropelką na rzemyku, wartą mniej niż krążek, którym płacił. Ale ta kropelka była już ciepła od palców, które jej bez przerwy dotykały.

Wyszli przed dom. Trzymała swój toporek tak mocno, że było zupełnie jasne, iż zarąbie każdego napastnika. Będzie tłukła do chwili, aż miazga na ziemi przestanie przypominać człowieka.

Nigdzie, na całe szczęście, nie było widać napastników.

Już im prowadzono dwa konie.

Najpierw powiedli wierzchowce ku gospodarze i Gotah nakarmił towarzyszkę. Sobie też nie odmówił.

Rozsądek nakazywałyby spędzić nadchodzącą noc w En Anelu, ale

Przyjęty wiedział, jak to się skończy. Porannym wstawaniem, posiłkiem, odpoczynkiem po posiłku... Wyruszyłyby koło południa. Wolał jechać natychmiast, podróżować do zmierzchu i zatrzymać się na nocleg pod gołym niebem. Pierwszy konny przemarsz powinien być zresztą krótki; należało udzielić wstępnych nauk dziewczynie, której przeznaczeniem było zostać co najwyżej niewolną praczką w jakichś magnackich dobrach... Tymczasem została przyboczną Przyjętego.

Przeznaczenie niewolnych praczek... Gotah uśmiechnął się, bo jedną już kiedyś poznał. Została królową. Ta tutaj na pewno nie mogła zająć równie wysoko. Ale służka i przyboczna strażniczka historyka Szerni?... Nieskromnie uważał, że trafiła nieźle.

Jakoś utrzymała się na końskim grzbiecie, choć gdy zsiadła, na pewno bolało ją wszystko. Na biwaku najpierw pokazał, jak trzeba zająć się wierzchowcem. Powiedział, kiedy go poić, a kiedy odmówić wody. Kilkakrotnie powtórzył: „Na postoju najpierw koń, potem człowiek; pamiętaj”. Klacz nie była zdrożona, ale wytarł ją jak najstaranniej.

— W podróży to wystarczy — zakończył, odrzucając na bok wiecheć suchej trawy. — W stajni warto rozejrzeć się za szczotką i zgrzebłem, ale o tym, co w stajni, pomówimy kiedy indziej. Jutro będziesz ją siodłać, jednak co nieco pokażę ci już teraz. Potnik... czaprak... Zawsze nakładaj wyżej, ściągaj niżej... tak? Z włosiem, nie pod włos. Nic się pod tym nie może zawieruszyć, żaden patyczek, okruch... nic a nic. Wyglądź wszystkie fałdy, załamania, to musi leżeć równo. Podchodź zawsze z przodu i najlepiej od lewego boku, a jeżeli podchodzisz od tyłu, to łagodnie zawołaj, uprzedź ją, że idziesz. Tak? Bo inaczej może się przestraszyć, zupełnie jak człowiek. Ale człowiek nie połamie ci kości kopniakiem.

Niewolnica chłonęła każde słowo.

Wyjął z juków jabłko, odgryzł kęs, wypluł na rękę.

— Daj jej w taki sposób — pokazał odgryziony kawałek na szeroko otwartej dłoni, po czym podał niewolnicy, sam zaś zaczął chrupać resztę owocu. — Świetnie. Na pewno lubi, kiedy ją poklepać po szyi, albo możesz ją pogłodzić po strzałce... mmm, po tym białym, co ma z przodu, o tak... Wiesz, co to maść konia? Kolor. Ja jeżdżę na dereszu, a twoja klacz jest gniada. Brązowa z czarną grzywą. Polubicie się.

— Jużem ją po-lubiła...

— Nie, Semo. „Już ją polubiłam”, tak powiedz. Już zrobiłam, już

przyszłam, już zapamiętałam...

Miała bardzo ładne, ciemne gęste brwi, teraz zmarszczone w skupieniu. Ale choćby szukał sto lat, nie znalazłby w tej twarzy nic więcej. Brzydulka.

— Już... ją... polu-bi-łam... — powiedziała starannie, zacinając się bardziej z przejęcia niż z powodu wady wymowy.

— To spokojny kraj, rozpalimy sobie ognisko.

— Umie! Ja rozpalę! — powiedziała tak szybko, że aż się roześmiała i niepotrzebnie ją speszył.

— I to pewnie lepiej ode mnie — powiedział. — Zbierzmy chrust, rozpalisz ognisko, a ja ci opowiem o świecie. Jeśli tylko czas pozwoli, codziennie będę coś ci opowiadał. Jesteś młoda, rozzębiona, nauczysz się czytać i pisać, nawet poznasz obce języki... — mówił, schylając się po kolejny patyk. — Zabiorę cię do bezpiecznego domu, gdzie czeka dobra i mądra pani, moja pani. Będiesz jej usługiwać, chodzić po ogrodzie, dbać o kwiaty... Lubisz psy? Będiesz się z nimi bawić, aż wymęczą cię do utraty tchu. A czasami ruszysz ze mną w drogę, tak jak teraz. Przyboczna mojej żony pokaże ci, jak trzeba trzymać miecz, jak się strzela z łuku... Może kiedyś naprawdę mnie obronisz, kto wie? Dzisiaj trudno ci w to uwierzyć, ale... z każdego miejsca, Semo, można dojść prawie wszędzie. Opowiem ci o sławnych dowódczyniach, które znałem albo o których słyszałem. Były takie same jak ty, wyszły z takich wiosek jak twoja, a dzisiaj każdy wojownik, który usłyszy imię Agatra albo Tereza, z szacunkiem pochyla głowę. Ale na razie długa droga przed nami, może niebezpieczna. Tak, na pewno niebezpieczna. Wszystko, o czym mówiłem, musi poczekać, Semo. Na pewno wydaję ci się bardzo mądry, ale czasem jednak bywam głupi. Nawarzyłem piwa i teraz muszę je wypić, a ty będziesz piła razem ze mną. Może nawet... oboje zginiemy? I nie ziści się nic z tego, co ci obiecałem.

Obejrzał się. Nie było jeszcze zupełnie ciemno, więc widział sylwetkę, a nawet rysy twarzy siedzącej na ziemi dziewczyny. Trzymała na kolanach trochę chrustu.

— Ja się nie boję, panie. Ja jużem...

Zamilkła. I zaczęła jeszcze raz, starannie:

— Ja... już... dostałam... wszystko, com sobie wy-marzyła. Przez całe życie, panie, nie było mi tak dobrze, j... jak dziś.

Gotah patrzył i patrzył, bo znowu się czegoś dowiedział. Niby nic nowego... Jak wyglądało dwudziestoletnie życie, którego najlepszym kawałkiem była konna przejażdżka w szorstkim odzieniu podróżnym?... Zbieranie chrustu na wieczorne ognisko, karmienie konia jabłkiem i rozmowa z obcym człowiekiem? Zimny dotyk srebrnego świecidełka na szyi. Po które nawet nie schyliłaby się Kesa.

Przyszło mu do głowy coś, co niedawno powiedziała właśnie Kesa, wprawdzie z goryczą i w gniewie.

„To jest świat, jaki chcemy uratować? A niech szczęźnie!”.

Wrócił do zbierania patyków.

— A może naprawdę niech szczęźnie?...

*

Łomot narastał i Gotah pomyślał o idących do boju ciężkich chorągwiach Sey Aye. Słońce świeciło prosto w oczy; mrużąc je, Przyjęty cofał konia na pobocze drogi, jednocześnie próbując skłonić do tej samej czynności wierzchowca Semy, którego chwycił krótko przy pysku. Zza zakrętu drogi, spoza drzew, wyłonili się jeźdźcy — silny oddział walił galopem, jakby rzeczywiście szedł do szarży. Gotah chciał osłonić twarz przedramieniem i ocienić oczy, ale wciąż był zajęty wierzchowcami. Podnosząc kłęb kurzawy, jeźdźcy — co najmniej dwudziestu — przewalili się tuż obok, płosząc młodą klaczkę niewolnicy. Sema spadła na ziemię. Gotah zeskoczył z siodła, poskromił oba konie, a widząc, że dziewczynie nic się nie stało, zaczął je uspokajać, poklepując i łagodnie przemawiając. Tętent oddalał się, ale gdzieś w środku obłoku kurzawy rozbrzmiał głośny okrzyk.

— Nic ci nie jest? — upewnił się Przyjęty.

— N... nie...

Kurz opadał. Gotah spoglądał na jeźdźca, zrazu ledwie mającego, potem coraz lepiej widocznego na drodze. Słońce miał teraz za plecami, już nie świeciło mu w oczy — w zamian oślepiało człowieka, który stępa jechał na spotkanie. Przyjęty czuł, jak serce podchodzi mu do gardła. Zostawił konie i ruszył naprzeciw, a po chwili pobiegł.

Hayna zsunęła się z siodła i tak samo rzuciła się biegiem. Przyjęty pochwycił ją, przytulił i poczuł wilgoć pod powiekami. Nie miał dotąd pojęcia, jak bardzo polubił tę dziewczynę. Od żalu po niej — uciekł. Ale dla nieoczekiwanej radości w jednej chwili otworzył całe serce. I po

męsku uronił kilka łez niekłamane szczęścia.

Perła chyba czuła to samo. Maząła się w sposób zupełnie nieodpowiedni dla srogiej gwardzistki królowej.

— Jakim, jakim cudem?... — zapytał. — Ranili cię śmiertelnie, konałaś powieszona na gałęzi... Widziałem. Uciekłaś? Ale jak?

Powoli nadjeżdżali zatrzymani okrzykiem dowódczyni jeźdźcy. Tupwały i parskały rozgrzane biegiem wierzchowce; mieniły się zielenią, granatem i czerwienią haftowanych koron świetne narzuty na kolczugach, lśniły otwarte hełmy.

Hayna odsunęła się nieco. Chciał sięgnąć do czerwonej zasłonki, kryjącej dolną część twarzy Perły, ale łagodnie zatrzymała jego dłoń.

— Postój! — zawołała do swoich, ocierając nadgarstkiem oczy. — Rozkulbaczyć konie! Bo to na pewno potrwa... — zakończyła już znacznie ciszej, zwracając się do Przyjętego.

— Semo, zajmij się końmi. Poproś któregoś z żołnierzy o pomoc. Po prostu podejdź i poproś. Na pewno ci nie odmówi.

Oszołomiona widokiem tylu wspaniałych, orężnych i groźnie wyglądających ludzi, niewolnica tylko skinęła głową. Hayna zerknęła zaciekawiona na przyboczną, której trzeba pomagać przy koniach, i chyba zrozumiała w czym rzecz, bo zachęciła ją do czynu lekkim ruchem głowy, potrafiła zaś uśmiechnąć się oczami. Obecność drugiej kobiety dodawała otuchy; Sema też zdobyła się na uśmiech.

Kilkadziesiąt kroków od drogi wznosił się łagodny pagórek, na którym rosły drzewa rzucające cień. Perła wzięła Przyjętego za rękę i poprowadziła. Usiedli pod wielkim klonem. W milczeniu, najpierw tylko przyglądali się sobie.

— Jadę do Rollayny — rzekł Gotah. — Myślałem, że z bardzo smutną wieścią.

— A tymczasem to ja wcześniej przyniosłam smutną wieść o tobie, wasza godność. Jadę do En Anelu. Powiedzieliście Vasanevie, że tam będzie można znaleźć Kesę. Ciebie... nie szukałam. Ale za to wciąż od nowa układałam sobie, co będę musiała powiedzieć twojej żonie. Królowa ma do niej prośbę, jednak ta prośba... Przecież nie zaczęłabym od prośby.

— Nie zawieszysz żadnych smutnych wieści. Przeciwnie, sama jesteś radosną wieścią. Kesa bardzo teraz potrzebuje dobrych nowin.

— Niestety, nie jestem aż tak radosną nowiną, jak mogłoby się wydawać, wasza godność. Powiem, zanim zapytasz: nie, nie odślonię twarzy. Już nigdy.

— Nigdy? — niemądrze powtórzył Przyjęty.

— Jest zniszczona — cicho, ale spokojnie powiedziała Perła. — Nieodwracalnie, wasza godność. Rozpoznałeś mnie pod tą szmatką, ale chyba nie rozpoznałbyś bez niej. Pogodziłam się z tym, teraz pogódź się i ty. Kto pierwszy? — zapytała z nagłym ożywieniem. — Kto ma więcej do powiedzenia?

— Chyba jednak ty, Perło — odpowiedział, ale zobaczyła, że jeszcze nie ochłonął.

Poczekwała chwilę.

— Już? No to mówię. Wtedy nad morzem... myślałam, że poległeś już wieczorem, kiedy przypuścili na nas atak. Potem dowiedziałam się, że nie. Skopano cię na śmierć jak parszywego psa, tak mi powiedziała.

Przyjęty nie zapytał, kto, bo wiedział. Hayna mówiła, on słuchał. Przerazającej i zdumiewającej historii, w której jednak wszystko łączyło się ze sobą, zazębiało... Wskakiwały na swoje miejsca kolejne klocki układanki. Wyłaniał się obraz opętanej przez Geerkoto pirackiej księżniczki, która — jeśli wierzyć słowom jej przybranego ojca — wbrew wszystkim siłom Szerni i Szereru postanowiła stoczyć walkę, której nie zdołali wygrać Przyjęci. Czy naprawdę było możliwe, że kosztem życia Hayny bądź Anessy chciała raz na zawsze zażegnać grożące Ferenowi niebezpieczeństwo? Zabrała się do tego na najgłupszy z możliwych sposobów... ale właśnie dlatego niemal był gotów uwierzyć w szczerść jej zamiarów. Rozmawiał z nią! Widział przed sobą niezbyt mądrą, ale za to przeświadczoną o swej władzy nad Rubinem kobietę! Według słów agarskiego księcia znęcała się nad Hayną, bo to był okup, jaki musiała zapłacić za poskromienie sił Rubinu. Płaciła takie okupy często i w podobny sposób — wiedział to od Kesy, która na Agarach próbowała zrozumieć księżniczkę, rozmawiając z nią, pytając i odpowiadając. I było coś jeszcze, bardzo ważna poszlaka wskazująca na szczerść intencji Ridarety: otóż Hayna żyła. A tymczasem, po spotkaniu z Rubinem właściwie nie miała prawa żyć. Tam naprawdę doszło do jakiejś walki, jakiegoś... układu między Ridaretą a Riolatą. Skoro Rubin musiał uciec się do „oszustwa” — zrobił to nie bez powodu. Wybrał do celu drogę

okrężną, bo najkrótszą mu zagrodzono.

Słuchał. I patrzył na siedzącą obok, opartą plecami o pień drzewa dziewczynę, która z niejakim wysiłkiem, ale jednak zupełnie po prostu opowiedziała mu przed chwilą o bohaterstwie i lojalności, jakie rzadko oglądał świat. Przez kilka nieskończenie długich dni stawiała czoło czemuś straszemu i niepojętemu, wyrywała sobie z twarzy strzępy żywego ciała, spełniała podłe zachcianki... Dotąd znał tylko legendy sławiące takie czyny.

— Dlaczego przez tyle lat nie powiedzieliście nam... Seili i Delarze, Anessie i Haynie... — zapytała z żalem. — Dlaczego nie mogliśmy wiedzieć?

Westchnął i pokręcił głową.

— Nie potrafię odpowiedzieć. Mogłyście wiedzieć. Tylko po co? Czasem myślimy, że dla kogoś będzie lepiej, jeśli się o czymś nie dowie. Oszukujemy ciężko chorych, czasem chorzy oszukują swe rodziny... prawda? Przybrana matka boi się zdradzić dziecku, że nie ona je urodziła... I niemal zawsze na końcu staje się jasne, że każdy ma prawo wiedzieć o wszystkim, co go dotyczy. Że ukrywanie przed kimś jego własnych spraw jest co najmniej niewłaściwe, a nierzadko podłe.

— Więc... dlaczego?

— Bo jesteśmy niedoskonali i są błędy, które powtarzamy. Wydaje się nam, że tym razem na pewno istnieją dobre powody; że poprzednio to było coś innego, inaczej... Królowa powiedziała ci prawdę, Czarna Perło: wcale nie jesteś Delarą, pożyczyłaś sobie tylko jej suknię... właśnie tak, jak powiedziała ci w ogrodzie. Królowa jest mądra, Hayno. Na pewno mądrzejsza od ciebie i Anessy razem wziętych, a możesz dołożyć jeszcze Gotaha, historyka Szerni, który to historyk ma ogromną wiedzę, ale nie ma tej mądrości, tej... roztropności, co twoja królowa.

— Wiem, że jest mądra.

— Ja sam nie miałem pewności, czy jesteś odbiciem Delary — wytłumaczył. — Nasuwała się taka myśl, ale nic na to nie wskazywało. Królowa zapytała mnie o ciebie, a ja zaprzeczyłem. „Hayna? Nie” — powiedziałem. To wszystko zbyt ślicznie pasowało, żeby mogło być prawdziwe, tak myślałem. O Anessie dowiedziała się ode mnie już w Sey Aye. Też nie od razu powiedziałem, co wiem; właściwie wyciągnęła to ze mnie. Można powiedzieć, że się wygadałem. Pamiętasz, jaka była

samotna. Chciała biec do siostry. Ale ja pytałem: „Po co, wasza wysokość? Nie jesteście prawdziwymi siostrami, ale za to przyjaźnicie się szczerze. Po co wyciągać jakieś truchła z przeszłości, porównywać się z trupami, szukać w sobie tego, co miały inne kobiety kiedyś... gdzieś...?”. Widziałem, jak męczyła się, walczyła ze sobą. Aż wreszcie powiedziała mi: „Masz słuszość”. Legenda o Trzech Siostrach, Hayno — rzekł, kładąc się na boku i podpierając łokciem — jest największym mitem Szereru. Wiesz, że chyba wcale ich nie było, Trzech Sióstr?...

— Jak to: nie było ich? — przerwała.

— Prawdopodobnie istniała tylko Rollayna, pierwsza królowa Dartanu, dotknięta skutkami czegoś, co nazywa się „pęknięciem Szerni”. O takim pęknięciu mówimy wtedy, gdy treści Pasm, za sprawą jakiegoś przypadku albo kataklizmu tam, na górze, przedostają się do świata. Tym razem, najprościej mówiąc, przedostały się strzępki treści, z których zbudowany został Feren... To tylko przypuszczenia, gdybania; matematycy nie umieli mi potwierdzić, że tak było, a gdy chodzi o Szerń, tylko matematyka... niekiedy... daje wyczerpujące i jednoznaczne odpowiedzi. Rollayna istniała na pewno, jest postacią historyczną. Ale obie jej siostry najprawdopodobniej zostały wymyślane.

— Ale ja pamiętam! — zaprotestowała. — Przypomniałam sobie o Delarze wszystko, albo... dużo.

— Co pamiętasz? Co znaczy: dużo? Wiesz o Delarze tyle, co o Haynie?

— Nie — przyznała. Po czym zaprzeczyła temu, co przed chwilą powiedziała: — Bardzo mało wiem.

— Bo pewnie tylko to, co wiąże się z Rubinem? Powiesz mi chociaż, kim właściwie była Delara? Trzecią Siostrą, no dobrze, a poza tym? Nie pytam o to, co wiesz z legendy i uznajesz teraz za prawdę, tylko o to, co naprawdę pamiętasz.

Hayna milczała.

— Królowa Rollayna — rzekł z westchnieniem — wzięła sobie służkę, albo doradczynię, albo damę dworu, z którą zżyła się i zaprzyjaźniła, a która ją wspierała swym rozsądkiem, może i urodą... Miała też osobistą strażniczkę... a może komendantkę przybocznych wojsk... a może po prostu jakąś wojowniczkę-awanturnicę, którą polubiła i trzymała przy swojej osobie. Czy te dwie nazywały się Seila i Delara?

Pewnie tak. Na pewno tak. Resztę wymyślono, jak sądzę. Jesteśmy żywym odbiciem Szerni na ziemi, Hayno — mówił dalej. — My, ludzie. Dysponujemy świadomością, której brakuje Szerni, ale w zamian nie mamy mocy sprawczych. Czasem jednak jakaś część Szerni, taka choćby jak Rongolo Rongola Kraf, bóg-dawca Rozumu, zostaje obdarzona świadomością. Ale bywa też, że ludzie coś sprawiają. Zbyt wiele istot rozumnych zna legendę o Trzech Siostrach, Hayno, by nic z tego nie wynikało. Wymarzona i wytęskniona Rollayna kilkakrotnie już była wręcz stwarzana, sprowadzana do Szereru przez rycerzy Dobrego Znak, nikt jednak nie umiał skierować jej na drogę do tronu. Aż wreszcie ktoś skierował. Twoja pani została wyrwana z Pasm Szerni za sprawą potężnego marzenia o powrocie królowej. Księżę K.B.I.Lewin, vanadey, rycerz królowej, ostatni z prostej linii rodu wspierającego mityczną Rollaynę, wiedział, że jest ostatnim. Znalazł w sobie dość woli i siły, pragnął czegoś tak gorąco, jak nikt przed nim. I odnalazł dziewczynę, której rysy pokrywały się z wizerunkiem twarzy na starej relikwii-portrecie. To nie była Rollayna, ale księżę Lewin zmusił ją, by zajęła jej miejsce. Ta dziewczyna... teraz już kobieta, ma na imię Ezena. Nie Rollayna.

— Jest tak silna, jak tamta kiedyś?

— Nie rozśmieszaj mnie, Hayno — rzekł z prawdziwym politowaniem. — Jest władczynią, która być może już za dziesięć lat będzie rządzić całym Szererem. Mityczna królowa Rollayna, która raptem zjednoczyła pod swym berłem Dartan (niecały zresztą, niecały...) mogłaby dzisiaj sznurować Ezenie suknie, czesać i zaplatać w warkocz włosy. W świetle tego, powiedz, czemu miałyby służyć bajki opowiadane jej najbliższym powiernicom i przyjaciółkom? Czy nie mogły zaszkodzić wam wszystkim? Królowa uznała, że tak. Że chce mieć swoją Haynę i swoją Anesę, nie jakąś tam Seilę, patrzącą na Delarę, która to Delara przed wiekami oszalała pod wpływem trującej mocy Geerkoto, aktywnego Porzuconego Przedmiotu. A teraz, może, czuje się z tego powodu gorsza, winna, podejrzana...

Gotah zmęczył się i zamilkł. Zamyślona Hayna też milczała.

— To wszystko są przypuszczenia, Czarna Perło — dodał Przyjęty. — Zarys pewnej historii, ramy, w których wszystko... chyba, a nawet na pewno, wygląda trochę inaczej. Pokazałem ci zaledwie szkic pewnych

zdarzeń, ale nie mam żadnych dowodów na poparcie swoich słów, bo, jak już wspomniałem, matematyka okazała się tutaj bezradna. Policzyć można relacje między Ferenem a Odrzuconymi Pasmami, nikt jednak nie przedstawi obliczeń uwzględniających stan i potencjał tych sił po uzyskaniu przez nie świadomości. Układaj więc tę historię po swojemu, ale pamiętaj o mądrych słowach królowej, które mi przytoczyłaś: z tego wszystkiego wiele wynika dla Szerni, ale dla was nic.

— Jak to nic? Omal nie zabiłam...

— Bo bezmyślne Pasma traktują was... serio. Dla siebie jesteście Ezeną, Anessą i Hayną, ale dla Pasm kamień to kamień; człowiek to człowiek, a symbol Ferenu — no to symbol Ferenu. Obojętne, jak niewyraźny. Wplątano was, można rzec, że omyłkowo, w pewne sprawy, które was właściwie nie dotyczą. Ktoś wymyślił siostry królowej tak, jak samą królową, jesteście odbiciem, dalekim echem pewnego mitu, tylko tyle. Nosisz pożyczoną suknię. Ktoś głupi i niedowidzący, kto zna tę suknię, nie zobaczył niczego więcej, nawet tego, że ktoś ją nosi, więc usiłował upchnąć szatę do skrzyni, powiesić na oparciu krzesła... wiem, jak absurdalnie i śmiesznie to brzmi, niemniej — oto jest historia Hayny i Ridarety, Delary i Rubinu Córki Błyskawic, Ferenu i Odrzuconych Pasm. Bądźże mądrzejsza od Szerni. Przecież ona jest bezmyślna i martwa. Jak skała.

— Czy suknia może pamiętać, co robiono z nią kiedyś?

— A pamięta? Przed chwilą przecież pytałem: co właściwie pamiętasz o Delarze, Hayno? Rzeczywiście przypomniałaś sobie, kim była i co czuła Delara, czy też raczej uraczono cię tą wiedzą, wepchnięto do głowy wiadomości, których tam wcześniej nie było?... Wprawdzie od tych bzdur gotów zatrząść się świat, bo Prawa Całości są martwe; Pasma Szerni — bezmyślne; Rubin Córki Błyskawic — bezwładny jak głaz na stoku wzgórza, dość go popchnąć... Ale jednak, to są tylko bzdury, co rozstrzygnęłaś raz na zawsze i udowodniłaś swoim poświęceniem, żelazną wolą... Jesteś Hayną, wierną wojowniczką królowej, a przede wszystkim rozumną istotą, która może sponiewierać wszystkie moce Szerni razem wzięte, bo to ty nimi poniewierałaś, wcale nie one tobą.

— Poniewierałam... — rzekła gorzko.

— Przecież rozumiesz, co mam na myśli, Perło — przywołał ją do porządku. — Kto wygrał? Mały człowiek, jeden z milionów, czy symbol

dwóch potężnych Pasm? Ślepa siła, choćby i największa, zawsze będzie słabsza od rozumu i stojącej za nim woli. Udowodniłaś to, Hayno — zakończył. — Myślę, że powiedziałem dziś wszystko, co obiecała wytłumaczyć ci królowa. Kiedyś tak samo przemawiałem do niej. Mądrej, silnej, ale jeszcze trochę zagubionej pani Dobrego Znak.

— Nie jestem głupia, wasza godność, i wiesz, że nie jestem — powiedziała po namyśle. — Ale jednak potrzebuję czasu, by poradzić sobie z tym, co powiedziałaś. Poukładać.

— Dobrze to rozumiem.

— Więc opowiedz mi teraz, co spotkało ciebie.

Gotah opowiedział. I dodał spostrzeżenia poczynione na podstawie opowieści rozmówczyni, dotyczące księżniczki Ridarety i jej przybranego ojca. Niemądrego planu, w którego istnienie uwierzył, podobnie jak w to, że agarski książę stawił się w Rollaynie, by zapobiec tragedii. Katastrofie.

— To są sprawy bardzo doniosłe, może dla całego świata — powiedziała, gdy skończył. — Ale teraz przebacz mi, że... jak zwykła, skrzywdzona dziewczyna... a niechby nawet wojowniczką, która została pokonana w walce... zapytam o inne sprawy. Błahe, chyba błahe. Byłam dręczona przez tępą siłę, którą próbowała poskromić inna wojowniczką, trochę taka jak ja? Coś musiało dostać moją śmierć, albo ból i upodlenie... i dlatego było to wszystko?

— Nie wiem, Hayno. Nie potrafię odpowiedzieć, gdzie kończy się piratka Ridareta, a zaczyna Rubin Riolata. Wierzę... chyba wierzę w szczerść jej zamiarów. Ale w dobro, które skrywa w duszy? Raczej nie. Trudno mi zgodzić się z Kesą, która twierdzi, że to jest dobra dziewczyna, a tylko wypalona w walce toczony od kilkunastu lat, popełniająca zbrodnie w celu zapobieżenia większym.

— Dlaczego nie?

— Bo myślę, że wszystkie intencje, zamiary, pokusy i odruchy... szlachetne porywy, odrażające zachcianki i wstydlive potrzeby dawno już stopiły się tam w jedno. Może pozostała tylko szczerą nienawiść do siły, która jest zarazem przeklęta i błogosławiona. Zapytaj, czy Ridareta mogła kierować się chęcią „zrobienia na przekór” Rubinowi, a odpowiem: tak, na pewno tak. Ale jeśli pytasz, czy dręczyła cię dlatego, że musiała, czy też po prostu sprawiło jej to przyjemność — nie odpowiem. Najprędzej było jedno i drugie. To już od dawna nie jest człowiek, Hayno.

Nie kieruje się uczuciami, które znamy i umiemy nazwać. Czasem te uczucia są podobne do naszych, ale chyba tylko pozornie, bo z czego się biorą, jak nawzajem na siebie wpływają, jakimi chodzą drogami... Nie podejmuję się mówić o tym. Byłoby to zgadywanie.

— Ktoś ją... kocha. Bardzo odważny mężczyzna, który uratował ci życie. Czy ona też go kocha? Swojego opiekuna, prawie ojca?

Uniósł ręce w bezradnym geście.

— Nie umiem o tym rozmawiać. Co znaczy u niej słowo „kochać”? Bez żadnych oporów opowiadała Kesie, jak morduje własne dzieci, zupełnie tak, jakby sprzątała spod siebie nieczystości... Tak, one wszystkie mają w sobie czystą moc Rubinu, trudno powiedzieć, że w ogóle żyją. Ale nosi je pod sercem, czuje pierwsze poruszenia, rodzi w bólach jak każda kobieta... I pomaga je rozrywać na strzępy, które szybko zostaną zjedzone przez ryby. Widzi w nich tylko „rubinki”, może nawet i słusznie, ale jednak jest ich matką, a z wyglądu to są zwykłe noworodki, nie różniące się od zwyczajnych dzieci. Jeśli najpotężniejszy z kobiecych instynktów mógł ulec takiemu wypaczeniu, to co z innymi instynktami? Uczuciami? Boję się tego dotykać, bo przerasta mnie, Hayno. Nie wiem, co czuje księżniczka Ridareta. Chyba potrafi być lojalna, wesoła, mieć przyjaciół, szanować kogoś za coś... Ale jakie tym rządzą reguły? Raz jeszcze powtórzę: nie wiem.

— Czy Kesa uważa tak samo?

— Właśnie nie. Nie rozumiem także Kesy — przyznał Gotah.

— Może ja spróbuję ją zrozumieć — powiedziała z namysłem.

— Ty? Dlaczego właśnie ty, która...

Nie dokończył.

— Bo widziałam to coś z bliska — rzekła nieoczekiwanie dobitnie, niemal szorstko. — Nie wiesz, o czym mówisz, wasza godność. Jeśli to COŚ zamieszkało w normalnej dziewczynie i siedzi tam od kilkunastu lat... Na wszystkie Pasma Szerni, wasza godność! Ty w ogóle nie wiesz, o czym mówisz! Wystarczyło mi kilka dni, bym była prawie gotowa zabić najdroższe mi osoby na świecie!... Nie wiem, czym księżniczka Ridareta karmi i obłaskawia to coś. Ale jeśli na co dzień potrafi być zwykłą piratką, a do tego jeszcze kogoś kocha... bywa lojalna, jak mówisz, uczciwa wobec kogoś... W ogóle nie mogę sobie tego wyobrazić. Jesteśmy niczym wobec tej dziewczyny, nikiem! Niczym! Jeśli to wszystko prawda, wasza

godność... Jadę do Kesy — powiedziała, dotykając skroni — i natychmiast wracam, bo muszę być przy królowej. Mam blizny na twarzy... Jakie blizny Ridareta ma w duszy? — pytała chaotycznie. — Trzeba ją zabić lub jej pomóc. Ale zostawić tego tak po prostu nie można. Myśl, mędrcze Szerni! — powiedziała, i to był niemal rozkaz. — Jedziesz do królowej. Nie udało ci się zabić księżniczki Ridarety, więc wymyśl, jak można ją wesprzeć. Jaki nowy łańcuch można dać do ręki, żeby mocniej mogła spętać to... ohydztwo.

Gotah nie odpowiedział.

Podobieństwo do Delary, które Rubin zdołał odnaleźć w Haynie, czyniło ją bardzo podatną na jego wpływ. A znów księżniczka Ridareta na pewno nigdy nie miała do czynienia z aż tak wielkim naciskiem. Hayna była niczym ściana, w którą właśnie trafił wystrzelony z katapulty głaz; omal nie pękła od uderzenia i wyobrażała sobie, że Piękna Ridi od lat wytrzymywała takie właśnie ciosy. Oczywiście nie. Ale z drugiej strony... Z drugiej strony, Czarna Perła królowej była już drugą mądrą kobietą, która mówiła mu to samo. Nie wątpił, że znajdą z Kesą wspólny język. Czy to o czymś świadczyło? Niekoniecznie.

Niemniej, łańcucha, o którym mówiła Hayna, mógł poszukać. Trudno było nazwać ten pomysł niedorzecznym. Perła zaproponowała trzecie rozwiązanie, jeśli za pierwsze uznać zgładzenie Ridarety, a za drugie zawierzenie jej i pozostawienie samej sobie. Trzecie rozwiązanie, może najlepsze... Mniej niż pewność, ale więcej niż goła wiara.

Powątpiewał jednak, czy coś znajdzie.

— Zrobię, jak mówisz, Perło. Przede wszystkim przedstawię rzecz królowej. Zna opinię moją i Kesy, powinna też poznać twoją. Może najważniejszą, a na pewno najbardziej wielkoduszną, jeśli wziąć pod uwagę, co cię spotkało z rąk Ridi.

Odruchowo chciała go powstrzymać, on jednak nie sięgał do jedwabnej zasłonki; zamiast tego delikatnie odgarnął kasztanowe włosy z czoła i otwartą dłoń przykrył jej skroń. Przytuliła się do tej dłoni.

Część druga. Symbol niczego

8.

Latem zbyt wcześnie robiło się widno, by urządzać o świcie pobudkę — Kitar jednak sobie urządził. Minionego dnia odbył poważną rozmowę. Lubił działać szybko, ale to nie znaczyło, że pochopnie i głupio, więc po prostu zastanowił się, podumał, poszedł wcześniej spać — i obudził się też wcześniej niż zwykle. Wziął paru chłopaków, zlął do łodzi i popłynęli na „Trupa”.

Kotwiczili u dartańskich brzegów, kilka mil od Nin Aye. Dartan — to nie były Wyspy Barrierowe ani Garra; piracki okręt mógłby tu wejść do portu, ale na pewno już by z niego nie wyszedł... Co innego na morzu. Za czasów Wiecznego Cesarstwa straż morską — chociaż kiepską — pomyślałaby może o splątaniu figla piratom, ale teraz... Po Morzu Zamkniętym tłukły się sławetne dartańskie galery, przestarzałe, wołowate, ale jednak potężne; pozostałych brzegów pilnowało... nie wiadomo co. Taki Raladan, gdyby zechciał wziąć swoje eskadry, bez trudu puściłby na dno całą wojenną flotę Dartanu — i nie dzięki liczbie dział na kasztelach oraz w kadłubach nowych karak. Zrobiłby to samo, nawet nie wystrzeliwszy. Po prostu, na mocy traktatu pokojowego, całą flotę Dartańskiej Straży Morskiej przejęło Wieczne Cesarstwo (oprócz galer; Armekt tego nie chciał — bardzo słusznie, bo utrzymanie kosztowało fortunę), a bogata królowa Ezena nawet nie bardzo mogła sobie kupić żaglowce. Zbyt wiele działało się ostatnio na morzach Szereru, zbyt wiele łajb poszło na dno, by ktokolwiek narzekał na nadmiar statków i koniecznie pragnął je sprzedać. Okręty można było najwyżej zamówić i zbudować, ale to trochę trwało... Złoty Dartan miał więc kilka nowych holców oraz kilkanaście przerażających pływających trupów — nabytych za cenę drewna opałowego i właśnie tyle wartych morskich widm, które nie śmiały odejść od wybrzeża, bo przecież na pełnym morzu mógłby przemknąć nad nimi albatros, zrobić kupę (jak powiedziałby Brorrok) i już nieszczęście gotowe.

Żarty żartami... Dość, że „Zgniły Trup” i „Kołysanka”, spokojnie kotwiczące pół mili od gęsto zaludnionego wybrzeża, nie miały się czego obawiać. Choć na łodzi na pewno trzymano wcale piękny oddział Królewskiej Straży Krajowej, którego dowódca uprzejmie kazałby wracać przybyszom na morze, gdyby nagle przyszła im chęćka pospacerować na brzegu.

Kiwało bardzo leniwie, prawie wcale. Z pokładu „Trupa” właśnie sikał do wody marynarz — a było na co popatrzeć, bo leniuch nie pofatygował się zanadto, stał jakieś pięć kroków od nadburcia i olbrzymim łukiem lał dziesięć kroków za nie. Jeśli miał fajfusa na miarę tego wyczynu, to... Kitar mocno postanowił sobie, że już nigdy nikomu nie pokaże swojego. Wspiął się na pokład holka i odetchnął: źródło mocy marynarskiej sikawy kryło się jednak gdzieś wewnątrz. Z szacunkiem i uznaniem rzuciwszy marynarzowi wydłubaną z sakiewki przy pasie monetę, kapitan „Kołysanki” zostawił uradowanego, dumnego z siebie dryblasa na pokładzie i podążył do drzwi kajuty pod kasztelem. Otworzył je, wpuszczając światło słonecznego ranka, przede wszystkim zaś świeże powietrze, które było tu bardzo potrzebne — Kitar nie miał pojęcia, jak mieszkańcy kajuty dostają się do środka, ale okien i drzwi nie otwierali nigdy, to pewne. Pierwszą rzeczą, jaką zauważył, był solidny, goły, okrągły, naprawdę miły dla oka, podbity od spodu futrem tyłek Pięknej Ridi, śpiącej trochę wzdłuż, a trochę w poprzek na Szczęściarzu Mevevie Cichym. Na wyrku pod drugą ścianą otworzył oczy Sayl — i zacisnął powieki z powrotem, bo okłamał swoją kapitanę, dowódca „Kołysanki” o tym wiedział, więc bezpieczniej było udawać śpiącego, a najlepiej nieżywego, na wypadek gdyby Kitar się wygadał.

Gość okrążył stół i klepnął wystawione siedzenie. Wskórał bardzo niewiele; rozejrzał się po kajucie, pokiwał głową nad śladami po wieczornym ochlaju. Wróciwszy spojrzeniem do wyrka, dostrzegł, że Ridi wprawdzie się przeciąga, prostując ramiona za plecami, ale głowy bynajmniej nie podnosi. Zaraz zresztą leniwie, ruchami faktycznie foczymi (zdjął go lęk, że to stąd jej przydomek...), popełzła po Mevevie, układając się trochę wyżej, bardziej równo i mrużąc:

— Mhm... Jeszcze raz, mhm...

Mevev odmamrotał nie wiadomo co.

— Nie, wasza książęca wysokość — stanowczo powiedział Kitar. —

Ani raz, ani nawet troszeczkę. Wstawaj, Piękna Ridi, mam sprawę.

Obudziła się całkiem, obejrzała i uniosła na rękach. Wyraźnie już rysował się jej brzuszek; był gdzieś tak w połowie drogi. Stała na czworakach, ziewnęła i wygięła grzbiet, przeciągając się raz jeszcze. Potem znowu nic nie robiła; być może zasypiała z powrotem, bo zaczęła jej opadać głowa. Za to Mevev obudził się dość szybko. Też się przeciągnął, zdrowo, aż chrupnęło. Pierdnął. Przez otwarte drzwi popatrzył na niziutko zawieszona słońce.

— Co ty, spać nie możesz?... Gdzie cię nosi po nocy? — spytał Armektańczyka i odkasznął, wyzbywając się porannej chryпки.

Cycki klęczącej na czworakach Ridi opierały mu się na piersi.

— A może byś tak przestał, braciszku, miętosić moją kobietę? Co? — zapytał Kitar.

— Jaką twoją kobietę? — groźnie zapytała Ślepa Ridi, unosząc głowę, klękając normalnie i odgarniając włosy. Poprawiła opaskę na oku. — Jaką twoją kobietę?

— On ma rację, kapitana — pojednawczo choć półgębkiem rzekł Cichy, przymierzając się do ziewania. — Ja nie muszę z tobą. A ty ze mną.

— C... że co? Że nie musisz?...

— Umówiliśmy się, Rido — rzekł Kitar.

— Co do czego się umówiliśmy? Że ty będziesz tam, a ja tu? Jak mam siedzieć? W beczcze i ze złączonymi nogami? Czy wystarczy, jak zaszyjesz mi dziurę?

Sayl spał, albo nie żył. Mevev oparł się plecami o ścianę, drapał zarośnięty tors, ziewał i miał wszystko w dupie. Albo gdzieś.

— Chcesz się teraz kłócić, siostrzyczko?

— To nie ja zaczęłam, tylko ty! „Jego kobieta”, tralala...

Wstała, wzięła dzbanek ze stołu i zaczęła łapczywie pić. Kitar mógł mieć tylko nadzieję, że w dzbanku jest woda.

A gdzie tam. Po brodzie ciekły jej dwie czerwone strużki; spłynęły na szyję i niżej.

— No jak, już? Przeszło ci? — zapytał. — Nie upijaj mi się teraz, bo nie mam czasu na fumi.

Oj, nie umiał on rozmawiać z kobietami... Zawsze lgnęły do niego; to nie była dobra zaprawa przed żeniączką. Ledwie się uchylił przed dzbankiem, który z jękiem zgniecionej cyny wyrznął w ścianę, bryzgając

ostatnimi kroplami szlachetnego trunku.

— Fumy?! Ja fumy?! Wpadasz tutaj z mordą od rana, wrzeszczysz na mnie na moim własnym okręcie!... Wiesz co? Ja idę spać; ty jak chcesz! Posuń się! — wrzasnęła na Meveva.

Kitar nie miał pojęcia, o co ten cały hałas. Co ją ugryzło?... Ale i jego zaczął trafiać szlag.

— Wyłaż, Rido, z tego barłogu. Jadę do Raladana, chcę ustalić jeszcze parę spraw...

Urwał. Ridi, rozdzieliwszy poślinionym pazurem owe mięsiste i wydatne cuda, o których aż krążyły kubrykowe legendy, gramoliła się na Cichego, ten zaś nie bardzo wiedział, co z nią zrobić. Kitar poczuł nie tyle złość, co nagłe a szczere współczucie dla pierwszego oficera „Trupa”.

— Odlep ją od siebie, braciszku — powiedział, z całej siły dokładając starań, by prośba nie wypadła jak pogrożka, bo naprawdę już wcale nie chciał grozić Cichemu; a cóż on tu był winien, bidulek?

— Kapitana, on ma rację... Odlep się — rzekł Mevev. — No, odlep... ej! ej! Jedzie do Raladana, nie słyszysz?... Ypff. Umówcie się jakoś albo ten.

Gadaj zdrów. Foka żuła mu ucho. Chwilę później przyciskała go do ściany w taki sposób, że dusił się między mokrymi od wina piersiami.

— Zaczekam parę chwil na pokładzie. Jeśli uda ci się uciec, to przyjdź — powiedział do Cichego dowódca „Kołysanki”. — Z tobą lepiej się dogadam niż z nią. Ja na twoim miejscu bym wiał — dorzucił mściwie, wychodząc, bo też musiał sobie ulżyć. Chociaż trochę.

Stanął oparty o nadburcie. Kiwnął na swoich marynarzy, nudzących się w szalupie przy wiosłach, że jeszcze trochę to potrwa; potem czekał, z namysłem drapiąc się po podbródku, w miejscu gdzie ukąsił go w nocy jakiś komar albo inne ścierwo. Pod kasztelem trwała awantura.

— Jak wyjdiesz, to nie masz po co wracać! Wyjdź, no już! Tylko wyjdź!

— Co ty, kapitana? Naprawdę cię porąbało?

— No wychodź! Wychodzisz czy wracasz?

— Ale... Głupia jesteś czy co?! Nie... nie szarp mnie, bo...

Łomot, hałas; coś spadało ze stołu.

— Bo co?! No wyjdź; tylko spróbuj wyjść! O zesz ty... Wracaj! Ale już, bo... Wra... skur...!

Teraz chyba grzmotnęła cały stół. Może jednak coś innego; stół na

pewno był przybity do podłogi.

— Zażł... yyh! Ja cię za to żażłkę! Co ty sobie...

Cichy wylazł na pokład. Skacząc na jednej nodze, próbował wciągnąć portki. Wyłoniła się z otwartych drzwi kajuty i wpadła nań całym ciężarem. Kitar gapił się z niedowierzaniem, ale poza tym zupełnie spokojnie. Powalony na pokład, zaplątany w portki oficer był tłuczony dzbankiem po rękach, którymi osłaniał łeb. Nie do końca osłonił; rozległ się taki dźwięk, jakby — tak przynajmniej pomyślał Kitar — cyna zderzyła się z czymś pustym. Z wrzasków Ridi niezbitnie wynikało, że jej zastępcą na „Trupie” jest już ktoś inny; ktokolwiek, bo na pewno nie zabity dzbankiem Mevev.

Z zakamarków okrętu zaczynała wylazić załoga. Rechootliwie, porannie, przyjaźnie i pogodnie dzielono się uwagami, zbierano w grupki. Kiwano głowami i pogadywano. Cynowy dzbanek nie skupiał nawet połowy tej uwagi, co dwa inne, przyczepione do Ridi na stałe. Rzeczywiście skakały jak boje na ostrej fali... Ridi miała w żałodze poetę. Kitar popatrzył z uznaniem na tego od „dwóch bojek”, lecz poza tym miał naprawdę dosyć. Wiele, wiele spraw powinien gruntownie przemyśleć od początku — już to widział. Bardzo wyraźnie.

Mógł przemyśleć je w drodze do Rollayny. Sayl umarł; Mevev umierał; Ślepa Ridi grała w trzy dzbanki. Nie było z kim porozmawiać.

Przełazł przez nadburcie, zsunął się do łodzi i powiedział:

— Z powrotem na „Kołysankę”.

Gdy wrócili, z uczuciem poklepał kolumnę grotmasztu, tak mu się spodobał własny okręt. Wydał pierwsze rozkazy, bo nie było na co czekać. Powędrował na swoje ulubione miejsce pod fokmasztem; na smukłym kadłubie „Kołysanki” nie nadbudowano kaszteli, widział więc cały okręt i morze dokoła. Łomocząc piętami, chłopcy już pędzili do żagli. Dzwonił łańcuch w kluzie; opowiedział się ster. Okręt aż skrzypiał z radości, że dobiegła końca gnuśna nuda; że leciutki wiatr zaraz delikatnie pogłaszcze żagle, a woda wyżej obmyje rozpaloną w słońcu dziobnicę i ochłodzi ją. Ożywał takielunek, głośniej grały wanty i sztagi, trzeszczały brasowane reje, trzymające fason dzięki mocnym topenantom. Kitar szczerze kochał ów moment, gdy pod jego nogami budziło się wspaniałe morskie zwierzę, gotowe ponieść go przez wszystkie morza Szereru, uratować przed najszybszym wrogiem lub dać słodycz doścignięcia

każdego uciekiniera.

Pierwszy oficer już od wczoraj wiedział dokąd płyną, więc zapytał tylko spojrzeniem, czy rozkazy pozostają w mocy; dowódca odpowiedział skinieniem. Wyciągnąwszy ze swego gwizdka dwa nierównej długości tony („komenda u pierwszego!”), przekazał zastępcy prowadzenie okrętu i teraz mógł już tylko patrzeć, cieszyć się, podziwiać żaglowiec, morze, młodzieńki letni dzień i swoich wypoczętych, pełnych zapału chłopaków. Bywały chwile, gdy czuł życie całą piersią i cieszył się nim jak głupi.

Wiatr był kiepski; musieli lawirować. Poszli prawym halsem. Zbliżali się do „Zgniłego Trupa”, wkrótce mieli go minąć. Wypadałoby puknąć z działa na pożegnanie, ale jakoś nie miał ochoty. Coś tam się zdarzyło, na okręcie Ridi... Nim się dopatrzył, o co chodzi, ktoś wyskoczył do morza, rozcinając gładką lazurową toń.

Kitar wściekł się.

— Człowiek za burzą! Hee-ej! Człoo-wieek!

Majtek na oku darł się, bo miał taki obowiązek, ale Kitar mógłby teraz przyłożyć mu w pysk. Ponownie uniósł swój gwizdek, odebrał komendę pierwszemu i kazał refować dopiero co postawione żagle. Odgwizdał komendę na ster. Posmutniały okręt zamierał. Wkrótce kotwica poszła w dół.

Co jak co, ale pływać to ta dziewczyna umiała. Cięła wodę ramionami równiutko, gładko, w tempie, któremu nie sprostałby żaden z jego pływaków. Radziła sobie... jak foka. Więc może to jednak stąd? Jej przydomek? Jeśli stąd, to dałoby się przeżyć... Oparty łokciami o nadburcie, poczekał, aż podpłynęła do burty. Skupiona na „Trupie” banda radowała się i wiwatowała.

— Nie podejmiesz mnie z wody, kapitanie? — zapytała z lekką zadyszka, wyraźnie uszczęśliwiona.

Popatrzył na szeroko rozpostarte na powierzchni wody włosy, które niczym jakieś gęste wodorosty rozpląnęły się wokół niej; podumał też nad dwiema najprawdziwszymi bojami — albo raczej kulistymi pływakami — dzięki którym Piękna Ridi bez wysiłku unosiła się na wodzie. Przy takiej wyporności było chyba niepodobieństwem wepchnięcie jej pod powierzchnię — na co akurat naprawdę miał ochotę. Nie wyznawał równie surowych zasad co Brorrok, jednak widowisko na

pokładzie „Kołysanki” nie za bardzo go radowało. Ale, niby, co powinien zrobić?... Trzymać ją w wodzie czy z powagą rozkazać załodze: „Zamknąć oczy! Baba kapitana na pokładzie! Fiii-juuu — fit!” — nowy sygnał z gwizdka, jeszcze jeden do zapamiętania. Nie był błaznem.

Ale za to narzeczonym Pięknej Ridi. Co właściwie na jedno wychodziło.

Pokazał, żeby rzucić jej linę.

Bardzo zadowolona, wdrapała się na pokład i ociekając wodą, dała się pooglądać. Pociemniałe włosy gładko oblepiły jej głowę, przylgnęły do szyi i pleców — mimo cięży wydawała się szczuplejsza i wyższa niż zwykle. Wziął narzeczoną za łokieć i nie przerywając milczenia, zaprowadził do nadbudówki. Pomachała do marynarzy.

— Gniewasz się na mnie? — zapytała.

Zamknął drzwi i rzucił jej okrycie. Wciąż była zadowolona; okno nie wpuszczało wiele światła, ale jednak dość, by to stwierdzić.

Trzasnęła ją w policzek. Nie za mocno, po prostu karcąco. Od razu przestała się cieszyć.

Powoli uniosła dłoń do twarzy.

— Posłuchaj, jeszcze raz mnie uderzysz... Wymyśliłeś sobie zabawę?

— Puścisz swoje ognie, Piękna Ridi? — zapytał, zupełnie jak kiedyś, gdy kłócili się po raz pierwszy. — No to już.

— Nie puszczę, bo już nie umiem, a ty wiesz, że nie umiem.

— Więc co zrobisz?

— Nigdy już do ciebie nie przyplynę — powiedziała bardzo poważnie. — Ja... nie za każdym tak lecę. Jak głupia.

— Nie chcę cię bić.

— No to nie bij. W każdym razie, nie bez powodu.

— Co wyprawiasz? Najpierw na „Trupie”, teraz tutaj.

— Na „Trupie” obudziłeś mnie, wydarłeś gębę, byłam zła. Jestem w ciąży i mam humory. Zawsze jestem w ciąży i zawsze mam humory. Taką chciałeś i taką będziesz miał. A jak nie, to powiedz, że nie.

— Rido... — zaczął i urwał. Zaczekał przez zęby, z namysłem. — Albo nie, spróbujmy z drugiej strony. Rób, co chcesz, siostrzyczko. Może być? Rządź na swoim okręcie. Śpij z Cichym, a i z Głuchym czy innym, jeśli nie umiesz wytrzymać; przecież cię nie upilnuję, zresztą nie chcę. Każdy wie, co robi żona albo mąż, kiedy to drugie jest daleko — dodał

bardzo po armektańsku. — Ożenię się z tobą. I co? Przejdziesz na „Kołysankę”, pod moją komendę? Chyba nie. Ja pod twoją komendę też nie przejdę. Ale gdy złożymy eskadrę, dowodzić będę ja. Bo odróżniam południowy wschód od zachodu.

— No i jeśli nawet, to...

— To wtedy, do stu kurew, jak powiedziałyby umarłak Brorrok...

(Ślepa Ridi, pływająca na okręcie, który nosił nazwę „Zgniły Trup”, odpukała Brorroka w blat stołu).

— ...okazywać mi będziesz szacunek. Bo szacunek dowódcy, a do tego mężowi, się należy. Powiesz swoim konikom morskim: „Tam jest mój mąż i nie będę się teraz z wami kitłasić. On nie jest głupi i wie, co robię, ale jak mnie odwiedzi i zobaczy wymiętoszoną, to mi spuści łomot za bezczelność. I będę chodziła z siną gębą”. Tak powiesz. Jeśli zaś ten mąż mimo wszystko przyłapie cię na puszczałstwie, to powiesz: „Przepraszam, Kitarze”.

Milczała.

— Umówiliśmy się? — zapytał.

— Nie. To znaczy: nie wiem.

— A dlaczego?

— Bo jeszcze nie jesteś moim mężem — powiedziała, nadąsana.

— Wszyscy wiedzą, że narzeczoną. Któreś z nas dwojga nie utrzymało języka za zębami, bo Raladan na pewno utrzymał; to taki gaduła, jak twój Cichy.

— Ty nie utrzymałeś.

— Czasem się upijam. Może ja. Pewnie się chciałem pochwalić.

— Hm?...

— Co „hm”?

— Chwalisz się? Że jesteś moim...?

— Chwałę. Nie wstydzę się, tylko chwałę. Że będę twoim mężem, a na razie... narzeczoną to też ważny ktoś. Dogadaliśmy się, Rido?

— No dobrze — powiedziała z ociąganiem.

Chwalił się, że jest jej narzeczoną.

— Jeśli tak, to słucham. Zaczynaj zaraz.

Nie wiedziała, o co mu chodzi.

— Co mam zacząć? Coś powiedzieć?...

— Właśnie.

Myślała, aż zrozumiała. Popatrzyła na podłogę i przełknęła ślinę.

— Dobrze. Przepraszam, Kitarze...

— Nie ma sprawy, Piękna Ridi. Świetnie pływasz, nie wiedziałem. A co do reszty, może to i nieźle, że moi chłopcy zobaczyli, co właściwie biorę. Niech docenią gust kapitana.

Ucieszyła się.

— No! Tylko...

Uniósł dłonie.

— Tylko. I zupełnie wystarczy. Nie wysiądę na brzeg tutaj, bo zbyt długo kotwiczymy — zmienił temat — i tam na pewno już się roi od królewskich. Nawet Dartańczycy nie są ślepi i widzą, jakie żaglowce urządziły sobie tu kotwicowisko. Wezmę paru chłopców, zejdę na ląd dalej, znajdę jakieś konie, szybciotko będę w Rollaynie. Wolałbym morzem, ale przy tym wietrze, zanim opłynę Mały Dartan... I tak trzeba łądem. Przyzwyczaję się z powrotem do siodła, już chyba całe lata w nim nie siedziałem.

— Dlaczego właściwie Raladan potrzebuje ciebie, a nie mnie?

— Sayl ci nie powiedział? Bo zapomniał, tuman — skwitował Armektańczyk. — Zapytaj go, to ci powie.

Uzgodnili już z Saylem, co ma mówić.

— Raladan może potrzebować cię na morzu — zełgał, nawet nie mrugnawszy okiem. — Masz kotwiczyć tam, gdzie go wysadziłaś. Nie wiem, o co mu chodzi, ale Raladan ma rozum i jak mówi „Płyn!” — no to płyn. Pilnuj mojej „Kołysanki”, bo eskadra przejdzie pod twoją komendę — przykazał.

— Pewnie, że przypilnuję.

Trochę się tego bał.

— To właściwie wszystko.

— Mhm. Zabierz Sayła.

— Bo ja wiem?... — zastanowił się. — A właściwie, może i tak.

Półżywy ze strachu drugi zastępca Ridi mógł nie sprostać ciężarowi tajemnicy i wyklepać wszystko — rozsądniej było go zabrać, zwłaszcza jeśli sama to proponowała. Skurczybyk znał zresztą armektański, garyjski i dartański... Do tego był pisaty i czytaty. W jaki sposób mogła mu zaszkodzić obecność takiego pomocnika?

A tak swoją drogą: co ona im robiła oprócz tego, że tłukła

dzbankiem?... Przecież ten cały Sayl niemal popuszczał w portki, gdy tylko sobie przypomniał, że okłamał swoją kapitanę. Kitar postanowił zgłębić sekret. Jakoś delikatnie zapytać, czy Rida — dajmy na to — ma obyczaj trzebienia kłamców, kiedy smacznie śpią?... Wiedza o jej systemie kar i nagród mogła być wiedzą cenną.

— Przyda ci się? — zapytała zadowolona, że wpadła na dobry pomysł.

— Sayl? Pewnie, że tak.

Załatwił sprawę szybciej i łatwiej, niż myślał. Może cała ta poranna awantura w gruncie rzeczy mu się przysłużyła?...

— Co to?

No i tak to było z prezentami-niespodziankami... Kupił jeszcze w Talancie. Powiesił na gwoździu. Zapomniał.

— Kupiłem dla ciebie, powinny być dobre.

Zostawiła swoje okrycie i zdjęła, zawieszona za ramię na gwoździu, karkołomne obuwie, które w zabitej dechami Talancie kosztowało chyba więcej niż w Dartanie. Koturny z lekkiego drewna unosiły pięty na jakies niebotyczne wyżyny, a palce opierały się nisko. Poza koturnami nie było prawie nic, tylko paseczki przytrzymujące stopę i ramię do wiązania na łydce.

Zaczął się tłumaczyć jak chłopiec. Jak prawie każdy mężczyzna przyłapany z prezentem w ręku.

— Biegasz boso, ale... masz też piękne suknie... Pomyślałem, że czasem... Może głupio.

Zawiązała wszystko nim się obejrzał. To nie mieściło się w głowie: miała nogi długości grotmasztu. I na dodatek coś jeszcze zrobiło się z całą sylwetką: napięły się mięśnie ud, wysunęły do przodu biodra... Nawet rosnący brzusek nie przeszkadzał, bo jakoś niemal wsiąkł w całą resztę.

— Może jeśli... nauczysz się w tym chodzić... — brnął, po czym urwał, bo zrobiła kilka kroków w tył, chyba odruchowo rozglądając się za lustrem.

Nie połamała nóg. Parsknęła śmiechem.

— Że co?...

Przeplotła krok w lewo, potem znowu w tył, zeszła na kawałek odsłoniętej podłogi i niemal mimochodem zatańczyła w miejscu nabaide,

nucąc melodię, na zmianę kręcąc biodrami oraz wystukując na deskach rytm. Przypomniawszy sobie, że ta dziewczyna wychowała się w domu, do którego podsetnika straży morskiej raczej by nie wpuszczono, chyba że byłby na służbie... Właściwie nawet pamiętał, gdzie się wychowała; zapomniał tylko, co to znaczy. Świetne suknie, obuwie na takich koturnach, taniec (co prawda, raczej nie nabaida)... Czego ona mogła się nauczyć?

— Lubię suknie — powiedziała. — Naprawdę lubię, tylko że... A, co tam. Tutaj, u ciebie, zawsze będę chodziła w sukniach, chcesz? Albo tak jak teraz. Tylko po twojej kajucie, po pokładzie nie! — zastrzegła się bardzo szybko. — A te cuda... — Popatrzyła w dół. — Jak na to wpadłeś? Gdzie je wyszukałeś?... Są śliczne, lekkie i wygodne. — Zakołysała piersiami, schylając się ku rzemykom. — I niech tu na mnie czekają.

Gotów był się zenić choćby zaraz. Kupował to razem ze wszystkimi jej ciążami, Rubinami, humorami... I apetycznym Mevevem w brudnej koi. Bo, niestety, jeżeli nie zabiła go dzbankiem, on tam czekał.

Pocałowała narzeczonego — a umiała. Zabrała narzutę i wyszli na pokład. Dopiero przy samej burcie zsunęła z pleców okrycie i śmignęła do morza. Nie wynurzała się długo, bardzo długo; w przejrzystej wodzie, kilka łokci pod powierzchnią, widział kremowy kształt, częściowo skryty pod falą długich włosów, szybko i z łatwością przesywający ton.

9.

Gotah dobrze znał pałac królewski, bo przemieszkał w nim sporo czasu — ale to było kiedyś. Pamiętał puste korytarze, po których błędziło echo, wzniesione krokami samotnej regentki, do której nikt nie przychodził, nikt nie miał żadnej sprawy. Na przedmieściach zbierały się chorągwie wrogiego stronnictwa, płonęły jej prywatne dobra w głębi Puszczy Bukowej. Tonęły w błocie wojska nękanie przez imperialną Armię Wschodnią. Dogasała wojna, której wynik wydawał się wówczas przesądzony; nawet sama księżna regentka nie wierzyła już, że ją wygra.

Minęły trzy lata.

Tłumy na korytarzach przyprawiały o zawrót głowy, zaś rodowe monogramy kobiet i mężczyzn, pokornie czekających na przyjęcie przez niskiego rangą urzędnika królowej, mogły wprawić w osłupienie.

Podpierali ściany synowie największych Domów rycerskich i magnackich, gotowi przerwać w pół słowa rozmowę na widok sługi, który przychodził, rozglądał się i mówił: „A prawda, wasza godność, jeszcze czekasz, tak, tak... Pojutrze! Zechciej przyjść, panie, pojutrze”. Gdzie indziej rozpromieniona kobieta w sukni wartej tyle, co dwa świetne wierzchowce pełnej krwi, niemal biegła korytarzem, poprzedzana przez prywatnych żołnierzy ze swego pocztu. Nikogo nie słyszała ani nie widziała, bo przed chwilą wyszła z sali tronowej, tam zaś królowa wyłowiła ją z tłumu spojrzeniem i wskazała palcem jednej z Pereł, ta zaś podeszła, mówiąc niby szeptem, ale tak, że wszyscy wokół słyszeli: „Dobrze, że przyszłaś, pani; królowa gniewa się, że zapomniałaś o niej i tak długo nie odwiedzałaś... Oczekuje cię jutro przy wieczornej kąpieli”. Wyróżnienie dające możliwość zamienienia kilku słów z monarchinią; szansa przypomnienia się, podniesienia swej pozycji.

Gotah nie mógł do tego przywyknąć. Był gościem niezwykle ważnym, mającym dostęp nawet do prywatnych pokoi królowej — niemniej czuł się tam zupełnie nie na miejscu. Wszędzie się czuł nie na miejscu. Najdonioślejsze sprawy, którym poświęcał tyle wysiłku i czasu, wydawały się błahe i nieledwie śmieszne w zestawieniu z gorączkową krzątaniną panującą w domu monarchini. Z komnaty, którą mu oddano w jednym ze skrzydeł, wychodził tylko wtedy, gdy musiał.

A teraz właśnie musiał.

Prowadzący go sługa był człowiekiem wolnym, o czym świadczyła wąska biała narzuta na odzieniu, długa i obrzucona czerwoną nicią. W Dartanie, gdzie wszystko coś oznaczało, a każdy gest miał swoją wymowę, pozycja posłańca także o czymś świadczyła. Wolnego służącego nie posyłano do byle kogo; Gotah mógł czuć się wyróżniony. Postępując za przewodnikiem, zauważył z ulgą, że nie idą do parterowej części budowli, gdzie były największe tłumy. Korzystając z upiornych schodów, schodzili do piwnic wieżowego skrzydła, w którym mieszkał — o ile można było nazwać piwnicami nisko położone kondygnacje, nie odbiegające wyglądem od wszystkich innych. Może tylko trzecia, najniższa, wydawała się bardziej surowa i chłodna.

Przyjęty został zaproszony do pałacowej zbrojowni. I na zawsze już pozostało dlań zagadką, co właściwie królowa robiła w arsenale swojej gwardii, dlaczego poszła oglądać stopy zimnego żelastwa i co sprawiło,

że właśnie tam przypomniała sobie o Przyjętym, którego od kilku dni gościła pod swym dachem.

Królewska gwardia była formacją bardzo szczególną: od tych żołnierzy wymagano, by u boku monarchini występowali jako strażnicy-halabardnicy, ale mogli też zostać użyci w polu, najlepiej jako ciężka piechota strzelcza — dobrze opancerzona, wyposażona w pawężę i świetne kusze — poza tym jednak potrafili się wykazać jako średnia lub lekka jazda (choć lekka tylko w dartańskim rozumieniu). Na każdą z tych okoliczności mieli odpowiednie uzbrojenie i wyposażenie. Jeszcze cztery lata wcześniej, w Dobrym Znak, Gotah widział ćwiczenia tych żołnierzy i czasem całkiem szczerze zastanawiał się, czy wysoki żołd i zaszczytna służba przy osobie pani były wystarczającym zadośćuczynieniem za nieludzką harówkę, za tresurę, której żal byłoby poddać nawet psy.

Widać tak. Istnieli na świecie ludzie marzący o tytułach, pieniądzach, inni kochali uczty, kobiety albo władzę... Najwidoczniej byli i tacy, którzy na pytanie „Kto idzie?” chcieli odpowiadać: „Straż królowej; otwierać!” — i byli wówczas szczęśliwi.

Przyjęty, mimo że w pałacu mieszkał od kilku dni, z komendantem Ohegenedem widział się dotąd tylko raz; zdążyli wymienić zdawkowe pozdrowienia. Teraz stary wojak skwapliwie ruszył z głębi wielkiej sali i po żołniersku uściskał uczonego za ramiona, ten zaś chętnie uścisk odwzajemnił, bo mieli dla siebie dużo szacunku i powierzchowną, niemniej jednak szczerą przyjaźń.

Dokoła, ustawione pod ścianami, piętrzyły się skrzynie z bronią, należycie zabezpieczoną przed działaniem czasu, powietrza i wilgoci (tej ostatniej w ogóle tu nie było). W karnych sztykach stały granatowo-zielone pawężę i tak samo malowane tarcze jeźdźców, oparte jedna o drugą. Gotah rozejrzał się dokoła, ale nie był miłośnikiem ani znawcą oręża; za to, jak każdy mężczyzna, uważał się za wybornego znawcę kobiet — a osoba w bardzo ciężkiej, czerwono-zielonej sukni, wyjątkowo dartańskiej, prawie nieodstaniającej ciała, ozdobionej klejnotami o wartości sprzecznej ze zdrowym rozsądkiem, na pewno była kobietą. Przechadzała się wzdłuż stelaży skrzypiących pod ciężarem wojennego ekwipunku. Powitała go przyjaznym skinieniem, więc odpowiedział:

— Wasza królewska wysokość.

Od razu przeszła do rzeczy.

— Hayna wróciła. Twoja żona, wasza godność, zachowała się dokładnie tak, jak przepowiedziałeś. Nie dowiedziałam się niczego, czego już bym nie wiedziała od ciebie. Kesa prosi, bym jej przebaczyła, lecz czuje się chora i słaba, dlatego nie przyjedzie do Rollayny. Wierzy, że twoja osoba najzupełniej wystarczy, by reprezentować was oboje, i nie wątpi, że posłałam po nią tylko dlatego, że ciebie uważałam za martwego. Cóż... Ma rację.

Królowa nie była przyzwyczajona, by ktokolwiek odrzucał jej osobiste zaproszenie. Gotah ledwie zdążył to pomyśleć, a już zgadła, co sobie pomyślał.

— Oczywiście, jeśli ponowię prośbę, to Kesa uzna ją za rozkaz i niezwłocznie się tutaj stawi — wyjaśniła. — Cenię sobie jej gotowość do służenia mi radą — dorzuciła drwiąco. — Gdy już wrócisz do domu, zechciej przekazać małżonce, wasza godność, że królowa prosi ją o przebaczenie, iż zwróciła się do Przyjętej ze swymi wątpliwościami dotyczącymi Szerni.

— Wasza królewska wysokość...

— Nie, nie. Już skończyłam — powiedziała Ezena. — Twoja żona przecież ma rację, panie, co przyznałam. Ucieszyłabym się, gdyby przyjechała, ale rzeczywiście już jej nie potrzebuję, skoro ty tutaj jesteś. Rozmawiałeś z agarskim księciem, wasza godność — zagaiła. — Znasz zdanie moje i Hayny. Rozmawiałeś z księżniczką Ridaretą. Wygląda na to, że jesteś osobą, która wie najwięcej i dokona najlepszej oceny. Co powinnam zrobić, wasza godność? Proszę cię o radę.

— Czekać — powiedział Przyjęty.

— Czekać?

Tej jednej rzeczy królowa nigdy nie umiała.

— Niestety, tak, wasza wysokość. Zgadzam się z tobą, że księżę Raladan to postać nietuzinkowa, a jego słowa zasługują na uwagę. Wierzę mu. Niemniej spóźnił się ze swoim ostrzeżeniem, a propozycja, którą złożył, jest teraz bezwartościowa. Szczególnie dla... niego. Gdyby mógł doprowadzić do spotkania oszalałej, pojmanej przez twoich żołnierzy Hayny ze swą córką, dowiódłby ci czegoś. Ale Hayna obroniła się przed Rubinem i nie potrzebuje pomocy. Księżę Raladan nie wie, co zaszło na dworze, jednak czegoś zaczyna się domyślać. Nie sprowadzi

tutaj Ridarety i nie zdradzi ci, gdzie jej szukać.

— Może są sposoby, żeby zdradził?

— Ale jakie? Przemoc? — zapytał Przyjęty. — To nie jest ktoś, kto ugnie się przed pogroźkami, ty zaś, pani, nie jesteś oprawczynią, potrafiącą dręczyć wartościowego i niewinnego człowieka.

— Ezena nie jest oprawczynią — spokojnie sprostowała jej wysokość, akcentując swe imię. — Ale królowa Dartanu, którą ktoś pragnie zabić, rozumuje inaczej, wasza godność. To wielki kraj, stojący w obliczu wojny, a może kilku wojen. Bezkrólewie oznaczają dla tego kraju nieobliczalne następstwa.

Gotah zniżył głos, by go nie dosłyszał spacerujący nieopodal i przyglądający się zawartości skrzyń Ohegened.

— Nie, królowo — powiedział strofująco i zabrzmiał w tym ton „dobrego wujka”, który — bywało — pozwalał sobie kiedyś nawet na połajanki wobec młodej czarnowłosej dziewczyny, gdy wygadywała głupstwa. — Jesteś, jaka jesteś. Żadne stanowiska nie uczynią cię podłą, jeśli nie masz w duszy wrodzonej podłości. A nie masz. Nie powołuj się przede mną na swoją odpowiedzialność za Dartan.

Nie zmieniła wyrazu twarzy. Nie doczekał się potwierdzenia ani zaprzeczenia.

— Radzę czekać — powtórzył. — Jest to jednak rada nie tyle Powiernika Królowej, co Przyjętego. Opieram się na... przeczuciach? To nie jest najlepsze słowo, ale trudno mi znaleźć inne. Księżniczka Riolata Ridareta kilkakrotnie już potrafiła coś odgadnąć, przewidzieć. Omal sam nie padłem ofiarą tego daru. Czy i teraz „dowie się”, że jej przybrany ojciec i opiekun jest... hm, gościem królowej? Myślę, że na razie o tym nie wie. Ale dowie się, tak uważam. Chyba wkrótce.

— Mówisz więc, że zjawi się tutaj?

— Mam przeczucie, ale to jest przeczucie Przyjętego — podkreślił. — Naprawdę dużo wiem o Szerni, wasza wysokość, i rozumiem ją na tyle, że uznała mnie za swoją część. Nie odtrąciła nawet teraz, gdy trwa wojna, gdy treści Pasm przemieszały się, tworząc nowe jakości. Kilku Przyjętych zostało odtrąconych, ale nie Głupi Gotah. Uważam, że powinnaś nadal gościć księcia Raladana i przygotować się na przybycie jego córki.

— Pojmać ją?

— Najlepiej od razu zabić.

Zdziwiła się.

— Tak... po prostu? Żadnego „z jednej strony... ale z drugiej strony...”? Uczony Szerni, dla którego coś jest całkiem proste?

— Uczony Szerni myśli o trwałości Ferenu. Jedynie zniszczenie Riolaty, królowej Rubinów, daje pewność, że Feren przetrwa.

— A co myśli Gotah Powiernik Królowej? Nie odsunie od jej osoby wszelkich niebezpieczeństw, bo to niemożliwe. A gdybym chciała prowadzić układy z księżniczką, spróbowała jej uwierzyć? Z jak dużym to się wiąże ryzykiem?

— Nie wiem. Kesa powiedziała ci, pani, że z niewielkim. Ja twierdzę, że ze znacznym, bo wprawdzie księżniczka na pewno nie chce ci zrobić krzywdy, tym bardziej nie chce zniszczyć Ferenu, ale zarazem jest... głupia. I przez to niemal bezradna wobec nieświadomej, a jednak niesłychanie konsekwentnej siły Geerkoto. Ulegnie jej prędzej albo później i nawet nie będzie wiedziała, że uległa. Tak jak się stało teraz.

— Jednak Kesa uważa, że nie.

— To jest Przyjęta i nie wolno lekceważyć jej opinii, bo jest równoważna z moją. Ponadto, Kesa lepiej ode mnie zna Ridaretę — dorzucił uczciwie. — Boję się jednak, wasza wysokość, że przestaję rozumieć, czego sobie życzysz ode mnie? Czego ma dotyczyć moja rada? Bezpieczeństwa Ferenu, twojego bezpieczeństwa? Czegoś jeszcze?

— Rządzenie, wasza godność, nie polega na likwidowaniu każdego dostrzeżonego przeciwnika. Kto tak czyni, ten wkrótce włada pustynią, albo ma dokoła siebie samych wrogów. Rządzenie polega na obłaskawianiu przeciwników i przeciąganiu ich na swoją stronę. Książę Raladan to nie jest nikt, wasza godność. To ktoś, kogo chętnie miałabym po swojej stronie. A nie będę miała, jeśli zabiję mu córkę. Ohegened.

— Tak, wasza wysokość?

— Przypomnij mi, czego się dowiedziałaś o Agarach.

— Dwie wyspy, bardzo dobry port. Ufortyfikowany, jak żaden inny w Szererze — powiedział z żołnierską zwięzłością komendant. — Na lądzie około pół tysiąca świetnie uzbrojonych piechurów, a na wodzie siedem dużych żaglowców wojennych, obsadzonych przez drugie tyle zbrojnych. I znakomite stosunki z licznymi pirackimi okrętami. Można powiedzieć, że ze wszystkimi, jakie są.

— Coś jeszcze?

— To bardzo bogaty kraj. Jego największa słabość jest zarazem siłą: tam mieszka najwyżej kilkanaście, niechby dwadzieścia tysięcy ludzi. I to się zemści, jeśli przyjdzie wystawić silną armię albo tylko uzupełnić straty wojsk. Ale ta nieliczna ludność ma łowiska wielorybów, bez których Szerer zapomni, co to tran i fiszbin. Oprócz tego mają na Agarach liczące się kopalnie miedzi i znacznie więcej ryb, niż potrzebują. Wprawdzie sporo rzeczy muszą tam sprowadzać, ale... — Ohegened zrobił niejasny ruch dłonią. — Kiedyś okręt z ładownią pełną mąki nie był dobrym łupem dla pirata. Teraz kapitan sprzedaje to wszystko od ręki w Aheli, bo Ahela mąki potrzebuje, a chętniej ją weźmie półdarmo, niż przepłaci, sprowadzając z kontynentu. Na dodatek załoga żaglowca ledwie weźmie pieniądze za tę mąkę, zaraz je odda z powrotem w karczmach i... yy...

— Burdelach — podpowiedziała królowa.

— Wasza wysokość — zgodził się Ohegened. — Więcej wiadomości, pani, może dostarczyć Vasaneva, bo to do niej spływają raporty od wszystkich wywiadowców i szpiegów. Ja zasięgnąłem, na twój rozkaz, tylko wieści o sile zbrojnej tych wysp. O handlu, wielorybach i miedzi usłyszałem przy okazji.

— Vasaneva już mi przedłożyła bardziej szczegółowe raporty — powiedziała królowa, zwracając się do Przyjętego. — Są dokładniejsze, ale najogólniej pokrywają się z tym, co przed chwilą usłyszałaś, wasza godność. Nie od dzisiaj zerkam ku Agarom. Ale kogokolwiek zapytałam, jakie są możliwości rozpoczęcia rozmów z władcami tych wysp, ten odpowiadał mi: „żadne”. Rządząca nimi księżna próbowała zbliżyć się raczej do Wiecznego Cesarstwa. Chciała, by jej księstwo zostało uznane przez Kirlan. I nawet jej się nie dziwię. Dartańskie królestwo jest... młode.

— Widzę już, do czego zmierzasz, pani.

— No i co? I nic? — zapytała z delikatną kpina. — Pytam Powiernika Królowej, co mi się bardziej opłaca: zaryzykować własne bezpieczeństwo i zyskać sojusznika, który ma doskonałą flotę, czy też raczej uniknąć osobistego ryzyka, ale za to wplątać pozbawiony floty kraj w wojnę i jeszcze liczyć się z tym, że każdy pirat Szereru będzie miał osobiste powody do zatopienia wszystkiego, co pływa pod moją banderą? Mam zgładzić księcia i najznamienitszą przywódczynię tych ludzi? Mieć

trzydzieści żaglowców za sobą lub trzydzieści przeciwko sobie... Różnica wynosi sześćdziesiąt, wasza godność.

— To już polityka, wasza królewska wysokość — sucho powiedział Gotah. — A więc coś, czym jako lah'agar w ogóle się nie zajmuję.

— A jako historyk?

— Polityka to nie historia. Dopiero kiedyś nią będzie.

Odczekała chwilę.

— Tylko tyle?

— Co mógłbym powiedzieć jeszcze? Przecież nie chcę stanąć przeciwko twoim sojusznikom, pani.

— O, jeśli staniesz, to trudno — powiedziała. — Mędrzy Szerni mają swoje własne sprawy i jeśli w imię tych spraw zgładzą piracką księżniczkę, niechby nawet moją sojuszniczkę... Wyobrażam sobie, że to nie królowa Dartanu zyska wtedy wroga w osobie jej ojca. A mój sojusz raczej nie będzie sięgał aż tak głęboko, bym upominała się o każdego dowódcę żaglowca, jaki pływa pod banderą wspierającej mnie floty kaperskiej. Historia poucza (czy nie tak, historyku?...), że korsarz jest nim dla własnego zysku, ale i na własne ryzyko.

— Przyznaję ci słuszność, pani.

— Tak, i niemal mrozisz chłodem każdego jednego słowa.

— Bo twoje plany, królowo, uważam za krótkowzroczne. A jeśli rozpadnie się Feren?

— To znaczy, że mnie już nie będzie.

— Rozumiem. Po królowej Ezenie niechby nawet zawałił się świat.

— O, nie... Mam syna, wasza godność. Zależy mi na tym, by światu nic się nie stało. Czy na pewno po zniszczeniu Ferenu dojdzie do kataklizmu?

— Istnieje takie ryzyko. Znaczne, chociaż odległe od pewności.

— Czyli tak jak ze mną — powiedziała, odwracając się i ruszając w stronę stelaża z halabardami, jakby chciała odwinąć tłuste szmaty spowijające żeleźca i niezwłocznie uzbroić się na wojnę; przystanęła jednak i zawróciła. — Ryzykuję ja, to może zaryzykować i Szerer.

— Skoro tak twierdzisz, pani.

— Znowu zimno, lodowato — oceniła. — Jestem nieustannie karcona.

— W moich oczach zasługujesz na to — odważnie powiedział Gotah.

— Ohegened — powiedziała. — Co ty o tym sądzisz? Jesteś dowódcą mojej straży, odpowiadasz za moje bezpieczeństwo.

— Zabić ją — bez wahania odparł gwardzista. — Jeśli tylko jest to możliwe.

— Wspaniały dowódca straży, który jednak nie jest królem — oznajmiła. — Co powiedziała Hayna? Przypomnij.

— Zabić ją — powtórzył Ohegened. — A jeśli to niemożliwe, pomoc w okiełznaniu tych sił, z którymi walczy. Najlepiej jednak zabić.

— Wierna przyboczna; a cóż ona może powiedzieć?... Anessa?

— Zabić ją.

— Vasaneva?

— Zabić ją.

— Będzie żyć! — oświadczyła królowa. — Przynajmniej do czasu, aż się z nią rozmówię! Twierdzisz, mędrcze, że tu przybędzie?

— Tak uważam. Choć opieram się na przeczuciach — raz jeszcze powtórzył Gotah — a te z kolei są oparte na niepewnych przesłankach. Dotyczących „objawień” księżniczki, czy jakkolwiek nazwać jej pozyskiwaną za pośrednictwem Odrzuconych Pasm „wiedzę”.

— Pojmać księżniczkę Ridaretę — rozkazała. — Ohegened, porozumiesz się z Vasanevą i z Hayną. Zechcecie skutecznie współpracować. Żądajcie czego wam trzeba; dostaniecie wszystko. Zresztą od dawna macie.

— Tak, wasza wysokość.

— Będiesz teraz mi towarzyszył do księcia Raladana. Chcę z nim porozmawiać i nazwać kilka rzeczy po imieniu. Przyszedł w dobrej wierze, a jest teraz więźniem zamiast gościem — powiedziała, znów zwracając się do Gotaha. — Gdybyż zgodził się zaprosić córkę w moim imieniu!... Ale wiem, że się nie zgodzi. Nie mam nawet cienia dowodu na poparcie szczerości swych zamierzeń. Ma prawo podejrzewać pułapkę.

— Śmiałyby nie uwierzyć zapewnieniu królowej?

Zmierzyła rozmówcę spojrzeniem.

— Jeszcze jedna połajanka? A czym sobie zasłużyłam, wasza godność? Bawiąc się swoją Szernią, uważasz, że wolno ci, panie, wtrącać się w sprawy monarchów i królestw, zresztą: po prostu w nie swoje sprawy. Ale jeśli ja załatwiam swoje sprawy... o, to już źle! To brzydko, bo dotyczą twoich. A tymczasem to Kesa ma rację, wasza godność. Ma rację,

kiedy mówi „Dosyć już popsułam, teraz będę siedzieć w domu i koniec!”. Może powinieneś być przy niej? Powiedziała Haynie, że Gotah już nie bawi się w zbawianie świata, musi tylko zakończyć pewne sprawy. Czy rzeczywiście tak?

— Nie — przyznał. — Wyjeżdżałem z domu, chcąc je zakończyć, to prawda. Ale chyba muszę brnąć dalej.

Pokiwała głową. Nic nie powiedziała, więc zapytał:

— Dlaczego po prostu nie wypuścisz księcia, wasza wysokość? To chyba byłby dowód...

— W jego oczach? Dowód albo podstęp. Nie, wasza godność. Przede wszystkim ja też chcę coś sprawdzić. Staranniej oszacować ryzyko; przekonać się, z kim i z czym mam do czynienia... No i prowadzić negocjacje z trochę innej pozycji — zakończyła. — Gdy będę miała w rękę ich oboje... A zmanifestować dobrą wolę zawsze zdążę.

— Oby. Wiesz, co robisz, pani. Już nic nie mam do powiedzenia.

— Mimo to dziękuję ci, panie. I to naprawdę dziękuję — podkreśliła z powagą. — Drogi królowej Dartanu nie zawsze się pokrywają z drogami mędrców Szerni. Ale nawet jeśli się z tobą nie zgadzam, to i tak doceniam, że jesteś wobec mnie szczerzy i radzisz jak umiesz najlepiej. Nie wyjeżdżaj, proszę. Na pewno jeszcze nie raz zapytam o twoje zdanie.

— Tak, wasza wysokość.

— To zjedz dzisiaj ze mną obiad. W takim małym gronie jak kiedyś, w parku za domem pani Dobrego Znak. Poplotkujemy, powspominamy dawne czasy... Przyjdiesz? — zapytała, przekrzywiając głowę.

— Ciekawe, co by było, gdybym odrzekł: nie.

Parsknęła śmiechem.

— No tak — powiedziała, rozbawiona. — Rzeczywiście, ciekawe, co by było?... Ale nie mówisz „nie”?

— Mówię: dziękuję, pani. Oczywiście przyjdę.

Dotknęła diadememu na czole, bo nie była pewna, czy się nie przekrzywił od śmiechu.

— Prosto mam?... — zapytała. — Mówcie?

— Prosto, wasza królewska wysokość — powiedzieli i skłonili się, gdy wychodziła.

10.

Kitar bardzo szybko się dowiedział, jak głupio zrobił, rezygnując z morskiej podróży.

W ogóle nie znał Dartanu. A ściślej, znał miasta portowe i był o nich dobrego mniemania. Poza tym jednak wyobrażał sobie, że Dartan to kraj taki jak Armekt. Niby słyszał, że kiepskie drogi, parszywe zajazdy przydrożne... Ale cokolwiek złego o tym powiedziano, miało się nijak do rzeczywistości. Zdumiony Armektańczyk odkrywał kraj niezliczonych sprzeczności, nie uzasadnionych niczym różnic... Dlaczego obok najludniejszych i najbogatszych miast Szereru musiały istnieć najbiedniejsze, najbrudniejsze wioski, zamieszkane nie przez ludzi, a dwunożne bydło?... Dlaczego te wspaniałe miasta wypuszczały ze swoich bram drogi, które przestawały być drogami dokładnie w tym miejscu, do którego od miejskiej bramy dało się sięgnąć wzrokiem?... Dlaczego na każde pięćdziesiąt mil biegu rzeki musiał przypadać koniecznie tylko jeden most, zaś wszystkie brody były nieoznaczone?... I dlaczego — dlaczego, na wszystkie Pasma Szerni? — kolegą prześwietnego oberżysty, który umiał się porozumieć we wszystkich językach świata, znał wszystkie potrawy świata i zwyczaje każdej krainy, musiał być dziki zbój mieszkający ze świniami (no tak! tak!) w jednej izbie, a drugą, wytworną, z kurami, proponujący podróżnym?... Pierwszy prowadził gospodę przy głównej ulicy Seyenu; drugi mieszkał dziesięć mil dalej, przy tej samej właściwie ulicy, bo niejako jej przedłużeniem była droga do „Złotej” Rollayny... O co w tym wszystkim chodziło? Czy w tym kraju nikt nie podróżował?

Sayl (Dartańczyk, było nie było) wytłumaczył, że właśnie tak — czyli, właściwie, że nie. Rzeczywiście nikt nie podróżował. Kupcy nie bardzo potrzebowali przyzwoitych gospód przydrożnych, bo noclegi wypadałyby za drogo; wystarczały placówki gotowe nastarczyć spyży dla zwierząt jucznych, wierzchowych i pociągowych. Latem, a nawet jesienią i wiosną, jeśli nocleg wypadł gdzieś za miastem, całkiem wygodnie i darmo można było się przespać na wozie; trochę gorzej zimą. Ale z kolei, jeśli jedynymi gośćmi w gospodach mieli być kupcy zimą — to nie opłacało się otwierać dla nich przyzwoitej noclegowni. I kółko się zamykało. Złoty środek tego wyznaczali najwyraźniej zbóje w szopach, latem zaopatrujący zwierzęta podróżnych (bo ich samych niechętnie i

rzadko), ostatecznie służący narzędziami do naprawy wozu i podkucia konia, zimą zaś udostępniający wielką wspólną stajnię-nie-stajnię wszystkim gościom, tak dwunożnym, jak i czworonożnym.

Żaden ważny i mający pieniądze Dartańczyk donikąd nie podróżował. Może raz na rok lub parę lat, i to tylko do najbliższego miasta, by wziąć udział w jakimś uroczystym pogrzebie, albo wyrznąć tępy mieczem w turniejową zbroję przeciwnika na miejskiej arenie. Dawno, dawno — przed wiekami, przed nastaniem Wiecznego Cesarstwa — zamiast na arenę, maszerował z poczem ku ziemiom sąsiada w celu wywarcia na nim pomsty rodowej za zniewagę sprzed dwustu dwudziestu trzech lat, gdy zaś dotarł na miejsce i była brzydka pogoda, najpierw odpoczywał, żywiąc siebie i poczet na koszt gospodarza — była to przecież oczywista powinność, jaką miał śmiertelny wróg wobec wroga: zaopatrzyć go, ugościć i ogrzać, by nikt nigdy nie mógł powiedzieć, że nie po rycersku potraktowano głodnego, zmarzniętego i chorego pierdołę, który z domu zapomniał wziąć na wojnę miecz (dla takiego zaraz by się znalazł i oręż, żeby mógł walecznie z bronią w ręku oddać się do niewoli i z honorem, całymi latami, spłacać następnie okup za swoją szlachetną osobę). Słuchający tych bzdur Kitar najpierw myślał, że oficer Ridi stroi sobie żarty. Ale nie. Odczytany Sayl, choć nie był dartańskim rycerzem, to jednak wiedział, co mówi, i jeśli nawet czasem, marynarskim zwyczajem, przesadzał, to nie bardzo. Wieczne Cesarstwo zrobiło porządek z wojnami rodowymi; królowa Ezena, jak na razie, też się nie kwapiła do wskrzeszenia pradawnej tradycji, która dawno zresztą okrzepła w nowej postaci: mianowicie, wszelkie honorowe porachunki przeniesiono właśnie na słynne areny. Skoro jednak zabrakło zbrojnych wypraw ku ziemiom sąsiadów — to tym samym zabrakło jakichkolwiek powodów do ruszania się z domu gdziekolwiek. Polowanie? Do tego nie trzeba było dróg, a tym bardziej przydrożnych zajazdów.

No i jechał sobie Kitar po Dartanie, najbogatszej krainie Szereru. Droga była piaszczysta, a czasem nie było jej wcale i kapitanowi „Kołysanki” parę razy zamarzyły się przyrzady nawigacyjnie, dzięki którym mógłby określić swoją pozycję i kurs.

Wszystko źle obliczył; niczego nie przewidział. Wywodził się z narodu jeźdźców, ale zbyt długo pływał po morzach i teraz był już tylko żeglarzem, znacznie lepiej mówiącym po garyjsku niż po armektańsku.

Ruszył od razu łądem, bo przy zdychającym wietrze od dziobu, który mógł się zmienić albo nie, włókłby się wokół małodartańskiego półwyspu z szybkością kilkunastu mil na dobę — a tymczasem Sayl, pędząc do Nin Aye z Rollayny, przemierzył dwie trzecie Dartanu w ciągu kilku dni. Niestety, była to sztuka, która mogła — bo wcale nie musiała — udać się jednemu człowiekowi, ale nie pięciu ludziom. Kitar zapomniał (o ile w ogóle wiedział, bo przed laty służył przecież nie w jeździe, a morskiej piechocie), że wojskowi gońcy potrafili pokonać nawet sto mil w ciągu doby, podczas gdy zwarte oddziały łuczników konnych najwyżej trzydzieści mil, i to nie codziennie. Jeden człowiek łatwo mógł zmieniać wierzchowce, gnać niemal bez przerwy galopem, jeść, a nawet podsypiać w kulbace, i na koniec stanąć u celu ledwie żywy — prowadząc czterech towarzyszy, Kitar nijak nie mógł nigdzie dostać, od ręki, pięciu świeżych koni na zmianę. Ciężko byłoby nawet w Armekcie, a cóż dopiero Dartanie, gdzie podróże... no, wszystko wiadomo. Jeśli w końcu zebrał półdziesiątkę koni, to któryś zawsze był chabetą, a jak nie, to chociaż jakimś narowistym końskim pomyleńcem, spokojnym tylko na pierwszy rzut oka, unoszącym prześwietnego jeźdźca z dziobówki w siną dal, nim w końcu ów jeździec, zrzucony przez łeb i na łeb, mógł odpełznąć pod krzaki bzu z nadzieją, że nadjadą wkrótce towarzysze i jakoś go poskładają. Bo, niestety, Kitarowy poczet tworzyli żeglarze, nie jeźdźcy z prawdziwego zdarzenia — takich miał tylko dwóch, sam zaś był trzecim. Od biedy.

Jechali.

Patataj, patataj... Dartan to wielki kraj.

W podróży do Rollayny Kitar starzał się każdego dnia o rok. Gdzie było jego wspaniałe morskie zwierzę, które, nawet lawirując pod wiatr, mogło zrobić dwadzieścia mil?... Na dodatek, po przebyciu tych mil, nikogo nie bolałyby plecy ani zadek.

Chciał już wrócić na „Kołysankę”.

Ponieważ jednak nie miało to sensu, prowadził swój poczet dalej, aż w końcu doprowadził do celu.

Dzień był duszny i dżdżysty; właśnie znów zaczynało padać. Gdzieś w oddali wzbierała burza. Jej pomruki przybierały na sile, to znów zamierały, jakby kapryśny żywioł nie umiał podjąć decyzji, w którą stronę skierować swe podniebne cielsko. Wreszcie ruszył w kierunku

Rollayny i dotarł do Wielkiego Przedmieścia równo z piątką zdrożonych, ale nade wszystko wymęczonych nudą podróży jeźdźców. Wlokąc się (tym bardziej zaś pędząc) po gościńcach, albo i po bezdrożach, nie można było nawet pograć w kości. A co tam w kości! Nie dało się nawet normalnie pogadać, bo pięciu ludzi na koniach, pragnących się słyszeć nawzajem, musiało po prostu zdzierać gardła. Pogadywać można sobie było najwyżej z jadącym obok towarzyszem. Kitar, zazwyczaj otoczony szacunkiem podwładnych, koniec końców wyszedł na durnia. Było jasne, że jeśli kiedykolwiek jeszcze przyjdzie mu do głowy wychwalać podobny (trochę) do Dartanu Armekt, Kraj Równin, ojczyznę jeźdźców, zostanie po prostu wyśmiany. Podróżując do Rollayny, wychował sobie niewielką, ale zwartą grupkę dzielnych ludzi, którzy usłyszawszy krótkie słowo „koń” byli gotowi na oślep rzucić się do ucieczki. Pytanie: czy pozwoliłby się im wyprzedzić...? Raczej gnałby na czele. Też powoli dochodził do wniosku, że nie istnieje na świecie bardziej kapryśne, cuchnące, głupie, brzydkie, bezużyteczne, a do tego wymagające nieustannej troski i opieki zwierzę. Mgliście pamiętał, że chyba było smaczne. Ale nie zamierzał sprawdzać.

Po prostu nie mógł patrzeć na konie. Za to coraz lepiej rozumiał mądrych Dartańczyków, którzy niemal nigdy nie podróżowali.

W strugach deszczu jechali ulicą. Ochłodziło się nagle; burza rozładowała duchotę. Biegący dokądś przemoczony mieszczuch z głową okrytą kapturem peleryny omal nie wpadł im pod kopyta. Ulice były puste, ale też pogoda naprawdę nie sprzyjała zakupom, a tym bardziej jakimkolwiek spacerom; wychodził z domu tylko ten, kto musiał. Późne popołudnie okryło się istic wieczornym mrokiem, co i rusz rozcinanym bielą krzaczastych błyskawic. Ulicą rwała woda. Rozsądek nakazywał skryć się w pierwszej napotkanej gospodzie, ale Kitar zacisnął zęby i parł dalej ku Przedmieściu Kuszniaków, do którego drogę pokazywał mu Sayl. Mieli już niedaleko; Przedmieście Kuszniaków sąsiadowało z Wielkim Przedmieściem. Dowódca „Kołysanki” robiło się słabo na myśl o tym, że zlezie teraz z konia, odsapnie przy piwie w przytulnej oberży, a po przejściu burzy znowu będzie musiał się wgramolić na znienawidzone bydlę i jechać jeszcze kawałek. Chciał już dotrzeć do celu i kwita.

Znalazł dużo zrozumienia u swoich podkomendnych, którzy zgadli,

co nim powoduje.

Oberża nosiła nazwę „Wrota Skarbca”.

Niezadowolony pacholek wybiegł na deszcz i zajął się końmi. Kitar kazał dwóm żeglarzom towarzyszyć mu do stajni i zabrać sakwy juczne, bo mocować się z nimi przed progiem nie miał siły. Weszli do środka. Wielka izba była pełna ludzi; bardziej chyba zatłoczona niż zwykle, bo wygląd wielu gości wskazywał, że zajrzeli tu po prostu przypadkiem, uciekając przed deszczem, a teraz niecierpliwie czekali, aż przejdzie.

Łądowe szczury lubiły opowiadać, że marynarza łatwo poznać po sposobie chodzenia. Kitar nic o tym nie wiedział, ale za to był zupełnie pewien, że da się po tym poznać jeźdźca. Przystawiając — lewa, prawa, lewa — sztywno rozkraczone, kompletnie nieczułe nogi, przemieścił się w pobliże oberżysty i zapytał po armektańsku, czy nikt nie zostawił żadnej wiadomości dla żeglarzy; zastrzegł, że to mogło być dawno. Oberżysta zaprzeczył, nie wyrażając przy tym najmniejszego zdziwienia, iż go o coś podobnego pytają — powierzenie różnych, nawet najdziwniejszych wiadomości gospodarzom tawern, gospód i zajazdów było obyczajem powszechnym. Kitar nie pytał dwa razy, bo miał pewność, że właściciel zacnego przybytku z tą samą obojętnością powiedziałby mu: „Dla żeglarza? Zaraz, to było jakoś tak: »Bum, tarara, bum, pędzi koni tłum«. Należy się pięć groszy miedzianych”.

Nie było wiadomości i basta.

Kitar zażądał pokoju. Dostał jeden, z dwoma łózkami. Ten sam, w którym Sayl i Raladan zatrzymali się kiedyś razem. Na pięciu chłopa jeden pokój — to było zupełnie nieźle. Nie tak dobrze, jak w niektórych mijanych po drodze do Rollayny miasteczkach; znacznie, znacznie lepiej niż w sławetnych noclegowniach przydrożnych.

W pokoju przebywał kot. Obudził się i poszedł, nie czekając, aż go wyproszą — to też było zjawisko normalne. Czworonożni rozumni nie do końca pojmowali ideę stałych mieszkań. Szanowali własność, której nie mogli ukraść, więc raczej nie nocowali pod łóżkiem w niczyim domu, lecz poza tym łazili, gdzie im się podobało, i właściwie nie było na to rady. Izba stała pusta, więc kocur wyspał się w niej. Nic nie zniszczył, niczego nie zużył. Ktoś wynajął izbę — no to poszedł. Być może tylko do izby sąsiedniej, jeśli też stała pusta, a jak nie, to pewno na strych. Gdyby była ładna pogoda, to grzałby się raczej na dachu. Może łąziłby po ulicach,

czekając na płatne zlecenie. Koty chętnie imają się dorywczych zajęć, a w dużych miastach nie było lepszych od nich gońców.

Marynarz Kitara oglądał się za rozleniwionym burasem, istnym dziwowiskiem, nieledwie legendarnym — bo w Morskiej Prowincji nie było kotów w ogóle, a w drodze do Rollayny też ich widzieli niewiele. Jednak Kitar nieźle pamiętał koty z czasów dzieciństwa i młodości. Teraz przyszło mu coś do głowy, więc ledwie wszedł do izby, zaraz z powrotem wyszedł i zawołał po armektańsku:

— Zlecenie!

Tak proponowało się pracę. Można było wydrzeć gębę nawet na ulicy. Każdy tak robił i nikt się temu nie dziwił.

Kocur usłyszał i wrócił. Znał kilka słów w Kinenie („zlecenie” rozumiał na pewno), ale naprawdę kilka, co w połączeniu z niewyraźnym głosem uniemożliwiało zrozumienie go. Kitar przywołał Sayla i powiedział o co chodzi. Sayl podumał (on też trochę znał koty) i swoim czystym dartańskim krótko przedstawił sprawę. Kot odpowiedział:

— Nie.

Drugi oficer Ridi miał oto do czynienia ze słynną kocią zwięzłością.

— Nie można skrycie dostarczyć wiadomości do pałacu czy nie podejmiesz się tego? — zapytał, próbując zrozumieć, czego dotyczy odpowiedź.

— Nie i nie — odpowiedział kot.

— A... dlaczego?

Kot nie usłyszał. Nawet nie drgnęło mu ucho. Tak bywało. Przedstawiciele drugiego rozumnego gatunku nie potrafili kłamać i przed ludzką dociekliwością bronili się w tyleż skuteczny, co irytujący sposób: wielu pytań po prostu nie słyszeli. I nigdy nie było wiadomo, czy kot milczy, bo ma coś do ukrycia, czy też może temat go nie interesuje; a wreszcie — może tak sobie właśnie zazartował, bawi go nieodpowiadanie na pytania, zaś rozmówcy zwyczajnie nie lubi. Mógł nie usłyszeć nawet pytań o pogodę.

— Nie można przekazać wiadomości do pałacu — rzekł po garyjsku Sayl do Kitara.

— Zapłaćcie oberżysty — powiedział kocur i poszedł.

To też był zwyczajny sposób postępowania. Szło się do wskazanego kupca bądź oberżysty, a zresztą kogokolwiek, kładło przed owym

człowiekiem monetę i mówiło: „Przyjdzie kot, któremu tyle jestem winien”. Czasem je oszukiwano, ale rzadko. Nie opłacało się; zazwyczaj w grę wchodziły bardzo drobne sumy, a koty były mściwe, wytrwałe i nigdy niczego nie zapominały. Nawet po latach mogły poznać dłużnika, okraść go, naszkodzić, ośmieszyć. Okaleczyć albo i zabić.

Współistnienie obu gatunków układało się zazwyczaj bardzo dobrze. Koty ani myślały o wprowadzaniu do ludzkiego świata jakichkolwiek zmian. W ogóle im się nie chciało. Żyły obok, odrzucając niemal wszystko, co stanowiło o celu i sensie ludzkiego życia, przyjmowały zaś te nieliczne rzeczy, które uznawały za ciekawe lub przydatne. W Rollaynie, uchodzącej za miasto wprawdzie akceptowane, ale niezbyt przez koty lubiane, żyło ich może trzysta. Na dwieście tysięcy mieszkańców.

Stanowiły mały dodatek do ludzkiego świata, tylko tyle. Nieomal ciekawostkę. Niczym karły albo połykacze ognia. Takie... coś. Dziwaczne. Znośne. Nieszkodliwe. A czasami nawet pożyteczne. Właściwie lubiono je i szanowano. Ze wszystkimi swoimi dziwactwami wydawały się bardziej obliczalne i przewidywalne od ludzi.

Najbardziej ceniono je w wojsku. Były niezastąpionymi zwiadowcami. W legiach imperialnych każdemu kotu, który zgłosił się do służby, przyznawano z miejsca żołd dziesiętnika.

— Jeśli kot mówi, że nie można skrycie wejść do pałacu, to znaczy, że nie można — rzekł Kitar, wyciągając się na jednym z łózek. — Potrzebny byłby nietoperz.

Nie poleżał, od razu wstał. Ściągnął mokry kaftan, spódnicę, zzuł buty i został w samej koszuli. Znowu się wyciągnął jak długi. Nawet nie udawał, że odpocznie chwilę i ustąpi miejsca komuś innemu. Był dowódcą i łóżko mu przysługiwało. Podkomendni mieli drugie, więc podzielił się z nimi sprawiedliwie: pół na pół.

— Aż tak się pilnują?

— Zdaje się, że mieszka tam królowa — zauważył Kitar.

Sayl myślał już o czymś innym.

— Nie doniesie? Ten kocur? Że ktoś go pyta i chce zlecić takie rzeczy?

— A co go to obchodzi? Pierwszy raz kota widziałeś, czy co? No, chyba że jest szpiegiem królowej.

— Może jest. Podobno królowa trzyma kocicę. Nadworną złodziejkę.

— Może trzyma kocicę, a na pewno całe mnóstwo ludzi... Kot czy człowiek, każdy może być szpiclem królowej, braciszku. Mam nikogo o nic nie pytać? Nie mam czasu na niepytanie — oświadczył Kitar. — Ile to już minęło, odkąd widziałeś Raladana? Ma jakieś kłopoty, tak? Jak on ci powiedział?... „Niech Kitar myśli, aż coś wymyśli”. No to teraz słuchaj: nic nie wymyśliłem. Liczyłem, że jednak będzie tu ktoś czekał. Może sam Raladan. A jak nie, to wiadomość od niego.

Przyszli przemoczeni majtkowie z sakwami. Kitar kazał rozpakować jedzenie.

— Nie wiem, co mam robić — rzekł do Sayla i chyba naprawdę, ale to naprawdę nie wiedział, bo wojskowym zwyczajem rzadko się przyznawał przed podkomendnymi do jakichkolwiek wątpliwości. — Wymyślę i wtedy powiem. A na razie pozwalam myśleć każdemu. Krótko mówiąc: rada wojenna — zarządził.

Radzić mieli właściwie tylko on i Sayl. Majtkowie ani wiedzieli, o co właściwie chodzi, ani mieli ochotę wiedzieć. Raladan chciał czegoś od kapitana, a kapitan się zgodził. I tyle. Więc czekali, aż dowódca im powie: jechać tu, czekać tam, zabić tego, ukraść tamto, kupić to. Nad czym się tutaj zastanawiać?

Jeden zdążył już zasnąć na łóżku, drugi mościł się na podłodze. Trzeci jadł, zagapiony na ścianę. Sayl kiwał się z namysłem na zydlu. Gdy w pobliżu nie było Ridi, odzyskiwał odwagę i rozum. Kitar naprawdę był rad, że posłuchał narzeczonej i go zabrał.

Koniec końców to oficer na żaglowcu. Czyli ktoś.

Radzili dosyć długo, ale w zgodnym milczeniu.

— Na pewno ci nie mówił, ile płaci? — zapytał w końcu kapitan „Kołysanki”. — Wiem, że nie jest skąpy i na pewno wyjdę na swoje. Ale może gdybym wiedział, ile naprawdę dostanę, zacząłbym szybciej myśleć?

Sayl wzruszył ramionami.

— Nie mówił. Dałem ci ten... no. — Pokazał srebrną obrączkę.

Kitar zachnął się.

— Tego to mogę użyć, żeby uratować jego tyłek. Będę musiał się jakoś wyliczyć. Ja pytam, ile ja i moi chłopcy będziemy mieli do ręki. Bo z tobą to rozliczy się twoja kapitana.

— Pewnie — powiedział Sayl, po czym zmalął, przywiądnął i zapadł się w sobie. — Rozliczy się ze mną, oj tak.

— Co ona wam robi? — zaciekawiał się Kitar. — Oprócz tego, że stłucze czasem po łbach?

— Nic.

— To dlaczego tak się jej boicie?

Sayl popatrzył z namysłem.

— A co ty o niej w ogóle wiesz? — zapytał i Kitar trochę spoważniał, bo Sayl to naprawdę nie był głupi człowiek i opłacało się słuchać, co mówi.

„Co ty o niej wiesz”... O to samo jakiś czas temu zapytał go Raladan.

— Wyciągasz mnie na zwierzenia, braciszku?

Sayl znowu wzruszył ramionami.

— To ty pytasz. Ja ci tylko odpowiadam.

— Pytaniem?

— Tak. Nie gadaj ze mną o mojej kapitanie, a ja nie będę gadał o twojej narzeczonej. Może być? — zapytał spokojnie i Kitar trochę się zdziwił, bo Sayl wydawał mu się naprawdę niegłupi, ale przy tym... no, jakby nieco pierdołowaty. Tymczasem potrafił jasno dać do zrozumienia, że zna swoje miejsce w szeregu, ale innym także umie je pokazać.

Marynarze spali.

— Dobrze, braciszku — rzekł Kitar i usiadł na łóżku. — Przejechaliśmy razem naprawdę sporo mil... Niech ci będzie. Powiedz mi o mojej narzeczonej coś, co nie będzie zdradą żadnej tajemnicy, a co może mi się przydać. I jej też. Przychodzi ci na myśl coś takiego?

— Ożeń się z nią.

Kitar czekał.

— To wszystko?

— Po prostu się z nią ożeń i tyle.

Nic nie wyszło z męskiej rozmowy.

No i dobrze. Kitar żałował, że ją zaczął. Nikogo nie powinno obchodzić, co planują wspólnie z Ridaretą. Tak jak jego nie obchodziło, co ktoś trzeci myśli na ten temat.

*

Budowniczo królewskiego pałacu sknocili co prawda niemal wszystko, lecz zarazem o wszystkim pomyśleli. Raladan przekonał się o

tym bardzo szybko, bo jako szczególny gość dostał szczególną komnatę. Na ostatnim piętrze wschodniej wieży, po obu stronach i na samym końcu korytarza, widniało troje drzwi, które różniły się od innych, były to bowiem drzwi bardzo solidne. Za tymi drzwiami jednak znajdowały się prawdziwe, bardzo wygodne komnaty; przecież nikt nie zamierzał tutaj trzymać zwykłych więźniów. Od tego była przysadzista twierdza, wzniesiona niedaleko za Przedmieściem Czterech Jeźdźców; zresztą i tam, jak powiadano, nie wszystkie cele były takie same. Raladan rozgościł się w komnatach, które kiedyś — o czym nie wiedział — przez kilka dni służyły za mieszkanie Księciu Przedstawicielowi Cesarza w Rollaynie, gdy „zaproszony” przez nową władczynię gościł na jej dworze. Pręty w oknach miały grubość męskiego przedramienia; ściany wyglądały na wzmocnione; drzwi zamykały się tylko od zewnątrz — poza tym były to komnaty całą gębą, wygodniejsze od tych, które zamieszkiwał w swojej twierdzy. Zaraz przyzwyczaił się do niewolnicy, która wprawdzie nie była aż tak droga jak jego własne „perełki”, ale do posług nadawała się świetnie. Pomieszkawszy sobie w pałacu jakieś dwa tygodnie, Raladan znał już na pamięć widok z okien i miał przygotowane trzy sposoby ucieczki, spośród których ani jeden nie mógł być brany serio. Agarski książę uciekał już z więzień, ale teraz nie miał dwa piętra niżej całej swojej załogi, jak w Londzie przed dwoma laty, drzwi pilnowały nie jakieś ofiermy, tylko doborowi żołnierze, a portu w Rollaynie nie mogła podpalić załoga żadnego okrętu — bo, niestety, nie było portu, co najwyżej mostki na niewielkiej rzece, której nazwy nie umiał zapamiętać (wydawała się niezeglowna, a więc bezużyteczna). Raladan długo myślał, ale nie wymyślił nawet tego, co powinien zrobić Kitar, kiedy już się dowie o kłopotach przyszłego teścia. Miał nadzieję, że kapitan „Kołysanki” pogapi się na pałacowe skrzydła-wieże, odpocznie i zje po podróży, po czym ruszy w następną podróż, tym razem już prosto na Agary. Nie mógł tam znaleźć Przyjętych (skoro Gotah był tutaj, to nie było go na Agarach), ale przynajmniej oddalał się od Rollayny, gdzie mógł co najwyżej napytać sobie biedy. Nie tak to miało wyglądać.

Rodziło się zaraz pytanie: a właściwie jak?...

Gdyby tylko Kitar utrzymał Ridaretę z daleka od dartańskiej stolicy... Całą swą pomysłowość winien obrócić właśnie w tę stronę. Raladan nie marzył o niczym więcej, a zarazem miał przykrą pewność, że to może się

udawać tylko przez jakiś czas. Prędzej albo później Ridareta musiała poznać prawdę... i bał się myśleć, co wówczas zrobi. Sposoby zapobieżenia katastrofie widział tylko dwa: mógł powiesić się na prześcieradle — nie mając żadnej pewności, czy Ridareta dowie się, że zawisł, a tym samym nie ma już komu spieszyć na ratunek; mógł też poprosić królową o jeszcze jedną rozmowę i powiedzieć: „Dobrze, wasza wysokość. Sprowadzę księżniczkę tutaj, wierząc twojemu słowu, że nie wyrządzisz jej krzywdy”. Dojrzywał do tego zamiaru, bo wydawało się jasne, że jest to rozwiązanie znacznie lepsze od czekania na owoce, które wydać może samodzielna podróż Ridi do Rollayny.

Dojrzywał, dojrzywał — aż momentalnie dojrzał.

Obudzony w samym środku nocy, nie mógł rozpoznać kobiety, która została wprowadzona do jego sypialni przez służkę. Nie poznałby jej i w pełnym świetle dnia; nigdy się dotąd nie widzieli. Patrzyła nań z nieskrywaną ciekawością; on też, choć była to ciekawość nieco innego rodzaju, bo okrągłutka blondynka o najśliczniejszej twarzy, jaką widział w życiu, stawiała się przed nim niemal nago. Domowe szaty niewolnic wysokiej rangi były bardzo starannie wykonane, ale tak cienkiego białego jedwabiu nie widział jeszcze nigdy — mimo licznych bogatych haftów prześwitywało przezeń wszystko, nawet drobne szczegóły kunsztownych tatuaży na udach i brzuchu przybyłej. Rzeczywiście pulchniutka, miała jednak tak długie nogi, że nie wydawała się niezgrabna. Czy przemierzyła w tym stroju (bo że na tych nogach — nie wątpił) wszystkie pałacowe korytarze?... Nawet w środku nocy był to wyczyn brawurowy co się zowie; jakim cudem nie zgwałcili jej wartujący pod ścianami, wszyscy pałacowi strażnicy po kolei?

Zaraz dostał odpowiedź.

— Wasza wysokość — powiedziała bardzo dobrym garyjskim, gestem nakazując służce, by zapaliła więcej świec — jestem Pierwszą Perłą Domu królowej i przychodzę z jej polecenia.

Sprawa się wyjaśniła. Piękna niewolnica nie została zgwałcona dlatego, że w sprawach dotyczących tego domu miała tyle do powiedzenia, co jej pani. A możliwe, że nawet więcej... Przecież to nie królowa Ezena rządziła służbą i domownikami. Od tego miała właśnie Pierwszą Perłę, ta zaś do pomocy inne Perły.

Ze swej strony Anessa przyglądała się mężczyźnie, o którym

królowa nie umiała mówić bez przelotnego błysku w różnobarwnych oczach. Rzeczywiście, coś chyba w sobie miał, ale podobne „coś” widywała u wielu wojowników. W każdym razie u ludzi czynu. Co więc w nim było takiego niezwykłego? Rachunki tego rodzaju — dotyczące mężczyzn — Anessa przeprowadzała w pamięci, nawet nie przerywając rozmowy. Nie nastawiony wrogo człowiek czynu, nie będący jednak wasalem jej pani; ktoś, kto od królowej Dartanu niczego nie chciał, a nawet nie potrzebował. Mało tego: może i samozwańczy, ale jednak faktyczny władca, ktoś... właściwy. Nie prostak. Po drugiej stronie tego równania był błysk w oczach silnej kobiety, która z podobnymi mężczyznami niemal nigdy się nie stykała. Bo i skąd miała ich brać?

Korzystając z okazji, Ezena byłaby gotowa zjawić się tu osobiście i najchętniej w podobnym stroju... Albo chociaż nieuczesała. W nocy, u więźnia. Perła wiedziała o tym, więc z niezmaconym spokojem naraziła się na szykany, ustrzegając jednak monarchinię przed popełnieniem głupstwa. Gotowa była załatwić sprawę i obudzić królową tylko po to, by ta mogła zatwierdzić już podjęte decyzje. No i, oczywiście, wymierzyć swojej Perle zasłużoną karę. Za... fu, fu... na przykład za samowolę.

— Wasza wysokość, do gospody noszącej nazwę „Wrota Skarbca” zawitało minionego wieczoru pięciu podróżnych. Są żeglarzami. Jeśli łączy cię coś z nimi, wyjaw to. Muszę podjąć właściwą decyzję.

Miała twarz rozkapryszonej lubieżnicy — dziewczęcą i zmysłową zarazem. Wyglądała na dwadzieścia jeden lat, ale pewnie liczyła sobie więcej. Ile? Drobne usta składały propozycję pocałunku chyba nawet wtedy, gdy mówiła: „Zaraz utną ci głowę, panie”. Raladan naprawdę nie mógł się pozbierać. W odróżnieniu od Kitara nigdy nie był kobieciarzem, teraz jednak w samym środku nocy budziła go rozebrana bajkowa piękność, która przytyła bodaj jedynie po to, by w ogóle się dało z nią rozmawiać. Gdyby jeszcze figurę miała taką jak twarz, można by już tylko ją oglądać. Może jeszcze popchnąć na kobierzec i przewrócić na plecy — lecz rozmowa?...

— Czy do Rollayny nigdy nie przyjeżdżają żeglarze? — zapytał.

— Codziennie. To duże miasto. Ale jest w nim najwyżej kilkadziesiąt gospód dających noclegi podróżnym... Niektórzy z nich wyglądają podejrzanie, inni nie.

— Królowa rozkazała obserwować kilkadziesiąt gospód?

Perła westchnęła.

— Wasza wysokość, zawrzyjmy układ. Szybko załatwimy naszą sprawę, ja pobiegnę z odpowiedzią do królowej, a potem od razu wrócę i będziemy gawędzić już do rana. Po co mi to? — Lekko skubnęła biały jedwab. — Wrócę i zaraz zdejmę, bo już nie będę musiała nigdzie iść. Teraz rozmawiamy. Nie jestem królową Ezeną, mój czas nie jest moją własnością i nie mogę go trwonić bez powodu. A ty, panie, nie jesteś przecież durniem, więc potraktuj mnie przez chwilę należycie.

W Aheli, onieśmielające spojrzenie dumnej Kesy nie pozwalało zapomnieć, że rozmówczyni jest — czy też była — Perłą. Przy słodziutkiej blondynce Anessie, odwrotnie, trudno było o tym pamiętać. Ale jednak za spojrzeniem błękitnych oczu krył się rozum wart certyfikatu przyznawanego najdroższym niewolnikom Szereru. Dostała go nie tylko za urodę, wprost przeciwnie — uroda była dodatkiem.

Zobaczyła, że poskutkowało.

— Jeśli królowa zechce, by pilnowane były dla niej wszystkie gospody w Rollaynie, albo nawet w całym Dartanie, to tak będzie. Pięciu jeźdźców, bardzo zdrożonych. Żeglarze. Przypadkowo w tej gospodzie, w której jakiś czas temu widziano kogoś podobnego do waszej wysokości; gospodarz zapamiętał cię, panie, bo jednak ludzi mówiących po garyjsku podejmuje u siebie najrzadziej. Co robimy z tymi żeglarzami, wasza godność? Obserwujemy ich? Zabijamy? Bierzemy do niewoli? Podpowiedz.

Raladan pokiwał głową, bo decyzja dojrzała i należało zerwać owoc, zanim spadnie.

Wciąż pół siedział, pół leżał w łóżku, podparty na łokciu. Wolną ręką podrapał szorstką szczękę.

— Zatrzymać wszystkich, nie robiąc krzywdy. W żaden sposób nie umiem w tym pomóc — wyjaśnił. — Nie istnieje żadne hasło, nic takiego, a cokolwiek każę powtórzyć, to i tak gotowi nie uwierzyć, mogłem przecież wygadać się na mękach.

Piękna Perła zmarszczyła nos z takim wstrętem, że o mało się nie uśmiechnęła. Górna warga podjechała jej do góry, odsłaniając nieco zęby.

— Męki... Dobrze. I co dalej, wasza wysokość?

— Dowódcę przyprowadzić do mnie. To wszystko.

— Co mu polecisz? O ile to twój człowiek, oczywiście.

— Jeszcze nie wiem, Perło. Chcę, żeby sprowadził do królowej moją córkę albo... To nie takie proste — wytłumaczył. — Nawet nie wiem, gdzie ona jest, a jakakolwiek niezręczność może być przyczyną krwawej jatki. Przecież nie chcemy tego?

— O nie.

— Więc dopiero kiedy się dowiem, gdzie jest księżniczka Ridareta, kto jej towarzyszy i tak dalej... Dopiero wtedy będę umiał przedstawić jakiś plan. Na razie ich zatrzymajcie. A królowej powiedz, że zaufałem jej słowu.

— Troszeczkę z konieczności, nieprawdaż?

— Tak, ale bardziej z rozsądku.

— Nawet wierzę — przyznała i uśmiechnęła się. — Dobrze. Idę.

Jeszcze na chwilę przystanęła przy drzwiach. Obejrzała się przez ramię.

— Mam wrócić? Na pogawędki?... Mogę dotrzymać słowa.

Nie namyślał się długo.

— Jeszcze nie zasypiam, Perło. Chcesz, to wróć.

Przestąpiła z nogi na nogę, zastanowiła się.

— Chyba że królowa coś mi zleci. Raczej jednak nie zleci... Ale oberwę! — powiedziała, przykładając dłoń do mocno bijącego serca. — Jeśli tylko królowa się dowie... Ona mnie kiedyś zamorduje, mówię ci. I to może być nawet jutro, mhm.

Chyba przeszył ją dreszczyk. Drgnęły nozdrza. Przygryzła lekko wargę, trochę mocniej obróciła głowę i raz jeszcze zerknęła na łóżko, po czym kołysząc obfitymi, lecz bynajmniej nie obwisłymi pośladkami — w każdym był dołeczek na górze — opuściła komnatę. Krzyknęła ostro na służkę. Zastukały wysokie koturny tam, gdzie kończył się puszysty kobierzec. Po chwili załomotały masywne drzwi na korytarz.

11.

Ridareta miała dość rozumu, by nie kotwiczyć w tym samym miejscu, do którego dowiozła Raladana. Można tam było spuścić na wodę łódź i przewieźć na ląd dwóch mężczyzn, ale urządzenie stałego kotwicowiska to było co innego. Miała kotwiczyć niemal w samym ujściu Merewy, nad którą po obu stronach ułożyły się wcale ludne wioski?...

Poszukała lepszego miejsca i znalazła. Nawet niedaleko. Dziki las biegł wzdłuż brzegu morza na przestrzeni ładnych paru mil i prawdopodobnie tak samo rozciągał się w głąb lądu. Nigdzie nie było widać wioskowych dymów — żadnych śladów obecności człowieka.

Wysondowali dno. Mevev policzył najniższy stan wody, mający wkrótce nastąpić po pełni. Zakotwiczyli całkiem blisko brzegu, dzięki czemu wtopili się w tło.

Zdrowego rozsądku Pięknej Ridi na nic więcej już nie wystarczyło. Prawda: skierowała jeszcze w umówione miejsce dwóch ludzi, którzy mieli siedzieć tam, nie rzucając się w oczy, wyglądać posłańca od Kitara albo Raladana (może zresztą ich samych?...) i czekać, aż zmienią ich koledzy. Odbywać się to miało co dwa dni.

Załogi kotwiczących żaglowców pokiwały się na wodzie, wynudziły. Do pływania w miejscu niepotrzebny był okręt, wystarczyłaby duża tratwa. Najpierw pod Nin Aye, teraz tutaj... Kilka dni po przybyciu na miejsce zdumieni podkomendni Kitara dowiedzieli się, że bracia-marynarze ze „Zgniłego Trupa” proszą ich o pożyczenie łodzi. Oddadzą szybciutko i całą! A ponadto dorzucą baryłkę.

Do sprawnego przewiezienia na brzeg setki chłopca — a dochodził jeszcze ładunek — potrzebne były trzy łodzie.

Dowodzący „Kołysanką” oficer łódź pożyczył, ale dopilnował, by wieczorem wróciła na miejsce. Foka Ridi była dowódczynią eskadry, co jednak nie oznaczało, że może mu wydać każdy rozkaz. Na szczęście niczego nie rozkazała; jak najserdeczniej zaprosiła tylko jego chłopców, by dołączyli do jej własnych na brzegu.

Odmówił. Bardzo uprzejmie.

Była w końcu dziewczyną kapitana.

Na brzegu budowano miasteczko.

Marynarze ze „Zgniłego Trupa” wyszukali strumyczek i opanowali piękną polanę, oddaloną sto, najwyżej dwieście kroków od brzegu — widać z niej było prześwitujące między drzewami morze. Rąbali drzewa, budowali szałas, z których dwa największe zaraz nazwano tawernami. Ułożono tam kawałki pni do siedzenia, spiętrzone oplątane łańcuchem beczułki (by nikomu w nocy nie przyszło do głowy odtoczenie jednej gdzieś w zarośla), mianowano kolejnych szynkarzy — bo ważne to stanowisko przestawało mieć sens, gdy szynkarz nie mógł ustać na

nogach, a tym bardziej napełniać kubków; zamiast tego chciał rzygać do beczki. Uszczęśliwione dziewczuchy okrętowe poubierały się w stare poniszczone suknie otrzymane od kapitany — były to szaty wytworne, odpowiednie do pracy w otwartych właśnie znakomitych gospodach, które jednak mocno ucierpiały podczas trzech kolejnych bójek wszczętych przez nowe właścicielki; każda chciała mieć te najpiękniejsze, skutkiem czego nie miała żadna, bo z kosztownych tkanin zostały tylko szmaty przydatne — tak jak pakuły — do uszczelniania kadłuba, ale nie nadające się do niczego więcej. No i dobrze, przynajmniej było sprawiedliwie. Obóz piękniał i potężniał z dnia na dzień. W mgnieniu oka, wczesnym rankiem drugiego dnia, wykopano nawet specjalne doły, nad którymi każdy mógł przysiąc na drągu; było to konieczne, bo po lesie już nie dało się chodzić. W koryto strumyka wkopano pustą baryłkę, którą szybko wypełniła woda. Radośnie, ale bardzo pieczołowicie przybito do palika ułamany kawałek deski, na którym starannie wyrysowano sikającego siusiaka obcinanego nożem; ostrzeżenie umieszczono przy strumyku. Życie w głuszy spодobało się wszystkim — stanowiło nie lada odmianę. Żaglowiec, port, tawerny, targowisko miejskie, zaułki z dziewczętami — taki oto pięciokąt wyznaczał codzienne marynarskie życie. Miesiąc po miesiącu, rok po roku. Bardzo wielu chłopców ze „Zgniłego Trupa” po raz pierwszy przemieszkało parę dni w dzikim lesie. I to było coś wspaniałego.

Mevev porozmawiał z Nellsem. Podzielili zabijaków z Gardy na trzy zmieniające się grupy, z których jedna zawsze obsadzała wartownicze placówki, wystawione w lesie tak na wszelki wypadek, druga pilnowała porządku w obozie, trzecia zaś chłapała ze wszystkimi, bo nie było innej możliwości. Bunt Gardy groził skutkami nieobliczalnymi; okrętowi gwardziści umieli sobie odpuścić — i wynagrodzić później — jednodniową pijatykę na pokładzie, ale nie mogli łykać śliny przez pięć dni, a kto wie, może nawet i tydzień. Należało im poluzować, chociaż co jakiś czas.

Były to ostatnie roztropne zarządzenia, jakie wydano w obozie. Zabawa miała potrwać najwyżej kilka dni, ale rankiem czwartego dnia wyszło na jaw, że potrwa do chwili, aż skończy się gorzałka. Mevev, siedzący na „Trupie” ze szkieletową załogą, dowiedział się o tym, gdy na chwilę zajrzał do obozu. Miał sprawę do kapitany: mocno nabroił

marynarz, uciekając wpław w nocy na ląd. Winowajcę Mevev odnalazł, ale karę wyznaczył mu sam, bo dowódczynię ujrzał bardzo sponiewieraną. Już się nie bawiła, poszła w cug.

I w ten sposób Szczęściarz Mevev Cichy zobaczył się pośrodku półtorej setki nietrzeźwiejących drabów, których mógł może uprzejmie a wesoło poprosić, żeby srali do dołów, nie pod siebie, ale na tym jego władza się kończyła. Miał posłuch i szacunek u załogi, ale nie wtedy przecież, gdy działał w obecności, a za to wbrew woli dowódczyni. Umiał kiedyś, nie licząc się z niczym, roztrzaskać ostatnią beczkę gorzałki, jednak była to właśnie beczka ostatnia, a patrzyła nań trzeźwa załoga, niespokojna o los okrętu, który płynął w paskudne miejsce, wioząc tam marynarskie tyłki. Teraz nawet Nells ze swoją Gardą — także już cokolwiek rozpapraną — mógł najwyżej wtargnąć między dwie biorące się do noży grupki, ale tylko tyle. Gdyby zechciał zaszpunktować beczki z wodą, doszłoby do masakry. Garda porąbałaby pewnie większość rozwścieczonych pijaków, ale po wygaśnięciu boju na brzegu zostaliby najwyżej Mevev, Nells... i naprawdę nie wiadomo czy ktoś jeszcze. Było jasne, że załoga nie przestanie pić, aż beczki kompletnie wyschną. Zwłaszcza że majtków wspierały autorytet, powaga i znaczenie kogoś naprawdę ważnego. Kapitan.

Mevev obudził ją jak najdelikatniej, przemówił do rozsądku, pytał i odpowiadał. Kiwała głową, rozumiała wszystko, przyznała mu sporo racji, po czym poszła się napić, żeby jeszcze raz starannie przemyśleć, co powiedział. Chciał ją odholować, ale całkiem na poważnie dostał w gębę. Ostrzegawczo. Mogła zaraz poprawić nożem.

Koniec końców, trochę ją już znał. Wolno mu było wiele, ale, niestety, nie zawsze.

Cichy wrócił na okręt, potem znowu na brzeg. Próbował coś wymyślić, a miał szansę, bo jeszcze nie wszystko się rozlało. Garda wciąż pełniła służbę, mało tego: z pijacką skrupulatnością przestrzegano wacht, bo to było uzgodnione od początku i kręciło się siłą bezwładu. Co wieczór karna grupa ochlanych na zapas marynarzy włąziła do szalupy i beładnie pienila wodę wiosłami, by zmienić kilku kolegów na „Trupie”, co w końcu się udawało. Mevev wymyślił, że pijacy się nie doliczą, i chciał posłać na brzeg mniej majtków, niżli właśnie wróciło. Zamiar spełzył na niczym — doliczyli się i rozgniewali. W podobnych sprawach nie było

żartów, każdy zasłużył na taką samą zabawę, pili albo wszyscy, albo nikt! Jedna jedyna kapitana mogłaby zmienić zasady.

No, akurat.

Pierwszy oficer Ślepej Ridi zwlekał aż dwa dni, zanim z ciężkim sercem i nietęgą miną wybrał się na „Kołysankę”. Jego odpowiednik na drugim okręcie eskadry miał już jednak wieści o tym, co się święci. Po ojcowsku wyrozumiały, a zarazem po żołniersku surowy, pozwalał swoim żeglarzom przyłączać się do ochlaju na polanie. Kierował ich tam w nagrodę — trzeba było sobie zasłużyć — w grupkach po trzech; każdą grupkę na jeden („Tylko jeden, rozumiano? JEDEN!”) dzień. Miał więc stale obsadzony okręt, a gdyby wydarzyło się coś złego, to jakoś by odżałował trzech biedaków na brzegu. Mevev poświecił oczami, szczerze przyznał, że dupa kwas, po czym poprosił zastępcę Kitara o objęcie komendy nad eskadrą.

„Ty masz sprawny okręt, kompletną załogę i siedzisz na pokładzie” — powiedział, kiwając głową i spozierając na morze. „Ja mam pod komendą nawet nie piętnastu. Na pokładzie jestem, chyba że mnie nie ma. Jakby co, to rób, co uważasz. Moim na pokładzie powiem, że mają słuchać twoich komend. I sygnałów. Nawet, jak mnie nie będzie”.

Wynikało z tego, że gdyby — powiedzmy — trzeba było wiać z kotwiczowiska, to „Trup” grzecznie się położy w śladzie torowym karaweli i zostawi na brzegu nieprzytomną kapitanę w otoczeniu nieprzytomnej załogi. Było to w końcu i tak lepsze niż spoczynek na dnie za sprawą jakiejś zabłąkanej eskadry królewskich lub cesarskich. „Kołysanka” nie mogła obronić „Zgniłego Trupa” ze szkieletową załogą na pokładzie. A błyskawiczne przewiezienie szalupami na okręt stu czterdziestu pijaków, było opowieścią pasującą w sam raz do innej — mianowicie tej o żelaznym wilku. Znacznie mądrzej było odciągnąć wroga od bezbronnych towarzyszy na brzegu.

Na szczęście, na żadne takie kłopoty na razie się nie zносиło. Mądra Ridi wybrała naprawdę dobre miejsce: w płytkim, ale obszernym łuku zataczanym przez dartańskie wybrzeże (trudno było to nazwać zatoką), na tle lasu, dwa żaglowce z nagimi masztami były niewidoczne. Codziennie oglądali jakiś statek żeglugi przybrzeżnej, płynący z jednego małego dartańskiego portu do drugiego, ale statki te ścinały łuk, płynęły po jego cięciwie i były wystarczająco daleko, by nie dostrzec „Kołysanki”

i „Trupa”. Przynajmniej ich dowódcy mieli taką nadzieję, popartą doświadczonym marynarskim okiem.

Każdego dnia wczesnym rankiem Mevev zostawiał niedowodzony okręt i kazał się wieźć na brzeg z nadzieją, że w burdelu pod gołym niebem coś się wreszcie zmieniło. Zapas trunku był jeszcze spory, ale spożywano go nierówno, coraz bardziej nierówno i trudno było dokonać dokładnych obrachunków. Kilkudniowe przelotne deszcze, uwiecznione krótką letnią burzą (okręty wyszły bez szwanku, bardzo pewnie trzymając się dna) skwasiły trochę zabawę, lecz bynajmniej jej nie przerwały. To właśnie wtedy wódki zaczęło ubywać nieco szybciej. Było chłodniej — więc każdy mógł wypić więcej, zanim go rozebrało. Było mokro — każdy chciał się zabezpieczyć przed choróbskiem. Burza przeszła, znów przygrzało słońce. Parowała ściółka leśna, mech, szyszeczki, igiełki, rozmyte przez deszcz rzygowiny oraz kupska w krzakach. Muchy nie brzęczały, a huczały. Buczały. Po deszczu zjawiono się sporo komarów.

Na komary, wiadomo, najlepsza rzecz — gorzałka.

Ridi potrafiła ciągnąć nawet dwa tygodnie. Przeważnie tyle. Mniej więcej. Chyba miała już z górki — ale czy na pewno? Cichy z nikim się nie założył.

*

Jedna z okrętowych dziewczyn była w ciąży i Ridi, także już solidnie nadmuchana, znalazła w niej najszczerszą przyjaciółkę, a ponadto jeszcze siostrę, matkę, ciotkę... Siedziały na ziemi, obok pniaka po ściętym drzewie. Obejmując towarzyszkę ramieniem za szyję, kapitana próbowała wytłumaczyć, że jest dobrze, jak jest dobrze, a źle — jak źle, a nie dobrze-źle, albo źle. Przechylała się, wyciągała daleko rękę, sięgała, aż udało jej się zaczepić palec o ucho dzbanka z winem. Ostrożnie ciągnęła go ku sobie po ziemi, uważając, by się nie przewrócił. Wciąż trzymała ramieniem spoconą szyję tamtej, obcierając ją niemal do krwi. Dziewucha płakała, zdradzona i nieszczęśliwa.

— Dał mi... wtedy takie... takie wstążki... — szlochała. — Mówił: będziem mieć dom... mówił... A ja już wtedy wi... wiedziała, że... ja wiesz?... Ja wiedziała... że on... To skurwysyn jeden... Ja wiedziała.

— Źle, jak dobrze, bo wtedy to wtedy źle — wyjaśniła dowódczyni. — Ja ci taki dom ku... Kupię. Wieceelki jaak... Cesz?

Dzbanek dojechał w pobliże łydki. Pełną garścią ujęła ucho i napiła się. Przyjaciółka zwierzała się dalej. Ridi w końcu puściła jej szyję, bo potrzebowała obu rąk, żeby się podeprzeć. Polazła na czworakach — i lazała, aż dotarła do drzewa. Było to jej drzewo, wybrała sobie i miała. Wygrała o nie bójkę z marynarzem. Obroniła i miała. Swoje drzewo.

Ponieważ, zdążając ku niemu, co chwila wymiotowała, więc nie przydało się na nic. Podławiła się jeszcze trochę z głową opartą o pień, ale więcej nie poszło. Mogła wracać. Tylko nie do tej larwy z wielkim bębniem. Gdziekolwiek, tylko nie do niej.

Przez jakiś czas wracała wokół drzewa. Było to jej drzewo. Bo wygrała je i miała. Już na zawsze.

Wracanie na czworakach wokół drzewa było trudne; zmyliła drogę i znalazła się na jakimś zarzyganym szlaku. Świnie. Nie miały swoich drzew i rzygały gdzie popadło.

— Świnie! — wrzasnęła, odwracając głowę. — Świnieeee!

Przewróciła się i zasnęła. Obudziła się po pewnym czasie, bo zaczął ją boleć brzuch, na którym leżał marynarz. Zakrztusiła się śmiechem i przez chwilę mu pomagała, ale kiepsko szło, bo nie mogła zaczepić stopy o stopę, nogi wciąż się zsuwały gdzieś na jego biodra. Brzuch zabolął znowu; stęknęła.

— Euh... Czeczaj... no!...

Chciała przetoczyć się razem z nim, bo gdyby była na górze, wtedy to miałyby sens. Chyba.

A gdyby tak przywiązała sobie z przodu beczkę, to też by się uwalił?! Głupiek jeden?! Z pijakami to zawsze tak! Nie popatrzy, nie pomyśli, tylko wlezie!

Przypomniała coś sobie.

— Świ... yh... świniee! Świnie!

Sapiąc i stękając, znowu próbowała zapleść nogi, ale w ogóle jej nie słuchały. Mocno objęła marynarskie plecy, palce drugiej dłoni zanurzając w przepecone włosy tuż nad karkiem. Podrapała lekko. Przestał nią potrząsać, za to przydusił całym ciężarem. Uślinił jej szyję, dyszał w samo ucho. Drugim uchem posłyszała głos Nellsa. Chyba Nellsa, w każdym razie kogoś:

— Skończyłeś?

Marynarza podrzuciło, jakby dostał kopa.

— Skończyłeś? To do góry! Dawaj do góry; mówię czy nie mówię?

Została odduszona od ziemi i zaczerpnęła powietrza. Było go tak dużo, że znowu zaczęła się śmiać.

— Stoisz? Czy nie stoisz? Dobra, bierz ją!

Las i niebo zawirowały, jakieś kształty, coś... Postawiono ją na nogi, ale trochę za szybko. Momentalnie poczuła żołądek w gardle. Był pusty, więc męczyła się, dławiała. Wstążka lepkiej śliny zwisała aż do brzucha i przylepiła się do niego. Ridi czuła, że jest prowadzona, a raczej wleczona pod ramiona. Obejmowała jakieś bycze karki. Długie, strasznie długie miała ręce... Obejmowała te karki... gdzieś. Bardzo wysoko gdzieś.

— Tutaj... dawaj, położymy ją.

Ciągle się krztusiła i dławiała. Poleciało, ale z drugiej strony. Ktoś zaklął (to chyba jednak był Nells).

— Czekaj, no... czekaj! Zesrała się, gdzie ją kładziesz? W tym? Niech już skończy, bo się cała upaprze. Kapitana!

— Mmm...

— Skończyłaś?

— Em.

— Jazda, bierzemy ją. Weź tam... dalej. Dobra, kładź.

Las znowu zakręcił się jej w głowie. Potem było miękko, cichutko... Podławiła się jeszcze chwilę i zasnęła.

Pijany (na szczęście nie w trupa) majtek poszedł dokądś krętą dróżką, znaną tylko sobie. Nells odsapnął, oparty o sosnę.

— Ridka — powiedział. — Ridka, słyszysz? Kapitana, hej!

Nie miało żadnego sensu zostawienie jej tak, jak leżała; chłopcy byli gotowi ją zamęczyć. Pochylił się i złączył rozrzucone nogi, po kolei unosząc je z ziemi. Też do... dupy. Gdzieś zgubiła spódnicę, ktoś jej zabrał koszulę; na szczęście miała chustkę na głowie i jeszcze przepaskę na oku, bo inaczej byłaby goła. Długo mogła tak pospać? Pośród z górą setki chłopca, na których przypadało raptem dwanaście dziewczuch?

Zostawił ją i wkrótce wrócił, niosąc własny pled. Miał nadzieję, że na noc znajdzie sobie inny, bo nad ranem robiło się zimno. Była zresztą szansa, że do nocy Ridi podtrzeźwieje i odda mu okrycie. Wyrzygała się całkiem zdrowo, mogło pomóc. A wywłókł ją na tyle daleko, że miała szansę wyspać się wreszcie i naprawdę wytrzeźwieć. Może nawet zupełnie. Bo od kilku dni...

Nells jeszcze nigdy w życiu nie natyrał się tak jak na tej polanie. Co i rusz miał ochotę rzucić wszystko i po prostu upić się z innymi. Ale oprócz ochoty miał oczy, trochę rozumu i widział, że to się skończy naprawdę bardzo źle. Mógł po prostu nie przeżyć; na jakim żaglowcu kochano dowódcę straży okrętowej?... Tutaj, w lesie, pośród setki pijaków, mogło się nad ranem okazać, że ma nóż brzuchu. Kto miał go przypilnować? Podkomendni z Gardy, zbudowani przykładem zalanego na sztywno dowódcy? Zaraz poszliby w jego ślady. I doigrali się tak jak on.

Podobnego ochlaju nawet sobie dotąd nie wyobrażał. Gdzie? Gdzie można było zalewać ryje dzień w dzień, budzić się z kubkiem w ręku — i od nowa? Żreć, pić, znowu żreć, tłuc się, śpiewać i posuwać dziewczuchy? W knajpie kazali płacić. Kto zasnął na stole lub pod stołem, ten budził się bez miedziaka, a jego kompani razem z nim. Popijawa na okręcie? Jeden wieczór, raz kiedyś — i to wszystko. Tu, tymczasem, był głuchy las. I cała, wydobyta z ładowni, berbelucha. Kapitana pozwoliła i bawiła się ze wszystkimi. Czego jeszcze trzeba do szczęścia?... Nells miał bardzo wrażliwą duszę (czasem płakał przy smutnych piosenkach), ale nie pozował na poetę; o bynajmniej. Teraz jednak widział się jako kotwicę ucepioną dna, trzymającą okręt ze strzaskanymi masztami, którym targał sztorm. Wystarczyło, że kotwica puści, a żaglowiec musiałby runąć, gnany wiatrem, wprost na skaliste wybrzeże.

Nells-kotwica. Jakoś jeszcze trzymał.

Tutaj wszyscy chcieli i mogli się wyróżnić, albo chociaż zapisać na śmierć. Jeden już się zapisał, a trzech — nie upiłnował — pokłuli się na dobre nożami. Prawie wszyscy już się pobili i pokłuli, pochlastane były nawet dziewczuchy, ale ci trzech... o, ci trzech to naprawdę sobie pozwolili. Jeden nie żył, dwóch kitowało.

Między drzewami było widać, jak przy „tawernie” majtek popchnął właśnie drugiego; ten nie pozostał dłużny. Ktoś się zerwał z ziemi. Wrzeszczano. Nells-kotwica ruszył, by mocniej uchwycić dno. Każdej bójce należało ukręcać łeb w zarodku, nie licząc na to, że chłopaki się wyszumią i im przejdzie. Gdyby raz — tylko raz — zaczęło tłuc się trzydziestu z czterdziestoma... Na pokładzie, pod okiem oficerów i z całą Gardą w garści, mógł uspokoić załogę. Tutaj był sam z pięcioma chłopakami.

Zagrzewani do boju marynarze tłukli się pięściami gdzie popadło. Nells podszedł i klepnął w ramię tego, który był odwrócony plecami (drugi zdążył już opuścić ręce). Majtek obejrzał się, zagapił na obojczyk Nellsa, po czym zadął głowę. Stary, ale jary dowódca Gardy uspokajająco poklepał go po pysku i wskazał palcem przeciwnika. Popchnął lekko. Z krzywymi uśmiechami na obliczach chwiejnie ruszyli ku sobie i pojednali się.

Na środku polany męczono:

Zakochali się w tej samej dziewczynie
Czterej bracia z „Białego Diamentu”.
Każdy wiózł dla niej pierścień,
Miała wybrać najpiękniejszy.
Czterej bracia z „Białego Diamentu”...
Powiedziała im „Kocham was wszystkich”.
Powiedzieli „Wrócimy do ciebie”.
A potem ruszyli na morze,
Unosząc słodkie marzenia,
Czterej bracia na „Białym Diamencie”.
Nie ujrzeli już nigdy dziewczyny
Czterej bracia z „Białego Diamentu”.
Morska woda kochała ich bardziej
I na zawsze przygarnęła do siebie,
Czterech braci z „Białego Diamentu”.
I na próżno czekała dziewczyna
Na pierścienie od czterech braci.
Nie wybrała tego jedynego,
Bo oddali je piękniejszej narzeczonej,
Czterej bracia z „Białego Diamentu”.
Jeśli kochasz dziewczyno marynarza,
To wiedz o tym, że jest poślubiony
Najpiękniejszej i zazdrosnej pani,
Z którą żadna nie może się równać.
Bo żadna inna tak długo
Na nikogo
Nie umie czekać...

Niemożliwie fałszowano, zawodzono. Mruczano. Prawie nikt nie pamiętał wszystkich słów. Jeden mylił się, cichł i mruczał, drugi w tym miejscu podejmował. Czterech braci z Białego Diamentu trudno było zaśpiewać nawet na trzeźwo, bo śpiewak musiał mieć naprawdę dobry głos i słuch; bardziej to recytowano niż śpiewano, to nie była kubrykowa ryczanka. Ale teraz wszyscy uważali, że śpiewają naprawdę pięknie — choć w rzeczywistości tylko hałasowali.

I niech tam. Dopóki tylko śpiewali, rozrzewnieni i objęci ramionami... Oby tylko nie robili nic gorszego.

Na starannie oczyszczonym skrawku mchu (obok piętrzył się stosik pozbieranych szyszek) siedział marynarz bez koszuli, oglądający piękne tatuaże, które niedawno wycięli mu kompani. Świeże rany paprały się. Uniósł spojrzenie i powiedział do przechodzącego Nellsa:

— Ja już nie mogę.

Stary Dartańczyk zatrzymał się i popatrzył na schorowanego draba, którego paskudna gęba wołała o stryczek bez sądu — szpetne było to oblicze, oj szpetne. Nawet dla kogoś, kto codziennie oglądał tępe mordy w kubryku. Skąd się ta łajza tutaj wzięła, co go przyniosło na „Trupa”?... Marynarz to on był tylko z nazwy.

Marynarz czy nie, w każdym razie rzeczywiście miał dosyć. Nie on jeden. Wbrew temu, co można by sądzić na pierwszy rzut oka, nie wszyscy na tej polanie chcieli i umieli zachlać się na śmierć.

— Idź ty na plażę, synuś, bo tu ci nie dadzą spokoju. Wieczorem zabierzesz się na „Zgniłka”.

Nells nie był młodzieniaszkiem i już swoje wiedział.

— E, nie. Obiecał zem chłopakom, że zara...

— Spierdalaj na plażę.

— Ale śmiać się będą ze mnie.

— Powiedziałem.

Chłopisko wstało i powlokło się ku morzu, z trudem skrywając ulgę.

Nells podążył w tym samym kierunku, bo chciał zajrzeć do pijaków — własnych, z Gardy. Mogli pić, ale osobno. Potem drzemka, pobudka, łby pod wodę — i do lasu na wartę, zluzować pierwszą grupę. Siedzieli na brzegu morza. Natknąwszy się po drodze na leżącą dokądś załogantkę, złapał ją i zarzucił na ramię, chociaż darła się i tłukła go po plecach. Drugą, trzeźwiejszą, już tylko zatrzymał i pokazał grupkę na plaży, widoczną między drzewami. Znacząco klepnął w tyłek na rozpęd; pisnęła z radości i pobiegła, omal się nie przewracając o korzenie. Nie każdej i nie zawsze było wolno bawić się z gwardzistami kapitany, a tymczasem... jeśli miało się u nich przody... Uradowane draby powitały nadbiegającą zgodnym chóralnym rykiem. A już szedł ich dowódca, niosąc więcej.

— Jak tam, chłopcy?

Nowy chóralny ryk.

Ridi ożyła wieczorem. Nells ucieszył się, bo przyszła prawie trzeźwa i prawie ubrana. Ale uśmiech zaraz z powrotem wsiąkł mu w gębę.

— Rano urządzimy chłopcom widowisko — powiedziała ochryple, zataczając się lekko i opierając o pień sosny. — Stłuczesz mnie... Powiem ci jak.

— Kapitana...

Ale ona już odpłynęła; roztelepało ją, i to nie od wina czy berbeluchy. Skoro Ślepą Ridi przypiliło, sprawa była załatwiona. Wiedział, że się nie dogadają. Albo raczej: owszem, dogadają, ale tylko na jeden temat.

Wyszło, że Nells-Kotwica będzie musiał jeszcze raz i jeszcze mocniej uczeplić się dna. Wytrzymać najsilniejszy atak burzy. Może ostatni?... Po zakończeniu swoich zabaw Ślepa Ridi chłała rzadko. Naprawdę rzadko. Woląta rozpamiętywać, jak było. Pytać w kółko: „Podobało im się, co? No, a wam?”. Lepić się do Meveva, Sayla, do niego... Mizdrzyć się i chichotać.

Może więc nie było tego złego, co by na dobre nie wyszło...

Rano jednak obudziła go nie Ridi, a Kitar.

*

Nells-Kotwica kręcił głową nad niesamowitą popijawą, ale siedział w tym od początku, więc dawno już stracił dystans. Natomiast Kitar przyszedł — i zobaczył. Nie zrozumiał, co w ogóle widzi. Najpierw zresztą poczuł. Stu czterdziestu chłopca (niechby i stu trzydziestu, wspartych przez parę bab) z żołądkami zepsutymi od wódy, zasmrodziło ćwierć mili lasu, ale tak, że nie dało się wytrzymać. Jakie tam doły z żerdziami? Jaki zakaz sikania do strumienia?... Pod każdym krzakiem coś było, a i na samej polanie. Kwaśny smród wymiocin i moczu przeplatał się z zaduchem męskiego potu, popsutych resztek żarcia... W lesie koczowało stado bydła, którego nikt nie pilnował. Dyscyplina? — nie istniała żadna. Zasady? — nie marnować gorzały. Pobudka? — kiedy kto chciał, a raczej mógł. Z kobietami? — gdziekolwiek i jakkolwiek, byle nie wylewać innym wódki i nie rozgniatać jedzenia.

Nawet zwierzęta we własnych legowiskach nie robiły pod siebie. Ale zwierzęta nie piły berbeluchy. Tutaj przecież nikt celowo pod nogi nie paskudził; po prostu zasnął schlany i popuścił, nie zdążył donieść, lub obudziwszy się w nocy, zabłądził po ciemku na środek polany zamiast w

krzaki... Jeśli nawet któryś podtrzeźwiał, przecknął się i sprzątnął, to wywalał ufajtaną kępę trawy albo mchu w zarośla. Portki przepłukał w morzu — i dobrze, jeżeli aż tyle. Osłupiały dowódca „Kołysanki” ujrzał w tym bajzlu kilku bohaterów — i w ogóle nie wiedział, co powiedzieć. Dwaj wysocy majtkowie z czerwonymi ślepiami, wymęczeni ale zupełnie trzeźwi, wlekli dokądś wierzgającego pomyleńca, któremu gorzała chyba rzuciła się na rozum, bo przed chwilą za pomocą sznura i gałęzi próbował zrobić sobie szubieniczkę. Obudzony Nells wymamrotał coś jak: „Kotwica, kur... No, ja!” — ale nie jechało od niego trunkiem. Nie rozbudził się do końca i dlatego wygadywał głupstwa. Zaraz wstał z ziemi; trzymał się dziarsko, prosto i Kitar bez słowa uściśnął przedramię wyciągniętej ku niemu ręki, bo stary Dartańczyk wyglądał tak, jakby chciał mu się rzucić na szyję, co groziło połamaniem gnatów. Nells wskazał kciukiem za siebie, w milczeniu przedstawiając przybyszowi leśny obóz. Dowódca „Kołysanki” nie obejrzał się, bo przed chwilą ten obóz przemierzył.

— Ile to już trwa?

— Będzie z tydzień. Gdzie tam, dwa. A może mniej...

Nells stracił poczucie czasu. Wszystkie dni były takie same.

— Co z twoją kapitaną? Nie ma jej?

— Jest.

— Jest? Ale co, chora i nie upilnowała, czy... do reszty ją...?

— Do reszty ją — uczciwie powiedział Nells. — Ale to nie jej wina. Samo jakoś wyszło.

— Nie jej wina? Samo?... Nic już nie mów! — rzekł Kitar, unosząc rękę. — Gdzie jest Cichy?

— Pilnuje „Trupa”. Tam spokój, ale wiesz, okręt to okręt — wytłumaczył Nells. — Cichy zaraz przyplynie. Co rano przyplywa, żeby sprawdzić...

— Nic już mi nie mów, braciszku — powtórzył Kitar. — Gdzie jest Ridareta?

— Nie wiem. Gadałem z nią wieczorem, ale potem żem się przespał...

— Kto pilnował wszystkiego, kiedy spałeś?

Nells pokazał palcem dryblas opartego o pień drzewa kilkadziesiąt kroków dalej. Dryblas zobaczył, że o nim mówią, więc podniósł rękę: „Jestem, czuwam!”.

Bohater, olbrzym. Nadczyłowiek.

— Nie będę zwracał ci głowy, rób swoje — powiedział Kitar. — Jak tyś to utrzymał w kupie, to ja nie wiem... Dużo trupów?

— Trzy. Patrzyło, że będą cztery, ale ten ostatni chyba się wyliże.

Trzy trupy. Tak na oko powinno być trzydzieści; Kitar wiedział, co potrafią marynarze po gorzałce. Nawet najporządniejsi. A już tacy?...

Podszedł do dryblasza pod drzewem. Po drodze machnął ręką, widząc Sayła, który szedł od przeciwnego końca polany. Drugi oficer Ridi stracił chyba ochotę do życia; mądre chłopisko w ogóle nie wiedziało, jak spojrzeć w oczy dowódcy zaprzyjaźnionego okrętu, który zaufał jego kapitanie i powierzył jej swoich ludzi.

Ale za to dwaj majtkowie, którzy sprowadzili przybyszów do obozu, już rzucili się nadrabiać zaległości. Ożywili otępiałe towarzystwo. Przy wielkim, częściowo rozwalonym szałasie, przybito do pustych beczek jakieś deski, tworząc w ten sposób stoły. Nie sprawdziły się, bo nie było na czym przy nich siedzieć, więc teraz same służyły za wysokie ławy. Na jednej z nich kołysał się w rytm pieśni szereg objętych ramionami marynarzy, na drugiej spali dwaj inni. Ktoś gdzieś szedł, ktoś obok pełzył. Ktoś skądś wracał. Przyjaciel opatrywał przyjaciela, odwijając z jego łydki przesiąknięte ropą i krwią szmaty. Obrzydliwie paprzącą się ranę polał wódką. I zawinął w te same szmaty.

Spała najwyżej połowa żeglarzy, reszta się bawiła.

Kitar — trochę od rzeczy — pomyślał sobie nagle, że coś odkrył. Tak — no właśnie tak wyglądały zniszczone ludzkie marzenia. Na pewno nie wszyscy mieli takie. Ale jednak istniała na świecie naprawdę pokaźna liczba ludzi, którzy chcieli tylko tego: pić za darmo i nie przestawać, zjeść, wytarzać się z babą. Koniec, wszystko. Zmuszeni do zarabiania na te dobra, pracowali, bywali nawet pilni i zdyscyplinowani. Stać ich było tylko na kawałeczki szczęścia. Ale gdyby darmo dostali tyle, ile sobie życzyli — to poumieraliby pijani po trzech, czterech miesiącach. W krainie spełnionych marzeń, najszczęśliwsi.

Kitar nie był filozofem, czy innym myślicielem. Sam też nie miał jakichś wyjątkowych... nadzwyczajnych potrzeb. A jednak niemal zrobiło mu się słabo. Ilu takich ludzi chodziło po Szererze? Dwieście tysięcy? Czy milion?

Psy miałyby większe potrzeby. I chyba piękniejsze marzenia.

— Gdzie jest kapitana?

Dryblas z Gardy pokazał palcem. Kitar ujrzał swoją przyszłą żonę siedzącą na podwiniętych nogach i zapatrzoną w drewnianą miskę wypełnioną wodą. Chyba oglądała swe odbicie.

— Nie idź ze mną, Sayl — powiedział do nadchodzącego towarzysza.
— Zamelduję za ciebie, że już jesteś.

Miał do przebycia najwyżej czterdzieści kroków. Gdy się zbliżył, uniosła głowę. Nie wyglądała na pijaną, ani nawet chorą po przepiciu. W pierwszej chwili myślał, że go nie poznała.

— Skąd się wzięłaś? — zapytała, ale bez żadnego zainteresowania.
— Zobacz. Ja nie mam lewego oka, a ona prawego. Jak to właściwie jest?

Popatrzył na odbicie w wodzie. Miał ochotę kopnąć tę miskę.

Zbyt wiele się ostatnio wydarzyło.

Pochwyciły go i trzymały dwa światy. Czuł się rozrywany. Wracał z wielkiej i bogatej stolicy, gdzie w prześwietnym pałacu rozmawiał z najdroższymi niewolnicami Szereru, odpowiadał na pytania mędrca Szerni... Widział nawet samą królową. Nie miał ochoty zginać karku przed nikim i nie zginał. Ale jednak wszyscy ci bogaci, mądrzy i potężni ludzie chcieli z nim rozmawiać tylko o jej wysokości Riolacie Ridarecie, księżniczce, wojownicze, a zarazem jakiejś... Przyjętej, od której zależało nie wiadomo co. Bardzo dużo. Nikt, nawet Raladan, nie powiedział mu tam: „Przywieź Ślepą Ridi”. Mówiono „zaprosić księżniczkę”, „zapewnić bezpieczeństwo”, „sprowadzić do Rollayny...

Ale kogo?

Czy półgołą dziwkę z resztkami rozdeptanej rzygowiny między palcami stóp, królującą na zapowietrzonym polanie? Jakimś cudem zakochał się w niej, ale... Zakochany czy nie zakochany, nie wiedział, jak ma „sprowadzić do Rollayny” jej książęcą wysokość w posikanych portkach; jak pospołu ze strażą pałacową „zapewnić bezpieczeństwo” wyjątkowo ważnej osobie, która gapiała się w lustro, bo odkryła w jego głębi odwrócony obraz?... Miał „zaprosić księżniczkę” — ale jak? Kopniakiem czy szarpnięciem za brudne włosy? Nie umiał spiąć tych dwóch światów. Albo ci szaleńcy w Rollaynie, a w ich gronie Raladan, o czymś nie wiedzieli, albo on czegoś nie dostrzegął.

— Raladan cię potrzebuje. Jest...

— Dobrze — przerwała. — To na razie nieważne. Dopiero po

południu... albo rano...

Teraz on jej przerwał.

— Nieważne? Co jest nieważne?

— Wszystko. Teraz muszę nakarmić sukę. — Zaśmiała się i nagle zaczęła dygotać, jakby trzęsła nią gorączka albo przenikliwe zimno.

Przeszło jej po krótkiej chwili.

— Co ci jest?

— No co?... Muszę nakarmić sukę — powtórzyła. — Pomożesz mi?...

Oderwała spojrzenie od odbicia w wodzie i uniosła ku jego twarzy.

— Ja? W czym mam ci pomóc?

Znowu zaczęła dygotać; wyglądało to jak nawroty choroby. Skuliła się, jakby coś ją bolało, a zaraz potem zaczęła się śmiać — nisko, zmysłowo, urywanie. Pod płótnem koszuli ostro zaznaczyły się szczyty stwardniałych piersi.

— Uderza... i łasi się. Grozi i obiecuje... Muszę ją nakarmić — powiedziała niewyraźnie, przesywana kolejnymi dreszczami.

Szczękały jej zęby. I znów przeszło.

— Jak miałbym ci pomóc?

Powiedziała.

Nie dał jej skończyć.

— Tyś chyba oszalała, siostrzyczko. Nie wezmę w tym udziału.

— Ale... dlaczego? — zapytała. — Przecież wiedziałeś o wszystkim. Przecież wiesz.

— Ale nie będę brał w tym udziału. Rób, co chcesz, ja płynę na „Kołysankę”, tylko najpierw dogadam się z Mevevem. Jedziemy do Rollayny czy nie?

— Jutro rano.

— Dobrze. Konie odpoczną.

— Jeśli teraz stąd pójdziesz — powiedziała cicho — to nie masz po co wracać.

Już odchodził, ale zatrzymał się. Wrócił, przykucnął i zajrzał jej w twarz. Tym razem jednak nie uniosła wzroku. Spoglądała na odbicie w wodzie.

— Oszalałaś, Rido?

— Nie. Tylko mam już dosyć słuchania, że „nie będę brał udziału” albo „trzymaj mnie od tego z daleka” — wyjaśniła spokojnie, chociaż z

nowym dreszczem, który uczynił jej słowa trochę zduszonymi. — Jeżeli z daleka... to z daleka.

Roztrześć ją na dobre. Znowu zaczęła się śmiać.

— Lepiej zostań... — rzekła, opadając na plecy, z dłonią ściśniętą między udami, trzęsąc się zarówno od śmiechu, jak i wciąż powracających dreszczy. — Jeśli teraz pójdziesz... to nie wracaj... Aa-a! — krzyknęła z bólu. — Nells!

Komendant Gardy kroczył w poprzek polany.

Oddychała głęboko, nierówno. Znowu się uspokoiła.

— Byłam pijana, nie zauważyłam... — wymamrotała bez ładu i składu, patrząc w niebo i przykładając dłoń do czoła. — Powinnam ją nakarmić już wczoraj... A teraz, jak jej nie dam, weźmie sama. Mam pozabijać swoich chłopców? Twoich?... Nikogo innego tutaj nie ma. Zrobię to po swojemu, nie będzie mną rządziła... Neells! Ehe!... — Parsknęła krótkim śmiechem, bo w tej samej chwili komendant Gardy pełną garścią chwycił ją za włosy.

— Nie waż się odejść — powiedziała do Kitara.

Nells przez krótką chwilę patrzył na dowódcę „Kołysanki”, jakby o coś pytał, przed czymś ostrzegał... A może patrzył, bo patrzył. Szarpnął nagle i powłókł wrzeszczącą kapitanę, która pochwyciła go za nadgarstki, by zmniejszyć ciężar ciągniętego po ziemi ciała. Wążący tyle co dwie Ridi Nells, nie utrudził się zbytnio, zmierzając ku środkowi polany, gdzie liczna grupa marynarzy ryczała pokładowe śpiewki.

— Widowisko od mamuśki, synkowie!

Biegli siepacze z Gardy. Dwóch, trzech, pięciu — chyba wszyscy, jacy byli w obozie. Wierzgająca i wrzeszcząca wniebogłosey, ciągnięta za włosy dziewczyna wzbudziła pewną ciekawość wśród majtków, która to ciekawość przerodziła się w zgiełkliwe ożywienie, gdy rozpoznano wleczoną.

Kitar podszedł do najbliższego drzewa, oparł się o nie i na chwilę zamknął oczy, dwoma palcami mocno ściskając nos u nasady. Potem założył ręce do tyłu i lekko kręcił głową, pocierając potylicą o szorstką korę sosny.

W półkřęgu wrzeszczących pijaków Nells postawił Ridi na nogach i od razu trzasnął w twarz z taką siłą, że runęła na kolana. Wypluła różową ślinę. Podniosła się z wysiłkiem i oberwała z drugiej strony.

Wylądowała na czworakach. Po chwili jeszcze raz próbowała wstać; trzaśnięta, niemal zagarnięta od dołu wielką łapą, upadła na plecy. Z nosa leciała jej krew. Wolno przetoczyła się na brzuch. Kręciła głową, jakby próbowała dowiedzieć się gdzie jest. Nells zabrał jednemu z gwardzistów bat i zaczął tłuc skowyczącą kobietę, ale tak, jakby chciał zabić. Uderzenia batoga przygniotły ją do ziemi. Poprzecinana koszula zabarwiła się na czerwono, wykwitły pręgi w poprzek nóg, spłynęły krwią ręce, którymi nieudolnie próbowała się osłaniać. Chciała gdzieś odpełznąć, ale zamiast tego z trudem, wstrząsana kolejnymi uderzeniami bata, stanęła na czworakach. Wygięła plecy, odchylając głowę do tyłu — i nawet daleko stojący Kitar dostrzegł wyszczerzone zęby, zalane krwią wargi i podbródek. Dysząc, gapiła się tępo nie wiadomo gdzie, w niebo albo korony drzew. Nells przestał tłuc. Nad zmieszane rechoty i pokrzykiwania majtków wzniosło się zawrodo nieprzytomnej z rozkoszy kobiety.

Ruszył do przodu na niepewnych nogach rozochocony pijak z pasem w dłoni i zamierzył się, zagrzewany rykiem towarzyszy. Najbliżej stojący gwardzista obrócił się na pięcie i wyrznął go pięścią w podbródek, ale tak, że ochlajusowi oderwało kopyta od ziemi. Poleciał do tyłu; z trudem usiadł na zadku, podpierając się jedną ręką, a drugą trzymając za szczękę. Wrzaski ucichły i tym wyraźniej było słychać chrapliwe poszczekiwania półprzytomnej Ridi, która siedząc na podwiniętych nogach, z dłonią wepchniętą w portki i ściśniętą między udami, dygotała, wykonując urywane, niedokończone skłony. Gwardzista stał nad powalonym marynarzem, celując weń palcem, ale z twarzą zupełnie spokojną; nie było tam śladu pogroźki. Podobnie jak na wielkiej gębie Nellsa, który przeszedł trzy kroki i chlasnął majtka batem, kreśląc mu pręgę na ukos przez pysk. Poprawił. Przepychając się i klnąc, uciekano od tłuczonego, bo bat Nellsa nie za bardzo wybierał. Majtek darł się. Nells kopniakiem odrzucił na bok upuszczony pas i wrócił do kapitany, która ucichła i z zapartym tchem, wciąż dygocząc, chyliła się głową ku ziemi, aż zastygła z brzuchem wtłoczonym między uda i czołem opartym o kępę trawy. Spod poszarpanej koszuli wyzierały krwawe rany na plecach. Nells zdarł resztki ubroczonej szmaty, rzucił bat gwardziście, w zamian skinieniem zażądał pałki, pochwycił ją — i wyrznął skuloną dziewczynę w nerki, ale tak, że nie było cudów — musiał odbić.

Ridareta zawyła.

Nells tłukł gdzie popadło: po piętach, plecach, nogach, po tyłku. Przestał, gdy znowu zaczęła się prężyć, odrzuciła głowę w tył i próbowała pełznąć po ziemi — tylko próbowała, bo niezborne ruchy nóg nie popychały jej do przodu. Puchła w oczach bezwładna lewa ręka; chyba była złamana. Palce drugiej zacisnęły się na wystającym korzeniu. W pełnej oczekiwania ciszy rozbrzmiewało ochrypłe sapanie. Posikała się z bólu bądź rozkoszy — pod wypiętym siedzeniem, między gramolącymi się udami urosła na szarym płótnie portek wielka mokra plama.

Nells wyrznął pałką dokładnie w to miejsce. Tłumek widzów aż stęknął.

Tylko Ridi nie wydała głosu. Przeciwnie — chrapliwe sapanie umilkło jak ucięte nożem, zamarł oddech. Podrzucona uderzeniem w krocze Foka zastygła w dziwnym półskurczu, jakby zamieniła się w kamień. Dowódca Gardy schylił się, chwycił ją od dołu za podbródek, odciągnął głowę w tył i zacisnął łapsko, zgniatając zawiasy szczęk tak, że otworzyły się usta. Wypłynęła ślina i krew. Nells gmerał paluchami w środku, jakby czegoś szukał. Dogrzebał się języka — nie był przegryziony. Puścił podbródek i wyprostował się. Głowa opadła, wypłynęło więcej krwi i śliny. Ridi powoli ukrywała twarz w kępie trawy. Zaraz potem odzyskała zdolność oddychania; charkotliwie zaczerpnęła tchu i konwulsyjnie zaczęła kopać mech, w krótkich skurczach podciągając, to znów prostując nogi. Wydawało się, że kona.

Nogi wyprężyły się, znieruchomiały. Znow na chwilę zaparło jej dech.

Nells podniósł z ziemi podartą koszulę i na wszelki wypadek wepchnął jej skłębiony skraj w usta Ridi. Ponownie wziął bat do ręki. Stękająca przez brudną szmatę, nie tyle rozplaszczona, co rozparta na ziemi brzemienna kobieta przemieniała się w pokrwawiony połec mięsa, na którym trudno było dojrzeć skrawek zdrowej i nieubroczonej skóry.

Kitar skubał korę za plecami i pocierał potylicą o pień, lekko kręcąc głową: w prawo, w lewo, w prawo...

*

Kryształowo przejrzyste niebo odsłaniało gwiazdy — wszystkie, jakie świeciły nad Szererem. Leżący pod wydumą Kitar przyglądał się

roziskrzzonej wstędze skrzyżowanej z drugą, krótszą i mniej wyraźną. Kładła się w tle tej pierwszej. Łagodnie szumiało morze. Rzadko słuchał go z brzegu, a szkoda, bo fale rozcinane stewą żaglowca syczały zupełnie inaczej. Też pięknie, ale inaczej.

Coś się stało Ridarecie. Nie wiedział co; kazała mu iść precz. Wszystkim kazała. Zostawiono ją samą w paprociach. Po południu znowu usłyszał wycie, ale tym razem nikt jej nie tłukł batem, coś sobie robiła sama. Co i dlaczego? A któż to potrafił zgadnąć...

Chyba nie chciały się goić rany. Tak jak po walce z poczem Przyjętego, kiedy zwichnięto jej rękę i ciężko zraniono w brzuch. Przeżyła śmiertelne dla każdego — tak przynajmniej słyszał — obrażenia, najpierw jednak ledwie mogła się poruszać. Z wysiłkiem i bólem, jak każdy ranny człowiek. Dopiero kilka dni później, załatwiwszy swoje sprawy z Delarą, wróciła cała i zdrowa.

Kitar leżał pod wydmą. Słuchał szumu fal, patrzył w gwiazdy i lekko przebierał palcami w kępie ostrej trawy nadmorskiej.

Dalej, za wydmami, szemrały korony drzew. Ridareta miała dobry, naprawdę dobry pomysł... Należało czasem wysadzić załogę na brzeg, kazać chłopakom zamknąć rozdarłe gęby i zwyczajnie powiedzieć: „Pomieszkamy w lesie”. Po co?

Nie wiedział po co. Chyba po nic. Było morze, ale był też las. I każdy powinien o tym wiedzieć.

Nie wiadomo po co. Chyba po nic.

Żeglarski biwak w lesie. Naprawdę dobry pomysł. W jakiś sposób... ładny. Byle tylko nie zalać go wodą.

Kitar słuchał nierównych kroków na piasku. Ktoś go musiał widzieć wieczorem; pewnie pokazano kierunek, w którym szedł, bo przywlokła się za nim. Ledwie żywa. Ostrożnie przysiadła obok i pociągała nosem, jakby popłakiwała z bólu.

— Goi się. Ale już nie samo z siebie, jak kiedyś — powiedziała i raz jeszcze pociągnęła nosem. — Powoli, tak jak u wszystkich... Jeśli ma być szybko, to muszę wziąć sukę za łeb. Wiem jak, ale nie wiem dlaczego.

Milczał.

— Kiedy ratowałam Delarę, zamieszałam suce w brzuchu. Raczej sobie... — Zaśmiała się, ale marny to był śmiech. — Strasznie boli, kiedy zmuszam ją do czegoś, ale nic innego nie wymyślę. Pełne cycki i jakaś

paciała w żołądku... Głupie to. Wstyd się przyznać do takich „cudów”, kiedyś to przynajmniej podpalałam żagle. — Znowu uśmiechnęła się z przymusem. — Ale wtedy z Delarą wyzdrowiałyśmy obie. Teraz też szybko wyzdrowieję. Zobacz, jednak warto mieć duże piersi; ty byś się sam nie nakarmił, a ja mogę!

Bardzo kiepsciutki to był żart.

— Nawet nie muszę, wcale tak nie robię — dokończyła już poważnie. — Po prostu wystarczy, że to w sobie mam. Rano będę się czuła znośnie, a pojutrze zobaczysz całkiem zdrową Ridi. Bez najmniejszej ranki i najmniejszej blizny. Ale nie wiem... ja ją chyba w ten sposób wypalam. Riolatę. Czegoś jej brakuje, chyba miała coś, a teraz nie ma... Boję się, że ją zniszczę, jakoś właśnie wypalę, a to jednak jest... moje życie. Już nie będę się krzywdziła w taki sposób. Co? Jak myślisz?... Niech boli, ale bez ran. A jeżeli z ranami, no to niech się goją powoli. Przecierpię.

Nic nie miał do powiedzenia.

— Sayl... — zaczęła niepewnie, jakby się usprawiedliwiała. — Sayl mi już wszystko opowiedział. Raladan jest mądry, jak zawsze. Jutro jeszcze nie, ale pojutrze rano będziemy mogli jechać. Na szczęście nie ma pośpiechu. Prawda? Sayl powiedział, że nie.

Z oddali doleciały porykiwania schłanych marynarzy.

— Najpierw zrobię porządek. Porozmawiam sobie z moimi chłopcami. — Jeszcze raz pociągnęła nosem. — Po południu albo wieczorem.

— Dobrze, zrób porządek.

— Co się stało?

Odchylił się bardziej i oparł plecy o łagodny stok wydmy. Pod głową czuł chłodny piasek.

— Nie tyle „co”, a „ile”. Za dużo. Po prostu za dużo się stało — odpowiedział. — Tobie nie wystarczy, że ktoś powie: rób, co chcesz. Ty sobie życzysz, siostrzyczko, żeby wszyscy to kochali. Albo chociaż podziwiali.

— Wcale nie.

— O tak.

— Przecież wiedziałeś.

— Ale nie chciałem podziwiać. Do czego ci tam byłem potrzebny?

— Żeby...

— Chciałabyś mnie oglądać takiego? Stać sobie pod drzewem i patrzeć? Chciałabyś?

— Nie. Ale to co innego. Bo ty jesteś mężczyzną, a kiedy biją silnego mężczyznę, to nie jest ciekawe, tylko smutne. Ciekawa jest walka, ale nie bicie.

— A kiedy biją kobietę?

— Jeżeli ładną, to wszystkim się podoba. Sam widziałeś! Każdy lubi bić kobietę, albo gwałcić. Tylko nie wszyscy mogą. Przecież ty też mnie bijesz. A teraz dlaczego nie chciałeś?

Nie wiedział, co na to powiedzieć, więc tylko pokręcił głową.

— Taka już jestem — dorzuciła. — Chciałam, żebyś zobaczył, jaka jestem. Właśnie ty. Mój...

Zamilkła.

— Twój „braciszek”, siostrzyczko — oznajmił z nielekkim sercem. — Chwilowo sprzymierzeniec i dowódca eskadry. Do Rollayny pojedziesz z Saylem. Pozbierajcie moich chłopców i odeślijcie tam, gdzie kiedyś wysadziłeś Raladana. Kiedy tu jechaliśmy, rozstawiłem ich co kawałek, bo chciałem mieć pewność, że nikt za nami nie jedzie. Tak na wszelki wypadek.

— Co to znaczy?... To, że „mój braciszek”?...

— Tu niedaleko jest miasteczko, Sayl wie gdzie. Weź paru swoich chłopaków, dostaniesz tam dla nich konie...

— Ale co to znaczy? To, że...

— Znaczy, że nic z tego nie będzie. Z tego, co sobie zamarzy... zaplanowaliśmy, Ridareto. To dla mnie... Jak dla mnie, za dużo. Chyba miałaś rację: dobrze, że zobaczyłem. Bo wiedziałem, ale nie rozumiałem. Teraz już rozumiem i... nie, Rido. Nie.

Przez chwilę odkrywała znaczenie słowa „nie”.

— Ale ja cię... — zaczęła zdławionym głosem, a zakończyła z płaczem: — Ja cię... Kocham. I... przepraszam, Kitarze.

Po raz pierwszy od szczenięcych czasów jemu także zachciało się płakać.

— Tu nie o to chodzi... Widzisz, Rido... Jeśli utniesz komuś rękę, to ona już nie odrośnie. Ten ktoś... ten ktoś może nawet się nie gniewać, powiedzieć: przebaczam. Można uciąć rękę nieumyślnie, nawet

przyjacielowi, w jakimś zamieszaniu, w walce. Ale ręka... Już jej nigdy nie będzie. Pewne rzeczy się zdarzają, i już.

Płakała jak dzieciak. Miał ochotę ją objąć i przytulić, ale czuł, że zaraz potem gotów narobić i nagadać głupstw.

Więc leżał i patrzył na gwiazdy, palcami zaś przesypywał piasek i przebierał w kępie ostrej trawy.

Płakała dziewczyna i szumiało morze. Morze... Tutaj nic się, na szczęście, nie zmieniło, więc przynajmniej miał dokąd wracać. Przyszło mu do głowy parę słów piosenki... bardziej zresztą wiersza niż piosenki... którą czasem podśpiewywał, wtórując sobie na lutni:

Jeśli kochasz dziewczyno marynarza,
To wiedz o tym, że jest poślubiony
Najpiękniejszej i zazdrosnej pani,
Z którą żadna nie może się równać.
Bo żadna inna tak długo
Na nikogo
Nie umie czekać...

Ale w pijackim, zapowietrzonym obozie Pięknej Ridi na pewno nikt tego nie śpiewał.

12.

Raz przybrawszy sobie przydomek, Nells-Kotwica już zeń nie zrezygnował. Każdy wiedział, że Nells jest kotwicą. Nikt go nie zapytał dlaczego, bo zmęczony, drażliwy i ponury komendant Gardy mógłby udzielić odpowiedzi pochopnej, ale za to wyczerpującej... Trzymał się dzielnie, jednak miniony dzień wyssał zeń ostatnie soki życiowe — o ile kotwica mogła mieć jakieś soki. Gdyby lepiej znał ludzką naturę, łatwo by sobie wytłumaczył, skąd ta nagła ucieczka sił. Wzięła się stąd, że zobaczył zapowiedź końca swej mordęgi. Gdy ów koniec otułały mroki odległej przyszłości, robił swoje jak koń w kieracie. Ale odkąd ujrzał Kitara, zaczął liczyć każdą chwilę. Nosiło go. Łaził. Czekał. I był gotów wszczynać bójkę, zamiast im zapobiegać.

Wszyscy siepacze z Gardy tak się zachowywali.

Odbębiono im koniec wachty wczesnym popołudniem.

Nells nie pamiętał, kiedy widział Fokę Ridi tak piękną, wystrojoną, czystą, wymalowaną... Jaką tam, psiakrew, Fokę? Jej wysokość Ridarete,

niedotykalną księżniczkę z Agarów.

Wysiadła z szalupy na brzeg — ale najpierw poczekała, aż majtkowie wyskoczą do wody i wyciągną dziób łodzi na piasek. Nie zamierzała zamoczyć skraju jasnozielonej sukni, przybranej ciemniejszymi, ale również zielonymi dodatkami. Haftowana złotą nicią szata była pozbawiona pasa, luźna, rozcięta — chyba po armektańsku; kto by tam spamiętał te mody?... Migotały dobrane do sukni złote łańcuszki i bransolety, mieniły się pierścienie. Część okrywających plecy włosów została ujęta w warkocz; wpleciono w niego ciemnozieloną wstążkę, pasującą barwą do opaski na wybitym oku. Lekko podtrzymując suknię, by się nie wlokła po piasku, księżniczka zbliżyła się do osłupiałego Nellsa i zabrała mu bat. Poszła dalej, bez słowa wyciągając rękę po drugi — gwardzista zrozumiał gest i pospiesznie odczepił zawieszane przy pasie wężydło. Bez pośpiechu, lecz zdecydowanie krocząc między drzewami, jej wysokość dotarła do skraju polany, zbierając po drodze mały orszak złożony z kolejno dołączających członków Gardy. Przemierzyła polanę, dotarła do dalszej „tawerny” i zaczęła tłuc batami gdzie popadło i kogo popadło. Nie poplątały się jej, ale lewa ręka, zrośnięta już po wczorajszym złamaniu, jednak trochę bolała. Musiał wystarczyć tylko jeden batog. Do reszty rozsypywał się otwarty szałas, od początku będący raczej połączeniem jedlinowej ścianki z daszkiem. Budzeni bolesnymi smagnięciami pijacy podrywali się z ziemi, gotowi z miejsca dobrać się do skóry sukinsyna, który sobie w ten sposób żartował, ale byli chwytani przez innych — tych mianowicie, którzy wcześniej nie spali i z otwartymi gębami przyglądali się nadchodzącej Ridi. Pośród wrzasków i jęków („Mamuśka... ale za co?! Mamuśka!”) bezładnie stłoczone stado co sił w nogach jęło zmierzać ku środkowi polany, bo to miejsce wskazała batem.

— Gdzie, dokąd? A z kim pili ci tutaj, co?

Jak najspieszniej zawrócono po kilku nieprzytomnych kamratów.

Rozpapranych grup i grupiek wszędzie było pełno, ale już się wszczął nerwowy ruch: przerywano śpiewy, kopniakami i potrząsaniem budzono schlanych kompanów. Wydzierła się pijana dziwka; dostała w papę, a gdy nie pomogło, zarobiła raz jeszcze, ale tym razem pięścią — to już było w sam raz, a nawet trochę nadto, bo ktoś musiał ją wlec albo nieść. Tak samo przyłożono kilku marynarzom, którzy nie poznaliby rodzonej

matki — a więc nie poznali i „mamuśki”. Ta zaś właśnie ruszyła ku jednej z większych gruppek.

Na łeb na szyję, przewracając się i co prędzej wstając, skupiona w owej grupce brać żeglarska pognała ku środkowi polany, podtrzymując bądź ciągnąc tych, którzy nie mogli iść sami. Ridi zatrzymała się, zmieniła kierunek i poszła ku drugiej grupce, zaraz skierowała się ku trzeciej, ale potem już tylko stała, bo wszystko, co żyło, przemieszczało się z najwyższym pośpiechem ku rosnącej gromadzie na polanie. Wkrótce skotłowana, bezładna, ale jednak w miarę zwarta banda zastygła w niepewnym oczekiwaniu.

Szumiał las. Świergoliły ptaki.

Wlokąc dwa baty, kapitana niespiesznie podeszła do grzecznych i cichych, co najwyżej z rzadka czkających i bojaźliwie wciągających smarki synków. Postępowali za nią wymęczeni, szczęśliwi, prawie piękni w swym zadowoleniu chłopcy z Gardy.

— Na plażę — powiedziała kapitana. — Zabrać tych, którzy nie mogą iść sami. Jak zostanie jeden, to wrócą po niego wszyscy.

Takich, którzy nie mogli chodzić, była mniej więcej jedna piąta. Załoga, niezbyt sprawnie, ale bardzo skwapliwie, jęła wsiąkać między drzewa, za którymi majaczyła woda. Wkrótce mrowie ludzi wyległo z lasu na piasek. Od słońca bolały oczy — jednak w lesie było więcej cienia. Leśni marynarze zdążyli już zapomnieć, jak wygląda morze, i gapili się teraz na horyzont.

Właściwie to myśleli, że jest większe.

Wlokąc swoje baty, księżniczka wyszła na skraj lasu. Nells — Kotwica wyprowadził Gardę.

— Do wody. Powiedziałam: do wody! Kto nie słyszał?

Jedni poleźli od razu, drudzy jęli spoglądać po sobie. Woda?... Były jednak granice tego, co można wyrządzić człowiekowi. Tak po prostu — woda? Do wody?...

Lewa ręka nie bolała aż tak bardzo, by w ogóle jej nie używać. Dwoma batami jednocześnie Ridi smagała piasek, majtków, dostało się nawet burcie wyciągniętej na brzeg łodzi. Wyrzuciła jeden z batów, odwróciła się i wyjęła z pochwy przy pasie Nellsa miecz. Ruszyła ku liżącym plażę falom. Majtkowie przepychali się i tłoczyli w wodzie, uciekając poza zasięg bata. Migotała iskierka nadziei, że kapitana nie

zechce zniszczyć swojej pięknej sukni i nie wtargnie do morza za załogą.

— Macie tu łuk albo kuszę? — zapytała Nellsa. — Wystarczy mi cokolwiek, co strzela.

Gwardziści popatrzyli po sobie. Ktoś tam na polanie chciał pobawić się w myśliwego...

— Wiem! — powiedział dryblas z krostowatą gębą i nieładnym nosem, od którego odcięto kiedyś czubek. — Ja wiem, kapitana! Przyniosę!

Poleciał.

Wkrótce przyniósł kuszę. Kapitana cmoknęła końce palców i przylepiła mu buziaka do policzka, cały czas spoglądając na załogę.

Banda w morzu nie wiedziała co się dzieje. Trzeźwiejący w chłodnej wodzie pijacy patrzyli z narastającym niepokojem na uszczęśliwionego całusem od pięknej kapitanicy dryblasa, który zdołał bez korby napiąć cięciwę, choć omal się przy tym nie skichał. Wzięła ciężką broń i trzymając trochę niezgrabnie, nisko przy brzuchu, powiedziała głośno:

— Na okręt. Ale już.

Plusnął w morze wypuszczony bełt; przeraźliwie wrzasnął żeglarz, którego wprawdzie tylko obryzgała trzepnięta pociskiem woda — on jednak sądził, że dostał, że nie żyje. Wielu, słysząc agonalny krzyk, pomyślało podobnie: że jest trup. Niektórzy dobrzy, a nawet tylko znośni pływacy z miejsca rzucili się w fale, bo okręt kotwiczył naprawdę niezbyt daleko, a nie było na nim kapitanicy — za to co niemiara różnych zakamarków, schowków i kryjówek. Inni jednak uderzyli w lament; przecież nie każdy umiał pływać! Pośród błagalnych wrzasków głucha kapitanicy czekała, aż kolejny z jej gwardzistów upora się z cięciwą kuszy. Kiepsko szło.

— Puste beczki, klamoty, co wam się podoba! — wrzasnęła. — Są w obozie! Ja tu chwilę postoję, potem wracam na „Trupa”! Kto nie zdąży tam przede mną, ten zostaje!

Chlapiąc, plaszcząc, ociekając, kilkadziesiąt pokracznych ziemnowodnych stworzeń wydostało się na plażę, po czym prostymi bądź krętymi drogami pognało do porzuconego, tak bezpiecznego i przytulnego jeszcze niedawno obozu. Przewracając się, walcząc o puste skrzynki i beczki, pijacy niemal wszyscy jednocześnie rozbudzili w sobie instynkt przetrwania, odkrywając żelazną stadną regułę, a było nią —

współdziałanie. Odbijano denka od baryłek — ale co komu po skrzyni, której nie dało się unieść?... Brano jedną we dwóch, te największe porywało czterech. Stoły z desek na beczkach — to były przecież wspaniałe gotowe tratwy! A służący do siedzenia, długi na sześć kroków kawałek drzewnego pnia?!... Pół setki chłopów parło z powrotem przez las, w małych grupkach wylegało na plażę i co spieszniej rzucało się w fale, bo Ridi wciąż stała z kuszą. I znowu ją uniosła, już trzymała przy brzuchu!...

— Ostatniego łamagę zatłukę! — wrzasnęła. — Stoję tu i stoję, jak...!

W pasie wody między „Zgniłym Trupem” a lądem aż roiło się od wystających nad powierzchnię głów, bryzgających wodą nóg, trzepiących ramion. Bełty z kuszy sypały się do wody jak grad, co chwila krzyczał kolejny zabity. Płynęły jakieś klamoty. Ktoś zgubił swoje denko od beczki i przyzywał na pomoc towarzyszy, krzycząc tak rozpaczliwie, jakby jego też trafił pocisk.

Ridi oczywiście nie strzelała z kuszy, zwłaszcza że miała jeden bełt, na dodatek bez grotu. Oddała nieporęczną machinę gwardziście.

W płytkiej wodzie przy samym brzegu podtapiało się kilku porzuconych pijaków, schlanych do tego stopnia, że nawet zimna kąpiel nie przywróciła im przytomności.

— Przejdę się po plaży, może mnie trochę nie być. Weźcie łódź i płyńcie za nimi, może trzeba będzie kogoś uratować... Najpierw wyholujcie na piasek tych tutaj. Niech ktoś ściągnie warty z lasu i sprawdzi krzaki wokół obozu, czy na pewno nikt nie został. Niczego nie pakujcie. Niech Cichy przyśle tu wszystkich trzeźwych, żeby zabrali potrzebne rzeczy.

Pokiwała głową i dodała:

— Wy już swoje zrobiliście siedem razy. Nie zapomnę... i przepraszam was.

Drągale pootwierali zakazane gęby.

Księżniczka powolutku poszła brzegiem morza.

Nagle jeden z drabów zawołał:

— Kapitana!

Obejrzała się. Chłopak z Gardy uniósł przedramię, wokół którego omotana była ciemnozielona chustka, przewiązana niemożliwie brudnym strzępem.

— Za co ty nas, kurde, przepraszasz?..
Odwróciła się i poszła trochę szybciej.

*

Ridareta nie zabrała ze sobą do Rollayny żadnych marynarzy; towarzyszył jej tylko Sayl. Wyruszyli rano. Mieli dobrze wypchane juki i solidny trzos. Ridi wyciągnęła ze skrzyni swoją kolczugę, wybierając na drogę strój nie tyle podróżny, co wojenny. Druciana koszulka była dość luźna i nie sprawiła kłopotów, chociaż — opięta na wydatnym brzuchu — wyglądała cokolwiek dziwnie.

Na pokładzie „Zgniłego Trupa” Szczęściarz Mevev Cichy na nowo sprawił załogę. Jedna noc nie wszystkim wystarczyła; kilku majtków bardzo źle zniosło gwałtowną odmianę trybu życia. Dwóch trzeba było związać. Potem wyłowiono i związano trzeciego, który wyskoczył za burtę, albowiem w dziobówce padł ofiarą ataku olbrzymiego kruka.

Reszta chorowała.

Cichy chodził po okręcie, doglądał załadunku kłopotów, które wciąż jeszcze zwożono z brzegu — a było tego mnóstwo. Marynarze pozabierali na ład najprzeróżniejsze rzeczy, które nie wiadomo do czego miały się tam przydać. Ponadto wróciło do ładowni kilka baryłek gorzałki, rozmaite narzędzia, pozbierano też kawałki desek, a nawet klepki z porozbijanych beczek, które jeszcze mogły do czegoś posłużyć — choćby tylko na opał pod kotłem. Odnowiono zapas słodkiej wody; tego na okręcie nigdy nie było za dużo.

Niby nic, takie tam doglądanie, krzątanie, a jednak pod wieczór Mevev był wykończony. Raz jeszcze zajrzał tu i tam, po czym przywołał Nellsa i powiedział:

— Żyjesz? Dobrze, bo ja idę pić.

— Jasne — markotnie odrzekł Dartańczyk. — To w takim razie ja dopiero jutro. A teraz wiadomo... Kotwica.

Mevev zatrzasnął się w kajucie. I pił.

I rozmyślał.

Ale wypił niedużo, a jeszcze mniej porozmyślał. Zaraz przyszedł wachtowy. Powiedział, że nadpływa łódź z „Kołysanki” i chyba siedzi w niej Kitar. Mevev patrzył, patrzył i patrzył, jakby rozważał, czy nie walnąć do gościa z dział baterii prawoburtowej.

Ale za mało wypił, żeby walnąć.

Kitar przyszedł uzgodnić dalsze współdziałanie. A raczej zapowiedzieć koniec współdziałania.

Usiedli sobie przy stole.

— Kazała ci tu czekać?

— Ta — powiedział Mevev.

— No to czekaj.

— A ty gdzie?

— Na Agary. W Aheli na pewno coś mają.

„Coś” oznaczało mniej lub bardziej sprawdzone wiadomości, sprzedawane przez różnych sprytnych osobników. Niektórzy byli godni zaufania. Żyli ze zdobywania, a następnie odstępowania pirackim kapitanom rozmaitych wieści. O ładunkach, ważnych pasażerach... Kręcić się po morzu z nadzieją na szczęśliwy traf można było zimą, niechby wiosną. Teraz jednak zbliżała się jesień. Niby jeszcze nie tak prędko, ale... Wiadomość to wiadomość.

— Przy okazji uzupełnię zapasy, dam się chłopcom trochę zabawić.
— Kitar był rozmowny.

— Ta — odparł Mevev, bo nie był.

— Przede wszystkim zawiozę na Agary trochę wieści o ich księciu Raladanie, bo mają tam teraz... bezkrólewie. Powiedział, co mam mówić, gdybym zjawił się w Aheli przed nim. Chociaż, chyba myślał...

Kitar nie dokończył.

— Że wrócisz do niego razem z Ridi?

— Tak — powiedział Kitar.

Sięgnął po leżące na stole zawiniątko, które przyniósł ze sobą.

— Oddaj to jej, kiedy wróci. Chciała mieć to u mnie, ale...

Mevev odwinął szmatę i wziął do ręki ładne kobiece obuwie na bardzo wysokich koturnach. Pomyślał, rozejrzał się po ścianach, gdzie by to zawiesić... Wstał, trzymając za długie rzemyki. Odwrócił się i wyrznął kapitana „Kołysanki” w ryj, ale tak, że chrupnęła pięść.

Kitar przewrócił się wraz z krzesłem. Bardzo szybko jednak stanął na nogach, po czym oddał Cichemu, który nie zdążył się uchylić, a po ciosie na chwilę siadł na pryczy.

— Zaraz cię zatłukę, braciszku, ale najpierw powiedz, o co chodzi — niewyraźnie rzekł Kitar, bo miał zuchwę ledwie trzymającą się w zawiasach. — Ty zacząłeś, to mów.

Cichy usiadł z powrotem. Wykonał słaby gest rękami, co przypomniało mu o rzemieniach, które wciąż trzymał w lewej garści. Uniósł wyżej i odrzucił klekoczące koturenki w kąt.

— Wynoś się z tego okrętu — powiedział równie niewyraźnie jak Kitar.

— Co masz do mnie? Że nie wyszło mi z twoją kapitaną?

Cichy oparł łokcie na udach i splótł palce. Oddychał głęboko. Roznosiło go.

— Przywalę ci znowu... chodź no tu — zapowiedział i wstał. — Tępy sukinsynu, tu nie można już było wytrzymać... Rano: „A Kitar powiedział”. W południe: „Jak się Kitar ze mną ożeni...”. Wieczorem: „Jak już będę żoną Kitara...”. Wypierdalaj! Nigdy was nie ma! Raladan drugi dobry!... — Mevev gadał, jakby zbierał się do tego przez całe milczące życie. — Odbija jej w jakiejś wiosce, nóż odbierasz, bo próbuje sobie sama urznąć łeb... Spada Pasma, patyk w zęby, bo sobie odgryzie jęzor!... Ten ją kocha, dobry tatuś, drugi się ożeni... Czego żeś zawracał jej dupę? No czego? Wiedziałaś, co z nią jest i jaka jest! Twoja żona?... Tam kotwicz, „Kołysanka” się nazywa, wracaj do niej! Zostawiłbyś ją dla Ridi? Bo ona dla ciebie... już! Od razu wszystko! Taka dziewczyna dla takiego patałacha! Zostawiłbyś dla niej coś?

Z wyciągniętą ręką i palcem wycelowanym gdzieś w bok Cichy czekał na odpowiedź. Ale się nie doczekał.

— Dla każdego jest dobra, byle tylko z daleka. Żre się z tą swoją „suką”? Nells! Ktoś z niej robi głupią? No to Cichy! Kto to Nells? Kto to jest Cichy?!... Kapitana to, kapitana tamto, ładna jesteś, nie płacz kapitana... Idź już, bo naprawdę cię zatłukę! Ja ją pytam: „Co ty byś chciała? ”, a ona: „Co ty nie wiesz, że nigdy nic się nie spełnia? ”. Raz w życiu coś sobie wymyśliła... wymarzyła, jak to się ładnie mówi. I wiesz co? Nie spełni się jej. Wypierdalaj na swoją dziwkę z drewna! I żebym cię rano nie widział. Bo ci zerżnę twoją żonkę z dział.

Rano „Kołysanki” nie było.

13.

Moldorn przywodził na myśl żywego trupa, upiora z gminnych opowieści. Człowieka którego dusza po śmierci tylko częściowo się

rozpadła i ta jej część, która pozostała w ciele, nie mogła wrócić do Pasm Szerni. Niektóre przesądne ludy wierzyły w istnienie takich upiórów, chociaż w rzeczywistości nic podobnego istnieć nie mogło. Gotah sądził, że makabryczne opowieści o półtrupach brały się z okropnych pomyłek — otóż grzebano czasem ludzi żywych, którzy wyglądali jak umarli.

Moldorn właśnie wyglądał na kogoś takiego. Na człowieka, który wydarł się z grobu, gdzie został złożony w odrętwieniu podobnym do śmierci. Okryty pergaminową, żółtawą, niemal przezroczystą skórą, pod którą było widać sinawe żyły, miał częściowo zniszczoną twarz, na głowie zaś ani jednego włosa. Poruszał się sztywno i z trudem. Tylko błyskotliwy umysł wielkiego matematyka pozostał nienaruszony.

Gotah dowiedział się o losie nieszczęsnego Yolmena. Staruszkowi nie było dane dożyć w spokoju swych dni. Wciągnięty w awanturę, z którą najchętniej nie miałby nic wspólnego, został we własnym łóżku niemal rozkawałkowany przez zwierzęta z pirackiego żaglowca. I Gotah musiał wziąć ten straszny zgon na siebie. Łagodny sędziwy Yolmen porzucił swą spokojną pracownię tylko ze względu na prośbę młodszego przyjaciela, którego bardzo szanował. I któremu — choć z nielekkim sercem — postanowił pomóc w miarę skromnych, dopalających się sił.

A jak czuł się Moldorn?... Matematyk po raz pierwszy miał możliwość opowiedzieć komuś o tym, co przeżył i czuł. Był w En Anelu, stamtąd zaś pojechał do domu Gotaha, gdzie rozmawiał z Kesą, ale wobec Przyjętej nie zdobył się na zwierzenia. Teraz po raz pierwszy wyrzucił z siebie... trochę bólu. Pokazał skrawek ciężko poranionego sumienia. Tylko trochę bólu i zaledwie skrawek sumienia, bo nie umiał zdobyć się na więcej. Lecz słuchający go historyk i tak nie mógł się pozbierać po tym, co zobaczył.

„Pracowity, śmieszny pocziwiec, który nigdy nie skrzywdził muchy. Wiedział, co myślę o jego talentach, nie gniewał się, chociaż mi zazdrościł... Zawołał „Moldornie! „bo pewnie myślał, że okryty swoim pancerzem Moldorn wyrwie z Szerni nie wiadomo co... Budzę się każdej nocy, bo słyszę to jego „Moldornie!,”

Niczego więcej Gotah się nie dowiedział; w każdym razie nie wprost. Bo z różnych napomknięć, pojedynczych słów, niedokończonych uwag, zbudował sobie bliski prawdy obraz tego co się stało. Być może Moldorn uporałby się z napastnikami — pod warunkiem, że byłby sam. Pojmujący

naturę Szerni, ale o jej siłach sprawczych mający wiedzę przypadkową, zaledwie wyrywkową (bo jakże słusznie Gotah nazywał jego umiejętności „sztuczkami”!...), w pewien sposób jednak potężny, choć nie będący wojownikiem mężczyzna, jakoś by się obronił przed bandą skrytobójców — ale zamiast tego najpierw próbował osłonić i ratować bezbronnego towarzysza. Wojownicy... Tak, prawdziwi wojownicy, mający za sobą liczne doświadczenia, obdarzeni instynktem zabójców, na pewno potrafili w mgnieniu oka ocenić, co należy robić. Walczyć czy uciekać, iść naprzód czy się cofać, wspierać towarzyszy czy już tylko myśleć o sobie... Moldorn tego ocenić nie umiał. Niczemu nie zapobiegł, nikomu nie pomógł i przegrał, bo robił nie to co należy.

Zabijanie ludzi w prawdziwej walce było sztuką trudną. Nie wystarczało do tego brak skrupułów, płynący z przeświadczenia o słuszności bronionych racji.

Moldorn umiał tyle, ile umiał. Otwierał skrzynie oddane mu do dyspozycji przez Szerń i znalazł w nich niejedno, ale były to w większości rzeczy nieprzydatne, czasem nie wiadomo czemu służące, inne zaś owszem, mogły zostać użyte, ale nie zawsze z takim samym skutkiem. Moldorn trochę przypominał linoskoczka, którego umiejętności przydałyby się może podczas ucieczki ze szczytu ogarniętej pożarem wieży, ale były bezużyteczne w zalanej wodą ładowni tonącego statku, gdzie linoskoczek dowiadywał się, że, niestety, nie umie pływać. Sztuczki... Właśnie tyle potrafił potężny Moldorn-Przyjęty. Wyrywane z nicości głązy mogły pewnie na pełnym morzu unicestwić flotę wojenną, ale nie na wiele się przydały w wypełnionej mordercami izbie. Odniesione zaś w walce rany dało się bez wielkiego trudu zasklepić i wyleczyć — wszystkie oprócz tych, które spowodował błękitny płomień palącej się „kamiennej skóry”... To nie był zwyczajny ogień i tak samo nie były zwyczajnymi wywołane przezeń poparzenia. Sługa czarodzieja próbujący ukraść tajemnice mistrza padł ofiarą własnej niewiedzy i niemądrej pewności siebie.

A potem musiał brnąć dalej. Walcząc już nie o moc, nie o potęgę, ale po prostu o życie, jał otwierać kolejne skrzynie, szybko i coraz szybciej, nieuważnie... Rozrzucał dokoła siebie to co znalazł, szukał coraz bardziej gorączkowo. Nie miał już nic do stracenia.

Zwyciężył, zarazem zaś przegrał. Znalazł sposób pozwalający

oddalić groźbę natychmiastowej śmierci, przy okazji zdobył upragnioną potęgę, bo umiał teraz sto razy więcej niż wówczas, gdy walczył z mordercami w Talancie — ale w trakcie chaotycznych poszukiwań został dotknięty czymś, czego nawet nie potrafił nazwać. I na to już nie było lekarstwa. Nie mogąc postawić żadnej diagnozy, Moldorn niemal z dnia na dzień rozpadał się od środka, niedołączył, umierał. Pozostały mu dni, a w najlepszym wypadku tygodnie. Miał skonać, nie wiedząc nawet, czym właściwie jest klątwa, którą na siebie ściągnął.

Patrzący na nieszczęsnego towarzysza Gotah nie potrafił odnaleźć w sobie satysfakcji, do której przecież miał prawo. Bo bał się grzebać w siłach Szerni; nie odważył się szukać. Mądrze, rozsądnie. Przewornie.

Posłuszny i pilny sługa czarodzieja, nie kradnący sekretów swego mistrza.

Marność i wszystko marność... Rozgoryczony Gotah — co prawda trochę na wyrost i trochę niesprawiedliwie — coraz surowiej osądzał potężną królową Dartanu i jej wierne sługi. Prostolinijny i niemal bezduszny, ale za to męski, stanowczy pirat z Agarów cieszył się na dworze pięknej vany większymi względami niż odstręczający z wyglądu, niemniej przecież wielki swoją wiedzą matematyk Szerni. Mądry człowiek, który może i błądził, bywał pochopny i zacierzewiony, niepotrzebnie zawzięty i mściwy... Ale jednak wszystko, co czynił, służyło jakiejś idei, doniosłemu celowi. Służbę tej idei przypłacał właśnie życiem. Co z tego, skoro był brzydki, nieciekawy, zbędny... To nie jemu Pierwsza Perła, rozmamłana ladacznica (Gotah od zawsze nie znosił Anessy, choć doceniał niektóre przymioty jej umysłu i niewątpliwe zasługi dla tronu) przynosiła zaproszenie do stołu monarchini. Zapraszała gościa-więźnia, rozbójnika i mordercę, zdolnego wprowadzić do szlchetnych porywów, ale potrafiącego też szczerze odpowiedzieć: „Twoi żołnierze?... Wasza godność, zjawiłem się tam po to, żeby ocalić ciebie. O życie twoich żołnierzy nikt mnie nie poprosił. Nie znałem ich. Do niczego nie byli mi potrzebni”. Tylko tyle o losie dzielnych wojowników, którzy po walce z silniejszym wrogiem dostali się do niewoli.

Ale przecież tak właśnie rozumowali ludzie pokroju księcia Raladana. „Nie znałem ich, nie byli potrzebni”. Koniec, tyle. To nie był człowiek bez serca — ale jednak raczej ludzik niż człowiek, obojętny i zimny wobec wszystkiego, co go nie dotykało osobiście.

Trochę inaczej, a jednak równie chłodno wypowiedział się o losie wymordowanych na mniejszej wyspie księstwa rybaków — wieści o tym dotarły do Rollayny wraz z innymi, zasięgniętymi przez białą złodziejkę królowej. „Byli pod moją opieką i poczuwam się do winy, wasza godność. Niestety, nie umiem rządzić, robię to z konieczności. Na tej wyspie powinno przebywać pięćdziesięciu żołnierzy piechoty, nikt by wówczas nie porwał się na wioski, w których nie ma nic do zdobycia”.

Przyjęty zapomniał, że jeszcze niedawno sam przestrzegał żonę przed ocenianiem takich czynów. Skoro było możliwe popełnienie podłości, to ją popełniono — a cóż w tym nadzwyczajnego? Winę ponosił nie morderca, lecz nieudolny strażnik ofiary. Gotah zobaczył z bliska straszny świat silnych, którym wolno było cokolwiek — chyba że zostali powstrzymani przez silniejszych. Słabi nie mieli żadnych praw, mogli być najwyżej przydatni, potrzebni do czegoś silnym albo nie.

I co z tego? Podczas miłej wieczerzy w wąskim gronie, gdy do stołu z jej królewską wysokością siadło zaledwie osiem osób, Moldorna nie było wcale, za to książę Raladan zajmował miejsce po prawej ręce rozbawionej monarchini, która zupełnie otwarcie — chciałoby się powiedzieć: aż bezwstydnie — okazywała mu swą przychylność i życzliwość, nie wahała się osobiście zabawiać gościa rozmową, bo rzeczywiście raczej zabawiała, niż była zabawiana. Może i brakowało mu wiedzy, którą posiadał matematyk Szerni — ale za to nie zbywało na okrętach; miał wprawdzie nieczułe serce — ale w zamian bardzo dobry port... Na tle grupki nadskakujących dworzan (starym zwyczajem, każdego wieczoru jeden lub kilku wysokich rangą domowników miało zaszczyt dzielenia stołu z monarchinią) aż bolesny był widok Księcia Małżonka, tradycyjnie — ale za to samotnie — zajmującego miejsce u przeciwległego krańca stołu. Nie znaczyło to, że nikt przy księciu nie siedział; o bynajmniej... Był samotny, bo wszystkie spojrzenia, wszystkie słowa kierowały się w drugą stronę. Tylko Gotah próbował zagaić rozmowę, co okupił maskowanym zdumieniem dworaków, wiedzących przecież najlepiej, z której strony wiatr wieje i na co na pewno nie warto tracić czasu. Książę Awenor jednak już dawno nauczył się przyjmować swój los. Nie miał ochoty gawędzić, zbył więc Przyjętego tyleż grzeczną, co kończącą rozmowę odpowiedzią. Wkrótce potem posiłek dobiegł końca, ale było to zaledwie hasło, że wolno wstać od stołu i oddalić się.

Oczywiście, nikt tego nie zrobił — poza księciem Awenorem, który podziękował uprzejmie i wymówił się od wieczornej pogawędki jakimś żartem. Gotah gotów byłby przyjąć zakład, że Małżonek codziennie miał przygotowaną jakąś nową, mniej lub bardziej żartobliwą, wymówkę. Wszyscy prócz królowej wstali, księżę wyszedł. I od razu zrobiło się raźniej; mrukliwy, skwaszony współbiednik nikomu się przecież nie podobał.

Rozmowa nie dotyczyła polityki, tym bardziej zaś spraw jakkolwiek związanych z Szernią, Trzema Siostrami, Ferenem i Rubinem; to nie było odpowiednie grono osób. Przyjęty męczył się, słuchając bzdurnych uwag podskarbiego, płytkich, choć nawet zabawnych żartów łowczego, paplaniny Pierwszej Perły, z której cały rozum parował natychmiast, gdy prywatnie — nie w imieniu królowej — mówiła z jakimkolwiek mężczyzną, a na koniec dociekała jej królewskiej wysokości, pragnącej chyba wysondować, jak głęboko sięga cierpliwość agarskiego księcia. Gotah mimowolnie jął odzyskiwać sympatię dla nieodmiennie spokojnego i rzeczowego mężczyzny, który wydawał się o wiele bardziej godny miana władcy niż ktokolwiek inny przy tym stole, choć bodaj jako jedyny nie udawał kogoś, kim nie jest. Bo Przyjęty udawał dworaka, dworacy głupców (bez wysiłku), Pierwsza Perła plasterek miodu, królowa zaś miłą dziewczynę.

Nie była miłą dziewczyną. Była żelazną babą o wdzięku przydrożnego głazu. Prowadziła grę; przy stole, w obecności dworzan i przyszłego morskiego sojusznika na pewno pamiętała, kim jest.

— Nie wstawajcie, bawcie się. Wkrótce wrócę — powiedziała, nonszalancko lekceważąc dworskie obyczaje, co zdarzało jej się dość często.

Uważna niewolnica, posługująca przy posiłku, natychmiast odsunęła zwolnione krzesło, ułatwiając pani wyjście zza stołu.

— Jestem matką — dorzuciła królowa porozumiewawczo. — Anesso, pełnisz honory gospodyni.

— Tak, wasza wysokość.

Królowa wyszła.

Pora nie była bardzo późna i w pałacowych korytarzach jeszcze nie zamarł ruch. Domownicy i służba byli jednak przyzwyczajeni do widoku monarchini, która po swym domu zwykła się poruszać właśnie jak po

domu. Czasem towarzyszył jej tłum, a czasem nikt. Poprzedzał ją szcęk okutych srebrem drzewc, mocno opieranych na posadzce, gdy kolejni halabardnicy prostowali się, przekazując sobie okrzyk:

— Vana!

— Vana!

Zwalniający środek korytarza ludzie uciekali pod ściany i zamierali w ukłonach, czekając, aż królowa ich minie. Czasem kogoś zauważyła, a nawet pozdrowiła uśmiechem bądź skinieniem. Doszła do schodów i wpłynęła na nie, w zagadkowy sposób radząc sobie z niewygodnymi stopniami; rozłożysta, usztywniona fiszbinami spódnica granatowo-czerwonej sukni maskowała rytm kroków.

Od zewnętrznej ściany... Należało zaczynać od zewnętrznej ściany, a następnie ścinać łuk schodów. Przemierzone na ukos stopnie pozwalały postawić dwa drobne, ale równe kroki na każdym. Jeden z malutkich sekrecików, pomagających zachować godny wygląd.

Zresztą... Gdyby Ezena na swój własny użytek nie odkryła „tajemnicy schodów”, Pierwsza Perła raczej kazałaby je wyburzyć i zbudować od nowa, niżli pozwoliła, by jej pani we własnym domu gramoliła się ze stopnia na stopień.

Dwie kobiety w prześwietnych sukniach spotkały się na schodach między drugim a trzecim piętrem zachodniego skrzydła.

— Vana!

Okrzyk przebrzmiał, nie podano go dalej. Królowa przystanąła.

— Gdzie idziesz?

— Do Jego Królewskiej Wysokości — powiedziała Hayna. — Pożyczyłam i chcę... oddać.

Uniosła zwoik, z którego zwieszała się wstążka tytułowa.

Królowa popatrzyła na łososiowej barwy suknię z czerwonymi i czarnymi aplikacjami, do których pasowała jedwabna zasłonka na twarzy Czarnej Perły.

— Ho, ho... — powiedziała kpiąco. — A co czytacie?

Na białej wstążce tytułowej widniało złotymi literami: Einereaisoena. Monarchini troszeczkę zrzędała mina, bo o wysokim armektańskim wiedziała tyle, że jest. Poematy składające się ze słów, spośród których ani jedno nie należało do potocznego języka, mógł czytywać do poduszki syn najświetniejszego armektańskiego rodu, może

jeszcze Perła z bardzo dobrej hodowli... ale na pewno nie praczka, która została królową.

— Stos pogrzebowy pod gwiazdami, wasza królewska wysokość.

Ezena jeszcze raz popatrzyła na swoją przyboczną. Na kolczyki i zrobioną brew.

— Sypiasz z moim mężem? — zapytała z właściwą sobie bezpośredniością.

— Słucham?...

— Pytałam, czy sypia...

— Słucham?

Tak chłodno — tym razem naprawdę tak chłodno, że królowa się przestraszyła. U podnóża tych fatalnych schodów mogła zaraz spocząć, roztrzaskana na kawałki, kilkuletnia przyjaźń.

Kto jak kto, ale Księżę Zajączek na pewno nie był tego wart. Na kogo albo na co teraz wyszła? Na psa ogrodnika?... Ezena przeklęła w duchu swój niewyparzony język.

— To nie moja sprawa, przepraszam — powiedziała. — Nie miałam na myśli nic złego, zwykła babska ciekawość. Nie mów mi.

To rzeczywiście nie była jej sprawa. Gdyby zabroniła lub kazała się o czymś powiadamiać, wtedy tak. Ale pozwalała swoim niewolnicom (zwłaszcza rozsądnej Haynie, bo bezwstydney Anessie mniej) na prywatność tego rodzaju. Męża zaś nigdy nie prosiła o nieużywanie takich albo innych, należących do niej, przedmiotów. Trudno, żeby była zazdrosna o niewolnicę. Czyli właśnie przedmiot.

Jednak trochę była.

Niektóre przedmioty miały dusze.

— Idź — pozwoliła. — Czekaj. Kiedy wyjeżdżasz na spotkanie księżniczki Ridarety?

— Pojutrze rano.

— Nie za późno?

— To i tak dzień wcześniej, niż trzeba. Ale jeśli rozkażesz...

— Nie. Ty wiesz lepiej ode mnie. Słuchaj...

Zawahała się.

— Słuchaj, gdybyś chciała porozmawiać... Zwierzyć się albo... Nie chodzi mi o żadne... twoje sprawy, które masz tylko dla siebie. Po prostu pamiętaj o mnie, Hayno. Że jestem. Że oprócz Anessy masz jeszcze jedną

przyjaciółkę.

— Wiem, Ezeno. Teraz nie przyjdę, bo wypełniam twoje rozkazy, które mi się nie podobają i z którymi się nie zgadzam. Zaraz znowu zaczęłabym o tym mówić, przekonywała od początku, a ty byś się tylko niepotrzebnie złościła — odpowiedziała trochę żartobliwie, a trochę poważnie Perła. — Ale jak już wszystko się skończy, na pewno przyjdę.

— To dobrze. Ja też lubię porozmawiać, a z Anessą nie o wszystkim mogę. Ona czasem nic nie rozumie.

Czarna Perła uśmiechnęła się.

Uśmiechu tej dobrej dziewczyny nie potrafiła ukryć nawet zasłonka na twarzy.

Dla Ezeny było jasne, że jeszcze chwila podobnej rozmowy o niczym, a ośmieszy się, w nieskończoność trzymając na schodach kobietę, która idzie do jej męża oddać pożyczony zwoik z wierszami.

Zamiast wysłać niewolnicę do posług.

Sięgnęła do gorsu sukni Hayny, wyprostowała i wygładziła róg wykładanego kołnierza, który się lekko podwinął.

— No, idź.

Hayna ustąpiła swojej pani z drogi i ukłoniła się. Królowa poszła dalej. Halabardnik zawołał do kolegi:

— Vana!

Przekazywana sobie przez kolejnych żołnierzy straży pałacowej królowa doszła do komnat dziecięcych, z odrobiną zawiści myśląc po drodze o tym, że w tym wielkim domu każdy, nawet niewolnica, miał prawo do swoich słabości, może nawet miłostek... Każdy, tylko nie ona. Tylko dla niej w sąsiedniej sypialni nigdy miało nie być nikogo.

Mały książę nie spał. Odpowiedziawszy uśmiechem na ukłon mamki i piastunki, Ezena pozwoliła im usiąść, po czym schyliła się nad kołyską. Jego królewska wysokość książę Lewin siedział o własnych siłach, w skupieniu tłukąc pościel miękką kolorową zabawką — silny chłopak, godny swojej dużej i postawnej matki. Gdy ujęła go pod pachami i uniosła, od razu porzucił zabawkę.

— Ktoś tu robi się coraz cięższy — powiedziała z tak dobrze udaną surowością, że mogłaby napędzić stracha każdemu.

Jednak kilkumiesięczne stworzenie było już dość duże, by wykształcić w sobie przynajmniej dwie z najznamienitszych ludzkich

cech, mianowicie lizusostwo i podłość. Ojciec kochał je bezwarunkowo, dlatego mógł być stale szantażowany płaczem, dręczony i wykorzystywany na najwymyślniejsze, dostępne niemowlęciu sposoby. Natomiast o względy matki należało zabiegać, była więc szanowana i kochana w dwójnasób. Książę Lewin wyłaził wprost ze skóry, by się jej przypodobać: gaworzył, uśmiechał się, zaciskał pięści na granatowych włosach i ciągnął z całej siły, po czym ślinił matczyną szyję — przytulony i uszczęśliwiony. Nie bał się niczego co mówiła; w zamian bardzo szybko odkrył, że wrzask i protesty niechybnie zaowocują najstraszliwszą karą — powrotem z jej ramion do kojca albo kołyski.

Jej wysokość roześmiała się, delikatnie uwalniając pasmo włosów ze zniewalającego uścisku męskiej dłoni.

— Mój mały król... Już niedługo, za kilka lat, to ty książę będziesz do mnie przychodził — powiedziała, całując gładkie czoło. — Przyjdiesz do matki i powiesz: „Dobranoc, wasza wysokość!”. Czy tak będzie? Hm?

Lewin gaworzył ze wszystkich sił. Gotów byłby się wyprawić do komnat jej królewskiej wysokości choćby zaraz, by uzyskać jeszcze jeden pocałunek na dobranoc.

Otrzymał go, nie trując swych dostojnych — choć mało użytecznych, jak na razie — nóg. Ponadto został pogłaskany palcem po policzku.

— Jutro albo pojutrze opowiem ci, czy ciągle jesteśmy sami. Bo może już nie?... Może będziemy mieli zamorskich sojuszników? Posłusznych silnemu wodzowi, dzielnych ludzi na wielkich okrętach... — Opowiadając bajkę, królowa przykucnęła z dzieckiem na kolanach; na tle jej szeroko rozpostartej sukni następcą tronu wydawał się naprawdę malutki, znacznie mniejszy niż w rzeczywistości. — Może już nie będziemy samotni... sami przeciw całemu światu. Otoczeni zewsząd przez wrogów. Może pokażemy, że jesteśmy tak bardzo silni... tak silni, że nie trzeba palić wiosek i zabijać ludzi?... Może mądra ciocia w dalekim Armekcie... oj, to kolczyk! Proszę puścić, cóż to za zwyczaj? Może mądra ciocia w dalekim Armekcie będzie chciała mieć siostrę w Dartanie, a nie służkę?... Hm? Wasza królewska wysokość?

Książę radował się, gulgocząc, doradzając i pytając. Opowiedziała mu jeszcze jedną bajkę, podroczyli się trochę, po czym wrócił do kołyski, niezadowolony tylko na tyle, by matka widziała, że z daleka od niej jest

niedobrze. Wyrzucił zabawkę podaną przez piastunkę, ale przyjął wszystkie, które dała królowa. Pohałasował grzechotką i trochę się pocieszył.

— Czy o czymś powinnam wiedzieć? Na niczym wam nie zbywa?

— Nie, wasza królewska wysokość.

Opiekunki pokłoniły się i królowa wyszła. Wkrótce z korytarza dobiegło stłumione, podkreślone szczękiem uderzającego o posadzkę okucia halabardy:

— Vana!

*

Hayna nie sypiała z księciem Awenorem. Tamten jeden jedyny wieczór to było co innego... Nigdy nie zapytał, dlaczego się odeń odsunęła, stała bardziej obca i daleka niż kiedyś — jeszcze przed swą brzemienną w skutki podróżą do Niskiego Grombelardu. Chyba rozumiał, że wyrosło między nimi coś, czego już zburzyć się nie da: zimny mur wdzięczności. Został zaciągnięty dług, którego niewolnica — nawet najświetniejsza — w żaden sposób nie mogła spłacić. On zaś ze swej strony nie śmiał niczego proponować, o nic prosić, ani nawet o nic pytać, z obawy, że zostanie to poczytane właśnie za żądanie spłaty długu. Chociaż uważał, że nic mu nie była winna. Tylko jak miał powiedzieć, że nie jest?...

Nie podzielili się tą myślą, ale oboje, niezależnie od siebie, odkryli, że trudno o większą podłość niż jednostronne wyświadczenie komuś dobra. Takiej niegodziwości się nie zapominało. Stokroć łatwiej było przebaczyć wyrządzoną krzywdę niżli stale żyć ze świadomością, że jest się komuś coś winnym.

Dłużniczka czuła się niewdzięcznicą, wierzyciel winowajcą.

— Pójdę już.

Zamienili jeszcze kilka słów; on zażartował, ona uśmiechnęła się i poszła.

Blżej było jej do księżniczki Riolaty Ridarety, której mogłaby coś przebaczyć, niż do wspaniałego łagodnego mężczyzny, skazanego na samotność w tętniącym życiem domu.

Lecz los sprawił, że tego wieczoru spotkało się dwoje obcych ludzi, którzy mogli nawzajem wyświadczyć sobie dobro i rozejść się, by już nigdy się nie spotkać.

Hayna szła do komendanta Ohegeneda, który chciał poznać jej zdanie na temat nieco innego ustawienia wart. Na opustoszałym korytarzu, tym samym z którego jeszcze niedawno ratowała się ucieczką przez okno, spotkała idącego dokądś mężczyznę w nijakiej burej szacie, z głową okrytą kapturem. Nie pasował do tego domu. Widzieli się dotąd tylko raz. Nie rozmawiali, ale dowiedziała się czegoś od Gotaha. Kilku ważnych, bardzo ważnych, rzeczy. Idący nie uniósł głowy, więc nie poznał jej, bo nie dostrzegł zasłonki na twarzy, kątem oka zaś widział najwyżej mijającą go kobietę w prześwietnej sukni, nie mającej nic wspólnego z wojennym ubiorem Czarnej Perły.

Zatrzymała się i przez chwilę patrzyła za idącym. Doszedł prawie do schodów, gdy powiedziała:

— Warta! Salut wojownikowi.

Halabardnicy przy schodach wyprostowali się, uderzając okuciami halabard o posadzkę, i zastygli z prawymi dłońmi przy piersiach.

Mężczyzna przystanął. Odwrócił się i wolno odchylił brzeg kaptura, pokazując chorobliwie bladą twarz, naznaczoną z prawej strony wstrętnym liszajem o fioletowej barwie — nieregularne zgrubienie biegło od podbródka wzdłuż krawędzi policzka aż do oka i wyżej, niknęło gdzieś w cieniu kaptura, być może kalało całą niewidoczną część głowy. Patrzył na kobietę, która nie miała na sobie wojskowego ubioru, więc ujęła spódnicę sukni i skłoniła się, oddając mu honory na kobiecy sposób. Chciała odejść, ale uniósł rękę, jakby prosił, żeby tego nie robiła. Poruszał się z trudem, ale miał do przejścia tylko kilkanaście kroków.

— Jesteś, pani, Czarną Perłą królowej?

— Tak, wasza godność.

— Przebacz mi, że cię nie poznałem i minąłem obojętnie... Nie pamiętam o tak wielu rzeczach... A przecież mam sprawę do ciebie, wasza godność. Wielką prośbę.

— Prośbę do mnie?... Dobrze, powiedz panie, czego sobie życzysz, a jeśli będę mogła...

— Będiesz mogła, a nawet musiała, bo dzisiaj już nie jest prośbą, lecz żądaniem. Oto jak wyglądam, Czarna Perło — powiedział, zsuwając kaptur i odsłaniając całą, ohydnie oszpeconą głowę; zdrowa była tylko część twarzy. — Pokaż mi swoją twarz, bo zanim umrę... chcę zobaczyć kogoś, kto ucierpiał w tej wojnie tak jak ja.

Niewolnica milczała.

— Proszę i żądam — powiedział z naciskiem Moldorn.

— Jestem... kobietą. Nie mogę.

— Zrób to, pani. Chcę cię zobaczyć.

— Czy tutaj? Teraz?...

— Tak.

Korytarz był pusty, stała tylko warta przy schodach. Jeszcze jeden halabardnik dalej i następny bardzo daleko... Hayna wolno odpięła zasłonkę.

Przyjęty milczał.

— Wiem przynajmniej, o co walczyłem. O to, żeby w imię żadnych racji nie wolno było wyrządzić komuś tego, co wyrządzono tobie. Żadnych usprawiedliwień dla... czegoś podobnego... nie znajduję.

Nieszczęśnica, zagryzając obwiedzione krzywymi bliznami usta, nie była w stanie powstrzymać pojedynczej łzy — żalu i upokorzenia, bo tak wyglądająca kobieta nie miała większego sekretu i nie mogła się wstydzić niczego bardziej niż swego niezawinionego kalectwa. Nie licząc królowej, Moldorn był pierwszym i ostatnim człowiekiem, który widział jej zniekształconą twarz. Drżącą ręką sięgnęła do zasłonki.

— Jeszcze nie, zaczekaj... Kesa mogła, ale nie chciała, i na pewno jej to wybaczysz. Gotah nie potrafi. Ale ja... — Dotknął jej twarzy, po czym mocno przesunął ręką, jakby coś ścierał palcami albo zbierał. — Ja jestem tylko mężczyzną, mam przed sobą kilka tygodni życia i nie muszę być piękny, Czarna Perło.

Nie umiała wykrztusić słowa, widząc, jak policzki Przyjętego pokrywają się strasznymi bliznami, zmieniają w oczach... Znała rysunek tych blizn! Wydała zduszony okrzyk, przycisnęła dłonie do twarzy i nie wyczuła pod palcami żadnych zgrubień, szram... Została tylko jedna wyczuwalna skaza, na samym skraju policzka, niemal zakryta włosami — w tym miejscu, w którym Przyjęty nosił własne znamię... Odwróciła się gwałtownie ku oknu, którego szyba była teraz lustrem, bo na zewnątrz rozpościerała się noc. Skażona wyraźną blizną twarz była jednak normalną ludzką twarzą, nieodpychającą, po prostu naznaczoną nieładną pamiątką po kontakcie z wojennym żelazem.

Czym innym była skaza na ślicznej kobiecej twarzy, a czym innym potworna maska, od której każdy musiał ze zgrozą odwrócić wzrok.

Czarna Perła królowej nie wierzyła oczom i bała się odetchnąć, by nie spłoszyć... nie stracić... Nie uronić ani jednej chwili snu o tym, że odzyskała swój dawny wygląd.

Wykrztusiwszy coś, co nie miało żadnego sensu, rzuciła się starcowi do kolan. Ale on, choć zniedołężniały, przykucnął na posadzce niemal równo z nią.

— Więcej zrobić nie umiem, a jeśli nawet bym mógł, to z niepewnym skutkiem... We wszystkim musi być zachowana jakaś równowaga. Nie płacz, dziecko. Z powodu jednej kobiety znienawidziłem kiedyś wszystkie i... na pewno niesłusznie. Jak brzmiał ten rozkaz?... „Salut wojownikowi!”. Pierwsze bezinteresownie dobre słowo, jakie ktoś miał dla mnie... bodaj kiedykolwiek... Będę to sobie mamrotał, umierając. Nic mi nie jesteś winna. Nic a nic.

Pozbawione rzęs powieki nie mogły ukryć wilgotnego błysku w oczach. Przyjęty pospiesznie nałożył kaptur, bo jego głowa ze straszliwie pobliznioną twarzą w ogóle już przestała przypominać część ciała istoty ludzkiej. Poszedł, zostawiając pod ścianą roztrzęsioną dziewczynę, do której zbliżał się niepewnie jeden z wartowników, zaniepokojony widokiem klęczącej na posadzce dowódczyni, która jednak nie wzywała żołnierzy, nie krzyczała... więc nic złego się chyba nie działo. W zamian zaraz mogło się dziać, jako że bez rozkazu opuścił posterunek, a w tych sprawach nie było żartów.

— Perło?...

Prosty gwardzista miał zostać nagrodzony pierwszym — wprawdzie mokrym od łez szczęścia i radości — uśmiechem, jaki Czarna Perła pokazała komukolwiek od czasu nadmorskiej potyczki. Śmiała się i płakała, wyciągając ręce, aż — niepewny siebie, mocno zakłopotany — odstawił pod ścianę oręż, podniósł ją i przytulił.

*

Moldorn-Przyjęty opuścił pałac następnego dnia rano, nikogo nie prosząc o zgodę, nie usprawiedliwiając się przed nikim, nie dziękując monarchini za gościnę. Gotah znalazł w jego komnacie plik pokrytych matematycznymi zapiskami kart i list.

Gotahu!

Wiem, że z matematycznych wywodów niewiele dla Ciebie wynika,

zechciej więc przyjąć krótki do nich komentarz. Jeśli zdarzy Ci się jeszcze kiedykolwiek spotkać matematyka Szerni, co, niestety, wcale nie jest pewne, możesz go poprosić o potwierdzenie tego, co właśnie na Twój użytek piszę. Myślę jednak, że zechcesz uwierzyć mojemu słowu.

Spadło Ciemne Pasma, o czym wiesz, a ubytki w treści Szerni zostały wyrównane nie przez obniżenie potencjału Jasnych Pasm albo wykluczenie któregoś. Szerń, dla zachowania równowagi, niczego się tym razem nie wyzbyła, przeciwnie. Rzeczy oczywiste umykają nam najłatwiej, bo jak to się mówi: najciemniej jest w kręgu światła świecy, trochę więc żałuję, że nie oglądam teraz wyrazu Twego oblicza. Ale ja na pewno wyglądałem podobnie, gdy Yolmen zaczął przedstawiać mi swój wywód. Te gęsto zapisane pliki, które Ci zostawiam, są naszym wspólnym dziełem, staruszka Yolmena i moim. Chociaż raz byliśmy sobie naprawdę nawzajem potrzebni; Yolmen nigdy nie miał potrzebnej intuicji, ale za to Moldornowi zawsze brakowało wytrwałości i pracowitości. Nie umiałem kiedyś docenić korzyści wynikających ze współpracy.

Gotahu, Rubin Córki Błyskawic jest teraz symbolem niczego. Tam, gdzie były dwa Odrzucone Pasma, uwikłane we wzajemne zależności, pozostało jedno; drugie Szerń dobrała na miejsce straconego. Nic mi nie wiadomo o jakimkolwiek Geerkoto, który byłby symbolem tego ostatniego Pasma poza Szernią; coś takiego musiało się pojawić, ale na pewno nie jest żywe, więc w żaden sposób nie zagrozi symbolowi Ferenu. Księżniczka Riolata Ridareta to zbrodniarka, która winna odpowiedzieć za swe zbrodnie, ale uczonych Szerni może interesować już tylko jako jedyny na świecie Ciemny Porzucony Przedmiot, który do niczego nie służy, będzie zaś się powoli rozpadał tak jak wszystkie opisane w Księdze Całości Przedmioty, dla których w wyniku Pierwszej Wojny Potęg zabrakło odpowiednika w Pasmach Szerni. Proces tego rozpadu do pewnego stopnia można przewidzieć na podstawie znanych analogii, opisałem więc go do momentu, po przekroczeniu którego ilość niewiadomych i zmiennych zaczyna wykładniczo narastać — poza nakreśloną granicą trudno już mówić o matematycznym wywodzie zakładającym pewien margines błędu. Jest to już czyste „gdybanie” i jako takie należy do Twojej dziedziny, nie mojej. Mówiąc językiem słów, a nie liczb, mogę więc rzec tylko tyle, że proces tego rozpadu będzie nierównomierny, przy tym dość powolny, jak zawsze w przypadku Przedmiotów symbolizujących więcej niż jedno

Pasmo — mówię więc o horyzoncie czasowym odległym o tysiąc dwieście do tysiąca sześciuset lat. Koniecznie należy przy tym przyjąć, że Rubin Riolata rozpadnie się znacznie szybciej, szczególnie jeśli utrzymanie jego niezwyklej cielesnej powłoki nadal będzie wymagało tak wzmożonej aktywności; tu przypomnę — wybacz mi, mędrcze Szerni, ale czasem sam już nie jestem pewien, co Wy „gdybacze” w ogóle wiecie, a co tylko sobie obracacie, by obejrzeć z tej strony, która Wam akurat odpowiada — że utrzymanie Rubinów, zresztą wszystkich Przedmiotów, w normalnym dla nich kształcie i postaci wymaga aktywności zerowej. Mniemam, że ktoś taki jak piękna Ridarethe, wykończy Riolatę w sto czy dwieście lat, choć nie poprę tego wywodem matematycznym, bo zbyt mało mam danych wyjściowych, takich choćby jak aktualny potencjał tego konkretnego Geerkoto, w zamian zaś zbyt dużo niewiadomych związanych z jego dalszą, ujmijmy to tak, eksploatacją.

Pisanie listów nigdy nie było moją mocną stroną, usprawiedliw więc panujący tu bałagan. Na sam koniec chcę powiedzieć, Gotahu, że to pismo jest moim testamentem. Na pewno już się nie zobaczymy, postanowiłem więc uczynić Cię jedynym moim spadkobiercą, a nie mam niczego oprócz mojej wiedzy. Przekazuję Ci wszystko, co wiem o Rubinie Córci Błyskawic, chociaż może nie będzie to miało najmniejszego znaczenia. To coś, co jest nosicielem Rubinu, już mnie nie obchodzi jako Przyjętego, ale jestem nie tylko Przyjętym. Przede wszystkim jestem człowiekiem i tutaj, na ziemi pod Pasmami, prawa ludzkie obchodzą mnie tak samo, jak prawa rządzące Szernią.

Moldorn-lah'agar

Żadnego pożegnania nie było.

Część trzecia. Riolata i Ridareta

14.

Ciżba w pałacowym korytarzu rozstępowała się przed szybko idącą grupą zbrojnych.

Blizna, nawet tylko jedna i częściowo skryta pod włosami, nie dodawała urody i Czarna Perła nie rozstała się z jedwabną zasłonką, często ją jednak odpinała, bo już nie musiała wstydzic się swej twarzy — mogła zwyczajnie zasiąść przy stole, nie wywołując u nikogo odruchu przerażenia. Także teraz czerwona maseczka luźno zwisała z prawej strony, ale to dlatego że pierwsza gwardzistka królowej dopiero co zeskoczyła z siodła i potrzebowała pełnego oddechu. Łomocząc buciorami, chrzęszcząc żelazem, podążało za nią kilkunastu tak samo zmęczonych żołnierzy w pełnym ekwipunku wojennym. Zatrzymali się, posłuszni gestowi dowódczyni, która skinęła raz jeszcze, każąc iść za sobą człowiekowi w przyzwoitym, chociaż niezbyt czystym, odzieniu podróznym. Prowadząc go, wkroczyła na korytarz wiodący do prywatnych pokoi królowej; poszła nim do samego końca. Bez żadnej zapowiedzi wkroczyła do komnat Pierwszej Perły.

— Anesso! — zawołała, przemierzając pierwszy pokój.

Palcem pokazała przyprowadzonemu mężczyźnie miejsce przy ścianie, takim gestem, jakby polecała psu: „Leżeć!”. Otworzyła następane drzwi, w drugim dziennym pokoju także Anessy nie było.

Zjawił się rozpieszczony, figlarny rudy duszek, pod każdym względem wart swej pani — okrągłutka niewolnica o imieniu Ayana bądź Ajana; Hayna nie umiała zapamiętać, czy dziewczyna używa go w dartańskim, czy armektańskim brzmieniu. Zresztą różnica dotyczyła nie tyle wymowy, co pisowni.

— Perła jest...

— Z mężczyzną, niech zgadnę.

Hayna prawie nigdy nie była opryskliwa i służka Anessy raczej się zdziwiła, niżli przestraszyła.

— Nie, Perło. Jest chora, boli ją brzuch.

— Przejadła się — cierpko oceniła Hayna, najwyraźniej nie mająca humoru. — Gdzie choruje z tym swoim brzuchem?

— W sypialni, Perło. Ale nie zapowiem, bo rozmawia z kimś.

— A z kim?

— Z jego dostojnością podkanclerzym.

— I długo to potrwa?

— Właśnie miał wychodzić.

— W takim razie poczekam chwilę.

Hayna nadstawiła ucha; podkanclerzy chyba naprawdę wychodził. Spoza drzwi sypialni dobiegały odgłosy awantury. „Stale... zapominasz, panie...!"; „Nie, pani, nie zapominam, ty natomiast...” coś-tam-coś-tam; Hayna nie dosłyszała, ale za to dalej; „...niewolnicą! Bezczelną niewolnicą!”. (Anessa wrzasnęła z oburzenia). „Wtedy, Perło, wyjdą na jaw twoje łajdactwa, o tak! o tak! Łajdactwa, piękna pani! Łajdactwa!”.

Otworzyły się drzwi. Spocony, czerwony na twarzy dostojnik trzymał pod pachą jakieś zmięte rulony i pliki.

— Nawet w imieniu królowej! Nawet kiedy w imieniu królowej... to z szacunkiem! Tak, tak, Perło! Z szacunkiem!

— Dobrze, panie, już dobrze... Przepraszam i daj mi to pismo.

— Z szacun... Hę? — zapytał podkanclerzy.

— Jestem chora i uniosłam się... Przyjmę to sprawozdanie.

Tak słodko, że opartą o ścianę Haynę przeszły ciarki. Podkanclerzy był nim od niedawna (jego poprzednik, mądry, ale wiekowy człowiek, zmarł na serce jakiś czas temu) i nie wiedział jeszcze, co to znaczy, kiedy łasi się doń żmija. Znał, oczywiście, Pierwszą Perłę Domu, ale nie załatwiał z nią spraw. Zawrócił do sypialni, poszeleścił swymi dokumentami, powiedział coś spokojnie i dostał łaskawą odpowiedź. Już było po nim, a przynajmniej po jego sprawozdaniu. Raz uzyskawszy przewagę nad Anessą, należało ją natychmiast dobić, bo inaczej... Ucięte łby odrastały.

Podkanclerzy o tym nie wiedział. Wyszedł. Dopiero wtedy zobaczył Haynę i zeszywniał — jednak tylko na chwilę, bo poznał Czarną Perłę. To nie był ktoś obcy, przed kim należało udawać nie wiadomo co.

— Wasza dostojność — powiedziała.

— Perło.

Uprzejmie skinął głową i poszedł.

Hayna ruszyła do sypialni. Ruda służka, chcąc wypełnić swoje obowiązki, uprzedziła ją. Skrzywiona Anessa oddawała jej właśnie gruby plik wymiętoszonych kart.

— Co ci jest? — zapytała Hayna.

Pierwsza Perła opadła z westchnieniem na poduszki. Wyglądała naprawdę nietęgo.

— Boli mnie... — odrzekła marudnie. — Już wróciłaś?

— Lubię, gdy mądrze pytasz. Gdzie jest Ezena?

— Tronuje — powiedziała obrażona Anessa. — Już wczoraj wieczorem zaczęło mnie trochę...

— To niech cię przestanie. Przyjmuje gości? Ezena?

— Sądzi. Rozstrzyga spór między...

Monogramy rodowe magnatów i rycerzy nigdy Czarnej Perły nie obchodziły, więc tym razem także puściła je mimo uszu.

— Księżniczka Riolata Ridareta wyruszyła do Rollayny i wkrótce potem wróciła na swój okręt — przerwała chorej przyjaciółce. — Posłała dalej swojego drugiego oficera, który jej towarzyszył. Mam go tutaj. Jeśli nie oszalał i nic nie pokręcił, to znaczy, że jego komendantka obiecała komuś swoją głowę i właśnie ją wiezie w prezencie, na razie jeszcze przytwierdzoną do karku. Prosi, by nic nie mówić jej opiekunowi, księciu Raladanowi. Za kilka tygodni stawi się tutaj, jak było umówione, albo przyśle za niego okup. Siebie samą w rozpoznawalnych, ale niegroźnych kawałkach.

Pierwszą Perłę przestał boleć brzuch. Ale z miejsca zaczęła głowa.

— Chyba umrę — szepnęła po chwili. — Co za przeklęty dzień...

— Nie umieraj. Najpierw wyciągnij Ezenę z tego sądu czy nie sądu. Ja nie wejdę, bo narobię zamieszania. Samym widokiem. Jeśli królową odciąga od ważnych spraw Pierwsza Perła Domu, to znaczy cokolwiek. Że boli ją brzuch. Ale jeśli ja, to znaczy, że był spisek, zamach, wali się królestwo i za chwilę będzie po wszystkim.

— Nie — powiedziała Anessa, siadając w łóżku, na skutek czego pod przejrzystą szatką do spania zarysowały się urocze fałdki na obolałej części ciała. — Są różne sprawy i różni wasale... Nie rób min, bo sprawa księżniczki Ridarety nie jest jedyną sprawą, którą ma na głowie królowa, i może nawet nie najważniejszą. Po co jej flota, jeśli od królestwa odpadnie Południowy Dartan?

— Nie odpadnie tak zaraz.

— Tak? Obraz tych dwóch, których spór właśnie rozsądza Ezena, a przygotujesz pod to bardzo dobry grunt — oznajmiła kpiąco, ale i trochę gniewnie Anessa, która czasem miała naprawdę dość przyjaciółki patrzącej tylko na czubek swego nosa; wierna „suka królowej” zajmowała się jej bezpieczeństwem, wypełniała specjalne misje, a poza tym niewiele ją obchodziło (skądinąd, tylko dzięki temu możliwa była przyjaźń między dwiema pierwszymi Perłami królowej; na żadnym polu ze sobą nie rywalizowały). — Za każdym z nich stoi dwadzieścia innych Domów, a od rodowych monogramów może zrobić się słabo. Nie wyciągnę jej stamtąd. Siedzi na tronie, a na głowie ma koronę... Podejdiesz teraz do niej? Ja nie idę. Chyba że, jak mówisz, był spisek, zamach, wali się królestwo i zaraz będzie po wszystkim. Naprawdę jest aż tak źle?

— No... nie. Ale co mam robić? Gonić księżniczkę? Ona przecież dokądś popłynęła, więc w jaki sposób ją gonić? Może lepiej popędzić za Gotahem, który chyba właśnie dojeżdża do domu? Muszę mieć jakieś decyzje. Jak najszybciej, a najlepiej natychmiast.

— To podejmij te decyzje. Od czego właściwie jesteś? Od dzwonięcia żelastwem w korytarzach są halabardnicy.

— Dobrze, mogę zdecydować, kogo gonić. A co z jego wysokością Raladanem?

— Najpierw on — orzekła Anessa. — Nie wiem, co księżniczka sobie umyśliła, ale rozumu naprawdę nie ma za miedziaka. W jaki sposób przez kilka tygodni mamy okłamywać jej ojca? Siłą można go trzymać i bez okłamywania. Ale jeśli Ezena ma cokolwiek wskórać ze swoim wymarzonym sojuszem, to droga na pewno nie wiedzie przez wręczenie Raladanowi worka pełnego pokrojonej córki. „Nic ci nie chcieliśmy mówić, panie, żebyś się nie martwił. Jesteś wolny, wasza wysokość, rozmówmy się teraz o flocie”... Auu... — jęknęła Anessa, kuląc się i masując żołądek. — Pójdę do niego. Może coś doradzi... będzie wiedział... au. Gdzie jest ten pirat Ridarety?

— Tutaj.

— Niech tu przyjdzie.

— Jesteś prawie naga. Nie, nie jest przystojny.

— Za to ty jesteś głupia. Niech tu przyjdzie za chwilę. Przystojny czy

nie... au, auu...

Służka przybiegła z domową suknią w rękach i pomogła się ubrać umierającej Perle.

— Zwracałaś? Piłaś ziółka?

— Tak, całe śniadanie — powiedziała z żalem Anessa. — Na miętę już patrzeć nie mogę.

— Śniadanie?... Przecież bolało cię już wczoraj?

— Ale myślałam, że z głodu.

— I mówisz, że ja jestem głupia? — z ciekawością zapytała Hayna.
— I księżniczka Ridareta też?...

Anessa ubrała się.

— Gdzie ten pirat?

— Zostawiłam go w pierwszym pokoju.

— Idź po niego, Ayano — powiedziała Anessa.

Po chwili z namysłem przyglądała się Saylowi, który tak samo uważnie oglądał nieuczesaną, skrzywioną, niemniej bardzo piękną (choć trochę przyciężką...) panią, odzianą w pospinaną łańcuszkami jedwabną białą suknię, z której trudno byłoby wykroić trzy fulary.

— Mów, co wiesz.

Oficer powiedział, ale nie mógł dodać nic ponad to, co już słyszała Hayna. Pierwsza Perła nawet nie za bardzo miała o co dopytać.

— Pójdiesz ze mną, panie — powiedziała. — Poczekaj tam, gdzie stałeś przed chwilą.

Sayl wyszedł.

— Jeśli jest w tym jakaś intryga, to ja nie wiem, na czym ma polegać. Wezmę go do księcia Raladana. Żadnej tajemnicy nie będzie — zdecydowała. — A ty odpocznij chwilę, bo przygnałaś tu galopem, tak? Może zaraz znowu będziesz galopować. Idę pomówić z Raladanem. Gdzie cię potem szukać?

— Tutaj — powiedziała Czarna Perła, siadając na ciepłym łóżku i z zaciekawieniem biorąc do ręki nocną szmatkę zdjętą przez przyjaciółkę, bo choć ciało pielęgnowała po dartańsku, to sypiała po armektańsku, tak jak jej królewska wysokość. — Ayano, w głównym korytarzu znajdziesz grupę żołnierzy pod bronią. Powiedz ich dowódcy, że chcę pięćdziesięciu lekkich jeźdźców na świeżych koniach, z jucznymi, jak na wyprawę. Oprócz tego podjezdek i pełnokrwisty dartańczyk dla mnie. Kilka

zapasowych luzaków. Jeśli czegoś nie zrozumie, niech tu przyjdzie. Zapamiętasz?

Służka nie była żołnierką, ale nie była też gapą.

— Tak, Perło.

— Nie rób słodkich oczu do moich żołnierzy; trochę już cię znam — ostrzegła Hayna. — Jak wrócisz, przynieś mi coś do jedzenia.

— Tak, Perło.

— Au... — jęknęła Anessa, już w drugim pokoju.

*

Raladan nie miotał się po swojej złotej klatce, bo nie miało to żadnego sensu. Wyglądał przez okno. Odwrócił się i przyglądał jej królewskiej wysokości z taką samą uwagą, jak ona jemu. Trochę już go znała, ale jednak nie spodziewała się podobnego spokoju u człowieka czynu, któremu niedawno powiedziano, że ma siedzieć i nic nie robić, czekając na wiadomość o śmierci najbliższej osoby.

On zaś patrzył, bo po raz pierwszy widział monarchinię w uroczystym stroju. Nie przebrała się, przyszła niemal prosto z sali tronowej. Natychmiast po rozmowie z Pierwszą Perłą.

Olbrzymia czerwona suknia zamiatała posadzkę i zawadzała o sprzęty; królowa niecierpliwie ją szarpnęła. O koronie na skroniach chyba nie pamiętała.

Towarzysząca jej Pierwsza Perła stanęła przy drzwiach niczym zwykła niewolnica. Wciąż była trochę blada (Raladan już przed południem dowiedział się, że jest chora).

— Proś, księżę, a może dostaniesz — powiedziała po długiej chwili milczenia, ale za to bez żadnych wstępów królowa.

Nawet nie mrugnął okiem. Zamiast tego odrzekł ze spokojem:

— Nie targuj się, pani, a na pewno kupisz.

Zaniemówiła. Dopiero po chwili, z pełnym powątpiewania uśmiechem, zapytała:

— Nie zależy ci?

— A tobie?

— O nie, księżę, chwileczkę... Nie będziesz ze mną rozmawiał w taki sposób. Zechciej nie pomijać tytułu i odpowiadać, gdy pytam.

— Nie, bo nie jestem politykiem, królowo, i do pustych pytań nie mam cierpliwości — odrzekł tak bezczelnie i szorstko, że zaniemówiła

po raz drugi.

— Wyjdź stąd — powiedziała po chwili do Anessy.

Perła wyszła. Rozległ się stukot oddalających się kroków. Po raz pierwszy agarcki książę i dartańska królowa zostali tylko we dwoje.

— Co mi chcesz udowodnić, żeglarzu?

— Niewiele, wasza wysokość. Oboje mamy coś na sprzedaż i oboje coś chcemy kupić. Po prostu ustalmy ceny i dobijmy targu. Przecież nie mamy czasu. Obojgu nam zależy na życiu mojej córki, bo jeśli ja ją stracę, to ty czegoś nie zyskasz.

— Wydałam już rozkazy.

— Oby zostały dobrze wypełnione.

— Jeśli cię wypuszczę... Gdzie pojedziesz?

— Do moich dłużników, mieszkających blisko En Anelu.

— Już tam ktoś pojechał.

— Może wrócić z niczym. Jak dotąd, sprawiedliwi Przyjęci nie kiwnęli palcem, by spłacić chociaż część długu.

— Jeśli...

Przerwał jej.

— Wasza królewska wysokość, przecież umiesz podejmować decyzje — powiedział trochę dobitniej, niż musiał, zdradzając tym samym, że jednak nie jest aż tak spokojny, jak to okazywał. — Prędeziej albo później i tak będziesz musiała uwierzyć mojemu słowu. Chcesz wymusić i utrzymać sojusz, trzymając w nieskończoność zakładnika albo zakładniczkę? To igranie z ogniem, a tymczasem rozmawiasz z najemnikiem, któremu wystarczy uczciwie zapłacić. Najemnicy żyją z żołdu albo płatnych zleceń. Ale nie zawierają sojuszy, bo nie są politykami.

Przeszła się po komnacie, przez chwilę rozważając to, co powiedział.

— Może i tak — przyznała. Po czym dorzuciła nieoczekiwanie: — Ale ja chciałam widzieć w tobie kogoś więcej niż tylko najemnika, książę.

— A kogo? — zapytał z ironią, było w niej jednak trochę goryczy. — Nie zależy mi na żadnej z tych rzeczy, które śnią się po nocach królowym. Gdyby żyła moja żona, pani, rozmawiałybyście pewnie o Wielkim Księstwie Agarów, układały traktaty dotyczące spraw, których nawet nie umiem nazwać... Ale stoi przed tobą zwykły żeglarz, niepewny swojego pochodzenia, któremu kiedyś jego dowódca powierzył opiekę nad

skrzywdzoną dziewczyną, własną córką. Pod tą nieudolną opieką spotkało ją wszystko co najgorsze, a żeglarz wciąż ma jedno marzenie: żeby ta dziewczyna żyła i była szczęśliwa, obojętnie jakim kosztem. Dla siebie zaś wymarzył pływanię po morzach i gotów to robić za pieniądze Armektu przeciw garyjskim rebeliantom, potem za pieniądze Dartanu przeciw Armektowi... Wojny były, są i będą; to wy je dyktujecie — królowe, księżne, cesarzowe... A my, najemnicy, tylko się dla was zabijamy. Bardzo uczciwie, bo za srebro, nie za jakieś idee, które prędeży albo później i tak ktoś przedstawi na opak, a wszyscy, co mu darmo służyli, wyjdą na głupców. To tyle, wasza wysokość. Opowiedziałem ci o sobie; teraz zechciej mi wreszcie zaproponować żołd.

Wysłuchała go, chodząc po komnacie.

— Dobrze, najemniku. Jesteś wolny. Zaraz każę wydać pismo, które ci zapewni pomoc moich żołnierzy. Gdy załatwisz swoje sprawy, obojętnie z jakim skutkiem, staw się u mnie, a sownie zapłacę za twoje przyszłe usługi.

Odwróciła się i ruszyła ku drzwiom.

Raladan dowiedział się nagle, że pogarda może zboleć; często miewano dlań wrogość, ale nigdy pogardę. Znowu wygrał, prowadząc rozmowę na swoich własnych warunkach. Nie chciał jednak być wzgardzony.

Nie przez królową Ezenę.

— Wasza wysokość — powiedział.

Nie zatrzymała się.

Na korytarzu, przed masywnymi drzwiami strzeżonymi przez halabardników, czekała Pierwsza Perła. Ruszyła ku królowej, ta jednak uniosła rękę.

— Nie, Anesso, proszę. Zostaw mnie.

Samotnie poszła korytarzem.

Nie miała dla syna obiecaną bajki, że „już nie jesteśmy sami...”. Była sama, mogła sobie co najwyżej kupić usługi pewnej liczby najemników.

15.

Przewodnik prowadził pewnie, ale zaraz za En Anelem przestał być potrzebny. Raladan i Sayl natknęli się na wracający do Rollayny oddział

gwardii królewskiej. Dowodziła nim piękna Hayna.

Nie uzyskała pomocy od Przyjętych. Nie wiedziała nawet, jak i o co prosić. A na koniec (czy raczej: przede wszystkim?...) Hayna wcale nie chciała tej pomocy uzyskać. Posłusznie wypełniała rozkazy królowej. Jednocześnie jednak w głębi serca pragnęła, by groźny dla jej pani, wciąż nieujarzmiony i niekontrolowany Rubin Córki Błyskawic przepadł wreszcie bądź został zniszczony raz na zawsze. Prosiła więc o pomoc nieszczerze. Nalegała nieprzekonująco.

Raladan oddał Czarnej Perle pismo, z którego wynikało, że ma uzyskać od niej wszelką pomoc.

Hayna bez słowa zawróciła konia. Gdy zapadł wieczór, pół setki jeźdźców z powrotem zajechało przed cichy dom, otoczony ogrodem z sadzawkami. Pojawiła się służba. Było jasne, że goście już zostaną na noc, ale dobrze wyposażeni żołnierze mieli zapasy, namioty i niczego nie potrzebowali, zwłaszcza że pogoda dopisywała. Rozkulbaczone konie powiedziano na pobliską łąkę — niczyją, a ściślej: królewską. Jednakże, w związku z dzikim wypasem, raczej nie należało spodziewać się kłopotów ze strony jakiegoś patrolu Królewskiej Straży Krajowej...

Na widok Raladana Gotah sposepniał, natomiast Przyjęta zbladła. Było to ich pierwsze spotkanie od chwili, gdy w kajucie „Zgniłego Trupa” pokazał jej skatowanego, lecz żywego męża, uścisnął znacząco ramię, po czym powiedział cicho: „Zabierz go”. I wyszedł z Mevevem na pokład, niby odruchowo zamykając drzwi.

— Wasza godność — powiedział od progu — przyjechałem prosić o pomoc.

Nie powiedział: „odebrać dług”.

Przestronny pokój był urządzony gustownie, lecz skromnie; małżeństwo Przyjętych nie żyło w biedzie, ale jednak najwyżej na krawędzi dostatku. Wydawało się, że wszystko, co zbytkowne w tym domu, nosi na sobie jego pani... Raladan nie miał głowy do podobnych rozważań, ale był spostrzegawczy i mimochodem odnotował w myślach, że Przyjęty rozpieszcza swoją dwakroć młodszą od niego urodziwą żonę. Domowa suknia jej godności na pewno była warta więcej niż połowa sprzętów i ozdób w tym pokoju.

Raladan nie mylił się. Gotah, jeszcze przed pierwszą rozmową Kesy z garyjskim Księciem Przedstawicielem Cesarzowej, bez żadnych

skrupułów sprzedał całą masę Porzuconych Przedmiotów, by sprawić żonie futro z granatowych lisów, które, jak powiadał, było niezbędne dla wywarcia odpowiedniego wrażenia na rezydującym w Doronie wicekrólu (cóż... wrażenie istotnie wywarło).

— Usiądźmy — powiedział Gotah po garyjsku, bo był to język, którym mogli posługiwać się wszyscy.

Po czym po dartańsku zwrócił się do służki w białej szatce:

— Zadbaj o poczęstunek, wieczerzę zjemy później.

Hayna nie skorzystała z zaproszenia; zamiast usiąść, oparła się o ścianę. Kesa też nie usiadła.

Raladan usiadł, ale nie przy stole, tylko na krześle przy drzwiach, tak jakby zaraz chciał wychodzić.

— Nie muszę chyba mówić, co zaszło; jej godność Hayna już na pewno wszystko powiedziała. Potrzebuję pomocy — powtórzył.

— Jakiej pomocy, panie?

— Nie wiem, gdzie jest Ridareta, i nie wiem, co w nią wstąpiło. Czy jest sposób, żeby się dowiedzieć? To na pewno ma jakiś związek z Szernią. Może raczej z Rubinem i Ferenem, ale dla mnie to wszystko jedno. Ridareta miewa kaprysy i stać ją na wybryki, ale nie takie. To musi być wybryk Riolaty. A o tym Przyjęci mogą wiedzieć najwięcej.

— Poczynania księżniczki Riolaty Ridarety już nie interesują Przyjętych, panie — wytłumaczył Gotah. — W tej chwili to są tylko porachunki między awanturnikami, a gdzieś tam w tle mamy wielką politykę. To nie są sprawy Przyjętych.

Raladan patrzył wyczekująco. Gotah pokiwał głową, dał gestem do zrozumienia, że wychodzi tylko na moment, i opuścił pokój. Zaraz wrócił, niosąc plik zapisanych kart. Pierwszą z nich podał Raladanowi. List napisano po armektańsku... ale agarski książę musiałby stracić pół nocy na zapoznanie się z jego treścią.

— Ja przeczytam. Mogę? — zaofiarowała się Hayna.

Raladan oddał jej list. Zaczęła czytać na głos, po pewnym czasie przerwała i popatrzyła na Przyjętych. Gotah siedział; Kesa wciąż stała, z dłońmi na oparciu krzesła.

Hayna wróciła do czytania. Skończyła.

— Dlaczego ja nic o tym nie wiem? — zapytała.

— Zechciej, Perło, zapytać o to swoją panią — odrzekł sucho Gotah.

— Królowa zna treść tego listu?

— Oczywiście.

— Księżniczka już nie może doprowadzić do zniszczenia Ferenu?

— Nie. Ale dla ciebie, Perło, jest to wiadomość bez znaczenia i może właśnie dlatego królowa nie chciała zawracać ci głowy. Feren nie jest zagrożony, ale Ezena, Anessa i Hayna — owszem. Tu nic się nie zmieniło.

— Riolata nadal będzie próbowała nas zabić?

— Oczywiście. To tylko rzecz, mająca określone przeznaczenie, niezdolna do rezygnacji z... Bliskość tego, co zwykła atakować, zawsze wyzwoli jej aktywność. Wiatrak nie musi przemieniać ziarna w mąkę i zostawiony sam sobie, zawsze będzie się kręcił na wietrze, choćby to nie miało sensu. — Gotah lubił uciekać się do przenośni i porównań. — Tak długo, aż się zepsuje. Rubin też się rozpadnie, bo nie ma już tego, co symbolizował.

— Ale to potrwa nawet kilkaset lat?

— Tak, bo Porzucone Przedmioty, symbole Pasm, są bardzo trwałe. Trwalsze niż same Pasma, które nie muszą być odporne, bo nic im nie zagraża. Wojna z Alerem to fenomen, z którym takie siły sobie nie radzą. Ale zwykle Pasmom nic nie zagraża, nic oprócz różnorodnych napięć występujących w Szerni, te napięcia jednak są zjawiskiem w jej łonie naturalnym i działają mechanizmy, które je regulują. Tu, w Szererze, takich mechanizmów nie ma, zastępuje je statystyczna prawidłowość, która jednak nie odnosi się do działania pojedynczych kapryśnych sił, choćby takich jak świadoma działalność istot rozumnych. Porzucone Przedmioty, symbole Pasm, muszą umieć się temu przeciwstawić. Dlatego są takie trwałe, właściwie niezniszczalne.

— Zaraz... Wojna Szerni z Alerem trwa od niedawna, czy tak? A prawie wszystkie Porzucone Przedmioty potraciły swoje właściwości. Tylko Rubin ma je tracić przez kilkaset lat?

— Szerń jest w stanie wojny, przewartościowały się tam treści wszystkich Pasm, a z nimi właściwości Przedmiotów. Nie rozpadają się, nadal są symbolami, tyle tylko że niezrozumiałymi. Natomiast niezależny układ dwóch Odrzuconych Pasm uległ rozerwaniu, jest zniszczony. Jedno Pasma to nie jest jakaś „połowa” układu dwóch Pasm. One wchodzą ze sobą w skomplikowane relacje, układ Pasm jest konstrukcją nie tyle ilościowo, co jakościowo inną. Teraz, będąc symbolem niczego — mówił

Gotah — Rubin niemal natychmiast zaczął się rozpadać i stracił co najmniej połowę swoich właściwości, ale to co zostało, będzie dogorywać bardzo długo. Aż pewnego dnia wszystkie Rubiny rozpułną się, może rozsypią w proch, wyparują... A księżniczka Ridareta umrze, nie inaczej chyba niż każdy inny człowiek. Może będzie jej oszczędzona starość?... Moldorn twierdzi, że ma zbyt mało danych, by opisać proces rozpadu Rubinu od początku do końca. Wypada wierzyć jednemu z największych matematyków Szerni, jacy kiedykolwiek stąpali po ziemi.

— Będę miał zwykłą, długowieczną, ale śmiertelną dziewczynę? — zapytał Raladan.

— O, zwykłą na pewno nie... Ale reszta się zgadza, książę.

— Więc proszę o pomoc w jej odnalezieniu i nie poproszę po raz czwarty. Wasza godność — zwrócił się wprost do Kesu.

— Wyrządziłam mnóstwo zła, mieszając się w sprawy, które mnie przerastają — powiedziała z wysiłkiem. — Nie zrobię tego więcej. Chciałabym, żebyś mi przebaczył, wasza wysokość. Ale jeśli nie możesz, to spróbuj chociaż zrozumieć.

— Co znaczy: mnóstwo zła?

— Mogłam trwale zachwiać równowagą Szerni.

— Teraz też możesz zachwiać?

Zawahała się.

— Nie... Już chyba nie.

Pasma trwały w stanie wojny i aktywność nie zagrażała równowadze Szerni. Została zachwiana wtedy, gdy zawieszona nad światem potęga próbowała przekazać śmiertelniczce niemal wszystkie — albo zgoła wszystkie — swoje treści.

— Za dużo umiem i wiem — powiedziała, nie wdając się w tłumaczenia. — Ale nie żyje jeden z naszych towarzyszy, a drugi jest konający. Bardzo wielu ludzi zginęło. Wyrządziłam mnóstwo zła — powtórzyła niczym zaklęcie. — Niczemu nie zapobiegłam, a rozpętałam...

— Wasza godność.

Zamilkła.

— Ja ci zaraz pokażę mnóstwo zła — obiecał bardzo spokojnie. — Bierność z wyboru to też jest działanie. Zechcesz wziąć na siebie skutki swojej decyzji?

— Cokolwiek zrobisz... to będzie twoja decyzja, nie moja.

— Bardzo tanie usprawiedliwienie. Lubicie ładne opowieści? Jeśli pilot prowadzi okręt na rafy, a ktoś inny to widzi i ma wszystko gdzieś, to zechce potem popatrzeć w oczy rodzinom marynarzy. Nie powstrzymał głupca, a może szaleńca, chociaż łatwo mógł to zrobić. Jest bardziej winny niż szaleniec.

— Jesteś szaleńcem, książę?

— Takim jak kobieta, która w środku nocy zjawia się półnago w czyimś domu, na zmianę prosi i grozi, gotowa potem utonąć w morzu, bo jej na kimś zależy? Tak, jestem takim szaleńcem — powiedział Raladan, wstając i przewracając ciężki stół, który niemal przygniótł siedzącego za nim Gotaha. — Zaraz podpalę ten dom, wyrznię służbę, a nawet psy. A na samym końcu gospodarzy, skoro do niczego nie są mi potrzebni. I nie zacznę od gospodyni... Będiesz na to patrzeć albo mnie powstrzymasz. Czy siłą, mądra pani? Jeśli tak, to jaki sens ma teraz twoja bierność?

Mówiąc, nie tracił czasu. W kandelabrze, który spadł ze stołu, utrzymało się kilka świec; dwie płonęły. Raladan podpalił kotarę i obejrzał się w samą porę, by zobaczyć w drzwiach przerażoną niewolnicę, która upuściła paterę z owocami. Cisnął kandelabrem i dziewczyna krzyknęła, chwytając się za przetrąconą, być może złamaną rękę. Rozsypały się połamane świece.

Krzyknęła także Kesa, chyba nawet głośniejsze niż służka.

Gotah zbierał się z podłogi. Hayna stała, opierając się ramieniem o ścianę; jedwabna zasłonka nie pozwalała dojrzeć wyrazu jej twarzy. Kesa podbiegła do klęczącej w progu, płaczącej z bólu dziewczyny. Nie zdążyła obejrzeć złamanego przedramienia, bo między nią a niewolnicę wsunięto głownię miecza.

— Szkoda czasu — powiedział Raladan, dotykając bronią gardła dziewczyny.

— Przestań!

— Powstrzymujesz mnie, wasza godność? I to nie siłą?

— Tak, powstrzymuję. Natychmiast zabierz tę broń.

— Nie wiń swojej pani, dziewczyno — rzekł Raladan. — Jest tchórzliwa i nie chciała uspokoić pomyleńca, ale teraz nabrała odwagi. Szkoda, że to trwało tak długo.

— Jesteś... podły.

Hayna szybko, ale bez paniki zerwała płonąca kotarę, wybiła

krzesłem szybę w oknie i za pomocą miecza wypchnęła płonąca szmatę na zewnątrz. Zdeptała tłący się dywan. W pomieszczeniu było pełno śmierdzącego dymu, który jednak zaczynał się ulatniać przez wybite okno.

W drzwiach, obok Kesy i zapłakanej niewolnicy, pojawił się żołnierz. Majaczyło za nim kilku innych, do tego Sayl i pacholek gospodarzy.

— Już nic się nie dzieje — powiedziała Hayna.

Gotah potwierdził krótkim gestem. Pacholekowi polecił sprzątnąć pokój. Znająca się na ranach i urazach Hayna pomogła Kesie nastawić i opatrzeć rękę niewolnicy. Wkrótce mogli wrócić do rozmowy. Ale było to bardzo trudne. O wiele, wiele łatwiej przychodziło zachować milczenie.

Wstrząśnięte małżeństwo Przyjętych jeszcze raz mogło się przekonać, jaka jest różnica między człowiekiem czynu, a rozmarzonymi fajtlapami. Stanowczość i brak skrupułów bardzo rzadko łączyły się z... mądrością. Tą szczególną, podobną czasem do głupoty mądrością, która kazała zawsze i we wszystkim widzieć drugie dno, jakąś „inną stronę” problemu. Kesa tylko raz w życiu była gotowa nie zważać na nic, ale... czy za tą gotowością na pewno mogły pójść czyny? Zagroziła Raladanowi, powiedziała: „Pomóż mi, albo zabiję twoją córkę”, ale czy na pewno była zdolna do tego? Czy umiała?

A Raladan tak. Nawet Gotah, gorzej znający pirackiego księcia, nie miał wątpliwości, że ten człowiek wszystkie swoje groźby niezwłocznie wprowadziłby w czyn.

— Myślę, że za zniknięciem Ridarety stoi Moldorn, tak wynika z jego pożegnalnego listu — powiedziała w końcu Kesa.

Była bardzo opanowana. Chłodna i rzeczowa.

— Nie umiem się dowiedzieć, co wymyślił — ciągnęła. — Ale mogę... możemy znaleźć się na pokładzie „Zgniłego Trupa”. Ridareta przecież wróciła na swój okręt? Może ją tam znajdziemy.

— Nie wiem, gdzie jest teraz „Zgniły Trup” — rzekł Raladan.

Pamiętał, że Przyjęta musiała chociaż w przybliżeniu znać położenie żaglowca.

— To bez znaczenia — odparła. — Trafiłam tam raz i już zawsze trafię. To przypomina... — Zastanowiła się. — Przypomina nic. Skoro raz ją przeciągnęłam do jakiegoś miejsca, to już zawsze trafię po tej nici. Nawet jeśli „miejsce” się przemieszcza.

- Więc wiesz, gdzie jest okręt?
- Nie wiem. Ale trafię po nici — wytłumaczyła ponownie.
- Kiedy możemy wyruszyć?
- Zaraz. Przebiorę się i wrócę.

Kesa wyszła. Hayna poszła do swoich żołnierzy. Gotah i Raladan zostali sami.

— Masz we mnie wroga, księżę — przemówił po chwili Przyjęty.

Raladan odpowiedział uważnym spojrzeniem.

— Nie, wasza godność — rzekł spokojnie, a nawet nieco pobłaźliwie.
— Upokorzyłem dzisiaj twoją żonę, ale potrafię odróżnić czyjąś wrogość od gniewu. Naucz się i ty. Gniewacie się na mnie oboje, ale gniew łatwo mija. I często na jego miejscu pojawia się wstyd.

*

— Nie śpij, synu — powiedział Raladan. — Kapitana na okręcie?

Ogłupiały majtek niepewnie spozierał to na agarskiego władcę, to na towarzyszącą mu blondynkę w bardzo dobrze skrojonym, dyskretnie zdobionym, ale i wygodnym stroju: miała grubą czarną spódnicę do ziemi, spiętą pasem z dwoma sztyletami, koszulę i kaftan ze świetnie wyprawionej skóry. Starannie uczesana, wyglądała jak... królowa w podróży.

Gdyby znalazł taką śliczność na abordażowanym statku, to udusiłby albo rozbił głowę o ścianę, żeby nie uszkodzić orężem i nie zaplamzić krwią cennych szat. Znał się na wartości przedmiotów.

— Ogłuchłeś? Pytam o coś.

— Kapitana?... Nie, jest tylko Cichy... — wymamrotał majtek.

— Trzymaj wachtę i nie śpij, bo znowu ci ktoś spadnie z nieba.

— Tak, panie.

Ująwszy Przyjętą pod łokieć, Raladan ruszył ku rufie. Ale zatrzymał się po kilku krokach.

Okręt stał na kotwicy. Księżyc i gwiazdy świeciły jasno. Rozejrzawszy się dokoła, Raladan powiedział:

— Popatrz... Ten cypel. A tam... brzeg. Gdyby były ogniska?...

— To tutaj — szepnęła i Raladan poczuł, jak zadrżała.

„Zgniły Trup” kotwiczył niemal w tym samym miejscu, co kiedyś. U wybrzeży Niskiego Grombelardu. Na majaczącym w oddali czarnym brzegu na pewno jeszcze spoczywały, rozwłózione przez zwierzęta,

rozdziobane przez ptactwo, szczątki Gotahowych i królewskich żołnierzy, bo ciała poległych marynarzy pozbierano i oddano morzu.

— Czy popłyniemy teraz ratować twojego męża, pani? — zapytał i był to pierwszy prawdziwy, niemaskowany wyrzut, jaki usłyszała z jego ust.

— Nie, bo żyje i jest bezpieczny — powiedziała jeszcze ciszej niż przed chwilą. — Przebac mi. Naprawdę mi przebac.

Pociągnął ją dalej, bo poczuł, że gotowa się zaraz rozpłakać. Źle wpływał na tę kobietę; stale przy nim płakała.

Szczęściarz Mevev nie był pijany i łatwo dał się obudzić. Gapił się, gapił, wreszcie westchnął, wstał z wyra i poczłapał do kąta, gdzie stał cebrzyk z wodą. Uniósł go i pił. Przyjęta, lekko zawstydzona, odwróciła spojrzenie, bo Cichy tej ciepłej nocy spał „po armektańsku”.

— Dobra — powiedział, gdy się napił. — Tylko nie mów mi, żeś przyplłynął na „Delarze”.

— Nie — przyznał Raladan. — Szukam Ridarety.

— To się spóźniłeś. Nawet niedużo.

Cichy pogapił się na ścianę. Pokiwał głową.

— Poszła komuś nakopać. Do Grombelardu. Dokładnie, to nie wiem gdzie.

— Tak ci powiedziała?

— Właściwie nie. Nic nie powiedziała. Nie znasz jej? Wzięła pół setki chłopaków, powiedziała „czekaj tu”. I poszła.

— To skąd wiesz, że do Grombelardu?

— Bo zabrała wszystkich, którzy mówią po grombelardzku. Trafiło się dwóch. Nie szukała tych, co umią po dartańsku. Ani po armektańsku.

— Ciebie wziąć nie chciała?

— Pewnie chciała. Ale Sayl chyba w Rollaynie... A może ty wiesz, gdzie? Zostałem na „Zgniłku”, bo kto miał zostać? Nells? Nie odróżnia bezana od grot.

— Coś się stało z Ridaretą? — zapytała Przyjęta. — Była inna niż zwykle? Ty jesteś Mevev Cichy, mówiła mi kiedyś, w Aheli, że jej pomagasz. Z Rubinem. I dużo o tym wiesz.

Cichy popatrzył na kobietę, potem na Raladana, który skinął głową.

— Pamiętam cię, wasza godność — rzekł oficer, wracając do wyra, siadając na nim i wytwornie okrywając się żeglarskim pledem. — I z

Aheli, i potem, stąd. Ale nie tak pięknie żeś była ubrana.

— Nie martwisz się o swoją dowódczynię? Posłała do Rollayny wiadomość, że przyjedzie za kilka tygodni albo ktoś tam dostarczy jej głowę. Ale to brzmi... niewiarygodnie. Tak jakby wcale nie wierzyła, że jednak przyjedzie sama, i mówiła o tym tylko dla uspokojenia. A tymczasem ma z kimś umowę: pozwoli się zamordować, a ten ktoś pośle do Rollayny dowód, że zginęła.

Zaskoczony Mevev znowu popatrzył na Raladana. Ten potwierdził.

— Sayl z tym przyjechał. Nie mówiła ci, z czym go posłała?

— Nie.

— A tobie powiedziała, że jedzie komuś dokopać. Przyjętemu? Tak jak wtedy tutaj, na brzegu?

— Ta — powiedział Cichy i po chwili dodał: — Miała dość.

— Dość? Czego?

— Ciebie, Kitara... Siebie, mnie... Nie wiem czego. Wszystkiego.

— I puściłeś ją?

— Raladan... Ty głupi jesteś? Czy co?

Jego wysokość nic nie odpowiedział.

— Mevevie Cichy — powiedziała Przyjęta. — Pomóż nam. Cokolwiek dziwnego... Jakieś imię, nazwa? Miasto? A w jej zachowaniu? Nic? Zupełnie nic?

Oficer myślał, po swojemu kiwając głową.

— Powiedziałem co. Miała dość. No to pojechała zatłuc łobuza. Poprawić sobie humor. Uwierzyłem, bo czemu nie?

— Dawno wyruszyła?

— Wczoraj rano.

— Czyli dwa dni.

Raladan popatrzył na Kesę.

— Wracajmy — powiedziała. — Tak naprawdę Grombelard to tylko jedna droga, wiodąca przez góry do kilku zburzonych miast. Do Londu ani do Rahgaru nie poszła, bo zaczęłaby od drugiej strony. Do Romogoo-Koor tym bardziej nie, bo tam najłatwiej się dostać drogą morską. Chyba wiem, gdzie zmierza. A ty się nie domyślasz? Dogonimy ją.

— Jadąc z twojego domu, mamy do nadrobienia jakieś sto parę mil. Może lepiej gonić ją stąd?

— Pieszko? Nie umiem maszerować. A przede wszystkim nie

wiadomo, jaką drogę wybrała, możemy ją minąć, wyprzedzić i nawet o tym nie wiedzieć... Nie. Marynarze to chyba marni piechurzy? A ty masz pięćdziesięciu świetnych jeźdźców na najlepszych koniach, którzy pokonają dziennie cztery razy tyle mil, co żeglarze. Lepiej dogonić ją już w Grombelardzie, tam za Sępią Przełęczą jest tylko jedna droga i nie można się na niej minąć. Ty decydujesz, książę, ja tylko radzę — zastrzegła. — Jeśli się mylę, to nie chcę, żebyś potem... patrzył na mnie z...

— Nie popatrzę. Wracajmy.

— Na pewno?

— Na pewno. Też coś wiem o Grombelardzie, może więcej, niż ci się wydaje. Dwa lata temu wyruszył tam mój przyjaciel... zresztą wszystko jedno. Jeśli ruszymy stąd i jej nie dogonimy, to we dwoje nie mamy czego szukać w tym kraju. Zatłuką nas jakieś męty za pierwszym zakrętem ścieżki. Zabierajmy się stąd — zakończył i wziął ją za rękę.

Cichy chrząknął.

— Jak tak, to poślę za nią paru. Może znajdą gdzieś jakieś konie. I dogonią. Co jej powiedzieć, jakby co?

— Że jej ojciec jest wolny, że ją goni i niech na niego poczeka przed Sępią Przełęczą — podpowiedziała Kesa. — Że wszystko można naprawić, nikt na nią nie będzie już polował... bo dwoje Przyjętych to jej sprzymierzeńcy, a trzeci niedługo umrze. Jest śmiertelnie chory. Nie trzeba go zabijać ani się go bać. On nikomu już nic nie robi.

— Dobra — powiedział Cichy i znów zwrócił się do Raladana. — Kitar ją zostawił. Wiesz? Pokazała mu... no. Co robi z nią ta jej „suka”.

— I zostawił ją?

— Ta. No już, pokażcie mi teraz te wasze czary. Jak odlatujecie. Czy znikacie.

Kesa wzięła Raladana za rękę. Zamknęła oczy.

Rozpłynęli się i Cichy został sam.

Gotah i Hayna o nic nie zapytali. Kesa bez słowa puściła rękę Raladana i wyszła. Wróciła po chwili. Miała lekko zaczerwienione oczy.

— Już nic, dobrze — powiedziała. — Czasem trochę zaboli... Nic groźnego! — stanowczo uspokoiła męża.

Opowiedziała o rozmowie z Cichym.

— Jeśli Grombelard to na pewno Gromb — zakończyła. — Nic innego nie przychodzi mi do głowy. Może Moldorn chce coś sprawdzić,

porozmawiać z Wiedzącym...? Nie wiem. Ale myślę... zgaduję... że chce go odszukać. W jakiś sposób sprowadza tam księżniczkę, bo inaczej może nie zdążyć. Nie zrobi wszystkiego po kolei, więc jedzie do Grombu i od razu ciągnie ją za sobą.

— Ukradł... Nie, nie ukradł. Zabrał wszystkie pieniądze, jakie przyszły do En Anelu. W końcu miał prawo tym rozporządzać tak samo, jak my.

— Przenocuję na zewnątrz z żołnierzami — rzekł Raladan. — Pożegnaj się już teraz, bo wyruszamy wcześniej, myślę, że bardzo wcześniej. A ty, Perło?

— Pojadę z tobą, księżę — powiedziała krótko. — Uzyskałeś od królowej pomoc jej żołnierzy, ale to nie to samo, co objęcie nad nimi komendy. Żołnierzami dowodzę ja.

— Odpowiada mi to — odparł, po czym zwrócił się do Przyjętej: — Wasza godność, dziękuję. Już mi nie jesteś nic winna.

— To dobrze. Dom nie jest duży, ale jeden z pokoi jest pokojem gościnnym. Łóżka mają zasłonki. Jeśli dwoje wojowników może dzielić jedną sypialnię przeznaczoną dla czterech osób...

— Może — obojętnie powiedziała Czarna Perła. — Nie śpij na dworze, księżę, jeszcze zdążysz. Dowódcy muszą oszczędzać siły, bo od ich decyzji zależy los podkomendnych.

— W takim razie obudzę was rano, to już niedługo, bo noce są teraz krótkie. Ja też jadę — powiedziała Przyjęta.

— Keso — rzekł milczący dotąd Gotah. Nie wyglądał jednak na zaskoczonego.

— Jeśli chcesz, to zostań, ale ci nie zazdroszczę. To nic przyjemnego. Ja już raz zostałam — przypomniała. — A teraz mam do załatwienia kilka spraw. Załatwię je i wrócę do tego domu, ogrodu... a przede wszystkim do ciebie, Gotahu. Chodź, Hayno, wskażę ci pokój. I ty też chodź, wasza wysokość. Nie będzie już wspólnej wieczerzy, każę podać wam coś do pokoju, jakąś lekką „żołnierską” przekąskę przed snem.

Potrafiła dowodzić. Wyszła, a za nią Hayna.

— Księżę.

Raladan już ruszył śladem kobiet, ale zatrzymał się w progu.

— Nie wstydzę się — rzekł Gotah. — Ale gniew rzeczywiście już mi minął. Bądź moim gościem tej nocy, nie masz we mnie wroga.

— Też pojedziesz?

— Pojadę.

— Jej godność Kesa na pewno będzie rada.

— Ty nie jesteś?

— Jestem.

— Ta brzydulka, którą dziś skrzywdziłeś, ma na imię Sema. Wczoraj po raz pierwszy zobaczyła mój dom, a dzisiaj po raz pierwszy podawała... próbowała przynieść gościom poczęstunek. Była dumna i przejęta tym zadaniem. Goście pana skrzywdzili ją, pan i pani nie obronili... Zapatrzeni w coś, popełniamy bardzo wiele drobnych... ale drobnych tylko dla nas, podłych czynów.

— Co mi chcesz powiedzieć, wasza godność?

— Że uznałem kiedyś twoje słowa za małoduszne, a tymczasem były po prostu życiowe. Mądre. Słabi nigdzie nie mają żadnych praw, zawsze zostaną skrzywdzeni przez silnych, choćby tylko mimochodem. Jedyna ich nadzieja w silniejszych, i to oni, ci silniejsi od silnych, ponoszą odpowiedzialność.

— Nie wiem, panie, nie jestem myślicielem — rzekł Raladan. — Każdy niech robi to, co powinien, nie szukając wykrętów i usprawiedliwień. Pozwoliłeś skrzywdzić swoją niewolnicę, ja źle opiekuję się córką... Poszukajmy winy w sobie, nie w innych.

— Otóż to, uczciwy piracie. Właśnie to chciałem powiedzieć. I dlatego z tobą pojadę.

Raladan skinął głową i poszedł, bo chciał się dobrze wyspać przed podróżą.

16.

Ślepa Foka Ridi urządziła swoim chłopcom prawdziwy marsz śmierci.

Po morzach pływało się także zimą, więc przed wyruszeniem w podróż majtkowie powyciągali ze swych worków różnorakie obuwie, używane w czasie owej przykrew pory roku. Raczej ciepłe niż mocne kaptcie i trzewiki, dobre do chodzenia po pokładzie, zdarły się jednak w niebywałym tempie. Bosonodzy, nie przyzwyczajeni do wędrówek marynarze już w pierwszej z brzegu napotkanej wiosce byli gotowi

wymordować wszystkich chłopów, byle tylko pozdejmować im chodaki z nóg. Jednak mordować Ridi nie pozwoliła, bo awantury mogły ściągnąć jej na kark jakiś oddział Królewskiej Straży Krajowej, jako że ta właśnie formacja, z woli i za przyzwoleniem pani Wiecznego Cesarstwa, patrolowała Niski Grombelard. Przerażone najazdem chłopcy na wyścigi oddawały łapcie, drewniaki i co tylko miały na nogach, ale raz, że niewiele miały, a dwa, nieprzywykli do podobnego obuwia marynarze męczyli się w tym bardziej niż bosy. Pogwałcono szybciotko dziewczyny i ruszono dalej ku zdumieniu osłupiałych wieśniaków, którzy takiej łaskawej bandy nigdy w życiu nie widzieli na oczy — te, które schodziły czasem z gór, były dużo gorsze, bo gwałciły nawet chłopaków, dzieciaki i stare baby, zabierały zaś wszystko, co nie było dobrze schowane. A ci tutaj — łapcie i już?...

Przekłęto ich z daleka, bo na pewno przywlekli co złego, paskudztwo albo jakieś nieszczęście. Najgorsza sprawa to z takimi ścierwami, które nie wiadomo czego chcą... Patrzta ich, łapcie zabrali. Stare baby i chłopaki im śmierzdzą. A żeby ich wszystkich choróbsko wydusiło; żeby ich matki przekłęły, a dzieci i wnuki pomarły z głodu w mękach.

Uradzono, że za tymi tutaj cudakami ani chybi idzie jakaś druga banda pod znaczniejszym wodzem i to dla niej wszystko zostało. Do wieczora wieś opustoszała — mieszkańcy pozbiali dobytek i uciekli do lasu.

Ridi jechała konno — był to wierzchowiec wielkim staraniem zabrany na pokład „Trupa”, potem zaś tak samo mozolnie przewieziony z powrotem na brzeg. Biedne zwierzę tylko jakimś cudem nie połamało nóg. Najpierw wydawało się oczywiste, że dowódczyni nie będzie się pieszo toczyć środkiem drogi ze swoim wydętym brzuchem, potem zaczęto sarkać, że tak sobie wygodnie jedzie — a przemierzano kraj zaledwie pofałdowany, wcale przyjazny wędrownice, trawiasty, obfitujący w cieniste lasy i strumienie dające ulgę stopom. Góry było widać dość dobrze, ale wznosiły się daleko, wciąż tak samo odległe, stale po prawej ręce. Tak było do chwili, gdy maszerujący marynarze natknęli się na resztki gościńca łączącego kiedyś pograniczną Akalę z nisko położonym, ale już jednak górskim miastem grombelardzkim, Riksem. Ridi nie miała pewności, czy zaniedbana droga jest na pewno tą, której szuka, ale

wiodła w dobrym kierunku i pomyłka mogła owocować najwyżej dojściem do stoków Gór Wąskich nie w tym miejscu co trzeba. Gdyby tak się zdarzyło, należało zasięgnąć języka i dowiedzieć się, w którą stronę do Sępiej Przełęczy. Dobrze myślała czy źle — w każdym razie trafiła gdzie trzeba. Grombelard — nawet Niski — nigdy nie był krajem zadbanym i przyjaznym, więc każdy mądrzejszy od pastucha człowiek zaraz by powiedział pirackiej księżniczce, że idzie dobrym gościńcem, a dobrym na pewno, bo w tych stronach po prostu jedynym.

Droga ta, niegdyś wcale uczęszczana, doprowadziła Ridi do gór — i dopiero wtedy naprawdę się zaczęło. Szlak, jak najbardziej przejezdny dla człowieka na koniu, a nawet ciężkiego kupieckiego wozu, kreślił jednak zygzakowatą, połamaną linię, wił się konwulsyjnie, gdzieś znikał, gdzie indziej się pojawiał... Z pozoru nieodległa Sępia Przełęcz zaczęła się wydawać miejscem nieosiągalnym; przyzwyczajeni do otwartych — i to jak otwartych! — przestrzeni żeglarze nie umieli pojąć, że od wielkiej skały, którą świetnie widzą, dzieli ich pół dnia drogi. Biegący niemal tuż nad głowami, w odległości strzału z łuku, odcinek gościńca można było osiągnąć dopiero po przejściu dwóch mil — chyba że ktoś pragnął posmakować wspinaczki na pionową ścianę.

Na Sępiej Przełęczy istniało coś, co mogło być kiedyś zajazdem — teraz było nie wiadomo czym. Nazywało się to „Pogromca” i musiało być otoczone szczególną opieką Pasm, bo w żaden inny sposób nie dało się wytłumaczyć, że ten zajazd-nie-zajazd przetrwał. Sprzedawano tu właściwie tylko berbeluchę. Widocznie nawet w Grombelardzie ktoś musiał to robić. Być może co parę miesięcy jakaś pijana banda traciła cierpliwość i mordowała szynkarza, ale na jego miejsce zaraz przychodził inny. Ridi i jej chłopcy nie wiedzieli, że widzą na własne oczy może już ostatnią żywą legendę grombelardzką... „Pogromca” przetrwał wszystko, choć czasy świetności miał za sobą. Kiedyś zabudowania zajazdu tworzyły niemal maleńki gródek, otoczony palisadą i rowem. Zatrzymywali się tu zmierzający do górskich miast kupcy, można było kupić wszystko, co potrzebne w podróży, godziwie przenocować w wielkiej wspólnej izbie na sianie, albo i dostać łóżko w jednej z dwóch małych izb. Całkiem ładna drużyna pachotków strzegła bezpieczeństwa mieszkających tu rzemieślników — oprócz kowala był rymarz, siodlarz, kołodziej, nawet szewc, a wszyscy z rodzinami. Ciężko było złupić tę

sadybę, bo oprócz trzymanych przez gospodarza zbrojnych (na co dzień po prostu posługaczy-stajennych) zawsze ktoś tutaj biesiadował albo nocował. A jadący w grombelardzkie góry kupiec i jego pomocnicy to nie byli ludzie krzyczący ze strachu na widok wyjętego z pochwy miecza. Jeśli dodać do tego, że mieszkańcy — owi szewcy i rymarze — też umieli dbać o swoją skórę; jeśli wspomnieć jeszcze, że ich córki i żony nie dały sobie dmuchać w kaszę (bo która prostytutka boi się byle pijaka i nie wie, kiedy warto złapać za nóż?), wychodziło, że „Pogromca” był zamkiem niemal nie do zdobycia. I rzeczywiście, złupiono go ledwie parę razy na przestrzeni kilkudziesięciu lat.

Ale te czasy miały już nie wrócić.

Chłopcy Ridi chcieli być właśnie tymi, którzy złupią „Pogromcę” po raz ostatni — ale nie bardzo było co łupić. Zresztą, dowódczyni nie pozwoliła. Popili więc tylko wódki; nie za dużo. Ale dobrze, że popili, bo wieczorem spadł deszcz. I wiał wiatr. Można było udusić się w chmurach, skłębionych na górze, na dole... Z przełęczą otwierał się widok na postrzępione i naprawdę już groźne, niedalekie (tylko czy na pewno?...) południowe stoki Ciężkich Gór. Marynarze patrzyli i patrzyli, nie mogąc wprost uwierzyć, że na świecie istnieją tak obrzydliwe rzeczy, tak wstrętne widoki, jakie się przed nimi roztaczają. Tu już nie chodziło o torturę dla zbolałych nóg. Widok. Smutny, ponury. Ktokolwiek był w górach, musiał przyznać, że nic bardziej przykrego dla oczu nie istnieje. Morza, lasy... Pola, pastwiska... Jeziora i armektańskie równiny... Wszystko to miało swój urok, mogło komuś się podobać albo nie. Jednak — góry? Tu nie było żadnego: „a może?...”. Nikt zdrowy na umyśle nie mógł tutaj przyjść z własnej woli, a co dopiero osiedlić się i żyć. Człowiek nie wszędzie wytrzyma. Są takie miejsca, gdzie zrobi mu się przykro — ale to tak przykro, tak bardzo przykro, że umrze.

Na pół setki ludzi w oddziale Ridi ani jeden nie zobaczył w górach czegokolwiek, co byłoby warte uwagi.

Dowódczyni też nie.

Idąc do Riksu — a był to szlak dziwnie równy, o wiele wygodniejszy niżli ten, którym z Niskiego Grombelardu wdrapywali się na Sępią Przełęcz — napotkali po drodze jakieś zbrojne oddziały, ale szybko zeszły z drogi, a raczej wręcz uciekły, dojrawszy siłę marynarskiej grupy. Nikt tu chyba nie chciał spotkać kogoś, kto jest odeń silniejszy.

Tymczasem wymęczeni do cna żeglarze silni byli co najwyżej liczbą. Wlekli się paskudnym, otoczonym przez góry szlakiem, z nogami poowijanymi czym się dało, podpierali jeden drugiego. Na postojach i nocnych biwakach wybuchały sprzeczki, nawet ostre bójki, których siepacze z Gardy nie umieli szybko zażegnać, bo wyglądali tak samo źle, jak „podopieczni”. Marynarskie mienie, prowiant, nawet broń — wszystko to zawsze dźwigał okręt. Tutaj był prosty wybór: albo targać niemożliwie wielki wór, albo przymierać głodem. Albo stale zdychać pod ciężarem kolczugi, albo w pierwszej walce, jaka się nadarzy, wystawić przeciw ostrzom goły brzuch. Na szczęście nie trzeba było wlec bukłaków; wystarczyło kilka dużych worków dźwiganych przez wierzchowca dowódczyni. Nikt nie cierpiał z pragnienia, bo codzienny wieczorny deszcz, padający z przedziwną regularnością, pozwalał nałapać tyle wody, ile tylko dusza zapragnęła. Najlepiej było rozłożyć koszule i inne szmaty na skałach, a potem już tylko wyżymać z nich wodę.

Zrujnowany Riks, w którym zamiast zwykłych mieszkańców koczowały jakieś bandy, nikomu nie przypadł do gustu. Ale działało tu coś w rodzaju tawern (podobnych trochę do słynnego „Pogromcy”), można było nawet pohandlować zrabowanymi tu i tam dobrami. Kupiono trochę butów. Nie znający języka marynarze cały czas trzymali się w kupie, bo było raźniej. Przede wszystkim bezpieczniej. Z jakichś powodów mało która wataha liczyła tutaj więcej niż dwadzieścia do trzydziestu łbów, a wszystkie spozierały wilkiem jedna na drugą; dwakroć silniejszy oddział Ridi mógł więc nie obawiać się napaści, przynajmniej do chwili, aż ktoś tam wreszcie z kimś się dogada. Ten moment mógł nadejść szybciej, niż się wydawało. Przede wszystkim z powodu dowódczyni. Niezła broń, noszona przez marynarzy, przyciągała łakome spojrzenia, takim samym wzrokiem żeglarze ogarniali nogi górali, którzy wszystko mogli mieć byle jakie, ale rozumieli, co znaczą niedziurawe kapcie na wertepach, jednak na widok Ślepej Ridi każdy miejscowy łapserdak przystawał i otwierał gębę, gotów przecierać oczy; czasem milkły całe gromady.

Chyba od zarania dziejów nikt tu nie widział takiej baby. Zdobycie podobnego dobra uczyniłoby właściciela bogatym — przecież, nawet gdyby do niej dopuszczał tylko piętnastu chłopów dziennie, to i tak zbiłby

majątek. Kobiet tutaj nie było wcale; zużywały się szybciej niż buty. Podobno sto lat temu chodziła po Ciężkich Górach bardzo ładna rozbójniczka Hel-Krehiri, a jeszcze dawniej Łowczyni, olbrzymka wyższa od największego mężczyzny, która strzelała z dwóch kusz naraz i zabijała sępy — rozumne jak człowiek albo kot wielkie ptaki — aż zabiła je wszystkie (właściwie nikt nie wierzył, że w ogóle istniały). Ale Hel-Krehiri i Łowczyni na pewno nie były takie, jak ta tutaj.

Riks, zrujnowane i opuszczone przez mieszkańców miasto, w którym nie było nawet kawałka drewna, bo całe poszło na opał, wydał się marynarzom ze „Zgniłego Trupa” istnym końcem świata. I rzeczywiście — tutaj właśnie się kończył jako tako normalny świat. Riks zawsze był bramą Gór Ciężkich — ze wszystkich miast Grombelardu właśnie Riks leżał najbliżej Armektu i Dartanu. Tutaj jeszcze przychodził ktoś z zewnątrz, handlowano nędznymi łupami, wyrwanymi jakimś wieśniakom, czasem odebranymi podróżnym gdzieś na pograniczu. Za Riksem nie istniało już nic. Ruiny Badoru, Grombu i Rahgaru nie były żadnymi sadybami, co najwyżej kamieniami milowymi dla watah, które przemierzały górski szlak, zmierzając do Londu, a potem z powrotem uciekając w góry przed pościgiem imperialnych żołnierzy. Jednakże portowy Lond, ostatni w łańcuchu grombelardzkich miast, nie miał nic wspólnego z tymi w górach. Miasto-państwo, bardziej armektańskie niżli grombelardzkie, ciągnęło życiodajne soki z morza.

Kiedyś w Grombelardzie żyły dwunożne wilki — ale żyły także sarny i jelenie, pozwalające wilkom przetrwać. Watahy drapieżników były trzymane w ryzach przez gajowych — imperialną Legię Grombelardzką. Gdy gajowi odeszli, wiele bojaźliwych roślinożerców podążyło za nimi, a pozostałe niemal w mgnieniu oka zostały pozagryzane przez krwiożercze basiory, które — w odróżnieniu od prawdziwych wilków — zabijały nie tyle z głodu, co dla przyjemności. Teraz w Grombelardzie zostały już tylko wilcze stada, tępiące się nawzajem, wyrrywające sobie z kłów marne resztki zdobyczy, przywleczonej gdzieś spoza kraju. Dawna Druga Prowincja stała się kloaką Szereru, miejscem do którego spływały najgorsze nieczystości. Czasem szambo nieco podsychało, to znów napełniało się od nowa. Bo też zawsze trafiło się paru takich, którzy nigdzie już nie mogli znaleźć dla siebie miejsca, więc szli do Grombelardu, licząc... a któż to wiedział, na

co?... Na objęcie rządów nad podobnymi sobie. Na rozkosze życia w kraju zupełnego bezprawia, gdzie wystarczył miecz i twarda pięść do zostania przywódcą, choćby tylko parunastu słabo znających ludzką mowę drabów. Zostania KIMS. W jakim zakątku świata mogło zostać KIMS silne bydlę, zbyt leniwe, by pracować; zbyt bezczelne, by służyć w wojsku; zbyt głupie, by bezkarnie kraść w mieście, po ulicach którego krążyły patrole żołnierzy albo zbrojnych pachółków?...

Na tle grombelardzkich mętów marynarze ze „Zgniłego Trupa” — legendarni na morzach szubienicznicy, którym nawet mieszkańcy Riksu mogliby pozazdrościć znamienitych czynów — byli wcale karnym oddziałem. Praca na okręcie uczyła jakiej takiej dyscypliny, współdziałania, nikt tam niczego nie mógł zrobić sam. Jeden człowiek mógł może wydostać się z dzikich, lecz znanych sobie gór, ale nikt w pojedynkę nie miał cienia szansy na doprowadzenie okrętu do portu. Dowódców należało słuchać we własnym interesie, bo z tonącego podczas sztormu albo rozbitego na skałach żaglowca nikt nie mógł uciec, by następnie porządzić sobie na miejscu zabitego kapitana. Nikt na morzu, dla byle pijackiego kaprysu, nie wyzwiał dowódcy do walki o przywództwo, bo następnie musiałby wziąć mapy, pióro, przyrządy nawigacyjne, no i... żeby... mffff... Jeśli sam tego nie rozumiał, to kompani pomogli mu zrozumieć. Zdarzały się bunty na żaglowcach, owszem, ale były najczęściej przejawem rozpaczki i desperacji, nie jakiejś tam głupiej zachcianki.

Foka Ridi prowadziła swoich chłopców do Grombu.

Na ostatnim nocnym postoju przed dawną stolicą Grombelardu (nikt w oddziale Ridarety, dowódczyni nie wyłączając, nie wiedział, że jest to postój ostatni) biwaku pilnowały bardzo silne straże, bo podejrzanie często za plecami idących, a nawet gdzieś, na niedostępnych z pozoru stokach gór, pojawiały się obce grupy. Ridi nie miała pojęcia o górach, umiała po prostu maszerować wyznaczonym szlakiem, ale na szczęście zdawała sobie z tego sprawę i wiedziała, że jeśli raz z tego szlaku zejdzie, jeśli tylko raz pozwoli rozproszyć swoich ludzi, to nikt tutaj zabawy z góralami i górami nie przeżyje. Ze swoimi pokrwawionymi szmatami na nogach, bez odpowiedniego ekwipunku, już czterdzieści kroków od sławetnej ścieżki mogli się wszyscy pozabijać bez udziału wroga, bo nie umieli ocenić nawet tego, który kamień trzyma

się mocno, a który wystarczy puknąć; który błyszczy się, bo błyszczy, a który jest mokry i śliski. Miejscowy zbój zerkał na skałę i już wiedział, że najszybciej przybędzie kompanowi z pomocą, pędząc najpierw na prawo i zataczając łuk. Marynarz był gotów pognać przed siebie i stanąć przed całkiem niewinnym uskokiem, który z daleka jakoś... wydawał się taki do kolan, z bliska zaś dwanaście razy wyższy. Wyraźny i w miarę równy szlak, którym do Badoru mogły toczyć się wozy, a dalej swobodnie kroczyć — czasem nawet kłusować — konie, był jedyną ostoją załogi „Zgniłego Trupa”. Matką-drózką, od trzymania się której zależało po prostu życie.

Czuwały na zamianę trzy wachty po piętnastu ludzi. Pozostali kładli się spać z bronią w ręku. Ridi i jej wierzchowiec mieli miejsce w samym środku grupy. Dwa razy wszczęto alarm — obudzeni żeglarze, rozłożeni biwakiem na poboczu szlaku, z przygotowanym orężem oglądali pospieszny przemarsz jakiejś grupy; jedna szła tam gdzie oni, druga w stronę Badoru. Nie zaczepiano ich, ale już się tak bardzo nie bano, jak na samym początku drogi. Widocznie wieści w górach rozchodziły się szybko i wszyscy już widzieli, że wyjątkowo duża banda obcych nie szuka guza i nie kwapi się do utarczek z kim popadnie.

To nie wróżyło dobrze. Tu na pewno nikt nie szanował ludzi za to, że byli spokojni i mili.

Żeglarze Ridarety czuli się naprawdę wykończeni. Szli, bo szli, a zresztą raczej leżli. Ale czy mogli wrócić? Oto było pytanie. Kończyły się zapasy żywności. Niejeden z nich, zerknąwszy do ładowni, mógł w przybliżeniu ocenić i odkrzyknąć oficerowi, na ile dni rejsu wystarczy żarcia, ale w zamian nikt nie wiedział, jaką ilość prowiantu dla siebie powinien zabrać na drogę. Wydawało się, że wielka góra jedzenia, która nie mieściła się w torbie, wystarczy po prostu na zawsze. Ale niezupełnie tak było.

Łucznicy mieli kłopoty z łukami, które — niezabezpieczone przed wilgocią — bardzo słabo się do czegoś nadawały. Gubiono strzały i bełty — na okręcie nikt tego nie nosił i nie umiał dbać o takie rzeczy, przed walką zbrojmistrz otwierał zbrojownię i wydawał potrzebny oręż. Tylko tyle. Ginęły fajki, noże i różne drobiazgi — cokolwiek biedny majtek odłożył na skałę, musiał zaraz zabrać z powrotem, bo jeżeli zapomniał, to przepadło; skała nie była skrzynką na okręcie i nigdzie nie zamierzała

płynąć razem z nim. Nie chciał palić się mokry tytoń, nie było z czego rozniecić ognia. Szmaty na grzbiecie w ogóle nie wysychały. Takie — niby drobne — codzienne uciążliwości, po jakimś czasie stawały się nie do wytrzymania. Ridareta miała większe zmartwienia niż zły humor podkomendnych, ale na ostatnim biwaku przed Grombem zdała sobie sprawę, że za dzień albo dwa jej rozdrażnieni chłopcy zaczną się wyrzynać (na trzeźwo!) w dzikiej bójce, rozpętanej z powodu fulara, o zabranii którego ktoś tam komuś miał przypomnieć, ale nie przypomniał. Na okręcie w rękach załogi pozostawało stale najwyżej parę sztuk ciężkiej broni, większość marynarzy miała jedynie noże. Ale tutaj było wątpliwe, czy uzbrojonych po zęby wariatów zdołają uspokoić schorowani gwardziści, dowodzeni przez niemłodego Nellsa, któremu bieganie po górach bardziej dało się we znaki niż innym.

Noc jednak minęła spokojnie, w każdym razie bezkrwawo. Ridareta jednak nie odpoczęła, bo powrócił koszmar, z którym stale się ostatnio borykała. Wyraźniejsza nawet od innych, stale wracająca wizja, która, niestety, nie była snem... Podsuwane przez Riolatę objawienia zdarzeń, miejsc... To zawsze było prawdziwe.

Ridareta śniła.

„Chcę cię zabić i szukam sposobu” — mówił człowiek w nijakiej burej szacie, z twarzą skrytą w cieniu kaptura. „Ale mam niewiele czasu, muszę więc zaproponować prosty układ: zmierzmy się, Rubinie. Przyjdź do mnie, będę czekał. Ty masz swoją odporność na rany i różne ukryte siły, o których nawet nie wiesz, ja jestem matematykiem Szerni. Mądrym i bardzo silnym, to prawda. Dlatego że szukałem i znalazłem, płacąc za poszukiwania bardzo wysoką cenę. Szukaj i ty, zapłać, a może też coś dostaniesz. Zdobędziesz oręż. Staw się w Grombie”.

Pojawiało się zburzone miasto: resztki bramy, zniszczona ulica, trupy domów, dalej pusty plac, chyba będący kiedyś rynkiem... Uliczka, i jeszcze jedna... Wyszczerbiona ściana, dziwnie przypominająca konia: był łeb, szyja i grzbiet. Jeszcze jedna uliczka i ruina jakiegoś bardzo dużego gmachu. Kamienie z resztkami zaprawy, coś w rodzaju posadzki z granitowych płyt...

„Na czym ci zależy? Na życiu uwięzionego przez królową pirata? Jeśli zginiesz, pošlę do Rollayny dowód, że tak się stało, i twój opiekun odzyska wolność. W zamian, jeśli nie wyruszysz na spotkanie ze mną

bądź zawrócisz z drogi, dowiem się o tym i przybędę do Rollayny przed tobą — uwierz, że potrafię szybko podróżować... A kim jest ten człowiek, który w Talancie zamordował mojego towarzysza? Nie jestem jasnowidzem, a tylko matematykiem. Rozum mi mówi, że wyprawę przeciwko dwóm Przyjętym może podjąć ktoś, komu bardzo dobrze zapłacono, albo ktoś, komu na czymś — może na kimś? — zależy. Mylę się, Rubinie, czy nie mylę... Wiedz jednak, że ten żeglarz nosi w żyłach śmierć, bo nie tak całkiem bezkarnie udało mu się pokonać dwóch Przyjętych. Staw się w Grombie, a cofnę wydany już wyrok. Ciągłe jeszcze mogą to zrobić. Nie zależy mi na śmierci tego człowieka, albo raczej: owszem, zależy, ale bardziej na śmierci twojej, bo to ty jesteś sprawczynią wszystkiego”.

Powoli znikało martwe miasto, rozmywała się postać człowieka w kapturze. Z tła wyłaniało się pochmurne niebo, pod którym jaśniało tysiącem świateł miasto. Potem pod błękitnym niebem zafalowało morze.

„Wyjaśnienia? Wątpię, czy warto ci je przedstawiać, ale oto one, Rubinie. Pod niebem Szerni trwa wspaniały, bezpieczny świat, w którym wojna zagościła niedawno, a choć wydawała się straszna, w istocie była wojną niewinną. Wcześniej przez dziesięciolecia, a nawet stulecia, trwał pokój nazwany „wiecznym”, w granicach tak samo zwanego Cesarstwa. Ludzie dożywali swoich dni w pięknych dartańskich miastach i spokojnych armektańskich wsiach, między którymi krążyli wędrowni bakałarze, przekazujący prostym chłopskim dzieciom sztukę czytania liter, opowiadający baśnie o świecie, a w i stocie jego historię. Było tak i jeszcze będzie. Wojny wkrótce przeminą, bo w Szererze trudno znaleźć powody, dla których miałyby być stale wzniecane; goła polityka nie daje takich powodów. Przyczyny nieustannych lub wciąż wznawianych wojen muszą być głębsze i dotyczyć nieprzewidywalnych różnic w pojmowaniu świata, a w Szererze tylko mała, męcząca, ale tak naprawdę będąca gonitwą i ciągiem drobnych utarczek graniczna wojna z Alerami, obcą rasą spod obcego nieba, bierze się z takich przyczyn”.

Gasło niebo nad morzem, znowu wypływała z szarego, rozmazanego tła okryta kapturem pochylona głowa.

„Może są gdzieś, Rubinie, lepsze światy od naszego, ale na pewno są i gorsze. Może są takie, w których pali się księgi i ścina uczonych, nie

wolno głosić prawdy, a nawet jej poszukiwać, bo jest z góry uważana za niesłuszną. Może istoty rozumne nie wiedzą, co je powołało do istnienia, więc wierzą, jak to pokazuje w swych modelach Gotah, w różne niesprawdzone rzeczy i w imię tej gołej wiary są gotowe mordować się nawzajem — oto właśnie jedna z domniemanych i nieusuwalnych przyczyn wiecznych wojen. Ważna dla wyznawcy, niemniej goła wiara, zwana przez Gotaha „religią”, gdy nikt nikogo nie przekona żadnym dowodem, bo takich dowodów brak, pozostaje więc najwyżej siłą postawić na swoim... Czy to tylko zawieszony w próżni model, sporządzony przez chorującego na nadmiar wyobraźni filozofa? Bez wątplenia tak. Ale w zamian może istnieją światy — i to już jest na pewno możliwe — w których szaleją zarazy o sile, jakiej nie znamy, zabijające już nie pojedyncze rodziny, ale pustoszące całe kraje; straszne choroby przenoszone oddechem, dotykiem, może nawet miłosnym aktem — podobne do tych, które u nas powodują brzydkie obrzmienie i dokuczliwe swędzenie, utrzymujące się przez kilka miesięcy... Nawet jeśli takich światów nie ma, to sam domysł, że mogłyby istnieć, jest przerażający i nakazuje kochać łagodny, piękny świat, który mamy. A tymczasem, Rubinie, na obrzeżach tego świata, w Grombelardzie albo na Bezmiarach, osadzają się wstrętne szumowiny, nie szanujące niczego i nikogo. Cuchnące, trujące i brudne. Jesteś symbolem... nie, nie Odrzuconych Pasm. Dla mnie jesteś symbolem wszystkiego, czym gardzę. Brutalnej siły, gotowej zniszczyć wszystko, co słabsze, a zwłaszcza bezbronne. Jesteś zarazą, o jakiej mówiłem. Ruchome przedmioty podobne do ciebie — bo to zawsze są przedmioty, nie ludzie — mogą zabić i zohydzić wszystko. Za tobą, za piratami Bezmiarów, za grombelardzkimi zbrojami, nie stoją żadne racje, nawet takie, jakie mógłby przedstawić alerski wojownik z północy, powszechnie uważany za półzwierzę. Kalacie mój świat, mordując dla rozkoszy mordowania, dla zabawy; przecież chyba nie z konieczności? Chcę cię za to ukarać, bo obojętne, skąd się wzięłaś, obojętne co tobą kieruje — zasługujesz na najstraszniejszą śmierć w męczarniach. Zarazę trzeba tępić i wypalać ogniem, tak jak to czyni się z domami, w których szalał zabijający całą rodzinę mór. Cię pobbłazania dla bestialstwa wystarczy, byście się mnożyli w nieskończoność, aż w końcu zatrujecie i zniszczycie wszystko. Oto moje racje, Rubinie — nieogarnione dla ciebie, niech zgadnę.

Niemniej przyjdź, a ocalisz dwóch mniejszych szubrawców. Przyjdź, bo pragnę cię zabić, nim umrę, i uczynić dla mojego świata coś dobrego. Ktoś powie, że lah'agar powinien być ponad to, ale jestem przecież człowiekiem”.

Ridareta obudziła się. Świtało.

Leżała, patrząc w niskie grombelardzkie niebo. Już знаła ten sen na pamięć.

Ktoś inny na jej miejscu zdałby sobie sprawę, jak śmieszny jest matematyk, próbujący być nad grobem filozofem... Nieszczęśliwy człowiek, który jednym czynem usiłował nadać sens całemu swemu życiu, a w jednym krótkim wywodzie gotów był porównywać, ważyć i oceniać światy, zestawiając realny z wydumany. Jednak Ridi nie umiała się zagłębiać w takie sprawy.

Skorzystała z podpowiedzi prześladowcy: szukała, lecz nie znalazła. Wyrwała z Riolaty różnoraką nieprzydatną wiedzę, ale żadnego oręża w kłębowisku czerwonych macek nie było. Szła przeciw Przyjętemu ze swoim półmieczem w ręku oraz całą nienawiścią, jaką miała dla podziwianego przezeń świata.

Bo na pewno nie było bronią wstydlive, pełne niewiary marzenie, żeby jej srogi sędzia zachciał dotrzymać słowa i darował życie dwóm mężczyznom.

*

Brama w murze miejskim była dokładnie taka, jaką Ridareta widziała we śnie. Ale dostępu do niej strzegło parudziesięciu zbrojnych. Nie wiadomo, po co tam stali. Nie trzymali broni, nie przejawiali wrogich zamiarów. W ogóle żadnych zamiarów. Nawet nie zagradzali przejścia. Dwie wyczekujące grupy po obu stronach drogi, przy samym miejskim murze. W cieniu jakichś ruin, które chyba były kiedyś domami przedmieścia. To mógł być ten sam oddział, który spokojnie minął ich w nocy i pomaszerował w stronę Grombu. Liczebność chyba się zgadzała.

— Co robić? — zapytała Nellsa.

Wielki Dartańczyk starał się nie okazywać, ile go kosztowała przeprawa przez Grombelard. Jak wielu niemłodych mężczyzn, zwyczajną koleją rzeczy wciąż miał dawną krzepę w rękach, ale już nie w nogach.

— Będzie dwudziestu paru — powiedział. — Jeśli zaczaili się na nas,

to coś chyba... za słabo.

— Może specjalnie tak słabo. Zostawiłbyś za sobą sześćdziesięciu? Nie. Ale tyłu tak. Tylko że, jeżeli dwie takie bandy stoją po drugiej stronie bramy... To wtedy właśnie tutaj, w bramie tego miasta, skończy się nasza podróż. Kto się przedrze?

— Ty, kapitana. Dasz ostrogę i... może...

— Dam ostrogę i na oślep pognam w środek jakichś ruin, gdzie siedzi nie wiadomo ilu takich? Tyłu, co w Riksie, czy choćby Badorze? Nawet ślepy trafi z kuszy w ten kocioł, który noszę przed sobą zamiast brzucha.

— Ale cię przecież nie zabije.

— Tralala. Zwali z konia. Połamię nogi i rękę. Dorwą mnie. Czy poczekają do jutra, aż Piękna Ridi uwarzy sobie mleczko w cycuszkach i szare błoto w brzuszku? Zresztą nigdy nie zdrowiałam ot, tak! — Pstryknęła palcami. — Parę miesięcy temu, gdyby był dobry dzień, podpaliłabym całe to bractwo. A teraz dwóch takich wystarczy, żeby mnie porąbać na kawałki. I będę do ciebie mrugała, jak podniosą z ziemi za włosy moją głowę.

— Przestań pierdzielić, kapitana.

— No bo pytam, co robić, a ty mi... „Daj ostrogę”, też mi wymyślił.

— Ty mów, co robić.

— Zabić ich — rzekła krótko. — Koniec przechadzki po tym pięknym kraju. Nie będę krzyczeć, więc pošlij swoich, niech przekażą chłopcom. Spokojnie wchodzimy między nich, a kiedy wrzasnę, to worki na ziemię, topory i miecze w garść. Przycisnąć to wszystko do muru po obu stronach bramy. Jak wyleci ze środka jakaś banda na pomoc, to przynajmniej wszyscy będą przed nami, a nie z obu stron. I ja wtedy rzeczywiście dam ostrogę. Tyle tylko że pognam z powrotem, a wy sobie poradzicie albo nie. Jedna gruba foka nie przechyli szali bitwy tak czy siak.

— Dobry plan — powiedział Nells i chyba naprawdę tak myślał, bo wszystko wydawało mu się dobre w porównaniu z chodzeniem po górach.

Plan zresztą naprawdę nie był zły. Prosty jak... sygnał do abordażu. Czyli w sam raz dla żeglarzy, nie mających serca do manewrów i szyków na modłę imperialnej piechoty. Prędzej czy później ktoś tu musiał się za

nich wziąć. A wyrżnięcie jednej — dużej jak na miejscowe warunki — bandy mogło dać do myślenia innym. Ridi była pewna swoich chłopców. Wzięła całą Gardę; zostawiła Mevevowi wszystkie dziewczuchy, wszystkich prawdziwych znajdujących się na żaglach marynarzy — i wszystkich nieudaczników. Zabrała w góry to co najlepsze. To nie była zgraja nadająca się tylko do bitew z wieśniakami... O, nie.

Podkomendni Nellsa przekazali marynarzom o co chodzi. Spodobało się.

Oddział raczej włókł się, niż szedł — i chociaż raz był z tego pożytek. Nie brakło czasu, nie trzeba było zwalniać, ani się zatrzymywać, żeby uzgodnić plan działania. Do bramy mieli jeszcze całkiem ładny kawałek. Ridi jechała tam gdzie zawsze, w środku grupy, otoczona przez Gardę.

Banda przy bramie chyba naprawdę nie miała wrogich zamiarów. Popatrywano na idących raczej z ciekawością, niż zaczepnie bądź wrogo. Marynarze wkroczyli między dwie grupy.

Foka zapiszczała — a był to ten legendarny pisk, od którego rzekomo odpalały działa okrętowe. Chłopcy z „Trupa” go znali, ale ogłupiała zgraja pod miejskim murem nie. Przerażliwy dźwięk przewiercił uszy na wylot, a nim przebrzmiał, ozdobione Kokardami Ridi draby miały w rękach miecze i topory. Pięćdziesięciu ludzi rzuciło się na prawo i lewo. Ridareta zawróciła konia i opustoszałą drogą pognąła z powrotem, ale tylko kawałek. Stała i patrzyła.

Nie bardzo było na co. Dwudziestu kilku zaskoczonych górali rozniesiono. Ktoś uciekał i zarobił w plecy rzuconym toporem. Tu i tam dobijano powalonych. Bronił się jakiś łapserdak przy samym murze; zaraz zginął. Nells wrzasnął i kilku żeglarzy wbiegło w czeluść bramy, przy której nie było brony ani żadnych wież. Ridi kłusem dołączyła do swoich.

— Już nie jesteśmy grzeczni.

— He! — odpowiedział Nells.

Nie bacząc na nic, marynarze ściągali trofea z nóg zabitych. Pospiesznie wymieniano przyciasne obuwie na większe. Należycie wyposażeni wojownicy poczuli się znacznie pewniej.

Biegiem wrócił marynarz z wiadomością, że za bramą nie ma nikogo.

Ridi znała ulicę... trupy domów... Właśnie tą ulicą można było

dotrzeć do dużego placu, kiedyś rynku. A dalej... Dalej też wiedziała.

Nadała takie tempo, że majtkowie musieli biec truchtem obok kłusującego konia.

Nie różniło się to miasto od Badoru. Prawie niczym.

W bocznej ulicy — a raczej tym, co z niej zostało — zamajaczyli jacyś ludzie.

Ktoś przebiegał w poprzek następnej.

Żarty się skończyły. Przybyszów oczekiwano. Zaskoczona banda przy bramie stała tam chyba po to, by uniemożliwić z miasta ucieczkę niedobitkom.

Był rynek.

Ridi zobaczyła, że dalej nie pójdzie. Uliczkę, w którą musiała wjechać, zagradzał silny oddział. Tym razem naprawdę silny, co najmniej taki jak jej.

Zrzuciła na ziemię niesione przez wierzchowca wory z resztką wody. Odczepiła od siodła długi i bardzo ciężki pakunek, spowity w tłuste szmaty. Była to broń, wciśnięta jej przez Meveva.

— Bierz to wszystko, Nells — powiedziała. — Bierzcie to! — krzyknęła.

— Kapitana...

— Muszę przejść. Przebijamy się przez skurwysynów. Kto może, niech idzie za mną! — zawołała. — Kto nie może... Niech się bije na śmierć.

— Ridka...

— Nells, ja muszę przejść. Nie mogą mnie tutaj zabić.

— Idziesz na tego Przyjętego?

— Tak, bo wiem gdzie jest.

— Ale... jak nikt się nie przedrze? Tylko ty sama? On cię zabije.

— Jeśli on... to dobrze. Nie może mnie zabić nikt inny.

— Kapitana...

— Nells. Ja muszę przejść. Chłopcy — powiedziała głośniej, rozejrzała się i nagle zrobiło jej się czegoś bardzo żal. Tych zagapionych na nią paskudnych mord... tych głupich zielonych chustek przewiązanych jakimiś strzępami... Pokrwawionych kopyt, na których ledwo już szli. — Chłopcy... Pamiętajcie o mnie, jakby co. Niech ta nasza łajba się nazywa „Ślepa Ridi”, albo... sama nie wiem... Może któryś jakoś tam wróci.

Szarpnęła wędzidłem i wyciągnęła miecz. Ruszyła kłusem.

Pół setki żeglarzy poszło z rykiem do przodu i wyprzedziło ją. Wielka banda z naprzeciwka runęła na spotkanie. Pędzące z obu stron zbrojne draby zderzyły się z impetem, który momentalnie zmieszał obie grupy; przewracali się i nie mogli pozbierać oszołomieni zderzeniem ludzie, trzaskało żelazo gruchoczące i przecinające kości, zgrzytały pod ciosami pancerze. Ryki bólu i wściekłości były nie do odróżnienia. Ridareta oberwała mieczem w biodro i odczuła cios, ale mocna kolczuga nie ustąpiła pod płaskim cięciem; mógłby rozerwać ją sztych. Przedarła się na drugą stronę kłębu i ruszyła galopem w głąb uliczki. Spojrzała do tyłu i zobaczyła biegnącego za nią chłopaka z Gardy — ale ten jedyny sprzymierzeniec właśnie wykonał wyjątkowo nieporadny, krzywy skok do przodu, popchnięty ciosem włóczni, która łupnęła go w plecy. Upadł i próbował jeszcze wstać, ale nie dźwignął się nawet na kolana.

Była sama.

Wierzchowiec tłukł ziemię kopytami. Skręciła w boczną uliczkę. Mignęła zburzona ściana, której resztki przywodziły na myśl konia: tu łeb, dalej grzbiet... Przygasły ryki i wrzaski za plecami, stłumione przez kwartał ruin. Nikogo nigdzie nie było. Jeszcze jedna ulica; skręcając, koń poślizgnął się w błocie, ale nie upadł. Pędziła dalej, aż do ponurych szczątków bardzo dużego gmachu. Osadziła wierzchowca i niezgrabnie zsunęła się na ziemię.

Chyba nikt jej nie ścigał.

Patrzyła na pozlepiane starą zaprawą kamienie, resztki granitowych płyt, które kiedyś tworzyły posadzkę, a może schody. Zagłębiła się między szczerbate mury. To musiał być naprawdę duży dom, ale nie umiała powiedzieć, ile mógł liczyć pięter. Kupa gruzu, tylko z jednej strony obrzeżona nierównymi rafami ścian.

W jednym miejscu gruz uprzątnięto, tworząc lejowate zagłębienie w ruinach... Nie widziała tego w swoich snach.

Bardzo chciała czekać na swoich. Żeby mieć przy sobie chociaż jednego chłopaka, niechby bez żadnej broni. Ale to zawsze sojusznik, towarzysz... Bała się iść sama. Bardzo bała.

Jednak, nawet jeśli miejscowym nikt nie przyszedł z pomocą i jej załoga wygrała walkę, to nie wiedziała, gdzie jej szukać. Wypatrując sprzymierzeńców, mogła prędzej doczekać się wrogów.

Zaczęło padać. Jak zwykle wieczorem.

W dół wiodły popękane schody, częściowo odgruzowane. Dało się tędy przejść, ale nie miała światła. Bardzo ostrożnie, krok po kroku, wodząc po ścianie dłonią, zeszła po kilkunastu stopniach. Liczyła je odruchowo, ale się pomyliła. Szesnaście? Czy osiemnaście?... Wydało jej się, że gdzieś w mrocznym tunelu, który się otwierał u podnóża schodów, coś słabo migocze. Pochodnia?...

W głębi zimnego korytarza, zalanego częściowo wodą — być może zwykłą deszczówką, która naciekała po stopniach i niechętnie wsiąkała w szczeliny między kamieniami — rzeczywiście migotał płomień. Przy samym wejściu minęła otwarte drzwi wiodące do jakiejś pustej salki. Brodząc po kostki, raczej przesuwając nogi, niż stawiając kroki, wciąż z ręką przy ścianie, szła w stronę ognia. Chodnik nie był długi. Minęła drugie drzwi, potem trzecie. Na końcu korytarza, zaraz za kopczą pochodnią, znalazła jeszcze jedno, solidne, nabijane ćwiekami. Niedomknięte. Weszła — i wszystko było tak, jak we śnie. Człowiek w burej, nijakiej szacie miał głowę ocienioną kapturem. W małym kwadratowym pomieszczeniu stał tylko stół i ławka przy nim. Pod ścianą druga, dłuższa. W rogu znajdowały się kolejne drzwi.

— Symbol w miejscu symbolicznym — rzekł siedzący na ławce Przyjęty. — Znajdujesz się, Rubinie, w dawnym gmachu Trybunału Imperialnego. Tam, nad nami, sądziło się zbrodniarzy. A tutaj... pytało się ich. — Skąpym gestem pokazał drzwi w kącie. — Odejdź od drzwi.

Odeszła.

Wtedy wstał i ociężale ruszył do wyjścia. Przekręcił w zardzewiałym zamku wielki klucz.

— Wszystko działa — powiedział. — Poza Strażnikiem Praw, który uciął sobie coś w rodzaju drzemki. Może ciążyła mu samotność, a może wojna potęg zawiesiła jego trwanie? Jeśli tak, to chyba tylko do chwili, aż się skończy. Zresztą, kto to wie? Chciałem mieć czyste sumienie, zależało mi. Kusilo spotkanie z Wiedzącym, który może rozwiązać wszystkie wątpliwości dotyczące Szerni, odpowiedzieć na każde pytanie.

— Przyszłam — powiedziała. — Nie mów do mnie „Rubinie”. Nazywam się Ridareta. Jeśli chcesz rozmawiać z Riolatą, to ona ci nie odpowie.

— Ależ odpowie, odpowie... Nie ma Ridarety, jest jej trupie ciało,

wypełnione nie życiem, a parszywą jego namiastką. Poruszane siłą, która nie do tego służy, choć, od biedy, może służyć do wszystkiego. Myślę, że tak samo uruchomiłaby wodny młyn, postawiony na środku pustyni. Dusza Ridarety już dawno stopiła się z Szernią.

— Nie wiem, może tak... Ale człowiek, w takim razie, to nie tylko dusza.

— Ciało i dusza. Razem.

— Nie. Coś jeszcze.

— A co?

— Nie wiem.

Wzruszył ramionami.

— Dotrzymasz danego mi słowa? — zapytała, nawet nie próbując ukrywać, że jest to najważniejsze pytanie, jakie zadała kiedykolwiek. — Nie... nie oszukałeś mnie?

— Oszukałem i dlatego nie dotrzymam słowa. Prymitywna intryga, w sam raz na twoją miarę. Nie musiałaś tu przychodzić, bo ci dwaj, na których ci zależy, są bezpieczni i nawet gdybym chciał, to niewiele im mogę zrobić. Nie dotrzymam więc słowa i nie daruję życia, bo żeby darować, trzeba mieć je w ręku. A ja nie mam.

Długo myślała nad tym, co powiedział.

— Nic im nie grozi?... Nie umrą?

— Tego twojego żeglarza... Czy dobrze mówię: twojego? Skoro pytasz o obu, to podejrzewam, że tak. No więc twojego żeglarza, Rubinie, widziałem tylko raz w życiu i nic nie mogłem mu zrobić. Niestety. „Księcia” Raladana mogłem zabić, kiedy byłem w Rollaynie, ale wówczas nie dostałbym ciebie. Jechałaś do Rollayny, więc mogliśmy się tam spotkać, ale... Bałem się, przyznaję. Boję się mieczy i ludzi, którzy je trzymają. Już dwa razy dostałem bardzo surową nauczkę. W tym wypełnionym żołnierzami pałacu, żeby dopiąć swego, musiałbym zabijać niewinnych ludzi, a oni próbowaliby zabić mnie. Wszystko to z powodu kawałka trupiego mięsa, uruchomionego przez bezmyślną siłę?

— Kitar... nie ma w sobie żadnej choroby czy trucizny, która...?

Chodzenie sprawiało mu trudność.

— Teraz... nie wiem, co robi twój przybrany ojciec — rzekł, nie odpowiadając na pytanie. — Ale zdaje mi się, że królowa nie uczyni mu żadnej krzywdy, nawet jeśli tam nie poślę tego, co z ciebie zostanie.

Raczej nie poślę, ale za to spróbuję porozumieć się z jej godnością Kesą, która, jak mówił Gotah, miewała bardzo podobne do twoich... sny? Może wizje. Udało mi się dotrzeć do ciebie, uda się i do Kesy. To właściwie jedno i to samo, ale nie opiszę ci metody prowadzenia poszukiwań. Bo jesteś boleśnie głupia. Rubinie. W każdym razie jej godność Kesa dostanie ode mnie dowody, że zniszczyłem Rubin Córki Błyskawic. I chyba przedstawi je królowej.

— Kitar nie ma w sobie?...

— Nie ma. Płaskie i płytkie kłamstwa, wymyślone w dobrej sprawie. Dobrze dla ciebie, Królowo Rubinów. Bo jesteś boleśnie głupia.

Wyraźnie sprawiało mu przyjemność wytykanie słabości jej umysłu.

— Nie, panie. Riolata nie jest mądra ani głupia, dobra ani zła, bo jest rzeczą. Bezmyślną siłą. Tak mnie uczył Tamenath. Też był mędrcom Szerni, tak jak ty. Ale nie dzielił świata na czarno i biało, bo... mówił, że nikt mądry tego nie robi. W każdym razie, jeśli chcesz mówić „głupia”, to jednak mów „Ridareto”. I zabij mnie już, bo mam dosyć. Nie dostałam od Riolaty żadnej broni, której mogłabym użyć przeciw tobie.

— Bo nie mogłaś dostać. Jeszcze jedno kłamstwo w słusznej sprawie. Byłbym zawstydzony, ale i ty lubisz podstępny, nieprawdaz? Przyjechałaś tutaj niezupełnie sama.

— Nie mówiłaś, że mam przyjść sama. I nie mówiłaś, że ty będziesz sam. W jaki sposób miałam przedrzeć się przez góry, nie mając żadnego oddziału?

— Rzeczywiście. W każdym razie wystarczy trochę złota, żeby psy pozagryzały się nawzajem. Jeszcze jeden dobry uczynek.

— Omal mnie nie zabili.

— Zakazałem tego.

— Nie ty, panie. Moja kolczuga.

— Dobrze. Ja też mam już dosyć. Nie wyjmiesz nawet swego oręza?

— Wyjmę. I zabiję cię, bo jesteś... jesteś zły — powiedziała z naiwną bezradnością, wyciągając jedno, a potem drugie ostrze, bo w żaden sposób nie mogła skrzyżować rąk i dosięgnąć obu jednocześnie. — Ja zabijam... chyba z głupoty, ale czasem bardzo chcę kogoś zabić. Kogoś złego.

Moldorn niemal westchnął, spoglądając na groteskową, uzbrojoną postać w kolczudze z trudem opinającej wielki brzuch. Westchnął i

grzmotnął nią w narożne drzwi, które otwarły się pod ciężarem walącego w nie ciała. Próbowwała się pozbierać, więc poprawił. Wleciała do drugiej sali. Pokuśtykał za nią i pchnął jeszcze raz. Odrzucił kaptur, mignęła przez chwilę oszpecona twarz, ale zaraz skryła się pod rysami rudawego osiłka, który nie był już nieporadnym starcem. Schylił się szybko, podnosząc upuszczony miecz. Znowu próbowała wstać; przygniótł ją spojrzeniem do posadzki. Nie odwracając wzroku, przyklęknął i rąbnął mieczem: raz, drugi, trzeci... Z wybałuszonym jedynym okiem, sina i nabrzmiała na twarzy, nie wydała z siebie głosu. Próbowwała się poruszyć, ale — podejrzewał — każda część jej ciała wydawała się dziesięć razy cięższa niż normalnie, więc wyszło z tego coś, co przywodziło na myśl pełzanie muchy w smole. Jeszcze kilka razy, trochę na oślep, rąbnął mieczem, aż ostrze szczęknęło o kamienie. Puścił ją, bo już na pewno mógł, i spojrzał w dół. Rąbnął jeszcze raz. Wystarczyło.

Wydawała z siebie coś pośredniego między smarkaniem a czkawką. Roztrzęsionymi rękami próbowała dosięgnąć podciągniętej do brzucha nogi. W końcu udało się jej i zacisnęła dłonie na krzywo urąbanym kikucie, który kończył się tuż pod kolaniem. Sterczała zeń potrzaskana, okrwawiona kość. Odpychając się drugą nogą, w ślimaczym tempie pełzła dokąds po posadzce.

— Wszystko się goi, ale nic nie odrasta; to okropne — rzekł Moldorn, odrzucając na bok miecz, który zalśnił w świetle płonących w ściennej niszy kaganków i zaraz zadzwonił o kamienną ścianę. — Odpocznę trochę i powalczymy dalej. Gdy, dajmy na to, jakiś pirat ucina nogę rybakowi w wiosce, to ten rybak czuje właśnie coś takiego. Dokładnie coś takiego. Nie wątpię, Riolato, że nigdy nie skrzywdziłaś rybaka; gdzieżby tam. Ale jeśli już ktoś skrzywdzi rybaka i, na przykład, utnie mu nogę... Co dopiero, gdyby jeszcze uciął rękę. Ale o tym pomówimy za chwilę. Kiedy już się do woli nawalczymy. Bo widzisz, to też jest ważne: otóż moja walka z tobą to coś mniej więcej takiego, jak walka pirata z rybakim. Całkiem uczciwa walka.

Minął pierwszy wstrząs; urąbany kikut zaczął sikać krwią. Cudacznie skręcona na kamiennej posadzce, z podbródkiem wtłoczonym gdzieś w obojczyk, trzymała ten kikut z całej siły i nadal dokąds pełzła. Uciekła już niemal na odległość łokcia. Przegryzła sobie wargę.

Wyglądała ohydnie, sinoczerwona na twarzy, z wytrzeszczonym, nabiegłym krwią okiem. Nic nie zostało z urody. Krztusiła się i dławiła oddechem.

— Hhhy... hhhy...

Wydawało się, że już nigdy nic więcej nie powie.

A przecież jeszcze przed chwilą tyle miała do powiedzenia. O zabijaniu złych ludzi... o Riolacie i Ridarecie.

17.

Zaledwie minęło południe, ale już zmierzchało. Pod brudnym niebem Grombelardu nieopogoda kładła na ziemi cień głębszy, niż w innych krainach Szereru — tutaj prawie zawsze był dżdżysty wieczór, u schyłku dnia niepostrzeżenie stapiający się z prawdziwym. Może mieli rację żeglarze, przekonani, że nie jest to kraj dla ludzi? A jednak przemierzali go stale. Mniej więcej pół mili przed Grombem, którego rozmazane przez deszcz, wtopione w skały mury były słabo widoczne, zdążał traktem w stronę Badoru nieduży oddział zbrojnych. Szło między nimi kilku rannych, podtrzymywanych przez towarzyszy. Prowadzący przystanęli na chwilę, ruszyli dalej i znowu przystanęli, bo po raz drugi wiatr przyniósł jakieś dziwne odgłosy. Nawoływania?... Nie. Raczej pieśń.

Rozbrzmiewała coraz silniej, z każdą chwilą wyraźniejsza. Dźwięki w górach rozchodziły się bardzo dziwnie, czasem nie było wiadomo, skąd dobiegają... Trakt, dość szeroki w tym miejscu, łagodnym zakosem piał się w górę, przeskakiwał niewysoką grań i spływał na drugą stronę, prowadząc dalej do Badoru.

Nem renea, haya na!

Oura hole, Semena.

Nem renea! aveda!

Seyen oyma asea...

Ogłupiali górale słuchali czegoś, co tutaj, w samym środku Ciężkich Gór, brzmiało zupełnie nedorzecznie. Na dartańskim pograniczu, to owszem... Ale tam, w napadniętej wiosce, nikt niczego nie śpiewał.

Jedna za drugą, dwójki idących drobnym kłusem jeźdźców wyłaniały się z za nierówności i spływały zakosem w dół. Jeźdźcy dostrzegli tkwiącą pośrodku szlaku grupkę, ale nie wywarło to na nich

żadnego wrażenia — chyba że objawem tego były płynne ruchy, którymi sięgali za siebie, wyciągając z tulei przy kulbakach osadzone w nich drzewca włócznie. Na widok oddziałku na drodze każda para tak samo, w jednakowym rytmie, chwytła broń i zataczała nią skąpy łuk, przekładając drzewca skośnie nad karkami wierzchowców. Nikt nie przerywał śpiewu.

Wysunięta do przodu dziesiątka straży przedniej była dobrze widoczna na grani i jadąca dwieście kroków z tyłu Hayna widziała, jak żołnierze sięgają po broń. Ale trzymający komendę nad awangardą gwardzista nie posłał nikogo do tyłu, co znaczyło, że nie będzie zawracał Perle głowy tylko dlatego, że właśnie, gubiąc kapcie na bezdrożach, ucieka ze szlaku kolejna banda górali, licząca najwyżej trzydzieści głów. Uganianie się za tym nie miało żadnego sensu. Za starych czasów Kragdobów — legendarnych władców gór — gdy oddziały wojowników bezdroży były zorganizowane na wojskowy sposób i trzymane żelazną ręką w ryzach, pogardliwy marsz pięćdziesięciu Dartańczyków mógłby się skończyć nie najlepiej. Ale żalonym mętom, które teraz włóczyły się po Grombelardzie, wystarczyło pokazać broń; musiałyby ich stanąć na drodze ze stu, by dziesiątka żołnierzy straży przedniej przestała śpiewać i sięgnęła nie tylko po włócznie, ale i po zawieszane na plecach tarcze. Tutaj, w Grombelardzie, nie było już nikogo — nawet zbójów. Włóczyły się stada sparszywiących psów. Z trzymającą rytm kłusa, gwardyjską piosenką jeźdźców na ustach halabardnicy królowej mogli jechać tym szlakiem aż do Londu, pilnując się tylko na popasach.

Hej, ty tam! Wina lej!
Pięknych kobiet coraz mniej.
Ożeń się! Z tamtą, ej!
Zaraz zginąć będzie łzej.
Włócznia twoja żona, konik-chwat to brat.
Pusty dom za tobą, a przed tobą świat.
Nie kłam i
Nie mów mi
O tych co na wojnę szli.
Takiś mądry?
Pokaż mi
Tych co z wojny
Tych co z wojny
Z wojny wrócili.

Świetne zbroje i konie, kosztowna broń — całe pyszne wyposażenie dartańskich jeźdźców było warte więcej niż wszystkie zebrane do kupy dobra tego dziadowskiego kraju. Ruchomy, ciągnący traktem majątek musiał wzbudzać u miejscowych niesłychane pożądanie, a mimo to nikt nie śmiał po niego sięgnąć. Czarna Perła, w złożonym półpancerzu, spod którego wystawała wyłożona na czerwoną spódnicę kolczuga, znalazła się na szczycie nierówności i poszukała wzrokiem dostrzeżonych przez awangardę rozbójników. Mogła się jednak już tylko domyślać, że... gdzieś byli. Bo nic na to nie wskazywało; nigdzie ani widu, ani słychu.

Hej, ty tam! Ty tam, hej!
Wojny, wina, kobiet chciej!
Nim wyruszysz, babę zlej,
Niech nie będzie tęskno jej!

Wyłoniły się nawleczone na nitkę bardzo porządnego w tym miejscu (bo w ogóle widocznego) traktu, spowite deszczem mury Grombu.

Na wąskim szlaku było trudno, nie przerywając marszu, odbyć naradę wojenną. Hayna tylko obejrzała się za siebie, po czym gestem pokazała Gotahowi i Raladanowi: „Dalej!”. Przyjęty od razu odwrócił się w siodle, mówiąc coś do żony, która wraz z przyboczną niewolnicą tworzyła następną parę. Dalej wił się, roztrzęsiony w kłusie, najpierw podwójny, a na samym końcu pojedynczy wąż jeźdźców, którzy wkraczali na szerszy odcinek szlaku i niemal mimochodem równali do towarzyszy, tworząc dwójki. Jeszcze dalej majaczyły zwierzęta juczne i zapasowe, prowadzone przez konnych pachołków i ubezpieczone przez kilku jeźdźców ariergardy.

Hayna nie zamierzała przystawać nawet przed bramą Grombu. Przyjęci byli gotowi radzić bez końca o niczym i roztrząsać niezliczone problemy, dzieląc włos na czworo, od początku rozważając każdy problem i od nowa dociekając, czy podjęte decyzje są aby na pewno słuszne. Znacznie rozsądniejszy był jego wysokość Raladan, który, zapytany o coś na początku podróży, powiedział jej: „Gdybyśmy byli na żaglowcu, pokazałbym ci palcem, Perło, gdzie masz stanąć, żeby nie przeszkadzać. Ale tutaj dobrze, jeśli to ja nie będę zawadą, bo nikt, jej godności Kesy nie wyłączając, nie jeździ konno gorzej ode mnie. Więc po drodze spróbuję podciągnąć się w jeździectwie, zamiast radzić ci, co masz robić”. I słowa dotrzymał.

Wszystko było już postanowione, każdy żołnierz od dawna wiedział, jakie jest jego zadanie. Gdyby wynikły nadzwyczajne okoliczności, Hayna zwołałaby krótką naradę. Ale nie wynikły. Wiedziała nawet to, że od bramy Grombu trafi prosto do rynku, bo Przyjęty dobrze znał dawną grombelardzką stolicę i zdążył jej o tym powiedzieć.

Awangarda była już w mieście. Nikt nie wrócił z meldunkiem, czyli nic się nie działo. Nikogo tam nie spotkano.

Pod miejskim murem leżały obdarte do naga trupy — tak na oko wczorajsze. Hayna przejechała pod sklepieniem bramy i dopiero wtedy się zatrzymała. Podjechali Raladan i Gotah. Dołączyła do nich i krótko powiedziała:

— Rozdzielimy się na rynku.

Żołnierze już nie śpiewali.

Na rynku jeźdźcy straży przedniej obsadzili parami wyloty ulic, trzymając w dłoniach zamiast włóczni lekkie samostrzały jazdy. Główne siły oddziału sprawnie zbierały się wokół dowódców. Teraz był czas na naradę.

Niedaleko leżało kilkadziesiąt trupów, obdartych do naga tak samo, jak te przed bramą miasta. Raladan zeskoczył z siodła i udał się na pobożowisko. Popatrzył, przeszedł się tu i tam. Wkrótce wrócił.

Przyjęta słusznie obawiała się kiedyś trudów grombelardzkiej podróży. Nie była siłaczką ani piętnastoletnią dziewczyną, która kładła się spać chora, a wstawała zdrowa. Potrafiła się zdobyć na wysiłek, ale wielodniowa podróż stępa, kłusem i galopem na zmianę, przerywana krótkimi popasami oraz — także jak najkrótszymi — nocnymi postojami, bardzo dała jej się we znaki. Choć mąż stale spieszył z pomocą i nawet żołnierze starali się jakoś ulżyć dzielnej pięknej pani, która nie skarżyła się ani słowem, było widać, że jest u kresu sił. Wydawała się starsza, niż była. Raz i drugi samodzielnie siodłając konia, połamala swoje piękne paznokcie, które kiedyś tak zapadły w pamięć władcy pirackiego księstwa. Straciła apetyt; żołnierski prowiant był dla niej, co tu dużo mówić, po prostu jakimś żarciem, od którego chorował jej żołądek. Nigdy dotąd nie jadła takich rzeczy — ani jako Perła, ani później, u boku troskliwego męża, który nie potrafił zapewnić jej bogactwa, ale dostatek owszem. Mądry człowiek zawsze wiedział, na co go stać, a na co nie. Kesa była mądrym człowiekiem. Wiedziała, co ją czeka, ale pojechała, żeby

spłacić zaciągnięty dług. Powiedziano jej wprawdzie, że został spłacony, ale uważała, że zbyt późno. Narosły wysokie odsetki i nie chciała, by zostały umorzone. Skoro raz podjęła decyzję, że jednak znów będzie działać, to nie miało żadnego sensu przystawanie w pół kroku. Tak uważała.

Wracający z pobojuwiska Raladan ogarnął spojrzeniem zmęczoną twarz Przyjętej, której spod kaptura wymknęły się zmoczone deszczem włosy, po czym zwrócił się do Hayny i Gotaha:

— Spóźniliśmy się jeden dzień. To wczorajsze ciała. Wiele z żeglarskimi tatużami. Wydaje mi się, że poznaję kilku chłopaków. Ale tych marynarskich trupów na pewno nie ma pięćdziesięciu. Dobrze, jeśli połowa tej liczby. Trzeba znaleźć resztę.

— Jeśli żyją, to są tam, gdzie ich dowódczyni — powiedziała Hayna, po czym zwróciła się do Gotaha: — Wasza godność, ty wiesz, gdzie to jest, zresztą w takim miasteczku to nie może być daleko. Ruiny wyglądają na wymarłe, ale... Zatrzymuję piętnastu jeźdźców tutaj, przy bagażach i luzakach. Drugie tyle biorę pod komendę i przejadę się ulicami. Co znajdę, to wytępię. Tobie powierzam pozostałych dwudziestu żołnierzy. Jedźcie, gdzie macie jechać.

— Możemy cię tam bardzo potrzebować, Hayno.

Odczepiła róg swojej zasłonki, jakby nie chciała się za nią kryć. Bo rzeczywiście nie chciała. Lekko przygryzła dolną wargę.

— Wasza godność, i ty, książę — powiedziała. — Dotarliśmy na miejsce.

Nie powiedziała: „przyprowadziłam was”, chociaż nie minęłaby się z prawdą. Znający Grombelard Gotah służył za przewodnika, ale cały przemarsz był niemal wyłącznym dziełem Hayny. Wiedziała, jak zaopatrzyć ponad pół setki ludzi. Dojechali żywi, zdrowi i bez żadnych strat, bo pamiętała o ubezpieczeniach w marszu, wartach na biwakach, wysyłaniu — gdy zaszła taka potrzeba — dalekiego, szybkiego zwiadu. Gospodarowała siłami podkomendnych tak, że nikt się nie oszczędzał i nikt nie przemęczał.

Teraz jednak nie chciała czegoś zrobić.

— Wasza wysokość, współczuję twojej córce i podziwiam ją, bo widziałam to coś, z czym ona walczy od kilkunastu lat. Wierzyłam, że zdążymy, ale jednak chyba się spóźniliśmy. I teraz muszę coś powiedzieć.

Mam nadzieję, że księżniczka nie żyje. Kocham tylko jedną osobę na świecie, a jest nią królowa Ezena, bez której moje istnienie nie ma żadnego sensu. Księżniczka Ridareta, choćby nawet mimowolnie, zagraża królowej i będzie zagrażać, dopóki istnieje. Nie przyczynię się do jej zguby, ale złamię rozkaz mojej pani i od tej chwili nie otrzymasz już ode mnie pomocy. Królowa mi przebaczy. Ty nie musisz. Jesteś obcym człowiekiem, którego córka zrobiła mi to, co zrobiła. Myślę, że i tak dużo ci pomogłam.

— Nie masz obowiązku się tłumaczyć. Nigdy nie byłaś mi nic winna i jest tak, jak powiedziałaś: dla obcego człowieka zrobiłaś bardzo dużo. To ja jestem twoim dłużnikiem.

— Nie, panie. Dłużnikiem królowej. Bez jej rozkazu nie kiwnęłabym palcem, a dla jej kaprysu — zabiłabym cię. Chociaż z żalem, bo zyskałeś sobie mój szacunek.

Skinął głową.

— Dobrze, spłacę ten dług królowej.

— Ale ja jeszcze mam prośbę. Możliwe, że gdzieś w tych ruinach znajdziecie człowieka, który... — Uniosła rękę i chyba bezwiednie dotknęła gładkiego policzka. — Nic o nim nie wiem, może jest zły albo błędzi. Ale mnie z jego strony spotkało tylko dobro. Skoro jest śmiertelnie chory, to może nie trzeba go zabijać?... Gdyby się poddał, nie walczył... — urwała. — Może wystarczy, jeśli... Przecież dobrze wiecie, o co proszę.

Odwróciła się nagle i krzyknęła na żołnierzy. Oddział podzielił się sprawnie. Wskoczyła na siodło.

— Tamtych dwudziestu ludzi idzie z wami. Ja już do końca życia — dodała nieco stłumionym głosem — będę sobie musiała tłumaczyć, dlaczego jeździłam ulicami Grombu, zamiast biec komuś z pomocą... Jah! — krzyknęła na swoich jeźdźców.

Piętnastu konnych z miejsca ruszyło galopem w ślad za dowódczynią. Z hukiem kopyt wpadli w boczną ulicę i zniknęli.

Zaraz załomotały kopyta kolejnych dwudziestu czterech koni.

Gotah prowadził pewnie, bo choć trudno było poznać domy, które kiedyś oglądał w Grombie, to przecież Hayna miała rację: to było miasteczko, nieporównywalne z Rollayną, a nawet dartańskimi miastami obwodowymi wielkości En Anelu. Stare orle gniazdo — rozbójnicza

twierdza, która obrosła podgrodziami i osadami służebnymi, a z czasem została obwiedziona osobnym murem; wszystko to razem dorobiło się maleńkich przedmieść. Okrzepło dopiero pod rządami imperium, spotężniało nieco, gdy na miejscu niedużych domków posadowiono solidne, po grombelardzku brzydkie kamienice. Teraz żaden budynek nie miał dachu ani nawet skrawka podłogi, bo drewno było w Ciężkich Górach poszukiwanym dobrem. Wiatr i deszcz, bez żadnych przeszkód hulające pośród martwych kamiennych ścian, w ciągu zaledwie kilku lat dokonały dzieła, krusząc zaprawę, rozdrabniając kamienny budulec.

Ale przejścia — kiedyś ulice — między tymi zimnymi szkieleciami domów układały się w znany Gotahowi, naprawdę niezbyt wymyślny wzór. Jedna ulica, druga... a już za chwilę trzecia...

Lekkozbrojni dartańscy jeźdźcy, wszyscy w kolczugach i zielono-granatowych tunikach, w pysznych płaszczach, z przepięknymi kitami na otwartych hełmach, w każdej chwili mogli stać się piechotą. Wszyscy mieli w dłoniach kusze, o wiele słabsze od słynnych kusz grombelardzkich (wytwarzano je już tylko w Londzie), ale za to łatwiejsze w użyciu, dzięki strzemienu łatwe do napięcia nawet w siodle — wystarczyło zaczepić cięciwę o przytwierdzony do pasa hak. Strzelcza broń wydawała się pośród gruzów znacznie lepsza niż włócznia i tarcza, potrzebne do szarży. Ale łatwość użycia samostrzałów stała się przyczyną pomyłki.

W ruinach wszczął się ruch — uzbrojeni ludzie uciekali między popękane ściany. U wylotu uliczki stał wcale solidny dom, który jakoś oparł się upływowi czasu. Oczywiście nie miał dachu i straszył dziurami w miejscu okien, ale pysznił się wszystkimi ścianami. W błocie ulicy leżały niepoobdzierane trupy, a przy samym progu deszcz moczył kilka innych. Mignęło coś w jednym z okien; ciężki bełt przeleciał niebezpiecznie blisko głowy Gotaha. Prysnał drugi pocisk i ten był, niestety, celny, poważnie ranił gwardzistę. Jeźdźcy niemal w jednej chwili pozeskakiwali z kulbak — wszyscy oprócz pięciu, którzy osłonili tarczami Przyjętą i Przyjętego, tłocząc konie wokół czworga nie będących żołnierzami jeźdźców. Dartańczycy posłali w budynek kilka bełtów; ktoś tam wrzasnął trafiony, ale halabardnicy królowej nie mieli już w rękach kusz, tylko miecze. Dartańska lekka jazda strzelcza używała tarcz do szarży albo jako dodatkowej, noszonej na plecach osłony i

żołnierze pościgali je teraz z wprawą godną doborowego wojska. Już biegli ulicą. Dotarli do budynku i w szczerbatym portalu drzwi zderzyli się z jego obrońcami, którzy blokowali dostęp do środka. Ale tylko przez krótką chwilę.

Gwardia wtargnęła w głąb kamienicy i trudno powiedzieć, czy trwała tam walka, bo chyba raczej rzeź, masakra. Nikt nie krzyczał po dartańsku, ale za to gardłowo brzmiący język, z pozoru podobny do grombelardzkiego, był niestety językiem garyjskim.

Raladan naparł koniem, rozepchnął niepotrzebnie już osłaniających go jeźdźców i pogalopował ku kamienicy. Zeskoczył na sam próg i wpadł do środka, gdzie w półmroku — bo choć nie było dachu, to wysokie ściany jednak ocieniały gruzowisko — czternastu Dartańczyków mordowało ostatnich marynarzy ze „Zgniłego Trupa”. Obojętnie jak dobrzy w walkach abordażowych, nieszczęśni żeglarze nie mieli tutaj — jak kiedyś na brzegu morza — sześciokrotnej przewagi liczebnej, nie zaskoczyli wroga z zasadki i nie byli żadnym przeciwnikiem dla elity królewskich wojsk. W kącie izby broniło się wielkie chłopisko, pod drugą ścianą dwaj inni, którzy żyli jeszcze bodaj tylko z powodu pomyłki — kilku granatowo-zielonych rębajłów jednocześnie skoczyło w ich stronę... i tak samo jednocześnie ustąpiło miejsca kolegom, bo nie było tam miejsca dla sześciu. Zdzierając gardło, Raladan odepchnął żołnierza, który właśnie wyrznął w łeb tarczą zrywającego się z ziemi majtka. Niczemu nie zapobiegł, bo gwardzista za ciosem walącej na odlew tarczy pociągnął płaskie cięcie miecza — ogłuszył i zabił marynarza niemal jednym i tym samym skrętem tułowia.

— Nells! Wrzańnij im „stój, przyjaciele! Raladan!”.

Zakrwawione chłopisko w kącie poznało agarskiego księcia i wrzasnęło po dartańsku to co mu kazano. Gwardziści stanęli, ale nie opuścili broni. Niemal wszyscy jako tako znali Kinen, o czym rozgniewany Raladan nie pomyślał. Pogubił się. Był Wyspiarzem sprzymierzonym z Dartańczykami, którzy bili się z Garyjczykami w Grombelardzie, a miał się porozumieć w uproszczonym armektańskim, którego w rozmowach z Przyjętymi i Hayną przez całą podróż nie używał, bo wszyscy troje świetnie znali garyjski... W najważniejszej chwili na moment stracił głowę i... nie dogadał się. A wcześniej nie przewidział, że może dojść do katastrofalnej pomyłki; wydawało mu się

oczywiste, że chłopcy ze „Zgniłego Trupa” wiedzą o jego pobycie w stolicy Dartanu, więc od razu połączą z tym faktem dartańskie wojsko. Może i wiedzieli o Rollaynie, ale nie połączyli. Bo bardziej oczywiste wydało im się, że zielono-granatowi żołnierze, których jakiś czas temu stratowali nad morzem, wspierają teraz Przyjętego — tak jak wspierali wówczas.

Pomyłkę przeżyło dwóch marynarzy w kacie, ranny Nells i jeszcze czterech rannych, z których dwaj nie mieli prawa dociągnąć do nocy. Pałacowi strażnicy królowej Ezeny, okryci świetnymi kolczymi pancerzami i z tarczami w rękach, postawieni naprzeciw piratów w proporcji niemal jeden na jednego — bo żeglarzy, jak się okazało, stanęło do walki raptem dziewiętnastu — odnieśli kilka ran i kontuzji, ale żadne z tych obrażeń nie było śmiertelne.

— Nells, gdzie Ridareta?

— Poszła na Przyjętego, ale nie wiem gdzie. Szukaliśmy... nie dało rady, bo... — ochryple odrzekł dowódca Gardy, trzymając się za rozplataną mieczem rękę, z której strumieniem ściekała na ziemię krew. — Skąd ty tu...?

— Z odsieczą — gniewnie powiedział Raladan. — Dlaczego do nas strzelaliście?

Mniej więcej od Sępiej Przełęczcy, gdzie zdołali zasięgnąć języka, więc od chwili gdy stało się niemal oczywiste, że nie zdołają dogonić Ridarety, żył na krawędzi obojętności. Był wieziony jak bagaż, przez jakichś ludzi, dokądś. Jechał przeciw komuś, kogo nigdy nie widział. Do miejsca, w którym nie był. By stanąć do walki, której reguł nie znał. Nie był dzieckiem i wiedział już, że jedzie się zemścić, tylko po to. Nells rozwiął ostatnie nadzieje: Ridareta odnalazła wroga, ale była sama i... nie przypuszczał, by przez całą dobę biła się na miecze z Przyjętym. Jeśli wygrała, to nie musiał się spieszyć — kto jak kto, ale wypchana siłami Rubinu księżniczka Ridareta na pewno nie leżała ranna gdzieś w gruzach, wyglądając pomocy, licząc każdy oddech i każdą wypływającą kroplę krwi.

Ale nie wygrała. Gdyby żyła... toby była.

Nells powiedział dlaczego strzelali. Raladan tylko machnął ręką i wyszedł. Skinął na piątkę jeźdźców, którzy wciąż pilnowali Przyjętych. Ruszyli, prowadząc podopiecznych.

— Gdzie jest to przekłete miejsce? — zapytał Gotaha. — To są jej chłopaki. — Pokazał za siebie. — No więc, gdzie?

Gotah po prostu wskazał palcem. Na końcu ulicy widniała jakaś większa od innych ruina. Marynarze Ridarety byli oblężeni w domu odległym o sto pięćdziesiąt kroków od miejsca, gdzie ich kapitana spotkała się z Moldornem-Przyjętym. Wygrali walkę na rynku i pobiegli śladem dowódczyni, ale znali tylko sam początek drogi. Potem ich osaczono. Ale i tak próbowaliby się przebić; pobiegliby dalej, gdyby wiedzieli dokąd. Gdyby Ridareta trochę dłużej zwlekała z zejściem do piwnic dawnego gmachu Trybunału, to być może doczekałaby się przyjaciół, nie wrogów. Dwudziestu kilku oddanych jej ludzi, którzy chętnie pogadaliby z mędrcom Szerni Moldornem.

*

Deszcz ustał, ale nie rozwidniło się, bo nad Grombelardem nigdy nie było nieba, tylko coś, co przywodziło na myśl zawieszoną nad górami i częściowo na nich opartą gliniankę. Szerokie, ale strome, częściowo odgruzowane stopnie wiodły w dół. Gotah sięgnął po łuczywa, które zabrał ze sobą, bo wiedział, że Strażnik Praw został żywcem zamurowany w podziemiach gmachu Trybunału, gdzie trudno było liczyć na światło. Wkrótce zapłonęły trzy pochodnie. Raladan ruszył pierwszy, zszedł po kilkunastu stopniach w dół i poświecił w głąb korytarza.

— Wasza godność... — rzekł dziwnym głosem i zaraz powtórzył głośniejszym: — Wasza godność!

Gotah zszedł po schodach i zajrzał tam, gdzie Raladan.

Trzy kamienne chodniki rozbiegały się na podobieństwo trzech środkowych, rozcapierzonych palców dłoni. W żelaznych kagańcach na ścianach płonęły pochodnie. Plamy cienia wyznaczały chyba kolejne odgałęzienia korytarzy.

— To musi... rozchodzić się pod całym miastem. Jak długi jest ten korytarz? Pięćset kroków? Sześćset?

— Niemożliwe — rzekł Gotah. — Nikt tu nie mógł zbudować czegoś podobnego. Nikt oprócz Moldorna.

— Co to znaczy?

— Nie wiem. To jest... nieprawdziwe — rzekł Przyjęty. — Ale nie umiem określić, w jaki sposób nieprawdziwe. Może to tylko złudzenie, może tam nie ma korytarza, jest ściana. A może naprawdę jest chodnik,

którego jednak... nie ma.

Historyk Szerni dogadałby się może z jakimś innym Przyjętym, ale nie wiedział, jak zrozumiale przedstawić sprawę żeglarzowi.

— W takim razie sprawdzmy — powiedział Raladan.

— Nie!

Przytrzymany za ramię księżę przystanął.

— Tam może NAPRAWDĘ niczego nie być... Niczego, panie. Tylko coś w rodzaju studni bez dna. Zrobisz krok i nie wrócisz już nigdy.

Raladan mierzył Przyjętego spojrzeniem.

— Mam tu stać? — zapytał, po czym poruszył pochodnią, wskazując korytarze. — Gdzieś tam jest moja córka.

Przyjęta ostrożnie zeszła po schodach i stanęła za nimi. Przymknęła na chwilę oczy.

— Mój mąż ma rację, panie — powiedziała. — Ani kroku.

— Wiesz, co tam jest? — zapytał Gotah.

— Mniej więcej to, co powiedziałeś. Czekaaj, muszę spojrzeć... Odsuńcie się trochę.

Przesunęła się przed nich. I bez żadnej zapowiedzi postąpiła krok naprzód. Gotah natychmiast ruszył za nią... i uderzył w coś, co mogło być doskonale przejrzystą, wytrzymałą szybą.

— Wybaczcie mi obaj — powiedziała, odwracając się. — Tylko ja.

— Co to znaczy, Keso?

— Że tylko ja tam pójde. Kazałeś mi kiedyś czekać, panie — powiedziała do Raladana, odchylając w bok płomień pochodni i opierając palce dłoni na domniemanej szybie — a dzisiaj ja ci mówię to samo. Zupełnie to samo, bo pamiętam prawie dosłownie, co wtedy powiedziałeś. No więc dzisiaj ja mówię: dostarczyłeś, wasza wysokość, właściwą osobę we właściwe miejsce, a teraz do niczego mi się nie przydasz. Prędzej zaszkodzisz, niż pomożesz. Wrócę tu z twoją córką... chyba że jest już za późno.

— Keso! — rzekł ostrzegawczo Gotah.

— Tania sztuczka, przeceniasz Moldorna — powiedziała. — Zwykły Krąg Złudzeń, można to było „wyczarować” nawet za pomocą paru Porzuconych Przedmiotów... daruj, ale nie pamiętam, jak się nazywały te... liczydła matematyków. Tu zaczyna się prosty korytarz, liczący najwyżej kilkadziesiąt kroków — powiedziała, wskazując nie jeden z

oświetlonych pochodniami chodników, ale ścianę pomiędzy nimi. — Za to ten pokrywa się z otwartymi drzwiami wiodącymi do jakiejś salki. Zwykle obrazki, mogące zmylić jakiegoś pirata z toporem, gdyby znalazł to miejsce. Czekać na mnie. Wróć.

— Wasza godność — powiedział Raladan. — Jeśli nie znajdziesz tam Ridarety...

— ...to na pewno znajdę chociaż Moldorna, bo nie sądzę, by bez żadnej potrzeby podtrzymywał Krąg Złudzeń; to kosztuje — przerwała mu z głębokim spokojem. — Wtedy, panie, pomogę mu opuścić to miejsce, jeśli będzie mojej pomocy potrzebował. Żadnej zemsty, żadnych sądów, żadnej kary. Ktoś o wielkim sercu prosił dzisiaj, by pozostawić mu prawo do spokojnej śmierci, i ta prośba znaczy dla mnie więcej niż małoduszna chęć zemsty. Czekać na mnie — powtórzyła. — Wróć.

To powiedziawszy, weszła w ścianę.

Raladan ruszył po schodach.

— Zechciej, panie, spełnić rozkaz małżonki. Ja nie będę tu czekał. Bo na co?

*

Gotah z połową żołnierzy został w zrujnowanym gmachu Trybunału, pilnując ponurych schodów. Raladan z resztą gwardzistów wrócił po Nellsa i rannych marynarzy. Pilnowało ich kilku Dartańczyków. Stary przyboczny Ridarety zjadł zęby na różnych potyczkach, halabardnicy także niejedno w życiu widzieli... Byli wrogami, za chwilę już nie, ale nie stali się przyjaciółmi, wkrótce znowu mogli stanąć z bronią przeciwko sobie... Zwykły los wojowników. Nikt tu do nikogo nie żywił osobistej urazy. Gwardziści pogardzali rzemiosłem morskich zbójów, ale potrafili uszanować ich odwagę. W odróżnieniu od szczerów w ruinach ci tutaj nie uciekli, stanęli do walki, nie prosili o litość. I służyli komuś, na swój sposób wiernie; szli z odsieczą.

Na widok Raladana Nells pytająco zadarł podbródek. Miał już opatrzoną rękę, zaopiekowano się też ciężko rannymi, chociaż właściwie nie wiadomo po co... Dwaj byli nieprzytomni; tylko opatrunki zużyte na ich kolegów mogły zostać uznane za nie wyrzucone w błoto.

— Nic — krótko powiedział Raladan. — Musimy na razie czekać. Przyjęci...

Nie wytłumaczył, co Przyjęci.

— Mów ty — polecił Nellsowi. — Dlaczego tu siedzieliście?

Nells krótko opowiedział o tym, co zdarzyło się w Grombie. Przerwał, gdy gdzieś z zewnątrz, z daleka — ale nie z tej strony, co ruina Trybunału — dobiegły jakieś wrzaski.

— Coś tam...

Prawdopodobnie truchtający ulicami jeźdźcy Hayny dopadli wreszcie jakąś małą bandę, która głupio się zaszwenowała. Albo może po prostu stracili cierpliwość, wleźli pieszo w ruiny, powyciągali grombelardzkie bełty z przestrzelonych tyłków i ramion, po czym zrobili góralom to, co wcześniej ich towarzysze marynarzom.

Raladan wyjaśnił Nellsowi, jak się sprawy mają. Stary pirat uradował się na samą myśl, że śmierdzące górskie patałachy zbierają teraz takie baty, jakie zebrał on i jego chłopcy.

— Dobrzyście — powiedział do gwardzistów.

— Dlaczego tu siedzieliście? — jeszcze raz zapytał Raladan. — Uciekliście z rynku i co tutaj...?

— Dwudziestu paru nas się zostało, do tego pochlastanych. Wyleciała banda, za nią druga. No to wpadli my tutaj i do roboty w tych drzwiach. Położyli nam paru, ale nie przeszli. No, nie byli tacy jak wy — dodał po dartańsku, znowu popatrując na gwardzistów. — Z wami to, skur... Spróbowalibyście się z moją Gardą w abordażu. A teraz, co ja miałem? Paru pokaleczonych kuternogów. E, co tam będę...

— I już dali wam spokój? — zapytał Raladan.

— Gdzie tam. I już byśmy nie dali rady. Zebrało się tego z pół setki. Ridka klęła Cichego, bo, mówi, i tak jest co dźwigać, a wiesz co? Dupska nam uratował. Szkoda, że na tak krótko. — Z żalem popatrzył na pozabijanych przez straż królewską chłopaków, spokojnych, równo ułożonych pod ścianą.

— Jak was uratował?

Nells sięgnął zdrową ręką i przyciągnął ciężki podłużny przedmiot.

— Jeszcześmy z Aheli zabrali. Sprawdzają się przed abordażem. Prochu, te górskie głupki, to oni tutaj na oczy nie widzieli, bo to trzeba na okręcie popływać, żeby zobaczyć, co to takiego działa. Jak żem wziął pierdolnął z hakownicy, a dwa chłopaki jeszcze poprawiły... No, jeden, bo drugiemu nie wyszło. Tamci lecieli tutaj, a zaraz z powrotem, bo nie widzieli, co się dzieje! — Nells zarechotał. — Ale starczyło na jeden raz,

potem proch nam zamókł, a rozgrzany drut do zapalu utrzymać w tym pier... tfu!... kraju, gdzie bez przerwy pada, też niełatwo. Raz się udało, dobre i to. Tak im w pięty poszło, że nam dali spokój. Oni siedzieli tam, my tu. A potem patrzę, jadą na mnie tacy sami jak ci, którzy z tamtym Przyjętym nad morzem... Mielśmy dwie kusze, bo reszta została na rynku. No, tom kazał strzelać. Żebym wiedział...

Nells westchnął.

— Siedzieli jacyś w tamtych ruinach — przyznał Raladan. — Ale pięćdziesięciu chyba ich nie było.

— Tylu było najpierw, a ilu tam zostało? Przecież nie poszedł liczyć. Mnie się widzi, że oni dostali pieniądz, żeby nas poszarpać, i swoje zrobili. Wszystko, co miało ikrę, to myśmy na rynku położyli. A tym tutaj to bardziej chyba zależało, żeby nas przypilnować niż odwalić kité w tych drzwiach. Zobaczyli, że siedzimy... Bo żebym to ja wiedział, gdzie pognąła Ridka! A tak, gdzieśmy się mieli szlajać? Popatrzyli, że siedzimy, wtedy jedni zostali, drudzy sobie poszli.

Raladan skinął głową, bo możliwe, że tak właśnie było.

— Szkoda, że odesłałem Sayla Cichemu. Swojego oficera chyba byście poznali...

Gadał z Nellsem i gadał, bo inaczej musiałby... robić coś innego.

— Chodźmy tam wszyscy — powiedział, wstając. — Lepiej połączyć oddziały.

Nadciągał zmierzch — tym razem prawdziwy, wieczorny. Znowu zaczęło padać. Dwie przecznicie dalej przemknął wyciągniętym kłusem oddziałek jeźdźców — Hayna wciąż patrolowała ulice, prowokując grombelardzkie szczury, ale było bardzo wątpliwe, by wiele z nich opuściło swoje nory; jeśli tak, to najwyżej w nocy — po to, by dać drapaką z miasta. Miejscowe łapserdaki nie mogły przecież wiedzieć, ile oddziałów jazdy krąży po ulicach. Dla nich cały Gromb był wypchany przybyłym znikąd wojskiem w granatowo-zielonych tunikach, okupującym rynek, przemierzającym ulice, grzebiącym w jakichś ruinach.

Raladan stanął przy Gotahu. Nadciągała garstka marynarzy, wspomaganych w marszu bądź niesionych przez dartańskich gwardzistów. Jednego z ciężko rannych dowleczono już nieżywego.

— Nie wróciła?

Gotah popatrzył na pirata. Ale Raladan nie oczekiwał odpowiedzi. Raczej stwierdzał, niż pytał.

Przez chwilę milczał.

— Twoja żona, panie, kazała nam czekać — powiedział wreszcie.

— Tak — zgodził się Przyjęty, który także potrzebował trochę czasu na ułożenie mądrej odpowiedzi. — I będziemy czekać?

Pytanie Przyjętego miało sens. Raladan wzruszył ramionami i zagapił się w ciemniejące od bliskiej nocy niebo, na którym nie było nawet śladu gwiazd.

Przepiękny kraj.

— Jeśli nie obrazisz się, panie, to odpowiem ci po żeglarsku. Nie mam już cierpliwości. Kobieta rządzi cesarstwem, a druga królestwem. Kobieta... wspaniała kobieta... rządziła niedawno księstwem. Kobieta rozwala Feren, który składa się z kobiet, i kobieta idzie wszystko naprawiać... Pora wetknąć w to kawałek kutasa. Może wreszcie coś z tego będzie.

— Ja też mam kutasa — rzekł Gotah.

— No to wetknijmy dwa.

18.

W niewielkiej kamiennej komnatce rozkuto jedną ścianę i w odślonętej wnęce Kesa znalazła najdziwniejszą istotę Szereru: nieśmiertelnego garbatego starca, zwanego Strażnikiem Praw Całości, a czasem Wiedzącym. Przyjęta знаła historię tej... kary i nie mogła uwierzyć, że wymierzyła ją kobieta. W niszy mającej głębokość jednego kroku, a szerokość najwyżej dwóch, za ręce, nogi i szyję przykuto do ściany siwobrodego kalekę, którego jedyną winą było to, że wypełniał swoje powołanie. Tak wyglądała zemsta kobiety, której odebrano męża.

Kesa też była mężatką. Czy, za podobne przewiny, chciałaby i umiała skazać kogoś na taką torturę? Zapytała siebie o to, ale nie odpowiedziała.

Przerazała ją jednak myśl, że kobieta, która na to pytanie odpowiedziała twierdząco, jest teraz władczynią Wiecznego Cesarstwa.

Okrutnica pławiąca się we władzy.

Chociaż — czy na pewno? Ta rzekoma okrutnica chyba jednak czegoś żałowała, może coś zrozumiała? Popełniła czyn, który uznała za

potrzebny i słuszny, lecz po latach cofnęła decyzję, bo doszła do wniosku, że tak trzeba. Zgodziła się, by ktoś ujrzał w niej okrutnicę... To dowodziło odwagi. Może skruchy, poczucia winy, wyrzutów sumienia?...

Albo tego, że cesarzowej nie zależało na opinii maluczkich.

Nieśmiertelny stary grajek miał u swoich stóp zbutwiałe szczątki jakiegoś instrumentu. Nie oddychał, był zimny, wyglądał jak martwy. Ale nie mógł być martwy — bo ciało nie nosiło żadnych znamion rozkładu. Jeśli umarł, to najwyżej tego ranka.

Nie, trwał zamurowany w ściennej niszy od lat. Może w ten sposób, gasząc zmysły i przejawy życia, Pasma Szerni obroniły żywy symbol Przyczyny przed szaleństwem? Czy Wiedzący miał wkrótce zmartwychwstać?

Świecąc pochodnią, Kesa wycofała się z ponurej sali, wracając na zalany wodą korytarz.

Należało myśleć nie o martwych, czy nawet nieśmiertelnych, lecz o żywych.

Była to myśl, która napełniła ją nagłym lękiem. Uświadomiła sobie, że w tych ciasnych, chyba niezbyt rozległych podziemiach, jest... jedyną naprawdę żywą istotą. Mąż, przyjaciele, sprzymierzeńcy — wszyscy zostali na górze. Kto tutaj oprócz niej?... Nieśmiertelny, ale trupio zimny starzec; martwa kobieta, przywrócona do życia za sprawą sił potężnego Przedmiotu... I żywy trup Moldorn, mający przed sobą najwyżej kilka dni.

Następne drzwi były zamknięte. Ostatnie, na końcu korytarza, też.

— Moldornie, przecież... — powiedziała głośno. — Czy naprawdę mam wrócić po lewar albo topór i rąbać wiekowe drewno? Chyba nie z pragnienia, by to ujrzyć, czekasz tutaj? I tak wejść, więc najlepiej po prostu wpuść mnie.

Czekała, ale drzwi się nie otwały. Nie nadeszła żadna odpowiedź. Przyjęta przywykła stosować zawsze najprostsze środki, bo tak było słusznie — więc rzeczywiście zawróciła po topór. Ale nagle zdała sobie sprawę, że akurat w tej sytuacji śmieszne jest rąbanie nabijanych ćwiekami wierzei, a co innego nie. Odwróciła się z powrotem, wgniotła je w futrynę i wyrwała z zawiasów. Pęknięte na pół, przewróciły się na podłogę małej izby, w której były tylko dwie ławki i zagracony stół. Przeszła po szczątkach drzwi. Zobaczyła jeszcze jedno, tym razem otwarte.

Następna izba, bardzo duża, a mimo to nieźle oświetlona, była salą tortur. Przyjętą przeszył dreszcz zgrozy i obrzydzenia. Oba uczucia wzmogły się, gdy wyszło na jaw, że wstrętne narzędzia i ohydne sprzęty używane są... zgodnie z przeznaczeniem.

Brzemienna Ridareta leżała na drewnianym stole, którego blat można było przechylić, a nawet postawić pionowo. Przymocowano ją do niego za pomocą żelaznych bransolet, które skuwwały jednak tylko lewą nogę i prawą rękę. Drugiej nogi nie miała, a z lewego ramienia nie zostało zupełnie nic, zaś szczątki leżące pod stołem wskazywały, że odejmowano jej to ramię po kawałku, rozdzielając kolejne stawy aż do ostatniego barkowego. Rozgniatając wargi i wyłamując zęby, wtłoczono jej w usta coś, co było chyba drewnianą kulą, niemożliwą do wypchnięcia językiem. Na stole pozostał żywy strzęp człowieka; strzęp bestialsko okaleczony, a jednocześnie... zdrowy. Zabliźnione rany wyglądały na stare. Było coś potwornego w kalekiej, niewiarygodnie cichej i spokojnej kobiecie, w której łonie wzbierało nowe życie. Albo chociaż — istnienie, jeśli nawet nie było prawdziwym życiem.

— Nie mogę uwierzyć, że to zrobił... Nie mogę.

— A jednak mogłem i zrobiłem, Keso.

Moldorn nigdzie się nie schował. Po prostu siedział na szerokim zydlu pod ścianą, nieruchomy w swoim długim burym płaszczu, podobny do jeszcze jednej skrzyni, może kolejnych dybów, których tak wiele tutaj stało i leżało. Nie zobaczyła go od razu, bo nie mogła oderwać wzroku od potworności na stole.

— W imię czego? Powiedz mi, wytłumacz — zażądała, oddychając głęboko, bo nachodziły ją mdłości. — Proszę. Chcę wiedzieć, w imię czego, w imię jakich chorych racji... ktoś, kto ma się za mędrca, popełnia taki czyn?

— W imię sprawiedliwości, wasza godność. Przyznam, zanim to powiesz: tak, jestem sędzią i katem. Przyjąłem te obowiązki, gdy wielu innych się uchyliło.

— Dlaczego je przyjąłeś?

— Bo sędziowie są potrzebni. Kat też. Bo sądenie przynosi ulgę mojemu sumieniu, a wymierzanie słusznej kary sprawia radość.

— Radość?... — Znowu poczuła dreszcz.

— Sprawiłoby mi ból, gdybym poddał męczarniom człowieka

prawego. Wolałbym umrzeć, Keso, niż zostać oprawcą niewinnych — oznajmił z powagą. — Uwierz mi, że wolałbym umrzeć. Nie znam swojej odporności, więc możliwe, że zmuszono by mnie do takiej podłości siłą. Ale dobrowolnie nigdy bym się nie zgodził.

— Sprawia ci to radość.

— Nie zadawanie bólu, lecz wymierzanie kary — sprostował. — Odpłacanie pięknym za nadobne. Sprawia mi ulgę i radość świadomość, że zbrodniarz doznaje dokładnie tego, czego doznawały jego ofiary. Tak właśnie powinno być. Jest to najpiękniejsze, co spotkało mnie w życiu. Oglądanie dziejącej się sprawiedliwości.

— Nie różnisz się niczym...

— Wasza godność! — przerwał. — Nie wygaduj głupstw! Zastaniam się czym chcesz, oceniasz co chcesz i opowiadasz co chcesz, byle tylko było to zgodne z elementarną logiką! Odwracasz związki przyczynowo-skutkowe, bo zbrodniarze nie dlatego istnieją, że są sędziowie i kaci. Jest dokładnie na odwrót. Powołała mnie, więc jestem! — rzekł, wskazując stół. — To ja jestem jej dziełem, nie ona moim!

— Moldornie... Nie mam siły o tym rozmawiać. Powiedziałam ci kiedyś, a teraz powtórzę: jesteś zadufanym w sobie głupcem. Twój wywód jest nie do podważenia, pod jednym wszakże warunkiem, a mianowicie takim, że istnieją nieomylni sędziowie. A ty właśnie dowiodłeś, że jeżeli nawet rzeczywiście istnieją, to ty do nich, niestety, nie należysz.

— W czym się pomyliłem?

— We wszystkim bez mała. Nigdy nie zgodziłeś się uznać, że masz do czynienia z prawdziwym, czującym i zdolnym do uczuć człowiekiem, skrzywdzonym może bardziej niż ofiary, o których mówisz. Zburzyłoby to twój prosty obraz świata. Logika? A gdzie ona jest? Mówisz, że być może tortury zmusiłyby cię do popełnienia podłości... a tutaj? Czy ona przez pół życia nie doznawała tortur? Ta dziewczyna nosi w żyłach truciznę, której nie zadała sobie sama. Nie, zamilcz!... Teraz ja powiem swoje.

Wzburzona Kesa nie mogła przestać mówić, chociaż czuła, że jest śmieszna. Prawiła morały znacznie starszemu od niej człowiekowi, który niczego już przecież nie mógł się nauczyć; miał na to kilkadziesiąt lat i nie wykorzystał ich.

— Gdybyś mi powiedział coś takiego, co usłyszałam dzisiaj od mądrej, ale jednak zwykłej dziewczyny, nie będącej żadną uczoną... — ciągnęła. — Gdybyś powiedział: „Współczuję Ridarecie, niemniej jest zagrożeniem i dlatego powinna zostać unieszkodliwiona, bo jakoś musimy i mamy prawo się bronić”... Wtedy to co innego. Mogłabym cię zrozumieć, chociaż nie poparłabym czynów. Ale ty właśnie dowiodłeś, że jesteś podobny do swojej ofiary. Nie odróżnia dobra od zła, bo ma w duszy truciznę; ty taką samą truciznę masz w umyśle, ale sam ją sobie zadałeś. Rubin jest tylko rzeczą, ukarałeś więc, głupcze, rzecz, depreczając po drodze człowieka, który jest przynajmniej świadom swoich ułomności i próbuje z nimi walczyć, nienawidzi ich, zamiast wielbić. Wynoś się z moich oczu! Ktoś prosił dzisiaj o twoje życie, więc zachowaj jego resztki i wynoś się stąd! Natychmiast.

Przyjęty wstał z zydła, pokazując w wycięciu kaptura oszpeconą twarz.

— Więc w ogóle nie mam racji?

— Zbudowałeś sobie idealny układ, który nie ma odniesienia do rzeczywistości. Wszystko, co powiedziałeś, wydaje się słuszne, ale tylko pod warunkiem, że istnieje nieomyślność, a zasługi i winy można dokładnie zważyć. Nie będę już o tym rozmawiać. Opuść to miejsce, matematyku Szerni.

— Nie, Keso.

— Jeśli tego nie zrobisz, mogą zginąć niewinni ludzie, których wezwę. Niektórzy z nich mają powody, by cię nienawidzić, a ty przecież będziesz się bronił.

— Nie wezwiesz ich, bo cię powstrzymam. Ale nie zmuszaj mnie do tego, Przyjęta. Skoro zacząłem, to muszę dokończyć swego dzieła, bo inaczej naprawdę dowiodę, że nie miało żadnego sensu.

— A teraz jeszcze ma?

— Owszem. Jeszcze ma. Nawet jeśli przyjąć twoje rozumowanie jako słuszne, a odmówić słuszności mojemu, to leżące tutaj COŚ jest i pozostanie groźne. Jako takie, winno zostać unicestwione. — Moldorn zwrócił się nagle w stronę łoża tortur, czyniąc drobny ruch dłonią i... nic się nie wydarzyło.

Kesa stała w miejscu z dłońmi uniesionymi tak, jakby chciała oburącz dotknąć skroni.

— Keso — rzekł Moldorn. — Czy będziemy się teraz mocować?

— Nie zabijesz jej.

— Sama o to prosiła.

— Torturowana.

— Przeciwnie. Gdy okazało się, że ból jest nie do uniknięcia, Rubin zaczął go przeobrażać w... coś innego.

— Moldornie, jest mi niedobrze... Odejdź natychmiast, albo cię stąd wyrzucę.

— Ty sama, wasza godność? Już nie zbrojni z zewnątrz?

— Nie mogę stąd wyjść, bo ją zabijesz.

— Spróbuję sto razy tego samego — rzekł Moldorn, znów wykonując drobny gest dłonią. — I umrę przy sto pierwszej próbie. Ty mnie sto razy powstrzymasz, a gdy już będę martwy, zostanie w tym pomieszczeniu jeden Rubin i jedna osiemdziesięcioletnia, siwa i pomarszczona kobieta, z trudem trzymająca się na nogach. Czy jesteś na to gotowa, piękna Keso?

— Sto tanich sztuczek to za mało. Powiedz: tysiąc. Może dziesięć tysięcy.

— Czy to też jest sztuczka? — Tym razem spojrzał prosto na nią.

Obroniła się, choć nie wiedziała jak.

— To już nie... — odrzekła z wysiłkiem. — Ostatni raz mówię... Moldornie...

Gdy znowu ją zaatakował, zrozumiała, że potrafi bardzo, bardzo wiele — ale mało z tego rozumie. Nie odróżniał powierzchownych „sztuczek” od angażowania czystej treści Pasm. Poleciał do tyłu — bo musiał, skoro ona została w miejscu. Akcja i reakcja... Uderzył plecami w mur. Tylko się zasłaniając, omal go nie zabiła.

Z trudem zaczerpnął tchu. Dźwigając się na nogi, chwycił zardzewiały, tkwiący w ścianie hak. Wstał. Żelazo zostało mu w rękach. Chyba nawet o tym nie wiedział.

— Jeszcze raz — rzekł.

Tego nie oczekiwała. Szybkości myślenia, której nie mogła sprostać intuicja... Był genialnym matematykiem... dysponował umysłem, który zwiódł go na manowce, ale mógł być także wykorzystywany z bezlitosnym skutkiem. Nie umiała czuć tak szybko, jako on myślał!... Wybierał i wprzęgał do działania niezliczone siły, które wykradł

Pasmom, ona zaś odpowiadała coraz bardziej chaotycznie, zmuszona dodatkowo do czuwania nad bezbronną, okaleczoną kobietą, ku której kierowały się co jakiś czas pojedyncze ataki. Zrozumiała, że zaraz zabije je obie.

Mogła uciec... i zostawić na stole tego bezbronnego dzieciaka, który przyszedł tu dlatego, że bardzo kogoś kochał. Przyszedł ze swoim śmiesznym mieczem w ręku, nie mając nawet cienia szansy na zwycięstwo.

Trzymała w rękach swoje dwa sztylety — oręż hodowlanej Perły. Nie wiedziała, kiedy po nie sięgnęła. Intuicja... To był sposób, najlepszy sposób, a może jedyny, czuła to... Jednak już od dawna nie umiała używać broni, nigdy dobrze nie umiała, a choćby i nawet... to zamierało w niej serce na myśl, że miałyby zabić człowieka... Pchnąć ostrzem żywe ciało, z całej siły... Nie umiała tego zrobić i wiedziała, że nigdy nie zrobi.

Przebił się i uderzył ją! Złagodziła cios, jak zwykle nie rozumiejąc, przed czym właściwie się broni, w jaki sposób i dlaczego tak. Wychodziła spod uderzenia, nie wiedząc, co w ogóle się dzieje... Spiralnie zwijał się w kulę błękitny pas rozsypanych w czerni drobin, pociągając ją ku gęstniejącemu rdzeniowi; czas zwolnił bieg... odsunęła się... wy dostała poza ssącą siłę wiru...

Dowiedziała się, że przegra. W przeciwieństwie do niej Moldorn nie działał odruchowo, wiedział co robi i skoro raz przełamał jej obronę, mógł to zrobić znowu. Nauczył się.

Natychmiast wykorzystał swoją przewagę Nie tyle już walczyła, co była bezlitośnie obijana, mogła tylko łagodzić siłę ciosów. Jak długo? Nie była wodzem ani wojowniczką, ale rozumiała, że nikt, kto tylko się broni, nie rozstrzygnie na swą korzyść walki. Musiała kontratakować albo obrócić impet ataku przeciwnika przeciw niemu. Tej drugiej rzeczy nie potrafiła, a w każdym razie nie umiała zaplanować.

Broniła się wyłącznie intuicyjnie; myślała niezależnie od tego — i znalazła sposób.

— Ridareto... — powiedziała z rozpaczliwą wiarą, że przykuty do stołu strzęp człowieka słyszy ją i rozumie. — Nie zostawię cię... ale on nas zabije. Pomóż mi.

Osłabiła na chwilę siłę ataków. Obojętne jak genialny, Moldorn musiał chociaż drobną część swego umysłu zaangażować w zrozumienie

słów. Jednak pogawędek ucinać sobie nie zamierzał.

— Ridareto... teraz ty — powiedziała. — Rozumiesz?

Zakręciło jej się w głowie; oglądana z innego miejsca, a do tego jednym okiem, sala wyglądała na mniejszą. Kesa nie straciła orientacji, bo bez reszty zaufała intuicji. Nawet nie wiedząc kiedy, przeniosła całą siłę swej obrony na sojuszniczkę, dość łatwo odpierając pojedyncze słabe ataki, bo Moldorn nie odgadł, co zrobiła. Teraz mogła już tylko błagać wszystkie moce świata, by Ridareta odnalazła się w nowym miejscu i... obcym ciele.

Nie zawiodła się, bo piracka księżniczka miała właśnie to, czego brakło jej: instynkt wojowniczkę. I nie wahała się używać broni.

Moldorn nie zdążył zrozumieć. Osłonięta przez Kesę piratka posłała mu sztylet ruchem niemal niedostrzegalnym — i zachłysnął się z bólu, gdy ostrze weszło w brzuch. Rzuciła się nań niczym wilczyca, z powrotem chwyciła rękojeść wbitej w ciało broni, drąc ostrzem wnętrzości, podczas gdy drugie ostrze raz za razem wbijała mu w ramię, plecy, bark... Krzyżąc, Przyjęty próbował strząsnąć z siebie zwierzę, które rozdzierało go niemal na strzępy. Nie mógł zasklepić ran w takim tempie, w jakim otrzymywał nowe. Pchnięty od tyłu w szyję, niemal stracił przytomność, następny cios mógł być ostatnim... Zdołał ją odepchnąć; skoczyła znowu... i wpadła na ścianę.

Uciekł.

Rozdygotana, schlapana krwią, patrzyła na czerwone ostrza. Oddychała urywanie. Nagle zwróciła się ku stołowi.

— Nie wracaj! — krzyknęła. — Słyszysz?!

W brzuchu miała żelazny hak, wyrwany przez Moldorna ze ściany. Jeszcze nie czuła bólu.

— Keso, nie wracaj. Umrzesz, jeśli wrócisz... Uporam się z tym, ale... nie od razu... Słyszysz? Rozumiesz mnie?

Teraz ona nie wiedziała, czy Przyjęta pojmuje sens słów.

Kesa słyszała i rozumiała, że nie może wrócić. Ale równie dobrze rozumiała, że dusi się z ustami niemal rozerwanymi przez drewnianą kulę. Wyła nieludzko, uwolniwszy siły, które mogły być — i były — trzymane w ryzach przez Rubin, ale w żaden sposób nie podlegały kontroli zwykłej żywej kobiety, której okaleczone ciało musiało być posłuszne odwiecznym siłom natury.

Kesa rodziła, przykuta do łoża tortur. Jeśli nawet drzemały jakieś resztki bólu w wygojonej, ale przecież tak niedawno odrąbanej nodze i odjętej ręce, to nie czuła tego i nie mogła poczuć.

Ridareta odrzuciła wyszarpięte z brzucha żelazo i podbiegła do głucho zawodzącej Przyjętej. Nie wiedziała, w jaki sposób wyrwać z jej ust drewniany knebel... Próbowała odkręcić śruby, mocujące ocalałą rękę i nogę. Wyła z bólu jeszcze głośniej niż tamta, bo Rubin był tylko bezrozumną rzeczą i nie wiedział, co trzeba zrobić. Musiała go zmusić, by w najkrótszym czasie wyleczył śmiertelną ranę. Przestała się szarpać ze śrubami.

— Dawno jadłaś?! — wrzasnęła histerycznie. — Nie, nie oszalałam!... Pytam: dawno?!

Nie wiedziała, co oznacza dana ruchem głowy odpowiedź. Ale była po prostu głodna. Omal się nie przewróciła, biegnąc do drugiej izby; ciało Przyjętej było dla niej za wiotkie. Obce, zbyt delikatne. A oglądany dwojgiem oczu świat też wyglądał obco. Inaczej.

Dopadła stołu, przy którym niedawno posilał się Moldorn. Znalazła resztki jedzenia i rzuciła się na nie tak, jakby postradała zmysły.

Czymkolwiek było szare błoto w żołądku, niestety, nie brało się z niczego.

*

— Jest... żywa...

Powiedziała to, a raczej wykrztusiła po raz piąty lub szósty.

Okaleczona, spocona kobieta na stole, uwolniona już z żelaznych okowów, jedyną ręką przygarniała do piersi wyjątkowo drobne, krztuszące się płaczem niemowlę. Ridareta pótleżała pod ścianą, z dłonią przyciśniętą do zamazanej szarą paćką rany w brzuchu. Patrzyła na brzydtko zawiązaną pępowinę, brudną główkę i umazane plecy dziecka. Wciąż dławiła się płaczem, który miał tak wiele źródeł, że zatamowanie jednego nic nie mogło zmienić. Przeżyła męki bólu, wyrrywając z Rubinu wstrętne „eliksiry”. Patrzyła na własne dziecko, któremu udzieliła życia inna kobieta... Prawdziwego życia. Nie było w nim ohydnej czerwonej siły, przeniesionej do innego ciała.

I płakała jeszcze dlatego, że oglądała siebie. Strzęp pięknej niegdyś dziewczyny... Kalekiego potwora, którym wkrótce miała stać się znowu. Już zaraz.

Rana w brzuchu miała jeszcze boleć jakiś czas. Ale wewnętrzny krwotok ustał. Nic tam nie mogło się paprać — szare błoto przenikało do krwi, ciążyły pełne piersi. Nie było niebezpieczeństwa.

— Jest żywa... Mam dziecko, prawdziwe. Ja mam dziecko — powiedziała znowu.

Wyczerpana, niemal pólżywa Kesa z trudem składała słowa, nie chcąc się wydostać spomiędzy resztek połamanych zębów. Przeszkadzał obrzmiały język.

— Ja... tesz.

Ridareta nie słuchała, bo nie była do tego zdolna. Wciąż nie mogła pohamować płaczu. Kesa dała jej trochę czasu, ale teraz już musiały działać.

— Suchaj... — z trudem powiedziała Przyjęta. — On tu... fruci... Moldorn... Musimy... usiekaś... Ale ja stą... nie ofoszę...

Ridareta zaczęła się uspokajać. Powoli do niej docierało, co powiedziała Kesa.

— Nie... otworzysz?... Jesteśmy tutaj zamknięte?

— Tak.

— To wróć — powiedziała cicho, ocierając łzy. — Zamieńmy się z powrotem. Będzie cię bardzo bolało, ale już nie umrzesz. Weź dziecko... i otwórz nas.

Kesa drżała na stole.

Ridareta krzyknęła.

Miała przy piersi maleńką płaczącą córeczkę. Żywe dziecko, oczyszczone z czerwonej mocy Riolaty.

Była matką i poczuła to. Wybuchnęła płaczem od nowa.

Kesa już przywykła do bólu, jednak z wielkim trudem przemierzyła cztery kroki dzielące ścianę od stołu.

— Daj... No, daj... Rido.

— Nie... nie mogę... Ja nie mogę jej puścić... rozumiesz?... Chcę, ale... nie mogę. Jeszcze chwilę... tylko chwilkę, Keso.

Nie istniała wystarczająco długa chwila. Ridareta bez końca była gotowa zebrać, że jeszcze... jeszcze nie...

Przyjęta odebrała dziecko niemal siłą. I też się rozpłakała.

— Raladan mówił, że umiesz się pszenieść... Gdzieś, nawet bardzo daleko — powiedziała Ridareta. — Zabiesz ją gdzieś, gdzie będzie

bezpieczna. Nie tutaj... nie do środka Grombelardu... Proszę.

— Dobrze. Ale wezmę i ciebie.

— Moszesz?

— Mogę.

Nie mogła.

Ridareta została sama. Znowu się rozpłakała, ale zaczerpnęła tchu, bo o czymś się przed chwilą dowiedziała. O czymś, czego Przyjęta... nie zauważyła. Bo chyba nawet nie umiała zauważyć.

Wykonała tylko połowę pracy. Na świat musiało przyjść jeszcze jedno...

Nie, nie dziecko. Rubinek.

*

Kesy nie było bardzo, bardzo długo. I Ridareta pogodziła się już z tym, że została sama.

Ocalała noga nie zdołała jej utrzymać i Ridi raczej spadła, niż zsunęła się z łoża tortur. Niezdarnie przemieściła się do mniejszego pomieszczenia. Obok resztek jedzenia na stole leżało kilka pokrytych wzorami kart i przybory do pisania — Moldorn do końca został sobą, matematykiem Szerni. Odwróciła kartkę czystą stroną do góry i zaczęła pisać. Rozpłakała się przy tym po raz nie wiadomo który.

Napisała list do Raladana. I do kogoś jeszcze, chociaż nawet nie wiedziała, czy... Ale, obojętne.

Teraz pozostało już tylko jedno. Najtrudniejsze.

Ridareta nie wiedziała, w jaki sposób się zabić.

Może wystarczyło po prostu poczekać na powrót Moldorna.

Ale Kesa wróciła.

Leżąc na kamiennej posadzce przy stole w dużej sali, Ridareta patrzyła na Przyjętą, która pojawiła się dwa kroki od niej i upadła. Sprawiała wrażenie bliskiej śmierci. Nie mogła wrócić od razu, bo w cichym, uśpionym domu, otoczonym ogrodem z sadzawkami, zdołała tylko obudzić i przywołać krzykiem niewolnicę. Zobaczyła ją — i zemdlą. Upływ krwi, ból... Ale przede wszystkim to, przed czym szyderczo przestrzegał Moldorn. Na pewno nie postarzała się o czterdzieści ani nawet o cztery lata. Ale jednak nie można było sto razy sięgnąć do Szerni i nie odczuć żadnych tego skutków. Podróż do domu wyczerpała ostatnie siły, zwłaszcza że była podróżą najtrudniejszą ze

wszystkich. Wyjątkową.

Mogła zabrać ze sobą człowieka — ale nie wyszarpnęła Riolaty. Rubin targnął nią i został w Grombie, owo szarpnięcie jednak sprawiło, że Przyjęta zmyliła drogę i odnalazła ją z najwyższym trudem, okupując to niebywałym wysiłkiem.

Pod troskliwą opieką przerażonej służby Kesa dochodziła do siebie, marząc o tym, by schorowany i ciężko ranny Moldorn potrzebował więcej czasu niż ona.

Niewolnice umierały z przerażenia. Widziały dobrą panią, ruszającą w podróż na świetnym koniu, pod opieką kilkudziesięciu uzbrojonych ludzi. I naraz zjawiła się w domu jako pokrwawiona, półżywa kobieta, roztrzęsiona i rozgorączkowana, trzymająca w ramionach ledwie żywe, słabiutkie niemowlę... Wyglądała, jakby miała zaraz umrzeć; gdy zemdląca, służka przez kilka długich chwil była o tym najzupełniej przekonana. Sądziła, że jej pani nie żyje.

Kesa wróciła do Ridarety i dowiedziała się, że tym razem to już naprawdę wszystko na co ją stać.

Koniec.

Moldorn mógł wrócić i zabić je obie pałką. Zamęczyć na śmierć albo udusić... Były zupełnie bezbronne. Kesa mogłaby jeszcze odeprzeć dwa lub trzy niewyszukane ataki, ale nie więcej. Natomiast na pewno nie mogła odbyć jeszcze jednej podróży. I nie mogła otworzyć wejścia do podziemi, bo zamknęła je bardzo mocno. Naprawdę mocno. Nie przed mężem, ale przed Moldornem. Żeby nie mógł się wydostać na powierzchnię, gdyby...

Teraz już wiedziała, że i tak by się wydostał.

Sto kroków dalej czekali przyjaciele. Kesa bardzo chciała zobaczyć męża, nie umiała jednak wyobrazić sobie, jak pełnym zalany wodą korytarzem, a potem tylko bezsilnie patrzy... On zaś tak samo patrzy z drugiej strony, odgradzony niewidzialną zaporą. I dostrzega być może nadchodzącego Moldorna...

— Miałam kiedyś dziecko — powiedziała. — Haniebnie zaniedbana Perła, oddana później za długi... Nie wiem, do której hodowli je sprzedano, i nigdy się nie dowiem. Dzieci niewolnic... to tylko przedmioty. Dziecko Perły hodowla chętnie kupi. Kocham Gotaha i bardzo chcieliśmy mieć dziecko, ale nie odważyliśmy się. Dziecko dwojga

Przyjętych?... O, nie. Szerń jest zazdrosna — powiedziała gorzko. — Twoje małe Rubiny, Ridareto, to nic w porównaniu z tym, co my moglibyśmy powołać na świat.

— Wychofuj ją — odpowiedziała niewyraźnie, ale bardzo spokojnie.
— Niech ma na imię... Alida. Dobrze?

Wzruszona Kesa skinęła głową.

— Popatsz na mnie... Popatsz.

Przyjęta spojrzała. I znowu zachciało jej się płakać, choć powinna już przywyknąć do okropieństw.

— Kogo mam unieszczęśliwić? Mam taka jusz zostać? Nie. Keso... Pomóż mi. Jeśli ma zrobić to Moldorn... Ja bym chciała... jak człofiek. Nawet, jezeli jusz nim nie jestem.

— Jesteś.

Ridareta mówiła powoli, próbując wydobyć z okaleczonych ust zrozumiałe dźwięki.

— Bardzo chciałam znaleźć broń... Mófił, sze znajdę. Szukałam i nie znalazłam, ale bardzo duszo się dofiedziałam. Ja dzisiaj jusz... umiałabym inaczej. Ja bym chyba musiała dalej zabijać, falczyć. Ale jusz chyba mogłabym... fybierać. Nawet falczyć moszna w dobrej sprawie. Takiej, której byś nie potępiła. Prafda?

— Tak.

— Gdybyś mogła... Posfoliłabyś mi?

— Tak. Bo, od tego, co już zrobiliśmy, ważniejsze jest to, co jeszcze zrobimy.

Ridareta milczała.

— To posłuchaj — powiedziała wreszcie.

I Kesa poznała tajemnicę.

Nie od razu była w stanie pojąć, co jej opowiedziano.

— On tu fróci, tak? To teraz... pomóż mi. Jeśli będziesz sama, to mosze on cię nie zabije. Falczył z tobą dlatego, że mnie bronił. Ja fiem. A mosze nie fruci?...

Przyjęta nie chciała i nie mogła powiedzieć, że Moldorn na pewno wróci. I zabije ją choćby dlatego, że... nie będzie wiedział, kto przed nim stoi. Kesa czy Ridareta. A najmniejsze wahanie mógł przyplącić życiem, o czym niedawno się przekonał.

— Nie wiem, czy potrafię. Nie potrafię.

— Potrafisz. Pszcziesz to tylko... Ty fiesz.

Coraz głośniejsz rozbrzmiewały przyspieszone oddechy dwóch kobiet.

— Schofam się, tak? Niech Raladan... niech nikt nie zobaczy tego, czym teraz jestem... Obiecay, sze nikomu nie posfolisz oglądać mnie takiej. Proszę cię.

— Nie pozwolę.

Pod ścianą stała wielka skrzynia, częściowo zbutwiała od wilgoci. Kiedyś były w niej chyba różne... narzędzia. Potrzebne w tej sali przyrządy. Przerażający sarkofag, do którego z własnej woli próbowała się dostać prosząca o śmierć dziewczyna.

Przyjęta patrzyła na odwróconą głowę nieszczęśliwego dzieciaka, którym kiedyś obiecała się zaopiekować. I nie dotrzymała słowa.

Ridareta oddychała z coraz większym trudem.

— Keso, proszę... Pszcziesz... ja się boję.

Rozpłakała się po raz ostatni.

Siedząca na posadzce Przyjęta zakryła uszy dłońmi i krzyknęła. Była w tym krótkim krzyku cała nienawiść, jaką miała w tej chwili dla przeklętego świata.

Dwie krótkie jak paznokiec czerwone igły wystrzeliły w górę, przebiły kamienne ściany i przepadły, wracając do Pasm. Okaleczone ciało osunęło się w głąb skrzyni, uderzając o jej przegniłe dno.

*

Nad morzem były już świt, ale w sercu Ciężkich Gór nic nie zapowiadało rychłego nadejścia dnia. Pracujący u stóp schodów mężczyźni zmieniali się często: żołnierz ustępował Przyjętemu, Przyjęty następnemu żołnierzowi, ten znów agarskiemu księciu... Topory i miecze nie były dobrymi narzędziami, przysparzał kłopotów niedostatek światła, ciasnota... O świcie dwaj nie będący olbrzymami mężczyźni po kolei precisnęli się przez wykuty w kamieniach otwór, którego jednym z brzegów była doskonale przezroczysta, wytrzymała szyba. Podano im pochodnie. Na zewnątrz żołnierze dalej powiększali dziurę. W królewskiej gwardii nie służyli mali mężczyźni; dla nich otwór był wciąż za wąski. Ale wypadł jeszcze jeden kamień i dwóch najszczuplejszych gwardzistów spróbowało szczęścia. Przedostali się i od razu wyjęli miecze.

Raladan i Gotah wymienili spojrzenia, po czym po kolei weszli w

mur widoczny między dwoma korytarzami... Gwardziści bez wahania postąpili za nimi.

Po drugiej stronie muru był zalany wodą, niezbyt długi chodnik, zaś na jego końcu otwarte drzwi, spoza których sączyło się bardzo słabe światło.

Pobiegli, rozchlapując zimną wodę.

Drzwi nie były otwarte, lecz wyrwane. Prowadziły do małej salki, gdzie na stole, obok porozgniatanych i porozrzucanych resztek jedzenia leżała przewrócona butla z inkaustem, zanurzone w czarnym morzu karty i złamane pióro. Światło padało z następnych drzwi, umieszczonych w rogu pomieszczenia.

Przyjęta siedziała przy katowskim stole, oparta o złamany lewar, służący do opuszczania lub podnoszenia czegoś... Uniosła spojrzenie, ale chyba nie umiała zrozumieć, kogo widzi. Gotah poczuł w nogach taką słabość, że musiał się przytrzymać ramienia towarzysza. Patrzył na żonę, która miała czerwone od krwi rękawy koszuli, wielką zakrzepłą plamę na brzuchu, zresztą ubroczone całe odzienie... Podczas krótkiego pobytu w domu służba obmyła jej ręce, włosy i twarz, ale schlapany krwią strój pozostał niezmienny. Gotah pochylił się, a wtedy nagłym ruchem chwyciła go za ręce. Była rozgorączkowana, półprzytomna.

— Nie... nie — wykrztusiła. — Jeszcze nie! Książę... Książę! — krzyknęła.

— Moja córka, pani. Gdzie jest Ridareta?

Moldorn próbował wrócić. Zatrzymała go już dwa razy. Nie wiedziała jak.

Ale nie mogła powstrzymać go w nieskończoność.

— Ona... nic. Nie ma jej tutaj. On tu zaraz wróci! Szybko... — bełkotała. — On tu może w każdej chwili wrócić. Zabierzcie mnie stąd. Wszystko powiem, ale... Zabierzcie mnie stąd, no zabierzcie! Zabierzcie!

Wpadła w histerię.

Nie zdołała po raz trzeci zatrzymać Przyjętego. Może nawet jakoś by się to powiodło, ale nieoczekiwana pomoc sprawiła, że opuściły ją resztki sił. Skulona na podłodze sali tortur, samotna, słyszała stłumione odgłosy kucia, ale nie domyśliła się, co to znaczy. Myślała, że mąż przywołuje ją, uderzając czymś w mur. Może tylko dodaje otuchy, mówiąc: „Jestem! Keso, czekam!”.

Ale nie czekał. Mężczyźni na ogół nie umieli czekać tak długo i wytrwale, jak kobiety.

Moldorn wrócił. I znalazł się między czterema mężczyznami, z których jeden przeraził się tak, że z miejsca uczynił to, co umiał najlepiej: zabił. Potężny matematyk Szerni wyłonił się znikąd — i z rozrąbaną ciosem gwardyjskiego miecza skronią od razu zaczął się osuwać w dół, bo nogi już nie mogły go słuchać. Halabardnik królowej był wojownikiem, więc nie myślał, tylko poprawił, rozwalając do reszty mózg, który mógł w mgnieniu oka spowodować zasklepienie każdej rany — pod warunkiem wszakże, że działał.

Już nie działał, bo wypływał z czaszki. Kesa zwymiotowała.

Żołnierz popatrzył na zakrwawiony miecz. Nie był pewien, czy zrobił to, co należało... Schylił się i wytarł broń skrajem nijakiej burej szaty.

Nie tyle ponieśli, co powlekli Kesę korytarzem. Nie pozwoliła sobie odebrać brudnego tobołka, oburącz trzymanego przy brzuchu. W świetle trzymanej przez żołnierza pochodni ujrzała poczynione przy swej potężnej zaporze prace i parsknęła obłąkańczym śmiechem.

— Szerń... — wykrztusiła. — Przyjęci... Zwykła dziura w murze...

Skoro przez otwór przepchnęli się Gotah i Raladan, to tym bardziej mogła smukła Kesa. Ale trzeba jej było przetłumaczyć, że musi oddać swój tobołek. Kręciła tylko głową: nie i nie. Raladan nagłym ruchem wyrwał jej zawiniątko i podał na zewnątrz. Przyjęta wyła. Wyrwała się i rzuciła głową naprzód, ledwie trafiając w nierówną dziurę. Bardziej ją przepchnęli i wywlekli, niżli przeszła. Odzyskała swój skarb i zataczając się, wbiegła na schody. Wzywała Raladana.

Oszalała.

— Idź, panie — powiedział roztrzęsiony Przyjęty. — Wie coś o twojej córce... Idź!

Raladan przelazł przez dziurę, przeciągany tak samo jak Kesa.

Czerń nocy ustąpiła miejsca brudnej szarości. Niedaleko szczytu schodów dwaj żołnierze próbowali zaopiekować się rozhisteryzowaną kobietą. Trzeci trzymał pochodnię. Zobaczyła Raladana.

— Weź! Światło! — krzyknęła. — A wy idźcie, idźcie stąd!

Żołnierze wymienili spojrzenia. Raladan wziął pochodnię i odesłał ich gestem. Wetknęła mu do ręki zmiętą, naddartą kartkę.

— Czytaj — powiedziała. — To od niej.

Niezręcznie, jedną ręką, bo w drugiej trzymał łuczywo, Raladan próbował rozprostować list. Poznał pismo Ridarety; zawsze uważał, że potrafi pisać pięknie, jak prawdziwa księżniczka... I była to prawda. Wychowana w znakomitym domu dziewczyna poznała sztukę kaligrafii.

Drżały mu palce.

— Nie przeczytam... Przeczytaj mi, pani.

— Już czytałam — powiedziała zdławionym głosem. — Nie wiem, czy potrafię jeszcze raz...

Naprawdę się rozplakała. Rozmazała łzy na policzkach i zaczęła:

— Raladanie, Kitarze... Ja śpię. Powiedzcie chłopcom, żeby nie nazywali okrętu „Ślepą Ridi”, bo wrócę i znowu będę pływać... Za cztery lata. Piszę to i nie wiem, czy Kesa wróci po mnie. Bardzo długo jej nie ma...

Przyjęta uniosła dłoń do ust i zamilkła, przygryzając kostki palców.

— Jeżeli nie wróci — podjęła po krótkiej przerwie — to nie dostaniecie tego listu. Wtedy wszystko nieważne. Riolata nie jest zła, ona tylko... Ja chciałam z nią tak, jak Wy ze mną: poznać i zrozumieć, tylko nie za blisko, ostrożnie. Niepotrzebnie na Was krzyczałam, bo sama robiłam to samo. Ale teraz bardzo mi na czymś zależało i podeszłam do Riolaty jak najbliżej. Wielu rzeczy się dowiedziałam. I zrozumiałyśmy się. Za cztery lata będę już młodą dziewczyną, a ona mnie obudzi i będziecie mieli z powrotem swoją Rideę, a ja Was. Riolata i ja to teraz jedno, ona przechowa moją pamięć, wady, nawet zalety, jeśli jakieś są... Całą mnie. Kiedy się obudzę, będę taka sama jak teraz, tylko trochę mądrzejsza. Kocham Was i nie mogę się doczekać, kiedy... Kocham Was. I kogoś jeszcze, ale... Nie, już nic. Ridareta. Żeby tylko Kesa wróciła.

Przyjęta skończyła i głęboko zaczerpnęła tchu.

— Masz ją — powiedziała, oddając nieforemny tobołek. — Jest jeszcze bardzo malutka. Będziesz na nią czekał?... Bo ja będę.

Roztrzęsionymi rękami Raladan odwinął róg pokrwawionej szmaty, spod której wyjrzała mała jak pięść główka noworodka. Dziewczynki, mającej być w przyszłości matką swojej bliźniaczej siostry, małej Alidy, która jednak dostała od kogoś prawdziwe życie zamiast czerwonej mocy.

Ale o tym wiedziała tylko Kesa. I tylko ona potrafiła zrozumieć.

Epilog

Z drzew powoli spadały ostatnie żółknące liście.

Dwa luźno spętane konie nie tyle pasły się, co przechadzały na skraju przywiedłej łączki pod lasem.

Koniec złotej dartańskiej jesieni był bardzo suchy i ciepły. Na ziemi, z plecami opartymi o pień klonu, siedział brodaty, mocno łysawy mężczyzna. Bawił się w konia: leniwie żuł skraj zwiędłego liścia.

Nieładna dziewczyna w stroju do konnej jazdy, z malutką srebrną łożką na szyi, nie odrywała spojrzenia od twarzy pana.

— Bardzo chciałem to wszystko komuś opowiedzieć — rzekł po długiej chwili milczenia. — Porządnie i po kolei... Chyba trochę nie wyszło.

— Wyszło — powiedziała bardzo poważnie. — Ale...

— Śmiało, Semo. To nie są żadne tajemnice, w każdym razie nie tutaj, bo na Agary chyba nie pojedziesz, żeby zdradzić ich księciu, że ma wnuczkę?... Nie powiedziałem nic, o czym nie mogłaby wiedzieć moja rezolutna przyboczna.

— Pani nie będzie się gniewać?

— Pani urwie mi głowę, jeśli częściej będę się wybierał na przejażdżki z niewolnicą niż z nią... Ale za to, co mówię? Nie, nie będzie się gniewać. Rozmowa jest... zewnętrznym myśleniem. To ona tak powiedziała, ja tylko zapamiętałem.

— Ale ja żem... ja myśla-łam, że nie zabijecie tego Przyjętego.

Gotah z namysłem pokiwał głową. I westchnął.

— Najsmutniejsze jest to, Semo, że ten człowiek... którego jednak nie należy pochopnie osądzać, bo chyba miał tu i ówdzie trochę racji... Najsmutniejsze jest to, że on właściwie zabił się sam. Bo wrócił, i nikt już nigdy nie odpowie na pytanie: po co. Może po to, by dokończyć dzieła; może po swoje zaprzepaszczone w kałuży inkaustu zapiski... A może jeszcze po coś. Wpadł w gniew, walczył z Kesą, ale potem ochłonał... To nie był morderca i nie wierzę, żeby chciał na zimno zamordować mi żonę. Zjawił się z powrotem, a zwykły dartański żołnierz nawet nie wiedział, co robi, bo posłuchał tylko instynktu wojownika. I rozrąbał mu

głowę jednym ciosem miecza.

Dziewczyna milczała zamyślona. Spoglądała na niedaleki głąz, ułożony między smutnymi teraz i szarymi krzewami dzikiej róży.

— I ten kamień, to jest...?

— Z boku znajdziesz imię „Ridarethe”. Pani wróciła do domu „na swój sposób” nie tylko dlatego, że powrotna podróż przez Grombelard na pewno by ją zabiła. Przede wszystkim chciała zabrać z wielkiej butwiejącej skrzyni okaleczone ciało, którego księżę Raladan nie powinien był widzieć. Obiecała przecież, że nie zobaczy. A ponownie zawalone podziemie, w którym uwolniony z okowów Strażnik Praw obudzi się, gdy dobiegnie końca wojna Szerni... To nie był właściwy grobowiec dla księżniczki Riolaty Ridarety.

— Więc ona umarła? Czy żyje?

— Żyje, Semo. A raczej: istnieje. Straciła tylko swoje pierwsze ciało, ale wszystko, co miała w duszy, sercu i głowie, jest zapamiętane przez Riolatę. Ridareta śpi, bo nie może obudzić się w niemowlęciu, ani nawet dziecku. Obudzi się, gdy będzie... kobietą. Więc chyba rzeczywiście za jakieś cztery lata. Na razie istnieje tylko maleńka dziewczynka, śpiąca nieprzerwanym snem. Ale rośnie trzy razy szybciej niż inne niemowlęta. Myślę, że otoczona opieką księcia Raladana na Agarach, wygląda teraz jakby miała rok.

— Więc po co ten kamień?... Przecież jeśli księż-niczka żyje, to nie jest prawdziwy grób.

— Jest i nie jest. Będzie mogła go kiedyś zobaczyć. Dotykem połączyć się z przeszłością. Przecież przyjedzie tutaj, a wówczas poznasz, Semo, jedną z najbardziej niezwykłych istot Szereru.

Znowu pokiwał głową.

— Kesa wierzy, że Ridareta naprawdę może być... inna. Oby miała rację. Wojownicy, nawet bezwzględni, mają na świecie rację bytu. Zbrodniarze chyba też, ale...

Dziewczyna znowu się zamyśliła.

— Ale ty, panie... Jesteś smutny. Dlaczego?

— Dlatego, Semo, że przez blisko rok mnóstwo ludzi, naprawdę całe mnóstwo, krzywdziło się nawzajem, choć przy każdym były jakieś słuszne racje. Chciałbym wierzyć, że są takie światy, gdzie istoty, które chcą dobrze, nigdy nie skrzywdzą się nawzajem. Po prostu dobre światy.

Chciałbym wierzyć, ale nie wierzę.

— Są takie światy, panie — powiedziała bardzo stanowczo.

Uśmiechnął się łagodnie.

— Nie możemy tego wiedzieć, dziecko. Niestety.

— Możemy.

Uparła się.

— Czy ty jesteś W ŚRODKU, panie?

Nie zrozumiał.

— W środku?...

— Tak. Jesteś ty, a dookoła cały świat.

— Tak... Rzeczywiście, tak. Każdy jest w środku, Semo.

— Ja też jestem w środku, panie. A dookoła mam świat. Taki sam wielki, jak twój.

Wstała, rozłożyła ręce i obróciła się dokoła.

— Nie śmieję się... Stworzyłeś, panie, jeden dobry świat. Ja żem go wcześniej nie miała... A on jest najprawdziwszy z prawdziwych. I cały stworzony przez ciebie. Ja też bym chciała komuś stworzyć taki świat.

Nie śmiał się. Powiedziała coś bardzo ważnego.

Wiatr przyniósł odległe poszczekiwanie psów, dobiegające od strony domu. Przekrzywiła głowę; miała świetny słuch.

— Lepiej chodźmy, bo pani będzie się gniewać... gniewać. Panienka Alida płacze.

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Mapy](#)

[Szerer](#)

[Dartan](#)

[Grombelard](#)

[Tom I](#)

[Prolog](#)

[Część pierwsza. Księstwo na Bezmiarach](#)

[1.](#)

[2.](#)

[3.](#)

[4.](#)

[5.](#)

[6.](#)

[7.](#)

[8.](#)

[Część druga. Trzy żaglowce](#)

[9.](#)

[10.](#)

[11.](#)

[12.](#)

[13.](#)

[Część trzecia. Wojownicy](#)

[14.](#)

[15.](#)

[16.](#)

[17.](#)

[Tom II](#)

[Część pierwsza. Królowa i niewolnica](#)

[1.](#)

[2.](#)

[3.](#)

4.

5.

6.

7.

Część druga. Symbol niczego

8.

9.

10.

11.

12.

13.

Część trzecia. Riolata i Ridareta

14.

15.

16.

17.

18.

Epilog